



# VANNA de ANGELIS FEY ZAKAZANE MARZENIA

---

Przekład Agata Kowalczyk

*Wszystko dla pań*



## Rozdział 1

---

— Nie widzisz ich? Nie rozumiesz, że się zbliżają?

— Nie, ja nie...

— Ach, Eleonoro! Wielu tego nie dostrzega, prawie nikt. Nie mają oczu ani świadomości, ich serca, nawet ich ciała są niewrażliwe. Ale ty... — Grymas wykrzywił pomarszczoną twarz zwróconą do dziewczyny. Eleonora słuchała cierpliwie, siedząc w rogu kanapy z podbródkiem opartym na dłoni,

— Co ja?

— Ty jesteś taka jak ja! — Kobita uderzyła pięścią w poręcz fotela. — Tak jak ja masz w sobie tę niesamowitą, niezwykłą iskrę bożą, która pozwala ci patrzeć poza... Eleonoro, jeśli tylko zechcesz, możesz sięgnąć wzrokiem tam, gdzie nie sięgają inni! — Dla podkreślenia swoich słów wdowa po hrabim Jacopie Serpierim — przed osiemnastu laty przesytytym rogami jelenia — jeszcze raz uderzyła zaciśniętą pięścią w podłokietnik z brązowego aksamitu. W końcu, oparłszy się wygodniej, zaczęła obracać na palcu pierścionek z brylantem. Dostała go od męża całe wieki temu, kiedy jej jasne włosy sięgały do pasa i kiedy z powodu legendarnej urody nazywano ją królową Lunigiany, choć była tylko baronówną, i to z podupadłej zrujnowanej rodziny. Bawiąc się pierścionkiem, mówiła dalej:

— Nienawidził mnie. wiesz? Jacopo znenawidził mnie śmiertelnie, kiedy się zorientował, że widzę o wiele więcej niż jego muskularną owłosioną pierś i jego pięknie sklepione czoło, że potrafię wwiercić się w niego jak korkociąg i wybadać mu myśli, że widzę go tak dokładnie jakbym oglądała insekta pod mikroskopem. — Uśmiechnęła się szyderczo, potrząsnęła głową. — Ślepy jak wszyscy nie orientował się w niczym.

— Ale ja widziałam. A ty jesteś taka jak ja, Eleonoro...

— Mówiłaś to z wielkim przekonaniem — odparła Eleonora spokojnie

— Bo jestem przekonana.

— I mówisz mi to dopiero dziś?

— Tak, dopiero dziś.

— Może dlatego, że dziś...— Eleonora zawahała się, że to jeden z najważniejszych dni w moim życiu. To dlatego odkrywasz przede mną tę umiejętność z której do tej pory nie zdawałam sobie sprawy?

— Nie zdawałaś sobie sprawy, bo nie chciałaś. Często boimy się dotrzeć tam, gdzie nie docierają inni— odparła sucho hrabina.

— Dlatego mówisz mi to właśnie dziś?

— Nie trzeba być kimś takim jak ty ani jak ja, by dostrzec ich nadejście — odparła hrabina wymijająco.— Przecież nadchodzą z wielką pompą! Każdy dureń mógłby dostrzec wyraźne znaki ich obecności.

— Jakich „ich”? O kim ty mówisz?

Hrabina wskazała otwarte drzwi balkonowe. Za nimi, na tle pobielełego od upałów nieba, widać było faliste linie wzgórz porośniętych cyprysami.

— Słyszałaś, o co pytam? —ponagliła Eleonora —Jacy... „oni”?

— Oni — odpowiedziała kobieta. — Jeźdźcy mroku, bogowie klęski. Mistrzowie strachu. TO O nich mówię. Wypromowani na swoich wierzchowcach niosących śmierć, pędzą prosto na nas — Nie odrywała oczu od horyzontu, zupełnie jakby w to późne popołudnie w końcu sierpnia 1937 roku niebo nad wzgórzami ciągnącymi się u kierunku Florencji rzeczywiście zasłoniły złowrogie, czarne zastępy.

Eleonora słuchała staruszki, przypatrując się małej poślaczanej głowie Meduzy na oparciu stojącego przed nią krzesła. Mimo woli poddała się nastrojowi chwili. Przygnębiła ją ta przerażająca maska i to przed chwilą usłyszała. Podniosła wzrok. Lekki powiew wiatru wydymał zasłony, ale tam, za balustradą oplecioną pnącymi różami, dostrzegła tylko pusty, bezchmurny horyzont

— Ja niczego nie widzę — stwierdziła.

— O, zobaczysz ich — odparła z lekceważącym przekonaniem hrabina Serpieri. Poruszyła ostrożnie stopami w białej porcelanowej miednicy pełnej wody z olejkiem lawendowym. Wynurzyła palce i wpatrzyła się w nie posepnie. — Osiodłali już swoje wierzchowce — ciągnęła półgłosem —szkielety koni... Szkielety rozumiesz? Same kości bez odrobiny — Nagle mruknęła tym samym tonem: Podaj mi ręcznik.

— Ale kiedy dziewczyna pochyliła się, by wytrzeć jej stopy, wyszarpnęła ręcznik z jej dłoni. — Myślałby kto, że potrzebuję pomocy. No już, wracaj na swoją kanapę dorzuciła ze złością, i machnęła ręcznikiem jakby odpędzała muchę

Eleonora posłusznie przeszła na drugi koniec wielkiego pokoju. W popołudniowym świetle wiśniowe i oliwkowe meble w stylu tokańskiego Dyrektoriatu wydawały się wyblakłe a misterne intarsje i kwiatowe motywy płaskie. W wiszącym Eleonora dostrzegła na mgnienie oka odbicie swojej niebieskiej sukienki i plamę krótkich jasnych jak len włosów.

Dopiero kiedy usiadła, oparła po swojemu podbródek na dłoni i spojrzała w okno, zauważyła, że niebo zaczęły niespodziewanie zasnuwać chmury. Szare i zbite, wyłaniały się już zza pagórków. Jednak na myśl o tym, co miało nastąpić już kilka godzin, jej twarz znowu się rozpromieniła. Nie, dziś wieczorem nie może padać. Stłumiła westchnienie podniecenia, śledząc niecierpliwie ruchy stryjecznej babki, ceremonia pielęgnacji stóp dzisiejszego popołudnia ciągnęła się w nieskończoność.

— Nie, nie możesz jeszcze iść — powiedziała staruszka, jakby czytała w jej myślach. — Jeszcze nie skończyłam. — Z giętkością zadziwiającą u prawie osiemdziesięcioletniej osoby pochyliła się i wytarła nogi, uważając, by nawet jedna kropla nie spadła na stary dywan. Potem zapudrowała stopy i zaczęła je energicznie masować, wcierając różowy krem ze słoiczka stojącego na stoliku obok fotela. — Nie skończyłam — powtórzyła, i dopiero teraz Eleonora zrozumiała, że babka nie ma wcale na myśli pielęgnacji stóp. — Przybywają jeźdźcy mroku. Zarzucili na swoje wierzchowce żałobne czapaki, utkane z przerażenia. Spuścili ze smyczy smutek i rozpacz, Potrząsnęli biczami zagłady. I z wyżyn konstelacji znanej Apokalipsą rzucają się na tę nieszczęsną Europę, gdzie i tak rozbili już obóz bogowie kłęski. — Przerwała. Pomyślała o dniu sprzed piętnastu lat, kiedy to w Montecitorio ten jakiś Mussolini, z zaciśniętymi pięściami i wysuniętym podbródkiem zmroził krew w żyłach zdumionym senatorom:

„Mogłem zamienić tę aulę, pełną głuchych siwych starców w obóz żołdaków” — Od tamtej pory słowo „obóz” przywoływało jej na myśl najazd niepowstrzymanej barbarzyńskiej hordy.

— O czym ty mówisz? — zapytała Eleonora wstając z kanapy i podchodząc do babki.

— Otworzą się na oścież bramy przerażenia — odparła hrabina. — I nikt się nikt domyśla, że nadchodzi epoka, w której ludzka godność i sumienie świata zostaną pogrzebane przez lawinę przemocy. To wszystko pomiesza nasze losy... wstrząśnie naszymi sercami... będzie miało wpływ na miłość... na nasze uczucia.

Eleonora objęła się ramionami. Lekkie poddmuchy wiatru wpadające przez okno były zimne, jakby oziębiły je ponure cienie, które zdawały się gęstnieć pod wpływem słów staruszki. Ale słoneczna natura dziewczyny zbuntowała się natychmiast.

— Nie podoba mi się to ! Mówisz o katastrofach i pomieszanych losach , o dramatach, o tragediach. Nie podoba mi się to ani trochę.

— Odstaw miskę — odparła hrabina wkładając jedwabne kapcie. Eleonora posłusznie spełniła prośbę, ciągnąc z oburzeniem:

— Nie znoszę cię kiedy zmieniasz się w taką... takiego... — zawahała się, szukając słowa innego niż „wiedźma” „Kasandra” czy „puszczyk”. Nie znalazła więc zamilkła.

— A mnie się podoba, że wreszcie coś do ciebie dociera — powiedziała spokojnie hrabina. Wygładziła fałdy szlafroka, granatowego jak nocne niebo — Podoba mi bo jeszcze przed chwilą słuchałaś mnie nieuważnie zajęta własnymi sprawami. Ale w końcu pojęłaś, że to nie jest tylko paplanina starej wariatki. Zrozumiałaś, że to co mówię, ma głęboki sens. I słusznie się przejmujesz

— Niezbyt jasny sens, chciałaś powiedzieć — Eleonora starała się zachować grzeczny ton, ale przychodziło jej to z trudem. — Co ma znaczyć twój wywód. I dlaczego mówisz o uczuciach, o miłości? To ma być aluzja do mnie? Do mojego życia?

— To chyba oczywiste — odparła babka. Westchnęła ze znużeniem i opadła na oparcie fotela

— W takim razie mów jakiej, skoro to wszystko mnie dotyczy.

— Jesteś bardzo zdenerwowana.

— Owszem, jestem. I jeszcze jak! Bogowie klęski, jeźdźcy mroku... Nastraszyłaś mnie, nie rozumiesz? Według mnie to nie w porządku, że właśnie dzisiaj się w ten sposób. opowiadając mi o tych swoich makabrycznych przepowiedniach.

— Nic nie poradzę, że tak to odbierasz — odpowiedziała łagodnie hrabina. I wcale się nie zabawiam. Nie czuła się obrażona gwałtownością Eleonory. Trudno było obrazić hrabinę Serpieri, A poza tym uwielbiała Eleonorę i zawsze pozwalała jej na szczerość; dzięki temu między babką i wnuczką wytworzyła się szczególna więź.

— Musisz się przynajmniej wytłumaczyć — zażądała dziewczyna, krzyżując na piersi nagie ramiona. — wytrąciłaś mnie z równowagi, więc mam prawo wiedzieć dokładnie co się stanie.

Staruszka uniosła dłoń w obronnym geście.

— Uspokój się. Nie możesz mnie tak przypierać do muru Przyszłość będzie taka jak ci powiedziałam. Nie mam już nic do dodania.

— W takim razie poszukaj innych słów — upierała się dziewczyna. — Poszukaj słów które będą dla mnie bardziej zrozumiałe

Nastąpiła długa chwila ciszy. Z daleka od strony ściernisk gąło tylko gdakanie kur.

Hrabina z pochmurną twarzą zaczęła obracać brylant na palcu. Nagle jej szczupłym ciałem wstrząsnął wybuch śmiechu. Śmiała się do łez rozbawiona komiczną myślą, która przyszła jej do głowy

—A teraz co znowu? — Eleonora zdenerwowała się jeszcze bardziej tym niespodziewanym napadem wesołości.

— Można opowiedzieć inaczej to co powiedziałam ci przed chwilą. — Hrabina otarła łzy, uśmiechając się szyderczo — Można znaleźć inne słowa, jeśli tego chcesz., ale wtedy cała sprawa straci wiele ze swego odpychającego uroku, ze swej wiarygodności; ogólnie rzecz biorąc, wiele ze swego głębokiego znaczenia.

—Powiedz, mimo wszystko.

— Dajmy sobie spokój z jeźdźcami mroku i bogami klęski, skoro tak cię przerażają, — Hrabina przerwała i poprawiła protezę, popychając ją niecierpliwie palcami. — Powiedzmy że.. powiedzmy że...

— No, dalej

Staruszka spojrzała na Eleonorę z krzywym uśmiechem.

— Powiedzmy więc, że paru najemników i jeden czy drugi oszust z wypchaną kabzą zdolają rzucić na kolana niejeden naród. A miliony odurnionych i skonsternowanych ludzi — ale to dopiero potem – będą sobie zadawać pytanie jak to możliwe że banda przestępców...

—Rozumiem! — zniecierpliwiła się Eleonora.— Krótko mówiąc twierdzisz, że będzie wojna. O to chodzi?

— To będzie o wiele więcej niż wojna. Coś o wiele gorszego.

— Mówiłaś o miłości, przeznaczeniu To ma coś wspólnego ze mną?

Hrabina nie odpowiedziała zamknęła tylko oczy. Nie śmiała się już.

— Dzisiaj — ciągnęła Eleonora — dziś wieczorem jak dobrze wiesz jest moje przyjęcie zaręczynowe. I nie dość, że odmówiłaś wzięcia w nim udziału, opowiadasz mi jeszcze o tragediach. Nie — Eleonora potrząsnęła głową, kosmyki prostych włosów, przyciętych tak krótko, że nie sięgały szyi, zatańczyły wokół jej twarzy. — Nie, nie będę cię dłużej słuchać. Nie pozwolę, żebyś zniszczyła moje szczęście.

Wiele lat później, ilekroć wspominała to ostatnie lato w Bolgherii w pięknej osiemnastowiecznej willi, która spłonęła podczas wojny przypominała sobie tę rozmowę w wielkim pokoju z balkonem, na pierwszym piętrze, przypominała sobie własne słowa i czerwieniła się. Bo wiedziała już jaka była wtedy ślepa, głupia i zarozumiała. Ale tego feralnego sierpniowego

popołudnia wiele rzeczy jeszcze się nie wydarzyło. To miał być niezwykle dzień — jej zaręczyny — i dlatego jak najszybciej chciała pożegnać wywołane przez babkę widma.

— Zaszylaś się w tej starej willi. Nie masz nic wspólnego ze światem, który jest wokół ciebie. — stwierdziła z przekonaniem mimowolnie przybierając lekceważący ton. — Żyjesz tu w zamknięciu i usiłujesz mi wmówić, że twoje wizję to potwory, które są w stanie zniszczyć mi życie. Dobrze wiem, że krzywo patrzysz na moje zaręczyny z Paolem, ale i tak nie pozwolę ci się zastraszyć. Nie możesz mi grozić katastrofami. Nie wolno ci. Mam prawo do szczęścia.

Hrabina wstała, nie odpowiadając.

— A poza tym mylisz się — ciągnęła Eleonora idąc za staruszką na balkon. — To nie prawda, że mam twoje zdolności odgadywania przyszłości i czytania w ludzkich myślach. I mylisz się też widząc wszystko w czarnych barwach. Mówisz, że będzie wojna? Właśnie że nie Wszyscy wiedzą, że tu we Włoszech sprawy mają się dobrze. Nawet bardzo dobrze. My nie mamy się czego obawiać!

Staruszka milczała, może nawet nie słuchała, Uważając, by się nie ukłuć zajęła się pnącymi różami, wdzierającymi się na balustradę podnosiła zwisające pędy, obrywała suche liście i zwiędłe kwiaty. Słońce schowało się już z drugiej strony willi. Ale na balkonie nawet w cieniu było gorąco. Z pobliskich, zawsze zielonych zarośli dobiegał szelest sztywnych liści poruszanych lekkim wiatrem. Ciszę mąciło coraz głośniejsze granie cykad. — Słuchasz mnie? — zapytała Eleonora, ale nie czekała na odpowiedź. — Nie będzie żadnej wojny — powtórzyła — Niedługo wyjdę za mąż i będę mieszkała w Rzymie z Paolem. A dzisiaj... dzisiaj jest moje przyjęcie zaręczynowe! — Roześmiała się, rozłożyła ramiona i przeciągnęła się jak młoda kotka, ostrzająca pazurki na pniu drzewa Znalazłszy wolne miejsce między różami, oparła łokcie o balustradę.

— A ty nie chcesz brać w nim udziału. Jestem na ciebie zła! — Ale śmiała się w dalszym ciągu. Zjawy zniknęły i niezmacona radość połyskiwała złotem w jej źrenicach.

— Paolo ci się nie podoba, prawda? — zapytała w końcu.

Hrabina zerwała różę.

— Powąchaj, co za oszałamiający zapach.

Eleonora wzięła kwiat z jej dłoni i wetknęła w najwyższą dziurkę od guzika swojej sukienki.

— Dlaczego ci się nie podoba? Nigdy nie chciałaś mi powiedzieć Tamtego dnia, zimą, pamiętasz? Przyjechał tu swoim czerwonym bugatti, a ty na niego ledwo spojrzałaś. Traktujesz go jak jakiegoś prostaczka A ile razy o nim mówię, zaciskasz pogardliwie usta. Dlaczego?

— Nie wiem, jak możesz wychodzić za siostrzeńca biskupa.



— To nie wina Paola, że jego rodzina od zawsze należała do kręgów związanych z Watykanem odparła Eleonora ze śmiechem. — A poza tym. co w tym złego że jest siostrzeńcem biskupa? Poznałam jego wuja. To bardzo sympatyczny człowiek.

W alejce prowadzącej od malej bramy w głąb parku, wijącej się między żywopłotami i krzewami jarzębinowymi zaszurały powolne kroki, kobiety wychyliły się przez barierkę i zobaczyły starego Fronzę z gracją w dłoni. Wolną ręką wyrwał źdźbła trawy psujące kontury rabatek obrzeżonych niebieskimi lobeliami. Posuwał się przed siebie schylony. nierównym zmęczonym krokiem. W zniszczonym, dziurawym jak sito kapeluszu wyglądał jak żebrak A przecież, był jednym z najlepszych ogrodników w Toskanii. Ojciec Eleonory nie raz usiłował go ubrać w coś bardziej odpowiedniego dla służącego bogatego szlachcica. Fronza jednak wytrzymał w nowym ubraniu zaledwie parę godzin, po czym wracał do szopy z narzędziami i zakładał stare szmaty Nie rozmawiał z nikim, a może tylko z kwiatami i krzewami. Od kiedy, dwadzieścia lat wcześniej jego dwóch synów rozerwał pod Caporetto austriacki granat. Zginęli śmiercią bohaterów, ku chwale ojczyzny, jak głosił telegram. Niedługo po otrzymaniu tej wiadomości, żona starego Fronzy otruła się grynszpanem w szklarni, którą prowadzili we dwójkę. Dopiero kiedy hrabia Serpieri siłą sprowadził do swojego domu tego człowieka, który w wieku sześćdziesięciu dwóch lat wyglądał na starca. Fronza zaczął znów jeść i opiekować się po mistrzowsku wielkim parkiem. W niedzielne wieczory palił fajkę z jakimś tokańskim świństwem. Nigdy więcej się nie odezwał.

— Biedak — mruknęła Eleonora, śledząc wzrokiem niezgrabną po stać, oddalającą się pod gałęzie klonów.

W tej chwili z rozarium obok szklarni wyszedł mężczyzna. szedł niecierpliwie na ukos, przez rabatki, deptając zawijasy z werbeny i portulaki i skierował się w stronę starego kiedy wszedł w cień alejki, zgasty czerwonawe refleksy, które słońce rzucało na jego ciemne włosy i brązową marynarkę. Przyglądając gęste wywinięte do dołu wąsy zatrzymał się przed Fronzą.

Na wpół schowane między różami hrabina i Eleonora śledziły go w milczeniu. Coś w pośpiechu mężczyzny, w uległym oczekiwaniu starca sugerowało tajemnicę.

— Co ten mój ojciec wyprawia... — szepnęła Eleonora do ucha babki.

Kobieta ścisnęła jej dłoń, nakazując milczenie. Hrabia Saverio Serpieri grzebał gorączkowo w kieszeniach ogrodnika; ten nie protestował, pykając cygaro, które pan wcisnął mu w rękę. W końcu, niemal obrywając kieszeń, hrabia wyciągnął list. Stał daleko, schowany w fioletowym cieniu drzew, ale z jego gestów Eleonora wywnioskowała, że ojciec z trudem nad sobą panuje.



Rozdarł kopertę i zmiął ją w dłoni, czytając list. Wysoki, smukły, z szerokimi ramionami i płaskim brzuchem, czarnymi włosami i wąsami, hrabia Serpieri wciąż jeszcze był jednym z najbardziej atrakcyjnych mężczyzn z tokańskiej arystokracji. Stojąc tak pośrodku alejki, w wysokich hutach do konnej jazdy, wyprostowany, z głową chłopięcym ruchem odrzuconą do tyłu, wyglądał jak żywcem wyjęty z oleodruku pod tytułem List od kochanki. List musiał być krótki, ale wstrząsający, bo ledwie nań spojrzawszy. Saverio Serpieri rzucił go na ziemię. Zaczął deptać i kopać papier, wgniatając strzępy papieru w żwir; nie był w stanie przestać, ogarnięty tak typowym dla niego cichym atakiem furii. Stary Fronza obojętnie zarzucił gracę na ramię i zaczął się oddalać, ale hrabia dogonił go dwoma susami, złapał za łokieć i zaczął mówić mu coś do ucha. Słowa ginęły między klonami. Stary słuchał, kręcił głową, wiele razy powtarzając przeczący gest, jakby mówił, że nie, nie było niczego poza tym listem, nie ma po co nalegać.

Saverio Serpieri puścił go wreszcie; Fronza ruszył w swoją stronę, a hrabia stał, wpatrując się w kawałki papieru rozsypane po alejce. Pozbierał je jeden po drugim, gwałtownymi ruchami. Dopiero wtedy hrabina pociągnęła Eleonorę do tyłu i kazała jej iść za sobą do pokoju.

—Posłuchaj, ja... — Eleonora przyciskała dłonie do piersi, by uspokoić bicie serca. — Co to był za list?

Czuła się tak, jakby podglądała ojca przez dziurkę od klucza, odkrywając nowy niepokojący świat.

—Ty coś wiesz? — zapytała, przelękając ślinę.

Hrabina potrząsnęła głową.

—To jego sprawy.

—Ale jak to... jego! A Fronza? Jest jego posłańcem?

—Przecież widziałaś, prawda?

—Ten list... Fronza często nosi owoce do willi Gheraldich — szepnęła dziewczyna.

—Powiedziałaś, że to jego sprawy — powtórzyła babka.

—Myślisz, że to był list od Olghiny Gheraldi? Ty wiesz wszystko, prawda? Ta wywłoka i mój ojciec...

—Ćśśś! — przerwała jej hrabina, kładąc palce na ustach. Eleonora umilkła i zakryła usta dłonią. Stała tak długą chwilę, wstrzymując oddech, ale słyszała tylko cykady i wiatr.

—O co chodzi? — zapytała półgłosem. — Nic nie słyszę.

—To ja ciebie nie chcę dłużej słuchać — odparła hrabina. — Wszystko, co dotyczy Olghiny Gheraldi i twojego ojca, interesuje wyłącznie ich dwoje.

—Doprawdy! — zaprotestowała Eleonora z oburzeniem. — Przed chwilą sama chowałaś się za różami i podglądałaś.

Hrabina uśmiechnęła się tylko i odsunęła szufladę brzuchatej osiemnastowiecznej komody. Wyjęła z niej parę szarych pończoch i bieliznę z cieniutkiego jedwabiu.

—Idź już — zarządziła i zniknęła w sypialni. Eleonora zobaczyła w lustrze, że hrabina zatrzymała się przed wielkim portretem swojego męża, Jacopa. Dziewczynie wydało się, że babka wymamrotała coś pod nosem i nagle ogarnął ją niewytłumaczalny strach; poczuła się tak osaczona i przygnębiona, że o mało się nie rozpląkała.

—Co się dzieje? — szepnęła, przygryzając wargi. — Co się dzieje? I to właśnie dziś?

Hrabina wyszła z sypialni i podeszła do dziewczyny z niewielką szkatułką w dłoni. — Masz, to dla ciebie. Możesz ją założyć na przyjęcie zaręczynowe. Była to broszka wykonana przez Alfreda Van Cleefa i braci Arpels. Na ciemnym zielonym aksamicie spoczywało maleńkie winne grono z białych i szarych pereł różnej wielkości; ogonek i liście, zrobione ze złota i srebra, usiane były brylancikami.

— Dla mnie? — zapytała bez tchu Eleonora, otwierając szeroko oczy.

— Dla ciebie.

— Na dzisiejszy wieczór?

— Na zawsze — odparła hrabina, zamykając szkatułkę w jej dłoniach. — Na zawsze, moja droga. Jest twoja. —I wypchnęła dziewczynę z pokoju.

— Tak, pamiętam ją, kupił ją jej mąż, kiedy pojechał do Paryża. Wrócił z tą broszką. Ja byłam wtedy świeżo po ślubie.

— Przepiękna, prawda?

— Mąż przez cały czas obsypywał ją wspaniałymi klejnotami. W ten sposób ją zdobył.

— Jak to, w ten sposób? A poza tym, skąd to wiesz? Ona ci to powiedziała? Matka Eleonory pokręciła głową.

— Ona? Nie. Wiem to od teściowej. Jacopo Serpieri kompletnie stracił głowę, ale twoja stryjeczna babka wciąż go odpychała. Podarował jej więc bransoletę godną królowej. Wygląda na to, że znęcona tym cackiem ze złota i klejnotów od razu powiedziała „tak”.

— Nie wierzę! Babcia na pewno nie sprzedabyła się w ten sposób.

—Zechciej łaskawie odpowiadać trochę grzeczniej — skarciła ją matka lodowatym tonem. — Nie jesteś chłopską córką. Czy to jasne?

Eleonora opanowała się, tylko niewielka zmarszczka między brwiami zdradzała dobrze ukrytą chęć buntu.

—Tak. wybacz. Chciałam tylko powiedzieć, że babcia chyba kochała swojego męża. prawda?

—W młodości była chciwa. Na starość zrobiła się skąpa.

—Ale przecież podarowała mi broszkę — nalegała Eleonora, starając się nie podnosić głosu.

— Też mi coś. Najwyższy czas, żeby podarowała ci coś przyzwoitego — padła odpowiedź. — Do dzisiaj twoja babka nie dała ci nic. poza złotymi łańcuszkami, odpowiednimi raczej dla subretki. — Eleonora musiała z niechęcią przyznać matce rację. Była jedyną stryjeczną wnuczką Adelaide Serpieri i do dzisiejszego dnia dostała dwa łańcuszki, a dokładniej

dwa wisioriki — jeden z wygrawerowanym imieniem „Eleonora”, a drugi w kształcie serduszka, zawieszony na skromniutkich łańcuszkach. Pierwszy babka podarowała jej na dwunaste urodziny, drugi na Boże Narodzenie, przed trzema laty. A przecież było wiadomo, że w sejfie wpuszczonym w ścianę i zamykanym na skomplikowane zamki babka przechowywała skarby. Od czasu do czasu rozkładała wszystkie szkatułki i futerały na stole i otwierała jeden po drugim, urządzając paradę drogocennych kamieni. Kontemplowała je długo, jedną dłonią podpierając podbródek, a w palcach drugiej trzymając papierosa, na którego pozwalała sobie przy wyjątkowych okazjach.

Patrząc na winne grono z pereł, leżące na prostokątnej aksamitnej poduszeczce, Eleonora westchnęła. —Co znowu? — Matka rzuciła jej ostre spojrzenie w lustrze, przed którym siedziała. Miała dziwne oczy, wąskie i wydłużone. Były tak jasnoniebieskie, że wydawała się niemal ślepa. — Co ci się znowu stało, że wzdychasz w taki sposób? — zapytała, nie wyjaśniając, co właściwie znaczy „taki sposób”. Może jak komediantka albo ofiara losu. Kto wie?

— Nic — odparła grzecznie Eleonora. Zamknęła powoli szkatułkę. Wydało jej się, że klejnot stracił nagle cały blask.

Nie pytając o nic więcej, Gisla Serpieri zaczęła masować sobie twarz, od czoła w kierunku skroni. Nazywano ją młodą hrabiną Serpieri, dla odróżnienia od hrabiny Serpieri toul court, czyli żony Jacopa. Stryjecznej babki Eleonory. Imię Gisla miało być prawdopodobnie zdrobnieniem od Gisela. Pochodziła z rodu Recamier, ale jej matka była Węgierką. Nikt nie wiedział, ile ma lat, ale nie wyglądała na więcej niż na trzydzieści pięć. Na jej twarzy, w tej chwili błyszczącej od tłustego kremu, nie było ani jednej zmarszczki. Siedziała przy toalecie — prawdziwym cacku z lakierowanego drewna bogato zdobionego intarsjami, z wielkim owalnym lustrem. Na blacie z różowego marmuru pełno było słoiczków i flakoników, poustawianych w równiutkie rzędy, jak szeregi pruskiej armii. Z boku stały dwie duże butelki francuskich perfum, jakby drwiąc sobie z przepisów, które zakazywały sprowadzania jakichkolwiek zagranicznych towarów.

—Byłaś u fryzjera?

—Tak.

—Gdzie?

—W Livorno. Tam gdzie zwykle.

— Kiedy? — Matczyna troska Gisli przypominała raczej policyjny dozór; każde pytanie miało sprowokować przyznanie się do jakiegoś braku, błędu czy winy. — Kiedy? Chyba nie dzisiaj.

— Ależ tak, dziś rano. Tak jak mnie prosiłaś.

— Kazałaś się ostrzyc?

—Oczywiście — odparła Eleonora. Czy naprawdę po jej włosach nie widać było, że spędziła ponad dwie godziny w dusznym zakładzie fryzjerskim? Oderwała oczy od dywanu i jeszcze raz spojrzała w lustro, ale nie widziała swojej twarzy, przesłoniętej twarzą matki. Teraz Gisla masowała kolistymi ruchami policzki. Musnęła palcami krótki prosty nos, gęste, idealnie wydepilowane brwi, owalne i nieodgadnione czoło, a w końcu usta o nieruchomych wargach, zaciśniętych w wiecznym grymasie dezaprobaty. Być może one właśnie nadawały jej twarzy wyniosły wyraz. Bo poza tym Gisla wyglądała na młodą dziewczynę; dziewczęca była również jej zwiewna figura. Trzymała się tak prosto, że fałdy szlafroka z surowego, białokremowego jedwabiu opadały równo na obity niebieskim brokatem puf.

— Jesteś taka piękna — wyszeptała Eleonora. — Naprawdę — dodała, kiedy matka uniosła brwi, jakby w życiu nie słyszała czegoś równie głupiego. Nie uśmiechnęła się i nie odpowiedziała, zaczęła tylko w pośpiechu ścierać krem z twarzy, zużywając całe góry płóciennych chusteczek — niecierpliwie wyciągała jedną po drugiej z szuflady i zużyte wrzucała do koszyczka z laki.

— Koniec przedstawienia! — oznajmiła w końcu. Energicznym pchnięciem zamknęła szufladę i odwróciła się do Eleonory. — Jak długo zamierzasz tu stać?

Eleonora roześmiała się niepewnie.

— Chodzi o to, że ile razy na ciebie patrzę, nie mogę oderwać oczu. Tak bardzo chciałabym być podobna do ciebie. — Dobrze wiesz, jaka jesteś — odcięła się Gisla. Jej oczy zlustrowały twarz i sylwetkę córki. Trwało to ułamek sekundy, ale wystarczyło, by zmieszana Eleonora poczuła, że ma drewnianą twarz, za duży biust, zbyt okrągłe biodra, nie mówiąc już o pupie, o której nie odważyła się nawet pomyśleć. Stała jak na rozżarzonych węglach. — Nie założyłaś halki. — To był jedyny komentarz matki.

— Gorąco dzisiaj... — Dziewczyna odkleiła jedwabną sukienkę od ciała, by materiał nie podkreślał krągłości. Dałaby wszystko, by być taka jak matka: delikatna, zwiewna, wyrafinowana. Gisla nawet w worku wyglądałaby jak dama.

— Idź się przygotować. Na co czekasz? — Gisla zerknęła na zegar z wahadłem. — Za dwie godziny, o ósmej, zaczną przyjeżdżać pierwsi goście. Chyba nie chcesz się spóźnić.

— Nie.

— Wykap się porządnie.

— Tak.

— Nie maluj się za mocno.

— Nie, ja...

— W co się ubierzesz?

— Ależ mam... W sukienkę od Bikiego. Tę nową, którą kupiliśmy we Florencji! — wykrzyknęła skonsternowana Eleonora. Przecież w zeszłym tygodniu pojechały po tę sukienkę; czy matka tego nie pamięta?

Gisla zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem po pokoju. Węzeł czarnych włosów, opadających nisko na jej kark, rozsypał się nagle; bezlitosne palce upięły go pospiesznie szpilkami w ciasny kok.

Ściągnięte włosy odsłoniły kości policzkowe i uszy, przez co jej twarz wydała się jeszcze delikatniejsza. Eleonora rozmarzyła się — gdybyż choć odrobinę przypominała matkę, gdyby była taka jak ona, gdyby miała taki urok, taką wyniosłą chłodną postawę...

— Widziałas ojca? — zapytała Gisla, przerywając jej rozmyślenia. Eleonora przypomniała sobie spotkanie ojca z ogrodnikiem w parku i list.

— Nie — odpowiedziała pospiesznie. — Nie wiem, gdzie jest — dorzuciła. Była pewna, że matka wie o jego zdradzie. Na widok jej niewzruszonej twarzy poczuła ucisk w sercu. Kochała ją w tej chwili mocniej niż kiedykolwiek. Podeszła bliżej, ale nie odważyła się jej objąć. Gisla, nie patrząc jej w oczy, nadstawiła policzek. Eleonora musnęła go wargami i wyszła z pokoju. Ledwie drzwi zamknęły się za córką, Gisla westchnęła ciężko, jakby uwolniona od ciężaru. Podeszła do drzwi, nasłuchując. Kiedy kroki Eleonory ucichły w głębi korytarza, dwukrotnie przekreśliła klucz w zamku. Podeszła do zegara z wahadłem. Otworzyła boczne skrzydło drzwiczek i sięgnęła do środka; wyciągnęła butelkę fernetu i odkorkowała z furją. Przetarłszy niecierpliwie szyjkę, przyłożyła ją do ust i odchyliła głowę do tyłu.

— Gdzie Maria? — Eleonora rozejrzała się po pokoju kredensowym. — Już po szóstej, muszę się przygotować. Gdzie ona się podziała?

Dwie kobiety układały równiutko wysokie sterty obrusów i serwetek na ogromnym stole pod ścianą. Starsza, ochmistrzyni willi Serpieri, miała zaczerwienione oczy. Młodsza, niedawno zatrudniona pokojówka z ciężkim warkoczem owiniętym kilka razy wokół głowy, wyglądała na przerażoną. Żadna nie odpowiedziała.

—O co chodzi? — zapytała Eleonora, podchodząc bliżej. — Co się stało, Caterino? Płakałaś?

—Przez Marię — wymamrotała ochmistrzyni. Łzy znów popłynęły jej po policzkach. — Przyszli i ją zabrali.

—Marię?

—Tak.

—Kto? Kto ją zabrał?

—Zdaje mi się... — kobieta zawahała się — ...zdaje mi się, że policja... jak to ją nazywają? Policja polityczna.

—Co ty opowiadasz? Policja? — zdumiała się Eleonora.

—To prawda — wtrąciła się młoda pokojówka. Silny południowy akcent dziewczyny wyostrzał jeszcze zdenerwowanie. — Przyjechali nie tak dawno, i Maria, jak ich zobaczyła, zrobiła się blada, biedziuteńka. O, taka! — Wskazała stos śnieżnobiałych obrusów. Ochmistrzyni rozszlochała się na dobre, zakrywając dłońmi twarz.

—I co? — ponagliła Eleonora.

—Nic — wyjąkała pokojówka. — Wzięli ją, jeden z tej, drugi z tej i poszła z nimi. Zniknie i ona, jak inni. Oni tak robią. Przychodzą po ludzi, zabierają, i do widzenia. Ginie po nich wszelki słuch.

—Zabrali... ale dlaczego? Co zrobiła?

Ochmistrzyni wzruszyła ramionami i głośno wydmuchała nos. —Ja myślę, że to przez jej męża, wie pani. Jego aresztowali miesiąc temu — odparła, składając chusteczkę.

— No właśnie, ja tego też nie rozumiem. Co takiego zrobił ten jej mąż?— wydukała młoda pokojówka, przeciągając wyraźnie każde „o” — Cóż on przeskrobał ten mąż?

— Coś... nie wiem... jakieś polityczne sprawy mruknęła ochmistrzyni.

— A co ma z tym wspólnego Maria? — rzuciła gniewnie Eleonora. — A mój ojciec? Nie było go? Nie próbował ich powstrzymać? Co na to powiedział?

— Pan hrabia powiedział im, żeby się pospieszyli i nie robili zamieszania. A potem sobie poszedł. Powiedział, że jest zajęty. Maria siedziała już w samochodzie. Postawili samochód tu, z tyłu, koło pergoli.

— Ja byłam na górze, u babci... niczego nie słyszałam.

— Och, byli bardzo... bardzo... no, żadnego zamieszania. Czterech panów w ciemnych ubraniach, eleganccy, w kapeluszach. Ja bym się nigdy nie domyśliła, że to z policji.

— Dwóch jest jeszcze na górze — dodała młoda pokojówka, wskazując palcem na sufit. — W pokoju Marii.

Eleonora oparła się o stół.

— W pokoju Marii?

— Tak. Powiedzieli, że muszą przejrzeć jej rzeczy. Nie wiem, może czegoś szukali — odparła ochmistrzyni. — Już jej nie zobaczymy. Biedna Maria — westchnęła.

Ale Eleonory nie było już w pokoju. Biegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

Kiedy dotarła na ostatnie piętro, serce podeszło jej do gardła. Poddasze w tym skrzydle willi było przeznaczone dla służby; pokój Marii znajdował się na końcu krótkiego dusznego korytarzyka, oświetlonego szeregiem ukośnych okienek, przez które wpadało popołudniowe słońce. Drzwi pokoju były otwarte na oścież. Eleonora zatrzymała się w progu. Szła tak cicho, że dwaj mężczyźni nie od razu ją zauważyli.

Wyższy z dwójki stał plecami do niej, szczupły, w eleganckim, jasnym ubraniu i w kapeluszu. W lewej ręce trzymał zapalonego papierosa, żarem w kierunku dłoni, jak na deszczu albo silnym wietrze. Drugi, krępy, grzebał schylony w szufladach komody. Pokój z żelaznym łóżkiem, ozdobionym haftowaną w ludowe wzory narzutą, był skromnie umeblowany i czysty. Na parapacie, na tle nieba stały cztery doniczki z geranium.

— Tu też nic nie ma — powiedział krępy mężczyzna.

— Ostatnia szuflada — rozkazał drugi. Miał głęboki przyjemny głos, bez żadnego wyraźnego akcentu.

— Czego tu szukacie?

Mężczyźni odwrócili się.



— Mogę spytać, co tu robicie? — Zmusiła się, by przybrać wyniosły ton, którego jej matka używała zwykle w rozmowach ze służbą. Udało jej się doskonale.

— A pani kim jest? — zapytał wyższy mężczyzna po chwili ciszy. Eleonora machnęła ręką przed twarzą.

— Nie toleruję dymu.

Mężczyzna zdjął kapelusz. W jego lodowatych oczach błysnął uśmiech.

— Córka hrabiego Serpieri, jak sądzę. — Poszedł do komody i zgasił papierosa w popielnicze. — Ja jestem komisarz Corbini.

Przysadzisty typek nie zdjął kapelusza. Z rękami opartymi na biodrach przyglądał się Eleonorze. Dziewczyna jednak nie zwracała na niego uwagi; to ten drugi był tu ważniejszy.

— Czego szukacie? — zapytała.

— To tylko zwykła rewizja, proszę pani.

— Rewizja? Po co?

Mężczyzna uśmiechnął się, nie odpowiadając, pochylił się tylko w lekkim ukłonie. Eleonora postąpiła krok do przodu.

— A mogę się przynajmniej dowiedzieć, czego chcecie od mojej pokojówki? Dlaczego ją zabraliście?

— Pani ojciec został już o tym powiadomiony, panienko — odpowiedział niegrzecznie niższy mężczyzna takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „Pilnuj swego nosa, smarkulo”.

Komisarz rzucił mu lodowate spojrzenie.

— Proszę wybaczyć kłopot, ale dostaliśmy szczegółowe rozkazy — dodał.

— Pani służąca jest żoną Carlina Sivieri, wywrotowca — warknął grubas. — Nie wystarczy?

— I co z tego? — odparła Eleonora, ale jej serce zaczęło bić szybciej, a dłonie zwilgotniały ze strachu. Komisarz Corbini obserwował ją w milczeniu. Odpowiedział ten drugi:

— Jak to, co z tego? Panienka udaje głupią? Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby żona nie wiedziała, co robi mąż. Żona wie wszystko. — Włożył palec do ucha i potrząsnął nim gwałtownie, jakby chciał je przetkać.

— Nie rozumiem, w czym zawiniła moja pokojówka?

— Wiedziała, nie?

—Ale znaleźliście tu coś?

—Guzik znaleźliśmy! — odpysknął tłścioch. — Guzik z pętelką. I co z tego?

—Aha. to znaczy, że jeśli mąż robi coś złego, trzeba aresztować i żonę? — odcięła się Eleonora.

— Pani chce z nas zrobić... głupków czy co? — szczeknął grubas. — Jeśli pani ma ochotę ze mną podyskutować, to proszę uważać, bo... Komisarz powstrzymał go kolejnym spojrzeniem.

— Dosyć, Damiami. Wystarczy.

— Skoro skończyliście, możecie już chyba iść — odparła lodowato Eleonora, choć drżały jej kolana. — Dziś wieczorem świętujemy moje zaręczyny. Zostałam pozbawiona pokojówki, a obecność w domu osób szperających po kątach i to właśnie dziś... Idę po ojca. Jestem pewna, że ma na ten temat takie samo zdanie jak ja, i poprosi was o opuszczenie domu.

—Już idziemy, droga pani — powiedział komisarz. Pstryknął palcami, jakby przywoływał psa, każąc temu drugiemu iść za sobą. Eleonora odsunęła się, by ich przepuścić. Komisarz zatrzymał się tuż przed nią i na długi moment wbił wzrok w jej oczy. W końcu skinął głową, założył kapelusz i odszedł. Eleonora weszła do pokoju i usiadła na skraju łóżka. Odczekała chwilę, aż umilkły kroki; słychać było już tylko gruchanie gołębi pod okapem dachu. Dopiero wtedy wstała i podeszła do szafy. Wracając do swojego pokoju, ścisnęła w dłoni drewnianą szkatułkę, przewiazaną czerwoną wstążką. Weszła do łazienki, zamknęła drzwi na klucz i puściła do wanny ciepłą wodę. Usiadła na brzegu. Niecały miesiąc wcześniej, kiedy weszła na poddasze, szukając Marii, zastała ją z tą samą szkatułką w rękach.

— W środku są bardzo ważne rzeczy — wyjaśniła dziewczyna z tajemniczą miną, a przynajmniej tak się wtedy Eleonorze wydawało. Maria ukryła szkatułkę w szafie, za stosem fartuszków.

Teraz, otwierając skrzynkę, Eleonora była tak zdenerwowana, że wieczko zostało jej w dłoni, a zawartość wysypała się na podłogę: dwa listy, dwie pocztówki i fotografia. Listy i pocztówki napisane były tą samą, mozolną kaligrafią, pełne błędów, ale Eleonora nie śmiała się, choć „miłość” zgubiła „ć”, a „kochanie moje” zlało się w jedno słowo. Z małego zdjęcia, na którego odwrocie wypisano drukowanymi literami Z wyrazami wiecznej miłości — na zawsze twój Carlino, sam Carlino Sivieri spoglądał na nią lekkim zezem spod strzechy nastroszonych włosów.

I to wszystko, wszystkie tajemnice Marii. Nic więcej. Żadnej polityki, żadnych kompromitujących dokumentów. Dwa listy miłosne, dwie pocztówki i zdjęcie. Maria bardzo kochała męża. Kiedy go zabrali, zostało jej po nim tylko to.

Eleonora pośpiesznie włożyła te relikwie do szkatułki, umocowała wieczko najlepiej jak umiała i ukryła w swoim pokoju, w szufladzie sekretarzyka.

Ponieważ Marii nie było, ktoś inny — być może pokojówka matki — rozłożył na łóżku sukienkę, którą Eleonora miała dziś założyć powiewną, w kolorze seledynu tak bladego, że prawie białego, ozdobioną drobnym haftem wokół dekoltu i na brzegach. Jeden z domowych kotów rozłożył się na środku łóżka i wpatrywał się w dziewczynę nefrytowymi ślepiami, jakby mówił: „Tylko spróbuj mnie przepędzić!”. Eleonora odwróciła się do niego plecami i pobiegła do łazienki, w samą porę, by zakręcić kran. Wrzuciła do wody garść pachnącej soli.

Zanurzona po szyję, z zamkniętymi oczami, postanowiła myśleć tylko o Paolu. Spróbowała przywołać jego twarz, wyobrazić go sobie, jak siedzi za kierownicą swojego bugatti albo jak idzie w jej stronę, machając ręką, z drugą w kieszeni. Pocałowali się tylko dwa razy — teraz chciała przypomnieć sobie dotyk jego warg. Ale wyobrażenia i pamięć nie chciały jej pomóc, rozkojarzone, zajęte słowami babki, obrazem zimnej twarzy matki, eleganckiego mężczyzny i jego krótkonogiego sługusa w pokoju Marii.

Eleonora westchnęła smutno. Co się dzisiaj dzieje? — pomyślała. — Co się dzieje, i to właśnie dzisiaj, w dniu moich zaręczyn?

Pod czarnym bezgwiezdnym niebem, z cienia rzucanego przez laurowy żywopłot wyłoniła się kobieca postać. Pośpiesznie ruszyła na łękę, unikając plam światła, rzucanych na trawę przez okna willi. Zwiewna i jasna pokonała w ciemności otwartą przestrzeń i zniknęła w lesie, jak kometę, która przecina nocne niebo i rozplywa się w nicłość.

Mężczyzna westchnął. Stał oparty o balustradę balkonu na pierwszym piętrze. W milczeniu śledził wzrokiem tę niewyraźną postać od chwili, kiedy się pojawiła. Teraz widział przed sobą tylko ciemność. Za jego plecami lampy w salonie rozsiewały spokojny blask. Z sal na parterze falami dobiegały odgłosy przyjęcia. Do jego uszu docierała przytłumiona muzyka i szmery rozmów, z tego tła wybijały się od czasu do czasu wybuchy kobiecego śmiechu, niczym plusk wartkiego strumienia. Ale chwilami podmuchy wiatru pachnącego wilgotną ziemią i piżmem uciszały ha/as, porywając go w inną stronę. W tych krótkich momentach ciszy powietrze wypełniało się tajemniczym szepceniem nocy sekretnym szmerem niewidzialnych liści, poruszanych wiatrem gdzieś w dole, gdzie mrok był jeszcze gęstszy.

—A co ty tu robisz, całkiem sam?

Mężczyzna drgnął i odwrócił się. Miał około dwudziestu lat. Jego twarz byłaby nawet przystojna, gdyby nie zniekształcał jej jakiś nieuchwytny, gorączkowy i nieprzyjemny wyraz, gdyby ust nie wykrzywił sardoniczny gnmas. Dziewczyna oparta o futrynę drzwi balkonowych uśmiechnęła się do niego.

— Smutno ci? — Podeszła do niego. Rozsiewała wokół siebie zapach konwalii. — Dlaczego wzdychałeś? Słyszałam. — Wsunęła dłoń pod jego ramię. — O czym rozmyślałeś, patrząc w gwiazdy? O kim?

— Jakie gwiazdy, Adele? Widzisz jakieś gwiazdy? — odburknął niegrzecznie, odsuwając się. — Dziś nie ma żadnych gwiazd. Zbiera się na deszcz. — I wszedł do domu.

Adele poszła za nim. Była pewna siebie: uważała się za piękną, była młoda, bajecznie bogata, a oprócz tego należała do jednej z tych neapolitańskich rodzin, które dzięki skomplikowanej sieci paranteli od wieków wydawały na świat tylko książąt, a w najgorszym wypadku markizów.

Podeszła do młodzieńca, wyglądając na biodrach błyszczący amarantowy materiał, który ciasno opinał jej ciało.

— Jak ci się podobam? — spytała, ale nie czekała na odpowiedź: — Ty jesteś dzisiaj prześliczny, Jacopo, ale wolę cię, kiedy gramy w tenisa — szepnęła mu namiętnie do ucha.

— Daj spokój! — chłopak odwrócił się od niej niecierpliwie. Usiadł w głębokim fotelu i zapatrzył się w wiszący naprzeciwko obraz — burzliwy pejzaż ze szkoły Giorgione — jakby nigdy wcześniej go nie widział. — Brakuje ci kobiecości — wypalił. Dziewczyna nie straciła rezonu. Schylając się, wyciągnęła mu z kieszeni papierosnicę i zapalniczkę. Usiadła

na białej kanapie, ozdobionej bladymi złoceniami. Założyła nogę na nogę, śmiało ukazując jedwabne pończochy.

— A co to według ciebie jest kobiecość? — zapytała, kiedy zapaliła papierosa. Wydmuchnęła w powietrze teatralnie cienką strużkę dymu.

— Na pewno nie jest nią sposób, w jaki rzucasz się na mężczyzn.

— Nie na mężczyzn, na ciebie. Znamy się już dość długo, Jacopo.

Chłopak wzruszył ramionami. Zaczął szukać czegoś pod poduchą fotela; wyciągnął książeczkę o wyświechtanych stronicach i zaczął czytać.

— Jakiś erotyk? — zapytała po chwili. Spiorunował ją spojrzeniem swoich zimnych błękitnych oczu.

— No więc, co?

Powoli odwrócił kilka stron. W końcu zaczął czytać:

*Ay que t raba jo me cuesta*

*ijitererte como te quiero!*

*Por ta amor me duele el aire*

*el corazón*

*y el sombrero.*

—Co to?

—To po hiszpańsku.

—Pierwsze słyszę.

—Nie znasz Lorki?

Dziewczyna skrzywiła usta, zaciągając się papierosem.

—Nie wydaje mi się.

—Dokładnie rok temu, dziewiętnastego sierpnia 1936 roku Federico Garcia Lorca został rozstrzelany w Granadzie przez faszystów generała Franco. Te bestie zamordowały największego hiszpańskiego poetę.

—Bestie? — ziewnęła Adele, ani trochę niewzruszona. — Posłuchaj sam siebie, Jacopo, przecież nawet tu, w sali na dole, między gośćmi, jest jeden urzędnik rządowy, podsekretarz. A mąż mojej kuzynki, tej karlicy zakutanej w czerń, został zestrzelony ze swoim samolotem właśnie w Hiszpanii. Mussolini osobiście wręczył jej złoty medal, by uczcić

jego pamięć. — Ziewnęła jeszcze raz i schyliła się, by skontrolować szew pończochy. Wyrównała go precyzyjnymi dotknięciami pomalowanych paznokci. — Chyba coś sobie przypominam. Ten twój Lorca nie był przypadkiem homoseksualistą? — zakpiła.

—Jesteś głupia jak...

—Adele, Jacopo! Co wy tu robicie? — Stojąca w progu dama w sukience z popielatej krepy rzuciła im zza okularów gniewne spojrzenie.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

—Nie widzisz, ciociu? — Wstała z kanapy, poprawiając włosy. — Niby co mielibyśmy zrobić z Jacopem? Nic a nic — syknęła, mijając chłopaka w drodze do drzwi.

Muślinowe zasłony wyduł nagły powiew wiatru. Drzwi balkonowe uderzyły o ścianę.

— Zamykaj, szybko. Rusz się, bo wiatr... — rozkazała kobieta. Jacopo spełnił polecenie, ale zatrzasnął drzwi z takim impetem, że sam o mało nie potłukł szyb. — Ty i te twoje humory — obruszyła się kobieta. — Szukam Eleonory. Gdzie jest? — Zapytała surowo.

—Eleonora?

—Nie patrz na mnie jak głupi. Pytam, gdzie jest Eleonora. Paola też nie ma.

—A skąd ja mam niby wiedzieć? — wypalił Jacopo, ale opuścił powieki, jakby chciał ukryć pod nimi obraz jasnej postaci kobiecej. Wydawało mu się, że widzi ją znowu, jak przecina łąkę i znika w mroku nocy, w lesie. I znów poczuł gorycz i niewytłumaczalny gniew. By ukryć swój sekret, uśmiechnął się szyderczo. — Skąd mogę wiedzieć, gdzie jest Eleonora? Zawsze muszę wiedzieć? Czyż jestem stróżem mojej siostry? — wypadł z pokoju.

Adela czekała na niego u szczytu kręconych schodów. Wzięła go pod ramię i razem zeszedli po szerokich schodach przesadnie powolnym, dosfojnym krokiem.

W salonie, po obu stronach szeroko otwartych drzwi, stały dwie wazy z majoliki z ogromnymi bukietami białych róż. Pod żyrandolami z czeskiego kryształu, które kosztowały fortunę, grupki gości rozpraszały się i znów zbierały w innej konfiguracji. W sali panował nieustanny ożywioin ruch. Torując sobie drogę pomiędzy nagimi ramionami kobiet i frakami mężczyzn, Jacopo spojrział na sufit, gdzie — drwiąc z przepychu strojów pod sobą — goniły się nagie różowawe stworzenia; nurkował między girlandami ciągnącymi się między narożnikami fresku liczącego sobie cztery wieki. Ze swojego zwykłego miejsca nad drzwiami na taras spoglądała na niego sylfida; na wpół odwrócona odsłaniała piersi, wyłaniające się z gęstwiny bluszczu. Od zawsze mrugała do niego porozumiewawczo, z dwuznaczną miną.

—Co tam? — Idąca u jego boku Adele podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zauważyła postać z fresku. — Jest podobna do twojej siostry. Eleonory.

—Idiotka — odparł Jacopo, ale tak, by go nie usłyszała. Przesunął dłonią po czole, po skroniach zmaltretowanych migreną, i z Adele uwieszoną u ramienia zaczął przedzierać się przez tłum, duchotę, przez hałas rozmów, strzępków zdań, urwanych słów, śmiechów zawisających w powietrzu między falami walca, granego przez niewielką salonową orkiestrę.

Osaczony zapachami perfum, spojrzeniami spod matowanych powiek, wargami błyszczącymi od krwawoczerwonych szminek, lakierowanymi paznokciami na kryształowych nóżkach szampanek, klejnotami lśniącymi na szyjach i biustach, Jacopo schronił się wreszcie pod ścianą. Przywarł plecami do gładkiej tapety w kolorze wodnistego błękitu, między szesna-stowieczną serwantką pełną czeskiej porcelany a kardynalską kanapą, na której plotkowało kilka dam.

—Pijesz, prawda? — Adele wcisnęła mu do ręki kieliszek porwany z tacy, którą trzymał nad głową kamerdyner w białych rękawiczkach.

Dziewczyna opróżniła kieliszek, jakby był pełen lemoniady, po czym natychmiast wyruszyła w poszukiwaniu kolejnego. Jacopo pił małymi łykami, błędząc gorączkowym spojrzeniem między ludźmi. Uspokoił się dopiero, kiedy na drugim końcu rozległego salonu dostrzegł jasne krótkie włosy, okalające roześmianą twarz. U boku swojego świeżo upieczzonego narzeczonego — zdaniem Jacopa łajdaka spod ciemnej gwiazdy — zjawiała się Eleonora.

Jacopo zostawił Adele i szampana. Rozpychając się niemal, zaczął torować sobie drogę; w końcu ominął grupkę osób podziwiających obraz Corota, ozdobę kolekcji, która zajmowała dwie ściany salonu.

—Gdzie byłeś do tej pory? — szepnął do ucha siostry.

—Ja? — Eleonora odwróciła się do niego ze śmiechem. — Ja?

—Ależ tak, ty. Nie było cię całe wieki — nalegał Jacopo, dostrzegając blask jej oczu i wypieki na bladej twarzy. — Gdzie?

—W lesie, z Paolem — odszepnęła wesoło Eleonora, jakby dzieliła się z nim radosną tajemnicą. — Robiłam okropne rzeczy! A gdzież miałam być?

—Wszyscy cię szukali — jęknął Jacopo.

—Jacy wszyscy? — Eleonora na powrót obojętna i daleka wsunęła pod ramię narzeczonego dłoń, na której połyskiwał pierścionek z szafirem i odpłynęła tanecznym krokiem, ledwie dotykając stopami arabesek dywanu. Kiedy weszli do sali balowej, orkiestra zaczynała właśnie grać tango. Paolo objął Eleonorę w tali i ruszył z nią do tańca. Oboje świetnie tańczyli — sunęli po parkiecie, piękni i szczęśliwi, pomnożeni w nieskończoność przez odbicia luster na ścianach. Paolo szeptał coś, a Eleonora śmiała się, opierając głowę o jego ramię.

—Cudowna para, wspaniałe zaręczyny i co za bogactwo! — wykrzyknął jakiś przysadzisty grubas we fraku. Zwrócił się do Jacopa, chuchając mu w twarz alkoholem i drapiąc się po faworytach. Całe lata obżarstwa, góry pochłoniętych przepiórek, pasztetów, kawioru i niezliczone litry burgunda zostawiły wyraźne ślady na jego zniszczonej twarzy. — Cóż za

przepych, prawda? — pytał, ignorując fakt, że Jacopo był tu we własnym domu, i celując w niego nosiskiem przeżartym kokainą. — Napijemy się razem? — Mrugał okiem i marszczył twarz, uśmiechając się do tego ładnego i smutnego chłopca. Jacopo odwrócił się od niego i zaczął przeciskać między gośćmi w kierunku sali z bufetem. Minął ogromną wystawę dań, stopy porcelanowych talerzy w kolorach kości słoniowej i złota, sztucców ze starego srebra, minął gorące napoje, soki, lody i zatrzymał się iv końcu przed całym plutonem butelek, obleżonym przez bezładną masę kieliszków: pustych albo opróżnionych do połowy.



Ktoś go potrafił. Odwracając się, Jacopo o mało nie wylał zawartości kieliszka, który właśnie mu napełniono. Stał twarzą w twarz z Olghiną Gheraldi. Kochanką ojca.

— Och, proszę wybaczyć... — wybełkotał. Byli w tym samym wieku i jeszcze niecałe pięć lat temu giywali razem w tenisa. Teraz się nie cierpieli. Olghina spojrzała na niego drwiąco; piękna, w krótkiej ekstrawaganckiej kreacji z łódkowatym dekoltem i krótkimi bufiastymi rękawkami. Sięgający do pól łydki materiał opinał ją ciasno. Nogi miała bezwstydnie gołe. błyszczące od olejku i bardzo opalone; stopy z amarantowymi paznokciami obute były w złote sandałki.

— I co? Jak ci się podobam? — zadrwiła Olghina. Jacopo czym prędzej odwrócił wzrok. Nienawidził jej. Nienawidził tych jej pełnych ust, bezczelnych oczu, płaskich loczków na dumnie uniesionej głowie.

—Nalej mi czegoś do picia — rozkazała mu.

— Od tego jest kamerdyner — odwarknął Jacopo, błyskawicznie dochodząc do siebie po chwili zmieszania.

—Jak zwykle gbur — roześmiała się pogardliwie Olghina.

—Lepiej być gburem, jak ja, niż dziwką, jak ty — odgryzł się chłopak.

Olghina nawet nie mrugnęła okiem. Piła spokojnie szampana.

—Słyszałaś mnie? Słyszałaś, co ci powiedziałem? — syknął jadowicie Jacopo.

—Doskonale — odparła Olghina. Odstawiła kieliszek i spojrzała chłopakowi w oczy. — Lepiej być dziwką, jak ja, niż zabawiać się ze sobą, jak ty. Widziałam cię, wiesz? W tamtych krzakach! — I odeszła, pod ramię z jakimś wysokim, opalonym jak ona chłopakiem, zostawiając Jacopa bez tchu, z płonącymi uszami i kłębowiskiem żmij pod czaszką.

—Przepraszam, paniczu... —Giovanni, stary lokaj matki przesunął się nagle obok niego, napełnił puchar, stojący na tacce, którą trzymał w lewej ręce i ruszył szybko w swoją stronę, zręcznie lawirując między gośćmi.

Gisla Serpieri stała przy oknie. Jedną ręką opierała się o parapet, a drugą niepewnie poprawiała brylantowy diadem, który ścisnął jej czoło.

—Pani hrabino, pani szampan — mruknął Giovanni. Gisla powoli wzięła kieliszek z tacy. Jej sztywny chłód wszystkim wokół wydawał się jedynie przejawem elegancji, może wręcz zbyt surowej. Ale Giovanni przyjechał za swoją panią z zameczku pod Turynem, gdzie mieszkała,

zanim wyszła za męża. Znał ją od zawsze. Wiedział, że te oszczędne ruchy mają ukryć fakt, że z godziny na godzinę jest coraz bardziej pijana.

—Proszę wybaczyć, pani hrabino, ale teraz już wystarczy — wymamrotał cichutko, stojąc za plecami pani. Tylko ona go słyszała, opróżniając z zamkniętymi oczami kieliszek. — Wystarczy, proszę pani. — Ale kiedy Gisla odwróciła się w jego stronę, ukazując mu swoją piękną nietkniętą przez czas twarz, Giovanni po raz kolejny zdumiał się, że alkohol nie zdołał jeszcze zniekształcić tych rysów.

—Czego wystarczy, Giovanni? — zapytała powoli. Wyprostowała się wróciła między panie, zgromadzone przy stole ze słodyczami. Pozostała tam, ale nie słyszała ani słowa z tego, co do niej mówiono, zupełnie nieobecna duchem. Na drugim końcu sali jej mąż zapalał cygaro, stojąc pod arrasem, na którym Salomea chwaliła się odciętą głową świętego Jana.

W tej samej chwili rozpętała się burza. Strumienie deszczu zaczęły tłuc o szyby. Okna natychmiast zamknięto. W ciemnościach, rozświetlanych sinymi błyskawicami, pojawiały się i znikwały szarpane wiatrem drzewa; wyglądały, jakby wichura miała lada moment porozdzierać je na strzępy. Grzmoty były tak potężne, że cała willa zdawała się drżeć ze strachu przed impetem nawałnicy.

—Ależ nie, zostawcie uchylone okna, tu w środku można umrzeć z gorąca... — zaprotestował ktoś z grupki zebranej w saloniku z fortepianem, wokół lana Palphy'ego. Palphy, wielki myśliwy i wspaniały gawędziarz, siedział w głębokim fotelu, trzymając w dłoniach kieliszek dobrego chianti. Kręcił głową, krygując się.

—Nie, dziś wieczorem nie... Nie jestem w nastroju, by opowiadać wam myśliwskie historie. Jestem smutny, nie widzicie? — Uniósł kieliszek. — Piję zdrowie pięknych pań, które mnie otaczają i przepraszam, że sprawiam im zawód. — Ale w końcu musiał się poddać, choćby ze względu na prośby Eleonory, która, ciągnąc za sobą Paola, usiadła obok niego.

—Mnie nie może pan odmówić — oświadczyła, uśmiechając się do niego z przebiegłą miną. Doskonale wiedziała, że mu się podoba. Palphy pochylił się w jej stronę. —Gdybym miał trzydzieści lat mniej — szepnął — i gdybym był twoim narzeczonym, nie dałbym ci spokojnie siedzieć w jakimś salonie i wysłuchiwać opowieści starego satyra.

Eleonora odepchnęła go ze śmiechem.

—No, niechże pan opowiada, zamiast się do mnie zalecać.

W progu, w niedbalej pozie przystanął jakiś mężczyzna, ubrany w doskonale skrojony frak, z papierosem w dłoni. Oparty o futrynę, rozglądał się od niechcenia, obracając powoli głowę; błyszczące, gładkie włosy miał zaczesane do tyłu. Od niedawna był ważną figurą w rządzie i również dlatego — nie tylko z powodu jego leniwego, zmysłowego uśmiechu — kobiety za nim szalały. Palphy zauważył go i natychmiast spoważniał Uniósł kieliszek.

— W takim razie zgoda, ale to będzie historia inna niż zwykle. — Upił długi łyk. Wszyscy zamilkli.

— Znacie wszyscy Bonassola. małą, uroczą zatoczkę, położoną w Cinque Terre, powyżej La Spezia. Kilkoro z was wie może również, że w lasach tej ziemi, z której pochodzi jedno z najlepszych win na świecie, mieszkają daniiele. — Zamilkł na chwilę, upił kffka łyków i mówił dalej: —Każdego ranka, o świcie, pewna wspaniała sztuka, daniel może trzyletni, wychodził z lasu. Kierował się na plażę, pod skałą zamykającą najdalszy koniec zatoki i rzucał się do wody. Dostojnie przepływał w poprzek całą zatoczkę, wychodził z wody i znikał między drzewami. Ten rytuał powtarzał się każdego ranka, tuż przed wschodem słońca. Wszyscy, którzy o tym wiedzieli, przyzwyczaili się już i kochali tego samotnego pływaka; był integralną częścią przyrody tego miejsca. Ale pewnego ranka przyплыła łódź. Siedziało w niej czterech ludzi. Ujrzeni daniela wychodzącego z lasu i jak zwykle zanurzającego się w wodzie. Szybko przygotowali sznur. Zbliżywszy się do zwierzęcia, zarzucili mu pętlę na szyję. W ciszy poprzedzającej wschód słońca zatoczką rozbrzmiewała echem ich krzyków i śmiechu. Ruszyli na otwarte wody. Zduszony przez sznur, krztusząc się wodą, daniel na przemian wyłaniał się i znikał pod powierzchnią morza,

rozcinanego uderzeniami wiosł, przy których mężczyźni co chwila się zmieniali. Wkrótce na pienistych grzbietach fal pojawiły się różowe smużki krwi. Czterej mężczyźni nie przestawali wiosłować, dopóki nie zorientowali się, że ciągną martwe zwierzę. Zawrócili do brzegu. Odwiązali sznur i odpłynęli. Ciało daniela fale wyrzuciły na plażę.

Nastała długa chwila ciszy. Deszcz bił o szyby. W końcu ktoś powiedział:

—Ale to... to nie jest myśliwska gawęda.

—A dlaczego nie? — odparł Palphy, wpatrując się w mężczyznę, stojącego w progu. — To historia, jakich wiele.

—Ale kim oni byli? Kim byli mężczyźni, którzy zabili to biedne zwierzę?

—Nie zostali zidentyfikowani czy też raczej nie chciano ich zidentyfikować. Ale to byli ludzie tacy sami, jak my.

—Jak my? Zabijali dla zabawy.

— Tak samo, jak my — odparł z naciskiem Palphy. — Myślicie może, że kaci różnią się od innych ludzi? Że mają ostre kły i najeżone grzywy, jak wilkołaki? Myślicie, że wymachują szponami i warczą jak bestie? Nie, proszę państwa. Wyglądają jak my. Zupełnie tak samo. — Palphy kiwnął kieliszkiem w kierunku mężczyzny w progu, który obserwował go z obojętną miną. — A pan co o tym myśli, ekscelencjo? — zapytał z naciskiem.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył do salonu. Zatrzymał się obok grupki panów we frakach, zgromadzonej wokół starego przemysłowca, który ze złością potrząsał ramieniem Saveria Serpieri. Mówił z lombardzkim akcentem, niewyraźnie wymawiając „r”.

—Mój drogi — krakał — mój drogi, potęga trójkolorowego sztandaru została wypróbowana jak należy w Afryce Wschodniej. Tu, we Włoszech, produkuje się mnóstwo części, akcesoriów i instrumentów do samolotów bojowych; kiedyś to wszystko wytwarzano za granicą. Co powiesz o Caproni 90, hę? Co powiesz?

Saverio Serpieri milczał, usiłując uwolnić rękę ze szponiastego chwytu zaszuszonej dłoni. Ale staruch nie puszczał.

—W konflikcie włosko—etiopskim lotnictwo odegrało kluczową rolę, mój drogi! Marszałek Badoglio jest entuzjastą latania, a synowie Mussoliniego wykazali się w Afryce Wschodniej nieporównaną brawurą!

—Gnieciesz mi rękaw — warknął Saverio tak wściekle, że stary puścił go i aż cofnął się o krok.

—Ależ co ty, gniewasz się?

—Prawdę mówiąc, rozmawialiśmy o Sorci Verdi\*— wtrącił się wysoki mężczyzna z wielkim brzuchem. — Wygrali trzy pierwsze miejsca w wyścigu Istres—Damaszek—Paryż. Nie mówiliśmy o wojnie.

—A Sorci Verdi to nie jest wojskowa formacja lotnicza? — Stary przemysłowiec aż się zaślinił. — Co? Może nie jest?

—Ja uważam, że Sorci Verdi to przedsięwzięcie... no, może nie do końca i wyłącznie sportowe, ale wyścig...

—Ale co pan, tylko o sporcie i o sporcie — zniecierpliwził się stary. — Tu się mówi o lotnictwie i faszyzmie. Między jednym i drugim istnieje pewna niezbędna, bardzo bliska więź duchowa. Biorąc w ręce stery samolotu, doświadczają się chęci panowania, to wręcz fizyczne odczucie. Pięknie byłoby latać, oderwać się ciałem i duchem od przeciętności. Nie zatrzymać się już nigdy, lecieć wciąż naprzód. Prawda, Saverio?

Hrabia Serpieri kiwał potakująco głową, przyglądał węży i zmuszał się, by nie patrzeć w drugi koniec salonu na Olghinę Gheraldi, lepiącą się do opalonego młodzieniaszka, z którym przyszła na przyjęcie.

Kiedy Eleonora wyszła z saloniku, trzymając Paola pod ramię, ten schylił się i szepnął jej do ucha:

— Spójrz no, co się dzieje z twoim ojcem?

Hrabia Serpieri stał z boku z pochyloną głową, targając wasy i przygryzające nerwowo. Był tak zamyślony, jakby między nim i resztą świata rozpościerały się tysiące kilometrów nieprzebytej pustyni.

—Co mu jest? — nalegał Paolo. Eleonora nie odpowiedziała. Ten i ów zaczynał już rzucać zaciekawione spojrzenia, najpierw na ojca, potem na Olghinę Gheraldi, której jasna sukienka odcinała się wyraźnie od ciemnego okna. Z przesuniętego na bok łódkowatego wycięcia pod szyją wyjrzało nagie ramię, które młodzieniec natychmiast nakrył dłonią.

\*12°Stormo Bombardamento Veloce— utworzona w1937rokumilitarna formacja lotnicza, znana z brawurowych wyczynów powietrznych, zwana potocznie *Sorci verdi*, od włoskiego wyrażenia *for redere i sorci verdi* — „wprawić w osłupienie” (przyp, tłum.)

Olghina roześmiała się; ten samotny wybuch śmiechu zabrzmiał dziwnie w pomieszczeniu, w którym nikt się już nie śmiał.

Saverio Serpieri uniósł nagle głowę. Olghina wciąż się śmiała. Jawnie drwiąc z niego, odwróciła głowę w jego stronę, uwieszona na ramieniu swojego adoratora.

Hrabia wsunął rękę do kieszeni, ale kiedy ją wyjął, niewiele osób zorientowało się, że w dłoni ściska pistolet. Kiedy tylko ruszył z miejsca, goście rozstąpili się przed nim. Saverio szedł szybko, goście cichli jeden po drugim, a ci, których mijał, stali zdrętwiali z przerażenia. Kiedy się zatrzymał, przez salę przeszedł dreszcz. Stał niecałe dziesięć metrów od Olghiny. Wszyscy wpatrywali się w niego. Nikt się nie poruszył.

—Ale co ty chcesz zrobić... — wybełkotała dziewczyna.

Saverio Serpieri uniósł pistolet i wystrzelił. Trafił Olghinę prosto w czoło. Przez moment stała jeszcze prosto, jakby czerwony gwóźdź między ciemnymi brwiami trzymał ją na miejscu. W końcu osunęła się na podłogę jak szmaciana lalka. —Właśnie to — szepnął Saverio.

Pistolet upadł na dywan.

## Rozdział 2

---

W Wiedniu nie padało prawie od miesiąca, ale tego ranka wiatr zmienił niespodziewanie kierunek. Warstwy chmur gromadziły się nad miastem, gasząc kolory naddunajskiego lata. W końcu zaczęło padać.

W gabinecie profesora Smolsky'ego kobieta leżąca na kanapie nagle umilkła.

Dźwięk ulewy napełnił pokój. Kobieta odsłoniła twarz, przykrytą zgiętym ramieniem i obróciła odrobinę głowę, jakby nasłuchiwała. Woda uderzała o szyby uchylonych okien nierównymi fałami, to łagodnie, to znów gwałtownie, pchana podmuchami wiatru.

—Czy może to pani wytłumaczyć jaśniej, Brigitte? — Męski głos zagłuszył na chwilę szmer deszczu. Kobieta znów zasłoniła twarz.

—Jaśniej? Czyżbym nie wyrażała się dosyć jasno?

—Chciałbym, żeby pani...

—Brzydę się. Jeszcze pan nie rozumie? Zwyczajnie się brzydę. Ni mniej, ni więcej. — Uniosła się na łokciu i odwróciła. Mężczyzna siedział za nią z notesem na kolanie. — Proszę zapisać w tym swoim notesiku, że pani Brigitte Nepper brzydzi się swoim mężem i synem. Proszę pisać!

Mężczyzna nie poruszył się.

—Nie pisze pan?

—Może to pani sprecyzować, Brigitte?

Kobieta opadła na leżankę.

—Mój syn, biedne dziecko... za bardzo mnie męczy. — Podbródek zaczął jej się trząść. Mrugnęła kilka razy, by powstrzymać łzy. — Nie chcę płakać, to takie głupie, co się ze mną dzieje!

—Głupie? A jednak się dzieje.

—Ale to głupie. Zachowuję się jak idiotka. Brzydzić się własnego męża i dziecka, słyszał to kto? A przecież ich kocham. Kocham ich obu. — Teraz łzy płynęły po policzkach, wycierane szybkimi ruchami dłoni. — Jestem taka głupia, taka głupia.

Profesor Smolsky odpowiedział dopiero po chwili.

—Może problem nie polega na osądzie, czy to, co się dzieje, jest głupie czy mądre.

—Ależ tak, zaraz panu wytłumaczę — westchnęła Brigitte Nepper. Otarła twarz wnętrzem dłoni. — To nie tak łatwo wytłumaczyć, wie pan.

—Nie powiedziałem, że to będzie łatwe.

—Panu się to nigdy nie zdarzyło? Czuć do kogoś wstręt... to znaczy do osoby, którą się kocha.

Profesor milczał. Brigitte westchnęła jeszcze raz.

—No tak, pan nigdy nie odpowiada na pytania. Czasem mnie to złości. Panu się takie głupie rzeczy nie zdarzają, prawda? Pan jest normalny.

—Co pani chce przez to powiedzieć?

—Och, do diabła z panem! — Brigitte zaczęła kontemplować ścianę przed sobą. Po raz kolejny przyjrzała się sześciu dziewiętnastowiecznym pejzażom, wiszącym rzędem, jeden obok drugiego, w prostych ramach. Znała je na pamięć. Z boku słała orzechowa biblioteczka: jej kryształowe szybki chroniły od kurzu szeregi oprawionych w skórę tomów. — Czytał je pan wszystkie? Czasami się zastanawiam... — Brigitte poruszyła głowę na poduszce z brązowego pluszu. — Zastanawiam się i mam nadzieję, że pan naprawdę czytał wszystkie te książki. Lubię myśleć, że pan jest najbardziej wykształcony, najbardziej inteligentny, najlepszy ze wszystkich psychoanalityków w Austrii.

Jedynym komentarzem było skrzyknięcie za jej plecami.

—Powinien pan wymienić ten fotel, profesorze Smolsky. — Brigitte uniosła głowę. — Przy każdym ruchu robi pan nieznośny hałas.

— Nie mogłaby pani jednak opowiedzieć mi o tym uczuciu wstrętu?

Brigitte oparła głowę o poduszkę.

—Teraz już spróbuję, naprawdę. Naprawdę spróbuję. Ale to niełatwe, wie pan? To tak, jakby ręce, które mnie dotykają, zamieniały się w pająki. Nie jest mi łatwo mówić o tym, co się ze mną dzieje, profesorze.

Profesor Smolsky nie odpowiedział.

Kobieta usiadła.

—Zdaje mi się, że jest późno, profesorze. — Wskazała zegar na biurku. — Już prawie czwarta. Koniec wizyty.

—Prawdę mówiąc, zostało jeszcze ponad pięć minut — odparł Smolsky.

Brigitte wstała. Złapała kapelusz i torebkę, leżące na taborecie obok kanapy.

— Mogę już iść? — I pośpiesznie ruszyła do drzwi. — Mam przyjść jutro, tak? O zwykłej porze?

—Oczywiście. — Smolsky też wstał.

—Jest pan zły? — Brigitte Nepper musiała zdrzeć głowę, by spojrzeć profesorowi w twarz: ona była wyjątkowo niska, a on bardzo wysoki, a poza tym trzymał się prosto, co dodawało mu jeszcze wzrostu. — Rozgniewał się pan?



—A wyglądam na zagniewanego?

—Niechże się pan przynajmniej uśmiechnie — nalegała zirytowana. — Niech się pan uśmiechnie. Nie wyjdę, dopóki pan się nie uśmiechnie.

—Będziemy musieli pomówić i o tym.

—Wizyta się skończyła. Nie może pan choć na chwilę dać sobie spokój z psychoanalizą?

Smolsky otworzył drzwi.

—Do jutra, Brigitte. — I uśmiechnął się.

Gdy został sam, otworzył szeroko okno. Wciągnął wilgotne od deszczu powietrze, zapach ziemi i mokrych liści. Zapalił papierosa i oparł się łokciami o parapet, wyglądając na dwór. Pod nim, w fontannie na środku ogrodu, lustro wody drżało pod pieścizotą gęstego deszczu, w którym kapały się krzewy żółtych róż, lwie paszxe i irysy na brzegach klombów, szkarłatne wiszące peonie, opadające kaskadą z kamiennego murku. Gałęzie drzew poruszał wiatr; spoza błyszczących od deszczu liści wyłaniała się raz po raz barokowa wieżyczka kościoła św. Karola. Z rynny sfrunęło stadko wróbli. Delikatna gałąź jarzębiny kołysała się w górę i w dół, pod niespodziewanym ciężarem kropel. W powietrzu rozległy się nieśmiałe ptasie trele. Rudzik — pomyślał Smolsky.

—Panie profesorze... — Ktoś wszedł do gabinetu.

Smolsky drgnął.

—Co tam? — Gospodyni szła w jego stronę, wyprostowana, w błękitnym fartuszk. — Co tam, Heleno?

—Ewa, panie profesorze.

—Ewa?

—Powiedziała jej, że to nie jest odpowiednia pora. Ale pan wie, jaka ta mała jest... Nie widziałam nigdy bardziej upartej dziewczynki.

Przyniosła skrzypce i kazała panu powiedzieć...

—Przyniosła skrzypce? — Smolsky rozpromienił się. — Wprowadź ją do salonu i powiedz, że zaraz przyjdę. — Podszedł do szafki, w której znajdowały się książki do muzyki. Zaczął je przeglądać, niepewny, co wybrać.

—Panie profesorze — zaprotestowała Helena — czy naprawdę muszę...

—Pani jeszcze tutaj? — Smolsky podniósł głowę.

—Idę, idę — odparła kobieta i zacisnęła wargi, by wyrazić swoją dezaprobatę, ale Smolsky nie zwracał na nią uwagi, pochylony nad nutami. Splątany lok czarnych włosów opadł mu na czoło, nadając jego twarzyczłopięcy, pełen pasji wyraz.

W tej samej chwili z kawiarni Schwarzenberg wyszedł mężczyzna. Zatrzymał się na progu i podniósł kołnierz nieprzemakalnego płaszcza, obserwując niskie bure niebo.

—Wygląda, jakby już był listopad, co? — Kierowca taksówki uśmiechnął się zachęcająco. — Nie można spacerować po Wiedniu na piechotę, kiedy z nieba leci tyle wody.

—Tak pan myśli? — mruknął mężczyzna, poprawiając kapelusz. — A mnie to wygląda raczej na wrzesień. Bo przecież mamy dopiero wrzesień, mój drogi. — I ruszył w deszcz. Przeciął plac tak spokojnym krokiem, jakby na błękitnym, czystym niebie świeciło słońce, którym Wiedeń cieszył się zwykle do ostatnich dni lata.

Mężczyzna zatrzymał się przed pałacem Schwarzenberg i długo podziwiał barokową fasadę. Na rogu placu kupił „Wiener Zeitung”, przerzucił kilka stron i, złożony gazetę, wetknął ją do kieszeni. Z rękami splecionymi na plecach minął wystawy antykwariatów. Ulice były opustoszałe. Nieliczni przechodnie mijali go w pośpiechu, schowani pod parasolami, od czasu do czasu jakiś samochód ochlapał wodą chodnik.

Z bramy wychynęło dwóch żebraków; wyciągnęły się nachalne ręce, ale mężczyzna minął ich, nie dając ani grosza. Jego uwagę przyciągnęła witryna sklepu: pośrodku stołu pyszniła się alabastrowa Wenus, obejmująca ramieniem lampę zdobioną złotem i kolorową emalią.

—Nie podoba się panu? — U jego boku stanęła blondynka, wysoka i dobrze zbudowana.

—Uważam, że jest okropna — mężczyzna potrząsnął głową. — Naprawdę okropna.

—Pewnie kosztuje mnóstwo pieniędzy.

—A pani chciałaby kupić to paskudztwo?

—Tak, gdybym miała pieniądze. Ale nie mam — roześmiała się blondynka, wsuwając rękę pod ramię mężczyzny. — Chociaż gdybym miała, kupiłabym pewnie wiele innych rzeczy. Masz wolną godzinkę?

—Nie — odparł mężczyzna. Uwolnił się stanowczo ze szkarłatnych szponów. — A nawet gdybym miał, nie spędziłbym jej z tobą.

—Świnia — rzuciła kobieta. — Nie zauważyłeś jeszcze, że w Wiedniu ludzie umierają z głodu? Tylko wy, bogacze, macie się dobrze.

—W Wiedniu ludzie nie umierają z głodu. Mają się lepiej niż w Berlinie, moja droga. Tam jest cała armia żebraków i bezrobotnych. Dziwek też. —I ruszył dalej.

Kiedy wszedł w zadrzewioną ulicę niedaleko placu Mozarta, przestało padać. Przyspieszył kroku i znalazł się pod jedną z tych bogatych, mieszczańskich kamienic, wzniesionych w końcu dziewiętnastego wieku. Wykuszone okno na drugim piętrze było otwarte. Dobiegająca stamtąd muzyka niosła się po cichej uliczce. Mężczyzna zatrzymał się i zamknął oczy, poruszony melodią: na tle cichego akompaniamentu skrzypiec flet snuł powoli i słodko temat melancholijnej arii. Mężczyzna rozpoznał solową partię fletu z *Orfeusza i Eurydyki* Glucka. Taniec duchów, zaklęty spokój Pól Elizejskich, następujący po burzliwym fragmencie, kiedy to furie, zmuszone puścić Orfeusza na poszukiwanie ukochanej, śpiewają: Odrzwia już skrzypią na czarnych zawiasach. Mężczyzna uśmiechnął się i ruszył dalej, przyciągany muzyką. Wszedł w bramę i wspiał się schodami na drugie piętro, podśpiewując barytonem partię *Eurydyki*:

*Boskie zacisze urocze i wdzięczne*

*miejsce wiecznego wytchnienia*

*gdzie upływają dni szczęsne*

*w błogiej radości istnienia.*

Powtórzył dwa razy „radości istnienia” i na zakończenie pociągnął mocno rączkę dzwonka obok mosiężnej tabliczki z napisem „Profesor J.D. Smolsky”.

—Przyszedł pan Kristenfeld — oznajmiła Helena, zaglądając przez uchylone drzwi do salonu. Muzyka umilkła.

—Gra pan naprawdę dobrze, drogi profesorze — pochwalił Kristenfeld, kiedy Smolsky wszedł do gabinetu; zdążył się już wyciągnąć na leżance, z rękami skrzyżowanymi na okrągłym brzuchu, z założonym z krótkimi nóżkami, poruszając czubkiem czarnego zamszowego buta w rytm niesłyszalnej melodii. — Naprawdę bardzo dobrze. A na dodatek to mój ulubiony utwór. Gluck to geniusz, dociera wprost do mojego serca. — Przyglądził rzadkie włosy. — Kto panu akompaniuje na skrzypcach?

Smolsky nie odpowiedział.

—Wspaniale, naprawdę wspaniale — ciągnął Kristenfeld. — Byłem dziś przygnębiony przez ten deszcz i jeszcze przez kilka spraw, ale pańska muzyka przywróciła mi radość życia. Czy wyrażam się jasno? Gdyby zamiast psychoanalitykiem został pan muzykiem, drogi profesorze Smolsky, a konkretnie flecistą, uzyskaliby pan mniej więcej takie same

rezultaty. Tak samo skutecznie prowadziłby pan swoich pacjentów w krainę uduchowienia i spokoju. Na Pola Elizejskie duszy, mówiąc krótko. Czy wyrażam się jasno?

Smolsky wciąż milczał. Kristenfeld usłyszał, że profesor przewrócił kilka stron notesu.

—Nie dziwi pana, że taki zwykły właściciel firmy importowo—eksportowej, jak ja, jest znawcą muzyki?

—A powinno mnie dziwić?

—Gram na lutni, proszę sobie wyobrazić. Fatalnie zresztą, ale mojej żonie się podoba. Wie pan? Jeden z moich najbliższych przyjaciół w Berlinie gra na fortepianie, jest wspaniałym solistą. Gra prawie tak dobrze jak pan na swoim flecie. Niespotykana wrażliwość... teraz wchodzi w skład rządu, został pomocnikiem Goringa, wariuje za Hitlerem i chętnie wyprawiłby z tego świata wszystkich Żydów, najchętniej własnoręcznie.

—Nie do wiary, prawda? Nie do wiary, jak muzykalna dusza i okrutna nazistowska głupota mogą współczystować w tym samym człowieku. A co pan o tym myśli?

Smolsky milczał. Kristenfeld podrapał się w podbródek.

— A pan się nie boi. profesorze? Pan jest przecież Żydem, prawda?

—A naziści i tu. w Austrii, z dnia na dzień są coraz liczniejsi. Boi się pan?

Żadnej odpowiedzi. Kristenfeld uniósł się i odwrócił głowę.

— A, jest pan tu jeszcze. Było tak cicho, że przez chwilę myślałem, że jestem sam, a pan się nagle rozpląnął w powietrzu. — Uśmiechnął się pod nosem, kładąc się z powrotem. — Absurdalna fantazja, prawda? W końcu jest pan przecież tylko psychoanalitykiem. Do czarodzieja panu daleko. Po chwili, poważniejąc, mówił dalej:

— Wie pan, miałem tej nocy sen. Dziwny sen, profesorze Smolsky. Śniło mi się, że Mussolini pojechał do Niemiec i został wspaniale przyjęty przez Hitlera. A to oznaczało bardzo paskudny obrót spraw dla naszej kochanej Austrii. Oznaczało, że Włosi nie mrugnęliby okiem, gdyby naziści postanowili najechać Austrię pod sztandarami ze swastyką i zagarnąć ją dla siebie. Rozumie pan?

—Raczej tak.

—Teraz proszę więc uważać — ciągnął Kristenfeld. — Śniłem też, że znalazłem się obok pięknego szafirowego jeziora. Miałem silne przeczucie niebezpieczeństwa. Był tam placzyk, a na jego skraju, na ławeczce, siedział człowiek. Czekał na mnie. Miał mi coś przekazać. To było coś ważnego, ale ja kompletnie nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem zrobić nawet jednego kroku. I nagle pan, profesorze Smolsky, właśnie pan, zbliżył się do mnie. Podszedł pan zamiast mnie do tego człowieka i wrócił pan z kopertą, którą mi pan wręczył. Uczucie zagrożenia zniknęło. Poczuję się bezpieczny.

Kristenfeld umilkł na długą chwilę. W końcu dodał:

—W kopercie było coś, co dotyczyło nazistów... coś, co miało służyć oddaleniu niebezpieczeństwa od Austrii.

Nastala cisza. Jeśli Kristenfeld oczekiwał choćby słowa komentarza ze strony Smolsky'ego, to czekał na próżno.

—Piękne te pejzaże — powiedział w końcu zdawkowo. — To jeden z najlepszych austriackich pejzażystów dziewiętnastego wieku. Ja też bardzo go lubię. — Usiadł na leżance, poprawiając najpierw kamizelkę, potem marynarkę. Odwrócił się do Smolsky'ego i napotkał jego badawcze spojrzenie. — Mamy podobny gust, profesorze. Prawdopodobnie też takie same poglądy.

Smolsky milczał.

—I pewnie takie same przekonania — ciągnął niewzruszony Kristenfeld. — Pan żywi szacunek dla życia, profesorze Smolsky. — Zatykając kciuki w kieszonki kamizelki, podniósł się i podszedł do okna. Stał przy nim długo, wyglądając na dwór.

—Ile czasu już się znamy? — zapytał w końcu, odwracając się; w świetle szarego, deszczowego dnia, chylącego się już ku zachodowi, jego twarz była niewyraźną plamą. — Wie pan, od kiedy? Prawie od sześciu miesięcy. To długo.

Smolsky wstał i zapalił lampę na biurku. Kąty pokoju utonęły w ciemności, ale na twarz Kristenfelda padł blask. Smolsky wrócił na fotel i oparł się wygodnie. Był poza kręgiem światła; teraz to jego twarz kryła się w półcieniu.

—Przez te miesiące opowiedziałem panu o sobie wiele rzeczy — podjął Kristenfeld. — Pan mnie już zna.

—Możliwe — odparł Smolsky.

—Ale i ja znam pana.

—Doprawdy?

—Mógłbym panu zaufać jak nikomu innemu.

—Gdyby pacjent nie ufał swojemu analitykowi... — zaczął Smolskywymijająco.

—Ten mój sen, co pan na to?

—Ten sam powtarza się już od jakiegoś miesiąca.

—Jak go pan interpretuje?

—Będziemy musieli popracować nad związkami — odparł Smolskybezbarwnym tonem, i tylko bardzo wprawne ucho mogłoby wychwycić irytację. Ale Kristenfeld miał wyjątkowo

wyostrzony słuch. Uśmiechnął się. Smolsky mówił dalej: — Dziś przyszedł pan do mojego gabinetu, mówił pan o muzyce i prawił mi komplementy. Potem opowiedział mi

pan sen, czy może raczej swoją nawracającą fantazję. A teraz stara się pan podkreślić, że mamy takie same poglądy. Co tak naprawdę chce mi pan powiedzieć, panie Kristenfeld?

Kristenfeld zrobił kilka kroków i zatrzymał się przy biurku. Lampa oświetlała go teraz od dołu, upodabniając do tłustego przebiegłego Mefistofelesa. Uśmiechnął się i odpowiedział tylko:

—Pan już zna moje przekonania polityczne, profesorze, i poznał je pan w chwili, kiedy nawet w Austrii lepiej nie deklarować się jako antynazista.

—To nie jest salon ani spotkanie towarzyskie — oświadczył sucho Smolsky. — To, co się tutaj mówi, pozostanie tajemnicą. Pan o tym doskonale wie, panie Kristenfeld.

—I to właśnie budzi moje zaufanie.

—Ico jeszcze?— Zapytał Smolsky uszczypliwym tonem.

—To, czego dowiedziałem się przez te miesiące, profesorze. Chce pan, żebym panu o tym opowiedział?

—Zdajesic, że niczego innego pan nie pragnie — odparł zimno Smolsky.

— Proszę posłuchać uważnie, przekonałem się, że należy pan do tego wymierającego gatunku ludzi, którzy odznaczają się swego rodzaju fatalnym męstwem i licznymi wspaniałymi zaletami: uczciwością, czystością moralną, konsekwencją w działaniu... krótko mówiąc, jest pan człowiekiem zdolnym bić się o to, w co wierzy?

—Według pana to uczciwość popycha ludzi do walki za własne ideały? — zapytał Smolsky.

—Nie, to odwaga, profesorze — wykrzyknął Kristenfeld. — Ale i odwagi panu nic brakuje. Wystarczyło mi spojrzeć w te pańskie czarne słowiańskie oczy, by wiedzieć, że ma pan jej mnóstwo, jeśli tylko pan zechce.

—To tak mnie pan widzi?

—Właśnie tak.

—I co dalej?

—Mówiłem o uczciwości, o tym, że jest pan zdolny walczyć o swoje ideały. Walczyć do końca. Bezkompromisowo. Lojalnie. To dlatego wspomniałem o fatalnym męstwie. Lojalnie do samego końca, rozumie pan? Taka uczciwość może czasem doprowadzić człowieka do śmierci.

Smolsky milczał niewzruszenie.

—Mój sen odzwierciedla rzeczywistość — ciągnął Kristenfeld. — Gdybym musiał się zwrócić do kogoś w nagłej potrzebie, mógłbym zaufać tylko panu. Nie znam w Wiedniu nikogo.

—A przecież są inni analitycy. Tak samo dobrzy, jak doktor Zygmunt Freud, mój szacowny mistrz — oznajmił Smolsky lodowato.

Nastała chwila ciszy. Kristenfeld przypalił sobie papierosa, zużywając dwie czy trzy zapalki. Zaciągnął się kilka razy, ślizgając się wzrokiem po biblioteczkę.

—Pańska klaustrofobia, panie Kristenfeld — zaczął w końcu Smolsky —ostatnio rzadko pan o niej mówi. Sześć miesięcy temu, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy w tym gabinecie, pan przyszedł do mnie, by poddać się terapii. Chciał się pan uwolnić od klaustrofobicznego lęku. Pamięta pan?

Kristenfeld zgasił papierosa w popielniczce, stojącej przed nim na palisandrowym stoliku; długo gniótł niedopałek, krusząc go niemal doszczętnie.

—Klaustrofobia, co? — powiedział w końcu, zirytowany. Smolsky wskazał zegar.

—Pańska wizyta się skończyła, panie Kristenfeld.

Kristenfeld wstał, założył płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz.

—Jeszcze o tym porozmawiamy, profesorze — rzucił i wyszedł.

Smolsky usiadł za biurkiem. Z szuflady wyciągnął gruby zeszyt. Zaczął szybko przerzucać kartki; zatrzymał się na stronie, na której u góry napisane było: Kristenfeld Magnus, a niżej: Lat czterdzieści sześć, dobrze sytuowany, właściciel firmy zajmującej się handlem zagranicznym.

Żonaty z kobietą młodszą o piętnaście lat, bezdzietny. Z pochodzenia Duńczyk. Długo mieszkał w Czechach. Mieszka w Wiedniu od około pięciu lat. świetny znawca muzyki. Jego językiem ojczystym jest duński, ale mówi doskonale również czterema czy pięcioma innymi; terapia odbywa się po niemiecku. Człowiek bardzo wykształcony. Dalej były notatki dotyczące psychoanalizy, sporządzone przez Smolsky'ego w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Kiedy skończył czytać, zajrzał do notesu, który położył przed sobą.

Potem siedział długo pogrążony w myślach, z zatroskanym wyrazem twarzy, wpatrując się w półmrok pokoju, jak ktoś, kto przeprowadza skomplikowane rozumowanie i wciąż nie może zebrać w całość wszystkich elementów.

W końcu wziął pióro i pewną ręką napisał: Kristenfeld nigdy nie cierpiał na klaustrofobię. Nigdy nie miał zamiaru poddać się terapii. Myślę, że w końcu zrozumiałem, czego ode mnie chce. Jestem prawie pewien, że bierze udział w... Przerwał, jakby nagle opadły go wątpliwości. Szybkimi, precyzyjnymi ruchami zamazał grubąpłamatuszu to, co przed chwilą napisał. Kiedy skończył, dopisał swoim wyraźnym charakterem dwa słowa: Terapia trwa.



Wrzucił zeszyt do szuflady i zamknął ją z trzaskiem. W tej samej chwili jego wzrok padł na brązową plamę na dywanie, przypominającą niewyraźny cień. Plamę wyblakła od upływu czasu i od licznych, bezskutecznych prań. Plamę, która nie chciała zniknąć.

W jego mózgu rozbłysło wspomnienie. Wydało mu się, że znów widzi rozciągnięte na podłodze martwe ciało mężczyzny, a obok niego twarz młodej kobiety, otoczoną jasnymi lokami i przeszywający wyraz grozy w jej oczach.

Smolsky zaklął i zerwał się na równe nogi. Zepchnął ten obraz na samo dno pamięci. Dopiero kiedy poczuł, że znów panuje nad sobą, spojrzął na zegarek. Była już prawie siódma; miał godzinę, by się przygotować i pójść na kolację do Niny.

—A ja wam mówię, że książę i księżna Windsoru mają odbyć podróż do Niemiec na osobiste zaproszenie Hitlera.

— Niemożliwe! Brytyjczycy nie mogli przecież przyjąć...

—Brytyjczycy? — Przerwał postawny młodzieniec, zanurzając łyżeczkę w sałatce z raków.  
— Brytyjczycy? Żona księcia jest przecież Amerykanką.

— Rozwiedzioną dwa razy. Dwa razy! — Wykrzyknęła stara hrabina Gretner, siedząca obok pana domu. — Dwa! — powtórzyła. — Dwa razy!

—Ale doprawdy, były król Anglii z wizytą u Fuhrera?

—Ja też o tym słyszałem. Podróż jest w planach już wkrótce, na początku października.

—Jeśli rzeczywiście tak jest, to zrobią dobrą reklamę sprawie faszystowskiej, bo z pewnością nie brytyjskiej demokracji — skomentował ponuro Gumpłowicz siedzący u szczytu stołu, obrzucając spojrzeniem talerze swoich gości. Ileż ci ludzie mogą zjeść? — zadał sobie w duchu pytanie. Szynka z Pragi, którą zdobył po zawrotnej cenie, zniknęła z prędkością światła.

— To jednak nie przystoi. Nie sądzę, żeby dwór angielski pozwolił na coś takiego — stwierdził mężczyzna z marsowym wyrazem twarzy, dziobiąc widelcem półmisek, który podawał mu lokaj, i porywając ostatni plasterk praskiej szynki.

—A ja nie rozumiem, dlaczego tak się oburzacie — skomentował gorzko mężczyzna w średnim wieku, z silnym bułgarskim akcentem. — Książę zrozumiał, skąd wieje wiatr, i tyle. Dlaczego miałby odrzucić zaproszenie Hitlera? Czy Hitler został publicznie uznany za persona non grata? Nie wydaje mi się. Czyż Anglia nie przymknęła oczu, ignorując fakt, że Niemcy znów się zbroją? Po prostu jest przekonana, że zawsze i w każdych warunkach zdoła się z nimi dogadać.

—Ale jeśli Hitler jest taki zły, to dlaczego wszyscy się nie skrzykną i nie wsadzą go do więzienia? — zapytała smukła platynowa blondynka, otulając gołe ramiona pelerynką z wilka, która nadawała jej jeszcze bardziej zmysłowy wygląd.

— Marto, proszę cię... — zgromił ją mąż, wysoki urzędnik państwowy, siedzący na drugim końcu stołu, na wprost Gumpłowitza.

—Tak czy inaczej, mam wrażenie, że książę Windsoru zrobił się jeszcze głupszy po tym, jak abdykował dla tej Wallis Simpson — powiedziała Nina Gumpłowicz, kręcąc głową całą w krótkich loczkach. To stwierdzenie jakby zmroziło dyskusję; uwagę biesiadników zdawały się pochłaniać wyłącznie przekąski i wspaniałe sandtraminer, którego podczaszy dolewał do kieliszków, bezszelestnie i z gracjąprzemykając się wokół stołu.

Stojący za plecami pana domu majordomus nieustannie obserwował służących i kontrolował stół. Na koronkowym bursztynowym obrusie porcelana i kryształy odbijały płomyki świec w srebrnych kandelabrach.

Ich słaby blask zmiękczał światło dwóch wspaniałych cynowych żyrandoli. Przed każdym z gości, obok czterech kieliszków z intarsjowanego kryształu, stał bukietik orchidei; małe wazoniki od Hutschenreutera były w kolorze pawiego błękitu i złota. Salę zdobiły szesnastowieczne meble. Jako że Gumpłowicz odziedziczył po ojcu pasję antykwariusza i zamiłowanie do sztuki włoskiej, najpiękniejsze egzemplarze pocho—dziły z Toskanii. Sam florencki, rzeźbiony kredens, strzeżony przez dwa renesansowe taborety, wart był majątek. Ściany, obite zabytkowym wyblakłym brokatem, zdobił rząd rycin — w tym trzy samego Durera. Tylko Gumpłowicz i majordomus wiedzieli, że to doskonale kopie. Oryginały zostały dla bezpieczeństwa złożone w sejfie szwajcarskiego banku kilka miesięcy wcześniej, kiedy Gumpłowicz został poinformowany, że Niemcy podwoili wydatki na zbrojenia.

—Ten wasz kawior jest naprawdę doskonały — westchnęła obwieszona klejnotami młoda kobieta, siedząca u boku Smolsky'go. Rzuciła mu zalotne spojrzenie. — Rozpływa się w ustach.

—*Pale de fois gias* wcale nie jest gorszy — szepnął wesoło Smolsky.

Kobieta wpatrywała się w niego bez ustanku, otwierając szeroko wielkie, błękitne jak chabry oczy. Przystojna twarz profesora fascynowała ją od chwili, kiedy wszedł na salę. Nie tylko twarz. Pożerała go wzrokiem, kiedy witał się z gośćmi, wysoki na ponad metr osiemdziesiąt — Carlotta miała oko do tych rzeczy — smukły, ale dobrze zbudowany, z szerokimi muskularnymi ramionami pod świetnie skrojoną marynarką. Wąskie biodra, długie nogi, płynność ruchów i elegancja w obejściu zachwyciły ją. Teraz, siedząc u jego boku, Carlotta nie odrywała od niego oczu, błędząc spoj—rzeniem po gładkich ciemnych włosach, szerokich kościach policzkowych, orlim nosie i po mocno zarysowanym podbródku. A te usta — myślała dziewczyna z westchnieniem — do licha, podoba mi się ten mężczyzna!

—*Pale* jest wyśmienity, ale tuczący — oświadczyła sucho Nina, siedząca naprzeciwko Smolsky'ego. — Słyszysz, Carlotto?

—W takim razie powinnaś skorzystać z okazji i zjeść trochę, skarbie. Jesteś taka chuda — odgryzła się zrećnie Carlotta słodkim głosem, wypinając obfity biust i wpatrując się w dekolt Niny. — A pan nie uważa, że nasza droga Nina jest za chuda? — dodała, zwracając się do Smolsky'ego.

Ten udał, że nie słyszy, zajęty matroną siedzącą po drugiej jego stronie.

—Ja tam byłam — mówiła właśnie donośnym głosem. — Byłam na ślubie Edwarda i Wallis. Było jak w bajce. Wspaniale wyglądała w tych wszystkich koronkach. A te klejnoty! To jasne jak słońce, że on szaleje za tą kobietą. A poza tym jest taka elegancka. Cóż za romantyczna miłość!

—Ale do Niemiec nie powinni jechać! — zagrział dziadek Niny. — Uważam, że to w złym guście. Czy oni nie wiedzą, że w Niemczech są obozy koncentracyjne? I rasistowskie prawa?

—Ja ich widziałam, księcia i księżnę, kiedy byli w Austrii, zaraz po ślubie. Mieszkali w zamku Wasselerleonburg, wiecie? On podlewał kwiatki w parku ubrany w tyrolski strój, a ona siedziała na leżaku i piła całe litry piwa.

— Wyszła za niego dla kariery. Ma w nosie tego całego króla. Miała tylko nadzieję, że zostanie królową.

—A jednak to najbardziej fascynująca czterdziestolatka, jaką kiedykolwiek widziałem — oświadczył baron von Kredach, który często odwiedzał ambasady. — Inne nikną w porównaniu z nią.

— Stokrotne dzięki! — odparła ze śmiechem piękna brunetka o podłużnych cygańskich oczach, siedząca naprzeciwko niego. — Ja mam dokładnie czterdzieści lat, drogi baronie.

—Niemożliwe. Byłem przekonany, że najwyżej dwadzieścia siedem! — padła oczywista odpowiedź.

Carlotta nałożyła sobie wielką porcję grzybów ze srebrnego talerza, który podsunął jej kamerdyner.

— Ja tam nic nie rozumiem z polityki. Nic a nic! — Oparła na ręce Smolsky'ego dłoń ozdobioną brylantem w podwójnym kręgu rubinów.

— Może pan mi coś wytłumaczy? — I uśmiechnęła się do niego, ignorując minę Niny. — Zechce pan?

—Z prawdziwą przyjemnością. — Smolsky wydawał się świetnie bawić towarzystwem swojej sąsiadki, która podawała mu niemal na talerzu z sałatką swoje oszałamiające piersi, białe jak płatki magnolii.

- Zechce pan? — nalegała.

— Ale pamiętaj. Jaro — wybuchnęła w końcu Nina — pamiętaj, używaj bardzo prostych słów, bo inaczej kochana Carlotta za tobą nie nadąży. — Na zakończenie kopnęła Smolsky'ego obiema nogami, trafiając idealnie w piszczele.

—Zadziwia mnie twoja samokontrola — powiedziała, uśmiechając się słodko, bo Smolsky nawet okiem nie mrugnął. — Gratulacje. Chociaż gdybyś ty, psychoanalityk, nie umiał się kontrolować...

—A ty świetnie celujesz. Nino. Tobie też się należą gratulacje.

Carlotta śledziła te docinki, nic nie rozumiejąc, ale szybko odzyskała panowanie nad Smolskym, wykrzykując:

—Jaro! Naprawdę? Pan ma na imię Jaro?

—To czeskie imię. Zdrobienie od Jaroslav.

—Wspaniale... Jaro. Szalenie mi się podoba. Ale pan się zgadza, prawda? Wyjaśni mi pan później całą sytuację w Europie, tak?

—Tak — odparł Smolsky, cofając nogi pod krzesło.

Bułgar, siedzący po prawej stronie Niny, pochylił się do niej—.

—Niech pani nie będzie taka zazdrosna. Nie warto, proszę mi wierzyć. Przy pani ta maślana kukła po prostu nie istnieje.

—Naprawdę? — szepnęła Nina, uśmiechając się z wysiłkiem do chudej melancholijnej twarzy, zwróconej w jej stronę. — Mówi pan poważnie, panie Sander?

—Daję słowo. — Bułgar położył dłoń na piersi. —I mówię również za profesora Smolsky'ego.

—Skąd pan to wie? — Nina próbowała zachować żartobliwy ton, ale chętnie zanurzyłaby twarz Carlotty w sosie spod pieczonej kozicy. — Jaro wydaje się bardzo nią zainteresowany.

—Ta kobieta jest jak tort z bitej śmietany. Mdli po dwóch kęsach.

—A jednak są amatorzy — westchnęła Nina.

—Ja dopiero teraz wróciłam z Capri — piszczała matrona u boku Smolsky'ego. — Nie macie pojęcia! Morze nie do opisanía. I ten zapach pieczonych peperoni, który wiatr roznośi po zaułkach. Bakłażany i nadziewane mięczaki! I jeszcze...

—.. skwerek? — wtrąciła platynowa blondynka. — Och, dobrze znam to miejsce! Ja też tam byłam w tym roku. Można tam znaleźć wszystkich intelektualistów, artystów, pisarzy i muzyków. Jeden włoski pisarz, młody, ale sławny, zawsze siedział przy barze z maszyną do pisania. Jego żona też pisze. Piękna brunetka o niespokojnych oczach.

—Markiza Casati? Pomyślcie tylko, że w swojej willi ma łóżko zawieszona, na hakach. A poza tym, żeby nie stracić ani jednego promienia słońca, chodzi po domu nago, z lamparcią skórą narzuconą na ramiona i z lilią w dłoni.

—Nago?

—Tak, tak, nago.

—A ksiązę Umberto di Savoia? Widziałam go w restauracji w białych spodenkach kąpielowych.

—Ja bym tam zamieszkała na zawsze. Dzień na słońcu, a wieczorem wszyscy idą się bawić do Zum Kater, ramię w ramię z książętami i hrabiami.

—I z całą masą podejrzanych seksualnie indywiduów — wykrzyknęła oburzona hrabina Gretner. — Tak, podejrzanych seksualnie. Często jeżdżona Capri. Nigdy nie wiadomo, czy spojrzenie mężczyzny jest skierowane do ciebie czy do twojego towarzysza. Byłam tam z moim wnukiem Hansem, i byłam naprawdę zdezorientowana, prawda. Hans? — Zwróciła się do ślicznego jasnowłosego młodzieńca, ubranego z wyszukaną elegancją, z brylantem w butonierce. Zapadła chwila zażenowanej ciszy.

— Dziesiątego sierpnia był na Capri sam ksiązę Windsoru! — oświadczyła brunetka z oczami Cyganki. — Siedziałam przy stole z madame Schiapparclii.

—Z wielką krawcową?

—A z kimże by innym? Ksiązę Windsoru przeszedł nam przed nosem. Twarz miał całą usianą piegami.

—No cóż, nawet Lenin uwielbiał Capri, skoro już o tym mowa. Mój wuj go widział, ponad dwadzieścia lat temu. Pił kawę na skwerku. Istny karzeł, nic specjalnego — oświadczył Hans. — Twarzyczka Mongoła, zimne oczka...

—Robi taki rewolucję, a potem jedzie sobie na Capri!

—Ale on tam chyba był przed rewolucją, co?

—Wiesz, że nienawidził dzieci?

—Kto, Lenin?

—Tak, właśnie on. Powiadają, że nie mógł ich ścierpieć.

—Ci komuniści... — warknął Gumpłowicz i skinął na majordomusa, by ten jak najszybciej kazał zabrać pieczone.

Po kolacji w salonie zaczęły krążyć kieliszki, a powietrze zrobiło się gęste od dymu papierosowego. Jaro Smolsky był tak skutecznie oblegany przez piękną Carlottę, że Nina w końcu schroniła się przy fortepianie, skąd usiłowała spopielić oboje wzrokiem. Ale oni w ogóle nie zwracali na nią uwagi. Siedząc na obitej gobelinem kanapie, gawędzili z ożywieniem. Carlotta wskazywała Smolsky'emu witrynkę z kryształu, mieszczącą cenną kolekcję porcelanowych figurek, przy okazji niemal się na nim kładąc, razem z tym swoim wielkim alabastrowym biustem!

—Niech pan da spokój z Chopinem — rozkazała szorstko Nina Bułgarowi, który przemykał palcami po klawiaturze. — Proszę zagrać tango.

—Tango? — Bułgar wydawał się szczerze przerażony. — Ależ ja nie umiem grać do tańca.

—W takim razie niech pan robi, co pan chce! — Nina nie próbowała już nawet ukryć złego humoru.

—Niech no pan powie, czy to aby nie bolszewik? — zapytał Gumpłowicza jeden z gości.

—Kto, ten Bułgar?

—Tak, ten, co gra. Nazywa się Sander czy jakoś tak.

—Skąd mogę wiedzieć? To jeden z protegowanych mojej wnuczki — mruknął Gumpłowicz w odpowiedzi. Stał z przyjacielem przy oknie, z cygarem w jednej ręce i kieliszkiem świetnego sznapsa w drugiej. Upił spoty łyk, zakaszlał i dorzucił: — Teraz bolszewików znajdziesz wszędzie, mój drogi. Dostają gęziej skórki, gdy o tym pomyślę — burknął.

—Staraj się przynajmniej nie zapraszać ich do domu.

—A Nina? Kto jej się sprzeciwi, kiedy czegoś chce?

—Postaw na swoim.

—Dajże spokój. Myślisz, że Nina mnie posłucha?

—Mówiono mi, że ma romans z profesorem Smolskym.

—Nina ma dwadzieścia pięć lat, Alfredzie! — uciął Gumpłowicz.

—Miała, zdaje się, wyjść za wnuka Rotschilda?

—Posłała go do diabła, kiedy spotkała Jaro. I nie mogę nie przyznać jej racji... ten mały Rotschild! Kręcone włosy i wielkie nosisko. Coś okropnego. Wyglądał jak Żydek z Galicji albo jeszcze gorzej. Jak jeden z tych ze śniadą skórą.

—Jak wszyscy Żydzi, jesteś wstrętnym rasistą— stwierdził towarzysz Gumplowitza, biorąc go pod ramię. — Chodźmy zagrać w bilard. A znasz ostatni dowcip o tych dwóch z getta w Norimberdze?

—Nie — Gumplowitza potrząsnął głową. — Nie wydaje mi się.

—No więc, było sobie dwóch Żydów, którzy sprzedawali materiały na targu. Podchodzą do nich dwaj naziści w brunatnych koszulach i mówią... — mężczyzna ściszył głos i pochylił się do ucha Gumplowitza, który słuchał go uważnie, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń i cygarem zawieszonym w powietrzu. W końcu wybuchnął zgrzytliwym śmiechem. Nie mógł się opanować, w oczach stanęły mu łzy.

—Fantastyczne — powtarzał — fantastyczne! Najlepszy dowcip w tym tygodniu!

Minęła pierwsza w nocy, kiedy Nina uchyliła drzwi małego mieszkania niedaleko Prateru, do którego schroniła się pod koniec wieczoru. Stał przed nią Jaro Smolsky, z rękami w kieszeniach nieprzemakalnego płaszcza. Rondo kapelusza rzucało cień na jego twarz i Nina widziała wyraźnie tylko jego usta.

—Nie chciałaś mi otworzyć, Nino? Od kiedy to zamykasz drzwi na łańcuch? Nie chciałaś, żebym wszedł?

—Jesteś świnią — oświadczyła, ale odsunęła się od drzwi, a szlafrok z ogniście czerwonej satyny zafurkotał i rozchylił się, ukazując szczupłe uda i wklęsły brzuch. Nina okryła się ze złością i wróciła do sypialni.

Smolsky poszedł za nią, ale zatrzymał się w progu. Zdjął kapelusz i kosmyk włosów opadł mu na oczy. —Przecież nie mogłem nie odprowadzić Carlotty do domu.

—No tak — odparła Nina. kładąc się na łóżku. Zapaliła papierosa. — Wstrętna krowa. I do tego brzydka.

—Brzydka?

— Uważaj, Jaro! Zaraz ci zgaszę papierosa na dłoni — zagroziła Nina.



Jaro usiadł obok niej, wciąż ubrany w mokry od deszczu płaszcz.

—Nierzecznie byłoby, gdybym jej odmówił i nie odprowadził w tej ulewie. Nie uważasz?

— Świnia. Musiałeś się zgodzić, co?

—A ty, z tym Bułgarem?

— Jesteś zazdrosny?

—Możliwe. —Jaro wyjął jej papierosa z dłoni i zgasił w popielniczce.

Nina spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

—Co za idiotka ze mnie, żeby się zakochać w takiej świni. Chodzisz ze wszystkimi. Ze wszystkimi. Co robiłeś z Carlottą?

—Rozmawiałem o polityce — mruknął, pochylając się. Nina zamknęła oczy, kiedy jego usta musnęły jej czoło i ramiona. Ale nie tak łatwo było ją udobruchać.

—O polityce? — zapytała. —I myślisz, że ci uwierzę? O czym jej opowiadałeś?

—Że rosyjski niedźwiedź zapomniał o rewolucji i dał się zamknąć w sowieckiej klatce — mruknął Smolsky, zsuwając płomienny jedwab z ramion Niny. Zaczął gładzić dłońmi jej piersi. — Że kogut galijski traci pióra...

—Ta cycatka mówi, że jestem płaska! — przerwała mu Nina, leżała jednak nieruchomo, poddając się jego pieszczotom.

—Ta cycatka nie ma o niczym pojęcia — szepnął Jaro, pochylając się, by pocałować jej pierś.

—A o Włoszech co jej powiedziałaś? — westchnęła Nina, zamykając oczy. Jaro zaczął rozwiązywać pasek szlafroka. Zsunął miękki materiał z jej bioder; teraz leżała przed nim naga. Zadrżała z rozkoszy.

—O Włoszech? — szeptał Jaro. W półmroku sypialni, słabo rozświetlonym przez nocną lampkę, Ninie wydawało się, że jego głos jest jak hipnotyczna muzyka, a jego wprawne dłonie oplatającej ciało siecią rozkoszy i nieopanowanego pożądania.

—Tak — mruknęła — o Włoszech.

—Że jest tam pewien Mussolini, cierpiący na fatalny przypadek kompleksu Edypa.

—Edypa? — Nina zanurzyła palce we włosach Jaro. — Co ma Edyp do Mussoliniego?

—Prawdę mówiąc, uważam, że nic. — Jaro potrząsnął głową podnosząc się. — Ale Carlotta była pod wielkim wrażeniem i w ogóle nie chciała mnie puścić. Dlatego przyszedłem tak późno. — Uśmiechnął się i zaczął rozpinać płaszcz, ale Nina złapała go za nadgarstki.

—Nie! Nie rozbieraj się — przyciągnęła go do siebie. — Tak mi się podoba. — I przylgnęła do niego, kołysząc biodrami. Kiedy zdołała na chwilę oderwać się od jego ust, krzyknęła: — Dlaczego się we mnie nie zakochasz? Ja za tobą wariuję, ale ty mnie nie kochasz, i... — Jaro zamknął jej usta pocałunkiem. Powoli położył Ninę na łóżku, przytulając i nie przestając całować.

Potem długo leżeli objęci, słuchając deszczu. Ubranie Jaro leżało bezładnie na podłodze. Nina oparła głowę na jego nagim ramieniu. Koniuszkami palców gładziła jego pierś.

—O czym myślisz? — zapytała.

—Nie wiem... o niczym konkretnym. Pływają mi przed oczyma jakieś bezkształtne obrazy. Zасыpiam co chwila, potem znów się budzę. Czuję twoją bliskość.

—Nikt nie umie się tak kochać, jak ty. — Nina przechyliła odrobinę twarz i pocałowała go. — Nikt. Sprawiasz, że jestem szczęśliwa. A ty? Jesteś ze mną szczęśliwy? — Uniosła głowę, by spojrzeć na niego; ciemne loki opadały jej na czoło, makijaż rozmazał się, nadając twarzy teatralny dramatyczny wyraz. — Ale nie, nie odpowiadaj. Nic nie mów. Zadaję ci mnóstwo idiotycznych pytań, jakbym robiła bilans zysków

i strat. Ile szczęścia, ile przyjemności, ile niezadowolenia, ile goryczy... I złość mnie bierze za każdym razem, kiedy się kochamy, że znów nie zdołałam osiąść cię do końca. — Położyła głowę na jego ramieniu. — Daj spokój, nie mów nic... mogłabym spędzać z tobą w łóżku całe dnie i noce i posłać do diabła całą resztę świata. Kiedy mnie dotykasz, mogłabym mieć dwadzieścia orgazmów pod rząd... ale nie chodzi tylko o to.

—Co się dzieje, Nino? Płaczesz? — Jaro przekręcił się i spojrzał łagodnie w twarz Niny, ściągniętą boleśnie i zalaną łzami. — Co się stało?

—Daj mi spokój.

—Nie ma powodów do płaczu — Przebiegł drobnymi pocałunkami ścieżkę, którą płynęły łzy, dotarł do ust i musnął je wargami. — Nie ma o co płakać. No już... nie płacz — uciszał ją, jak się ucisza dziecko.

Z pobliskiej wieży zegarowej dobiegły trzy uderzenia.

Dlaczego się ze mną nie ożenisz? — myślała Nina, tuląc twarz do jego piersi. Dlaczego? Chcę z tobą żyć, błagała go w duchu, chcę na zawsze być przy tobie. Jesteś jedynym człowiekiem na tym przerażającym świecie, który potrafi dać mi ukojenie.

— Chciałabym urodzić ci syna — mruknęła. — Syna. — I nagle odepchnęła go. Zeskoczyła szybko z łóżka, potrząsając głową i przeczesując włosy palcami. — Do diabła, jak zimno — rzuciła. — Idę wziąć prysznic.

W progu odwróciła się jeszcze.

— Podobam ci się? — zapytała cicho, patrząc mu w oczy. Przeciągnęła się teatralnie, musnęła dłońmi piersi. — Podobałabym ci się bardziej, gdybym była cycata jak Carlotta?

— Głupia. — Jaro wyplątał spod kołdry długie nogi i wstał; jednym skokiem dopadł Niny, złapał ją za rękę i pociągnął do łazienki. Pod prysznicem, w szumiących strumieniach wody płynących po ich przytulonych ciałach, znów zaczęli się całować i ze śmiechem mydlili się nawzajem.

Potem stali jeszcze długo, objęci, obmywani ciepłą wodą.

—Kiedy wyjeżdżasz? — zapytała Nina, gdy Jaro owijał ją w ręcznik.

—Za kilka dni.

—Nie możesz mnie tym razem zabrać ze sobą? Nigdy nie byłam w Mediolanie.

—Jestem gościem kolegi po fachu. I przez cały czas będziemy rozmawiali o psychoanalizie. Zanudziłabyś się.

— Coraz częściej jeździsz do Włoch — stwierdziła Nina.

—Mam tam mnóstwo roboty. Konsultacje, zjazdy. Przypadki kliniczne do przedyskutowania. No i jest jeszcze to sanatorium mojego przyjaciela, chyba ci o tym mówiłem?

—Mam nadzieję, że nie przyjmiesz tej propozycji! — wykrzyknęła Nina.

—Nie sędzę. Nie bardzo mam ochotę jeździć w tę i z powrotem między Wiedniem i Mediolanem. Ale muszę z nim przynajmniej przedyskutować sprawę, jeśli...

—No dobrze, dobrze, daj już spokój! Chodzi tylko o to, że znowu wyjeżdżasz i nie będzie cię tak długo.

—Nie długo, tylko kilka dni — odparł Smolsky sucho. Nina przygryzła wargi i zamilkła. Skropiła się francuską wodą kolońską.

—No tak — powiedziała w końcu — nie wiem, co mnie napadło. Nie chcę wtrącać się do twoich spraw. Oboje jesteśmy wolni, po prostu dobrze nam razem w łóżku, i tyle!

Kiedy Smolsky wyszedł, Nina wsunęła się nago pod kołdrę. Objęła poduszkę i przycisnęła do siebie, zamykając oczy. Ależ jestem głupia, pomyślała, ależ głupia, że robię mu sceny jak zazdrosna i przyziemna żona. Jakbym od pierwszej chwili nie wiedziała, że nie będzie mi łatwo rozkochać go w sobie.

—Widział pan cenę?

—Jeszcze nie.

—Proszę spojrzeć... — Mężczyzna siedzący z Kristenfeldem przy stoliku podał mu rachunek.

—*Verflucht!* — mruknął Kristenfeld, kiedy zobaczył sumę. — Najdroższy posiłek w moim życiu.

—Powariowali w tym Salzburgu! — odparł po angielsku ten drugi, targając się za nastroszone wąsy koloru kukurydzy. Był bardzo zirytowany; mówił tonem wysokiego urzędnika, długie lata mieszkającego w koloniach. — Co oni sobie myślą? Że mogą sobie rzucać ceny jak dla milionerów? Tylko dlatego, że mają Mozarta i Zweiga? Tylko dlatego, że każdy kulturalny Europejczyk drepcze pokornie aż na Mónchsberg, żeby dać się oskubać?

Kristenfeld rozparł się wygodnie w foteliku. Zapalił papierosa, rozejrzał się wokół. Restauracja na wolnym powietrzu, obok salzburskiego zamku na szczycie wzgórza Mónchsberg, pełna była turystów, bogatych Austriaków, handlowców, arystokratów, intelektualistów. Dyskretny szmer rozmów, od czasu do czasu pobrzękiwały kryształ i porcelanowe talerze. Geranium i fuksje w porostawianych dookoła wazonach i róż—nokolorowe suknie pań sprawiały, że całość przypominała impresjonistyczny obraz. Wrażenie pogłębiały dodatkowo blade promienie słońca, które pojawiało się i znikało między wysokimi, jasnymi chmurami, pędzonymi przez wiatr. U stóp Mónchsbergu rozciągał się Salzburg, z czerwonymi dachami i barokowymi wieżami, z kopułą kościoła uniwersyteckiego. Błękitny zarys gór przypominał dekorację malowaną na jedwabiu.

Kristenfeld odetchnął głęboko i zatoczył ręką krąg, jakby chciał złożyć ten cudowny widok u stóp swojego towarzysza.

—Ale warto słono zapłacić za to wszystko, nie sądzi pan, drogi panie Wilson?

—Być może. Mój wędzony pstrąg też był doskonały, ale...

—A poza tym ja ureguluję rachunek. Nie mogę przecież udawać, że skromny, nawet jeśli genialny profesor historii, jak pan, dostaje pensję godną swoich zasług. Gdyby tak było, rachunek mógłby zapłacić pan, ale nie wydaje mi się, żeby szwajcarskie uniwersytety były na tyle hojne.

— To prawda — odparł Wilson, ak i tak wyglądał na zirytowanego.

— Mam ochotę na coś mocniejszego — oznajmił Kristenfeld. — Knedle i cała ta wędzona wieprzowina ciężą mi w żołądku. — Pstryknął palcami, przywołując kelnerkę w ludowym stroju.

— Proszę mi więc powiedzieć, jak postępują historyczne badania na temat pańskiego ukochanego Waifensteina? — zapytał Wilson chwilę potem, unosząc kieliszeczek, który Kristenfeld napełnił mu po brzegi. — Mam nadzieję, że posuwają się do przodu.

— Są już prawie zakończone. Znalazłem wiele interesujących danych. Nasz wielki kondotier był doprawdy niezwykłym człowiekiem.

— Nie mogę się nadziwić, że pan, kupiec, tak bardzo interesuje się postaciami historycznymi.

— Tylko Waifensteinem. I nie wie pan, jak bardzo jestem wdzięczny, drogi panie Wilson, że zechciał pan mną pokierować w moich naukowych wysiłkach. Pańskie rady były dla mnie naprawdę nieocenione.

— Niech pan da spokój — uśmiechnął się Wilson. — To logiczne, że chciałem się z panem spotkać przy okazji podróży do Salzburga. — Wyciągnął kieliszek, który Kristenfeld napełnił jeszcze raz.

Ktoś, kto obserwowałby dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku restauracji na powietrzu, dostrzegłby tylko zwykłego zamożnego kupca z zamiłowaniem do historii, który prowadził uczoną dysputę z odwiedzającym Austrię wykładowcą szwajcarskiego uniwersytetu.

Długo rozmawiali o Waifensteinie i o wybitnych talentach tego urodzonego żołnierza, który pojawiał się to tu, to ówdzie podczas całej wojny trzydziestoletniej. W końcu dwaj panowie wstali. Skierowali się powoli do wyjścia z minami ludzi, którzy chcą przejść się trochę po obfitym posiłku.

Zaczęli krążyć ścieżkami wokół górującego nad miastem zamku.

Mury porośnięte były wijącym się bluszczem, ponad nimi gwizdał wiatr.

— W tym zamku chronili się arcybiskupi podczas chłopskich buntów. Tym nieszczęśnikom od czasu do czasu przychodziło do głowy zbuntować się przeciwko niegodnemu życiu, na jakie byli skazani. Wbiegali tu, na górę, wymachując widłami i kosami w nadziei, że będą mogli skoczyć do gardła arcybiskupowi, który ich głodził, i że zdołają go zadusić własnymi rękami. Ale przebiegły arcybiskup, ciach! — zamykał się w środku. A jak wiadomo, ten zamek został zbudowany po to, by być niezdobytą twierdzą. I tak, po wielu próbach dostania się do środka, biedacy wracali do swojego pieskiego życia.

— Słyszałem już tę historię, Kristenfeld — skomentował obojętnie Wilson.

—A tamto? — Kristenfeld skierował palec wskazujący w kierunku równiny. Stała tam niewielka budowla, samotna, oddalona od reszty, dziwnie ciemna. — Wie pan, co to jest?

—Nie.

—Dom kata. Widzi pan? Austriackie domy zwykle są otoczone ogródkiem. Ale dom kata nie. Nie ma ogródka.

—Możliwości są dwie — burknął Wilson. — Albo kaci nie lubią ogródków, albo nie wolno im ich zakładać, zważywszy na ich zajęcie.

Kristenfeld uśmiechnął się krzywo i odwrócił twarz pod wiatr.

—Jeszcze z dziesięć dni i mój człowiek wpadnie mi prosto na patelnię.

—Nareszcie! — powiedział Wilson półgłosem. — Nie mogłem się już doczekać, kiedy przejdziemy do rzeczy.

—W restauracji było zbyt wiele uszu.

—Jest pan pewien tego, co mi pan powiedział? Naprawdę ten pański psychoanalityk byłby skłonny do...

—Twierdzę, że tak. Już od sześciu miesięcy go obserwuję.

—Sześć miesięcy. To całe wieki. Powinien pan trochę szybciej dobierać sobie ludzi, Kristenfeld.

—Szybciej? Według pana organizuję drużynę do gry w kule?

Wilson nie odpowiedział, tylko targał wąsy. Znał dobrze Kristenfelda; jego jedyną wadą była ogromna drażliwość.

—Szybciej! Co za bzdury! — parsknął Kristenfeld. — Niedługo wy tam, w Londynie, rozwaleni wygodnie między papierzyskami, zażądacie, żebym odtworzył moją siatkę szpiegowską w jedno popołudnie.

—Niech pan się tak nie irytuje. My w Londynie dobrze wiemy, że pan jest jednym z naszych najlepszych ludzi.

—W ciągu ostatnich miesięcy zabili mi trzech agentów. Trzech! A wszystko przez śmierdzącego zdrajcę, którego nie sprawdziłem wystarczająco dokładnie.

—Zdraycy są zawsze i wszędzie. To ryzyko, które jest nieuniknione w wywiadzie.

—Ale mnie zależy na własnej skórze. I zależy mi też na skórze moich ludzi. — Kristenfeld odwrócił się i przygarbił, by osłonić od wiatru płomień zapalki. Wydmuchnął dym i rzucił Anglikowi wściekle spojrzenie.

— Dajmy spokój — mruknął w końcu. — Nie spotkaliśmy się dziś, żeby się kłócić. — Ze skórczanego nesera, który postawił na ziemi, wyjął kopertę i wręczył ją Anglikowi. — Dane na temat przemysłu zbrojeniowego we Włoszech.

—Kiedy będą następne?

—Wkrótce.

—To pański psychoanalityk je...

—Prawdopodobnie. Mam nadzieję.

—Nie jest przypadkiem Żydem? —Zapytał Anglik, chowając kopertę.

Kristenfeld zabrał neser wypchany notatkami na temat Wallensteina. Zostawiając Wilsona bez odpowiedzi, wszedł między krzaki osłaniające ścieżkę. Dla niego ta rozmowa była skończona. Postanowił, że zejdzie do Salzburga pieszo. Pieczeń z wędzonej wieprzowiny ciążyła mu w żołądku jak kamień; pomyślał, że może spacer pomoże mu ją strawić. Przed sobą, po lewej, zauważył Anglika; trochę przygarbiony, w skromnym szarym ubraniu, szedł w kierunku kolejki linowej. Był wysoki i chudy; wręcz wymizerowany. Wiatr rozwiewał jego krótkie żółte włosy, na wielkim nosie kiwały się okulary w sztykretowych oprawkach. Niczym się nie wyróżniał. I pomyśleć, zadumał się Kristenfeld, że ten człowiek o fatalnym charakterze, małostkowy, wymagający, a na dodatek straszny rasista, że ten człowiek jest geniuszem intrygi. W kieszeni nosił passport angielskiego profesora historii na uniwersytecie w Bazylei, ale w jego rękach były wszystkie nici brytyjskiego wywiadu, a on potrafił nimi poruszać z wyjątkową maestrią. Był prawdziwym mistrzem Intelligence Service.

—Jakie są proporcje między dobrem i złem zawartym w naturze ludzkiej?

—A czym jest natura ludzka?

—Dla twojego Freuda — mówił agresywny typ, celując w Smolsky'ego papierosem — dla twojego Freuda, który jest znanym pesymistą, człowiek jest perwersyjny jeszcze w kolebce. Pożądliwy! Z wybujałym libido! Potencjalny morderca! Po prostu pięknie!

Słońce rzucało do sali oślepiające promienie; snopy światła padały przez okna na grupę mężczyzn, którzy dyskutowali, stojąc wokół stołu zasłanego książkami i kartkami.



—Freud uchwycił tylko jeden aspekt człowieka, ale nie ma nawet pojęcia, czym jest człowiek w całej swej złożoności!

—Ale nie możesz mu odmówić wielkości, tak jak i Marksowi.

—A dajże spokój! Freud skupił się tylko na tym aspekcie ludzkiej natury, który u osoby normalnej nie jest...

—Normalnej? Co rozumiesz przez normalność? — zapytał Smolskycicho.

—Normalni jesteśmy tylko my, psychoanalitycy. Wszyscy inni są szaleni — zaśmiał się szyderczo ktoś z końca sali.

—Myślisz, że mnie sprowokujesz, pytając, co rozumiem przez normalność? — Rozmówca Smolsky'ego był wściekły. — Ja nie jestem twoim Freudem, dla którego normalność jest szczególnym przypadkiem anomalii, a zdrowie szczególnym przypadkiem choroby. To bzdury!

—Normalny jest osobnik zdolny trzymać na wodzy swoje instynkty — zaczął ujadać inny. — To znaczy taki, który ma poczucie moralności i potrafi żyć w ludzkiej społeczności!

—Nie mówcie Smolsky'emu o moralności. On jest jak jego mistrz, moralność leży mu na żołądku. Szczególnie ta seksualna!

—Prawa moralne są nieodzowne dla podtrzymania naszej cywilizacji i jeśli... — ale Smolsky nie słuchał. Odwrócił się i wyszedł. Ci ludzie kompletnie mylili pojęcia, rozmyślał, schodząc po schodach. Płatali wszystko, wrzucając do jednego worka teologię i naukę, pojedyncze przypadki i uniwersalne teorie. Tam, w środku, nie wyjaśniano niczego, wręcz przeciwnie, zaciemniano jeszcze bardziej. Był zirytowany tą dyskusją, która przyjęła tak niebezpieczny obrót; czuł, że musi strząsnąć z siebie zły humor. Wyszedł na ulicę. Owiało go krystaliczne powietrze, kolory nieba i drzew, ocieniających klomby na placu. Postanowił pójść na Prater. Potrzebował otwartej przestrzeni i ciszy.

Wkrótce spacerował już w cieniu kasztanowców, szczęśliwy, że na świecie istnieją takie miejsca, jak ten ogromny park, pełen zielonych polan i cienistych alejek. Tylko niewyraźne dziecięce głosy zakłócały od czasu do czasu ciszę tego słonecznego wrześniego popołudnia. Daleko, na skraju łąk, które Smolsky dostrzegał między drzewami po prawej, wyłoniły się dwie niewielkie sylwetki jeźdźców, by po chwili zniknąć w lesie.

Jak można mylić moralność z moralizmem? — pytał się w duchu zirytowany, znów rozmyślając o zebraniu. — Jak mogli ignorować fakt, że psychoanaliza nie...

—Przeszkadzam?

Smolsky drgnął i odwrócił się. Stał przed nim dobrotliwie uśmiechnięty Kristenfeld.

—Przeszkadzam? Wydaje się pan bardzo zajęty własnymi myślami, nie chciałbym zawracać panu głowy, profesorze.

—A pan skąd się tu wziął?

—Nie zorientował się pan? Już od dłuższej chwili depczę panu po piętach.

—Od dłuższej chwili?

—Od kiedy wysiadł pan z autobusu, przy bramie Prateru.

—No cóż, moje uszanowanie — powiedział Smolsky, ale Kristenfeld zatrzymał go.

—Ależ nie, proszę nie odchodzić — powiedział. Zabrzmiało to jak rozkaz.

—Ma pan wizytę jutro o czwartej, zdaje mi się.

— Musimy porozmawiać, profesorze Smolsky — odparł Kristenfeld i wskazał ławeczkę. — Usiądźmy.

Smolsky ruszył za nim; z jego nieruchomej twarzy Kristenfeld nie zdołał wyczytać, czy jest wściekły, czy zaciekawiony. Kiedy tylko usiedli, oddaleni od siebie na tyle, by móc patrzeć sobie w twarz, Kristenfeld przeszedł do ataku.

—Zagramy w otwarte karty?

—Tak — odparł bez namysłu Smolsky, jakby spodziewał się usłyszeć takie słowa. — Ale proszę, pan rozdaje. Wtedy otwarcie będzie należało do mnie.

—Według pana to jest poker?

—Jak pan woli. Ja tam umiem grać we wszystko. — Smolsky posłał mu krótki uśmiech. Przez chwilę przyglądali się sobie.

—No więc? Ja już rozdałem. Niech pan otwiera — odparł Kristenfeld.

—Rzeczywiście — powiedział Smolsky. Skrzyżował ręce na piersi. —Nie wymyśliłem jeszcze, czy pan pracuje dla wywiadu angielskiego, sowieckiego czy jeszcze dla kogoś innego.

Kristenfeld gwizdnął cicho. Milczał przez chwilę, a w końcu powiedział:

—To jest co najwyżej dobry fuli z damami, no, może z królami. Tak czy inaczej, nie będę się zatrzymywał, by skomentować pańską diagnozę. Ale po sześciu miesiącach, podczas których obserwowałem pana prawie codziennie, chciałbym panu przedstawić swoją.

—Swoją diagnozę na mój temat? Już mi pan powiedział, że jestem godny zaufania, że jestem człowiekiem, który szanuje życie i inne miłe rzeczy w tym rodzaju.

—Zechce pan być cicho przez chwilę i pozwoli mi mówić?

Smolsky zamilkł.

—Wie pan, że Mussolini został zaproszony przez Hitlera? Jedzie pod koniec miesiąca. Czytał pan o tym w gazetach?

—No tak — stwierdził sarkastycznie Smolsky — sen, który mi pan opowiadał, zaczyna się sprawdzać, co?

—Niech pan da spokój. Proszę mi raczej powiedzieć, czy pan wie, co to oznacza.

—Mogę sobie wyobrazić.

—Faszyzm i nazizm się jednoczą świat rozpada się na kawałki, a pan będzie się temu przyglądał, Smolsky?

—Mówi pan, że dobrze mnie zna, jakiej więc odpowiedzi pan się teraz spodziewa?

—Niech pan słucha, Smolsky — odparł Kristenfeld po chwili namysłu. — Na naszych oczach zaczyna się rozgrywać przerażający spektakl, i pan naturalnie wie, o czym mówię. Nie uważa pan, że to, co się dzieje w wielu krajach Europy, jest przerażające? Zalew faszyzmu i nazizmu, apoteoza reżimu policyjnego najbardziej brutalnego w historii. Włochy, Niemcy, Hiszpania, Rumunia... I co? Co robią w tym czasie ludzie kultury, artyści, pisarze, naukowcy? Przyglądają się, nie zdając sobie z niczego sprawy. Kupują domy w Berlinie, odbierają nagrody, biorą udział w zjazdach, jeżdżą na wakacje. Mają nadzieję, że Hitler okaże się zwykłym bufonem, nie są w stanie zrozumieć i zanalizować rzeczywistości, bo polityka ich nie interesuje. I spędzają wieczory, siedząc na tłustych tyłkach i dyskutując, czy przemoc jest biologicznie wpisana w ludzką duszę, czy też nie. Takim panom chciałbym powiedzieć, że dzięki ich milczeniu i niezdolności do oporu rosną w siłę swastyki, drogi przyjacielu. Ale pan nie jest z tej samej gliny, co ci salonowi intelektualiści. O nie, Smolsky. Pan jest człowiekiem zdolnym walczyć o człowieczeństwo; walczyć nie tylko o siebie, ale i o każdą, nawet najmniej znaczącą istotę ludzką w tej naszej gównianej Europie. Ja wiem, że pan jest taki.

Kristenfeld zamilkł. Jego tłusta blada twarz z lekko wylupiastymi podkrążonymi oczami, miała wyraz bolesnej powagi.

Smolsky zapalił papierosa.

—Mówi pan, że mnie dobrze zna, panie Kristenfeld. Jak to możliwe, że nie bierze pan pod uwagę mojego sceptycyzmu? Ja nie mam złudzeń, jak niektórzy.

—To znaczy?

—Mam przyjaciela, który pojechał do Hiszpanii z Brygadami Międzynarodowymi. Walczy z faszyzmem i może zginąć. Szanuję jego wybór, ale sam nie potrafiłbym zrobić czegoś takiego. Widzi pan, według mnie tacy ludzie jak ten mój przyjaciel trafiają siłą rzeczy pod rozkazy jakiegoś pomniejszego dowódcy, który z kolei pozostaje pod rozkazami innego. To marionetki! Wszystkich trzymają w garści cyniczni politycy, wykorzystujący krew i życie walczących w swoich rozgrywkach o władzę. — Po chwili milczenia dodał: — Widzi pan, ja wierzę w moją pracę. Wierzę w nią tak bardzo, że jestem w stanie całe życie poświęcić psychoanalizie. Nie mam czasu na inne przedsięwzięcia, panie Kristenfeld. Kontynuując moją pracę, prowadzę własną wojnę przeciwko temu, co gnębi człowieka, co go unieszczęśliwia, co wzbrania mu być wolnym. — Smolsky rzucił niedopałek na ziemię i zgniótł obcasem. — Rozumie pan? To jest moja walka.

—Jednym słowem, walczy pan z nerwicami — odparł Kristenfeld. — Ale na co zda się uwalnianie ludzi od nerwic, jeśli potem będą musieli żyć w nazistowskim kraju?

— Ba — mruknął Smolsky — przyznaję, że to może być mocny argument. Fan pracuje dla Anglików?

—Tak. Wierzy mi pan?

—Gdybym pana nie szanował, nie zatrzymałbym się, żeby pana wysłuchać, Kristenfeld. Szanuję pana, więc i wierzę panu.

—A ja szanuje pana, Smolsky. Niech pan dla mnie pracuje.

—Nie — Smolsky wstał z ławki. — Nie chcę być niczym pionkiem, już panu powiedziałem.

—Patrzy pan na całą sprawę z najbardziej idiotycznego punktu widzenia.— wykrzyknął Kristenfeld. — Tu nie chodzi o pionki. Chodzi o zbudowanie barykady, by nie przepuścić wroga. Żeby to zrobić, potrzeba wielu.

—Każdy powinien mieć swoje własne pole działania, panie Kristenfeld. Ja już swoje znalazłem.

—Więc i pan będzie się zachowywał jak inni? — Kristenfeld był rozjuszony. — Więc i pan będzie stał z zamkniętymi oczami do ostatniej chwili, jakby nigdy nic, a potem da pan nogę za granicę i może jeszcze zacznie udawać cierpiącego uchodźcę? Niech mi pan wierzy, już wkrótce Hitler ruszy na Austrię. A może pan zapomniał, co było w trzydziestym czwartym? Wątpię, Smolsky, minęły zaledwie trzy lata! Co pan robi, kiedy naziści zajmą Wiedeń? Czy i pan zapisze się ze śpiewem na ustach do nazistowskiej partii, żeby nie stracić pozycji? Ale czy nikt wam nigdy nie powiedział, wy intelektualści od siedmiu boleści, że tam, gdzie nikt nie ma odwagi się bić, zawsze wygrywa brutalna siła?

Kristenfeld porwał kapelusz z ławki.

— *Verflucht!* — huknął. — Wszyscy jesteście z tej samej gównianej gliny, a kiedy rzezie i katastrofy są już faktem, nikt z was nie jest na tyle uczciwy, by poczuwać się osobiście do odpowiedzialności!

Ruszył alejką w cieniu kasztanowców. W kapeluszu naciśniętym na czoło, z rękami w kieszeniach marynarki, jeszcze bardziej niż zwykle przypominał zwyczajnego kupca, bogatego i trochę nieokrzesanego, który przyszedł pospacerować po Praterze w to wrześnie popołudnie.

A jednak ta samotna postać, znikająca na końcu alejki, pozostawiła w duszy Smolsky'ego, niczym czarny osad, uczucie dojmującego smutku.

Nina Gumpłowicz była zdecydowanie jedną z najbardziej fascynujących kobiet w restauracji. Miała na sobie dopasowaną suknię z krepy, z wąskimi długimi rękawami, zapiętymi u nadgarstków na małe guziczki. Spiczasty dekolot sięgający prawie do pasa zdobił podwójny sznur prawdziwych pereł, którymi Nina bawiła się bez przerwy. Jej mały biust odznaczał się wyraźnie pod czerwonym materiałem, ale ona nie przejmowała się, że prezentuje go tak ostentacyjnie. Za to twarz osłoniła woalką— aby bardziej wyeksponować szkarłatne usta. Uniosła woalkę tylko raz, kiedy kelnerzy podali wino i przekąski. Jej czarne, mocno umalowane oczy miały wokół błyskawice irytacji.

—Popatrz, co to za ludzie. Za każdym razem jest gorzej.

Siedziała ze Smolskim przy stoliku w *Drei—Husaren*, jednej z najelegantszych restauracji w mieście. Obok nich banda Amerykanów, zapewne korespondentów — w Wiedniu było coraz więcej zagranicznych dziennikarzy — sączyła szampana, śmiejąc się głośno i wymieniając fatalną niemiecką znane miejsca w mieście.

—Nie mogliby robić mniej hałasu? I popatrz tylko, jak się bez przerwy gapią. Jakbyśmy byli zwierzętami w zoo.

—To przez twój piękny biust. I pewnie przez to, że wyglądasz jak księżniczka. Pewnie są przekonani, że pochodzisz z rodziny naszego zmarłego cesarza.

—Idioci — syknęła jadowicie Nina.

Podczas kolacji zamienili zaledwie parę słów. Kiedy Nina wstała i zarzuciła na jedno ramię futro z czarnych lisów, mężczyzn przy sąsiednim stoliku przeszedł dreszcz; dały się słyszeć niezrozumiałe komentarze. Kiedy przechodzili obok nich w kierunku wyjścia, Smolsky zaczął się obawiać, że najbardziej rozentuzjasmowany Amerykanin nie wytrzyma i da Ninie porządnego klapsa w pośladki opięte płomiennym materiałem.

—Doprowadziłaś ich do szału — skomentował Smolsky, wsiadając do czarnej limuzyny, najnowszego podarunku Gumpłowicza dla ukochanej wnuczki.

Nina siadła za kierownicą i ruszyła z piskiem opon.

—Zawieź mnie do domu — Smolsky objął jej ramiona. — Jutro wyjeżdżam bardzo wcześnie, a muszę jeszcze przygotować parę dokumentów.

Nie posłuchała go. Przemknęła przez miasto i zatrzymała się w bocznej uliczce niedaleko Prateru.

—Nie pójdziesz sobie — oznajmiła — dopóki się ze mną nie pokochasz. — Wzięła jego dłoń, wsunęła za dekolt sukienki i położyła na piersi. — Ściśnij... — szepnęła bezgłośnie i pocałowała go. Jaro oddał pocałunek.

Objęci, wspięli się po schodach do mieszkania Niny. Kiedy tylko weszli do środka, chciała się kochać natychmiast, w korytarzu, oparta o ścianę, jak pokojówka ze swoim żołnierzem w zaułku nad Dunajem.

A potem znów, leżąc w poprzek łóżka, w ciemnym pokoju.

Przez otwarte drzwi wpadało światło z korytarza; Nina prawie nie widziała twarzy Jaro.

Potem leżała przytulona do niego, nie obejmując go, a raczej trzymając się go kurczowo.

Wyjeżdżał, drań jeden, jutro wyjeżdżał, a ona wiedziała, że przecierpi każdą minutę rozstania, że w każdej minucie będzie o nim myślała, aż do jego powrotu. Kochaj mnie, błagała w myślach, z żadną inną nie jest ci tak dobrze. Powiedz, że tak jest. Ale Smolsky milczał.

Wyjeżdżał i zostawiał ją samą. Nie dbał o jej cierpienie.

—Przecież będę z powrotem za parę dni — szepnął, jakby czytał jej w myślach.

A idź do diabła, pomyślała Nina. Zapra gnęła zadać mu ból.

—Pocieszę się Bułgarem — odparła.

—Naprawdę?

—Podoba mi się. Wygląda na bardzo zmysłowego mężczyznę.

Jaro przeczesał palcami jej włosy, odgarniając loki z czoła, ale nie odpowiedział.

—Jaro... — Nina zmieniła ton. Mówiła cicho, nieśmiało.

—No co?

—Coś ci jest. Od kilku dni, nie wiem. Jesteś jakiś niespokojny... albosmutny. Jakbyś bez przerwy błędził gdzieś myślami. Masz jakieś zmartwienie?

Nie odpowiedział od razu.

—Coś ty — skłamał w końcu. — Nic mi nie jest.

—Bzdury. — Nina oparła się o niego i przytuliła twarz do jego policzka, szorstkiego od zarostu. — Nie mogę sobie dziś znaleźć miejsca.

—Zauważyłem.

—Boję się, jakby miało się coś stać. Jakby tobie miało się coś stać.

Jakby to był ostatni raz, kiedy się z tobą Kocham.

Jaro odsunął ją i pocałował gwałtownie.

—Co za pomysł, Nino. Co miałyby się stać?

Wrócił do domu pieszo, zamyślony, znów przygnieciony tym dręczącym smutkiem, od którego nie był w stanie się uwolnić. Na ciemnym niebie, między dachami domów przebłyśkiwały gwiazdy.

Przed wejściem czekał jakiś cień. Oderwał się od muru, kiedy Smolsky już miał włożyć klucz do zamka.

—Muszę z panem pomówić. Tylko dwa słowa. Chcę prosić o przysługę.

Światło wiszącej lampy wyłowiło z mroku twarz Kristenfelda.

—O tej porze? — Smolsky zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu paczki papierosów. Znalazł ją, ale była pusta. Kristenfeld poczęstował go swoim.

—Tylko kilka minut.

—Słucham. — Byli już w gabinecie Smolsky'ego. Obaj palili; Jaro, stojąc oparty o biurko, Kristenfeld, siedząc na kanapie.

—Pan jedzie jutro do Mediolanu.

—Owszem.

—Mam bliskiego przyjaciela w Stresie, nad jeziorem Maggiore. Wyszukał dla mnie bardzo interesującą książkę, potrzebną do mojej pracy o Waifensteinie. Chciałbym ją dostać jak najszybciej.

—Niech ją panu wyśle.

—To bardzo cenna książka, profesorze. Nie można powierzyć poczcie historycznego tekstu, szczególnie tak unikalnego i trudnego do zdobycia.

—We Włoszech poczta funkcjonuje doskonale.



—Do Stresy jest niecała godzina jazdy pociągiem z Mediolanu. Bardzo chętnie pojechałbym osobiście. Ale praca, wie pan, chwilowo nie mogę się ruszyć. Proszę mi wyświadczyć tę przysługę, proszę pojechać.

Smolsky zgasił papierosa w popielniczce.

—Zgoda. Pojadę.

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

—Dziękuję — burknął Kristenfeld.

Smolsky nie słyszał jeszcze nigdy, by ktoś mówił „dziękuję” w taki sposób.

Kristenfeld wstał.

—Pojutrze ten człowiek będzie punktualnie o piątej siedział w ogródku baru na placu obok moła w Stresie.

Przeszli do korytarza. Zanim Smolsky otworzył drzwi wejściowe, Kristenfeld dodał jeszcze:

—Niech pan trzyma pod pachą egzemplarz „Wiener Zeitung”. — Założył kapelusz. — Do zobaczenia wkrótce — rzucił, wychodząc.

Smolsky wrócił do gabinetu. Miał zamiar zgasić światło, ale zatrzymał się jeszcze przy biurku, z dłonią na wyłączniku lampy. Spojrzał na podłogę. Cały czas tam była — wyblakła plama na perskim dywanie. Już na zawsze. Nigdy nie zniknie. Co powiedział mu Kristenfeld w parku na Praterze, kilka dni wcześniej? Zapytał, czy on, Smolsky, zapomniał już o roku trzydziestym czwartym, o tych wydarzeniach sprzed zaledwie trzech lat? Rzucił się na kanapę. Zapomnieć. Jakże mógłby zapomnieć? Karl leżący na podłodze w kałuży krwi. Obok Greta. Jej jasne loki. Błagalny wyraz jej twarzy. Jej głos: „zrób coś, Jaro — mówiła — zrób coś. Jaro”. Strzały na ulicy, istne piekło. Wszędzie pełno wojska i policji.

Zamknął oczy. Greta... Tamtego dnia, kiedy rozpięła bluzkę, w pokoju na poddaszu, w dzielnicy artystów. Karl został na uniwersytecie przez całe popołudnie.

Smolsky podniósł się gwałtownie. Zjawy zniknęły, przegnane w kąty pokoju albo jeszcze dalej.

— *Alles zum Teufel*\* — powiedział głośno. Zaczął porządkować papiery i układać je równiutkimi plikami w wielkiej skórzanej torbie, którą zawsze zabierał ze sobą w służbowe podróże.

Na stację w Mediolanie przyjechał około trzeciej po południu. Z trudem przeciskał się przez tłum — na chodnikach tłoczyli się chłopcy w czarnych koszulach. Widocznie odbywało się

\* *Alles zum Teufel* (niem.) — do diabła z tym (przyp. red)

jakieś zgromadzenie faszystowskiej młodzieży.

Udało mu się wsiąść do taksówki, która zawiozła go na peryferie miasta.

—Och, profesor Smolsky — roześmiała się starsza pani, otworzywszy mu drzwi mieszkania na ostatnim piętrze. — Nareszcie!

— Pociąg miał opóźnienie. — Smolsky uściskał jej rękę. — Jest Giorgio?

—Jeszcze przez chwilę będzie zajęty. Proszę, proszę, niech się pan rozgości.

Smolsky musiał jednak dość długo czekać w salonie. Z przyległego pokoju dobiegał dźwięczny męski głos; od czasu do czasu odzywał się i żeński, mniej wyraźny.

Smolsky czekał przy oknie, podziwiając wielkie platany na słonecznym skwerze, rozciągającym się przed szarym potężnym budynkiem politechniki. W uliczkach pod gałęziami platanów pojawiali się nieliczni przechodnie.

— Och, proszę wybaczyć...

Smolsky odwrócił się gwałtownie.

—Zostawiłam tu żakiet.

Smolsky zrobił kilka kroków, wychodząc na środek pokoju. Przed nim, w smudze ciepłego popołudniowego światła stała młoda kobieta.

Zatrzymawszy się obok fotela, spoglądała na niego spod wąskiego randa niebieskiego, słomkowego kapelusza.

Smolsky ujrzał wyraźnie jej jasną twarz, okoloną krótkimi prostymi włosami w kolorze lnu. Ciemne oczy, poważne i głębokie. Łagodne usta. Pod lekkim materiałem sukienki dostrzegł pierś, a potem całe ciało, aż do zgrabnych stóp w sandałach na wysokich korkowych obcasach.

Kiedy już dość było uścisków rąk i poklepywania po plecach w gabinecie Giorgia Maraniego, Smolsky zasiadł w skórzanym fotelu ze szklaneczką whisky w dłoni.

—Angielska. Prawdziwy nektar bogów! — wyjaśnił przyjaciel tubalnym głosem.

—Dyrektor sanatorium bawi się w przemytnika. Wstyd! Jak to się ma do twoich faszystowskich sympatii? Myślałem, że Italia nienawidzi tego wstrętnego Albionu. „Boże pokarz Anglików”, tak to idzie? — Smolsky uśmiechnął się, umoczył usta i odstawił szklanekę. Wstał z fotela. Nie mógł usiedzieć na jednym miejscu. Wepchnął ręce w kieszenie i zaczął przemierzać pokój szybkim krokiem.

—Kim była ta dziewczyna? — zapytał w końcu.

—Piękna, co? — roześmiał się Giorgio.

—Tak, piękna. Kto to? Twoja pacjentka?

—Nie ona. Jej ojciec. Tragiczna historia. Zabił strzałem z pistoletu swoją młodą kochankę. No wiesz, to arystokratyczna rodzina, na świeczniku. To był okropny skandal. Ale mają wpływowe znajomości, również w rządzie, i ktoś ważny wstawił się za nimi. Ojciec nie trafił do więzienia, uznano go tylko za umysłowo chorego. Umieszczono go w moim sanatorium, nad jeziorem Maggiore.

Smolsky długo chodził w milczeniu w tę i z powrotem. Giorgio zapalił fajkę.

—Sam poszedłbym z nią do łóżka, choćby zaraz. Widziałeś, jakie nogi? A jaki piękny tyłeczek!

Smolsky nie odpowiedział.

—Był z nią jakiś mężczyzna — stwierdził po chwili.

—Jej brat.

—Jak się nazywa? To znaczy, ona.

—Do licha, bardzo cię interesuje! — uśmiechnął się krzywo Giorgio, nalewając sobie drugą whisky.

Smolsky wzruszył ramionami i rzucił torbę na biurko.—Odwałem za ciebie kawał roboty, zaraz zobaczysz. Zaczął wyciągać pliki notatek.

Skąd ta nagła złość? Ta chęć, by strzelić Giorgia w szczękę? Och, do diabła, skąd ten ucisk w żołądku na widok nieznajomej? Skąd to wszystko? Skąd ta chwia bolesnej słodyczy, kiedy spoglądał na nią, jej przestraszone oczy, piegi na nosie? I te wilgotne różane usta? W tej jednej chwili całe jego ciato przeszył dreszcz, uczucie godne nastolatka. Upuścił z hałasem papiery na biurko.

—Masz, czytaj.

—Daj. — Kolega wziął kilka kartek i zaczął je przeglądać. Nagle podniósł wzrok. — A, pytałeś o jej imię, tak? No więc, ta ślicznotka ma na imię Eleonora. Eleonora Serpieri. Imię też piękne, prawda?

## Rozdział 3

---

—Eleonoro...

Pokój pogrążony był w półmroku. Jacopo z trudem dostrzegł ciało skulone na łóżku.

— Eleonoro?—Ale dziewczyna nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Jacopo ruszył po omacku, uderzył się o róg taboretu, zaklął. Eleonora wciąż się nie poruszała, jakby spała. Musiała udawać, nie da się przecież spać przy tak głośnej muzyce. Jacopo uniósł wieko gramofonu i po chwili Taniec słowiański numer sześć Dvofaka ucichł.

—Zostaw mnie w spokoju, dobrze? — Eleonora była zupełnie przytomna. I wściekła.

—Muzyka jest za głośna — wyjaśnił łagodnie Jacopo. — Matka się skarżyła.

Z łóżka dobiegło skrzypnięcie, Eleonora uniosła głowę.

—Mama? Słyszeć aż tam?

—Jest na tarasie. Mówi, że jej to przeszkadza.

Jacopo podszedł do okna i otworzył je, odsunąwszy wpiery zasłony. Na ulicy pod nim dwie kobiety plotkowały pod rozłożystą akacją— pewnie czyjeś służące; z ich ramion zwisały torby pełne warzyw. Kawalek dalej, drepcząc w tę i z powrotem, kot ocierał się o furtkę domu po drugiej stronie ulicy. Ponad murem okalającym ogród topole wyciągały drżące

ce gałązki, ale nie zasłaniały całkowicie zadbanych rabat i alejek, ozdobionych po brzegach krzewami geranium w donicach. Ucho Jacopo wyłowiło nawet szmer fontanny z białego marmuru, wokół której grzebało w ziemi kilka flamingów. Właściciele, których Jacopo poznał kiedyś w Toskanii, zainwestowali z zyskiem spadek po babce w fabrykę górskich serów, i teraz z pychą właściwą nuworyszom rozkoszowali się

tym prywatnym rajem, położonym dwa kroki od San Babila. w samym centrum Mediolanu.

—Co ty robisz?

—Patrzę na dom naprzeciwko — odparł Jacopo, odwracając się od okna.

—Istny kicz. To nic w porównaniu z naszą willą Bolgheri.

—No tak, ale oni mają oprócz tego mnóstwo pieniędzy.

—Och, przestań! Nie mogę już słuchać o pieniądzach — westchnęła Eleonora.

Jacopo zbliżył się do łóżka.

—A to? — zapytał, schylając się i podnosząc z podłogi kartkę papieru.

—Oddaj — Eleonora wyciągnęła nagie ramię. — To od Paola.

—Jeszcze tego nie podarłaś? — Jacopo był oburzony. Po co przechowywała list od tego idioty? Żeby nad nim płakać, słuchając Dvoraka? Chętnie rozwalilby głowę tej kanalii. Ale po tym wieczorze łajdak wziął nogi za pas i tyle go widzieli.

—Wciąż nie mogę uwierzyć, że Paolo mnie zostawił.

—A niby dlaczego miał nie zostawić, przepraszam bardzo? Siostrzeniec arcybiskupa nie ożeni się z córką mordercy...

—Jacopo!

—...a na dodatek wariata. Szczególnie, kiedy wychodzi na jaw, że dziewczyna nie ma ani grosza, bo drogi tatuś przepuścił fortunę na łajdactwa.

Eleonora przekręciła się z powrotem na bok i ukryła głowę w ramionach. Patrząc na jej błękitną sukienkę na różowej kołdrze, Jacopo przypomniał sobie hortensje w Bolgheri. Westchnął ciężko, ale nie z tęsknoty za starą willą i parkiem ani z powodu katastrofy finansowej, odkrytej kilka dni po fatalnym wyczynie ojca. Wszystko to wzruszało go o niebo mniej niż widok karku Eleonory między zmierzwionymi włosami, błyszczącymi, jasnymi; o niebo mniej, niż piegi, którymi usiana była naga skóra w miejscu, gdzie zaczynało się ramię. Jacopo długo błędził wzrokiem po łuku jej biodra, osłoniętego lekkim materiałem. Przeniósł spojrzenie wyżej; konstelacja piegów na ramieniu znów zapała mu dech w piersi. W końcu, schylając się nad różaną muszlą ucha, szepnął:

—Nie płacz. Nie mogę tego znieść. — Serce podeszło mu do gardła: jeszcze głębiej niż zwykle pograżył się w rozpacz, w której nurzał się dzień po dniu.

Usiadł w nogach łóżka. Eleonora wyciągnęła gołe nogi, pocierając jedną stopę o drugą.

—Daj mi spokój. To są sprawy, które cię nie dotyczą.

—Co ty opowiadasz — odparł Do diabła, pomyślał, muszę jej dotknąć. —Zimno ci?— zapytał, głaszcząc jej stopę; idealnie zadbane i polakierowane na różowo paznokcie były tak śliczne, że miał ochotę je pocałować. — Zimno ci? Tak lepiej?

Eleonora milczała. Jacopo widział teraz jej profil, inteligentne czoło, cień rzęs na policzku, delikatną, ale stanowczą linię podbródka. Wargi, wciąż jeszcze nabrzmiałe od płaczu, wyglądały jak u dziecka.

— Dasz mi przeczytać list od Paola?

—Nie.

— Nie szkodzi — mruknął. I tak już czytał ten list, w dniu, kiedy Eleonora poszła z matką do notariusza. Czuł się jak przestępca, kiedy zakradł się do pokoju siostry. W powietrzu unosił się zapach wody kolońskiej; wszędzie było widać drobne ślady jej obecności: sukienka na krzesle, porozkładane książki, płyty. Zrobiło mu się żal samego siebie; Eleonora odrzucała go, nawet o tym nie wiedząc, niczego nieświadoma.

W kieszeni jej szlafroka znalazł list od Paola, kilka linijek — ta świnią nie zadała sobie nawet trudu, by osłodzić tę gorzką pigułkę. Załatwił sprawę najmniejszym kosztem. Zaczął od najdroższa, po czym następowały bzdury w rodzaju moja matka jest zdruzgotana waszą tragedią i zrozumiesz z pewnością, że rodzina tak spowinowacona z arystokracją waty—

kańską, po czym zakończył na zawsze pozostaniesz najpiękniejszym wspomnieniem mojego życia, ukochana Eleonoro. Ukochana, akurat. Nie wahał się posłać jej do diabła z brutalnością portowego tragarza. Świnią — pomyślał znów Jacopo — brudna świnią, naprawdę miałbym ochotę rozerwać go na strzępy. A na dodatek kto wie, co robili w lesie tamtego nieszczęsnego wieczoru zaręczynowego.

—Nie kochał cię. Gdyby tak było, poruszyłby niebo i ziemię, żeby cię mieć. Nie myśl już o nim. Paolo cię nie kochał.

—Nawet nie wiesz, jak bardzo podnosi mnie na duchu ta myśl! — rzuciła Eleonora z sarkazmem.

—Tęsknisz za nim? Bardzo? — zapytał Jacopo z wahaniem.

—Tak — odparła Eleonora. Podciągnęła nogi i usiadła na łóżku. Pograżona w myślach, kręciła powoli głowę. — Nie wiem... nie, to nie jest tylko tęsknota. To straszny gniew. Coś, co pali mnie w środku, rozumiesz? Coś w rodzaju wstydu... smutku. — Zwróciła twarz do brata. — Wszystko tak bardzo się zmieniło. Nie został mi już nawet Paolo. Byłam pewna, że za niego wyjdę, rozumiesz? A teraz wszystko jest jak jakiś koszmar.

—Naprawdę kochałaś go tak bardzo?

—Wydaje mi się, że teraz go nienawidzę. Jak mógł mnie zostawić po tym, co między nami zaszło?

—Byłaś jego kochanką?

Pytanie zawisło w powietrzu. Przed oczami Jacopo zjawiły się znów dręczące obrazy, jej i tego idioty w lesie. Miękką trawą za krzewami mirtowymi...

—To na tym polegał wasz związek? Byliście kochankami? — wykrztusił. Gdyby odpowiedziała, że tak, że była kochanką Paola, że on naprawdę trzymał ją w ramionach i

całował, gdyby przyznała, że to wszystko rzeczywiście miało miejsce... Jacopo odwrócił się, porażony nagłą świadomością, że dla niej, dla Eleonory, byłby w stanie zabić. Zabić. Mógłbym zabić każdego, kto wyrządza jej krzywdę, pomyślał, kto zadaje jej cierpienie, kto kocha jej ciało nimfy, by ją potem porzucić.

—Nie, nie byliśmy kochankami.—Ta odpowiedź spłynęła na duszę Jacopa niczym balsam na ranę. Ulga, jakiej doświadczył, była nie do opisania.

—Uśmiechasz się?

—Ja? — Chłopak zaczerwienił się. — Nie wiem... Nie uśmiechałem się. Dlaczego?

—Tak mi się wydawało.

—A poza tym z czego miałbym się śmiać?

—Nie wiem, ze mnie, z całej tej historii z Paolem... tyle łez, tyle rozpaczy... a przecież to były raptem cztery całusy. Dziecinada. Tak to widzisz?

—Nigdy nie mógłbym się śmiać z czegoś, co sprawia ci ból.

—Chodzi o to, że czuję się tak strasznie. — Eleonora westchnęła, szukając odpowiedniego słowa. W końcu uniosła ciemne oczy, spoglądając na twarz brata. — Czuję się opuszczona, właśnie tak. To poczucie opuszczenia, pustka, rozumiesz?

—Wiesz — Jacopo wpatrzył się w nią płomiennym wzrokiem — odkryłem, że ja też potrafiłbym zabić. Tak samo jak on, kiedy zabił Olghinę. Biada każdemu, kto cię skrzywdzi!

—O Boże, Jacopo, ja nawet nie chcę myśleć o tym, co się stało.

Jacopo powiódł za nią domyślnym spojrzeniem, kiedy boso podeszła do gramofonu. Obserwował jej gesty, kiedy uruchamiała mechanizm. Dzikie nuty słowiańskiego tańca rozległy się w cichym pokoju, pierwotne, jakby pochodziły z najdalszych horyzontów, ze spalonych słońcem bezkresnych stepów, po których galopują kolorowi jeźdźcy o skośnych mongolskich oczach.

Wchodząc do salonu. Eleonora natychmiast pożałowała, że nie zmieniła sukienki.

—A, jest nasza dziewczynka! — Na jej spotkanie wyszedł z uśmiechem mężczyzna. Od jego opalonej twarzy odcinały się wyraźnie śnieżnobiałe zęby. — Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że znów cię widzę.

— Nie przywitasz się z Nicolą? — zapytała matka lodowatym tonem. Eleonora pośpiesznie wyciągnęła rękę, gestem wyćwiczonym przez długie lata wychowania przez zakonnice.



Mężczyzna uściskał jej dłoń obiema rękami. W jego oczach dostrzegła błysk, który prześladował ją od dziecka.

—Jak się masz, Nicola? — zapytała głosem tak zgaszonym, że mężczyzna wybuchnął śmiechem.

—Cóż za entuzjastyczne powitanie.

—Musisz jej wybaczyć, Nicola — wtrąciła się Gisla. — Biedna mała jest wciąż tak zdruzgotana tą tragedią... — Eleonora pojęła w lot, że matka domagała się — żądała wręcz! — mniej oziębłego zachowania z jej strony. Uwolniła palce z dłoni mężczyzny, ale zmusiła się do uśmiechu.

— Nie, nie wysilaj się — powiedział Nicola. Wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę tarasu. — Myślisz, że tak trudno mi zrozumieć, jak się czujesz? Czego doświadczasz? Przez co przechodzisz?

Zatrzymał się w progu oszklonych drzwi. Położył dłonie na ramionach Eleonory i odwrócił ją w taki sposób, by móc przyjrzeć się jej twarzy w gasnącym świetle popołudnia, przesączającym się między liśćmi klonów japońskich.

— Wypiękniałaś — szepnął — ale nie do twarzy ci z tym przestraczem w oczach. Powinnaś mieć w sobie dumę królowej. Nordyckiej królowej.

Eleonora nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czują za plecami obecność matki, jej dezaprobatę, że wpadła do salonu w byle jakiej sukience, w starych sandałach, nieuczesana. Eleonora cofnęła się odrobinę, by wysunąć się spod dłoni Nicoli.

—Nie wiedziałam, że cię tu zastanę — powiedziała grzecznie.

Nicola zapalił papierosa.

—Byłem w Forte. Kiedy tylko przyjechałem, wpadłem, żeby się z wami przywitać. Jak się czujesz w Mediolanie?

Eleonora wzruszyła ramionami i wyszła na taras. Usiadła na białym wiklinowym foteliku. I cóż ona mogła powiedzieć Nicoli Martiniemu? Był jej kuzynem trzeciego, czwartego czy którego tam stopnia, czterdziestoletnim, przystojnym i nieprawdopodobnie bogatym właścicielem domów, ziemi, ale przede wszystkim fabryki broni. Był też człowiekiem, który dziesięć lat temu przestraszył ją śmiertelnie w parku Bolgheri, za łanem trzciny, kiedy to pochylił się nad nią i przycisnął nagle do siebie; zaczął ją całować po twarzy i po ramionach, chudych i spiczastych — ramionach dziewczynki, która nie miała jeszcze w sobie nic z kobiety. Eleonora zerwała kwiat z rosnącego obok krzewu peonii i zaczęła obracać go w palcach.

Nicola usiadł na wprost niej i uśmiechnął się łagodnie.

—No więc? Czy tak trudno mi odpowiedzieć?

—Nie wiem, co powiedzieć...

—Podoba ci się Mediolan?

Eleonora rzuciła mu krótkie spojrzenie.

—Nie.

—Żal ci Bolgheri?

—Tak. I Florencji.

—Mówiłam ci, Nicola, że nie mamy już domu we Florencji? — Matka Eleonory usiadła na bujanym fotelu. — Willę na Capri też lada chwila stracimy.

Nicola machnął ręką.

—Ależ tak, Gislo, oczywiście, że wiem wszystko! Przecież to ja poleciłem ci notariusza, pamiętasz?

—No tak. — Gisla pochyliła się do stolika, na którym w wiaderku z lodem stało kilka butelek. Jej ręka zawahała się, jakby Gisla nie miała siły obsłużyć się sama.

Eleonora zerwała się z miejsca, zaniepokojona jej sztywnym uśmiechem. Nie cierpiała, kiedy matka była na nią zła, a teraz właśnie była i to jeszcze jak!

—Życzysz sobie czegoś? — zapytała usłużnie, jakby zwracała się do chorej, którą trzeba chronić, która wymaga opieki. — Coś mocniejszego?

—Trochę fernetu. Z wodą i lodem. Ale niedużo alkoholu. Wiesz, że nie lubię — Gisla przymknęła oczy.

Eleonora przygotowała starannie drinka i podała go matce.

—Tak dobrze?

—Idź, usiądź. — Eleonora pośpiesznie spełniła polecenie.

Nicola przysunął do niej swoje krzesło. Eleonora widziała spod przymkniętych powiek jego jasne buty z miękkiej skóry i wywinięty mankiet spodni z białego lnu.

—Słyszałem, że Paolo cię zostawił.

—Tak — wtrąciła Gisla. — Zostawił ją Ulotnił się, wielki pan! — Odstawiła na stolik pustą szklankę. — Zawsze uważałam, że jest pospolity.

—A ty? — Nicola wyciągnął rękę i dotykając palcem wskazującym podbródka Eleonory, zmusił ją by uniosła głowę. — A ty co powiesz?

—Co mogę powiedzieć? — Odsunęła grzecznie jego rękę.

—Przykro ci?

—Och, nie, uznałam, że to zabawna historia. Doprawdy przekomiczna!

Nicola wybuchnął śmiechem.

—Zgoda, masz rację. Zadaję ci banalne pytania. — Śmiał się naprawdę bardzo sympatycznie, n/e mogła na niego nic spojrzeć. Kobiety musiały za nim wariować — był smukły, opalony, miał kasztanowe włosy leciutko przyprószone siwizną, szlachetne rysy, dłonie wąskie i delikatne. Ruchy swobodne i arystokratyczne — ruchy bardzo bogatego i pewnego siebie człowieka. Za to Paolo wydawał się jakiś niezgrabny — pomyślała Eleonora — jakby zawsze krępowało go to jego potężne ciało dużego chłopca, który namiętnie uprawia sport. Ale Paolo miał tylko dwadzieścia cztery lata. Dopiero teraz zorientowała się, że myśli o Paolu jakby umarł, jak o kimś, kto zniknął ze świata, kogo przyszłość zupełnie jej nie obchodzi.

—Dlaczego się z nim zaręczyłaś?

Eleonora wzdygnęła się,

—Znim... z Paolem?

—Tak, a z kimże by?

—Poznali się na Capri — wtrąciła się znowu Gisła. — Wiesz, jak to jest. Przyjęcie... potem on ją odnalazł, rodzina była doskonała, a przede wszystkim... — Gisła zniżyła głos — Saverio, uwierzysz? To on przy tym obstawał. Mówił, że Paolo byłby doskonałą partią dla Eleonory.

— A jednak nie. Mylił się. Znam Paola Delii Vielli i sporo o nim wiem. Jest dość głupi, jak wszyscy ci, którzy wariują za samochodami. Dla niego istnieją tylko bugatti. No i kobiety, oczywiście. Nie byłabyś z nim szczęśliwa, Eleonoro. — Nicola uśmiechnął się do niej z otuchą. — Zdradzałby cię z wyścigami samochodowymi i ze służącymi. Lepiej, że to się skończyło. Uwierz mi.

—Wyścigi samochodowe i służące, tak? — odparła obrażona Eleonora. — Twoja diagnoza na temat mojego małżeństwa jest doprawdy pocieszająca. Teraz powinnam się ucieszyć, że wszystko wywróciło się do góry nogami, bo ty przyszedłeś mi pogratulować, że uniknęłam niebezpieczeństwa.

Nicola roześmiał się bezgłośnie, ale matce nie było do śmiechu.

—Uważasz się za bardzo dowcipną Eleonoro? — zapytała tonem, jakim ucisza się dziecko, dumne, że nauczyło się brzydkiego słowa.

—Daj spokój, twoja córka pokazuje, że nie brak jej hartu ducha. —Nicola nie odrywał oczu od Eleonory. — Hartu, który kontrastuje tak fascynująco z jej urokiem.

Ale Eleonorze wydało się, że w jego tonie wyczuła ślad złości, jakby chciał ją skarcić, że nie dała się całkowicie ujarzmić i oczarować. Ale może to tylko moje wrażenie, zgaśniła się w duchu. Może po prostu jest przewrażliwiona z powodu tego wszystkiego, co zważyło jej się na głowę od dnia sławetnych zaręczyn. A poza tym — przyjrzała się Nicoli, który nalewał sobie drinka — poza tym wciąż jeszcze żyło w niej nieprzyjemne wspomnienie tamtego popołudnia w Bolgheri, tamtego uścisku za trzciniowymi zaroślami. Pamiętała doskonale, że miała wtedy na sobie różowe krótkie spodenki z małymi, białymi słonikami na brzegach nogawek.

—Napijesz się? — Nicola właśnie napełniał dla niej szklanekę z rżniętego kryształu. — To mięta.

Eleonora wyciągnęła machinalnie rękę.

—Dziękuję.

Nicola roześmiał się.

—Te twoje gimnazjalne maniery są wspaniałe. Mają wyjątkowy charme. — Spojrzeli na siebie. Eleonora nabrała pewności, że kuzyn wie doskonale, o czym myślała przed chwilą tu, na tym tarasie tonącym w zieleni i kwiatach, gniotąc w palcach biedną peonię, która zdążyła się już zamienić w rdzawy strzępek.

Zaczerwieniła się i pośpiesznie, długimi łykami wy piła zielony płyn, gęsty i aromatyczny.

—Pójdiesz się przebrać, Eleonoro? — Gisla machnęła w powietrzu wąskimi palcami z błyszczącymi, wypukłymi paznokciami w kolorze rubinu. — Daj mi papierosa, Nicola.

—Palę francuskie, są bardzo mocne.

Gisla opuściła bezwładnie rękę.

—Idź, przynieś moje, kochanie. Są w moim pokoju.

Eleonora pośpiesznie przeszła na drugi koniec domu, znalazła papierosy na stoliku matki obok szczytki z cyzelowanego srebra. W lustrze napotkała odbicie własnych oczu. Pochyliła się i przyjrzała uważnie swojej twarzy, skrępowana, jakby wpatrywała się w obce. Nieodgadnione oblicze. To była ona, jej oczy, ciemne i odrobinę wydłużone, podkrążone ze zmęczenia — podbite, jak mawiała ochmistrzyni — to była ona. Jej włosy, krótkie, sięgające za ucho, z przedziałkiem z boku, takie jasne — jak to powiedział Nicola? — jak u nordyckiej królowej.

Odwróciła się gwałtownie od lustra. Wróciła do salonu. Szła bardzo cicho. Oszklone drzwi na taras były szeroko otwarte, dobiegały przez nie głosy matki i Nicoli. Eleonora przystanąła i wstrzymała oddech.

—Ożenić się z nią?

—To dla ciebie szokujące?

—Nie, jestem tylko zaskoczona.

—Naprawdę nigdy niczego nie zauważyłaś?

—Niby czego?

Nastąpiła chwila ciszy.

— Twoja córka... nigdy się nie ożeniłem. Ona jest jedyną kobietą, która mogłaby zostać moją żoną. — Głos Nicoli był cichy, ale jej wydał się jak huk gromu. Jej serce zaczęło bić nierówno.

— Naprawdę... — teraz mówiła matka — naprawdę, nigdy bym się nie domyśliła.

—Saverio o tym wiedział. Prosiłem go, by pozwolił mi się z nią ożenić. Rok temu.

— Naprawdę? Mój mąż nigdy mi o tym nie powiedział. — Kolejna pauza, po której rozległ się śmiech Gisli: — A zresztą, nic mi nigdy nie mówił.

Znów chwila ciszy. Wiatr wydał firankę, na granatowy dywan upadło kilka płatków z bukietu róż, przekwitającego w wielkim wazonie z miśnieńskiej porcelany.

—I co ci odpowiedział Saverio? — Po tonie jej głosu Eleonora poznała, że matka jest bliska płaczu. Gwałtowna fala litości sprawiła, że napięta uwaga dziewczyny zelżała na moment; Eleonora położyła dłoń na gardle. Znów miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce.

— Saverio się wściekł — mówił w pośpiechu Nicola — nazwał mnie nawet staruchem. Powiedział, że taki staruch jak ja na pewno nie ożeni się z jego córeczką z jego dziewczynką. W końcu Eleonora miała dziewiętnaście lat, a ja trzydzieści osiem. Minął rok, różnica jest ciągle taka sama... — Po chwili przerwy mówił dalej: — Twój mąż mnie nie cierpiał. Leżały mu na żołądku pewne zamierzchłe sprawy spadkowe, które poróżniły nasze rodziny. Ale nazywać mnie staruchem w wieku trzydziestu ośmiu lat... —Nicola zamilkł, dając jasno do zrozumienia, jak absurdalna była odmowa Saveria, właśnie jego, który w wieku czterdziestu pięciu lat zwariował dla dwudziestojednoletniej Olghiny Gheraldi — zwariował do tego stopnia, że posunął się do morderstwa.

W ciszy rozległo się pobrząkiwanie kostek lodu w kryształach. Po chwili odezwała się Gisla:

—Ty i Eleonora... moja córka jest dziewczyną tak bardzo...

—Chciałbym się z nią ożenić jak najszybciej. Najpóźniej za miesiąc.

—Tak szybko!

—Na razie nic jej nie mów. Zmieńmy temat. Eleonora wraca. — Wysoka postać Nicoli zarysowała się w drzwiach na taras, na tle klonów i różowego wieczornego nieba.

Eleonora ukryła przestach i udała, że przysłała w tej chwili. Przeszła obok Nicoli; nie patrząc na niego, podała matce papierośnicę.

— Proszę. — Przywołała na twarz niewinny uśmiech, jakby dla niej wszystko wyglądało tak samo, jak przed pięcioma minutami, kiedy wyszła i zostawiła ich samych. — Idę się przebrać — powiedziała tonem grzecznej dziewczynki, która wie, że do kolacji trzeba włożyć odpowiednią sukienkę, umyć ręce i uczesać włosy.

Nicola uparł się zamówić stolik u Saviniego. Eleonora przebrała się w sukienkę z jedwabnego trykotu w kolorze nocnego nieba, ściągniętą w tali srebrnym paskiem. Srebrne były też sandały na wysokim obcasie.

Kiedy przeglądała się w lustrze, czesząc włosy, ujrzała siebie taką jaką chciała się widzieć — dorosłą kobietę z biustem, który odsłaniał duży dekol; kolor sukienki podkreślał barwę jej włosów, cery, oczu. Eleonora przytrzymała srebrną spinkę loczek nad skronią. Odrobina różu u szczytu kości policzkowych nadała jej twarzy lekko gorączkowy wyraz. Spodobała się sobie. Zastanawiała się przez chwilę, czy założyć bransoletkę, ale ostatecznie zrezygnowała. Pobiegnęła do salonu, gdzie matka i Nicola już na nią czekali.

Oprócz nich przy stole u Saviniego siedzieli także Mignon Venditti i jej mąż, Lorenzo. Przez całą kolację rozmawiali o krawcach, modzie i modelkach. Mignon, która założyła właśnie piąty dom mody w Montenapoleone, bez przerwy narzekała na zarządzenie, które nie pozwalało jej sprowadzać angielskich i francuskich materiałów i zmuszało ją do szycia jej słynnych toalet z jedwabiu z Como, który uważała za okropny.

Goście siedzący przy sąsiednich stolikach odwracali od czasu do czasu głowy w ich stronę. Wieść o skandalu z udziałem hrabiego Serpieri obiegła wszystkie salony. Eleonorze ta ciekawość wydawała się nieprzyzwoita; dla matki mogła być wręcz obraźliwa. Ale Gisla ukrywała swoją tragedię za marmurowym obliczem, wyniosła i wspaniała w czarnej sukni, która sugerowała żalobę, choć na pewno nie z powodu śmierci Olghiny. To było jak wyzwanie — niech sobie nie wyobrażają, że będzie siedziała w domu i udawała mniszkę tylko dlatego, że jej mąż zwariował.

Eleonora poczuła nawet dla niej swego rodzaju podziw, ale przez całą kolację nie powiedziała ani słowa.

Nicola siedział naprzeciw niej. Za każdym razem, kiedy Eleonora podnosiła wzrok, napotykała jego jasne zimne oczy i przesywał ją dziwny dreszcz. Jadła z apetytem, pochłaniała wręcz krewetki w różowym sosie, makaron z grzybami, pieczeń i groszek; kawałek tortu ze śmietaną zniknął z jej talerza w okamgnieniu.

— Przy kolacji opychałaś się jak służąca — Gisla była oburzona. — Nie miałam pojęcia, jak cię powstrzymać. Wydaje ci się, że to odpowiednie, obżerać się w taki sposób? A przecież nie można powiedzieć, żebyś była chuda jak szczapa. — Weszła do pokoju Eleonory z głośnym szelstem białego szlafroka. Dziewczyna paliła papierosa, leżąc na łóżku, słuchając muzyki i gapiąc się w sufit, ozdobiony blad różowymi zawijaszami.

— A więc na dodatek się pali? — Gisla wyrwała jej papierosa. — Wstawaj, nie leż tak — warknęła z takim obrzydzeniem w głosie, że Eleonora zerwała się przestraszona. — Wyłącz to — rzuciła Gisla, wskazując ruchem głowy gramofon.

— Ubrałaś się jak fordanserka i jadłaś jak... jak... — Gisla zamilkła.

Słowo „świnia” nie mieściło się w jej słowniku. Poszła zgasić papierosa w popielniczce. W końcu, po chwili ciszy, zapytała: — Myślisz, że cię kocham?

Pytanie matki zaskoczyło Eleonorę do tego stopnia, że opadła na krzesło, zbyt oszołomiona, by odpowiedzieć. Od kiedy to matka miała ochotę rozmawiać o miłości, przywiązaniu, w ogóle o uczuciach?

— No więc? Nie słyszałaś? Kocham cię?

— Tak... ja... ja myślę, że tak. Jesteś moją matką...

— A! — Gisla roześmiała się pogardliwie. — Twoją matką! Miłość matczyna nie jest wcale taka oczywista. Ani trochę, ani trochę. — I zaczęła spacerować w tę i z powrotem po pokoju. Eleonora śledziła ją spojrzeniem z dłońmi zaciśniętymi na podolku i pustką w głowie, kompletnie zdezorientowana jej słowami i wizytą. Matka prawie nigdy nie przychodziła do jej pokoju. Ostatnio zdarzyło się to niecały rok temu, we Florencji. Eleonora wyszła wtedy z Paolem, znali się od niedawna. Kiedy wróciła, spóźniwszy się na kolację, zastała swoje szafy i szuflady pootwierane i puste, a cała zawartość — sukienki, bielizna, swetry, zeszyty i książki, listy i niezliczone dziewczęce szpargały — wszystko leżało wymieszane na podłodze, na wielkiej kupie pośrodku pokoju. Zrobiła to Gisla. Stanąwszy w progu, oświadczyła, że od tej chwili Eleonora ma się wreszcie nauczyć utrzymywać porządek w szafach i szufladach. Eleonora zastanawiała się, dlaczego właśnie teraz przypomniał jej się tamten epizod.



Intuicyjnie wyczuła, że ogarnął ją taki sam strach jak wtedy, taka sama bolesna niemoc. A przecież po tamtej historii w jej szafach i szafkach nie było już nigdy bałaganu; wszystko było idealnie poukładane.

—Widziałam cię doskonale. Eleonora poderwała głowę.

—Widziałas?

—Posłałam cię po papierosy, prawda? Widziałam cię, kiedy wróciłaś. Siedziałam w bujanym fotelu i widziałam twoje odbicie w szybie. Zatrzymałaś się na środku salonu i stałaś tam, słuchając, o czym rozmawiamy z Nicolą.

Eleonora poczuła, że się czerwieni. Przygryzła wargi. Milczała.

—Brawo! Bardzo pięknie! Podszuchiwanie. Ciekawa jestem, od kogo się tego nauczyłaś. Mam nadzieję, że nie od zakonnic. Może od ojca?

—Rozmawialiście o mnie... — usprawiedliwiła się Eleonora. Była na siebie wściekła. Jak mogła nie zauważyć, że szyba zdradza jej obecność? Zacerwieniła się jeszcze bardziej. Zrobiła z siebie żalosne widowisko, przystając na środku salonu i nadstawiając ukradkiem uszu, pewna, że nikt jej nie widzi, ciekawska i niedyskretna.

—To wulgarne. Uważam, że jesteś naprawdę wulgarna! — stwierdziła Gisla, która sama nigdy nie bywała wulgarna. Wulgarność była grzechem śmiertelnym, popełnianym tylko przez ludzi, z którymi nie utrzymuje się stosunków.

—A potem jeszcze zakładasz tę sukienkę z dekoltem do pępka! I opychasz się w restauracji, jakby w domu nie było już nic do jedzenia!

Eleonora siedziała z pochyloną głową. Sama chętnie dałaby sobie w twarz — nie znosiła, kiedy matka się na nią gniewała. Nie mogła znieść widoku matczynej twarzy, na której malował się ten wściekły wyraz warg zaciśniętych w cienką kreskę, lodowatych oczu — traciła niemal swoją urodę, ona, najpiękniejsza kobieta, jaką Eleonora w życiu widziała. Nieznośnie było widzieć ją w takiej furii, w takim gniewie. Nie, przyrzekła sobie dziewczyna, już nigdy nie popełni żadnego błędu! Będzie chronić matkę przed wszystkim, co mogłoby ją zirytować, będzie unikać wszelkiego nieposłuszeństwa, najdrobniejszej niedoskonałości, by matka nie mogła jej niczego zarzucić, na nic się poskarżyć, niczego skrytykować.

Postanowiła, że od dziś będzie się zachowywać nienagannie — nie była w stanie znieść jakiegokolwiek nagany ze strony matki, a tym bardziej jej gniewu.

Zorientowała się, że płacze w samą porę, by pospieszenie zetrzeć łzy z policzków, zanim zauważy je Gisla; widok jej łez rozżłościłby matkę jeszcze bardziej. Gisla nigdy nie płakała.

—Słuchasz mnie, czy nie?

Eleonora podskoczyła.

—Ja... nie, nie słyszałam.

— Więc powtarzam ci, że Nicola będzie doskonałym mężem. Właśnie tak! W przeciwieństwie do tego tłściocha Paola! — Biedny Paolo nie był przecież żadnym tłściochem. Owszem, był masywny, może trochę niezgrabny i przyciężki. ale nie był grubasem; na myśl o nim Eleonora poczuła ostre ukłucie tęsknoty za kosmykiem jasnych włosów, opadającym na oczy. za dużymi dłońmi, zaciśniętymi tak podniecająco na drewnianej kierownicy bugatti.

— Słuchasz mnie, moja droga? — wycodziła Gisla, stojąc przed nią.

—Tak...

— Musisz wyjść za Nicolę. I nie rób mi tu takiej przerażonej miny, jakby jego oświadczyiny były dla ciebie nowością. Myślisz o tym, od kiedy podsłuchiłaś nas na tarasie, prawda? Bo niby po co włożyłaś tę sukienkę i nałożyłaś tyle różu na policzki, jeśli nie po to, by się bawić kokietką i jeszcze bardziej mu się spodobać? Czy nie dlatego się tak wy pacykowałaś?

Eleonora milczała. Oczyma duszy ujrzała się znów za łańcem szuwarów w parku w Bollghe-ri. Na ziemi, w trawie, leżała biała bluzeczka w słoniki.

—Nie siedź jak kukła, Eleonoro. Mówię o twoim życiu i przyszłości. Nie wiesz, że twoja przyszłość jest moim głównym zmartwieniem, teraz, kiedy jesteście zrujnowani, bez pieniędzy, zmuszeni do mieszkania tutaj... — Gisla zatoczyła pogardliwie ręką, jakby chciała wskazać całe to mieszkanie: trzysta pięćdziesiąt metrów kwadratowych na najwyższym piętrze, z tarasem ozdobionym kwiatami i japońskimi klonami, na końcu via Mozart, w samym sercu Mediolanu.

— A willa na Capri? Nie ma. Zlikwidowana. Stracona. A dom we Florencji,.. cały majątek, który był w środku, obrazy, fortepiany, cenne dywany? Nie ma. Wszystko stracone. Chyba że... — Gisla zamilkła, ale po chwili podjęła gniewnie: — Twój ojciec nas zrujnował. Zrujnował! Nie mówiąc już o ludziach, plotkach, złośliwościach. Niełatwo mi zachować obojętność, być ponad to. Kiedy wychodzimy, prześladują mnie ich spojrzenia! — Gisla mówiła coraz bardziej wzburzonym tonem i coraz szybciej przemierzała pokój, odwracając się nagłym sztywnym ruchem po kilku krokach. — Jesteśmy skończone! Na bruku! Zrujnowane! A twój brat? Jacopo! Cóż za rozczarowanie. Żeby się choć zapisał na uniwersytet! Żeby choć wykazał trochę energii. Mógłby się zająć naszym ubogim majątkiem, tym, co zostało. A on nic, po całych dniach robi Bóg wie co, z głową w chmurach. — W końcu przystanęła i umilkła na chwilę, która Eleonorze wydawała się nie mieć końca. Usiadła na łóżku.

—Daj mi papierosa — mruknęła. — Twojego. Nie udawaj, że nie masz, skoro i tak odkryłam, że palisz.

Eleonora przypaliła jej papierosa zapalniczką, którą podarował jej Paolo — była to jedyna pamiątka, jaka jej po nim została. Pierścionek musiała zwrócić; notariusz Nicoli wziął go w depozyt i przekazał rodzinie Delii Vielli.

Gisla wydmuchnęła dym.

—Wyjdiesz za Nicolę.

Eleonora nie odpowiedziała.

—Wyjdiesz za Nicolę. W twoim życiu znów zapanuje porządek. Szacunek. Normalność. Bezpieczeństwo. Koniec z zamieszaniem, niepewnością, z ciągłą udręką podejmowania decyzji w sprawach finansowych, z których przecież nigdy nic nie rozumiałam. Potrzebny nam zaradny mężczyzna... Nicola.

—Ale...

—Posłuchaj, Eleonoro, nie mów mi nigdy więcej o tym Paolo. Nie podobał mi się od samego początku. — Gisla wstała. Spojrzała na dziewczynę. Jej twarz była teraz prawie słodka. Po krótkiej chwili nawet się uśmiechnęła. — No już, córeczko, zgódź się. Nie przysparzaj mi więcej cierpień. — Stała tak, patrząc na Eleonorę, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

—Tak? — mruknęła Eleonora z uczuciem, że ta zdradliwa słodycz za chwilę ją udusi.

Gisla pogłaskała ją szybko po głowie.

—Wszystko będzie dobrze. Nie rób już takiej smutnej miny.

W progu odwróciła się jeszcze.

—Jutro pojedziesz do Pallanzy odwiedzić ojca w sanatorium. Pociąg jest około dziesiątej. Powiedz mu, że chcę dostać od niego list. Ma w nim napisać, że chciał cię zmusić do małżeństwa z Paolem, ale teraz zdaje sobie sprawę, że macie z Nicolą prawo ziścić wasze marzenie o wspólnym szczęściu. Ma też napisać, że zgadza się ze mną w sprawie twojego wyboru. Zrozumiałaś?

—List? Chcesz dostać taki list? Po co ci on?

—Kochana, czasami jesteś beznadziejna. Doskonale rozumiesz, czego chcę. Potrzebne mi to dla ludzi! Pociąg odjeżdża o dziesiątej ze stacji Varesine. Dobranoc.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Gisla przekręciła dwa razy klucz w zamku. Zdjęła szlafrok i rzuciła go na łóżko. Napieniając fernetem granatową szklankę do mycia zębów, pomyślała o Nicoli, o jego namiętności do Eleonory. Kto by pomyślał, że Nicola Martini od lat nosi się z taką zachcianką? Kto mógłby sobie wyobrazić, że mężczyzna tak oblegany przez, kobiety jak on stra-

ci głowę właśnie dla Eleonory? Że zakocha się do tego stopnia? Teraz, mając wolne pole, rzucił się na nią jak sęp, by ją schrupać. Siadając na brzegu łóżka, Gisla powinszowała sobie tak szczęśliwego obrotu sprawy i wzniosła toast za Nicolę Martiniego, który był w stanie wszystko naprawić?. On miał miliardy, a ona, Gisla, będzie mogła dzięki nim powrócić — jak co roku — do swojej ukochanej willi na Capri, choć wierzyciele łudzili się, że ją stamtąd wypędzą.

Było dwadzieścia po czwartej po południu, kiedy Jarosław Smolsky wysiadł z pociągu. Stacja w Stresie przywitała go zielenią i kwiatowymi dekoracjami o jaskrawych kolorach, przystrojona jak na jakieś święto.

Powietrze było czyste; od czasu do czasu wiatr przynosił zapach jeziora, przywodzący na myśl piwniczną stęchliznę. Albo raczej katakumby, pomyślał posepnie Smolsky. ruszając w kierunku cienistej alei.

Przejrzał się w witrynie, między rzędami ilustrowanych pocztówek.

Uznał że wygąda jak zwykły wycieczkowiec, którego przyciągnęło nad brzegi jeziora Maggiore złote słońce wczesnej jesieni.

— Poproszę coś zimnego. Może być alkohol — poprosił małego kędzierzawego barmana, który siedział beczynnie za cynkowym kontuarem w pustym barze. Chłopak przegonił muchy machnięciem dziurawej ścierki.

— Białe wino? Schłodzone? — zapytał. — Ale nie ten ulepek, który lubią Niemcy — dodał. — Dobry napitek, receptura mojej babci. Chce pan skosztować?

Popijając jasny płyn — cierpki posmak sugerował niedawne winobrania — Smolsky odwrócił głowę w stronę ogródka ocienionego pergofą. Między krzewami azalii widać było jezioro — cienki, turkusowy pasek. Dokładnie takie samo, jak we śnie Kristenfelda. Jaro uśmiechnął się krzywo sam do siebie.

Odstawił kieliszek. Spojrzał na zegarek. Do piątej brakowało dwudziestu minut. Miał już zapytać, która ulica prowadzi na molo, ale pytanie uwięzło mu w gardle. Zdołał wydusić tylko:

—Jeszcze jeden.

— Nich pan uważa, bo to mocne, chociaż nie wygląda! — roześmiał się chłopak, napełniając kieliszek po brzegi. — Człowiek robi się po tym wesoły. Widzi życie na różowo.

Najwidoczniej wziął Smolsky'ego za Włocha. Bo niby czemu nie?

Smolsky mówił doskonale po włosku, trudno było wychwycić w jego wymowie wahanie cudzoziemca ostrogocki akcent, jak mawiała jego nauczycielka, signora Vismara, która uczyła włoskiego w Grillparzer Institut w Wiedniu. Nienawidziła Niemców.

— Jeszcze jeden? — Barman wyglądał na ubawionego. — Pić się chce, co? — Jeszcze raz nappełnił kieliszek, który Smolsky postawił na ladzie.

Smolsky wypił i ten. Zapłacił. Wyszedł. Szybkim krokiem ruszył uliczką, na końcu której lśniło pasmo jeziora, zamykające horyzont. Kiedy dotarł do przecznicy, na lewo, jakieś sto metrów dalej ujrzał plac.

Wolna przestrzeń w połowie zastawiona była stolikami kawiarni, której witryny osłaniały granatowe markizy, łopoczące na wietrze. Placyk kończył się na brzegu jeziora. Maleńka przystań zatłoczona była łodziami.

Z boku widniało molo, a w dali kilka wysepek, które wyłaniały się pośrodku spokojnej powierzchni, marszczącej tu i ówdzie drobnymi falami w kolorze indygo.

Smolsky spojrział na zegar. Była za dwanaście piąta. Ruszył przed siebie w cieniu domów i drzew. Powietrze było rześkie, ale jemu i tak pociły się dłonie.

Kiedy dotarł na plac, zorientował się, że zapomniał „Wiener Zeitung”. Gazeta leżała na łóżku, w jego pokoju w hotelu Gallia. Przypominał sobie dokładnie, że właśnie tam ją zostawił. A Kristenfeld kazał mu przecież trzymać pod pachą na widoku egzemplarz „Wiener Zeitung”.

Usiadł w ogródku kawiarni przy pierwszym wolnym stoliku, założył nogę na nogę i zaczął przygryzać kciuk. Był wściekły na siebie. W końcu jednak zachciało mu się śmiać. Doprawdy, ta zapomniana gazeta demaskowała jego niechęć, jego mizerny zapał, by wyświadczyć Kristenfeldowi tę cholerną przysługę.

—Słucham pana? — kelner w białej marynarce przystanął obok niego, kłaniając się krótko i sztywno na pruską modłę.

—Kawę.

Ogródek był zatłoczony. Kelnerzy krążyli bez przerwy między stolikami, roznosząc słodczyce i lody. Powietrze wypełniał wesoły gwar, przetykany krzykami dzieciaków na molo. Wypiję kawę i idę stąd — pomyślał Smolsky. Omiótł gorączkowym spojrzeniem ludzi siedzących przy stolikach, ale nie zauważył żadnego samotnego mężczyzny. Zegarek pokazywał punkt piątą. Do diabła z Kristenfeldem i jego książką o Waifensteinie.

Zapalił papierosa i odwrócił głowę, by popatrzeć na jezioro. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z porywającego piękna krajobrazu. Doskonale widoczne, gęsto zadrzewione wysepki nurzały się w perłowym świetle popołudnia wyglądały trochę tak, jakby ułożyła je delikatnie na powierzchni jeziora dłoń jakiegoś baśniowego olbrzyma. Smolsky wyobrażał sobie, że jest w jednym z

tych lilipucich domków rybackich — pokój, na którego ścianach drżą refleksy wody. za oknem gładź jeziora, marszczona regularnie oddechem fal. A u jego boku dziewczyna o włosach w kolorze lnu. Wysepki jeziora Maggiore zniknęły mu sprzed oczu, zatarte przez, wspomnienie tej twarzy; ciemnych oczu, bladych delikatnych ust. Ileż razy rozmyślał o tej dziewczynie, spotkanej przypadkiem w salonie przyjaciela, profesora Giorgia Maraniego? Ileż razy? Od jak dawna nie zdarzało mu się doświadczać tego głębokiego, poruszającego niepokoju na myśl o kobiecie? Z Giorgiem nie chciał o niej więcej rozmawiać, ale... Eleonora... Miała na imię Eleonora...

— Pańska kawa.

Smolsky otrząsnął się z marzeń. Kelner stawia! właśnie na stoliku tacę z kawą i szklanką wody. Za jego białą marynarką, przy ostatnim stoliku kawiarni, widać było mężczyźnę. Siedział sam. Czytał gazetę.

Przed nim, doskonale widoczna, leżała gruba książka.

Od niedopałka papierosa Smolsky przypalił kolejnego. Upił łyk kawy, potwornie gorzkiej, mimo wsypanego cukru. Mężczyzna wyglądał zupełnie zwyczajnie w jasnym kapeluszu i niewyróżniającym się ubraniu.

Nie odrywał oczu od gazety.

Po prawej stronie Smolsky 'ego blondyna w kwiecistej sukience podciągniętej do pól uda śmiała się zbyt głośno, bez przerwy na niego zerkając. Przekonana, że ma do czynienia z Włochem, rzucała po niemiecku nieprzyzwoite uwagi na jego temat, zwracając się do koleżanki — prawdziwej pozeraczki lodów śmietankowych.

Zaraz usiądę obok niej — pomyślał Smolsky. Położę jej rękę na udzie i powiem parę komplementów w wiedeńskim stylu. A potem wezmę ją do jednego z tych pensjonacików z zielonymi okiennicami. Żeby nie myśleć już więcej o Kristenfeldzie ani o tym ponurym typku z nosem w gazecie. Żeby nie myśleć więcej o nazistach i o kochanym starym profesorze Salomonie Meyerze, który przedwczoraj został aresztowany w swoim domu w Heidelbergu, w Niemczech. Aresztowany przez SS. Żeby nie myśleć o głosie żony Meyera, kiedy mówiła mu o tym, płacząc w słuchawkę. Nie myśleć już o niczym.

Blondyna zauważyła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Miała majtki z czarnej koronki. Sukienka podjechała już prawie na brzuch.

Smolsky wstał. Nie chciał też więcej myśleć o lnianowłosej dziewczynie, o jej oczach, o wyrazie jej twarzy. Masz babo placek, westchnął w duchu, rzucając na stolik pieniądze za kawę.

—Aaa... — blondyna przechyliła się w jego stronę. — Wollen Sie schongehen? Panu chcieć już iść? Nie, prawda?

Samotny mężczyzna opuścił gazetę. W tej samej chwili w głębi placu, obok klombu, zahamował czarny samochód. Wsiadło z niego pięciu ludzi. Mężczyzna wstał. Na sekundę odwrócił się w stronę Smolsky'ego, po czym spokojnie zdjął kapelusz i położył go na książce. Zrobił kilka kroków. Tamtych pięciu już szło w jego kierunku. Mężczyzna wyciągnął pistolet i wypalił pierwszemu z nich prosto w twarz.

Rozległy się krzyki i dalsze wystrzały, metaliczny brzęk krzeseł i stolików, przewracanych przez uciekających ludzi, kobiece piski, a potem znów strzały, następujące szybko jeden po drugim; w tym czasie Smolsky torował sobie drogę przez tłum z pochyloną głową, jak rozpędzony byk.

W końcu, potykając się, upadł niemal na stół na brzegu placu. Kapelusz wciąż na nim leżał. Pod nim Jaro znalazł książkę. Złapał ją, kaszłąc, bo powietrze gęste było od kurzu i cierpkiego, ostrego zapachu. Odwrócił się, chcąc uciekać; wtedy na trawniku zobaczył leżącego samotnego mężczyznę, pokrytego gęsto czerwonymi plamami, z oczyma wbitymi nieruchomo w niebo — nie groziła mu już żadna pułapka policji politycznej.

W garści wciąż jeszcze ścisnął pistolet, a jego kamienny uśmiech zdawał się mówić: lepiej umrzeć, niż skończyć w łapach Ovry.

Wysoki mężczyzna uniósł rękę. Wskazał Smolsky'ego. W ogólnym zamieszaniu znów dały się słyszeć krzyki i podniesione głosy. Smolsky zdołał zrobić ledwie parę kroków, porażony strachem. Nagle jakiś mężczyzna rzucił się na niego, za nim inni. Przeszywający ból w szyi wyzwolił w Smolskim nagłą furję; pięściami i kopniakami wyswobodził się z silnego uchwytu i rzucił się biegiem przez tłum, ścigany wrzaskami jakiejś kobiety. Krzyk: „Tam... tam... ucieka... to jego współnik” zmroził mu krew w żyłach, ale biegł dalej; skręcił za róg i wpuścił się w zaułek, nie widząc nic, nie słysząc nic z wyjątkiem własnego ochryplego oddechu i huku krwi w uszach.

Po chwili ujrzał otwarte szeroko okno. Szczupakiem przeskoczył przez parapet, podniósł się i zamknął okiennice. Rozejrzał się. Pomieszczenie było puste. Smolsky osunął się na posadzkę z zimnego kamienia. Był u kresu sił.

Dreszcze wstrząsające całym ciałem wyrwały go z omdlenia. Zęby mu szczękały. Mimo wszelkich wysiłków, nie zdołał zacisnąć szczęki. Miał pustkę w głowie, ale stopniowo zaczęła narastać w nim głucha wściekłość. Spróbował się rozluźnić. Jego mokrą od potu twarz oblepiał kurz, czoło dotykało ściany. Serce powoli odzyskiwało swój zwykły rytm. Bóg wie, jak długo kulił się oparty na łokciach i kolanach na podłodze.

W końcu zaczął nadstawiać uszu. Nic. Panowała głęboka, ciężka cisza, jakby Smolsky wpadł do bezdennej studni. Otworzył oczy. Pod nim, po różowawej posadzce maszerował rząd mrówek — szły gęsiego aż do białej ściany. Kawałek dalej leżała książka. Na szarej płóciennej okładce wytłoczony był ozdobny napis Waifenstein, a niżej Życie i czyny człowieka broni.



— *Verflucht* — zaklął Smolsky. Jego głos zadudnił w pomieszczeniu.

Znów zamknął oczy i zmienił pozycję; siedział teraz oparty plecami o ścianę. Jęknął, czując ostry ból w szyi, ale nie wymacał żadnej rany, nawet krwi. Widocznie w trakcie bójki ktoś uderzył go poniżej ucha.

Czuł się jak zmiądzony, stłuczony na kwaśne jabłko; bolały go wszystkie kości, mięśnie, ścięgna, jakby ktoś obił go kijem. Nagle rozbłysnął mu przed oczyma obraz człowieka na trawniku, krwawych dziur na jego piersi. Zrobiło mu się niedobrze. Odetchnął głęboko kilka razy, otworzył oczy i wstał.

Znajdował się w ogromnym pokoju. Ściany były gołe, na jednej z nich czerniał tylko drewniany krucyfiks, wysoki na jakieś dwa metry.

W kącie stała szafa, też czarna. A w głębi skrzynia. Pośrodku pokoju na ogromnym stole leżała sterta czarnych długich sukien. I nic poza tym.

W powietrzu unosił się zapach zamkniętego pomieszczenia, starzyzny, jakby wielowiekowe warstwy pleśni przesycały tę nieruchomą atmosferę tchnieniem śmierci.

Smolsky podniósł jedną z sukien i dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że to habit. A właściwie sutanna katolickiego księdza — długa szata, przecięta z przodu rzędem guziczków, przypominających rząd mrówek. Odwrócił sutannę. Była rozdarta na łokciu. Odrzucił ją na stół.

Najwyraźniej trafił do klasztoru. Do monasteru, seminarium czy jak się tam nazywały po włosku męskie zgromadzenia katolickie.

W podziurawionej przez korniki szafie leżały równiutkie rzędy białych koloratek, okrągłych kapeluszy, a także tajemniczych i skomplikowanych kawałków czarnego materiału, których przeznaczenia Smolsky nie zdołał rozszyfrować.

Masując szyję, wrócił do stołu. Zauważył więcej ostrołukowych okien. Przez matowe szyby wpadało mleczone, przytłumione światło, rozjaśnione miejscami różowawym refleksem zachodzącego słońca. Musiało być późno.

Na końcu sali znajdowały się tylko jedne drzwi. Smolsky podszedł do nich ostrożnie. Uchylił jedno skrzydło. Na zewnątrz zobaczył brukowany białymi kamieniami dziedziniec, na środku którego znajdowała się okrągła studnia; po jej balustradzie przechadzał się gołąb.

Smolsky zamknął drzwi. Jakies dziesięć minut później z drzwi szybkim krokiem wyszedł wysoki szczupły ksiądz, poprawiając palcem wskazującym śnieżnobiałą koloratkę. Staruszek, palący fajkę obok bramy wejściowej, uśmiechnął się uprzejmie na jego widok. Młody ksiądz uniósł rękę w odpowiedzi na pozdrowienie, ale kiedy tylko wyszedł za bramę, zatrzymał się. Stał przez chwilę na chodniku z opuszczoną głową.

—Potrzeba czegoś, księżę... —zabełkotał staruch, szukając w pamięci imienia duchownego. Jego twarz nie wydała mu się znajoma.

Smolsky zawrócił i wszedł z powrotem przez bramę.

—Zapomniałem czegoś. — Przeszedł przed nosem starca i przeciął dziedziniec, powstrzymując się, by nie zacząć biec, i to nie tylko dlatego, że bał się potknąć o długą sutannę, która plątała mu się wokół nóg. Nie wolno mu biec, musi zachować spokój, musi się poruszać naturalnie, musi się oprzeć rozpaczliwemu impulsowi, by odwrócić się i uciec, zanim zaskoczy go ktoś bystrzejszy niż furtian.

Powrót do wielkiego pomieszczenia był tytanicznym wysiłkiem.

Z dna szafy wyciągnął swoją marynarkę, którą schował tutaj, przebrawszy się w sutannę. Gorączkowymi ruchami wywrócił ją na lewą stronę i wyrwał dwie metki, na których wyhaftowano starannie nazwę i adres wiedeńskiego krawca. Schował metki do kieszeni sutanny i wrzucił anonimową marynarkę z powrotem do szafy. Wziął kapelusz i ruszył do wyjścia. Przechodząc obok starego, machnął kapeluszem.

— Tego zapomniałem! — oznajmił.

— Aaaa... — Stary rozdziawił bezzębne usta, wciąż jednak miał niepewną minę. Smolsky wyszedł szybkim krokiem i włożył kapelusz gestem zadowolonego z siebie człowieka, który szczęśliwie wypełnił swój obowiązek. Kapelusz zjechał mu na uszy. Za duży. Nic nie szkodzi — pomyślał Smolsky — będę go trzymał w ręce.

Pociąg z Pallanzy zatrzymał się na stacji w Stresie. Wsiadło do niego kilka osób, między innymi młody ksiądz. Niósł kapelusz w ręce, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Nikt nie zauważył jego za długich włosów i braku tonsury. Wskoczył śmiało na schodki i zamknął drzwiczki z trzaskiem, dokładnie, kiedy w powietrzu rozległ się gwizd lokomotywy.

Pociąg sapnął i ruszył.

W przedziale pierwszej klasy okno było opuszczone. Ledwie pociąg ruszył, podmuch powietrza potargał jasne włosy siedzącej przy oknie dziewczyny i zaatakował dwie panie, przyciśnięte do siebie na bordowym aksamitnym siedzeniu.

— Przepraszam — powiedziała jedna z paniuś. — Przepraszam panienko — powtórzyła zrzędlwym tonem, poprawiając białą wstążkę, przytrzymującą kapelusik.

Dziewczyna nie usłyszała. Oparta łokciami o brzeg okna wyglądała na zewnątrz. Na tle jeziora w tył uciekały parki, wille, ogrody, łąki, lasy akacjowe. Zaułki pojawiały się i znikaly, ukwiecone balkony przemykały coraz szybciej. Światło dnia słabło, kolory były coraz bardziej przytłumione, stały się jakby bardziej wilgotne, chłodne. Wody jeziora, nieruchome i fioletowe w miejscach gdzie ogarniał je cień, połyskiwały i mieniły się różowo wzdłuż przeciwległego brzegu, oświetlonego jeszcze przez słońce.

—Nie słyszysz cię. I nie ma zamiaru zamknąć tego przeklętego okna.

—Zaraz się tym zajmę — pani w kapelusiku uspokoiła towarzyszkę, po czym wstała i klepnęła dziewczynę w ramię.

Eleonora drgnęła i odwróciła głowę. Wiatr zdmuchnął jej włosy na policzki i na oczy.

— Jeśli pani nie zamknie, wszystkie trzy się rozchorujemy, kochana.

—Paniusia uśmiechała się; jedną ręką przytrzymywała kapelusik na głowie, a drugą opierała się o oparcie siedzenia przy każdym mocniejszym szarpnięciu pociągu.

—Och, przepraszam! — Eleonora zasunęła szybę i opadła na swoje miejsce przy oknie; schroniła się w tym kącie jeszcze w Pallanzy. Odgarnęła włosy z twarzy. Po chwili znów zaczęła wyglądać na zewnątrz z podbródkiem opartym na ręce.

Drzwi przedziału otworzyły się nagle i stanął w nich młody duchowny. Wskazał palcem najbliższe miejsce.

— Wolne?

—Ależ oczywiście — przytaknęły jednocześnie dwie panie. Ksiądz wyciągnął z kieszeni sutanny książkę, usiadł, położył obok siebie kapelusz i pogrążył się w lekturze.

Panie śledziły pilnie każdy jego gest, poszturchując się lekko łokciami i od czasu do czasu wymieniając wymowne spojrzenia: czy kto kiedy widział przystojniejszego księdza? A ten lok włosów, opadający na czoło? Wyglądał jak gwiazdor filmowy, jak jeden z tych obcokrajowców, zakochanych do szaleństwa w Marlenie Dietrich, Grecie Garbo, Alidzie Valli czy jeszcze innej dumnej diwie. Szczęściarzy, mogły rzucać się na szyję takim mężczyznom!

Pani w kapelusiku osłoniła usta dłonią, by w miarę możliwości stłumić szept:

—Ciekawe dlaczego taki idzie na księdza.

Druga szturchnęła ją łokciem w bok. Udawany atak kaszlu pozwolił obu paniom odzyskać powagę. Odwróciły się do okienka i podjęły przerwana pogawędkę.

—Ten aktor, o którym mówiłaś, to Amedeo Nazarii. Jestem pewna, że chodzi o niego.

—Mówię ci, że to Gino Cervi.

—Mylisz się. Ja byłam na otwarciu Cinecitta. moja droga. Nie pamiętasz, jak ci opowiadałam, kiedy wróciłaś z Addis Abeby? Miałam wtedy taką małą etolę na ramionach, rano było jeszcze chłodno. I pamiętam doskonale, jak zwiedzaliśmy studia, kiedy już Duce przeciął wstęgę. Kręcili film i widziałam właśnie Amedeo "Nazzariego.

—Wszystko ci się pomieszało, Caiio. Mój mąż mi mówił, że w Jak Luciano został pilotem gra Cervi.

—Ależ co ty opowiadasz! Twój mąż plecie byle co. A poza tym Gino Cervi może i jest piękny z tymi swoimi wielkimi namiętnymi oczyma, ale nie powiesz chyba, że ma posturę sportowca.

—Scenariusz naprawdę napisał syn Duce?

—Tak, moja droga, we własnej osobie. Jednego wieczoru na kolacji u Savinellich była też Miriam, i muszę powiedzieć, że wyglądała pięknie — nie, jak zwykle. I przyznała mi się, że... — Głos zniżył się do szeptu i pozostał już nierozróżnialnym pomrukiem, Eleonora mogła więc znów zająć się własnymi myślami. Dzień spędzony w sanatorium pod Pallanzą, chwila za chwilą, stanął jej przed oczami z całą swoją ohydą.

Mężczyzna o posiwiałych włosach, siedzący na foteliku w parku sanatoryjnym wydał jej się bardziej obcy niż kiedykolwiek. Lekarka, która odprowadziła ją do niego, zostawiła ją samą.

—Kochany panie hrabio, pańska córeczka będzie mogła dotrzymać panu towarzystwa przez cały dzień.

Ojciec uniósł dwa palce.

— Proszę przysłać coś do picia — powiedział, nie uśmiechnąwszy się nawet. I pomyśleć, że ona, Eleonora, nie widziała go od tamtego wieczoru w Bolgheri, kiedy błąd jak trup został zabrany — niemal wyniesiony — przez grupkę mężczyzn.

Pociąg zwolnił i zatrzymał się przed klombem begonii. W niespodziewanej ciszy rozległ się okrzyk:

— Meina!

— Ojciec nie objął jej ani nie pocałował. Kiedy nie spojrzawszy na nią nawet, rzucił suche: „Jak leci, córeczko?”, o mało się nie rozplakała.

Eleonora oparła się o fotel i zamknęła oczy. Przyjechała do niego około południa i prawie przez godzinę siedziała przy nim, pod pachnącymi, nic zamieniwszy z nim ani słowa. Jeśli matka była groźną konstelacją na jej niebie, ojciec zawsze pozostawał słabą, daleką, samotną

gwiazdą. Obecnością fascynującą, ale ulotną: wspomnienia o nim przewijały się sporadycznie przez jej życie, życie dziewczynki, która nie chodzi na polowanie, nie łowi ryb. nie rozbija się na koniu po posiadłościach. nie odwiedza pasterzy i rozplodowych byków. Był pewien poranek w Pizie, ona i on tylko we dwójkę, lody w ogródku przy piazza Alighieri, naszyjnik, który wcisnął jej do ręki w sklepie jubilerskim, którego nie znosiła jej matka. „Zbyt rażący”, mawiała. I tamten dzień w Viareggio, na łódce, kiedy uparł się, że nauczy ją pływać. W końcu zirytowany do ostateczności odstawił ją, zapłakaną, na brzeg i oddał opiekunce.

— To mały tchórz! — powiedział i poszedł sobie, odprowadzany oczarowanymi spojrzeniami kobiet, by napić się swojej ulubionej lemoniady, po każdym łyku osuszając sobie wąsy końcami palców.

Pociąg znów ruszył. Eleonora otworzyła oczy. Między umykającymi drzewami zaczynały już gęstnieć wieczorne cienie. Dziewczyna poczuła ostre ukłucie smutku, rozpaczliwej samotności.

Obiad z ojcem był krótką torturą. Dopiero przybycie lekarki ożywiło trochę atmosferę w zarezerwowanej salce jadalnej sanatorium. Kobieta usiadła obok hrabiego Serpieri, siedząc go tym samym spojrzeniem, które Eleonora zawsze zauważała u kobiet, kiedy patrzyły na jej ojca. Nawet jej szkolne koleżanki. Spojrzenie nieprzyzwoite, jak odsłanianie nóg, pomyślała. Lekarka uczesała rudawe włosy w kok; teraz besztala ojca, że zamiast jeść pije tylko litry lemoniady. Ścisnęła go też za rękę pod obrusem. Ojciec oddał uścisk i uśmiechnął się do niej.

Eleonora westchnęła. Jaki sens miało siedzenie cały dzień z tym człowiekiem, który... W tej chwili coś zakłóciło, spłoszyło jej myśli. Coś nieokreślonego, podobnego do nagłego przestraszenia, kiedy w ciemnościach opuszczonego domu wyczuje się czyjaś niespodziewaną obecność. Jeszcze przez chwilę patrzyła na ciemniejący po zachodzie słońca krajobraz, nie mogąc się opędzić od narastającego niepokoju.

W końcu odwróciła głowę. Napotkała spojrzenie mężczyzny. Fala emocji wezbrała w jej sercu. Była tak gwałtowna, że Eleonorze brakło tchu; poczuła się bezbronna jak gazela zahipnotyzowana przez węża, porażona spojrzeniem, które sprawiło, że zniknęło wszystko w niej i wokół niej — pociąg, jezioro i zamierające światło popołudnia, i cały otaczający świat — i które rzuciło niespokojny cień na całe jej życie, wspomnienia, myśli. Nic nie było już realne, nic, z wyjątkiem jej samej.

Istniała tylko ona i spojrzenie tego mężczyzny. Nikt nigdy nie patrzył na nią tak. jak on w tej chwili. Nikt nigdy nie patrzył na nią tak wygłodzonym, namiętym wzrokiem, z takim uwielbieniem, jakby w tej chwili chciał paść przed nią na kolana i oddać jej we władanie ciało i duszę.

Eleonora musiała przymknąć oczy; na oślep błądziła wśród uczuć, próbując odnaleźć drogę w tym wirze. Na próżno jednak. Po chwili uniosła powieki i znów napotkała jego spojrzenie, które nie chciało uwolnić jej spod swojej władzy, które znów rzuciło ją na pastwę emocjom

sprzed chwili. Wydało jej się, że jest wartkim strumieniem wody, pochłoniętym zniecka przez ziemię i straconym w dół, coraz niżej, w głąb ciemnego, tajemniczego pejzażu, którego istnienia nigdy nie podejrzewała.

Uchyliła usta, by złapać oddech i odwróciła oczy, tak zbita z tropu, że ledwie usłyszała głos:

—Panienko, nie widzi panienka? — Natrętne krakanie wyrwało ją powoli ze świata bajek. Pani w kapelusiku powtarzała denerwująco: — Nie widzi panienka? Nie widzi? —I wskazywała torebkę Eleonory, która upadła na podłogę, podczas tej niekończącej się wymiany spojrzeń.

Po podłodze rozsypały się puder, szminka, portmonetka, pieniądze, chusteczki i kilka innych drobiazgów.

W tej chwili — i dopiero teraz — Eleonora zauważyła, w co jest ubrany mężczyzna. W czarną sutannę. Strój duchownego. Widziała jego oczy, jego twarz, a poniżej białą koloratkę księdza. I sutannę. Nie, nie myliła się. Mężczyzna, który tak się w nią wpatrywał, był księdzem.

— Nie pozbiera pani rzeczy? Ta torba leży na podłodze już od Bóg wie jak dawna, kochana... — paniusia zbliżyła twarz do twarzy Eleonory.

— Co panience jest? Żle się panienka czuje?

Eleonora pokręciła głową; czuła, że serce za chwilę eksploduje jej w piersi, a żar wypełzający na policzki sprawił, że pot pokrył całe jej ciało, przesiąkł przez lekki materiał sukienki na plecach, przykleił pończochy do nóg.

—Nie... nic mi nie jest — wybełkotała, schylając się gwałtownie i drżącymi rękami wrzucając rzeczy do torebki.

Ksiądz! Siedziała osłupiała w swoim kącie, odwrócona twarządo okna. Podniecenie powoli opadło, stłumione i przygaszone przez zimną pogardę, a w końcu zmrożone do reszty przez skandaliczny posmak całej sytuacji. Księdzu nie wolno patrzeć w taki sposób na dziewczynę. A ona? Jak mogła nie zorientować się od razu. w co jest ubrany, zanim wiedziona siłą jego spojrzenia dała się wciągnąć w podróż po krainie baśni? Jak mogła nie zauważyć, że jest ubrany na czarno, że ma na sobie sutannę?

Obie panie wysiadły w Aronie, ale Eleonora nawet się nie odwróciła, by odpowiedzieć na ich pożegnanie. Siedziała jak wmurowana, wyglądając przez okno niewidzącymi oczyma, nie poruszając się. Nie chciała ryzykować, że znównapotka wzrok księdza i modliła się w duchu, żeby przekłety klecha zapadł się pod ziemię. Słyszała nieraz historie o duchownych, którzy zapomnieli o swoim powołaniu; zawsze budzili w niej niesmak. Tak samo, jak jej matka, nie była w stanie tolerować kogoś, kto zbaczał z raz obranej drogi. Może właśnie dlatego tak przerażało ją życie ojca, pełne pięknych kobiet, aż do tej ostatniej, tragicznej przygody — ale czy ostatniej? A

lekarka z rudym kokiem? Wszystko razem to piękny przykład dla mnie i Jacopa! — pomyślała cierpko, zaciskając usta.

— O, hrabianka Serpieri — głęboki i przyjemny, a jednocześnie jakby znajomy męski głos sprawił, że odwróciła się wbrew własnym chęciom; była tak zdumiona, słysząc swoje nazwisko, że ciekawość zwyciężyła.

Ale to nie ksiądz zwrócił się do niej. Do przedziału zaglądał jakiś mężczyzna w eleganckim szarym ubraniu.

—Naprawdę mnie pani nie poznaje? Jestem Corbini, nie pamięta pani? — I usiadł naprzeciwko niej, zdejmując kapelusz.

—Corbini...

—Komisarz Corbini, droga pani.

Eleonora wciąż patrzyła na niego niepewnie. Nagle jednak wróciło niemiłe wspomnienie. Dzień zaręczyn w Bolgheri, pokój Marii, jej pokojówki, i dwóch mężczyzn: jeden otyły, prymitywny, który grzebał w szufladzie, i drugi, elegancki i budzący zaufanie. To był on, komisarz Corbini. Dziś równie elegancki jak wtedy. Komisarz Corbini z policji politycznej.

—Tak, rzeczywiście — mruknęła. Niepewny wyraz jej twarzy zastąpiła surowa chłodna maska wyniosłej arystokratki, zmuszonej do rozmowy z osobą z plebsu. — Komisarz Corbini... oczywiście — dodała, ściskając mocniej torebkę, jakby bała się, że ten mężczyzna, który właśnie przypalał sobie papierosa złotą zapalniczką, może ją zabrać. — Komisarz Corbini. Ja nie pamiętam pana, a pan nie pamięta, że nienawidzę dymu.

Corbini uśmiechnął się i wstał.

—Zaraz schodzę pani z oczu. Ale chciałem się przywitać. Co też pani tu porabia?

Eleonora spojrzała na niego wyniośle.

—Byłam w odwiedzinach u mojego ojca w sanatorium w Pallanzy. Zakładam, że pan zna wszystkie szczegóły tej tragedii.

—Prawie — odparł komisarz. — Bardzo mi przykro, choć prywatne sprawy mnie nie obchodzą. Mój czas zajmują śledztwa innego rodzaju.

— A moja pokojówka? Co się stało z Marią? Od czasu, kiedy ją za— braliście z mojej willi, ślad po niej zaginął. Gdzie jest? Jak się miewa? Nie wiem o niej nic...

—I tak jest lepiej, panienko. — Corbini musnął palcami rondo kapelusza i szybko wyszedł.



Pozostawił po sobie rozpaczliwy gniew, to samo poczucie bezsilności, którego doświadczyła wtedy, w dniu swoich zaręczyn, kiedy zastała Corbiniego i jego człowieka na poddaszu willi Bolgheri. Wydało jej się, że słyszy znów gruchanie gołębi w ciszy, kiedy komisarz i ten drugi poszli już sobie, skończywszy rewizję, a ona siedziała na łóżku Marii, czekając, aż opuści ją strach.

Niespodziewane pojawienie się tego człowieka i wspomnienie biednej Marii, zamkniętej gdzieś, Bóg wie w jakim więzieniu — wszystko to pozwoliło jej zapomnieć o wzburzeniu, które targало nią jeszcze przed chwilą.

Odzyskawszy panowanie nad sobą spojrzała wreszcie na duchownego. Pomyślała, że chyba przywidziało jej się to wszystko, co wyczytała z jego oczu. Siedział w przeciwległym kącie z twarzą pochyloną nad książką; widziała tylko jego posępny, niemal groźny profil. Cała jego postawa świadczyła o kompletnym oderwaniu od otoczenia, jakby odgrodził się jakąś mistyczną barierą od całego świata, nie mówiąc już o kobietach!

Ale u dołu czarnej sutanny, żałobnego stroju odpowiedniego dla człowieka kościoła, Eleonora odkryła jednak coś, co wprawiło ją w osłupienie. Stopy duchownego obute były w modne granatowe półbuty, nad nimi widać było ciemnoniebieskie skarpetki i rąbek granatowych spodni.

Eleonora odwróciła się gwałtownie do okna. Po co się tak stroić pod sutanną? Gdzie się podziały czarne trzewiki albo pantofle ze sprzączką, staromodne i skromne? Gdzie czarne spodnie, które zwykle noszą duchowni? Kątem oka rzuciła jeszcze jedno, pełne niedowierzania spojrzenie w jego stronę. Ksiądz siedział jak przedtem, pogrążony w lekturze. Ale nie pomyliła się co do butów i skarpetek. I prawdopodobnie nie pomyliła się co do jego spojrzenia, przypominającego cios szpady, którym przeszył ją na wylot jeszcze tak niedawno.

Ksiądz wstał. Wziął kapelusz. Wyszedł bez jednego spojrzenia, bez pożegnania. Zamknął z hukiem drzwi. Zniknął.

Eleonora długo wpatrywała się w puste miejsce.

Na stacji w Mediolanie czekał na nią Jacopo. Eleonora wzięła go pod ramię i wraz z innymi podróżnymi skierowali się do wyjścia. Choć rozglądała się bacznie, nie zobaczyła więcej księdza.

Ledwie weszła do domu, natknęła się na Gislę, która poszła za nią do jej pokoju.

—List... daj mi list.

—Nie mam.

—Chcesz powiedzieć, że ojciec ci odmówił?

—Nawet go nie prosiłam.

—Nie prosiłaś go? Nie powiedziałaś mu, że spodziewam się od niego listu, w którym...

— Nie — odparła Eleonora. — Nic mu nie powiedziałam. Nie rozmawiałam z nim o tobie ani o liście. Nie rozmawiałam o Nicoli Martinim ani o niczym innym. Przez cały dzień nie zamieniliśmy ani słowa.

Nagi po prysznicu Smolsky położył się w poprzek na ogromnym łóżku w hotelu Gallia. Nie był w stanie opanować wściekłości. Gdyby dorwał teraz Kristenfelda w swoje ręce, chyba by go udusił. Miał przynajmniej kilka doskonałych powodów, a jednym z nich — może nawet najważniejszym? — była dziewczyna.

Ale przecież to nie była wina Kristenfelda. Życie i los zapragnęły z niego zażartować, stawiając na jego drodze te oczy gazeli i to piękne ciało, podobne do pączka róży, akurat w chwili, kiedy uciekał przed policją polityczną. Przebrany za księdza.

Przekreślił się, by zgasić papierosa w popielniczce, którą postawił na podłodze. Przebrany za księdza. I to księdza katolickiego na dodatek. Sługę bożego, żyjącego w czystości. Żołądek ścisnął mu się ze złości, kiedy przypomniał sobie zdumienie i oburzenie dziewczyny. Nie, nie od razu zauważyła tę czarną suknię. Zanim się zorientowała, miał czas, by na nią popatrzeć. By wyczytać w jej oczach kompletny zamęt. Zaklął. Widział, jak zaczyna drżeć pod jego spojrzeniem. A potem zauważyła sutannę i wszystko się skończyło.

Ładna historia! Na samą myśl dostawał gęsiej skórki.

Natychmiast rozpoznał eleganckiego mężczyznę w szarym ubraniu, który wszedł do przedziału. To był jeden z tych, którzy zastrzelili nieszczęśnika przy moło w Stresie. Mężczyzna w szarym ubraniu dowodził nimi. I był w pociągu. Najwidoczniej go szukał. Uratowało go przebranie księdza. To samo, które przeszkodziło mu zacząć rozmowę z Eleonorą, hrabianką Serpieri, tak uprzejmie przywitana przez tego kata. Owszem, potraktowała go jak służącego, ale znali się. To wystarczyło, by Smolsky wziął nogi za pas.

Przekreślił się na plecy. Znow ujrzał przed sobą jej twarz, żar spojrzenia, delikatne usta. Zapragnął jej.

Nagle poczuł się bardzo nieszczęśliwy. Wyzwał sam siebie od idiotów, ale nie zdało się to na nic. Powtarzał sobie, że nie zdarzają się takie gromy z jasnego nieba, czy jak się to tam, do diabła, nazywa. Mimo to myślał o niej i pożałował jej. Nie było sensu wmawiać sobie, że znajdzie tysiące takich kobiet jak ona, że nawet jej nie zna, że mogła się okazać głupia. Ostatecznie widział ją tylko dwa razy. Właśnie, widział. Nie zamienił z nią nawet jednego słowa. Cóż ona go może obchodzić? A przecież jego nagie ciało pragnęło jej gorąco. I nie chciało pogodzić się z faktem, że wszystko stracone.

Znów zaklął, myśląc, że gdyby nie miał na sobie sutanny, mógłby usiąść naprzeciwko niej, porozmawiać, rozśmieszyć ją wykorzystać cały repertuar zalotów, niczym samiec pawia rozkładający ogon z błyszczącymi piórami, oczarować ją i już nie pozwolić umknąć. Ale nie, pomyślał po chwili, to nie tak. To nie była chęć przeżycia przygody z piękną zmysłową dziewczyną. To było coś więcej; ta dziewczyna wywoływała w nim pragnienie czegoś głębszego, o wiele bardziej intensywnego. Co się ze mną dzieje? — westchnął. Sam siebie doprowadzał do rozpacz.

Spróbował podejść do sprawy rozsądnie. Był przecież psychoanalitykiem, do diabła, człowiekiem stąpającym mocno po ziemi, zdolnym zrozumieć własne uczucia^ zdolnym wsłuchać się w siebie i przeprowadzić analizę. Ktoś taki nie turla się po łóżku w hotelowym pokoju (nawet jeśli jest to bardzo wygodne łóżko), rozmyślając o kobiecie, na którą natknął się przypadkiem i zaraz stracił z oczu.

Zakochany? To słowo zjawilo się nagle w jego myślach i wprawiło w konsternację. Wstał i zaczął się ubierać. Zakochany, też coś! To naprawdę zaskakujące, że przytrafiło mu się coś takiego i że akurat to słowo — doprawdy w stylu pensjonarki — jako jedyne oddawało trafnie jego uczucia dla dziewczyny o słodkiej twarzy. Zakochany. Ale gdzież tu miłość, zlął się, koniec już z tą bzdurną historią.

Ubierając się, po raz kolejny przebiegł myślą trasę do hotelu. Wyszedłszy ze stacji, krążył w nieskończoność po Mediolanie, bojąc się, że jest śledzony. Najpierw przejechał taksówką na piazza Duomo. Potem szedł piechotą. Godzinami spacerował po ulicach w centrum, oglądając się ostrożnie przez ramię. W końcu, w cuchnącej latrynie, wyplątał się z sutanny i cisnął ją w kąt. Wyszedł w samej koszuli, ściskając w dłoni książkę, znów jako Jaroslav Smolsky. Wrócił do hotelu Gallia. Cały i zdrowy.

Wrzucił do walizki książkę o Waifensteinie, przykrywając ją ubraniami. Postanowił, że za godzinę wsiądzie do pociągu do Wiednia.

Wiążąc krawat, wyjrzał przez otwarte okno na miasto jarzące się od świateł pod nocnym niebem. Wydało mu się inne niż zwykle. Teraz zostawiał w nim kobietę, w której się zakochał.

## Rozdział 4

---

—Europa... — krzyknął mówca. I zamilkł. Pauza nastąpiła nagle, jak smagnięcie bata. Ocean twarzy zwróconych w stronę podium i mównicy skamieniał we wszechogarniającej ciszy. Pod berlińskim niebem, zasnutym chmurami, tysiące ludzi czekały, aż Mussolini znów przemówi. Powietrze siekły cienkie igielki deszczu.

— Europa... — Głos eksplodował na nowo, wzmocniony przez głośniki, rozsiane po ogromnym Polu Majowym. Głos metaliczny i męski, jak mieli napisać dziennikarze.

—Europa jutro będzie faszystowska w wyniku naturalnego rozwoju wypadków, nie tylko dzięki naszej propagandzie!

Wybuchł huragan braw, potężny i jednogłośny. Erupcja wulkaniczna, która wręcz przygniotła Kristenfeida, stojącego w tłumie.

—*Heil! Heil! Heil!*

Burza wiwatów. Kristenfeld wcisnął głębiej kapelusz na głowę. Podniósł kołnierz płaszcza, i tak już przemoknięty do nitki. Zaczęło padać podczas przemówienia Hitlera; teraz deszcz się nasilał, a na horyzoncie pomrukiwały od czasu do czasu dalekie grzmoty, utonęły jednak w entuzjastycznym okrzyku tłumu, kiedy Hitler i Mussolini uścisnęli sobie dłonie. W końcu Duce wspiął się na mównicę. Fanfary zagrały *Ode do młodości*.

Teraz opowiadał o dwóch rewolucjach, nazistowskiej i faszystowskiej. Kristenfeld podniósł wzrok, spoglądając na ponure ołowiane niebo i pomyślał, że za chwilę rozpęta się jedna z najpotężniejszych nawałnic, jakie w życiu widział. Sina błyskawica rozświetliła horyzont. Za nią druga. Huk grzmotu przypominał mu kanonadę podczas całkiem innej rewolucji. Zaklął pod nosem, usiłując przypalić sobie papierosa. Woda spływająca z kapelusza ciekła mu po plecach, przemoczona tłuszczem napierała na niego coraz bardziej, popychając go w błoto.

— Przyjaźń włosko—niemiecka... — krzyczał Mussolini; jego słowa brzmiały w uszach Kristenfeida jak dzwon na trwogę. Zwiastowały początek końca. Stał na palcach i ujrzał Mussoliniego ociekającego wodą w nowiutkim mundurze. Ujrzał też zamieszanie wokół podium, gdzie funkcjonariusze SS ze służby porządkowej gorączkowo szukali parasoli.

—Nierozzerwalna solidarność tych dwóch rewolucji... — Kristenfeld nabrał pewności, że ta solidarność o żelaznych palcach niedługo chwyci za gardło całą Europę. Popychany gwałtownie, starał się utrzymać na nogach. Reflektory przebijały tłum, monstrualne, rojące się zwierzę, które rozpuszczało się powoli w strumieniach wody. Błyskawice zbliżały się coraz bardziej, grzmoty darły niebo, wyzywając na gromki pojedynkę stentorowy głos Duce, który gruchnął jeszcze w zgromadzonych niczym armatni wystrzał:

—...odrodzenie Europy i pokój między narodami, godnymi tego imienia! — Tym zakończył swoje przemówienie.

Owacja była ogłuszająca. W niebo wystrzelił nieskończony las rąk, wyciągniętych w nazistowskim salucie. Pokój? Kristenfeld zadrżał. Wykręcając szyję, ujrzał wodzów rewolucji, jak w przemoczonych mundurach schodzą z podium sieczonego ulewą. Deszcz i błyskawice zawładnęły do reszty tym późnym popołudniem 28 września 1937 roku, zwiastując katastrofę.

Kristenfeld uderzył o słup głośnika, odepchnięty przez jasnowłosych osiłków z SS w koszulach ze swastykami, którzy roztrącali tłum, by utorować drogę samochodom oficjeli. Pośliznął się, bezskutecznie usiłując przytrzymać się śliskiej powierzchni i w końcu wylądował w błocie. Nad jego głową błyskawice rozświetlały niczym fajerwerki sine, pędzone wiatrem, żałobne chmury.

—*Mein Lieber!* — pisnęła skonsternowana blondynka, wylewająca się z kwiecistego gorsetu — *mein Lieber*, ale się pan urządził! — Wytrzeszczyła wielkie niebieskie oczy zza maszyny do pisania. — No tak, to przez tę okropną burzę! — dorzuciła, spoglądając w okno, które siekły strugi deszczu.

—Co za gówniana pogoda! — warknął przez zęby Kristenfeld, oblepiony mokrym błotem. — Proszę mi dać sznapsa, panno Marto, bo inaczej się rozchoruję!

Sekretarka poderwała się zza stołu, aż podskoczył jej biust.

—Ale pan nie może tak zostać, musi pan iść do hotelu i się przebrać! — Zaczęła miotać się po biurze w poszukiwaniu ręcznika.

Kristenfeld wyglądał dość żałośnie, kiedy tak stał z rękami odsuniętymi od ubłoconego ubrania. Nie wyglądał na właściciela wiedeńskiej firmy handlowej, wizytującego swoją filię w Berlinie.

—Pan nie może się tak pokazać! — protestowała sekretarka, usiłując go oczyścić. — Wygląda pan jak... jak włóczęga... jak jeden z tych biedaków... a tam czekają kontrahenci, którzy chcą z panem rozmawiać!

—Tym gorzej dla nich, czekają. Dlaczego nie poszli na Pole Majowe? Powinni tam być, słuchać naszego Fuhrera, zamiast grzać tyłki w moim biurze!

—Panie Kristenfeld! — dziewczyna załamała ręce. — Pan to się czasami wyraża! Ale nie mogę pana nie podziwiać, wie pan? Słuchałam przemówień przez radio i myślałam przez cały czas, że mój pryncypał jest tam. z tymi wszystkimi ludźmi. Pan jest prawdziwym nazistą, panie Kristenfeld. panu niestraszna nawet zła pogoda!

— Proszę mi przynieść sznapsa, Marto — burknął Kristenfeld, rzucając przemoczony kapelusz w kąt skórzanej kanapy.

Marta nie widziała go jeszcze nigdy w tak złym humorze, pośpiesznie więc napełniła mu kieliszeczek, a on opróżnił go jednym haustem.

Wyciągnął rękę w jej stronę, by nalała mu jeszcze.

—A międzymiastowa z Wiednia?— warknął tak wściekle, że niemal ją przestraszył.

—Próbowałam przyspieszyć, ciągle nici

—Proszę spróbować jeszcze raz.

—Ale co mam powiedzieć tym panom w gabinecie?

—Proszę im powiedzieć, żeby... — zaczął Kristenfeld, ale powstrzymał się od niegrzecznej uwagi i panna Marta odetchnęła z ulgą.

—No dobrze już, dobrze, powiem im, że pan będzie za jakąś godzinę, żeby miał pan czas przebrać się w hotelu.

Zadzwonił telefon. Kristenfeld wyrwał sekretarce słuchawkę z ręki.

— Ja?! — huknął. Nigdy przedtem nie zdarzało mu się krzyknąć tak głośno. —Ja?! Jest profesor? Wrócił? Tak czy nie? Profesor Smolsky?!

Marta ujrzała, że twarz jej pryncypała rozjaśnił nagle szeroki uśmiech. Wydało jej się, że to uśmiech ogromnej ulgi. Przynajmniej nie jest już zły, pomyślała.

— ...proszę mu więc powiedzieć, że przyjdę do niego jutro wieczorem na moją sesję — wrzeszczał Kristenfeld, Marta wyszła więc z pokoju, by udobruchać kontrahentów i poprawić wylewający się z dekoltywielki biust, z którego była niezwykle dumna.

—A co masz pod spodem?

—Sprawdź... możesz dotknąć.

—Nie masz gorsetu?

—Zgadza się.

—Czyli nie nosisz tych paskudztw z różowej gumy? — Chwila ciszy. I znów męski głos: — A do przytrzymywania pończoch?

—Dotknij.

—Och, te okropne gumki!

—Podwiązki. Czerwone. Chcesz zobaczyć?

—Piękne, twoje uda też.

Rozmowa urwała się. Całują się — pomyślała Nina Gumplowitz. Leżała na dywanie, z zamkniętymi oczami, z głową opartą na kwiecistej poduszce. Uchyliła powieki. Na małej kanapie w głębi pokoju dziewczyna i młodzieniec obejmowali się mocno; jego ręka błądziła Bóg wie gdzie. Pozazdrościła im. Przekląła Smolsky'ego, że nie ma go przy niej.

Odwróciła się od młodej parki i zagapiła w sufit, na którym drżały refleksy odbite od wód kanału, przepływającego tuż pod oknem domu na obrzeżach Leopoldstadt, samego serca Wiednia.

Jeśli wyjdę zaraz, kalkulowała Nina, za niecałe dwadzieścia minut będę u niego. Do diabła z pacjentami. Nie widziała się z nim jeszcze, od kiedy wrócił z Włoch. Właśnie że pójdę, myślała. Ale nie ruszyła się z miejsca. Bułgar, siedzący przy pianinie pod ścianą obok otwartego okna, nie odrywał od niej oczu.

—Smutna? — Jego przytłumiony głos utorował sobie drogę między nutami Nowelety Schumanna. Nina pokręciła głową uśmiechając się do niego. Ale Sander nie rozpogodził się; przez chwilę zdawał się pochłonięty wyłącznie muzyką. Grał z rzadką maestrią i wrażliwością. Wykonanie było doskonałe, jak na wielkim koncercie, zdumiewające wręcz w tym biednym pokoju, wyklejonym starą papierową tapetą z anonimo—

wymi odrapanymi meblami, z wytartym dywanem i tą nieszczęsną kanapą na której kochał się każdy, kto przychodził do tego domu artystów w żydowskiej dzielnicy. Nie było to właściwie getto, ale miejsce, gdzie gnieździł się biedni Żydzi, by wyprowadzić się jak najspieszniej, jeśli przypadkiem udało im się zarobić trochę pieniędzy.

Izaak, pan domu — który nigdy nie zarobił na swoich niepokojących obrazach i nie miał szans wynieść się z Leopoldstadt — stanął w drzwiach i wesoło krzyknął do parki na kanapie:

— Hej! Poczekajcie przynajmniej, aż będziecie sami.

Nina rzuciła mu gniewne spojrzenie i położyła palec na ustach, wskazując ruchem głowy Bułgara. Jak śmie przeszkadzać? Izaak podniósł ją z podłogi, ścisnął w talii i porwał ze sobą śledzony spojrzeniem Sander. Bułgar nie przestał jednak grać — pozostał ze swoim Schumannem, podczas gdy na kanapie trwała niezakłócona miłosna potyczka.

W drugim pokoju wokół wyłączonego radia siedziała grupka młodych ludzi. Piękne, ciemnoróżowe młode wino krążyło w kieliszkach i filiżankach.

—Co powiedzieli w Berlinie? — zapytała Nina, wskazując radio. — Coś zabawnego?

—To co zwykle, ale nic niepokojącego.

—No chyba żartujesz! — parsknęła jakaś dziewczyna. — Mnie się wcale niepodoba, że nasi i faszyci spiknęli się ze sobą. I nie podoba mi się, że Mussolini pojechał do Berlina.

—Och, oni mają gdzieś, co się tobie podoba, nie bój się.

—Jak pomyślę, że tylko my słuchamy przez radio przemówień tych kryminalistów... Tylko my, Żydzi, interesujemy się polityką! — krzyknął jakiś młodzieniec, napełniając sobie kieliszek.



— Interesujemy się polityką? Daj spokój — powiedziała pogardliwie dziewczyna. — Tym razem nie chodzi o politykę. Przepychamy się przy radiu, by posłuchać Hitlera, Goebbelsa i Goeringa tylko dlatego, że mamy stracha!

—Ależ tu, w Austrii, nie stanie się nam nic złego. Nigdy. Nie tkną nas tutaj.

— Tu nigdy nie przyjmie się nazistowski rząd. Nasz drogi Schuschnigg jest dobrym katolikiem i nie...

—Mozesz dać i mnie?—przerwała mu Nina, podsuwając kieliszek.

Wypiła: młode wino podsyciło żar, który ją trawił. Zobaczyła stojącego w progu Bułgara, jego zamysłone oczy, wpatrujące się w nią ze smutkiem.

—Ja idę. Kochani — oznajmiła Nina i wybiegła z pokoju, porywając z krzesła żakiet z czarnego aksamitu i kapelusz.

—Hej, a co z rysunkami? — krzyknął za nią Izaak.

—Jutro! — odpowiedziała, wsuwając rękę pod ramię Sander'a i ciągnąc go za sobą korytarzem.

—Pamiętaj o tej książce o Klimcie — dobiegł ich jeszcze raz głos Izaaka.

Nina nie odpowiedziała; głos odebrał jej widok dwóch białych ciał na kanapie w półmroku drugiego pokoju. Przeszła obok, wściekła.

—Potrzebuję powietrza, chodźmy, Sander! — warknęła do Bułgara, który szedł za nią posłusznie, ściskając jej rękę.

Przez jakiś czas spacerowali po Kartnerstrasse, w tłumie przetaczającym się wzdłuż kryształowych wystaw najpiękniejszych wiedeńskich sklepów. Bułgar opowiadał o Schumannie i Brahmsie, a Nina rozmyślała o Smolskim. O jego piersi, na której chętnie oparłaby teraz głowę. O jego dłoniach.

Nagle ktoś ją potrącił. By nie upaść, Nina przytrzymała się Sander'a.

—Co to znowu za... — wypalił Bułgar, cudem utrzymując równowagę.

—Niech pan da spokój — poprosiła go Nina półgłosem, schylając się by rozmasować kostkę. Ale Sander nie usłuchał — wyłowił już wzrokiem z tłumu wysokiego masywnego typka w tyrolskich skórzanych spodenkach do kolan.

—Ej, ty tam! Nie widziałeś pani?

—I co z tego? — padła arogancka odpowiedź.

— Powiedziałałam, żeby pan dał spokój! — syknęła Nina, rzucając się na Sandera. — Zrozumiał pan? — Chwyliła go pod ramię. — Albo pan stąd odejdzie, albo więcej mnie pan nie zobaczy. — Groźba odniosła spodziewany skutek; Sander pośpiesznie ruszył za Niną która energicznie przedzierała się przez tłum.

—Chciałem tylko, żeby panią przeprosił! — wyjaśnił Sander, kiedy usiedli wreszcie przy stoliku u Landtmanna. — Dlaczego pani mi zabroniła?

—Ten człowiek wpadł na mnie specjalnie. Prawdopodobnie mnie zna. Wie, że jestem Żydówką.

—Specjalnie? Ależ co pani mówi?

—Widział pan jego podkolanówki? To nazista. Należy do partii nazistowskiej. Pan nie wie takich rzeczy, Sander?

—Podkolanówki?

Nina wydmuchnęła zniecierpliwiona dym papierosa.

—Och, do diabła, na jakim świecie pan żyje?

—Jestem w Wiedniu od niedawna.

—Tu partia nazistowska jest nielegalna, wie pan przynajmniej tyle?

—Tak...

—Ale nazistów i tak mamy, i to jeszcze jakich! W Austrii nie mogą się ubrać w brązowe koszule, więc zakładają białe bawełniane skarpety do kolan. Póki co, to jest ich sposób, by się nawzajem rozpoznawać i by rozpoznawali ich inni.

—I nikt nic nie mówi?

—Niech mnie pan nie rozśmiesza, Sander. Pan chciałby ludziom zabronić noszenia białych skarpetek?

—Mogła mi pani chociaż pozwolić, żebym go zmusił...

—Do czego? Do przeprosin? — rzuciła ze złością Nina. — Niech pan nie udaje idioty! Ta świnka tylko szukała okazji, by puścić pięści w ruch. Pobiłby nas, a ludzie wokoło nawet nie kiwnęliby palcem.

Sander nie odpowiedział. Siedzieli przez chwilę w milczeniu. W barokowym lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie Bułgar widział odbicie chudych pleców Niny w obcisłej jasnej sukience. Nina usłyszała jego westchnienie. Spojrzała na niego.

—Co się stało?

—Mogę pani powiedzieć?

—A chce pan? Ja już i tak wiem. Pan się we mnie kocha.

— Za to pani kocha się w Smolskim. W swoim fascynującym psychoanalityku. — Sander spróbował uśmiechnąć się ironicznie.

— Och, to nie jest mój psychoanalitik. Nie jestem jego pacjentką. I wcale nie mam ochoty nią zostać.

— Dlaczego? Czy Smolsky nie jest dobry? To znaczy jako psychoanalitik.

—Jest jednym z najlepszych Jeśli o to chodzi.

—Ale pani i tak jest w nim zakochana.

—To aż tak widać?

—Tak.

Nina piła kawę małymi łykami. Delikatnie odstawiła filiżankę i odpowiedziała półgłosem;

—Ale to nie zmienia faktu, że pan mnie pociąga, Sander.

—Dlaczego nie jest pani ze Smolskim? Dlaczego siedzi tu pani ze mną, nudząc się w kawiarni na najelegantszej wiedeńskiej ulicy, tak, jak jeszcze niedawno nudziła się pani w tej norze u swoich przyjaciół artystów?

—Nie biegam za Smolskim — odparła Nina, obracając łyżeczkę w pustej filiżance. — Wiem, że wrócił i dzwoniłam do niego kilka razy. Odbierała gosposia. Mówiła, że profesor jest zajęty. Pokaże się prędzej czy później.

—A tymczasem pani cierpi.

Nina milczała.

—Ale pani... pani jest jego kochanką, prawda?

Nina podniosła wzrok.

—Ależ tak, oczywiście. Czy to ma jakieś znaczenie?

—Och, doprawdy! On panią kocha czy nie? Zależy mu na pani?

Nina otworzyła torebkę, znów nie odpowiadając. Wyjęła złotą puderniczkę. Przejrzała się w lusterku, zmarszczyła brwi i przypudrowała nos różowym puszkciem. Pociągnęła szminką usta.

—Podobam się panu, Sander? — zapytała, wydymając lekko dolną wargę.

—Co za pytanie — mruknął pianista.

—Więc idziemy. Naprawdę się tu nudzę.

Wrócili na Kartnerstrasse. Nina zatrzymała się na chwilę w biurze podróży naprzeciwko opery, zaciekawiona fotografią Wenecji.

—Chciałby pan tam teraz być? Ze mną?

—Nie — odparł Bułgar.

Nina otworzyła szeroko oczy.

—Pan zwariował? Wenecja jest...

—...we Włoszech. A we Włoszech jest faszyzm.

—Och, dość już! Przestańmy o tym myśleć.

Dziesięć minut później Nina wpuściła pianistę do swojego małego mieszkanca obok Prateru. Weszła pośpiesznie do sypialni i otworzyła na oścież okno. Bułgar zatrzymał się z wahaniem na progu.

—Nino...

—Co znowu? — szepnęła. Było już prawie całkiem ciemno. Mężczyzna podszedł do niej.

—Pani jest naprawdę pewna?

—Czego?

— Że mnie pani pragnie.

Dziewczyna roześmiała się cicho i oparła czoło o jego ramię.

—Niech pan sprawi, żebym zapomniała o Smolskim. Przynajmniej na parę godzin. Jestem pewna, że pan to potrafi, Sander.

—W takim razie spróbuj nazywać mnie Fred — mruknął Sander i odwróciwszy ją stanowczym gestem, zaczął rozsuwać zamek błyskawiczny jej sukienki.

—Znowu się pomyliłaś.

—Kiedy? — Ze smyczkiem w powietrzu i skrzypcami opartymi na ramieniu dziewczynka wpatrywała się gniewnie w SmoIsky'ego.

—Posłuchaj tutaj... ta—ta—ta? Zrozumiano? Tak jak leci, bez zwalniania.

Mała wskazała smyczkiem partyturę.

—Czy pan nie widzi, że...

—Ewo, rób, co mówię, albo tym razem to będzie katastrofa, a nie duet.

Dziewczynka zacisnęła wargi i wbiła wzrok w nuty. Stopą w czarnym wysokim trzewiczku podała takt i zaczęła grać. Z fletem przy ustach, Smolsky czekał na swoje wejście. Zaczął nie w porę, udał, że niczego nie zauważył, ale po chwili Ewa przerwała granie.

—A teraz co znowu? — burknął niegrzecznie Smolsky.

—To pan się myli. — Ewa wpatrywała się w niego niebieskimi oczami, poważnymi i stanowczymi. — Pomijając wejście... nie zauważył pan tego f—moll? Pan to ciągle gra bez bemola.

—A gdzie niby ten bemol? — Smolsky pochylił się zirytowany nad partyturą. Dziewczynka miała oczywiście rację.

—Pan jest dziś zły. I odbija pan to sobie na mnie — stwierdziła spokojnie, bez cienia impertynencji.

To prawda, pomyślał Smolsky.

— Powinnaś chyba wracać do domu. Gramy już dosyć długo. To już chyba pora twojej kolacji, prawda?

— Jeśli pan chce mnie odesłać, może to pan powiedzieć jasno — zaprotestowała niewzruszona. Zręcznie włożyła skrzypce do futerału, zatrzasnęła zameczek i odwróciła się od Smolsky'ego.

—Ewo...

—Tak? — Dziewczynka spojrzała na niego przez ramię, z ręką na klamce.

—Byłem nieznośny.

—Tak.

—I nieuprzejmy.

—Tak.

—Wybaczysz mi?

Ewa nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na niego, nie ruszając się z miejsca. Smolsky odłożył flet na stół i podszedł do niej.

—Ciągłe jesteśmy przyjaciółmi i, Ewo?

—Niech pan nie mówi głupstw, oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi! I proszę mnie nie traktować jak małej dziewczynki.

To też prawda, przyznał Smolsky. Odgrywał dorosłego, zamkniętego w swoim świecie, ale wyrozumiałego. Ohyda. Wyprostował się i przyjrzał się dziewczynce — jej włosom, zebranych w warkocz przerzucony przez ramię, ubraniu w białe i różowe paski, które ją pogrubiały.

—Zobaczymy się jutro — uśmiechnął się w końcu. — Obiecuję ci, że nie będę już taki marudny.

—Więc do zobaczenia jutro — odpowiedziała, ale nie odchodziła.

Przez jej twarz przemknął cień.

—No? — zapytał Smolsky. — Co się znowu stało?

—Chciałam zapytać, czy... to prawda, że pan ma na drugie imię Dawid?

—Owszem — odparł Smolsky zaskoczony. — Zgadza się. Nazywam się Jaroslav Dawid Smolsky. Czemu pytasz?

—Tak sobie — Ewa odwróciła oczy.

—Mój dziadek miał na imię Dawid. Mieszkał w Czechach. Czechy to ojczyzna moich dziadków, ich rodziców i rodziców ich rodziców, i tak dalej. Wszystko jasne?

Dziewczynka kiwnęła głową.

—Ale o co chodzi? Nie podoba ci się, że mam na drugie Dawid? Dlaczego?

—Powie panu jutro. Albo jeszcze kiedy indziej — odparła Ewa cicho i uciekła. Smolsky stał chwilę przy drzwiach, wpatrując się w zadumie w błękitne wzory na dywanie.

Tego wieczoru zjadł kolację w pośpiechu, obsługiwany przez milczącą Helenę.

—Ach, proszę wybaczyć, profesorze — westchnęła w końcu, podając kompot. — Zapomniałam panu powiedzieć, że dziś po południu jeszcze dwa razy dzwoniła panna Nina Gumpłowicz.

Smolsky kiwnął głową ze zmarszczonymi brwiami. Z tacy stojącej przed nim wziął knedel ze śliwkami.

—I co jeszcze?

—Potem, kiedy pan grał z Ewą dzwonił pan Kristenfeld.

Knedel wypadł Smolsky'emu z ręki i wyładował na obrusie.

—Ależ profesorze! — Helena nie mogła się powstrzymać. — Nie może pan bardziej uważać?

Smolsky zebrał ciasto i wrzucił je na tacę.

—Czego chciał? — zapytał tak gniewnym głosem, że gospodyni spojrzała na niego zdumiona. Profesor nigdy nie mówił takim tonem, kiedy chodziło o jego pacjentów!

—No więc? Pytałem, czego chciał.

—Niczego. Dzwonił z Berlina, by potwierdzić, że jutro przyjdzie na swoją wizytę.

Smolsky wstał, odepchnął krzesło.

—Idę się przejść. Proszę nie zapomnieć nakarmić kotów. — Wychodząc, trzasnął drzwiami.

W nocy nieustanny szum drzew mieszał się z płynnym szeptem Dunaju, czarnego i tajemniczego za rzędem lip. Liście fruwały jak papierowe nietoperze w ciemnościach słabo rozświetlonych latarniami. Wilgotne podmuchy podnosiły się znad rzeki i ochładzały powietrze. Nie było słyhać nic prócz wiatru i pomruku płynącej wody.

Smolsky szedł powoli, przytłoczony smutkiem, zamyślony. Od kiedy wrócił z Włoch, targała nim głucha wściekłość. Zniknęła dopiero teraz, jak cofający się przyływ, zostawiając go zmęczonego i przybitego. Szedł z pochyloną głową, a wiatr targał mu włosy i rozżarzał papierosa. Wyjął go z ust, podszedł do nabrzeża i wyrzucił; niedopałek zakreślił cieniutki świecący luk i zniknął w gęstej ciemności na powierzchni rzeki.

Smolsky wsunął ręce do kieszeni i usiadł na murku. Ponad nim cienki i blady sierp światła pojawiał się i znikał za zmierzwionym welonem mgły.

Kiedy ostatnio tak się czuł? Nieszczęśliwy i samotny? Nie, nie chodziło o awanturę, w którą wplątał go Kristenfeld. ani o scenę zabójstwa w Stresie, o paraliżujący strach i gorączkową ulgę, że udało mu się uciec śmierci. Nie tylko to ciążyło mu teraz na sercu.

Ruszył dalej. Wrócił pamięcią do hołesnych wspomnień, tym razem nie zatrzymując się przed bramą pałacu cudów i strachów — przed bramę, którą sam zatrasnął przed trzema laty, kiedy poprzysiągł sobie, że już nigdy nie narazi się na podobne cierpienie. Pamięć przełamała wszystkie bariery, które przez te lata Smolsky wznosił wokół swojego serca, by odgrodzić się od przeszłości. Pomyślał o Grecie. O tym, jak z rozpuszczonymi włosami zamknęła drzwi na klucz i rzuciła mu się drżąca w ramiona. Potem, tego samego wieczoru, kiedy siedzieli z przyjaciółmi przy stole, Greta siedziała naprzeciwko niego, obok Karla, i uśmiechała się do niego ukradkiem.



Karl tulił ją do siebie, niczego nieświadomy; zakochany. Smolsky odwrócił się tyłem do wiatru i zapalił papierosa. Nie, nie chciał wspominać. Potworne wydarzenia, które miały miejsce później, nie nadawały się na wspomnienia.

Ruszył dalej w zawierusze martwych liści. Tak nieszczęśliwy i tak samotny czuł się ostatnio właśnie wtedy. Zatrzymał się pod latarnią i wbił wzrok w ciemność, tak nieszczęśliwy i samotny. A dziś?

Jeszcze bardziej, jeszcze bardziej, krzyczało coś w jego głowie. Dziś bardziej niż wtedy targła nim rozpacz i poczucie, że jest sam na świecie. Powodem była Eleonora. Jej twarz, wyrazista i melancholijna, wyłaniała się z ciemności i stawała mu przed oczami. Smolsky'emu wydawało się, że widzi ją naprawdę — tak żarliwe było jego pragnienie.

Wiatr igrał w jej jasnych włosach. Tak bardzo pragnął ją zobaczyć. Wyobrażał sobie, że mają u boku, że trzyma ją za rękę — może pozwoliłaby się dotknąć, gdyby jakimś magicznym sposobem stanęła przed nim, gotowa do pocałunków, zakochana i spragniona jego namiętności. Wśród tej wietrznej nocy tak bardzo chciał ją przytulić. Posmakować jej ciepłą białą skórę. Poczucie na twarzy jej chłodne dłonie.

Oparł się o pień drzewa i westchnął. Jak mógł się tak zakochać? Jak to się stało? Bo to, co czuł, to była miłość. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. I to wszystko przez kilka spojrzeń? Przez dwa spotkania? I czy nie przysiągł sobie, że już nigdy się nie zakocha? Nie przysiągł sobie tego przed trzema laty?

Ruszył dalej. Dziwne, pomyślał smutno, teraz, kiedy znów cierpiał przez kobietę, dopiero teraz był w stanie myśleć o Grecie, bladym duchu, który ustępował miejsca żywemu ciału Eleonory; jej aksamitnemu spojrzeniu, temu, co czuł do niej — dalekiej istoty, utraconej jeszcze zanim cokolwiek zaczęło się między nimi, zanim zaczęła się ich historia. Czy koniec tej historii naprawdę został już zapisany?

A przecież to mogłoby być takie proste. Pociąg do Włoch odjeżdżał około północy. Smolsky zajechałby do Mediolanu jutro rano. Zapytałby Giorgia Maraniego o adres Eleonory, o numer telefonu — Giorgio na pewno go znał, skoro w jego sanatorium leczył się jej ojciec. Smolsky nie wątpił, że by go rozpoznała. Kiedy spotkali się w pociągu, odpowiedziała na jego spojrzenie i to w jaki sposób! Z taką słodyczą, z takim zmieszaniem... Oczywiście, że by go pamiętała. Ale potem? Jak wytłumaczyłby się z tej sutanny, którą miał na sobie? A elegancki mężczyzna w szarym garniturze, który był jej znajomym? Ten z tajnej policji?

Smolsky zaklął. Ależ nie, to niemożliwe! Jedyne, co mógł zrobić, to zapomnieć o wszystkim, co zaszło w Stresie. Jakby nigdy tam nie był, jakby nigdy nie miał w ręce tej przeklętej książki Kristenfelda. Jakby nigdy nie miał na sobie tej sutanny. On, Jaroslav Smolsky, nigdy nie

był w Stresie i nie kontaktował się z antyfaszystowskim szpiegiem. A to oznaczało, że musi zapomnieć o Eleonorze.

Musi o niej zapomnieć nie tylko, by uchronić się przed przesłuchaniem przez tajną policję włoską. Nie tylko dlatego. Chciał też uchronić własne serce przed płomieniem, którego się bał. Straszne wspomnienie Grety, wyłaniające się z mgły przeszłości, było przestrożą. Chciał uchronić umysł przed tęsknotą, a ciało przed gorączką, której nie była w stanie ugasić żadna inna kobieta. Zaciągnął się głęboko papierosem. Ostry dym zapiekł go w gardle. Nad jego głową, w ciemnościach, wiatr poruszał konarami drzew, zdzierając z nich gałązki i liście.

Nie, nie wolno mu myśleć o Eleonorze. Musi się zabezpieczyć przed wszelkim niebezpieczeństwem, wszelkim cierpieniem. Pomyślał, że jeśli nakaze sobie stanowczo o niej zapomnieć, uda mu się. Prawie w to uwierzył. Rzucił papierosa i zgniół go mocno obcasem, jakby chciał wcisnąć pod ziemię swój smutek i swoje pragnienia. Rozejrzał się wokół; przed nim



— Ty nie masz żalu do swojego psychoanalityka, a przecież wiesz, że cię nie kocha. Zgadza się?

— Nie nazywaj go „moim psychoanalitykiem — odparła Nina. — A poza tym Smolsky mnie kocha. Na swój sposób. — Dłoń mężczyzny dotknęła w ciemności jej twarzy, palec musnął wargi, szukając kącików ust. Zadrżała pod tą drobną zmysłową pieścizną. Dłoń zsunęła się w zagłębienie między piersiami.

— Nawet nie wiesz, jak mi się podobasz — mruknął mężczyzna. — Nawet sobie nie wyobrażasz.

— Nie jesteś zazdrosny?

— O Smolsky'ego? Owszem, jestem. Nawet bardzo.

— Chcesz mnie jeszcze pocałować? — Ale ledwie wargi Sander zamknęły jej usta, Nina zeszytniała. Oprócz szumu wiatru w nocnej ciszy dało się słyszeć coś jeszcze. Ciche chrobotanie.

Serce jej zamarło, odsunęła się od mężczyzny.

— Słyszysz?

Sander nie poruszył się.

— Co takiego?

I znowu ten dźwięk. Nina przekręciła się gwałtownie i zaczęła na oślep szukać wyłącznika nocnej lampki.

— Smolsky przyszedł. To jego klucz w zamku.

— Ale przecież zamknęłaś, nie wejdzie. — Łagodne światło lampki padło na Sander. Oparły na łokciu zwracał w stronę Niny zaniepokojoną twarz. — Daj spokój, chodź tutaj. — Położył dłoń na jej nagim biodrze, zmuszając, by usiadła.

— Nie — Nina uwolniła się z jego uścisku. — Nie mogę.

— Posłuchaj... już nic nie słyhać. Zorientował się, że się zamknęłaś. Pomyśli, że jesteś z kimś, zrozumie. Pójdzie sobie — mówił cicho Sander, przyglądając włosy. Przykrył się brzegiem prześcieradła, jakby zorientował się nagle, że nie jest tak szczupły i zgrabny jak Smolsky.

Skóra Niny bielila się w półmroku, kiedy dziewczyna podbiegła boso do fotela, złapała szlafrok, po czym wymknęła się z pokoju.

Podbiegła po ciemku do drzwi wejściowych, drżącymi palcami przekręciła klucz w zamku, odsunęła rygiel i uchyliła drzwi.

Stał przed nią Smolsky.

— Spalaś?

Wszedł do środka i zapalił światło w korytarzu. Nie uśmiechał się.

Na jego zmęczonej, zamyślanej twarzy malował się wyraz, jakiego Nina nigdy jeszcze nie widziała. Przestraszyła się.

—Co się stało, Jaro? Źle się czujesz? — zupełnie zapomniała o Sanderze, którego zostawiła w łóżku.

Jaro potrząsnął głową.

—Nie. — Przeczesał ręką włosy, odgarniając je do tyłu. — A ty? Jak się miewasz? — Wyciągnął rękę, by zamknąć drzwi, ale Nina wzdygnęła się nagle, jakby budząc się z krótkiego snu.

—Nie, nie zamykaj!

—Dlaczego? — Spojrzeli na siebie w milczeniu. Oczy Jaro były nieprzeniknione. Ninę ogarnął gniew; poczuła jednocześnie bolesny wstyd i chęć buntu.

—Teraz się zjawiasz? Dopiero teraz?

—Tak.

—Wróciłeś trzy dni temu. I dopiero po trzech dniach przychodzisz tutaj. W nocy.

—Tak.

—Dlaczego nie od razu?

Smolsky westchnął, gładząc się po zarośniętym podbródku.

—Ja... nie mogłem.

—Ach, nie mogłeś. Fantastycznie! A teraz już możesz?

Jaro spuścił wzrok i potrząsnął głową nic nie mówiąc. Znow przejechał dłonią po podbródku. Było jasne, że czuje się niezręcznie. Nina знаła go na tyle, by wiedzieć, co oznacza ten gest.

—Jesteś wstrętny! — wypaliła, owijając się mocniej szlafrokiem. — Wstrętny i prymitywny!

—Pewnie tak — mruknął Smolsky.

—Nie myślałeś o mnie przez te dni?

—Jasne...

—Ach, najchętniej dałabym ci w gębę! — Próbowwała zapanować nad głosem i przeklinała się, że zaciągnęła do siebie Bułgara akurat tego wieczoru. Dlaczego nie została sama i nie czekała na Smolskyego— Wiedziała przecież, że prędzej czy później się pokaże i znow złapie ją na lep pożądania.

— Nino. —Smolsky wskazał korytarz, na końcu którego znajdowały się drzwi do sypialni. — Lepiej będzie, jak sobie pójdę. Albo ten pan w sypialni zacznie się niepokoić! —powiedział cicho.

— Ten pan w sypialni? — Nina podeszła bliżej, rumieniąc się. — Jaki pan?

— Ależ tak. Nino. Jestem idiotą i egoistą. Masz wszelkie powody, żeby dać mi w gębę — szepnął Smolsky i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nina słyszała, jak zbiega po schodach. Po chwili rozległo się stłumione trzaśnięcie drzwi od klatki schodowej.

Wróciła do pokoju i osunęła się na łóżko, twarzą w pościel, z głową w ramionach, wstrząsana szlochem. Mężczyzna obok niej nie odezwał się, nie uczynił żadnego gestu. W pokoju było słychać tylko jej rozdzierający płacz.

—Chcesz, żebym sobie poszedł? — szepnął w końcu Sander. Nina poczuła jego dłoń na karku.

—Rób co chcesz — odparła ze złością przez łzy.

—O, w takim razie... — Sander wziął ją za ramiona i przyciągnął do siebie — w takim razie zostanę.

Wychylił się z łóżka i zgasił światło, po czym objął Ninę, by mogła płakać na jego piersi. Nie mówił nic. O nic nie pytał. Była mu wdzięczna za to milczenie.

Smolsky przeszedł na piechotę przez opustoszały Wiedeń. W ciemnych zaułkach osłoniętych od wiatru odbijały się echem jego rytmiczne kroki. Ale na szerszych ulicach i na placach wściekle wirujące podmuchy rozpraszały nocną ciszę, zagłuszając wszelkie inne dźwięki. Księżyc zniknął — zaszedł, czy może zakryły go chmury.

Dotarłszy do domu, Smolsky natychmiast wziął prysznic. Stał bez ruchu, pozwalając, by gorąca woda spływała po całym jego ciele, i próbując się rozluźnić. Podstawił twarz pod cienkie igły wody; pod powiekami ujrzał chude ciało Niny w ramionach Bułgara. O tak, to nie mógł być

nikt inny. Mężczyzną w jej sypialni musiał być Sander. Ten Bułgar z oczkami wilkołaka, zawsze gotów złapać rybkę, która uciekła komuś z sieci. On, Smolsky, nie zorientował się od razu, zaraz po wejściu, że Nina jest z mężczyzną. Nie od razu. Ale po krótkiej chwili domyślił się, i tylko ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie wpaść do sypialni i nie wyrzucić intruza kopniakami. Pogratulować samokontroli, profesorze Smolsky, powiedział do siebie ze złością, zachował się pan jak prawdziwy dżentelmen! Bez zarzutu. Bo czy mógł pan sobie pozwolić na scenę zazdrości? Zbesztać Ninę, że nie czekała jak potulna Penelopa, kiedy on, przewyciężywszy własne lęki i stłumiwszy uczucie dla innej kobiety, postanowił w końcu przybiec do niej, pewien, że jak zwykle znajdzie w jej ramionach ciepłe schronienie? Poczul się jak szuja, kiedy Nina wylała na jego głowę swoje słuszne oburzenie. Ale on nie miał słów, które mogłyby ją uspokoić. Przemilczał wszystkie swoje cierpienia, wstydząc się sam siebie. Nie był w stanie powiedzieć: miła, straciłem głowę dla innej, ale muszę o niej zapomnieć, i, prawdę mówiąc, nie zamieniłem z nią ani słowa, więc oto jestem, po trzech dniach piekła!

Ale Bułgarowi i tak chętnie obiłby mordę. Zaczął namydląć się z furią, wybuchając w końcu głośnym: „Verflucht” kiedy mydło spadło mu do oczu i zapiekło okrutnie. Nienawidził się za zazdrość, którą odczuwał. Za ten bolesny paradoks, który rozdzierał go na dwoje. Bo to był paradoks, to był jakiś absurd — być zazdrosnym o Ninę, jednocześnie nosząc w sercu inną! Pocieszał się, że zdarzało się to nie tylko jemu; iluż pacjentów wylewało łzy na jego kanapie, udręczonych podobnymi sprzecznościami. Kultur — czyż nie tak mawiał doktor Freud z tym swoim złośliwym błyskiem w oku? Smolsky przekreślił kran i strumień lodowatej wody zapał mu dech. Zacisnął zęby i zmusił się, by stać bezruchu.

Drżąc z zimna, masował się szorstkim ręcznikiem, usiłując odzyskać kontrolę nad zazdrością egoistycznego kochanka. Ale nie, powiedział sobie, to było co innego. Zupełnie co innego. Z Niną łączyło go nie tylko łóżko. Nie była to miłość, zgadza się, ale i nie wyłącznie aspekt fizyczny.

Było w tym też serdeczne głębokie przywiązanie. Przyzwyczajenie. Czułość. Przyjemność obcowania z jej ciałem i umysłem, oczarowanie jednym i drugim. Nina go kochała, Smolsky wiedział o tym doskonale. W ciepłe, które od niej biło. wiele razy ogrzał swoje skamieniałe serce.

Wsunął się pod kołdrę. Za oknem hulał wiatr. To byłoby takie proste, pomyślał Smolsky, zakochać się w Ninie. Takie słuszne, takie rozsądne.

Uśmiechnął się krzywo, bo wiedział doskonale, że między uczuciami a rozsądkiem, między emocjami a wolą człowieka otwiera się tajemnicza przepaść, pełna nieznanych sił, które cały czas usiłują oddzielić serce od zimnej logiki i od sterylnych kalkulacji umysłu.

Tak czy inaczej, najlepiej byłoby, gdyby nie myślał więcej o Eleonorze. Powtarzał to sobie w duchu, wierząc się między prześcieradłami, które zdawały się zrobione z papieru ściernego. Wiatr tłuki okiennicami. Smolsky wpatrywał się w ciemność, nie mogąc zasnąć. Jego smutek

zatarł w końcu niespokojny sen, który przyszedł dopiero o świcie. Obudził się po kilku godzinach. Na dworze padało, woda spływała ze szmerem po szybach, z ołowianego nieba sączyło się szare rozproszone światło. W ogrodzie pożółkłe liście drzew, gdzieniegdzie upstrzone czerwienią, zwisały smętnie, błyszczące od deszczu, opadały z drżeniem i tonęły w błocie ścieżek. Ale kiedy Smolsky otworzył okno usłyszał arogancki śpiew drozda, siedzącego na płatanie.

To był paskudny dzień. Rozdrażniony i przygnębiony, Smolsky nie zdołał sklecić nawet kilku przyzwoitych stron do pracy, którą miał przedstawić Towarzystwu Psychoanalitycznemu. Dziękował Bogu, że ma tylko jednego pacjenta po południu; przed obiadem zmusił się, by wyjść do pobliskiej kwiaciarni i przesłać Ninie bukiet róż. Kupił gazetę, ale w domu zapomniał jej wyjąć z kieszeni. Zjadł niewiele, prawie nic. Musiał pójść na uniwersytet, na wykład szwedzkiego kolegi, który przez dobrą godzinę oczerniał Wilhelma Reicha, „tę świnię, co sypia z pacjentkami”, jak o nim mawiano, choć był jednym z ulubionych uczniów Freuda. Bardziej znudzony niż zirytowany, Smolsky słuchał Szweda, paląc jednego papierosa za drugim i rzucając rozpaczliwe spojrzenia na zegarek. Do wizyty Kristenfeida zostały raptem dwie godziny, ale Smolsky miał wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy.

Przy wyjściu z Wydziału Medycyny spotkał czekającą na niego Ninę.

Miała na sobie niebieską ceratową pelerynę rybacką, w której wyglądała bardzo młodo, niemal jak podlotek. Mokre włosy kleiły jej się do czoła, nieporządnie osłoniętego kapturem. Zręcznie wśliznęła się pod parasol Smolsky'ego.

—Róże są wspaniałe.

—Już je dostałaś?

—Po obiedzie. Na deser. — Uśmiechała się do niego, jakby między nimi nic nie zaszło. — Pójdziemy się czegoś napić?

—Mam pacjenta o szóstej.

—Poślij go do diabła!

—Nie mogę!

—Hej, nie złość się, żartowałam — odparła Nina pośpiesznie. Wzięła go pod ramię i przez chwilę szli w milczeniu. Kiedy minęli ogródki za Stephenplatz. Nina zatrzymała się. — Nie lepiej byłoby porozmawiać?

—O zeszłej nocy? — zapytał Jaro, spoglądając na nią. Stali pod drzewami ociekającymi deszczem; krople bębniły głośno o parasol.

—Tak, o zeszłej nocy.



—To był Sander, tak?

—Jak się domyśliłeś?

Smolsky ruszył powoli, w milczeniu. Idąc u jego boku, Nina wdeptywała swoimi czarnymi kaloszami w każdą kałużę, jak rozzłoszczony dzieciak.

—Nic cię nie obchodzi, że chodzę do łóżka z innymi.

—Oczywiście, że mnie obchodzi, Nino.

—Ale wyglądało na to, że masz to w nosie.

—Nebich! — Smolsky zmarszczył brwi.

—Och, daj spokój z jidysz! Wiesz, że tego nie znoszę.

—No więc, to nieprawda, że mam cię w nosie. Powiedziałem to wystarczająco zrozumiałym językiem?

Nina nie odpowiedziała, ale zaczął jej drzeć podbródek.

—Nino.

—No?

—Nie rób tak, błagam cię. Nie bądź przeze mnie nieszczęśliwa.

—Jesteś nieznośny. Wstrętny.

—To tylko zły moment. Minie. Wszystko będzie jak dawniej. — Ale wewnętrzny głos już go wyśmiał: nic nie będzie jak dawniej po tym, co zaszło w Stresie i po spotkaniu z Eleonorą.

—Nigdy przedtem taki nie byłeś. — Nina znów się zatrzymała i uniosła ku niemu pełne bólu oczy. — Taki zamknięty w sobie.

Smolsky pochylił się, by ją pocałować. Przyjęła pocałunek z rozchyłonymi wargami, ale nie odwzajemniła go. Poszli do Landtmanna i zamówili tort Sachera i kawę. To był jeden z ich zwyczajów, tym razem jednak czekoladowe ciasto pozostało prawie nietknięte. Nie rozmawiali, wymienili tylko kilka ciężkich spojrzeń.

W końcu Nina wybuchnęła.

—Wydaje mi się, że naprawdę przesadzasz. — Mówiła tak głośno, że kilka głów odwróciło się w ich kierunku. Zapaliła papierosa i wydmuchując dym, mówiła dalej, już trochę ciszej. — Ja nigdy nie robiłam problemu, kiedy chodziłeś do łóżka z innymi. A wygląda na to, że masz zwyczaj kochać się z każdą, która ci się spodoba. Włączając w to tłustą

Carlottę z wielkimi cyckami. Powiedziała mi o wszystkim, wiesz?

—Nie robię problemu z Sandera.

—A więc? Skąd ta sroga mina? — Ale zaraz wzięła go za rękę i, przyciskając kolano do jego nogi, szepnęła zaniepokojona: — Nie wiem, co się dzieje, ale nie znoszę, kiedy coś się psuje między nami! Jesteś jak żółw, który się chowa w swojej skorupie. Nie cierpię, kiedy taki jesteś! —Wstała zagniewana, jak zawsze impulsywna. — Wiesz co? Idź do diabła. Nigdy nie biegałam za mężczyznami! — I zostawiła go. Smolsky widział przez szybę, jak przeszła przez ulicę i zniknęła, idąc w kierunku Leopoldstadt.

Ledwie Smolsky wszedł do domu. gospodyni wybiegła mu na spotkanie:

— Spóźnił się pan, profesorze! Pan Kristenfeld już na pana czeka w gabinecie.

Jaro rzucił ociekający wodą płaszcz na skrzynię w przedpokoju, poprawił kamizelkę i marynarkę, wyprostował prążkowany krawat i wszedł do gabinetu.

Stojący przy biurku Kristenfeld wyjął papierosa z ust i pomachał ręką na powitanie.

—Jaki pan dzisiaj elegancki — roześmiał się. — Pańskie ubranie ma przepiękny ciemnoszary kolor.

Smolsky zamknął za sobą drzwi.

—Nie jest tak ładne jak marynarka, którą musiałem zostawić w Stresie, w szafie seminarium.

Kristenfeld bez słowa usiadł na kanapie.

Jaro odsunął szufladę biurka i wyjął książkę o Waifensteinie. Podeszedł do Kristenfelda.

—Proszę.

—O, moja książka — pow iedział spokojnie Kristenfeld.

—Zgadza się, pańska książka. — Smolsky zacisnął zęby. Muszę się opanować, pomyślał. Nie wolno mi podnosić głosu.

—Pan jest zły? — Kristenfeld lustrował go pełnym podziwu wzrokiem.

—Wściekły — sprecyzował Smolsky bezbarwnym głosem. — Wściekły.

—A jednak wrócił pan cały i zdrowy.

—Cały i zdrowy, panie Kristenfeld? A jakie było, według pana, prawdopodobieństwo, że wydam się ze Stresy?

—Powiedzmy... dziesięć, czy raczej dobre dwadzieścia procent — przyznał Kristenfeld ze stoickim spokojem. — To było spore ryzyko.

—I dając mi osiemdziesiąt procent szans, że skończę na tym trawniku obok pańskiego przyjaciela, zastrzelony przez Ovrę, posłał mnie pan do Stresy?

Kristenfeld westchnął.

—Nie miałem wyboru, Herr Professor. Kontakt z człowiekiem, którego śmierć widział pan w Stresie, został zerwany. Nie miałem pod ręką żadnego innego agenta. Tylko ktoś taki jak pan mógł tam pojechać i przywieźć mi to. — Kristenfeld uniósł książkę. — W środku oczywiście są zaszyfrowane informacje. Byłem prawie pewien, że da pan sobie radę, Smolsky. Ma pan głowę na karku. Weiedziałem, że pan jest zaradny.

—Zaradny? Proszę sobie darować. — Smolsky miał ochotę rzucić się na niego z pięściami, ale stłumił ten impuls; usiadł w fotelu, który skrzypnął żałośnie. — Skąd pan wiedział, że ten człowiek w Stresie został zabity?

—Pan mi to właśnie powiedział. Przed minutą. Nie powiedział pan, że skończył na trawniku, zastrzelony przez Ovrę? Przecież tak się pan wyraził, prawda?

—A pan — Smolsky wyjął powoli papierosa z paczki — nawet nie mrugnął okiem? Jakbym panu oznajmił, że jutro będzie ładna pogoda albo że winobranie w tym roku niezbyt się udało?

Kristenfeld siedział w milczeniu przez kilka minut. W końcu uniósł głowę i spojrzał przenikliwie na Smolsky'ego.

—O człowieku ze Stresy, nazwijmy go w ten sposób, pomyślę wieczorem. Kiedy będę sam. Pójdę do jakiejś spelunki na Zweite Hieb i wypiję za jego pamięć. I będę pił, dopóki alkohol nie pomoże mi zapomnieć o wszystkim. — Wstał z kanapy i zapalił zapałkę. Wyciągnął płomyk w kierunku Smolsky'ego, który siedział, wpatrując się w niego. Zapomniany papieros zwisał mu z kącika ust.

Jaro otrząsnął się i pochylił do przodu. Kristenfeld przypalił mu papierosa i mówił dalej:

—Widzi pan, ja wiedziałem, że człowiek ze Stresy jest już właściwie spalony. On też to wiedział. Naszej sieci we Włoszech zadano ostatnio kilka bolesnych ciosów. Również on został zidentyfikowany i spodziewał się tych z Ovrą w każdej chwili. Obydwaj mieliśmy nadzieję, że zdoła przekazać książkę, zanim zostanie schwytyany.

—To on strzelił pierwszy — powiedział Smolsky głucho—kiedy zobaczył, że tamtych pięciu się zbliża.

—To nic przyjemnego, dostać się w łapy Ovry, proszę mi wierzyć. Wielu woli zabić się ze strachu, że nie wytrzymają i wyznają wszystko, co wiedzą. Dla wielu, panie Smolsky, śmierć jest mniej przerażająca niż zdrada.

—Och, pewnie... — mruknął Smolsky; przed oczyma jak błyskawica mignęła mu twarz Grety, opuchnięta i zakrwawiona. Przełknął ślinę, odchrząknął.

—W tej szafce przed panem, panie Kristenfeld, jest jeszcze butelka wiśniówki.

Kristenfeld rzucił mu zdziwione spojrzenie, ale nie powiedział nic. Chwilę później nalewał już likier. Podał Smolskyemu kryształowy kieliszek.

—Wypijmy za to, że panu się udało. I tylko to się liczy, niech mi pan wierzy.

Smolsky milczał.

—No, nie powie mi pan, że pan nie wiedział, na co się naraża, jadąc do Stresy. Wiedział pan doskonale, że to nie jest zwykła przysługa, że nie chodzi tylko o przywiezienie mi książki i zaspokojenie moich kaprysów historyka amatora. Pan przecież wiedział, że to coś więcej.

—Nie do końca — sprzeciwił się Smolsky.

—Dlaczego pan się zgodził!

— Pojechać do Stresy po książkę?

—Dlaczego pan się zgodził? Proszę, niech mi pan powie.

Smolsky obrócił kieliszek w palcach, upił mały łyk.

—Do diabła z panem. Nie podobają mi się te pańskie pytania — oświadczył ze złością.

— A może mi pan przynajmniej opowiedzieć, jak się to wszystko odbyło? — zapytał Kristenfeld po chwili.

—Cóż, kiedy przyszedłem na plac, pańskiego człowieka nie było. Postanowiłem poczekać. Po chwili go zobaczyłem. Potem przyjechał ten samochód, padły strzały, ludzie wrzeszczeli. Porwałem książkę, ale tamci wzięli mnie za współnika.

—Przepraszam, że przerywam, ale pan jest współnikiem! — wtrącił Kristenfeld z naciskiem. — Teraz już pan nim jest. Czy to jasne?

Smolsky opróżnił kieliszek i odstawił go na brzeg biurka. Spojrzał twardo na Kristenfelda.

—Mam mówić dalej? — Zapytał z lodowatą uprzejmością. — Czy też woli pan, żebym wyrzucił pana z domu od razu, panie Kristenfeld?

—Tak, oczywiście — mruknął Duńczyk. — Proszę mówić.

—Cóż, uciekłem, schowałem się w seminarium, nikt mnie nie widział, kiedy przebierałem się za księdza. Poszedłem na stację i wróciłem do Mediolanu.

—Przebrał się pan za księdza?

—Tak, zdjąłem marynarkę, założyłem sutannę, i wzięłem kapelusz.

—A pańska marynarka została w Stresie?

—W szafie seminarium. Oczywiście wyrwałem etykiety z nazwiskiem i adresem mojego wiedeńskiego krawca.

—Fantastyczne!

—Co pana tak cieszy? — spytał zirytowany Smolsky. — Po prostu usunąłem poszlaki, które pozwoliłyby im dotrzeć do mnie.

—Poszlaki? A jak panu to wpadło do głowy?

—Pan zapomina, że jestem psychoanalitykiem. Od lat mam do czynienia z poszlakami, drogi panie Kristenfeld — wyjaśnił Smolsky z zaciśniętymi zębami.

—Pan jest urodzonym tajnym agentem, mój drogi!

—Tak pan sądzi? No cóż, myli się pan. To była moja pierwsza i ostatnia akcja. Nie będzie innych. W pociągu szukał mnie szef tych pięciu mężczyzn z Ovry. Ta sutanna uratowała mi życie. Ale nie chcę więcej żadnych awantur. Nie należę do ludzi, którzy szukają przygód. — Smolsky wstał i wskazał zegar. — Pańska wizyta się skończyła, panie Kristenfeld.

—To już ostatnia — oświadczył Kristenfeld, nie wstając z kanapy.

—Jak pan woli — odparł sucho Smolsky.

—Tak, postanowiłem, że lepiej zakończyć terapię — roześmiał się. — Analityk nie ufa już swojemu pacjentowi! Nie zdarza się to często, ale nam się przydarzyło. Zwykle dzieje się na odwrót, prawda? To pacjent przestaje ufać analitykowi. —I wciąż śmiał się, ubawiony własnym dowcipem.

Smolsky pozostał niewzruszony.

—Bardzo śmieszne.

—No, Herr Professor — Kristenfeld wstał. — Zakończmy terapię, a rozpocznijmy owocną współpracę. Pan będzie jednym z moich najlepszych ludzi.

—Ja mam swoje życie, swój zawód, swoje zainteresowania, i proszę mi nie robić moralizatorskich wykładów. O to, w co wierzę, walczę nieustannie, wykonując zawód, który wybrałem. Już panu mówiłem.

—A więc — wypalił Kristenfeld — pan gwizdże na to, co się dzieje w otaczającym pana świecie, tylko dlatego, że trzy lata temu zrobił pan to, co zrobił? Pan bardzo ryzykował, wie pan?

Smolsky zeszywniał.

—Nie rozumiem, o czym pan mówi.

—O historii sprzed trzech lat. Ja wiem, co się stało dwunastego stycznia w trzydziestym czwartym roku.

—Nie obchodzi mnie, co pan wie.

— Tego dnia prawie dwadzieścia tysięcy żołnierzy z armii rządowej i członków milicji austriackiej przypuściło atak artyleryjski na biedne dzielnice Wiednia; zburzyli domy robotników, zabili tysiące ludzi — mężczyzn, kobiety i dzieci. Rannych zostało około czterech tysięcy.

—I co z tego?

—Pamięta pan, Smolsky, jak przyniesiono tu pańskiego przyjaciela, Karla? Był prawie umierający. Policja go szukała, by zamordować także jego, tak jak zamordowała trzy tysiące innych. Pan go ukrył tutaj, razem z jego żoną. Gretą. — Dość! Proszę przestać — sapnął Smolsky.

— Karl był moim przyjacielem od zawsze i ja...

—Ale był też rewolucjonistą, poszukiwanym przez policję. Pan go ukrył, wyleczył i w końcu pomógł uciec. Pamięta pan?

—Zrobiłem to. I co z tego?

—Pan to zrobił tylko dlatego, że był pan zakochany w żonie Karla, Grecie.

Błądy jak ściana Smolsky oparł się o biurko.

—Ale skąd — zapytał ochryple — skąd pan wie o tym wszystkim? A poza tym proszę zostawić Gretę w spokoju.

—Kochał ją pan, mieliście romans, Karl o niczym nie wiedział. Pan, Smolsky, pomógł tej dwójce uciec z Austrii. Pamięta pan? Pojechali do Monako, niedaleko, ale tam zaczynał się podziemny kanał przerzutowy do Hiszpanii. Tyle że naziści ich złapali. Karl zdołał uciec. Greta dostała się w łapy gestapo.

Smolsky stał plecami do niego, patrząc w okno.

—Greta nie zdradziła. Pamięta pan, jak znalazł pan jej ciało, Smolsky? Wyrzucili ją na brzeg rzeki.

Smolsky odwrócił się powoli. Jego twarz była szara, bez wyrazu.

Kristenfeld stanął tuż przed nim.

—Trzeba walczyć z tymi, którzy zabijają naszych przyjaciół, ludzi, których kochamy. Właśnie z nimi trzeba walczyć. Nie sądzi pan?

Smolsky wciąż wpatrywał się w niego, a w wyrazie jego twarzy było coś przerażającego.

—Pan będzie moim najlepszym człowiekiem — nalegał Kristenfeld — Będzie pan często jeździł do Włoch, pańska praca psychoanalityka będzie dla pana najlepszym kamuflażem. Będzie pan odbierał informacje o dostawach broni dla faszystów w Hiszpanii. I będzie pan przekazywał te dane Anglikom. To będzie pańskie główne zadanie.

Smolsky podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

—Proszę wyjść — powiedział półgłosem. — Proszę wyjść i nie pokazywać się więcej.

Przechodząc przez drzwi, Kristenfeld popatrzył na niego przez krótką chwilę. Smutek, który zobaczył w oczach Jaro, wzruszył go.

—A więc żegnam. —I ruszył szybko korytarzem.

Kiedy pół godziny później gospodyni zastukała do drzwi, by powiedzieć, że kolacja gotowa, nikt jej nie odpowiedział. Wróciła po kwadransie i znów z gabinetu odpowiedziała jej tylko cisza. Za trzecim razem zdecydowała się w końcu uchylić drzwi.

Smolsky siedział przy biurku, z twarzą ukrytą w dłoniach.

—Herr Professor — powiedziała cicho — kolacja stygnie. A poza tym... przyszła panna Gumpłowicz. Czeka na pana w salonie. — Ale Nina stała już za plecami Heleny, odpychając ją na bok.

—Proszę iść, przyjdziemy jeść za pięć minut.

Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do Smolsky'ego.

—Jaro...

Nie poruszył się. Wciąż siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

—Jaro, powiedz coś.

Smolsky uniósł głowę.



—Jaro, co ci się stało? — szepnęła Nina, przyglądając mu się uważnie.

Obeszła szybko biurko, objęła Smolsky'ego i oparła twarz o jego twarz.

—Stało się coś złego? — zapytała cicho.

—Tak, stało się — westchnął Smolsky. — Ale to było dawno temu.

—Chcesz o tym porozmawiać?

—Nie.

Nina pocałowała go w policzek.

—Nie szkodzi — odparła, głaszcząc go po włosach. — Nieważne. Ale nie odeślesz mnie chyba?

—Nie — powiedział Smolsky po chwili. — Nie odeślę cię.

Kolacja upływała w milczeniu. Kiedy Helena przyniosła naleśniki z borówkami, Nina wyjęła jej półmisek z rąk i sama podsunęła Smolsky'emu.

—No, zjedz przynajmniej to! Uwielbiasz je przecież. Nawet nie tknąłeś jedzenia.

—Nie baw się w mamuszkę — uśmiechnął się Smolsky, odsuwając talerz. — Nie umrę z głodu, obiecuję ci.

Nina podniosła z podłogi czarną kotkę i zaczęła ją głaskać.

—Posłuchaj, może wyjedziemy na parę dni? Do Kitzbuhel, wiesz, że mam tam dom. Nie masz ochoty pospacerować trochę po lasach?

Kotka ześliznęła się z jej podółka i wskoczyła na kolana swojego pana. Nina zmarszczyła brwi.

—Nie znosi mnie. Kocha tylko ciebie, głupia. No to jak, możemy wyjechać już jutro, chcesz?

Smolsky wstał, trzymając kotkę na ramieniu.

—Tak, może rzeczywiście potrzeba mi spaceru po lesie. Ale muszę pomyśleć, czy...

Helena skończyła już sprzątać ze stołu, byli więc sami. Słychać było szmer deszczu za oknem. Nina usiadła na jednym z wielkich foteli, obitych aksamitem w kolorze ochry. Ten pokój z meblami chippendale, z marmurowym kominkiem, z osiemnastowiecznymi obrazami i dywanami przykry w ającymi parkiet, był jej ulubionym pomieszczeniem w tym domu. Książki w bibliotece, pozostawiane przez Smolsky'ego w nieładzie, dodawały atmosferze ciepła.

—Jaro — mruknęła — chodź tu. Zostaw tego kota.

Wzięła go za rękę, zmuszając, by się nad nią pochylił.

—Obejmij mnie, jesteś taki nieobecny

Kiedy Smolsky się obudził, już nie padało. Przez uchylone okno wlatywał do pokoju zapach mokrych drzew i ogrodu. Ulotny szmer gałęzi pieścił ciszę; poza tym nie słyhać było żadnego dźwięku. Tylko oddech Niny u jego boku. Spała na jego ramieniu, z ręką przerzuconą przez jego pierś. Powoli, by jej nie obudzić, Smolsky wysunął się z jej objęć i ustał. Poruszając się w ciemnościach, ostrożny i cichy niczym jeden z jego kotów, podszedł do okna. Ponad drzewami świeciły słabe, ale wyraźne, punkciki gwiazd.

Smolsky wyśliznął się z pokoju. Wchodząc do salonu, usłyszał, jak zegar wybija pojedynczą, basową i wibrującą nutę. Pierwsza. Drzemął ledwie pół godziny. Zapalił lampę w kącie i tak jak stał, nagi i bosi, nalał sobie kieliszek sznapsa. Pałący smak alkoholu podsycił jeszcze bardziej niepokój, który przed chwilą wyrwał go ze snu, torturując niewidzialnymi szponami.

Smolsky zaczął chodzić w tę i z powrotem, z kieliszkiem w dłoni, usiłując nie odrywać oczu od wzorów na dywanie i rozmyślać o błahych sprawach. Jutro środa; mógłby pojechać w odwiedziny do matki na Grinzing. Zjadłby z nią obiad, razem uporządkowaliby trochę ogród i może w sobotę rzeczywiście mógłby wyjechać z Niną do Kitzbühel. Zatrzymał się przy oknie, odsunął zasłonę. Gwiazdy mrugały zachęcająco; tak, październik pewnie będzie pogodny.

Na stole obok okna Smolsky zobaczył gazetę, którą kupił tego ranka.

Widocznie położyła ją tam Helena, wyciągnąwszy z kieszeni płaszcz, gdzie Smolsky zostawił ją przez zapomnienie.

Wziął gazetę i usiadł ciężko w fotelu. Otworzył ją z niechęcią i zaczął przebiegać wzrokiem po stronicach, kiedy nagle krótka notka, drobna wzmianka uderzyła go jak obuchem w głowę. Była to wiadomość, że poprzedniego dnia w Heidelbergu zmarła śmiercią samobójczą pani Meyer, żona profesora Meyera, znanego psychiatry. Pani Meyer w młodości była świetną pianistką. Powiesiła się w łazience, w swoim domu. Niedawno jej mąż został aresztowany przez SS.

Smolsky przeczytał wiadomość kilka razy. Upuścił gazetę. Żona Meyera dzwoniła do niego z Niemiec kilka tygodni temu. Płakała, opowiadając o mężu, który został zabrany jak wielu innych i słuch po nim zaginął. A teraz się powiesiła.

—Co ja robię? Na co ja jeszcze czekam? — wybuchnął Smolsky głośno. Złapał gazetę, podarł na kawałki i cisnął na ziemię. — Na co ja czekam, nieszczęsny głupiec?!

Wrócił do ciemnej sypialni i na oślep zaczął szukać ubrania. Nina wciąż spała, zwinięta w kłębek. Nie obudził jej, nawet nie zwrócił na nią uwagi.

Dziesięć minut później wychodził już w nocne powietrze, podnosząc kołnierz płaszcza. Z torebki Niny wziął kluczyki do limuzyny. Przyśpieszył dopiero, kiedy dojechał do końca uliczki i z karkołomną prędkością skierował się w stronę Zweite Hieb. Zaparkował obok kanału i dalej ruszył piechotą.

Nie musiał długo szukać. Obszedłszy kilka lokali, znalazł Kristenfelda w piwiarni przy Czerningasse. Duńczyk siedział z tyłu, sam, z dzbankiem piwa. Łokcie miał oparte na stole, dłonie złożone jedna na drugiej, na głowie kapelusz. Wpatrywał się w przestrzeń. Smolsky podszedł do niego pod niskim krzywym sklepieniem zadymionej spelunki, pełnej gwaru i zaduchu kiszonej kapusty.

Zatrzymał się obok stolika. Kristenfeld nie poruszył się. Siedział tak, przygarbiony i smutny przed swoim kuflem, zapewne którymś z kolei, sądząc po jego nieobecnej twarzy. Ciekawe, zapytał się w duchu Smolsky, czy wciąż jeszcze prowadził milczącą rozmowę z człowiekiem ze Stresy i z własnymi wspomnieniami, czy też osiągnął już upragnione zapomnienie i nie myślał o niczym.

—Panie Kristenfeld.

Mężczyzna uniósł powieki. Z wysiłkiem skupił wzrok na twarzy Smolsky'ego.

—O, witam — powiedział, ani trochę nie zaskoczony. Wskazał ławkę naprzeciwko. — Piwko w dobrej kompanii?

Smolsky usiadł. Po chwili dziewczyna w ludowym stroju postawiła przed nim z hukiem pełny kufel, z którego piana kipiała na drewniany blat.

Smolsky wyjął paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę Kristenfelda.

—Ale — powiedział, jakby kontynuował rozmowę przerwana przed chwilą — musi pan wiedzieć, że nie przepadam za Anglikami.

—Och — Kristenfeld kiwnął głową, częstując się papierosem — skoro już o tym mowa, to ja też nie. Ani trochę.

Przez chwilę palili w milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem.

W końcu Kristenfeld uniósł kufel.

—Toast?

—Toast — odparł Smolsky. — Przyjmuję pańską propozycję. Przyszedłem to panu powiedzieć.

Kufel Kristenfelda zawisł w połowie drogi. Po krótkiej chwili stuknął w kufel Smolsky'ego.

—No więc, jak mawiacie wy Żydzi, w tym waszym jidysz? Macie jakieś słono, by powiedzieć „na zdrowie”, czy nie?

—Moselknr.

—No to Moselknr, Herr Professor! Od tej chwili pracujemy razem. Już prawie straciłem nadzieję, wie pan?

Wypili, patrząc sobie w oczy.

Kiedy Nina się obudziła, pierwsze światło poranka rozjaśniało słabo pokój. Zaczęła nasłuchiwać z otwartymi oczami. Ktoś grał na flecie. Był to Smolsky. To muzyka ją obudziła. Obróciła się, by spojrzeć na zegarek na szafce. Była za dziesięć szósta. Dziewczyna ześliznęła się z łóżka. Drżąc z zimna, wzięła z krzesła koszulę Smolsky'ego i założyła ją, idąc do drzwi.

Smolsky był w salonie. Otworzył na oścież wszystkie wykuszowe okna i stojąc w utworzonym przez nie półkolu, ubrany w nieprzemakalny płaszcz grał na flecie. Jego ciało poruszało się lekko w takt muzyki — powtarzający się, rozdzierający motyw z Budinerie Bacha; jego ruchy zdawały się dodawać każdej nucie impetu i pełnego pasji wigoru.

Nina zbliżyła się do Smolsky'ego. Wpatrywała się w niego zdumiona, opierając się o poręcz fotela.

Smolsky grał, błędząc spojrzeniem po horyzoncie. Muzyka coraz szybsza, głośniejsza, coraz bardziej natarcywa przenikała powietrze — ciskał ją w jasne od świtu, pogodne niebo całą mocą swej istoty, całym sobą jak włócznie, jak wyzwanie — brzmiała niczym pieśń, która poprzedza miłosne zmagania lub wojnę.

Grał długo, bardzo długo. Kiedy skończył, zwrócił ku Ninie ciemne i dumne oczy.

—Nigdy nie grałeś w taki sposób — powiedziała Nina półgłosem.

—Nie — odparł — nigdy. Aż do dziś. —I znów przyłożył flet do warg.

—Do licha, ależ ty jesteś zawsze elegancki! — powiedział Giorgio Marani, patrząc, jak Smolsky zakłada przed lustrem marynarkę. Przyszedł po przyjaciela do hotelu Gallia i teraz

siedział na foteliku w jego pokoju, obracając w palcach kieliszek z aperitifem i podziwiając z zazdrością kolegę po fachu. — Naprawdę. Twoje ubranie zawsze jest bez zarzutu, wiesz?

—Jestem próżny — uśmiechnął się drwiąco Smolsky przeglądając się i przyglądając włosy. — Lubię być piękny!

—Masz świetnego krawca.

—Ty też. — Smolsky poprawił węzeł krawata.

—A idź do licha. — Giorgio wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. — Ja mam brzuch.

—No cóż... te wszystkie spaghetti...

—Bzdury — odparł Giorgio. — Chodzi o to, że za mało zadaję się z kobietami. Powinienem robić tak jak ty. Dziś na tym przyjęciu naprawdę będziesz miał wybór. Świetny towar, zobaczysz. Najlepszy. Najpiękniejsze kobiety z mediolańskiego towarzystwa.

Giorgio podszedł do wózka pozostawionego przy drzwiach przez kelnera i nalał sobie jeszcze jedno cinzano.

—Ty też chcesz?

Smolsky pokręcił głową. Przekładał właśnie papierosy z paczki do srebrnej papierošnicy. Jego twarz była skoncentrowana i nieprzenikniona.

—Jesteś gotów?

—Jasne — powiedział Smolsky, wyjmując z szuflady batystową chusteczkę.

—Stroisz się dłużej niż niejedna kobieta.

Chwilę później balilla Giorgia Maranigo mknęła w kierunku San Stiro. Z piskiem opon wjechała w otwartą bramę, przecięła park i zatrzymała się w końcu na placyku oświetlonym lampami ogrodowymi.

—Popatrz — wysiadając z samochodu, Giorgio wskazał inne auta zaparkowane przed willą. — Zobacz, jakie cuda. Moja balilla jest zupełnie do niczego w porównaniu z tymi wszystkimi egzemplarzami robionymi na zamówienie!

Salony błyszczały światłami i luksusem. Elegancja mężczyzn, ale przede wszystkim kobiet wydała się Smolsky'emu ostentacyjna i przesadna. Przesadny był też przepych samych wnętrz, pełnych luster i złotych dywanów i dekoracji z orchidei na stołach zastawionych butelkami szampana; powietrze aż gęste było od zapachów, głosów i sztucznych śmiechów.

Giorgio Marani, który jeszcze przed chwilą był zły jak osa, teraz krążył wesolutki po pokojach, kłaniając się na prawo i lewo. Nie siląc się nawet na dyskrecję, wskazywał Smolsky'emu

kolejno różne kobiety dzielił się z nim pikantnymi szczegółami na temat każdej z nich. Opróż—  
niał przy tym jeden kieliszek szampana za drugim.

— Wszystkie wychodzą za mąż dla pieniędzy — wybełkotał niewyraźnie, wtykając sobie  
cygaro w usta — i od tej chwili myślą już tylko o tym by się pieprzyć z kim popadnie. Z  
wyjątkiem męża, który zwykle jest stary i brzydki. Popatrz na tamte dwie czarnulki w głębi —  
dorzucił. — Pożerają cię wzrokiem.

Potem zaczęły się prezentacje, całowanie pań po rękach i ściskanie dłoni mężczyzn, naz-  
wiska, twarze, uśmiechy, spojrzenia, klejnoty, etol i biusty, u których Giorgio tonął wzrokiem jak  
głodómór, który znalazł się przy suto zastawionym stole.

— A tobie co się stało?

— Mnie? — Smolsky zapalił papierosa. — Co znowu?

— Wyglądasz, jakbyś był w fatalnym humorze. Wręcz ponury.

— Ani trochę — odparł Smolsky spokojnie. Stali przy bufecie, z grupką przyjaciół Maranie-  
go, pasjonatami golfa. Smolsky rozglądał się wokół, udając, że słucha. Stojąca obok okazała  
blondynka w różowej sukni i białej etoli usiłowała bez powodzenia przyciągnąć jego spojrzenie.

Kiedy orkiestra w sąsiedniej sali zagrała fokstrota, położyła mu na ramieniu dłoń w  
rękawiczce.

— Powiadają, że wiedeńczycy bosko tańczą. — Uśmiechnęła się; miała małe sprytne oczka,  
ale biust olśniewający.

— Oj, nie, Giada! Nie zabieraj mi go! Dopiero przyszliśmy — przerwał jej niegrzecznie  
Giorgio. Zwrócił się do Smolsky'ego: — Chodź, chcę cię poznać z panem domu. To prawdziwy  
entuzjasta psychoanalizy.

— Powiedziano mi, że pan pracował z Freudem. — Szczupły atrakcyjny mężczyzna w bard-  
zo eleganckim fraku uśmiechnął się do Smolsky'ego, ściskając jego rękę. — Musi mi pan o nim  
opowiedzieć.

— Pan jest lekarzem? — zapytał Smolsky. Przyjął papierosa, którym poczęstował go  
rozmówca. — Może psychiatrą?

Giorgio Marani roześmiał się.

— Nicola jest przemysłowcem, mój drogi. Nie rozejrzałeś się po tym pałacu? Ma największą  
fabrykę broni w całych Włoszech i tyle pieniędzy, że w głowie się kręci.

—Mam też dyplom z ekonomii — roześmiał się Nicola Martini — ale z medycyny niestety nie. Pójdziemy się czegoś napić w saloniku? Mam tam najlepsze zagraniczne alkohole — dodał półgłosem.

—A pozwól, że się przyłączę! — roześmiał się Marani.

Weszli w tłum gości, ale zanim opuścili salę, Nicola Martini zatrzymał się.

—Chwileczkę... — poprosił. Smolsky obrócił się do stołu, by odstawić kieliszek, który wciąż trzymał w ręce.

—Profesorze Smolsky?

—Tak?

—Czy mogę przedstawić panu moją żonę? — zapytał Nicola Martini.

Smolsky odwrócił głowę. I stanął twarzą w twarz z Eleonorą.

## Rozdział 5

---

—Profesor Smolsky, kochanie.

— Kto? — Głos Eleonory. Przenikliwy. Zdumiony.

—Smolsky, skarbie. — Nicola Martini uśmiechał się. — Smolsky. Nazwisko... polskie?

—Czeskie — mruknął Smolsky i chwycił w dwa palce dłoń Eleonory, uniesioną w jego kierunku. Dłoń była chłodna, gładka. Przeszedł go dreszcz. Palce białe, delikatne. Pierścionek z brylantem. Iskry zamigotały w oczach Smolsky'ego, kiedy się pochylał. Mężatki całuje się w rękę, pomyślał mechanicznie, panien nie. Przez mgnienie bał się, że wszyscy wokół usłyszą ciężkie uderzenia jego serca. Biło tak mocno, że brakowało mu tchu.

Eleonora cofnęła rękę, jakby Smolsky ją oparzył.

—Profesor jest przyjacielem Giorgia. Psychoanalitykiem. Przyjechał z Wiednia, kochanie, pomyśl tylko, zna Freuda.



Eleonora przycisnęła do piersi niczym tarczę torebkę wyszywaną perełkami. Na serdecznym palcu jej lewej ręki widać było obrączkę ślubną, ostentacyjną, z masywnego złota. Taką samą jak ta, która połyskiwała na opalonej dłoni Nicoli Martiniego. Dwa ogniwa jednego łańcucha.

—Psychoanalityk? — I znów głos Eleonory. Bezbarwny. Niedowierzający.

—Na dodatek wiedeński. — Nicola Martini oparł dłoń na nagim ramieniu żony. — Pierwszy raz mam okazję poznać kogoś, kto pracował z Freudem. I przysięgam, drogi Smolsky, że pan mi nie ucieknie.

Eleonora, jej jasne włosy. Spinka wysadzana brylantami podtrzymywała z boku lok nad czołem. Aksamitne spojrzenie. Piegi na nosie i na policzkach. Ale tamtego popołudnia w przedziale pociągu do Mediolanu nie miała na serdecznym palcu obrączki. Tego Smolsky był pewny.

— Jakim cudem pan tak dobrze mówi po włosku, panie Smolsky? — zapytał Nicola wciąż trzymając rękę na ramieniu Eleonory. Jej włosy, krótkie, tuż za ucho: niżej linia szyi i ramion. Dłoń męża spoczywała na białej skórze. Smolsky spojrzał na sukienkę — bardzo wydekoltowana, bladoniebieska, jak halka podtrzymywana tylko przez dwa cienkie ramiączka. Przylegała do biustu, do talii, do bioder. Błyszczący materiał spływał aż do stóp.

Smolsky usłyszał nagle czyjś śmiech.

—Do diabła. Smolsky, wydaje mi się, czy też moja żona rzeczywiście wzbudziła w panu taki podziw?

—Uważaj, Nicola — wtrącił ze złośliwym uśmiechem Giorgio Marani. — Uważaj! Smolsky jest znanym kobieciarzem i jak prawdziwy wiedeńczyk zawsze odnosi sukcesy. Twoja Eleonora już kiedyś wpadła mu w oko w moim gabinecie, jeszcze zanim się pobraliście, prawda, Smolsky? W kółko mnie o nią wypytywał i założył się, że ledwie odwrócisz oczy, uwiedzie ci żonę. Więc lepiej uważaj, powtarzam!

—Doprawdy! — głos Eleonory. Odrobinę pogardliwy. Odrobinę wyniosły. —A według ciebie, drogi Giorgio, ja nie potrafię się bronić przed wielbicielami? — Smolsky oderwał oczy od podłogi. Eleonora uśmiechała się ironicznie do Giorgia. Wyraz oszołomienia, który jeszcze przed chwilą Smolsky widział na jej twarzy, zniknął. Pewna siebie, opierała się na ramieniu Martiniego. — Chcesz powiedzieć, że jestem łatwą zdobyczą? — Potem spokojnie, wyniośle, ale nie patrząc na Smolsky'ego, powiedziała: — Zanim Giorgio zaczął wygadywać swoje zwykłe głupstwa, mąż pytał, gdzie pan tak świetnie poznał włoski, profesorze.

—Cóż, uczyłem się w Wiedniu... — Smolsky zamrugał gwałtownie. — W Wiedniu. Miałem włoską nauczycielkę — dodał burkliwie.

Giorgio wybuchnął śmiechem.

—Brawo Smolsky! Mój ojciec zawsze mawiał, że języków najlepiej uczyć się w łóżku, a słownik powinien mieć mniej niż trzydzieści pięć lat i dwie porządne piersi!

—Ależ, Nicola! — Eleonora zwróciła się oburzona do męża. — Dlaczego nie każesz mu być cicho? Giorgio robi się coraz bardziej wulgarny! — Ale w końcu i ona się roześmiała, ukazując białe ząbki. Jej śmiech tak poruszył Smolsky'ego, że gwałtowna, niewytłumaczalna złość w mgnieniu oka wyzwoliła go z paraliżu zażenowania.

—Giorgio jest wulgarny, ale ma bystre oko. — Smolsky przywołał na twarz zdawkowy uśmiech, odzyskując panowanie nad sobą. — Naprawdę bystre. Rzeczywiście, podziwiałem panią. Przypomina mi pani niektóre nordyckie boginie.

—Doprawdy? — zapytała zimno Eleonora, nie patrząc na niego. — Bardzo pan łaskaw — dodała znudzonym tonem pięknej kobiety, która wciąż, wysłuchuje podobnych banałów. Uśmiechnęła się promiennie do męża. — Szłście, zdaje się, do saloniku? Są tam też Mignon i Lorenzo. — Odwróciła się i ruszyła do drzwi, skłaniając z gracją głowę na prawo i lewo i witając gości, którzy rozstępowali się, by zrobić jej przejście.

Trzej panowie podążyli za nią. Szła przed nimi korytarzem i Smolsky był pewien, że zdaje sobie doskonale sprawę z ich spojrzeń. Idąc, kołysała ponętnie biodrami, opiętymi jasnym błyszczącym materiałem. Poczul, że jej nienawidzi.

W kim ja się zakochałem? W kim? — myślał ze złością. Czy dziewczyna o łagodnej, natchnionej twarzy naprawdę tak się zmieniła przez ten krótki czas? Ponad miesiąc torturował się myślami o niej i oto ona— jak jakiś egzotyczny motyl, który wyszedł z poczwarki. Wspaniała kobieta, owszem. Można powiedzieć, z klasą. Świadoma własnego czaru.

Zmysłowa i wyniosła. Ogólnie rzecz biorąc, coś okropnego. Zdawała się szydzić ze spojrzeń, którymi obrzucali ją mężczyźni. Łącznie ze Smolskym.

W salce, w której tłoczyli się najbliżsi przyjaciele pana domu, z rąk do rąk krążyły kieliszki, butelki i wiaderka z lodem. Białe, bardzo nowoczesne meble na różowej marmurowej podłodze, lamparce futra u stóp foteli z czarnej skóry, stojący na kolumnie nagi ateński młodzieniec z białego marmuru i ogromny obraz Casoratiego na ścianie — wszystko to razem nadawało pomieszczeniu klimat krzykliwego przepychu, wszechobecnego w tym domu.

Atmosfera była gorąca, kobiety półnagie, niektóre w niemal przezrzystych sukniach — prawie wszystkie piękne i co do jednej tak wymuskane, umalowane, uczesane, wyrefinowane, że każda przypominała rzadki kwiat, wystawiający się mniej lub bardziej bezwstydnie na pokaz mężczyznom. Eleonora nie była wyjątkiem.

Wszyscy dużo mówili, dużo się śmiali i dużo pili. Smolsky też.

W końcu puścił wodze fantazji i zaczął opowiadać jakieś bzdury o psychoanalizie, Bachu, Wiedniu, teatrze, o kobietach i o wszystkim, co mu ślina na język przyniosła, zasypywany pytaniami przez grupkę osób z Nicolą Martinim na czele. Robił z siebie widowisko, jak niedźwiedź tańczący na placu, jak połykacz noży, jak objazdowy cyrk z tresowanymi psami. Ale i tak jakaś część jego istoty, czujna i udręczona, ani na chwilę nie traciła z oczu Eleonory, która rozmawiała z przyjaciółką. Nie spojrzała w jego stronę ani razu. Czyżbym naprawdę się w niej zakochał? — pytał się w duchu Smolsky, opowiadając jednocześnie anegdotki, a wszyscy pokładali się ze śmiechu. Naprawdę się zakochałem? Co miała takiego, czego nie miały inne? Boskie biodra i świetne piersi, powiedziałaby Giorgio Marani. I tyle. A poza tym wyszła za męża za tego przystojniaka opalonego, jakby właśnie wrócił z wysp południowych, wypchanego milionami. Niezła partia, co tu dużo mówić. Czy on, Smolsky, naprawdę był zakochany w tej obwieszanej klejnotami kobiecie, w tym chodzącym, gadającym dowodzie niezmierzonej fortuny Nicoli Martiniego? Ale jaka tam miłość, stwierdził w końcu. Miał po prostu ochotę zaszyć się z nią gdzieś na godzinę, może nawet więcej niż godzinę. To była jedna z tych wyrafinowanych laleczek; królewski posiłek, nie przekąska na jeden łyk. A że przez, tę przeklętą sutannę nie mógł się do niej dostać w pociągu, cała historia nabrała dramatyzmu. To dlatego wziął za miłość pożądanie, może i wyjątkowo intensywne, ale z miłością nie mające nic wspólnego. Gdyby tylko mógł ją zabrać do hotelu tamtego wieczoru, nie byłoby tej całej udręki, którą przeżywał od chwili, gdy zobaczył ją znów w tym domu. Opróżnił kieliszek. Kiedy Eleonora przechodziła obok niego, zatrzymał ją i szepnął:

—Co pani przyszło do głowy, żeby wychodzić za męża? To skomplikuje całą sprawę.

—Pan się upił — brzmiała lodowata odpowiedź. Eleonora ominęła go, chcąc zostawić go przy oknie, gdzie schronił się przed chwilą by uporządkować myśli.

Ruszył za nią, uparty, nie odrywając oczu od jej bioder.

—Proszę się zatrzymać na chwilę, no już, nie zamieniliśmy nawet dwóch słów...

Eleonora odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz. Smolsky, z pustym kieliszkiem w ręce, wbił wzrok w jej biust,

—Wszystkie na tym przyjęciu jesteście takie wydekoltowane. Co to, nowa moda we Włoszech?

—A jaka panuje moda w Wiedniu? — zapytała Eleonora ostro. — Przyjeżdżać do Włoch i przebierać się za... — przygryzła wargi, nie kończąc.

—Proszę mówić dalej — odparł Smolsky powoli i cicho. Nikt nie zwracał na nich uwagi w zamieszaniu, jakie panowało przy stole z butelkami. — Co pani chciała powiedzieć?

—Nieważne — powiedziała Eleonora.

—Dlaczego nieważne? Za co się przebierać? Nie rozumiem...

—Nie mam ochoty z panem rozmawiać. — Ale nie odchodziła, ale też i nie patrzyła na niego. Bawiła się brylantem, obracając go wokół palca.

—Pani mnie pamięta? Spotkaliśmy się już — szepnął Smolsky.

—Kiedy? — zapytała, unosząc wreszcie powieki. Spojrzała na niego tak, jak patrzyła tamtego wrześnieowego popołudnia, w przedziale pierwszej klasy. To było właśnie takie spojrzenie — niepewne, a jednocześnie namiętne. Takie samo, jak we wspomnieniu, które dręczyło Smolsky'ego. To długie spojrzenie eksplodowało w jego mózgu i sercu jak granat, ale

może to tylko alkohol zwielokrotnił emocje. Szaleję za nią, pomyślał, ściskając kieliszek tak mocno, że zbiały mu kostki palców. Kompletnie zwariowałem. Nie chodzi tylko o seks, jestem zakochany i basta.

I była to prawda. Kiedy to sobie uświadomił, wytrzeźwiał w mgnieniu oka.

—Proszę wybaczyć — wymamrotał, odstawiając kieliszek. — Chyba wypilem troszkę za dużo. Zdaje się, że powiedziałem kilka niestosownych rzeczy.

—Widzi pan, chodzi o to, że ja... — zaczęła Eleonora, poprawiając niepewnym gestem lok jasnych włosów. Wyglądała na spłoszoną, jakby miała mu wyznać Bóg wie jaką tajemnicę. Ale w tej samej chwili platynowa blondynka w białej etoli wyplątała się z tłoku i z impetem ruszyła w stronę Smolsky'ego.

—Wie pan, od jak dawna próbuję się do pana dostać? — Łapiąc go zaborczym gestem pod ramię, zwróciła się do Eleonory: — Teraz jest mój. A ty, mała, masz takiego pięknego męża, że z innymi mężczyznami nie powinnaś nawet rozmawiać!

Eleonora przywołała na twarz sztuczny uśmiezek, wzruszyła ramionami i odeszła.

Smolsky z trudem powstrzymał się, by nie odepchnąć blondyny i nie pobiec za nią.

—Eleonora to cicha woda — zaszemrała blondynka do ucha Smolsky'go. — Ledwie dostała w pazurki Nicolę i jego miliony, myśli tylko o tym, żeby się zabawić z innymi, jestem tego pewna.

—Ale mnie powiedziano — Smolsky odszepnął jej perfidnie prosto do ucha — że tu, w Mediolanie, wy wszystkie, piękne kobiety, robicie tak samo. Wychodzicie za męża dla pieniędzy, a potem myślicie, jak się zabawić.

—To znany fakt — odparła spokojnie blondynka. — Ale tylko wtedy, kiedy mąż jest paskudny. Jeśli jest taki jak Nicola... proszę na niego spojrzeć! — Nicola stał niedaleko, rozmawiając ze śmiechem z piękną brunetką o szmaragdowych oczach. — Proszę spojrzeć, przystojny,

wysoki, no, może nie tak jak pan, zgoda, pan jest... — Blondynka uniosła głowę, by spojrzeć Smolskiemu w oczy. — Pan ma przynajmniej metr osiemdziesiąt pięć.

— Osiemdziesiąt siedem — sprecyzował Smolski, częstując ją papierosem. — Ale mówiliśmy o Nicoli.

— No więc, krótko mówiąc — kobieta wydmuchnęła dym, wydymając mięsiste wargi — Nicola jest elegancki, wyrafinowany, niewyobrażalnie bogaty i ma niesamowite niebieskie oczy. A poza tym w kostiumie kąpielowym... My też mamy willę w Forte, niedaleko jego domu. To mężczyzna jak ze snu. Wszystkie za nim biegałyśmy, dosłownie wszystkie. A on nic, ledwie na nas spojrzał, żadnej się nie udało nawiązać romansu. Ja to wiem, profesorze, bo my, kobiety, opowiadamy sobie różne rzeczy.

Aż tu nagle zjawia się ta... ta cicha woda. Cap i już go chrupie. Okazuje się, że on kochał ją od dawna. A po tej okropnej historii z jej papą... mój drogi, Eleonora trafiła w dziesiątkę, wychodząc za Nicolę! Byli prawie zrujnowani, wie pan? A teraz jej matka, wstrętna jak mało która, muszę przyznać, ale za to wyjątkowo piękna... więc matka, jak mówię, wróciła na Capri. do swojej willi, którą Nicola wykupił od wierzycieli... a Eleonora, widzi ją pan? Wie pan, ile jest wart ten brylant, który ma na palcu? Och, Nicola za nią szaleje. Wygląda na to, że kochał ją od zawsze.

Jej ojciec go nie chciał, byli poróżnieni przez jakieś sprawy finansowe. Ale teraz proszę, porabiali się!

Blondynka wyrzuciła papierosa za okno.

—Ale jakoś nie mogę się pozbyć wrażenia, że Eleonora nie kocha swojego męża. Nie wiem, to takie przeczucie, rozumie pan? Nie kocha go ani trochę. Pan jest żonaty?

—Kto, ja?

—No tak, pewnie pan jest.

—Nie, jestem kawalerem — odparł Smolski.

—Naprawdę? A ile pan ma lat? Trzydzieści? Trzydzieści pięć?

—Trzydzieści cztery. Ale proszę opowiadać dalej... miło się pani słucha. Pani była na ich ślubie?

—Czym? Nicoli i Eleonory? Nie, nikt nie był zaproszony. Tylko świadkowie, których Nicola wybrał spośród przypadkowych osób. Też wymyślił. Ślub był cichutki, w San Babi ta, o ósmej rano. Żadnego weselnego obiadu ani przyjęcia. Kompletnie nic. Z uwagi na tragiczną sprawę z ojcem, wie pan... na pewno słyszał pan tę historię?

—Tak, znam ją.

—No tak, pan jest przyjacielem Maraniego. Ojciec dziewczyny jest w jego sanatorium w Pallanzy, rzeczywiście. Kompletnie zwariował. O czym to ja mówiłam? A, o ślubie... żadnej podróży poślubnej. Nawet tego. Pojechali tylko na dwa dni do Forte di Marmi, do jego willi. I tyle. Potem, kiedy wrócili, wydali prośzoną kolację u Saviniego, a teraz — blondynka uniosła ręce i zatoczyła krąg w powietrzu — wszystkie te cuda należą do tej...

—...cichej wody — roześmiał się Smolsky. — Zdaje mi się, że nie przepada pani za Eleonorą!

—Wszyscy mężczyźni ślinią się na jej widok. Mój mąż mawia, że Eleonora nasuwa mężczyźnie na myśl tylko jedną rzecz. Nietrudno sobie wyobrazić, co takiego, drogi profesorze.

—Pani mąż ma trochę racji... — mruknął Smolsky, pomyślał jednak, że przecież Eleonora to nie tylko to, co widać gołym okiem. Miała w sobie coś więcej. O wiele, wiele więcej. Miała w sobie grację dzikiego narcyza i nieokreśloną wewnętrzną muzykę, która nadawała rytm jej ruchom. I wzruszającą delikatność. Wystarczyło przeniknąć jej zmysłowe ciało, by

dostrzec nieodkryte krainy, które w sobie skrywała. Czyżby się mylił?

A może tylko ci mężczyźni nie potrafili spojrzeć na nią tak, jak on na nią patrzył? Nawet gdyby potrafili, nie zrozumieliby nic — rozmyślał. Giorgio Marani opowiadał mu, że tu, w Mediolanie, mężczyźni myślą przede wszystkim o pracy, a dopiero potem o kobietach. Ale tak zawzięcie „gonią za groszem”, jak to mówił, że kiedy przychodzi do kobiet, nie są w stanie zbyt wiele zdziałać. Ciekawe, jak sobie w tej dziedzinie radzi Nicola Martini — pomyślał Smolsky i aż zazgrzytał zębami.

Zamyślony, bawił się papierosnicą. Kiedy nagle podniósł wzrok, ujrzał przed sobą Nicolę. Pan domu otoczył poufale ręką talię blondynki.

—Dał się pan złapać największej plotkarce w tym mieście, Smolsky.

Prawda, Giada?

—Uch, ależ jesteś wstrętny. Od kiedy się ożeniłeś, zrobiłeś się okropny — miauknęła blondynka, przylgnąwszy do niego całym ciałem.

—Nienawidzą Eleonory — roześmiał się Nicola. — Nie mogajej wybaczyć, że mnie w sobie rozkochała. A tak długo trzymałem tę miłość w sekrecie. Coś straszego, uwierzy pan? Nie byłem w stanie wybić jej sobie z głowy.

—Musisz przyznać, że nigdy nawet nie próbowałeś — wtrąciła kwaśno blondynka. — A my byśmy wszystkie poszły za tobą w ogień.

—O, kiedy się kocha naprawdę, innych kobiet nawet się nie dostrzega — zaśmiał się znów Nicola i pocałował Giadę w policzek. — Eleonora wzięła mnie w niewolę, kiedy miała zaledwie piętnaście lat.

—A pan? — blondynka zwróciła się do Smolsky'ego — pan jest zakochany? Zaręczony? Czy pan też, tak jak Nicola, kiedy jest zakochany, nie może patrzeć na inne kobiety?

—Nic podobnego — roześmiał się Smolsky, przyglądając się jej beczelnie. — Chce się pani założyć? — Ale teraz pójdzie pan ze mną — wtrącił Nicola stanowczo, biorąc Smolsky'ego pod ramię. — A ty, Giada, będziesz musiała odłożyć na później swoje obłężenie.

— Chcę przedstawić pana mojemu dziadkowi — ciągnął Nicola, prowadząc Smolsky'ego w stronę drzwi. Przeszli obok Eleonory, która rozmawiała z brunetką o szmaragdowych oczach. Mijając je, Smolsky nadstawił ucha:

— Przyjdź do mnie jutro, czekam na ciebie o czwartej.

— Dobrze, po tenisie. Przyjdę na pewno — brzmiała odpowiedź Eleonory.

— Kto to jest ta brunetka, która rozmawia z pańską żoną? — zapytał Smolsky półgłosem. Martini odwrócił głowę, gdyż przeszli już kawałek dalej.

—Ta? To Mignon Venditti. Projektantka mody. Na pewno pan o niej słyszał...

—Nie.

—No jakże — zdziwił się Nicola. — Ma zakład na via Montenapoleone, pod numerem pięć. Jest sławna również za granicą. — Wyszli na korytarz.

—Nie chodziło mi o modę, Zwróciłem na nią uwagę, bo to piękna kobieta.

Nicola roześmiał się.

— Tak, rzeczywiście jest piękna, chociaż mąż i tak przyprawia jej okropne rogi. Ale ona myśli tylko o swojej pracy i gwizdze na niego.

Zeszli po kilku schodkach, wyłożonych niebieskim chodnikiem i zapuścili się w kolejny korytarz. Cynowe kinkiety oświetlały galerię obrazów, które wyglądały na piętnasty wiek.

—Mój dziadek to straszny nudziarz, ale i tak go kocham. — Nicola uśmiechnął się czule. — Służył w marynarce, miał bardzo wysoki stopień. Ma świra na punkcie morza. Teraz, z powodu paskudnego wypadku jest unieruchomiony w fotelu na kółkach. Nicola zaczął otwierać jedne drzwi po drugich; przechodzili przez cały szereg pokoi. Wydawało się, że naprawdę są w pałacu królewskim.



—Jest nudziarzem, ale aktywnym i zaradnym. To jedyny krewny, jaki mi pozostał. Wciąż jeszcze pracuje w naszej fabryce. Powinien pan zobaczyć, jak rozstawia wszystkich po kątach! To on pełni obowiązki administratora. —Nicola mówił pieszczotliwym żartobliwym tonem. — Proszę się nie zrażać—ciągnął, spoglądając na Smolsky'ego przed otwarciem kolejnych drzwi. — Prawdopodobnie spróbuje zanudzić pana na śmierć. Ale to sympatyczny człowiek, zapewniam. Chce znać wszystkich i uczestniczyć w domowym życiu. Proszę, niech mi pan wyświadczy tę grzeczność i będzie dla niego miły.

Znaleźli się w wielkim gabinecie, wykładanym drewnem aż pod sufit. Pokój oświetlony był wielkimi okrętowymi latarniami. Do ścian przymocowano półki, na których stała cała seria modeli okrętów, doskonałych w każdym szczególe. Wszędzie wokół leżały w nieładzie książki, mapy morskie, busole, sekstansy. W kącie — o dziwo — był też gramofon, z którego płynęła muzyka Wagnera.

—Dziadku. — Nicola podszedł do starszego pana w granatowym ubraniu, siedzącego na fotelu inwalidzkim przy stoliku. Starzec pochylał się nad szachownicą; w szponiastej dłoni trzymał gońca z hebanu. Po drugiej stronie stolika siedział cierpliwie służący w liberii,

—Dziadku — powtórzył Nicola.

Mężczyzna odstawił gońca i odwrócił głowę.

—Rozpraszasz mnie.

—Przyprowadziłem ci mojego nowego znajomego. Psychoanalityka. To ten, z którym poznał mnie Giorgio.

Staruszek wychylił się lekko z fotela i obejrzał Smolsky'ego od stóp do głów.

—No, no — powiedział po krótkiej chwili ciszy — kawał byka z ciebie, mój chłopcze.

—Nazywa się Smolsky — wtrącił Nicola.

—A cóż to za nazwisko... Smolsky. — Stary przyglądał mu się ciekawie, jakby chciał ocenić jego wartość. Z twarzy porytej zmarszczkami, sterczał wielki zakrzywiony nos, który upodabniał go do egzotycznego ptaszyska. — Smolsky, tak? Ja jestem kapitan Martini. — Splatając palce obu rąk, zapytał: — Umiesz grać w szachy?

—Tak, kapitanie. Gram bardzo dobrze — odparł Smolsky.

—W takim razie idźcie sobie wszyscy do diabła i zostawcie nas samych — zarządził staruszek. — Podaj mi jedną z tych fajek — zwrócił się do Smolsky'go. — Tę z prawej strony. I przynieś mi też pudełko z tytoniem. To porcelanowe, malowane w mewy. Kiedy staruszek skończył rozpalać fajkę, Nicola i służący zdążyli już wyjść. Wydmuchnął gęsty dym, wbijając w Smolskyego przenikliwe błękitne oczka.

—Wyjdziemy do ogrodu?

—Jak pan uważa — odparł Smolsky.

—No to popchnij ten rupiec — burknął kapitan. Wózek zjechał z łatwością z krótkiej pochylni, prowadzącej na mały zwirowany placyk osłonięty pergolą.

Wieczorne powietrze było w ilgotne.

— Nie zmarznie pan, kapitanie? — zapytał Smolsky.

—Zmarznąć? Ja? Jeszcze czego. Jeśli tobie zimno, weź sobie kapotę. Tam są jakieś. — Staruszek wskazał stertę ubrań rzuconych niedbale na leżak.

— Ależ nie... — odparł Smolsky i ruszył dalej alejką oświetloną niskimi latarenkami, podobnymi do tych, które stały przy głównym wejściu. Wokół rozciągał się mroczny park. Czarne gałęzie drzew przesłaniały niebo. W nocnej ciszy słychać było gwar przyjęcia i przytłumiony dźwięk muzyki. Z drzewa sfrunął z furkotem ptak.

—Pełno tu sów.

—Hm — mruknął Smolsky — wydaje mi się, że to był raczej...

—Sów, powiedziałem — przerwał mu pośpiesznie stary. Wskazał palcem bielejącą w ciemności ławkę. — Tam będzie w sam raz.

Smolsky podsunął wózek do ławki, po czym usiadł na niej.

—No dobrze. — Staruszek zaczął grzebać scyzorykiem w główce fajki. — Skoro nikt nas nie może usłyszeć, proszę mi powiedzieć, jak się miewa mój stary przyjaciel Kristenfeld?

Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim gościem, Eleonora opadła z westchnieniem na skrzynię przy wejściu.

—Myślałam, że nigdy sobie nie pójdą. Wiesz, która godzina? Prawie czwarta.

Nicola wyciągnął do niej obie ręce.

—Ja ci pomogę. — Weszli po szerokich schodach, prowadzących na wyższe piętra, zostawiając za sobą brzęk naczyń i szkła, które zmęczeni służący zbierali na wózki.

—Ale to znaczy, że nasi goście dobrze się bawili, nie sądzisz? Moje przyjęcia są słynne w całej Lombardii, a nawet poza nią.

—Ojej! — zażartowała Eleonora — gdybym wiedziała, że jesteś taką ważną osobistością, nie wiem, czy odważyłabym się zostać twoją żoną!

Nicola pocałował wewnątrz jej dłoni.

—Byłaś najpiękniejsza. Byłaś ozdobą wieczoru. Uwielbiam cię.

—W pewnej chwili chciałam się wymknąć, wiesz? — powiedziała Eleonora, otwierając drzwi do saloniku. — Miałam ochotę zostawić ich wszystkich, przyjść na górę i położyć się spać.

—Ani się waż! — odparł natychmiast Nicola. Uśmiechał się do niej, ale jego głos był ostry. — Byłoby niedopuszczalne, żeby pani domu zniknęła w połowie przyjęcia. Bardzo dbam o etykietę.

Eleonora nie sprzeciwiła się. Weszła do ogromnej sypialni, w której pokojówka zapaliła już światła. Zsunęła sandaalki, idąc w stronę przygotowanego na noc łóżka małżeńskiego i wyciągnęła się na nim z głośnym: Uff!

Na stoliku stała srebrna taca. Nicola nalał z czajniczka dwie filiżanki zielonkawego płynu.

—Napij się mięty? — Nie czekając na odpowiedź, podszedł do łóżka z filiżankami; jedną postawił na nocnej szafce, a z drugiej zaczął pić na stojąco, małymi łyчками.

Leżąc na łóżku z rozrzuconymi ramionami, Eleonora bez uśmiechu wpatrywała się w przestrzeń. Nicola usiadł obok, nie odrywając oczu od jej twarzy.

—Wyglądasz teraz jak dziewczynka. To właśnie tak mnie w tobie zachwyca. Ta twoja niedojrzała buzia.

Eleonora nie odpowiedziała.

—O czym myślisz, skarbie? — zapytał Nicola po chwili.

Eleonora założyła ręce za głowę.

—O babci. O mojej babci z Bolgheri.

—O tej starej wariatce...

—Wcale nie jest wariatką — odparła Eleonora, spoglądając na męża. — To wyjątkowa osoba. Absolutnie wyjątkowa.

—Tęsknisz?

—Tak — przyznała, powstrzymując westchnienie. — Tak, często. Podobały mi się te lata w Bolgheri. Babcia do mnie napisała, prosi, żebym przyjechała ją odwiedzić. Nie czuje się dobrze.

—Teraz nie możesz ruszyć się z Mediolanu, skarbie — oświadczył Nicola, odstawiając pustą filiżankę. —Zaczyna się sezon. Teatry, koncerty, przyjęcia z przyjaciółmi. Moja żona musi być u mego boku.

—Wyjechałabym tylko na parę dni — powiedziała cicho Eleonora.

—Powiedziałem, że nie. — Nicola wstał z łóżka i rozluźnił krawat. — Jeśli stara wariatka źle się czuje, powiedz twojemu bratu, żeby pojechał do niej na trochę. Jacopo i tak nie ma za wiele do roboty tutaj, w Mediolanie.

—Babcia chce widzieć mnie, nie Jacopa — mruknęła Eleonora. Nicola nie odpowiedział. Ruszył w stronę drzwi, obitych czerwonym brokatem, podobnie jak ściany. Przejście to łączyło sypialnię z jego apartamentem. Zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze:

—Zawołaj pokojówkę, skarbie, i przygotuj się do snu. Przyjdę potem powiedzieć ci dobranoc.

Razem spali tylko przez pierwsze dwie noce małżeństwa, w Forte di Marmi. Kiedy wrócili do Mediolanu, Nicola przyprowadził Eleonorę do tej wystawnej sypialni z wielkim małżeńskim łóżem.

—Ty będziesz mieszkała tu — zapowiedział. — Mój apartament jest połączony z twoim, więc będziemy blisko siebie. Widzisz, bardzo mi zależy na estetyce intymnego pożycia... — I długo wyjaśniał jej, że nie chce przeszkadzać jej chrapaniem, czy żeby widywała go nieuczestnego albo zaspanego. Nie dopuszczał nawet takiej myśli. Na koniec swojego wywodu dodał jeszcze: — ...a poza tym nie mogę rozmawiać z nikim, nawet z ukochaną żoną jeśli najpierw nie umyję zębów.

Kiedy Nicola wrócił do sypialni, Eleonora wciąż leżała na łóżku, ubrana. Nie spała. Patrzyła na niego, kiedy się zbliżał. Ubrany był w spodnie od piżamy i granatowy, jedwabny szlafrok.

—Nie wezwałaś pokojówki? — zapytał, siadając obok niej na łóżku.

—Jest strasznie późno. Na pewno śpi.

—Płacę jej, żeby ci usługiwała. I to słono. Już ci się nie chce spać?

—Nie.

—Wypiłaś swoją herbatkę, moja droga?

—Wiesz, że nie lubię... — Ale Nicola sięgał już po filiżankę, musiała więc ją opróżnić, słuchając jego pouczeń:

—Zrób jak ja, naucz się pić przynajmniej jedną filiżankę co wieczór. Ja nauczyłem się tego w Kairze, u pewnego przyjaciela, który... — Nicola zamilkł nagie.

Eleonora usiadła na łóżku. Zdjęła pierścionki i wrzuciła je do różowego porcelanowego pu-  
charka, stojącego na szafce.

—Eleonoro, jesteś szczęśliwa?

Odwróciła się do męża. zaskoczona.

—Co takiego?

Nicola wydał jej się nagle smutny i zmęczony. Pod oczami miał ciemne sińce.

—Chcę wiedzieć, czy jesteś ze mną szczęśliwa.

—Och, tak — odparła. — Oczywiście. Dlaczego pytasz?

—Chciałem usłyszeć, jak to mówisz.

Eleonora wzięła go za rękę i przycisnęła dłoń do policzka.

—Jesteś taki kochany, jak mogłabym nie być szczęśliwa?

—Żałujesz jeszcze, że nie wyszłaś za Paola?

—Ależ nie! Naprawdę nie. Dlaczego pytasz mnie o coś takiego?

—W nim byłaś zakochana. We mnie nie jesteś.

—Z Paolem to była dziecinną zabawa — powiedziała cicho Eleonora. — Z tobą... jest inaczej. Jesteś mężczyzną. Kocham cię...I nagle zarzuciła mu ramiona na szyję dziecinnym gestem.

—Nie lubię, kiedy jesteś smutny — uśmiechnęła się do niego. — Jesteś najlepszym z mężczyzn, Nicola, zawdzięczam ci wszystko. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła... — Oparła głowę na jedwabnym szlafroku, okrywającym szczupłe ramiona Nicoli. Kiedy go obejmowała, dekolt sukienki przesunął się na bok i ukazała się biała pierś. Eleonora przykryła się szybko i cofnęła zawstydzona.

—Jestem twoim mężem. Nie powinnaś się wstydzić — powiedział Nicola półgłosem. Chwyił ją w tali i przytulił do siebie, zupełnie jakby szukał oparcia. Siedział tak długą chwilę, obejmując ją kurczowo.

—O co chodzi? — szepnęła w końcu Eleonora. — Kocham cię, powiedziałam ci przecież, Nicola... co ci jest?

—Nic — odparł, spoglądając na Eleonorę. — Chciałbym tylko, żeby nasze małżeństwo było spokojne, szczęśliwe, zwyczajne. Mąż i żona, dzieci. Spokojne normalne życie.

—I takie będzie, Nicola. — Eleonora patrzyła na męża, zdezorientowana dziwnym smutkiem w jego głosie. — Będziemy szczęśliwi. Dlaczego nie mielibyśmy być?

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy; on, siedząc, z dłońmi na jej biodrach, ona, stojąc obok łóżka. Patrzyli na siebie, nic nie mówiąc. W końcu Nicola uśmiechnął się i na jego twarz powrócił wyraz pewności siebie. Znow był opiekunem, panem całego świata, a tym samym własnej żony. Dał jej żartobliwego klapsa w pośladek.

—Idź się przygotować, no już.

Kiedy czesała włosy przed lustrem, zapytał nagle:

—Spodobał ci się ten wiedeńczyk?

—Kto? — zapytała:Eleonora. Szczotka wny 0 T

—Przepraszam bardzo, czyżbyś i ty był faszystą? — zapytała ostro Eleonora. Wpatrywała się w męża ze zmarszczonymi brwiami, ściskając szciotkę w dłoni.

— Skarbie, faszystą jest każdy i nikt, kogo to obchodzi? A poza tym rozmawialiśmy o psychoanalizie. — Znów zaczął spacerować w tę i z powrotem.—Jak mówiłem, we Włoszech psychoanaliza jest wyśmiewana, źle pojmowana albo ignorowana. Jeśli chodzi o mnie, jest wręcz odwrotnie: uważam, że Freud jest geniuszem, a psychoanaliza pomaga... —zawahał się i poszedł zgasić papierosa, którym zaciągnął się raptem kilka razy — Wiesz, jak faszyci nazywają psychoanalizę? Szarlatańskim wymysłem żydowskich medyków. — Podszedł do okna i otworzył je. — Bo i owszem, prawie wszyscy są Żydami, Smolsky też.

—A ty skąd to wiesz?

—Giorgio mi powiedział. Giorgio bardzo go szanuje. Smolsky zgodził się pracować z nim, udzielać konsultacji, i w związku z tym będzie często przyjeżdżał do Włoch. Dziadkowi też się bardzo spodobał. Tobie nie?

Eleonora ruszyła do drzwi.

—Zamieniłam z nim zaledwie parę słów — odparła cicho.

—Będzie u nas częstym gościem. Jeszcze nie raz będziesz miała okazję z nim porozmawiać.

Eleonora zatrzymała się w progu buduaru.

—Dlaczego poczułeś się o mnie zazdrosny?

Nicola podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach.

—Bo jesteś moim skarbem. Najlepszą rzeczą w moim życiu.

—Skoro jesteś zazdrosny, po co zapraszać Smolsky'ego?

Nicola wybuchnął śmiechem i przytulił ją.

—Naprawdę, czasami jesteś jak dziecko. Miałbym zrezygnować z tak cennej znajomości? Przecież niczego ci nie ubędzie, jeśli taki przystojniak od czasu do czasu na ciebie zerknie, prawda? Prawdę mówiąc, podoba mi się nawet, że moja żona jest podziwiana i pożądana. Powinienem się bać? Ależ nie, skarbie, dobrze wiem, że nigdy cię nie stracę. Jesteś moja. —I pocałował ją tak, jak to zwykle robił, przyciskając mocno usta do jej warg i prześlizgując się po nich lekko końcem języka. Jak zmija—pomyślała Eleonora, ale natychmiast skarciła się za to porównanie. Nicola kochał ją szczerze i zasługiwał na jej miłość i oddanie. Zaciśnęła dłonie na ramionach męża. próbując go objąć, ale po krótkiej chwili

Nicola przerwał pocałunek.



—Idź... woda w wannie całkiem ci wystygnie.

Pokój kąpielowy wyłożony był zielonym marmurem, a masywna wanna ozdobiona ze wszystkich czterech stron granatową mozaiką przedstawiającą nimfy. Lustra na wszystkich ścianach odbijały postać Eleonory, kiedy zdejmowała wieczorową suknię i bieliznę. Rzuciła wszystko beładnie na stołek z polakierowanej na różowo wikliny. Frotowe ręczniki w tym samym kolorze rozwieszane były na wyciągniętych ramionach marmurowego młodzieńca — Eleonora uważała, że rzeźba ze ślepymi oczami i dosłowną nagością jest po prostu ohydna. Ale nie po to odebrała tak staranne wychowanie, by krytykować dom swojego męża, krezusa. Zresztą wystrój zupełnie jej nie obchodził. Woda do kąpeli przygotowana przez służącą była jeszcze ciepła. Eleonora sprawdziła temperaturę czubkiem palca.

W tej samej chwili, zerkając w lustro, zobaczyła twarz Nicoli, jego niebieskie oczy w szparze uchylonych drzwi łazienki. Przyglądał jej się z ukrycia.

—Podglądasz mnie? — spróbowała zażartować Eleonora, ale była wzburzona. To nie było przyjemne. Szybko zanurzyła się w wodzie. Nicola bez słowa zamknął drzwi, zostawiając ją samą.

Kiedy wróciła do sypialni, męża już nie było. Przed wyjściem pogasił wszystkie światła, zostawiając tylko nocną lampkę. Eleonora zatrzymała się niepewnie na środku pokoju. W lustrze ujrzała swoje odbicie i nie spodobało jej się to, co zobaczyła; uznała, że wygląda zbyt ostentacyjnie, jak wszystko w tym domu. Wyglądała tandetnie w wymyślnej nocnej koszuli z czerwonego jedwabiu. Koszulę tę, wraz z innymi, podobnymi, jej matka uparła się kupić u Belliniego we Florencji, kompletując w pośpiechu wyprawę dla córki. Eleonora przeglądała się jeszcze przez chwilę, w końcu podeszła do drzwi łączących sypialnię z apartamentem jej męża. Nadstawiła ucha. W ciszy usłyszała szelest odwracanych powoli stronic. Nicola czytał. Eleonora nigdy nie otworzyła tych drzwi. Ani razu, przez cały miesiąc małżeństwa, nie weszła do pokoju męża, nie odwiedziła go. To Nicola stawał na tym progu, otwierał i zamykał drzwi, jakby chciał zaznaczyć, że to jego królestwo, że to prawo, którego ona nie ma.

Eleonora wróciła na palcach do łóżka, zgaszyła lampkę i otuliła się kołdrą. Nawet gdyby go pożądała, nie miałaby dość odwagi, by wejść do jego pokoju. Nie śmiałaby. Nicola ją onieśmielał.

Położyła się na plecach, skopała kołdrę. Było jej gorąco. Nie chciało jej się spać. A poza tym — pomyślała — i tak nie miała ochoty tam iść, pocałować męża, objąć go i pozwolić się objąć. Westchnęła coraz bardziej przygnębiona. Jak to jej powiedział Nicola w noc poślubną?

— Nie można powiedzieć, żebyś była zbyt namiętna. — Właśnie to usłyszała. Kiedy, jękając się, próbowała się usprawiedliwiać, wybuchnął śmiechem.

— Fantastyczne! Mieć żonę — dziewicę, która tłumaczy się z braku doświadczenia — i objął ją wciąż się śmiejąc. Ale kiedy wzięła jego rękę i chciała położyć ją na swojej piersi. Nicola zmroził ją warknięciem:

— Bądź grzeczna. I pamiętaj, że to ja lubię mieć inicjatywę.

Eleonora otworzyła oczy. Świt był jeszcze daleki, ale próbował już nieśmiało rozproszyć ciemność delikatnymi szarymi palcami. W oddali dał się słyszeć dźwięczny krzyk ptaka. Po chwili w szystko znów zatoneło w ciszy. Teraz on zaprzętnął jej myśli. On... Jak on się nazywał? Smolsky.

Teraz знаła już jego nazwisko. Smolsky, szepnęła bezgłośnie i natychmiast osaczyły ją myśli o nim. Nie mogła się od nich opędzić. Do tej chwili próbowała odgrodzić się murem od jego twarzy, oczu, od sposobu, w jaki na nią patrzył, od ust, dłoni, wysokiej postaci. Próbowała wymazać go ze swojego umysłu, wygnąć z duszy i z serca, które biło teraz szybciej, gwałtowniej. Emocje wzbierały w niej z bolesną intensywnością. Przekreśliła się na bok. Ukryła twarz w dłoniach, jakby chciała się schować, by nie nachodziły jej więcej myśli o tym człowieku. Nie, nie chcę o nim myśleć, powtarzała z naciskiem, on mnie zupełnie nie obchodzi. Nie chcę wiedzieć, dlaczego tamtego dnia był przebrany za księdza, a przecież jestem pewna, że to ten sam człowiek, jestem pewna jego oczu. To były te same oczy, to samo spojrzenie... Przekreśliła się na plecy. Teraz było jej zimno; odnalazła na oślepkę kołdrę i podciągnęła pod brodę. Nie chcę niczego wiedzieć, pomyślała znów, a poza tym może się mylę. To nie mógł być ten sam człowiek. Nikt nie przebiera się za księdza ot tak sobie. Psychoanalityk nie przebiera się za księdza. Poczowała, że ogarnia ją gniew, bo o tym księdzu, który wpatrywał się w nią z kąta przedziału swoimi czarnymi niepokojącymi oczami, rozmyślała dzień i noc. dręczona wspomnieniem jego twarzy. Myślała o nim bez przerwy, gdy matka szeptała jej do ucha swoje: „Wyjdź za Nicolę, zrozumiałaś? Posłuchaj mnie, córeczko, wyjdź za niego”.

W końcu zasypywana przez Nicolę bukietami róż, klejnotami, oszołomiona jego nieznoszącą sprzeciwu atencją, w końcu powiedziała „tak”, powiedziała, że za niego wyjdzie. Zgodziła się. Jaki sens ma spędzanie życia na rozmyślaniach o księ—dzu, który patrzy na kobiety oczami płonącymi namiętnością? I właśnie dzisiaj zobaczyła go znowu. Ale czy to naprawdę był on? Naprawdę? Czy tamtym pociągim jechał profesor Smolsky, który od dziś miał bywać w jej domu?

—Ach, dość tego! — jej głos odbił się w pokoju tak głośnym echem, że aż się przestraszyła. Nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos. Dość, pomyślała, dość!

Słaby blask wsączał się do pokoju i zarysowywał kontury przedmiotów. Eleonora przekreśliła się na bok i objęła kurczowo poduszkę. Boże. Boże, w co ja się znowu pakuję?

—Mnie się podobają podejrzone typy.

—Podejrzone typy? Nie rozumiem — przyznała Eleonora.

—Nie rozumiesz? Podejrzeni, tacy z gębą drania. Właśnie tacy mężczyźni mi się podobają.

—O, w takim razie nie będziesz miała problemów — roześmiała się Eleonora. — Zdaje mi się, że łajdaków wokół nie brakuje!

—Głupia jesteś — stwierdziła Mignon. — Nie mówię o byle łajdaczkach czy rzeźmieszkach! Chodzi mi o te piękne twarze prawdziwych bandytów, bezczelne i zuchwałe... za takimi szaleję!

Eleonora nie przestawała się śmiać, obracając w palcach papierosa.

—Mignon, ale przecież twój mąż nie jest taki. Ma wygląd tak rzetelny, arystokratyczny...

—A kto powiedział, że Lorenzo mi się podoba? Poza tym może i wygląda rzetelnie, ale i tak zdradza mnie ze wszystkimi po kolei. — Mignon chodziła wokół wielkiego stołu, rozpościerając szybkimi ruchami kawałek materiału koloru rubinu. Zaczęła kroić, pewna i zdecydowana. Eleonora obserwowała ją, siedząc w foteliku.

—Nie jesteś zazdrosna?

—O kogo? O Lorenza? Moja droga, byłam zazdrosna, i to jeszcze jak. Potem mi przeszło. Niech się wyciera po cudzych łóżkach ile chce. I tak go lubię.

—Nicola mówi, że ty nie miewasz kochanków, że to nie w twoim stylu. Interesuje cię tylko twój salon mody! — Eleonora skinęła ręką, wskazując pokój zastawiony antycznymi meblami, wyjątkowo elegancki, jak zresztą całe to wielkie mieszkanie na via Montenapoleone numer pięć. — Mówi, że żyjesz tylko dla swojej pracy.

—Ja? — Mignon wybuchnęła śmiechem, rzuciła nożyczki i poprawiła włosy, zebrane w węzeł na karku. — Nicola jest idiotą! Tobie też się wydaje, że mogłabym żyć bez miłości?

—Chcesz powiedzieć, że miewasz kochanków? — Eleonora wstała i oparła się łokciami o stół, na którym Mignon tworzyła swój kolejny model. — Naprawdę miewasz kochanków?

—Byłabym głupia, gdybym nie miała.

—A kogo?

—Uuu, ależ jesteś ciekawska — roześmiała się Mignon. — Podaj mi papierosa, leżą tam, na konsoli.

—W takim razie twój kochanek to pewnie podejrzany typ, jak to mówiłaś. Jaki jest? Naprawdę ma bandycką gębę? — zapytała Eleonora, podając jej paczkę.

Mignon wydmuchnęła dym.

—Na przykład ten psychoanalityk z Wiednia, który był u was wczoraj wieczorem. Ten ma naprawdę przystojną twarz łajdaka.

— Ach tak? — rzuciła Eleonora. Serce zabiło jej mocniej. — Nie zauważyłam go.

—Oczywiście, że zauważyłaś! — roześmiała się Mignon. Nie wyjmując papierosa z kącika pięknych czerwonych ust, wróciła do krojenia materiału. — Widziałam, jak na niego patrzyłaś, dziewczyno! Ale dla ciebie jest jeszcze za wcześnie.

—Za wcześnie? Na co? — zapytała Eleonora, znów opierając się łokciami o stół. Spojrzała posepnie na przyjaciółkę.

—Żeby wziąć sobie kochanka. Dopiero co wyszłaś za mąż i Nicola jest jeszcze zakochany. Nie możesz go zdradzić. Jeszcze nie. Oczywiście prędzej czy później to nastąpi, ale pozwól, niech minie przynajmniej— mniej roczek albo dwa.

—Co ty opowiadasz — mruknęła Eleonora. — Ja Nicoli nie zdradzę. Nie mogłabym. Pomijając już wszystko inne, odebrałam bardzo surowe wychowanie i mam zasady.

—No tak — prychnęła Mignon i zaklęła przez zęby, kiedy popiół z papierosa spadł na materiał. — Tak, znam twoją matkę, chroń nas przed nią Panie Boże! — Zdmuchnęła popiół i spojrzała ubawiona na Eleonorę. — Ale mnie się strasznie podoba ten Smolsky, czy jak mu tam.

—Weźmiesz go sobie na kochanka? — zapytała Eleonora, usiłując zachować obojętny ton,

—Nie teraz. Straciłam głowę dla innego.

—Znam go?

Mignon zgasiła papierosa. Patrząc wciąż na Eleonorę, zapytała:

—Od kiedy się przyjaźnimy?

—Chyba od zawsze? — odrzekła Eleonora i oparła podbródek na dłoni, spoglądając Mignon w oczy. — Od zawsze.

—Ale ty jesteś o wiele młodsza ode mnie.

—A co to ma do rzeczy?

—Tego, o co pytasz, nie wie nikt. Nie powiedziałam o tym nikomu.

I nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział.

—Mówisz o człowieku, w którym się zakochałaś?

—Tak, właśnie o nim — odparła Mignon, poważniejąc. — Pewnego dnia być może będę miała ochotę o tym porozmawiać i wtedy porozmawiam z tobą, na pewno nie z żadną z tych gęsi, które ciągle się wokół mnie kręcą. No, rozbieraj się.

—Mam się rozebrać?

—Chcę zobaczyć, czy ci w tym do twarzy.

Eleonora zrzuciła tenisówki, zdjęła białe spodnie i bluzkę; została tylko w majtkach i biustonoszu.

—Jesteś piękna — powiedziała Mignon, układając materiał na jej ciele i spinając go szpilkami. — Naprawdę piękna. Nicola pewnie wariuje na twoim punkcie.

Eleonora nie odpowiedziała.

—A jaki jest jako kochanek?

—Nicola? — zapytała Eleonora i poczuła, że się rumieni.

Mignon spojrzała na nią i roześmiała się.

—Boże, ależ z ciebie dziwaczka! Istna pensjonarka. Ja zaczynam o seksie, a ta się robi fioletowa! A może to refleks od materiału... — ciągnęła ze śmiechem. — No dobrze, Nicola jest naprawdę taki fascynujący, na jakiego wygląda? Biegałam za nim jakiś czas, ale bez rezultatu.

—Fascynujący? — Eleonora przygryzła wargę i przełknęła ślinę.

—Ależ tak, Eleonoro. Nie jesteś w stanie nawet mówić o seksie? Nie powiesz chyba, że się mnie wstydzisz. No już! Krótko mówiąc, szalejesz z rozkoszy, kiedy jesteś z nim w łóżku, czy nie?

—Jasne — bąknęła Eleonora. — Jasne, że szaleję — rzuciła krótko i opuściła powieki, by Mignon nie mogła wyczytać z jej oczu, że to kłamstwo.

—Muszę przyznać, że jesteś inna niż reszta kobiet — Mignon znów się roześmiała. — Te, które tu przychodzą i chcą sobie dodać urody moimi sukienkami, opowiadają mi takie szczegóły ze swojego intymnego życia, że nie masz pojęcia! Marynarzowi uszy by zwiędły ze wstydu! Wiem wszystko o ich mężach. Wszystko! I o ich kochankach. Mogłabym napisać taką książkę o socjocie mediolańskiej, że skóra by cierpła!

Podejrzewam, że odniosłaby ogromny sukces. Nie ruszaj się, no, obróć się teraz! Nie widzisz, jaka jesteś piękna? A ta sukienka będzie prawdziwym dziełem sztuki.

—Jest okropnie wydekoltowana. Mignon? — westchnęła Eleonora, przyglądając się sobie w lustrze. I pomyślała o Smolskim.

—A ty masz przepiękny biust! Pochwal się nim?

Eleonora pomyślała o oczach Smolsky'ego.

— Gorąco tu — powiedziała. Przytrzymując jedną ręką materiał, który zsuwał jej się z bioder, podeszła do okna. — Mogę trochę przewietrzyć? — zapytała i otworzyła szeroko okno. Wystawiła twarz na zimne powietrze. Spojrzała w dół. Zobaczyła go natychmiast. Stał nieruchomo, jakby czekał, na chodniku po drugiej stronie. Smolsky. To naprawdę był on.

W płaszczu przeciwdeszczowym i z gołą głową. Zapalał papierosa. Ale zaraz spojrzał w jej stronę. I uniósł rękę drobnym gestem powitania, współnictwa.

Eleonora odskoczyła i zamknęła z trzaskiem okno. Odwróciła się do niego plecami, ściągając sukienkę na piersi.

—Co ci jest? — Mignon patrzyła na nią zdumiona. — Co znowu?

— Oj. nie wiem. Zimno?

—Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha — stwierdziła Mignon, rozwijając na stole kolejny kawałek materiału.

—Mogę się już ubrać? — zapytała po kilku minutach Eleonora zgaszonym głosem. Miała pustkę w głowie. Nie była w stanie wziąć się w garść. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że splotła je mocno, by Mignon niczego nie zauważyła. Na szczęście przyjaciółka, zajęta własnymi myślami, nie zwracała na nią uwagi. Kiedy zadzwonił telefon, Eleonora podskoczyła jak smagnięta biczem. Mignon zamieniła z kimś kilka słów i wyciągnęła słuchawkę w stronę Eleonory:

—Twój mąż.

—Nicola?

—No tak, rusz się, co tak sterczysz?

Nicola mówił szybko, odrobinę niecierpliwie. Zawsze tak było, kiedy dzwonił ze swojego biura.

—Przyślę ci kierowcę.

—Kierowcę? — zapytała Eleonora. Była tak wzburzona, że nie mogła zrozumieć, co mówi mąż. — Kierowcę?

—Skarbie, kierowcę z samochodem! Musisz wracać do domu, idziemy dziś na kolację do państwa Chiaromonte, i to już wkrótce. Musisz się przygotować. Słuchasz mnie?

—Kierowcę... ależ nie ma potrzeby! — wykrzyknęła pośpiesznie. — Nie ma potrzeby, Nicola. Mignon mnie odwiezie.

—No dobrze, w takim razie do zobaczenia w domu. — Dało się słyszeć ciche „klik” i głos męża umilkł. Eleonora przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń, ściskając słuchawkę w dłoni. Powoli odłożyła ją na widełki.

—Co ci znowu przyszło do głowy? Dlaczego powiedziałaś Nicoli, że ja cię odwożę? — Mignon była zła, jej głos brzmiał surowo.

Eleonora odwróciła się do niej. Zobaczyła, że przyjaciółka stoi przy oknie, paląc papierosa. Patrzyła w dół zza zasłony, którą uchyliła wolną ręką. Zobaczyła Smolsky'ego, wystraszyła się Eleonora. Mignon na pewno zobaczyła Smolsky'ego na ulicy. Dziewczyna przygryzła wargi.

—No więc? — ponagliła Mignon, wciąż wyglądając na dwór. — Jestem zajęta w szwalni aż do wieczora. Chyba się nie umawialiśmy, że cię odwożę. — Rzuciła Eleonorze szybkie, złe spojrzenie. Eleonora podeszła do niej; nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Kiedy była już przy oknie, zerknęła na ulicę. Smolsky'go nie było.

—Co ci jest, Eleonoro?

Dziewczyna potrząsnęła głową. Nie była w stanie odpowiedzieć. Głowa jej płonęła. Przyjaciółka wzruszyła ramionami i wróciła do stołu. Przez chwilę pracowała w milczeniu, w końcu mruknęła:

—Powinnaś już iść.

Eleonora oderwała się wreszcie od okna.

—Pomożesz mi to zdjąć? — zapytała cicho. Milczały, kiedy Mignon wyjmowała szpilki, pozwalając sukience opaść na podłogę. Eleonora ubrała się pośpiesznie. Wzięła raketę tenisową i gruby biały sweter.

—No, to idę.

Mignon przestała się krzątać przy stole i obserwowała ją zamyślona.

—Co się dzieje?

Eleonora spróbowała się uśmiechnąć, ale szybko dała sobie spokój. Czuła, że jest fałszywa. Usiłowała odgrywać komedię obojętności, by ukryć bolesne podniecenie i wychodziło to fatalnie. Odchrząknęła i spróbowała wytrzymać spojrzenie przyjaciółki. W końcu nie mogła dłużej znieść tego badawczego wzroku.

—Ja nie chcę, żeby kierowca bez przerwy płatał mi się pod nogami! — oznajmiła, próbując się wytłumaczyć.

—A czy ja o coś pytam?



—Nie mam ochoty jeździć wszędzie samochodem. Chcę jeździć tramwajem albo chodzić pieszo, jak normalny człowiek. Nicola traktuje mnie jak jakąś sparaliżowaną księżniczkę! Jak małą dziewczynkę.

—Prawdopodobnie nasyła na ciebie kierowcę także po to, by mieć cię na oku.

—Ależ skąd! — oburzyła się Eleonora. Narzuciła sweter na ramiona.—Nie ma żadnej potrzeby trzymać mnie na oku i wie o tym doskonale.

Mignon podeszła bliżej, przyglądając się jej uważnie.

— Uroczo wyglądasz w tym ubraniu, wiesz? Długie białe spodnie, męska koszula i sweter. I te buty do tenisa... naprawdę urocze.

—Zwykły sportowy kostium — rzuciła Eleonora od niechcienia, ale w duchu podziękowała Bogu, że Mignon zmieniła temat. — Wiele kobiet ubiera się tak na tenisa.

— Na tenisa owszem, ale nie mają odwagi spacerować tak po mieście. A ty to robisz. No cóż, jesteś wystarczająco znaną osobą, jako żona wielkiego Nicoli Martiniego i możesz pozwolić sobie na chodzenie w spodniach, nawet jeśli oburzy to kilka starych czarownic. Żona Nicoli Martiniego może sobie pozwolić na wszystko. Albo prawie.

—Albo prawie. No właśnie — mruknęła Eleonora. Musnęła wargami policzek przyjaciółki i wyszła. Zbiegając po schodach prowadzących na stary, ozdobiony iglastymi krzewami dziedzińiec, zastanawiała się, czy słowa Mignon miały być ostrzeżeniem. A jeśli odgadła wszystko... Ale co takiego? Przecież tu nie ma nic do odgadywania, okłamywała samą siebie. Po prostu wyszłam do domu. I tyle, Hipokrytka, krzyknął natychmiast wewnętrzny głos, wstrętne hipokrytka. Zatrzymała się na ostatnim stopniu. Serce podeszło jej do gardła.

Wyszła na ulicę. Rozejrzała się. Smolsky'ego nie było. Ulica w to zimne październikowe popołudnie była pełna ludzi, śpieszących gdzieś, mijających sklepowe witryny. Smolsky'ego ani śladu. Eleonora odetchnęła z ulgą. Jakby uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa. Niepokój ucichł. Wstydząc się, że jeszcze przed chwilą tak bardzo pragnęła spojrzeć w te jego czarne przenikliwe oczy, ruszyła pośpiesznie w stronę placu San Babila. Tak, czuła ulgę, nie miała wątpliwości. Co by się stało, gdyby Smolsky rzeczywiście na nią czekał? Co by mu powiedziała? Nie, tak jest o wiele lepiej. Może on wcale nie machnął do niej na powitanie; może wcale nie stał pod oknem. Po prostu przechodził tamtędy. Czysty przypadek. Wezmę taksówkę, postanowiła Eleonora, i pędzę do domu. Dziś wieczorem założę białą sukienkę, tę, która tak się podoba Nicoli.

—Eleonoro. — Głos Smolsky'ego. Za plecami. Odwróciła się. I zobaczyła jego oczy.

—Dokąd pani tak ucieka?

—Byle dalej — odparła niezbyt mądrze, natychmiast się jednak poprawiła: — Wcale nie uciekam. Idę do domu, jest późno.

—Nie widziała mnie pani przed bramą?

—Kiedy?

—Teraz. Kiedy wyszła pani z zakładu.

—Był pan tu?

—Na wprost pani. Po drugiej stronie ulicy.

Eleonora potrząsnęła głową.

—Nie... — Naprawdę go nie widziała.

—A ja tam byłem.

—Muszę już iść — powiedziała, spoglądając w stronę postoju taksówek. — Już późno.

—Nie zapyta mnie pani, jak to się stało, że na panią czekałem?

—Lepiej będzie, jak pójdę — odparła Eleonora cicho, skubiąc pakami pokrowiec rakiety tenisowej. — Naprawdę...

—Podśledzałem kilka zdań z pani rozmowy z przyjaciółką wczoraj wieczorem. Widziałem, jak wchodzi pani w tę bramę. I czekałem, aż pani wyjdzie. Nie chce pani wiedzieć, dlaczego?

Eleonora pokręciła głową.

Ogarnął ją strach. Nieznośny, nieopanowany strach, bo zdała sobie sprawę, że do tej pory żaden mężczyzna nie wywarł na niej tak piorunującego wrażenia. Była jak oszołomiona narkotykami. Cały świat zniknął. Był tylko on, jego głos, jego twarz — oczy i usta. Eleonora odczuwała jego obecność każdą cząstką swej istoty.

Sama myśl o tym, że mógłby sobie pójść, zniknąć albo w ogóle nie istnieć, wydała jej się nagle nie do zniesienia. Nicola, matka, małżeństwo, willa w San Stiro — nic nie miało już sensu. Jakby to wszystko przestało nagle być częścią jej życia. Pojęła to, stojąc bez ruchu i bawiąc się paskiem futerału rakiety. Przygryzała wargę, nic nie mówiąc.

—Chodźmy stąd — powiedział Smolsky, jakby się gdzieś śpieszył. Położył dwa palce na jej ręce, tuż nad łokciem. Dotyk był lekki, ale sprawił, że w Eleonorze wzburzyła się krew. Ruszyła jak automat, nie pytając, dokąd idą. Chciała tylko, by on wciąż był przy niej, by trzymał ją za ramię i prowadził.

—Tam — powiedział Smolsky i wskazał corso Venezia. Przeszli skrzyżowanie i ruszyli ulicą, jakby mieli do załatwienia coś ważnego, co zaprzętało im myśli tak bardzo, że nawet nie rozmawiali. Wokół był tłum, hałas, krzyki, chłodne powietrze zapadającego wieczoru. Ale niebo było jeszcze jasne, pogodne, przejrzyste błękitne. Przypomniało Eleonorze niebo nad Bolgheri i

pewne październikowe popołudnie sprzed kilku lat. Była sama, leżała na trawie w sadzie, obok krzaków porzeczek i błdziła spojrzeniem po wielkim niebieskim sklepieniu; doświadczała uczucia lekkości i niezmiernej radości, którego nie zaznała już nigdy potem. Ale teraz poczuła, że przeżywa znów tamte dawne emocje, to samo oszałamiające szczęście. Teraz, kiedy ten człowiek był przy niej, pod niebem tego samego koloru.

—Co się stało?—Smolsky pochylił się lekko w jej stronę.

—Mnie?—spojrzała na niego. Jego twarz była tak piękna, a jego ton sugerował niespodziewaną zażyłość, bliskość, jakby byli zamknięci w egzotycznej muszli.

—Spojrzała pani nagle w niebo i uśmiechnęła się.

—To tylko wspomnienie...

—Pewnie piękne?

—Szczęśliwe — odparła. Szli dalej szybko, nie mówiąc nic więcej. Tłum zaczynał się przerzedzać. W oddali, po lewej stronie, ukazały się drzewa ogrodów miejskich i masywna sylwetka Muzeum Nauk Przyrodniczych. Kiedy dotarli do ogrodów; bramy były jeszcze otwarte. Za ogrodzeniem, obok muzeum, drzewa, łąki, alejki i klomby zdawały się czekać aż zapadnie wieczór, obfane kolorami zachodu i jesieni — niby ogród w zaczarowanym kraju, gdzie wszystko wolno, gdzie wszystko jest możliwe. Powietrze pachniało gałęziami, wilgocią, ziemią i opadłymi liśćmi.

—Wejdzmy — powiedział Smolsky i puścił rękę Eleonory. Ramię w ramię, nie dotykając się, minęli wielką pomalowaną na zielono bramę. Ruszyli alejką pod łukiem gałęzi, gdzie cień zaczynał już gęstnieć. W gałęziach śpiewał kos. Eleonora zatrzymała się.

—Tak? — Smolsky stanął przed nią i spojrzał w jej twarz. Nie była w stanie mówić. Żadne słowo, żadne zdanie nie miało sensu. Zostało już tylko to niezmierne zdumienie uczuciami, których doświadczała u boku tego mężczyzny.

—Nie, nic — odparła w końcu, potrząsając głową. Znów się bała. Spojrzała przed siebie na pięknie utrzymane klomby, z których sterczały długie łodygi kwiatów o czerwonych płatkach.

—Proszę, pospacerujmy — powiedział cicho Smolsky. Jego głos był głęboki, niski i miękki. Jego brzmienie na pewno nie pomogło Eleonorze odzyskać panowania nad sobą.

—Pamięta pani, jak spotkaliśmy się w salonie u Giorgia Maraniego? Pani weszła, żeby wziąć zakiet. Miała pani granatową sukienkę. Wtedy było jeszcze ciepło, to był wrzesień. Pamięta pani?

Pamiętała. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to Smolsky był mężczyzną którego rysów nie mogła rozróżnić, ponieważ stał plecami do okna, przez które wlewało się słońce.

—Nie wiedziałam, że to był pan—odparła zaskoczona. — Nie miałam pojęcia...

—Giorgio też o tym mówił wczoraj wieczorem. Wspomnił nasze spotkanie u niego. Nie słyszała pani? Nie domyśliła się?

—Nie, bo... — Eleonora zatrzymała się przy jeziorku. Kaczki ślizgały się po ołowianej wodzie, w której odbijała się daleka różowawa chmura.

—Nie... bo co?

—Myślałam o innym spotkaniu.

—Nie było żadnego innego spotkania, Eleonoro — powiedział Smolsky powoli. — Żadnego innego spotkania. Przed wczorajszym wieczorem widzieliśmy się tylko jeden, jedyny raz, w gabinecie Giorgia.

—Naprawdę? — Eleonora spojrzała Smolsky' mu w oczy. — Naprawdę to był jedyny raz? Co pan opowiada?

—Tak — potwierdził. — Właśnie tak. Nie widzieliśmy się więcej. Nigdy.

—Tylko ten jeden raz?

—Ten jeden raz — powtórzył Smolsky. Kłamał. To było oczywiste.

Eleonora zrozumiała nagle, że prosił ją o współnictwo. Prosił ją by wymazała z pamięci to drugie spotkanie. Sutannę księdza. Jego obecność w pociągu. Prosił ją, by nie pytała i nie pamiętała. By pogodziła się z tą tajemnicą. Była zaskoczona i zbita z tropu, wręcz przestraszona.

—Proszę nie zadawać żadnych pytań — powiedział Smolsky cicho, jakby czytał w jej myślach. — Proszę nigdy nie pytać, dlaczego. Może pani?

Mierzyła go przez chwilę uważnym spojrzeniem; w końcu odwróciła wzrok, zbyt zdezorientowana, by odpowiedzieć.

—Więc? — zapytał Smolsky. Stał bardzo blisko niej. — Może pani?

Ogrody były prawie puste. Tylko kilka osób spacerowało alejkami. W miejscu, gdzie stali, w pobliżu sadzawki, nie było nikogo. Wokół panowała cisza. Kaczki bezgłośnie krążyły po wodzie, słychać było tylko szelest wiatru w suchych liściach. Drzewa stały w milczeniu, czerwone, złote i żółte, na tle tego wspaniałego nieba z przejrzystego kryształu.

—Więc? — nalegał Smolsky. Eleonora wyczuwała w jego głosie przymus, jakieś silne gwałtowne emocje.

—Tak, to... to prawda — poddała się w końcu. — To prawda. Przed wczorajszym wieczorem spotkaliśmy się tylko raz... w gabinecie Giorgia Maraniego. — Postanowiła, że nie będzie

wypytywała, dlaczego jechał tamtym pociągiem, przebrany za księdza. Jeśli tego właśnie chce, powiedziała sobie w duchu, jeśli tego chce, proszę bardzo. — Wczoraj wieczorem widzieliśmy się po raz drugi. — Spojrzała na jego usta.

—Naprawdę? — mruknął. Eleonorze wydało się, że chce ją wypróbować, jakby jej współpraca była mu niezbędna, nieodzowna.

—Naprawdę —odparła bezgłośnie. Wystraszyła się, że zechce ją pocałować. Odsunęła się pośpiesznie i ruszyła alejką, nie patrząc na niego.

Smolsky dogonił ją po chwili. Po jasnym niebie rozsnuły się teraz pasma chmur, długie i mieniące się złoto. Ale pod drzewami gromadził się już wieczorny mrok; na horyzoncie, poza wymuskanymi klombami i trawnikami, uczepiona ziemi lekka chmurka rozpuszczała się powoli w powietrzu.

—Proszę mi coś powiedzieć —poprosiła cicho Eleonora.—Coś o sobie. —Pomyślała, że powinna biec do domu, zamiast sterczeć w ogrodzie z wiedeńskim psychoanalitykiem, który potrafił jak nikt inny wytrącić ją z równowagi. — Czy mógłby pan?

—Ah, ja—usłyszała jego westchnienie.

—To takie trudne?

—Mówić o sobie? Cóż, może nie samo to... trudno mi rozmawiać z panią.

Eleonora spróbowała zażartować.

— Onieśmielam pana? Ja?

—O wiele więcej. To coś innego niż skrepowanie.

—To znaczy?

—Nie mam odpowiedniego słowa.

—A po niemiecku, jak pan by to powiedział? — zapytała po chwili

Eleonora. Miała wrażenie, jakby zapuszczała się na zaminowany teren.

—Po niemiecku? — Smolsky zatrzymał się z opuszczoną głową, zastanawiając się. W końcu dodał z uśmiechem: — Cóż, to piekielnie trudne nawet po niemiecku. — Spoważniał. Jego usta tworzyły prostą linię, ale nie wydawały się surowe — ich czysty i precyzyjny rysunek przywołał na myśl prawą szlachetną duszę. Jeśli prawdą było, że rysy odzwierciedlają wnętrze, osobowość człowieka, to oczy i twarz Smolsky'ego mówiły o inteligencji, osobowości bogatej i wrażliwej, pod wieloma względami nieodgadnionej, może nawet gwałtownej, ale i niezwykle czulej. Był człowiekiem dumnym, ale nie lekceważącym innych; pozbawionym egoizmu, ale

wiernym własnym przekonaniom; nie wymagającym, ale niewzruszenie wiernym. Nie rozpustnym, ale z pewnością bardzo zmysłowym. Był człowiekiem, który kochał życie i którego ciekawość świata zaprawiona była szczyptą ironii. Ale przede wszystkim był człowiekiem zdolnym do wielkich namiętności i obdarzonym odwagą, której wymaga namiętność — wszystko to można było wyczytać z jego czarnych oczu, płonących pasją życia, niewiarygodnie przenikliwych.

Do tej pory Eleonora była tylko zafascynowana Smolskim. W tym momencie zakochała się w nim. I zrozumiała, że to, co w nim dostrzegła, było dokładnie tym, czego pragnęła, czego potrzebowała, a czego nie udało jej się nigdy odnaleźć.

—Chce pani, żebym jej coś opowiedział? — zapytał Smolsky, nieświadom tego, co w tej chwili działo się w jej duszy. Ruszyli dalej alejką. — Chce pani, żebym opowiedział o Wiedniu? Pomyślmy... spróbujmy spojrzeć na wszystko z dystansem — ciągnął żartobliwym tonem. — Pani była kiedykolwiek w Wiedniu?

—Nie... — odparła, zastanawiając się jednocześnie, co ma począć ze swoimi uczuciami, skoro jest żoną Nicolì Martiniego.

—Słucha mnie pani?

—Tak... — Eleonora drgnęła, wyrwana z zamyślenia. — Tak, słuchałam pana, proszę mówić dalej. — Wiedziała, że później, kiedy już zostanie sama, będzie rozpacziała, że Smolsky zbyt późno zjawił się w jej życiu. Ale teraz była z nim i nie chciała myśleć o niczym innym. — Proszę mówić dalej.

—W moim domu w Wiedniu mam wspaniałe rośliny. Jestem do nich bardzo przywiązany.

—Przywiązany? — roześmiała się Eleonora.

—Ależ tak. Pokojowe rośliny, piękne, wręcz niesamowite! Jestem z nich bardzo dumny i mogę panią zapewnić, że w żadnym domu nie widziałem tak wybujałych kwiatków, jak moje. Chodzi o to, że ja wiem, jak się z nimi obchodzić, rozumie pani?—Zatrzymał się i spojrzał na nią.

Eleonora wybuchnęła śmiechem.

—Mówi pan do nich?

—No, prawie. I założyłbym się, że one czują moją miłość!

—A jak ją odwzajemniają?

—Są szczęśliwe — uśmiechnął się Smolsky. — Dają z siebie wszystko. Zrzucają liście, rosą przepięknie, nigdy nie więdną. Obeszli dookoła jezioro. Woda usiana była srebrnymi ref-

leksami, kaczkami gdzieś zniknęły. Ciszę mącił od czasu do czasu turkot dalekiego tramwaju. Potem wracał spokój. Powoli zapadała ciemność.

—Kilka dni przed przyjazdem do Mediolanu podlewałem kwiatki w salonie i myślałem o pani.

—O mnie?

—Wyobrażałem sobie, że jest pani w pokoju, że siedzi pani na kanapie w wykuszu. Prawie panią widziałem, z jasnymi włosami — mówił, nie patrząc na nią — i z tym profilem rozsądnej dziewczyny.

Eleonora poczuła nagle, że pragnie go jak nikogo na świecie; miała ochotę oprzeć się na jego ramieniu i pozwolić się objąć. A przynajmniej poczuć jego dłoń w swojej dłoni. Szła jednak dalej, skupiona, niemal sztywna, ze zmarszczonymi brwiami. Rozsądna. Właśnie. Ale nie na tyle, by go zostawić i pójść do domu. Musiało już być naprawdę późno.

Za późno pod każdym względem, przede wszystkim, by zaradzić temu, co jej się dziś przydarzyło.

—Pan mieszka sam? — zapytała.

—Tak. Tylko z gosposią. Mam dom po rodzicach. Sam. tak. Nie jestem żonaty.

—A rodzina?

—Mój ojciec nie żyje. Matka przeniosła się do małego domku na Grinzingu.

—Czym zajmował się pański ojciec? —zapytała. Nie jest żonaty. Ciekawe, czy ma jakąś kobietę bliższą niż inne, może narzeczoną? A poza tym, co robi tu, w tym parku, z nią? Dlaczego na nią czekał? Tylko po to, by prosić ją o milczenie na temat spotkania w pociągu? Tylko dlatego?

— Był lekarzem. — Smolsky wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Miał wyjąć jednego, ale zrezygnował. Paczka zniknęła w kieszeni. — Lekarzem, tak... świetnym kardiologiem. Przyjechał do Wiednia jako chłopiec, z Czech, gdzie mieszkali moi dziadkowie. Był i biednymi ludźmi, handlowali starzyzną, jak wielu innych Żydów, nieustannie walczyli, by związać koniec z końcem. Byli bardzo religijni, jak to tylko Żydzi potrafią.

— A pan?

—O, ja jestem podobny do ojca. Wolny myśliciel, tak się to mówi?

Uśmiechnęła się. Miała ochotę pocałować go w kącik ust, wziąć w dłonie jego twarz.

—Muszę iść — powiedziała w końcu z wysiłkiem. — Muszę natychmiast iść do domu.



Zawróciła. Smolsky szedł obok, nic nie mówiąc. Latarnie zakwitły niespodziewanie słabym blaskiem. Pod sklepieniem drzew ich długie cienie pełzały dziwacznie po alejce, to tu, to tam, raz z przodu, raz z boku. Było już całkiem ciemno. Robiło się zimno.

Smolsky położył rękę na ramieniu Eleonory.

—Proszę zaczekać.

—Jest bardzo późno. Nie powinnam była w ogóle tu z panem przychodzić. Mój mąż nie... — zamilkła, zbyt poruszona, by mówić dalej. Unikała jego wzroku; już na samą myśl, że musi się z nim rozstać, denerwowała się coraz bardziej.

—Ja też będę dziś wieczorem na kolacji u państwa Chiaromonte.

—Pan też? — poczuła się tak, jakby Smolsky wyciągnął nagle rękę i wydobył ją z otchłani nieznośnego smutku. — Naprawdę?

—Wygląda pani na szczęśliwą. — Smolsky ścisnął jej ramię.

—Chodzi o to, że...

—Tak?

—Nie mogę. — Eleonora pokręciła głową. — Nie mogę nic powiedzieć. Nie jestem w stanie. Nie chcę — dodała półgłosem.

—Ale pani musi wiedzieć jedną rzecz, Eleonoro.

—Muszę?

—Tak. to coś ważnego. Bardzo ważnego. — Ścisnął jej ramię jeszcze mocniej. — Ja, Eleonoro... — Po sposobie, w jaki wymawiał jej imię, można było się zorientować, że nie jest Włochem. „E” były tak krótkie, że brzmiały prawie jak „i”. Cudzoziemiec trzymał ją za ramię i smutnym, wzruszonym głosem powtarzał: — Eleonoro, ja...

—Niech pan da spokój — rzuciła ostro. Cofnęła się, jakby odsuwała się znad przepaści. — Idę. — Skierowała się w stronę bramy. W pośpiechu dopadła pierwszej z rzędu taksówek, które stały w pobliżu ogrodów.

Wysoka postać Smolsky’ego znalazła się nagle u jej boku.

—Niech pani posłucha...

—Proszę mnie nie zatrzymywać.

— Kiedy się zobaczymy?

—Dziś wieczorem, czy nie tak? — odparła, rumieniąc się ze wstydu i udając, że nie rozumie, co Smolsky miał na myśli. Chodziło mu o coś zupełnie innego. O we dwoje. Ona i on. Sami. Eleonora otworzyła drzwiczki taksówki.

—Do widzenia — rzuciła krótko, ale jego ramię, przerzucone w poprzek drzwi, nie pozwoliło jej wsiąść do samochodu.

—Proszę zaczekać.

—Niech mnie pan puści. — Eleonora odsunęła jego ramię i wsiadła.

Smolsky przechylił się przez drzwiczki. Schroniła się na drugim końcu siedzenia, ale w ciemności usłyszała jeszcze jego cichy głos:

—Zakochałem się w pani, Eleonoro.

—Co takiego? — zapytała z sercem w gardle, choć zrozumiała go doskonale.

—Eleonoro, kocham panią. — Smolsky zatrzasnął cicho drzwiczki.

Eleonora widziała, jak oddała się w świetle latarni. Podała adres szoferowi o szerokich masywnych piecach, obojętnemu świadkowi tej miłosnej deklaracji.

Kiedy samochód ruszał, zobaczyła jeszcze przelotnie Smolsky'ego, stojącego na chodniku i zapalającego papierosa.

Kiedy przyjechała do domu, Nicoli jeszcze nie było.

—Jak późno, proszę pani. A poza tym, za pozwoleniem, chodzić w takim stroju, o tej godzinie... —Virginia odebrała od niej rakieta i podała służącemu w liberii, który stał przy drzwiach wejściowych, wyprężony jak żołnierz z gwardii honorowej.—Jak późno!

—Mąż telefonował?

—Tak, raz—odparła Virginia, idąc za Eleonorą po schodach. Virginia została jej przydzielona jako osobista pokojówka, kiedy tylko Eleonora wprowadziła się do tego domu. Miała surową twarz i ciemne włosy, związane na karku. Była kiedyś gospodynią w domu księstwa d' Aosta,

i zachowywała się z arystokratyczną wyniosłością. — Proszę spojrzeć, co ta wilgoć zrobiła z pani włosami. Wraca pani w okropnym stanie. — Wyprzedzając Eleonorę, weszła do łazienki. Chwilę potem dziewczyna usłyszała dźwięk wody wlewającej się do wanny.

— Kąpiel gotowa, proszę pani.

Eleonora siedziała na pufie przy toaletce z opuszczonymi rękami, patrząc w przestrzeń. Usłyszała szelest wieczorowej sukienki, którą Virginia powiesiła na drzwiach szafy. Kobieta poprawiała rąbek sukienki, by fałdy lepiej się ułożyły.

—Co za cudo —mruczała —co za cudo. Dziś wieczorem będzie pani wyglądała jak ze snu. — Podeszła do toaletki. — No już, do roboty. Pomogę się pani rozebrać. — Jej matczyzny rozkazujący ton zdenerwował Eleonorę. Zatrzęsła się ze złości.

—Dość! Nie będzie mnie pani traktowała jak dziecka, zrozumiano?

—Ależ, proszę pani... — Virginia cofnęła się zmieszana.

—Pani sposób bycia doprowadza mnie do szału — Eleonora wstała i podeszła do okna. — I nie życzę sobie więcej uwag na temat mojego ubrania i zachowania. I na temat moich spóźnień. I moich włosów —dodała z naciskiem.

—Zechce mi pani wybaczyć... ja chciałam tylko... kazano mi się panią zajmować i... ja próbuję tylko otoczyć panią opieką i uwagą. Nawet księżna...

—I proszę nie opowiadać mi więcej o księżnej, do diabła! — wypaliła Eleonora. Ze srebrnej szkatułki na komodzie wyjęła papierosa. Virginia czym prędzej podała jej ogień. Unosząc oczy znad płomyka, Eleonora zorientowała się, że kobiecie zbiera się na płacz. Była wściekła na siebie. W czym jej zawiniła Virginia? Co jej przyszło do głowy, żeby wyzywać się w taki sposób na służącej?

—Proszę mi wybaczyć — powiedziała cicho. — Nie chciałam być niemiła.

—Pani... pani nie musi się usprawiedliwiać — mruknęła służąca.

—Proszę mnie zostawić samą Virginio. Zawołam panią, jeśli będę czegoś potrzebowała — rzuciła Eleonora. Zaczęła spacerować po pokoju.

—Ale kolacja...

—Nie idę na żadną kolację.

—Pani dziś wieczorem...

—Nie. proszę też zabrać tę sukienkę i odwiesić na miejsce.

—Ale pan doktor —tak tytułowano w domu Nicolę — pan doktor nie będzie zadowolony. Przez telefon wyraźnie zapowiadał, że ma pani być gotowa na ósmą.

—Pozwoli pani, Virginio, że ja się będę przejmować tym, co powie mój mąż.

—Ale... pani może źle się czuje? Boli panią głowa? — Virginia podsuwała jej wymówkę, wiarygodne usprawiedliwienie tak absurdalnego zachowania. — Ma pani migrenę? Kiedy się tak pani przyglądam, widzę, że jest pani strasznie blada.

—Tak, właśnie... — odparła Eleonora. — Boli mnie głowa. — Podeszła do łóżka i położyła się. Virginia zamarła z przerażenia, widząc buty do tenisa na narzucie z białego jedwabiu.

—Zdejmę pani buty. — Eleonora nie zdążyła się sprzeciwić. — Będzie lepiej, jak zadzwoni pani do męża. Lepiej uprzedzić pana doktora że pani nie chce iść na kolację do państwa Chiaromonte.

—Nie mam ochoty dzwonić.

—Ale pani mąż powinien...

—Virginio! Jeśli nie wyjdzie pani natychmiast z tego pokoju, zwolnię panią! — krzyknęła. Virginia nie powiedziała już nic, ale ze spojrzenia, jakie rzuciła przed wyjściem, Eleonora wyczytała, że od tej chwili ma wroga.

—A więc boli cię głowa — powiedział Nicola, wchodząc chwilę potem do pokoju. Eleonora leżała na łóżku, owinięta w szlafrok. Obok niej mruczał rudy kot, którego uparła się zabrać ze sobą z Bolgheri, a którego jej mąż nie cierpiał. Miała zamknięte oczy, ręką osłaniała czoło. Nie odpowiedziała, nie poruszyła nawet głową.

Usłyszała, że Nicola przystanął obok łóżka.

—Jesteś blada. Chcesz, żebym wezwał lekarza?

—Ależ nie...

Nicola usiadł na łóżku.

—Weź coś, jakąś pastylkę, nie wiem. Ubierz się. Musimy iść do państwa Chiaromonte.

—Nie. Idź sam, jeśli tak ci zależy. — Nie chciała tam iść za żadne skarby. Nie chciała znów zobaczyć Smolsky'ego. Ciągle miała w uszach jego głęboki głos. „Zakochałem się w pani, Eleonoro”, tak powiedział, do diabła! — Idź sam — powiedziała mężowi.

—Sam? Sam nic... no już, postaraj się.

—Chce mi się wymiotować. Nie mogę — odparła Eleonora z zamierzoną brutalnością.

Nicola milczał przez chwilę.

—Jesteś może... w ciąży? —zapytał w końcu półgłosem i wziął ją za rękę. Eleonora otworzyła oczy.

—Nie, nic podobnego. Nie jestem w ciąży, zapewniam cię. Tylko że... nie czuję się dobrze, rozumiesz?

Nicola zabrał rękę.

—Aha.

—Brzydzisz się mnie? — zapytała złośliwie.

—Ależ Eleonoro? — Nicola był zdumiony i zażenowany.

—Ależ tak — upierała się. — To wcale nie byłoby dziwne. Moja matka twierdzi, że kiedy kobieta...

—Eleonoro, proszę cię — uciął Nicola stanowczo, jakby mówił: zamilcz, daj spokój. — Nie trzeba było iść na tenisa. A poza tym, gdzie się podziewałaś do tej pory? Wróciłaś bardzo późno.

Virginia mu doniosła pomyślała Eleonora. Co za wiedźma. Nie odpowiedziała. Nicola westchnął:

—Zdaje się, że jesteś też w złym humorze, co?

—W okropnym. Wybacz.

—Ach, nic... rozumiem. — Nicola wstał. — Więc nie dasz rady wstać?

—Nie.

—Będę więc zmuszony iść do państwa Chiaromonte sam. Ale chcę być wyrozumiały. Wiem, że kobietom zdarza się stroić fochy.

No właśnie, pomyślała Eleonora, zdarza się. Zdarza im się też wyjść za jednego mężczyznę, a potem zakochać się w innym. Ale ona nie miała zamiaru wdawać się w żadne świństwa. Nie ona. Nie miała zamiaru wplątać się w romans ze Smolskym. Nie należała do kobiet, które zdradzają mężów.

Przez kilka dni Eleonora nie wychodziła z pokoju. Virginia przynosiła jej posiłki, obnosząc się z obrażoną miną i irytującą grzecznością.

Nicola zaglądał trzy razy dziennie. Osobiście przynosił jej kwiaty. Zza białych półprzejrzystych zasłon Eleonora widziała każdego popołudnia Smolsky'ego, który spacerował po parku, popychając wózek kapitana. Nicola każdego wieczoru próbował namówić ją żeby zeszła przynajmniej na kolację. Smolsky też jest, mówił, ale ona była niewzruszona. Powtarzała, że jest nerwowa i nie zniesie niczyjego towarzystwa.

W pokoju było szaro od listopadowego deszczu, kiedy pewnego ranka, po kawie, którą pili zawsze razem, Nicola przyszedł do pokoju żony.

—Popatrz. —Podał jej otwarty telegram.

Kilka słów od babci:

Przyjedź jak najszybciej, źle się czuję, chcę cię zobaczyć.

—O Boże — powiedziała cicho Eleonora, spoglądając na męża. — Babcia...

— Tak, widziałem.

Dopiero teraz Eleonora zorientowała się, że telegram został otwarty, ale nawet nie przyszło jej do głowy, by protestować. Zmroziła ją myśl, że babcia jest umierająca.

—Muszę jechać — oznajmiła i zeskoczyła z łóżka.

—Poślij Jacopa. Twój brat nie ma nic do...

—Nie. — Eleonora podeszła do Nicoli i objęła go. Oparła głowę o jego ramię. — Nie, proszę cię, Nicola, nie zabraniaj mi jechać do Bolgheri. —I rozplakała się.

—Ależ, co ty wyprawiasz. — Mąż odwzajemnił jej uścisk.

—Nie mogę znieść myśli, że babcia umrze. — Szloch wstrząsał całym jej ciałem.

—Skarbie, napisała tylko, że nie czuje się dobrze i tyle.

—Ale jest chora... i stara.

—Nie bądź taką pesymistką. Ta kobieta przeżyje nas wszystkich, zobaczysz! — odparł Nicola, ale wciąż tulił ją do siebie i głaskał po włosach.

—Chcę jechać do Bolgheri. Nie będzie mnie tydzień, może dziesięć dni. Jest przecież telefon. Będziemy się słyszeć codziennie. Babcia jest dla mnie zbyt ważna. Pozwól mi jechać.

Kiedy samochód wjechał w cyprysową aleję, wiodącą do Bolgheri Eleonora opuściła okno. W wilgotnym chłodnym powietrzu rozpoznała słonawy posmak niedalekiego morza, przesłoniętego sosnowym lasem. To był zapach jesieni jej dzieci stwa. Wydało jej się, że nie była tutaj całe wieki. Poczowała nagle bolesną tęsknotę za tym miejscem. Na placyku przed willą szofer ceremonialnie otworzył drzwiczki samochodu i zdjął czapkę.

—Jesteśmy na miejscu, proszę pani. — Pomógł jej wysiąść. Eleonora rozejrzała się. Dom wyglądał na zaniedbany i opustoszały. Park był cichy, szary. Wokół placyku wiecznie zielone krzewy obsypane były jagodami, jak zwykle w listopadzie. Rozpoznała profil wysokich drzew rysujący się na niebie i wzgórze ginące w lekkiej mgiele.

—Jeśli pani pozwoli, wyładuję bagaż, i ruszę od razu do Mediolanu.

—Szofer stał obok z czapką w ręce.

—Ależ oczywiście...tak. Drzwi wejściowe otworzyły się i Katerina wybiegła jej na powitanie z wyciągniętymi ramionami, tak uszczęśliwiona, że Eleonora wzruszyła się do łez.

—Panienko... nie, proszę pani.— Staruszka obejmowała ją. Jakby odnalazła utraconą córkę.

Babka, jak to przewidział Nicola, wcale nie czuła się źle i nie wyglądała na kogoś, kto wybiera się na tamten świat. Hrabina Adelaide Serpieri miała się doskonale, otoczona opieką i oddanymi osobami. Była zupełnie zadowolona z życia, mając obok siebie cierpliwego lekarza z Castagnefo, niejakiego Carducciego, Katerinę, a teraz wreszcie i swoją ukochaną wnuczkę. Ale Eleonora, dzwoniąc rano i wieczorem do

męża. ubarwiała sytuację, bojąc się, że Nicola każe jej wracać do Mediolanu. Za każdym razem mówiła mu, że lekarz radzi jej jeszcze jakiś czas nie ruszać się z Bolgheri.

Dni płynęły spokojnie. Eleonora czytała godzinami na głos Moby Dicka, ulubioną książkę babci, rozgrywała z nią niekończące się partie wbriskolę, chodziła na długie samotne spacerunki po parku i spędzała bezsenne noce, próbując wygnać Smolsky 'ego ze swoich myśli. Postanowiła wrócić do Mediolanu dopiero, kiedy będzie pewna, że spotkanie z nim nie wywoła u niej żadnych emocji. To ona, Eleonora, była chora, a nie babka. A zmiana powietrza mogła jej pomóc przezwyciężyć chorobę. Pobyt w willi Bolgheri, odizolowanej od świata, wydawał jej się idealnym rozwiązaniem.

Chętnie porozmawialaby' o tym, co się z nią działo, ale babka przyjęła ją chłodno, jakby nieobecność Eleonory w Bolgheri spowodowana była byle błażostką, a nie faktem, że wyszła za męża. Adelaide nie wspominała nigdy o jej małżeństwie ani o Nicoli Martinim. Nie wspominała też o tym, co zaszło w czasie przyjęcia zaręczynowego Eleonory: o wystrzale z pistoletu, który zakończył pewien etap życia dziewczyny, by rozpocząć nowy, o wiele bardziej burzliwy. Hrabina zachowywała się tak, jakby nic się nie zmieniło w życiu wnuczki. Eleonora nie ważyła się rozbić żenującymi wyznaniem tego zakłętego kręgu, w którym staruszka, zdawałoby się, zatrzymała



czas. Tylko raz, wieczorem, kiedy grały w karty przy kominku, w którym Katerina rozpałała ogień, Adelaide wskazała lewą rękę Eleonory.

—Nie mogłabyś tego zdjąć?

—Czego?

—Tej obrączki. Jest nieznośnie pospolita. Wulgarna. Przeszkadza mi, ile razy na ciebie patrzę! — Obrączka zniknęła więc w szufladzie sekretarzyka, w pudełku po cukierkach na kaszel. To była jedyna aluzja do życia Eleonory.

Pewnej nocy zerwał się wiatr. Potężny wiatr od morza, który szarpał gałęziami, tłukł okiennicami i hulał wściekle po strychach. Następnego dnia powietrze było czyste jak kryształ, ale chłodniejsze, a słony zapach morza ostrzejszy niż zwykle.

Kiedy Eleonora, jak co rano, pomagała babce przy czesaniu, do pokoju Adelaide weszła Katerina z herbatą na tacy i z dziwnie zaaferowaną miną.

—Jest tu jakiś pan.

—Kto?

—Jakiś pan. Pytał o panią. — Spojrzała na Eleonorę.

—O mnie?

Babka wyjęła szczotkę z ręki dziewczyny.

—Tak, o ciebie. Nie słyszałaś? —I zaczęła czesać się sama. patrząc na wnuczkę ze złośliwym uśmiechem.

—Nie mam pojęcia, kto to może być? — mruknęła Eleonora. Jej serce zaczęło bić szybciej. —Idź, Eleonoro. Na co czekasz? — Babka wybuchnęła śmiechem. —Idź, zamiast bawić się tu w zgadywanki. Idź zobaczyć, któż to pofatygował się z wizytą aż do Bolgheri. Nie jest to twój mąż. Katerina dobrze zna tego twojego Nicolę—dokończyła z pogardą.

—Ale ja nie spodziewam się... — Eleonora przerwała i wybiegła z pokoju. Sfrunęła ze schodów. Otworzyła drzwi saloniku.

Był to Smolsky. Stał pośrodku pokoju i patrzył na nią bez słowa.

## Rozdział 6

---

Widzi pani, nie mam zbyt wiele czasu. Na dworze, w parku wokół domu wiatr przyginał do ziemi wiecznie zielone krzewy, bujał nagimi gałęziami platanów, lip, buków, ze zwi—rowych alejek porywał nagłymi szarpnięciami bezładne ławice suchych liści, tłukł gwałtownie o ściany, o trzaskające okiennice, i buszując między liśćmi bluszczu, gwizdał w szparach okien salonu.

—Nie mam wiele czasu —powtórzył Smolsky tak cicho, że tym razem Eleonora prawie go nie usłyszała. Smolsky obserwował ją, jakby chciał starannie zapisać w pamięci bladeść jej fwarzy, szeroko otwarte czujne oczy zaciśnięte dłonie. Zauważył też uchylone usta i cień przestachu, który malował się na jej czole. Wyraźne oznaki wzruszenia i zdumienia. Wszedłszy do salonu. Eleonora zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie z wyrazem twarzy kogoś, kogo wrzucano do klatki pełnej tygrysów, nie mając siły ani odwagi, by zrobić choć krok. Smolsky nie pozdrowił jej—żadnego „dzień dobry” ani „jak się pani miewa”—patrzył tylko, jak wchodzi do pokoju, w milczeniu, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Wydał jej się smutny i smutne było, kiedy tak milczał, a wiatr wystukiwał o zamknięte okna swoje dziwne syczące melodie. W końcu powiedział to swoje „nie mam wiele czasu”, jakby kontynuował na głos rozmyślenia, przerwane pojawieniem się Eleonory, albo jakby tymi słowami chciał odpowiedzieć na jej zdumione spojrzenie i usprawiedliwić w ten sposób swoją obecność w willi Bolgheri. Wprowadzono go do salonu w najstarszym skrzydle, z drewnianą podłogą. Ściany zdobiły stare akwarele, przedstawiające scenki i obyczaje myśliwskie — roilo się na nich od psów, dzików, zajęcy i bażantów. W kącie stał fotel obity wytartą skórą obok kamiennego kominka mała kanapa i rustykalne stołki — opuszczone relikty zamierzchłych wieczorów przy ogniu i niezliczonych opowieści o myśliwych i ich zdobyczy. A na samym środku pokoju stał Smolsky. Wciąż wpatrywał się w Eleonorę, którą zostawił — ileż to już dni temu? —w ciemnej taksówce, przy ogrodach miejskich w Mediolanie. Ostanie słowa, jakie jej powiedział, brzmiały:

„Kocham panią”. Potem już się więcej nie widzieli.

Smolsky otrząsnął się z zamyślenia i oparł o orzechowy stół, na którym leżały dwie strzelby.

W nieogrzewanym pokoju było bardzo zimno i wilgotno, w powietrzu unosił się zapach pleśni i opuszczenia. Przez narożne okno, przez które widać było błękitne, przejrzyste niebo, słońce wślizgiwało się do wnętrza. Ukośne pasmo światła, pełne błyszczących drobin kurzu, pozłociło na mgnienie oka Eleonorę, kiedy zbliżała się do Smolsky’ego.

—Mało czasu na co? — zapytała. — Na co? — Powtórzyła bez wyrazu.

Smolsky zignorował pytanie.

—Przejeżdżałem koło Bolgheri — powiedział. — Wiedziałem, że pani tu jest.

—Przejeżdżał pan koło Bolgheri?

—Tak. byłem w Livorno. Spotkanie z dwoma lekarzami, kolegami Giorgia Maraniego. Nie-  
daleko jest zakład psychiatryczny. Przyjechałem wczoraj rano, a dzisiaj pomyślałem, że zanim  
wyruszę z powrotem... Nie ma pani ochoty pójść nad morze? —dodał pośpiesznie, biorąc ze stołu  
strzelbę. Zaczął oglądać rzeźbioną kolbę. — Moglibyśmy pójść na spacer. Jestem samochodem.  
Moglibyśmy zjeść gdzieś obiad...

Jego słowa brzmiały, jakby rzeczywiście był tylko uprzejmym znajomym, który przejeżdża  
w pobliżu, wpada się przywitać i zaproponować wspólny obiad. W taki piękny listopadowy dzień  
nie można siedzieć w domu. Zdawkowy ton, rozmowa jak setki innych. Ale krótkie wymowne  
spojrzenie, które od czasu do czasu rzucał jej spod zmarszczonych brwi, nie dawało zapomnieć  
słów wypowiedzianych tamtego popołudnia. „Kocham panią”.

—To od mojego męża dowiedział się pan...

—Tak, on mi powiedział. Pani nie przyszła na kolację u państwa Chiaromonte, tamtego  
wieczoru... — Smolsky z coraz większym zainteresowaniem oglądał intarsjowaną kolbę, — Nie  
było pani przy naszej rozmowie, umówiliśmy się z pani mężem, że będę się zajmował kapitanem.  
Dziadek pani męża okazuje mi sympatię, ja też go lubię. — Zamilkł na chwilę. —Piękna broń  
myśliwska... angielska kolba. — Pstryknął spustem.

—Uwaga! To może być jeszcze nabite.

—Kto poluje?

—Mój ojciec, brat. Oni polowali. W tych stronach wszyscy mężczyźni chodzą na polowa-  
nia.

—No więc, jak mówiłem... — Smolsky miał na sobie szary garnitur, krawat w prążki i  
ciemną kamizelkę. Na krzesło w rogu rzucił palto i kapelusz. — Po tamtej kolacji u państwa  
Chiaromonte często przychodziłem do państwa, by porozmawiać z pani mężem o psychoanalizie.  
I zagrać w szachy z kapitanem.

—I żeby powozić go na wózku po ogrodzie — dodała Eleonora, odgarniając kosmyk  
włosów z czoła.

—Widziała mnie pani?

—Tak. Przez okno.

—Nie wychodziła pani z pokoju przez tyle dni. Mąż mówił, że była pani chora.

—Tak, byłam chora — odparła sucho. Z trudem panowała nad sobą. Zmuszała się do od-  
grywania roli uprzejmej pani domu, do której przyszedł z wizytą bliski znajomy męża.

—W końcu doktor Martini powiedział mi, że jest pani tutaj, u swojej babki. To on zasugerował, żebym wpadł panią pozdrowić. Wiedział o moim wyjeździe do Livorno.

—Nicola powiedział panu, żeby pan tu przyjechał? — Właśnie Nicola, właśnie jej mąż poprosił Smolsky'ego, by przyjechał ją odwiedzić. —Naprawdę on powiedział panu...

Smolsky skinął potakująco głową, odkładając strzelbę na stół. Rozejrzył się.

— Piękny pokój. I te akwarele, wspaniałe! Podszedł do ściany i zaczął przyglądać się obrazom w ramach z ciemnego drewna.

—Bardzo piękne. Początek dziewiętnastego wieku?

—Tak sędzę. — Eleonora przestała się bać, że to tak banalne z pozoru spotkanie przybierze niewłaściwy obrót. Nakazała sobie wyrzucić z pamięci tamte słowa: „Kocham panią”. — Pan się interesuje malarstwem? — zapytała od niechcienia.

—Trochę — odparł Smolsky. — Podobają mi się przede wszystkim pejzażyści.

—W sali balowej został jeszcze piękny obraz Angela Morbellego —powiedziała Eleonora i ruszyła do drzwi. — Chodźmy, proszę wziąć palto i kapelusz. Mieliśmy też Corota i... — urwała. Nie miała teraz ochoty mówić o dziełach sztuki, których już nie było. Całą kolekcję Serpieri, łącznie z impresjonistami i pointylistami, pożarły długi. — Zimno. Te pokoje są

takie zimne — westchnęła, zatrzymując się w progu i obejmując się ramionami. Różowy golf z angory i plisowana spódnica widocznie nie były dość ciepłe. Na szyi miała sznur pereł, odpowiedni dla mężatki, ale na jej serdecznym palcu, jak zauważył Smolsky, nie było już ślubnej obrączki.

—Więc nie da się pani wyciągnąć na dwór? Krótki spacer... — Smolsky wskazał ruchem głowy okna, przez które do pokoju wlewało się jasne światło słoneczne. — Pojedźmy nad morze, zgoda?

—Chodzi o to, że babcia... — zawahała się Eleonora. Chciała tego. Oczywiście, że chciała. Pragnęła tego z całej duszy. I wbrew sobie pomyślała, że może to jednak wspaniały dar bogów— jakichś dobrotliwych pogańskich bóstw—mieć tu, w Bolgheri, właśnie jego, moc pójść z nim na spacer po plaży smaganej wiatrem. Pozwoliła rozplynać się w nicość wszystkim rozsądnym, rozsądnym postanowieniom. Odłożyła maskę wyniosłej pani domu. Była szczęśliwa.

—Tak, zgoda.

—Idziemy więc? — Smolsky uśmiechnął się do niej. Coś się zmieniło.

Jak zdmuchnięta wiatrem, zniknęła nagle bariera form i konwenansów, która do tej pory dzieliła tych dwoje, trzymała ich z dala od siebie. Teraz zrodziło się między nimi porozumienie.

Na dworze szalał wiatr, omiatając czyste, zimne, listopadowe niebo, a kilka kilometrów dalej, za sosnowym lasem, czekało na nich morze.

—Pójdę po coś ciepłego — powiedziała cicho Eleonora. — Proszę zaczekać, wrócę za dwie minuty.

W lustrze w swoim pokoju spojrziała na swoje odbicie — jeszcze nigdy się taką nie widziała, nawet, kiedy poznała Paola, nawet, kiedy poprosił ją o rękę. Całe to narzeczeństwo z jego tragicznym końcem wydało jej się nagle dalekie i nieprawdopodobne; to było inne życie i zupełnie inne uczucia, nijakie i blade w porównaniu z tymi, które teraz ożywiały jej twarz i spojrzenie. W tej chwili zapomniała o Nicoli Martinim, o swoim małżeństwie. Uczesała się w pośpiechu, w pośpiechu wrzuciła do torebki puderniczkę i szminkę, nie znalazła portmonetki, dała więc sobie spokój. Uperfumowała lekko różową chusteczkę, nadgarstki i szyję za uchem. Z szafy wyjęła niecierpliwie gruby żakiet z granatowej wełny, zrzuciła spódnicę i założyła inną do kompletu z górą. Złapała jasnoszary filcowy kapelusik z wygiętym rondem i wybiegła z pokoju.

—Kto? Znajomy twojego męża? — Babka siedziała przy stoliku i nalewała sobie nie wiadomo którą już filiżankę herbaty. Rzuciła dziewczynie ostre spojrzenie. — Naprawdę?

—Tak, profesor Smolsky — odparła niepewnie Eleonora.

— To musi być naprawdę niezwykle człowiek, sądząc z twojej miny. Promienieiesz.

—Ja?

—Ano tak.

—Ależ, co ty opowiadasz. Po prostu mam ochotę wyjść. Przespacerujemy się nad morzem, pójdziemy gdzieś na obiad. To Nicola prosił profesora, żeby mnie odwiedził po drodze.

—O — powiedziała ironicznie babka — w takim razie... — Zdanie zawisło w powietrzu, najeżone złośliwą dwuznacznością.

—Ależ babciu, co ty insynuujesz? — Eleonora zmarszczyła brwi, ale nieoczekiwanie, i ku jej własnemu zaskoczeniu, na usta wypłynął jej uśmiech, którego nie zdołała powstrzymać.

Hrabina wybuchnęła śmiechem.

—Nic nie insynuuję. Chodź tu, daj mi buziaka. — Eleonora musnęła ustami jej upudrowane policzki. — Idź i nie przejmuj się — dodała staruszka, ściskając dłoń dziewczyny i spoglądając jej w oczy. — Idź. I nawet jeśli wrócisz późno, nic nie szkodzi. — Mówiła, jakby wiedziała wszystko o niewidzialnej sieci spojrzeń, słów i myśli, która połączyła Eleonorę i Smolsky'ego w chwili, kiedy się spotkali.

—Nie wrócę późno... — próbowała zaprotestować Eleonora.

—Ale jeśli tak się zdarzy — stwierdziła hrabina — jeśli się zdarzy; nie przejmuj się. Wróć, kiedy chcesz. — Wydawało się, że wypowiadając te słowa, wręcza dziewczynie przepustkę na kręte ścieżki zakazanej miłości.

— Idziemy?— Eleonora wpadła do salonu. Pokój był pusty. Smolsky'ego nie było. Nie było też jego palta i kapelusza. Serce zamarło jej na sekundę. Ale nie poszedł sobie. Był na dworze, na podjeździe. Uśmiechnęła się do niego promiennie, szczęśliwa, że na nią czekał.

—Wystraszyłam się. — Słony wiatr rozsypał jej włosy na twarzy.

—Myślała pani, że uciekłem?

Eleonora przytaknęła, zaciskając wargi i patrząc mu w oczy.

—No to jedziemy — uśmiechnął się Smolsky. Otworzył przed nią drzwiczki balilli, zaparkowanej przed domem.

Usiadł za kierownicą, odsunął szybę na kilka centymetrów, w końcu odwrócił się i spojrzał w twarz Eleonory.

—Więc jedziemy nad morze?

—Tak — odparła Eleonora. — Nad morze.

Tego samego ranka, około jedenastej, śnieg, który od trzech dni i trzech nocy sypał gęsto na Salzburg, zaczął rzednąć. Padał coraz słabiej i słabiej, po trochu zamieniając się w przypominający cukier biały kurz. Kristenfeld wygląda! na dwór z drugiego piętra hotelu Leonhard, stojącego w starej części miasta, na lewym brzegu Salzach. Kiedy przestało padać, mroźnym powietrzem wstrząsnął jakby lekki dreszczyk i żółtawoszare niebo rozjaśniło się, przybierając kolor świetlistej mlecznej bieli. Oparty o parapet, nie zważając na mróz, który szczypał go w twarz i ścinał oddech, Kristenfeld błędził wokół spojrzeniem, podziwiając widok: dachy budynków, kopuły wież pokrywał nieskalany całun, jedynie na ulicy poznaczone podobnymi do czarnych wstążek śladami opon samochodowych. Śnieg tłumił dźwięki — tylko słaby i daleki głos dzwonów na wieży Glockenspiel rozpływał się nad cichym miastem. Miasto okryte śmiertelnym całunem — pomyślał Kristenfeld. Był dziś w fatalnym humorze.

Punktualnie o jedenastej piętnaście wszedł do kawiarni za katedrą.

Przy stoliku, w szczelnie zapiętym palcie siedział Wilson, przeglądając gazetę.

— Zamówił pan już coś? — zapytał Kristenfeld, siadając naprzeciw niego.

— Kawę i tort z bitą śmietaną— odparł Wilson, nie odrywając oczu od gazety. — Dwie porcje. Macie tu, w Austrii, doskonałe ciasta. — Po chwili dodał tym samym tonem: — Wie pan, co powiedział Goering podczas olimpiady w Berlinie?

—Zakończono ją kilka dni temu, zdaje się? — burknął Kristenfeld, zapalając papierosa. — Jedna wielka parada łajdaków, tyle panu powiem. Nikt nic odmówił udziału. Hitler robi, co chce, a Europa grzecznie się przygląda. Mało tego, wszystkie kraje biorą udział we wspaniałych igrzyskach w Berlinie i rzucają się na hojne nagrody. Coś pięknego! Chociaż, w sumie lepszy Hitler niż Stalin, nie?

—Niech się pan tak nie oburza. Widzę, że jest pan w jeszcze gorszym humorze niż zwykle — stwierdził Wilson obojętnie.

—Będę się oburzał, ile zechcę, panie Wilson — odparł Kristenfeld niegrzecznie. — W porównaniu z powszechną obojętnością wobec wydarzeń w Niemczech, oburzenie wydaje mi się uczuciem jak najbardziej godnym pochwały.

—Cofam, co powiedziałem. — Wilson wykrzywił twarz w zimnym uśmiechu, wbijając widelczyk w tort, który postawił przed nim kelner. Śmietana ubieliła mu wąsy, upodabniając do buszującej w śniegu kuny.

—Tak czy inaczej — powiedział Kristenfeld po chwili — znam deklaracje, które składał Goering naszemu biednemu hrabiemu Revertera między jedną a drugą konkurencją. Zdaje się, że mają szczerzy zamiar najechać Austrię i zaanektować ją dla Niemiec.

—Przez zimę dadzą sobie spokój, a potem się okaże.

—Mussolini nie sprzeciwi się aneksji. Wasza Anglia też nie. — Kristenfeld włożył do ust wielki kęs i przełknął go z wysiłkiem.

Wilson wsypał do kawy trzy łyżeczki cukru.

—Mussolini jest już i tak związany z Niemcami, a także z Japonią paktem antykominternowskim. Dał już Hitlerowi jasno do zrozumienia, że nie będzie się sprzeciwiał „naturalnemu rozwojowi wypadków”, którym ma zapewne być nazistowska inwazja na Austrię.

—A Anglia? — Kristenfeld odsunął cukierniczkę. Pijał kawę bez cukru. — Anglia? Wysła lorda Halifaxa do Berlina, by zawrzeć z Niemcami porozumienie i ugodzić się z Hitlerem... w zamian zapewnia, że przymknie oczy na politykę zagraniczną nazistów, dzięki czemu Hitler będzie miał swobodę działania. Swobodę działania, powiadam! A to znaczy, że kochanemu Führerowi będzie wolno wszystko. Darling, napadnij sobie na Austrię, my nie kiwniemy palcem! Tę wiadomość podano nawet w „Evening Standard”, Napisano wprost, że to koniec Austrii. Ale tylko w pierwszym wydaniu. Potem, uważa pan, zakneblowaliście prasie usta. Wasi dziennikarze



nie bąknęli więcej ani słowa o ustaleniach angielskiego ministra spraw zagranicznych z Hitlerem. Czy nie tak?

— Tak się panu zdaje? — zapytał Wilson, kwaśny jak ocet. — A poza tym nie podoba mi się, że pan mówi o Anglii w tak napastliwy sposób. Zapomina pan, że wchodzi w skład naszych...

— Niechże pan będzie cicho — burknął Kristenfeld. — Nie wie pan jeszcze, że Austria jest pełna szpiegów? Nawet ściany mają uszy, jak to się mówi.

Wilson przyjrzał mu się uważnie z ironicznym uśmiechem w żółtawych oczach, po czym zamówił drugą filiżankę kawy.

—W Wiedniu hipotezy o inwazji nazistowskiej nie są brane zbyt serio — stwierdził.

—Zna pan przecież wiedeńczyków. — Kristenfeld zaczął się bawić łyżeczką — es kann Der nigch schen. Nie stanie nam się nic złego.

Wilson zmarszczył nos, jakby nagle poczuł bardzo nieprzyjemny zapach.

—Wiara i nadzieja...

—Właśnie. — Kristenfeld odłożył łyżeczkę na talerz. — Pan tym razem stawia? Ostrzegam pana, że wybrał pan sobie do siedzenia najdroższą Kondiioerei w Salzburgu.

Śnieg skrzypiał pod butami, kiedy szli wzdłuż rzeki, z rękami w kieszeniach i kapeluszami naciągniętymi na uszy. Ulice były ciche, a w czystym zimnym powietrzu unosił się słaby zapach palonego drewna, ulatujący z kominów. Między śnieżnobiałymi szczytami Mónhsberg i Kapuzinerberg widać było dwa krążące powoli sokoły — czarne punkty wysoko nad rzeką.

—Przypomina obraz Brueghla, prawda? — zauważył Kristenfeld.

Wilson kichnął.

—Przede wszystkim jest piekielnie zimno. Idźmy trochę szybciej, a po drodze opowie mi pan, jak wygląda sytuacja.

—Kluczowym elementem całej sytuacji jest mój człowiek.

—Ten psychoanalityk?

—No tak, jesteście tam, w Londynie, dobrze poinformowani, co?

—Powiedzmy, że tak, ale o tym porozmawiamy później. Proszę mnie wprowadzić w sprawę.

—Niech mi pan tylko nie mówi, że macie zamiar mi go spalić — warknął ze złością Kristenfeld. — Oświadczam, że nie mam nikogo innego do podstawienia na jego miejsce. Smolsky jest idealnym łącznikiem. Nie do zastąpienia.

—To znaczy?

—W takim razie proszę posłuchać, jak się sprawy mają. Rzeczywiście, pan jeszcze nie wie, jak doskonała jest moja siatka we Włoszech! — Z nabrzeża rzeki, której niebieskawo, podobny do płynnej rtęci nurt płynął obok nich, Kristenfeld zebrał garść śniegu i zaczął lepić kulę. Na rękach miał grube wełniane rękawice. — Fabryka broni Nicoli Martiniego — ciągnął — jest we Włoszech jednym z głównych punktów, w których kumulują się informacje na temat produkcji stali, broni, i o przeznaczeniu samej broni.

—Ciągle nie rozumiem, w jaki sposób te informacje wy dostają się...

—Z biura fabryki? — Kristenfeld wycelował w słup i trafił w niego idealnie śnieżką. — To proste. Sam przewodniczący rady nadzorczej przekazuje je Smolsky' mu.

—Prze... słucham?

—Tak, przewodniczący. Ten, który posiada największy pakiet akcji. Dziadek Nicoli Martiniego, stary wilk morski, który każe się nazywać kapitanem. — Kristenfeld zachichotał, widząc osłupiałą minę Wilsona. — Niezły numer, co? Nie będę pana zanudzał opowieścią jak udało mi się jakiś czas temu odnowić kontakt z tym człowiekiem i przekonać go, żeby dla nas pracował. Zresztą wie pan, Nelson jest jego idolem, a marynarka angielska bóstwem. Znam kapitana doskonale i wiem, że mogę mu ufać. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, spędziliśmy razem jakieś dziesięć lat na pewnym statku na Morzu Północnym. — Zebrał kolejną garść śniegu. — Ale to już inna historia — westchnął, marszcząc brwi.

—I ten... ten kapitan jest niby przekonany antyfaszystą?

—Tak. I nie robi z tego tajemnicy. Ale jest tak bogaty, że jego pogarda dla faszyzmu uchodzi za starcze dziwactwo.

—A jego wnuk? Nicola Martini?

—Jak pan wie, wielcy przemysłowcy są ściśle związani z panującym reżimem. Albo vice versa — uśmiechnął się Kristenfeld. Wycelował w latarnię; kula śmignęła jak z procy i rozbiła ją w drobny mak.

—Czy pan zwariował? — krzyknął Wilson. — Poroszę spojrzeć, co pan narobił. Idziemy stąd, byle szybko.

—Wie pan, że Marks włóczył się z przyjaciółmi po Londynie z brzuchem pełnym piwa i rozbijał kamieniami latarnie?

—Marks?!

—Jestem bardzo czytany człowiekiem — wyjaśnił Kristenfeld.

—Ale pan ma w brzuchu tylko tort z bitą śmietaną a nie piwo! — zżymał się Wilson. Oddalali się w pośpiechu, truchtając po uliczkach zasłanych śniegiem.

Kristenfeld zdjął rękawice, otrzepał ze śniegu i schował do kieszeni. Zapalił papierosa.

—Wracając do tematu, miałem więc wspaniałe źródło informacji w osobie kapitana. Ale stary jest sparaliżowany; codziennie odwożą go do biura, a potem do domu. A przede wszystkim chce mieć święty spokój. Potrzebny był więc ktoś, kto kontaktowałby się z nim, odbierał informacje i był w stanie je przekazać, czy to przez radio, czy to przynosząc dokumenty na mikrofilm. I na dodatek zrobić to tak, by nie narażać kapitana.

—Ryzyko jest nieuniknione — stwierdził sentencjonalnie Wilson.

—Co pan powie! — rzucił sarkastycznie Kristenfeld.

—Zdarza mi się czasem mówić rzeczy oczywiste — Wilson wyglądał na zirytowanego. — Jak pan wpadł na to, że pański psychoanalityk może być wyjściem z tej sytuacji?

—Potrzebny był mi ktoś, kto zostałby częstym bywalcem w domu, a nikt ze znajomych Martinich nie nadawał się do tego zadania. To zbyt bogaci ludzie, a jak wiadomo, im kto bogatszy, tym mniej godny zaufania.

—Pan też od czasu do czasu głosi piękne komunały. — Wilson rzucił Kristenfeldowi kwaśne spojrzenie.

—No więc byli to ludzie, na których nie mogłem polegać — ciągnął Kristenfeld, jakby nie usłyszał komentarza. — Musiałem szukać gdzie indziej. Dowiedziałem się od kapitana, że jego wnuk, Nicola Martini, jest entuzjastą psychoanalizy i przyjaźni się z Giorgiem Maranim; to znany mediolański psychiatra o niejasnych przekonaniach politycznych i w sumie kawał krętacza. Ale dowiedziałem się też, że ma w Wiedniu kolegę po fachu, profesora Jaroslava Smolsky'ego właśnie, człowieka, o którego licznych zaletach wiele słyszałem. Poznałem go więc, zapisałem się na terapię pod pretekstem uporczywej klaustrofobii i obserwowałem przez długie miesiące. Jak pan zresztą sam wie. W końcu udało mi się namówić go, żeby dla nas pracował. Urządziłem mu — Kristenfeld uśmiechnął się pod nosem — przyspieszony kurs szpiegowania, trwający jakieś dwadzieścia dni, i wysłałem go do Włoch. Za pośrednictwem Giorgia Maraniego, nieświadomego współnika, Smolsky poznał Nicolę Martiniego. Wiedząc, że Smolsky był uczniem Freuda, Martini, jak się spodziewaliśmy, bardzo zainteresował się jego osobą. Kapitan był już uprzedzony, spodziewał się Smolsky'ego, i hopla! Gotowe! Smolsky stał się ogniwem łączącym włoską fabrykę broni z angielskimi tajnymi służbami.

—A kamuflaż? Wyobrażam sobie, że Smolsky jeździ w tę i z powrotem między Mediolanem i Wiedniem.

—Rzeczywiście. Przykrywką dla jego częstych podróży jest jego praca konsultanta w sanatorium Giorgia Maraniego. Smolsky nigdy nie chciał przyjąć tej propozycji, ale kiedy zdecydował się pracować do nas, objął to stanowisko. Doskonale, prawda?

—Genialne. Gratulacje.

—To was zmusi do podniesienia mi pensji.

—Jest pan nienasycony, Kristenfeld! — westchnął Wilson. — A ja uważałem pana za idealistę!

—Widzi pan, ja uważam, że nie można służyć skutecznie żadnej ideologii bez paru groszy w kieszeni — odwarknął Kristenfeld.

Wilson podniósł kołnierz palta. Ziąb był coraz bardziej przenikliwy.

—Czyli Smolsky, bywając w domu przemysłowca, odbiera od starego wszystkie informacje. On je przekazuje?

—Nie. Woląłem skontaktować go z „pianistą” — odparł Kristenfeld, chuchając w rękę. — To dobry fachowiec, zainstalował nadajnik w robotniczej dzielnicy Mediolanu. Smolsky zgłasza się do niego z zaszyfrowanymi informacjami i razem wysyła je do Londynu.

—A mikrofilmy?

—Kapitan przekazuje dokumenty, Smolsky zgłasza się do drugiego naszego człowieka w Mediolanie i przenosi na mikrofilmy wszystkie informacje, których nie da się przesłać przez radio. Potem odnosi dokumenty kapitanowi.

—Sądzi pan, że Smolsky zacząłby mówić, gdyby nakryła go Ovrą? — Wilson przystanął i wpatrywał się teraz w Kristenfelda, skulony z zimna, z czerwonym nosem i załzawionymi oczyma. — Zacząłby mówić? — Kto to może wiedzieć? — westchnął Kristenfeld. — Myślę, że nie. To człowiek obdarzony wyjątkowym poczuciem własnej godności.

—Jeśli nie pójdziemy zaraz na pikantny gulasz, zamienię się w sople lodu. Poza tym jestem głodny. — Wilson ruszył pośpiesznie przed siebie. — Kristenfeld — dodał niechętnie — pan wie, że Ovrą odkryła już przeciek informacji? Nasz kontrwywiad jest tego zupełnie pewny.

—Tak od razu? — Kristenfeld zatrzymał się.

—Idziemy, idziemy, stopy mam jak z lodu. Więc owszem, tak od razu. Niech pan nie informuje Smolsky'ego. Nie chcę, żeby się wystraszył i przestał dla nas pracować.

Kristenfeld nie odpowiedział, szedł tylko dalej z pochyloną głową

—Słyszał pan, co mówię? — Wilson uśmiechnął się, szczerząc zęby jak rekin.

—Ależ tak — burknął Kristenfeld. — To oczywiste, że nic mu nie powiem.

—Proszę mu za to powiedzieć, żeby robił dłuższe transmisje. Nadają dwie, najwyżej trzy minuty, a potem on i jego „pianista” zamykają interes i do widzenia. Za krótko.

— O nie, niech pan posłucha! Tego nic może pan wymagać, nie można robić dłuższych transmisji. Natychmiast ich zidentyfikują, co pan sobie myśli? We Włoszech systemy przechwytywania nielegalnych transmisji są bardzo zaawansowane. O vra jest doskonale wyposażona, niech mi pan wierzy, a długie transmisje o wiele łatwiej wyłapać. A na dodatek w północnej części kraju tymi sprawami zajmuje się niejaki Corbini.

—Kto? Corbini?

—Tak, wiem o nim wystarczająco dużo. Zimny jak wąż, bezlitosny i niezwykle inteligentny. Poza tym zaprzysięgły faszysta. To wysoki funkcjonariusz O vry i zdobył już kilka punktów dla siebie. Zabił mi już dwóch ludzi, kilku aresztował. Staram się nie myśleć, w jakim mogą być teraz stanie.

—Tak czy inaczej, Smolsky musi przedłużyć transmisje. Nie mamy wiele czasu, Kristenfeld. Sytuacja rozwija się błyskawicznie i każda minuta jest droga. A poza tym, przy takiej ilości informacji, które Smolsky zdobywa, jeśli nie będzie nadawał dłużej...

—Niech no pan posłucha — Kristenfeld złapał Wilsona za ramię. — Dobrze wiem, że prędzej czy później O vra go dopadnie. Zidentyfikują kapitana, to prawie pewne, a tym samym i Smolsky’ego. Albo odwrotnie. Prędzej czy później. Ale lepiej później niż prędzej, jasne?

—Chcę mieć dłuższe transmisje. — Wilson uwolnił się z uchwytu. Już jakiś czas temu zawrócili w kierunku centrum i na ulicach było coraz więcej ludzi. Wilson wskazał coś po prawej stronie:

—Tam, na końcu ulicy, jest naprawdę dobra restauracja. Kuchnia węgierska, co pan na to?

—Niech już panu będzie ten gulasz — burknął Kristenfeld. Przeszli na drugą stronę ulicy, minęli szybkim krokiem kilka bram, ale na progu restauracji Kristenfeld jeszcze raz przytrzymał Wilsona.

—Smolsky pojechał wczoraj do Livorno. Miał tam mieć coś w rodzaju minikonsylium z kilkoma lekarzami, pracującymi w zakładzie dla umysłowo chorych. Skontaktował się też z „pianistą”, który działa w Toskanii. Dzięki temu dostaniecie transmisję trwającą kwadrans, może nawet dłużej, w której Smolsky przekaże wam cały pakiet najświeższych

informacji. Smolsky to dzielny człowiek, nie chcę go stracić.

—Wejdźmy. — Wilson ruszył pierwszy, otwierając drzwi restauracji. Powitało ich upragnione ciepło, zapach dobrego jedzenia, gwar ludzkich głosów i dźwięki cytry, na której grał ktoś w głębi sali. Zdjęli palta i kapelusze, po czym usiedli przy stoliku. Zamówili posiłek, i dopiero kiedy stanęły przed nimi kufle z piwem, wrócili do przerwanej rozmowy

—W Livorno też się bardzo pilnują— zaczął Kristenfeld. — W mieście jest sporo Anglików i Ovra ma ich pod kontrolą.

—No właśnie, na przykład Leghorn — odparł Wilson ze smutkiem.

—Smolsky ma się jeszcze dziś spotkać z tokańskim „pianistą”. Przekáže mu swoje informacje, już w postaci szyfru, a tamten przetransmituje je z pewnej wioski koło Sieny, gdzie kontrwywiad praktycznie jeszcze nie dotarł. Jak pan widzi, Smolsky sam doskonale zrozumiał, że transmisje są za krótkie. Robi, co może, a ja nie chcę go spalić. Nie chcę, nie tak szybko, rozumie pan?

Kelner postawił przed nimi talerze wypełnione po brzegi ciemnym parującym gulaszem. Ledwie się oddalił, Wilson nadział na widelec duży kawałek mięsa.

—Co mam panu powiedzieć, Kristenfeld? Ja też wiem, że taki człowiek jak Smolsky jest naprawdę cenny. Ale jest też oczywiste, że Ovra nie spuszcza z oka fabryk uzbrojenia, by zapobiec przeciekowi informacji za granicę. Nie będę przed panem krył, że w tej sytuacji Smolsky spaceruje po ostrzu brzytwy nad przepaścią — i wrzucił sobie kąsek do ust.

Wysokie zielonoszmaragdowe fale niedaleko od brzegu zaczynały zamieniać się w grzebie nie kipiącej piany. Goniąc jedna drugą zbliżały się, coraz bardziej hałaśliwe, i z głuchym hukiem uderzały w plażę. Z impetem splatały się ze sobą i wbiegały na brzeg, coraz dalej i dalej, rozlewając się płasko, by w końcu zniknąć, zostawiając na ciemnym zbitym piasku ławice małych banieczek. Natychmiast nadbiegały kolejne fale, rzucały się na plażę — a po nich następne. Grzmot bałwanów uderzających o piach nadawał rytm niemilkącemu poszumowi morza, smaganego wiatrem pod bezchmurnym niebem. Zimne powietrze, ostro pachnące solą przesycone było wilgocią miniaturowych kropelek morskiej wody. Daleko, na horyzoncie morze upstrzone było tu i ówdzie plamami indygo i granatu. Przez szum fal przebijały niesione podmuchami ochryple wrzaski mew. Ptaki latały wysoko, nad sosnowym lasem gnącym się od wiatru. Co jakiś czas, zwijając nagle swoje archanielskie skrzydła, rzucały się głowami naprzód w morze i znikwały między falami.

Eleonora i Smolsky, małe plamki koloru, spacerowali po wielkim żółtawym półksiężycu pustej plaży, rozciągającej się między Bolgheri i Donoratico, obramowanej nieprzerwanym pa-

sem sosnowego lasu. Wiatr rozwiewał im włosy i szarpał ubrania. Szli z pochylonymi głowami blisko siebie, z rękami u kieszeniach, od czasu do czasu odwracając się,

by uniknąć podnoszących się tumanów piasku.

—Tutaj?

—Tak, tutaj. Właśnie tutaj przychodziłam pływać. Prznosiliśmy parasole, kosze ze śniadaniem i napojami, i zostawialiśmy aż do zachodu słońca, Jacopo pływa! świetnie od dziecka, a ja... — Eleonora roześmiała się. — Ja się zawsze bardzo bałam.

Musieli mówić głośno, by przekrzyczeć szum morza i wiatru. Co chwila spoglądali na siebie, uśmiechając się i odgarniając włosy z oczu. Szli powoli, przy granicy mokrego piasku. Fale rozpryskiwały się tużobok nich.

— Bała się pani morza? — zapytał Smolsky. Wskazał horyzont: — Ale proszę spojrzeć, proszę tylko popatrzeć, jaki wspaniały spektakl podarował nam świat. Jak można się tego bać?

Co jakiś czas zatrzymywali się, ręka w rękę, zwróceniu twarzami do morza, i długo, w milczeniu, przepełnieni tymi samymi uczuciami przyglądali się nieskończonej przestrzeni, migoczącej w słońcu szmaragdem i błękitem. Potem ruszali dalej. Eleonora opowiadała o sobie. Postaci z jej dzieciństwa powoli przestawały być Smolsky'emu obce; wydawało mu się, że zanurza się w jej życie niczym w dziewiczy baśniowy las, a ona prowadziła go coraz dalej i głębiej, z uśmiechem szczęścia na twarzy. Ale nie mówiła mu o Nicoli ani o swoim małżeństwie.

—A babcia? Ona też pływała?

—Skądże. Ale prawie zawsze przychodziła z nami na plażę. Kazała sobie przynosić szelong i siadała pod parasolem, w wielkim słomkowym kapeluszu na głowie. Czytała, a od czasu do czasu, kiedy się za bardzo oddalaliśmy, machała jak szalona białym fularem. Ciągle się bała, że się potopimy.

—I co dalej?

—Przynosiliśmy jej różne dziecinne skarby: muszelki, wyschnięte rozgwiazdy, małe meduzy złapane do wiaderka z wodą. Wszyscy troje pochylaliśmy się, by obserwować ruchy tych delikatnych ciał. Jacopo twierdził, że meduzy szlochają, zanim rozpuszczą się w słońcu. Nie zwracał uwagi na zakazy babci, tylko wylewał wodę z wiaderka i patrzył, jak meduza wsiąka w piasek. To było okrutne, babcia bardzo się na niego złościła. Nocny sztorm wyrzucił na piasek najróżniejsze szczątki — ostro pachnące algi wydarte z głębin czepiały się dziwnokształtnych kawałków drewna. Gdzieś leżały puste skorupki krabów i jeżowców. Eleonora schyliła się, podniosła muszlę i podała ją Smolsky'emu.

—Proszę spojrzeć. — Smolsky przyjrzał się z podziwem delikatnej różowej muszelce i schował ją do kieszeni.



—A pani rodzice?

—Rodzicie? — Smolsky zaczął domyślać się wielu spraw, obserwując jej twarz, z której nagle znikła cała radość.

— Oni z nami nie przychodzili.

—Nawet ojciec?

—Pan go poznał, prawda?

—Przelotnie — odparł Smolsky. Zatrzymał się i odwrócił od wiatru, by zapalić papierosa. Wstążka dymu uciekła w powietrze, rozpraszając się natychmiast. — To Giorgio Marani się nim zajmuje. Ale coś tam jednak wiem. Chce pani o nim porozmawiać?

—Nie — powiedziała Eleonora. Silniejszy podmuch wiatru znów zmusił ich, by się odwrócili. Eleonora obiema rękami przytrzymywała włosy. Nie miała obrączki. Nagie dziewczęce dłonie najasných potarganych włosach. Przystanęła tak na chwilę, z dłońmi na głowie, wpatrując się w dal z surową miną, jakby nadzorowała nieskończony ruch fal, śmi— gające po niebie mewy i miotane wiatrem krzaki żarnowca na skraju lasu.

Nagle — w nieoczekiwanej ciszy, jakby wiatr rozdzielił się i ich ominął — Eleonora odwróciła głowę i spojrzała na Smolsky'ego.

Wspominając później ten moment, Smolsky przyznawał, że nigdy w życiu żadne spojrzenie nie wywarło na nim tak piorunującego wrażenia. Przeszyło jego ciało jak srebrny skalpel. Przyszpiliło jak motyla. Rozpruło, wydobywając na światło mroki jego duszy, w której czały się, wciąż jeszcze trzymane na uwięzi, żądza i pragnienie tej kobiety.

Smolsky zdał sobie sprawę, że Eleonora kocha go tak samo, jak on kocha ją. Przedtem miał tylko nadzieję, że odwzajemnia jego miłość. Może nawet wyczuwał to intuicyjnie. Ale teraz był pewien. Ogarnęła go fala uczucia tak potężna, że z trudem ją udźwignął.

—Eleonoro... — ledwie poruszył ustami. Serce biło mu jak po długim biegu. Słaby głos, który z siebie wydobył, porwał natychmiast podmuch wiatru. Ale ona odgadła swoje imię z ruchu jego warg. Zrozumiała, że on zrozumiał. Jej spojrzenie stało się poważne, jak spojrzenie kogoś, kto stoi oko w oko z przeznaczeniem.

Dwa kroki dzieliły go od Eleonory. Smolsky zrobił je po piasku smaganym wiatrem, nad morzem, które przewalało się i burzyło w świetle wietrznego słonego dnia.

—Niech pani nie będzie taka smutna — powiedział cicho. — Niech pani nie będzie smutna. — Stali teraz bardzo blisko siebie i Eleonora wyraźnie słyszała jego słowa.

—Jak mogę nie być? — odparła. Oderwała wzrok od twarzy Smolsky'ego i spojrzała na morze.

—Kocham panią. Eleonoro. Bardzo. Do szaleństwa.

Przed jej oczami fale ciągnęły się aż po horyzont. Po linii, która oddzielała morze od spokojnego błękitu nieba, sunął powoli maleńki statek.

— Słyszała mnie pani?

Eleonora przytaknęła, wciąż wpatrując się w horyzont, jakby spodziewała się, że łada cłw iła stateczek zostanie połknięty przez fale i zniknie w ciemnej, cichej otchłani, z której nie ma powrotu. W końcu odwróciła się i ruszyła przed siebie — samotna postać chłostana wiatrem, który z wściekłością miotał w powietrzu jej włosami. Obejmowała się ramionami, by podmuchy nie zdarły z niej zakietu. Spódnica oblepiała jej nogi. Szła lekko pochylona. Smolsky'emu, który śledził ją spojrzeniem, wydała się nagie krucha i zupełnie bezbronna. Zrobiło mu się żal tej młodej istoty, tak słodkiej i wrażliwej, zmuszonej do stawienia czoła sytuacji, która kłóciła się z jej naturą, skazanej na małżeństwo z rozsądku i na życie w świecie, który pędził ku katastrofie. A teraz, jego miłość, uczucie, którego nie zamierzał się wyrzec, groziło jej całkowitą zagładą.

Zobaczył, że potknęła się na piasku, przystanąła i rozejrzała. Smolsky dogonił ją, a kiedy się do niej zbliżał, schyliła się. Podniosła coś z ziemi. Wyprostowała się. Spojrzała na Smolsky'ego i uśmiechnęła się niespodziewanie.

Ten szczery niewinny uśmiech wymazał mroczny, pełny napięcia moment, w którym miłość i strach ukazały swoje niepokojące otchłanie. Mogli jeszcze być szczęśliwi. Może tylko przez chwilę. Ale szczęście było w zasięgu ręki.

Smolsky pomyślał o „pianiście” z którym miał się spotkać za kilka godzin w Livorno, o zaszyfrowanych dokumentach w kieszeni, które miał mu przekazać. Pomyślał o kapitanie, który od ponad miesiąca przekazywał mu informacje. Obaj zostaliby rozstrzelani natychmiast, bez procesu, gdyby tylko Oвра ich nakryła. Pomyślał o nazizmie. O faszyzmie. Przypomniał sobie, jak wyglądało jego życie, od kiedy postanowił przyjąć propozycję Kristenfelda. Wszystko to przemknęło mu przez myśl jak błyskawica. Zdradliwa mgła. siejąca przerażenie, ogarniała swymi tumanami Europę i była coraz bliżej.

Ale przecież na świecie jest jeszcze uśmiech Eleonory. Jej promienna twarz, bezbronna i łagodna. Nie, pomyślał Smolsky, nie zostało nam wiele czasu. Ale ten uśmiech, tu i teraz, był żywym podarunkiem terażniejszości.

—Proszę spojrzeć... — powiedziała Eleonora, wyciągając rękę.

—Co to?

—Gałązka koralowca. Kto wie, skąd przybyła. To dla pana.

—Mam już muszlę — roześmiał się Smolsky.

—W takim razie ja ją sobie zatrzymam. — Jakby zależało jej. Żeby oboje zachowali jakąś namacalną pamiątkę tego spotkania nad morzem. On muszlę, ona koral. To dziecinada, pomyślał Smolsky. zupełne głupstwo. Ale powaga, z jaką Eleonora schowała do kieszeni gałązkę surowego koralowca, rozczuliła go.

—Ależ oczywiście, profesor z Wiednia! Oczywiście, że doktor Sandretti mówił o panu. — Wysoki i tęgi mężczyzna podał Smolsky'emu rękę. drugą klepiąc go po plecach. — Ja jestem Scotti, właściciel. — Potrząsając energicznie jego prawicą nachylił mu się do ucha i szepnął: — Niech pan posłucha, ja panu i tak podam rękę, ale zna pan najnowszy kawał? Mogę opowiedzieć, prawda? Żona usłyszała go w zeszłym tygodniu, w domu partii. Podobno ręce podają sobie już tylko pedały, rozumie pan? Uścisk ręki nie jest odpowiedni dla narodu wojowników... ha! Od dziś we Włoszech nie wolno nikomu podawać ręki. Coraz lepiej, he? Coraz lepiej! Ale proszę, proszę — dodał, kłaniając się Eleonorze. — Proszę, mam dla was dobry stolik. — Przyglądził wąsiska i prostując się, wypiął wielki brzuch, wylewający się znad paska czarnych spodni. Majestatycznie ruszył przodem. Było już dosyć późno, więc w sali z niskim sklepionym sufitem siedziały tylko trzy osoby, choć podobno — tak twierdzili znawcy — można było tu zjeść jak nigdzie indziej w Livorno. Restauracja schowana była na samym końcu zaułka w pobliżu portu i była jednym z dwóch najstarszych lokali w mieście.

—Tu będzie dobrze? — zapytał właściciel, odsuwając krzesło dla Eleonory.

Z pobielanych wapnem ścian zwisała płatanina sieci, warkocze czosnku i papryki. Posadzka z terakoty i obrusy z surowego lnu podkreślały atmosferę zeszłego wieku.

—Pańska żona preferuje białe, mocno wytrawne wino, jak sądzę. Winko z tych stron.

Żona — pomyślała Eleonora. Uśmiechnęła się.

—Tak, białe wino. A czy nie miałby pan na początek czegoś na szybko, na przykład grzanek ze śledzioną?

—Młoda i głodna! — roześmiał się grubas, idąc na zaplecze. — Skoro tak, to sam się tym zajmę! Szkoda, że to nie sezon, bo robimy tu dania z młodych węgorzy.

—Z młodych węgorzy? — zdziwił się Smolsky. Nie skomentował tej „żony”, przez którą Eleonora tak się zaczerwieniła.

—Z takich świeżo wyklutych — wyjaśniła. — Są naprawdę maleńkie, i prawie białe. Opuszczają morze w lutym i zaczynają „wspinaczkę”, to znaczy wpływają do rzek, w których się je łowi. Jada się je smażone z czosnkiem i odrobiną szałwii.

Właściciel przyniósł wino i grzanki, po czym pozegłował znów w stronę kuchni, którą widać było przez otwarte drzwi.

— Grzanki ze śledziona? — upewnił się jeszcze raz Smolsky.

—Przepadam za nimi. Spróbuj. Ze śledziony jagnięcej i z sardeli robi się coś w rodzaju pule. To jedna z tak zwanych „przegryzek”. Tu, w Toskanii tak się mówi na zakąski. Smakują ci? Mówili sobie na „ty” od kiedy przyjechali do Livorno — podjęli wspólnie tę decyzję, kiedy tylko wysiedli z samochodu.

—Czy mogę? — zapytał Smolsky.

—A ja? — uśmiechnęła się Eleonora. — Ja też mogę mówić panu poimieniu? — Wsunęła nieśmiało rękę pod jego ramię. Szybkim krokiem przyszli aż tutaj, klucząc zaułkami pełnymi kotów i silnego zapachu morza.

—Kto to jest Sandretti?— Eleonora podniosła kieliszek do ust. — Twój przyjaciel?

—Nie, kolega po fachu. To jeden z lekarzy, z którymi miałem wczoraj spotkanie. To on mi powiedział, że w Livorno właśnie tu można zjeść najlepiej.

—Słyszałam o tej restauracji — rozejrzała się. Odstawiła kieliszek, leciwie umoczywszy usta. — Wiem, że to jedna z najlepszych. — Zdjęła żakiet; różowy kolor golfu z angory zmięczał barwę jej oczu i włosów. Ciepło panujące w restauracji po spacerze na zimnym wietrze zabarwiło jej policzki. Była odprężona, zniknęły niepokój i napięcie. Długie spojrzenie Smolsky'ego zawstydziło ją.

—Patrzysz na mnie? Pewnie jestem strasznie rozczochrana. Poczekaj, pójdę doprowadzić się do porządku. Podniosła się, wzięła torebkę i pobiegła do kuchni. Smolsky usłyszał, że zamieniła z kimś parę słów; kiedy jej głos ucichł, pozostałe osoby zaczęły trajkotać toskańską gwarą tak szybko, że przestał cokolwiek rozumieć. Dopiero teraz wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki grubą kopertę, udając, że mu przeszkadza. Odłożył ją na stojące obok puste krzesło. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku opychał się zupą rybną: od czasu do czasu odrywał oczy od opartej o butelkę gazety, by powyberać ości z talerza. Był to człowiek około czterdziestki, chudy jak szczapa, o pociągłej, drapieżnej twarzy. Ubrany był w kurtkę myśliwską, a u jego stóp leżał nieruchomo, z pyskiem na łapach, piękny rudy seter. Nagle mężczyzna odwrócił na moment oczy od gazety; spojrzał najpierw na kopertę, potem na Smolsky'ego. Spojrzenie trwało ułamek sekundy. Smolsky dostrzegł na jego twarzy cień uśmiechu. Oprócz nich w sali była tylko starszawa para przy stoliku koło drzwi, ale nie przerwała nawet wesołej rozmowy.

—No, teraz rzeczywiście jesteś śliczna... — szepnął Smolsky, kiedy Eleonora wróciła do stolika. Przyniósł jej krzesło i siadając z powrotem, położył dłoń na jej dłoni. Uczesła się starannie i przypudrowała nos. Na ustach nie miała ani śladu szminki. — Przedtem wręcz wstyd się było z tobą pokazać — zażartował, ściskając jej rękę. Spowaźniał.

—Naprawdę? — Eleonora zaczerwieniła się.

—Naprawdę — powiedział Smolsky z takim żarem w głosie, że Eleonora poczuła się zupełnie wytracona z równowagi. Uścisk i ciepło jego dłoni sprawiły, że serce zabiło jej szybciej, że brakło jej tchu. Zabrała rękę i oparła na niej podbródek, opierając łokieć na stole. Smolsky widział na jej twarzy wszystkie targające nią emocje.

—O Boże, już nie jestem głodna — przyznała półgłosem. — Jestem tak bardzo... — dodała z rezygnacją, jak ktoś, kto po długich wahaniach decyduje wreszcie rzucić się z wysokiej skały prosto w morze — tak bardzo... — powtórzyła po chwili prawie bezgłośnie, ledwie poruszając wargami, i zamilkła, jakby nie mogła znaleźć właściwego słowa. Ale Smolsky wyczuł w niej dreszcz emocji, gwałtowny i radosny, który przywiódł mu na myśl orła od zawsze trzymanego w niewoli, którego klatka otworzyła się nagle, który wyrывa się zza krat i wzbija się wolny, coraz pewniejszy siebie, pod niezmierzone niebo.

—Rozumiesz, co próbuję powiedzieć? Co czuję? — szepnęła Eleonora. Oczy jej błyszczały.

Smolsky skinął głową. Oczywiście, że rozumiał. Zaprzagnął nagle pochylić się do niej, wziąć jej twarz w dłonie i pocałować.

Ledwie spróbowali dań, które po kolei lądowały na ich stole. Co chwila spoglądali sobie w oczy, myślami błędząc już daleko stąd, widząc w swoich twarzach odbicie uczuć — takich samych, a przecież tak różnych dla obojga — i to właśnie ta subtelna różnica sprawiała, że napięcie seksulne, które narastało między nimi, było do wytrzymania. Z trudem opanowali gorączkowy pośpiech, który nagle ich ogarnął. Oboje zdawali sobie prawie z intensywności pożądania i uczucia, które przesłaniało im rzezywistość. Niepokój oczekiwania sprawiał, że oboje milczeli, drżąc niecierpliwości. Nie wyglądałoby dobrze, gdyby wyszli tak nagle, i ta konieczność zachowania pozorów zamieniała każdą sekundę w nieznośną tonurę.

A jednocześnie to oczekiwanie dawało im przedsmak wszystkiego, co ich czeka, kiedy otworzą nareszcie te zakłete drzwi. Od czasu do czasu dotykali się dłońmi pod stołem i splatali mocno palce, doświadczając dręczącej rozkoszy. Małymi łyżkami wypili gorącą kawę z dodatkiem alkoholu, którego Smolsky nie zdołał zidentyfikować. Miała smak ognia. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku, wciąż pogrążony w lekturze, skończył palić cygaro. Wstał, kładąc gazetę na krześle i przykrywając w ten sposób kopertę, którą zostawił Smolsky. Mężczyzna wyszedł na zaplecze.

Kiedy wrócił, zdjął pelerynę z wieszaka, zawołał psa, wziął gazetę i ruszył do wyjścia. Na krześle nie było już koperty. Smolsky odprowadził myśliwego spojrzeniem, wiedząc, że jego zaszyfrowane dokumenty zostaną niedługo przetransmitowane do Londynu.

Mężczyzna zarzucił na ramiona pelerynę i otworzył drzwi, wypuszczając psa. Zniknął.

—Może coś mocniejszego? — właściciel oparł się o stół, spoglądając na Smolsky'ego i Eleonorę. — Wszystko w porządku? Prawie nic nie zjedliście — dorzucił, ale śmiał się pod wąsem, zakładając ręce na brzuszysku i zerkając porozumiewawczo, jakby chciał dać do zrozumienia, że mają w nim przyjaznego współnika. — Pańska młoda żonka jest bardzo piękna! — zagruchał wymownie i odrobinę dwuznacznie.

—Tak. bardzo — uśmiechnął się Smolsky. Zapłacił. Eleonora wstała już od stolika, pomógł jej więc założyć żakiet. Ruszyli do wyjścia w takim pośpiechu, jakby w restauracji miał wybuchnąć pożar. Grubas otworzył przed nimi drzwi.

—Powodzenia! — rzucił takim tonem, jakby chciał powiedzieć: dzieci, ależ wam zazdroszczę! Już ja wiem, dokąd wam się tak śpieszy.

Ledwie wyszli, zaatakował ich lodowaty wiatr. Smolsky objął Eleonorę. Z pochylonymi głowami, prawie biegnąc, wyszli z zaułka, ale tuż za rogiem odwrócili się jednocześnie i przystanęli naprzeciw siebie. Smolsky pochylił głowę. Zawahał się jeszcze przez moment, wpatrując się w twarz Eleonory; pocałowali się, czy raczej wpili w swoje usta w gwałtownym pocałunku, który przerywali na krótkie chwile, by spojrzeć sobie w oczy.

Smolsky oparł się o mur, a ona, w jego ramionach, przytulona do jego piersi, obejmowała go za szyję. Całowali się długo, bez pamięci, jakby nie mieli już nigdy przestać, a jednocześnie przez cały czas ponaglało ich dręczące nieodparte pragnienie, by podążać coraz dalej ścieżką zmysłowych doznań. Oprócz tego nie liczyło się już nic.

—Idziemy... — powiedział w końcu Smolsky, odrywając się od Eleonory. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą, idąc wielkimi krokami. W pośpiechu wrócili do samochodu. Ledwie wsiedli, znowu zaczęli się całować. Eleonora położyła dłonie na jego skroniach i poczuła pod palcami miękkie włosy. Smolsky, nie przerywając pocałunku, odnalazł pod żakietem jej piersi. Żadne z nich, rozpamiętując później te chwile, nie było w stanie odtworzyć dokładnie, jak dotarli do pokoju hotelowego. Jakby znaleźli się tam za sprawą jakiegoś zaklęcia. Wszystko, co było przedtem — szaleńczy przejazd przez Livorno, wejście do hotelu, portier, schody i korytarz — wszystko to było jakby nieostre, jak szereg bezsensownych zdjęć, aż do tych drzwi na pierwszym piętrze, które Smolsky otworzył, natychmiast wpychając Eleonorę do pokoju, jakby się bał, że rozplynie się nagle jak mgła.

Popołudniowe światło tego listopadowego dnia gasło powoli; półmrok zacierał kontury przedmiotów w pokoju. Smolsky zamknął drzwi na klucz i natychmiast odwrócił się do Eleonory.

—Posłuchaj — mruknął — ja... ja... — były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział, od kiedy wyszli z restauracji. Chwycił ją za ramię, a drugą ręką zaczął dotykać jej twarzy drobnymi szybkimi ruchami, powtarzając pośpiesznie ochrypłym głosem:



—Kocham cię. Wiesz o tym, prawda? — Pocałował ją. Ubrania, jedno po drugim porzucone na podłodze, znaczyły ich drogę przez pokój, od drzwi do łóżka, na które osunęli się w końcu, spleceni w uścisku.

—Eleonoro... — szepnął. Obiema dłońmi przebiegł powoli po jej nagim ciele. — Eleonoro.

—Tak. — Eleonora wyciągnęła do niego ramiona.

Nie powiedzieli już nic.

W pokoju było ciemno, ale na ścianie na wprost łóżka chwiały się cienie gałęzi, rysowane przez światło latarni, które przesączało się z ulicy przez uchylone okiennice. Wiatr ucichł, pozostawiając po sobie słabe podmuchy; od czasu do czasu słychać było tylko szelest krzewów przed hotelem i głęboki, powolny oddech niedalekiego morza — stłumiony, nieustanny poszum.

Eleonora i Jaro, przytuleni, obserwowali grę cieni na ścianie i rozkoszowali się tą spokojną niewysłowioną bliskością która następuje po namiętnych uniesieniach. Byli szczęśliwi.

—Wiesz — głos Smolsky'ego brzmiał pieśczośliwie — zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Już w gabinecie Maraniego, kiedy weszłaś po żakiet.

Znów zapanowała cisza.

Eleonora ułożyła wygodniej głowę na jego ramieniu i pomyślała o ich spotkaniu w pociągu. Nie powiedziała nic, pamiętając, co mu przyrzekła, nie miała ochoty go wypytywać. Ale dopiero teraz, wspominając, jak skwapliwie zgodziła się wymazać z pamięci tę księżą sutannę — dopiero teraz zrozumiała, że musiała kochać go już wtedy, tamtego popołudnia w Mediolanie, w ogrodach. Kochała go — to było oczywiste. I nie obchodziło jej nic innego.

— To było jak grom z jasnego nieba, pomyśl tylko — ciągnął Smolsky.— Tak się mówi, prawda? Grom z jasnego nieba. Miłość od pierwszego wejrzenia. Jednak istnieje naprawdę. Nie jest wymysłem szaleńca czy poety. Aleja nie chciałem się do tego przyznać, wiesz? Nie chciałem uwierzyć, że to przydarzyło się i mnie. Wydawało mi się absurdem, że się zakochałem.

—Kocham cię — szepnęła Eleonora i musnęła wargami dłoń Jaro, opartą na jej ramieniu. — Tak bardzo cię kocham.

Cienie na ścianie chwiały się, raz wolno, raz szybko, a chwilami zatrzymywały się zupełnie.

—Posłuchaj — zaczął znów Smolsky — wiem, dlaczego przyjechałaś do Bolgheri, do babki. Powiedzieli mi, że nie czułaś się dobrze i że wyjechałaś, że nie będzie cię w Mediolanie przez



jakiś czas. Domyśliłem się, że postąpiłaś jak ktoś, kto zmienia otoczenie, żeby mu szybciej przeszła... bo ja wiem... odra? — Z uśmiechem jeszcze mocniej przytulił Eleonorę. — Prawda?

—Na nic się to nie zdało — szepnęła. — Wręcz odwrotnie, im więcej czasu mijało, tym bardziej za tobą tęskniłam.

Smolsky miał ochotę zapytać ją o Nicolę Martiniego. Był pewien, że nie kochała go ani przedtem, ani teraz, i pragnął usłyszeć to z jej ust. Ale zanim zdecydował się zadać pytanie, zastanowił się jeszcze raz. W końcu ugryzł się w język i dał sobie spokój. Nie chciał rozmawiać o jej mężu teraz, kiedy leżała w jego ramionach, cicha i pogrążona we własnych myślach. Czują i najdroższa na świecie.

—Eleonoro?

—Tak? — szepnęła.

—Nic... — pogłaskał ją po ramionach, po potarganych włosach.

Przytuliła twarz do jego piersi, boleśnie szczęśliwa. Wiedziała już, że będą ją dręczyć okrutne wyrzuty sumienia i poczucie winy — to było nieuniknione dla kogoś, kogo uczono, że nie wolno nigdy zbaczać z raz obranej drogi. A ona wybrała małżeństwo z Nicolą Martinim. Ale czy miała wybór? Czy to rzeczywiście ona wybrała tę drogę? Dopiero teraz zaczęła w to wątpić. I w tej chwili, po raz pierwszy w życiu poczuła, że nienawidzi swojej matki. Nienawidzi za to, że wtłoczyła ją w sztywne ramy tego narzuconego małżeństwa i że zaszczepiła w niej poczucie winy, które nie dopuszczało zdrady, a już szczególnie zdrady popełnionej przez młodą, świeżo poślubioną i uwielbianą przez męża żonę. Westchnęła.

—A jednak to nie jest przecież zwykła zdrada — powiedziała cicho, udręczonym głosem.

Smolsky pogłaskał ją po włosach, nic nie mówiąc.

—Ale mogłam się przecież zbuntować — ciągnęła. Smolsky zrozumiał, że mówi o swoim małżeństwie. — Przecież mnie nie bili ani nie torturowali, żeby wymusić na mnie zgodę. Mogłam się sprzeciwić i mogłam posłać do diabła moją matkę i...

Jaro objął ją i przytulił mocniej do piersi.

—Ależ nie, Eleonoro, nie ma potrzeby się usprawiedliwiać.

—Zapal światło, proszę... muszę na ciebie spojrzeć... — powiedziała płaczkliwie.

Ciepłe światło nocnej lampki zabłysło małym różowawym kręgiem. Smolsky i Eleonora ujrzeli na swoich twarzach cienie pozostawione przez namiętność — kochali się długo i z pasją. Kiedy tak wpatrywali się w siebie, wciąż nie mogli wyjść ze zdumienia, że naprawdę są tutaj, w tym pokoju hotelowym, tylko we dwoje, blisko siebie, nadzy i zakochani.

Tym razem kochali się, patrząc sobie w oczy.

Kiedy Smolsky skręcił z wiejskiej drogi w cyprysową aleję prowadzącą do Bolgheri, Eleonora poprosiła go, by się zatrzymał.

—Chodź — powiedziała cicho. — Zanim się rozstaniemy, chcę się jeszcze przejść.

Było bardzo zimno. Nocne niebo przetykane było blaskiem dalekich gwiazd. Na jego tle rysowały się cyprysy, czarniejsze niż atrament, wysokie i proste, chwiejące się lekko na wietrze. Wszystko pogrążone było w mroku i głębokiej ciszy. Przez krótką chwilę słychać było dalekie ujadanie psa. Droga przed nimi wiodła w ciemność między szpalerem drzew. Przez kilka minut szli w milczeniu. W końcu Eleonora zatrzymała się obok przydrożnej kapliczki, rysującej się niewyraźnie w mroku.

—Jaro... — powiedziała cicho.

—Tak?

— Zobaczymy się jeszcze?

Smolsky objął ją. Trzymał ją mocno, przyciskając do piersi, otaczając ramionami, jakby chciał ją ochronić. Eleonora usłyszała jego westchnienie.

—Słyszałeś, o co pytałam? — powiedziała cicho.

—Oczywiście, że się zobaczymy — odparł Smolsky. — Oczywiście...

—Z jego głosu Eleonora wyczytała, że cierpi tak samo jak ona. Za chwilę się rozstaną. Uniosła głowę i utkwiała oczy w jego twarzy, ledwie widocznej w ciemności.

—Ale ty... — zaczęła półgłosem.

—Co ja?

—Czy ty masz kogoś w Wiedniu?— zapytała i zawstydziała się natychmiast własnego pytania. Oparła czoło o jego ramię, o szorstki materiał płaszcza,

Smolsky chwycił w dłonie jej twarz i uniósł do góry.

—Ależ skąd — powiedział. — Nie mam nikogo. — Kiedy pochylał się, by ją pocałować, usłyszał w duchu słowa Niny, kiedy oświadczył jej ponad miesiąc temu, że nie pojedzie z nią do domu w Kitzbuhel.

Odnalazł rozchylone wargi Eleonory i nie myślał już o niczym.

Ruszyli dalej; Eleonora trzymała się kurczowo jego ramienia.

—Kiedy? — zapytała po chwili. — Kiedy znów się zobaczymy?

—Przed Bożym Narodzeniem, w Mediolanie.

—Wyjeżdżasz?

—Jutro. Wracam do Wiednia.

—I aż do Bożego Narodzenia...

—Będę w Mediolanie koło dwudziestego. Przed świętami.

—O Boże. — Eleonora była przerażona. — Nie zobaczę cię aż do dwudziestego grudnia? To jak wieczność. — Zatrzymała się i objęła go. — Wieczność — powtórzyła z zamkniętymi oczami. Pocałowali się jeszcze raz. Eleonora głaskała twarz Jaro, policzki szorstkie od zarostu. Chwytała garściami jego kręcone włosy, jakby chciała go uwięzić i już nigdy nie wypuścić. W końcu powiedziała jednak:

—Muszę wracać... — Odwróciła się szybko i ruszyła do samochodu.

Chwilę później byli już na podjeździe, przed drzwiami willi. Nie zamienili już ani słowa. Eleonora siedziała skulona w kącie, a jej milczenie wyrażało cierpienie o wiele dobitniej, niż gdyby płakała przez całą drogę. Ledwie Smolsky zatrzymał samochód, wysiadła. Lampa przy drzwiach wejściowych była zapalona. Przez kontrast ze stożkowatym snopem światła ciemność wokół wydawała się wręcz smolista. Smolsky podszedł do dziewczyny.

—Posłuchaj...

—Jak ja to wytrzymam? — jęknęła Eleonora.

—Wytrzymasz — odparł Smolsky.

Eleonora westchnęła. Wiedziała, że w taki czy inny sposób zdoła przeżyć bez niego. Ale to „wytrzymasz” zabrzmiało tak, jakby wskazał jej skalną ścianę, wysoką aż pod niebo i spokojnie stwierdził, że uda jej się wspiąć na sam szczyt, że na pewno nie zabraknie jej odwagi ani siły. Rozzłościło ją to; odsunęła się od niego.

—Nie, nie dam rady. Nie potrafię nawet o tym myśleć. Wrócić do Mediolanu i do... Nicoli...  
— Udręczona przeciągnęła dłońmi po twarzy.

— Jak mogłabym?

—Musisz, Eleonoro — odparł cicho Smolsky. — Nie masz innego wyjścia.

—Nie?

—Nie — powtórzył Smolsky. — Nie możesz zrobić nic innego. Zobaczymy się, kiedy przyjadę do Mediolanu. Znajdę sposób, by cię zawiadomić, jak i kiedy. Przyjdę do was na kolację, na jakiś bankiet albo przyjęcie. — Teraz wydawał jej się wręcz brutalny. — Porozmawiam z twoim mężem o psychoanalizie i zagram w szachy z kapitanem. Będę waszym gościem — mówił z coraz większą desperacją.

Eleonora podniosła rękę.

—Nie krzycz — mruknęła — proszę cię.

Napięcie między nimi zniknęło natychmiast. Smolsky znów podszedł do niej.

—Posłuchaj...

—Tak.

—Kocham cię — pogładził jej twarz. — Pamiętaj, że cię kocham.

—Tak. — Jej zgaszona rezygnacja sprawiła, że ścisnęło mu się serce. — Jeszcze chwileczkę — poprosiła, spoglądając mu w oczy. Kiedy ją pocałował, uciekła. Widział, jak znika w drzwiach. Wsiadł do samochodu. Zanim ruszył, zapalił jeszcze papierosa. W końcu odjechał, zmuszając się, by o niczym nie myśleć. W samochodzie unosił się jeszcze ledwie wyczuwalny zapach jej perfum.

Z okna swojego pokoju Eleonora odprowadziła wzrokiem tylne światła samochodu Smolsky'ego, migające czerwono w ciemności parkowej alei. Zobaczyła je jeszcze raz, między gałęziami krzewów — słabnący coraz bardziej blask — aż zniknęły za bramą

—Jesteś przynajmniej szczęśliwa?

Eleonora odwróciła się na pięcie. W progu stała babka. Przytrzymując szlafrok na piersi, przyglądała się dziewczynie badawczo.

—Jesteś?

—Byłam — odparto Eleonora. — Bardzo.

—Jest w tobie zakochany. — To było raczej stwierdzenie, niż pytanie.

—Tak — powiedziała dziewczyna, siadając na łóżku. — A ja w nim.

—No, tylko nie zacznij teraz płakać. — Babka podeszła bliżej, uniosła jej twarz i otarła łzy. Jej spojrzenie było pełne miłości, ale stanowcze. — Nie ma powodu.

—Nie ma powodu? — Eleonora objęła ją w talii. — Nie ma powodu? Wiesz, w jakiej ja jestem teraz sytuacji?

—Oczywiście.

—Wydaje ci się, że jest taka cudowna? — Dziewczyna spojrzała na babkę. — Jest okropna.

—Nie poprosił cię, żebyś z nim pojechała? — Hrabina usiadła obok.

— Nie — Eleonora pokręciła głową. — Nie poprosił. A gdyby nawet, nie pojechałabym. Jak mogłabym zrobić coś takiego?

—No tak, rozumiem.

—Mówisz to z ironią — zaprotestowała Eleonora i łzy znowu potoczyły się po jej zmęczonej twarzy. — Wcale nie rozumiesz. Nicola... jak mogłabym? Jestem mężatką, a poza tym... moja matka...

—Wiem. Eleonoro, ale przestań płakać. Znalazłaś miłość. Myślisz, że to mało?

—Ale...teraz? — zaszlochła dziewczyna. — Dlaczego dopiero teraz, kiedy już wyszłam za mąż? Jak mogę ciągnąć to... to... — Przez chwilę nie mogła znaleźć słowa, aż w końcu wybuchnęła: — To podwójne życie? — Słyszac to, starsza pani uśmiechnęła się.

—Nie tobie jednej się to zdarza, Eleonoro. Jeśli nie masz innego wyjścia, i ty będziesz kroczyć gorzką drogą zdrady, i cały czas będzie ci towarzyszyć upokarzające poczucie, że nie jesteś nigdy tam, gdzie być powinnaś. Kiedy będziesz z nim, będziesz myślała o mężu, którego zdradzasz i do którego będziesz musiała wrócić, a kiedy będziesz z rodziną będziesz myślała tylko o nim. To cena, którą zapłacisz.

—To bardzo wysoka cena — mruknęła Eleonora. — Wiesz, że nienawidzę kłamać. Nie chcę nikogo oszukiwać. Ale z niego — uniosła głowę — z niego nie mogę zrezygnować. W każdym razie nie teraz — dodała cicho.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. W końcu babka wstała.

—Prześpij się. I śnij o tym dniu. Byłaś z mężczyzną, którego kochasz. Przyjechał do ciebie, w końcu!

—Mówisz, jakbyś to wiedziała od zawsze. Przewidziałaś, że się zjawi?

—Kto to wie — powiedziała staruszka bez uśmiechu.

—A ja... ja też według ciebie mam jakąś umiejętność przewidywania przyszłości. Ale to nieprawda, wiesz? — Eleonora położyła się na łóżku.

— Nieprawda. Mylisz się, myśląc, że jestem do ciebie podobna. Nie wyczuwam takich rzeczy. W ogóle nie wiem, jak to się wszystko skończy ze mną i z Jaro.

—Śpij— Eleonora przytrzymała babkę za rękę.

—Poczekaj... a ty wiesz? Wiesz, jak to się skończy?

Kobieta schyliła się i pocałowała ją w czoło. Potem, uwalniając rękę z uścisku dziewczyny, ruszyła szybkim krokiem do drzwi. Zanim wyszła, obejrzała się jeszcze.

—Po co ci znać przyszłość, Eleonoro, jeśli nie jesteś w stanie zrozumieć teraźniejszości?

Dla każdego, kto zapamiętał wiedeński sezon teatralny ostatniej zimy przed inwazją nazistowską jednym z najżywszych wspomnień byłoby popołudnie trzynastego grudnia tego wyjątkowo zimnego roku 1937. W Komodie, małym, zabytkowym teatrze w samym sercu miasta grano tego dnia *Upiory* Ibsena. W łóżach i na parterze tłoczyli się miłośnicy teatru i ciekawscy dziennikarze, przyciągnięci najwyższym — jak się spodziewano — poziomem przedstawienia. Spektakl był bowiem wystawiany na cześć aktora Paula Muni.

Sławny aktor siedział w łoży razem z żoną dziwnie przygnębiony.

Opowiadał później, że kiedy zgasły światła i uniosła się kurtyna, oczarowała go od początku, jak zresztą wszystkich obecnych, wspaniała gra aktorów. Może właśnie dlatego, by nie przyćmiewać ich osobowości — Ernst Deutsch i Tilly Durieux byli naprawdę niesamowici — wywołany przez publiczność na scenę podczas przerwy ograniczył się do skromnego ukłonu, do którego nie dodał nawet jednego słowa. Natychmiast wrócił do swojej łoży.

Siedzący na parterze Smolsky był jednym z niewielu widzów, którzy docenili sposób, w jaki Paul Muni postanowił zaznaczyć swoją obecność w *Komodie*. Ale większość widowni przyjęła to źle i jego milczący występ skwitował długi pomruk niezadowolenia.

Po przedstawieniu rozległ się huragan entuzjastycznych braw, publiczność nie chciała wyjść, jakby przeczuwając, że ten popołudniowy spektakl będzie niepowtarzalnym doświadczeniem. Dopiero po dłuższej chwili ludzie zaczęli powoli wychodzić do foyer.

Po spektaklu baronowa Sophia wydawała w swoim rodzinnym pałacyku, na przedmieściach Oraben, jedno ze swoich „przyjatek”, jak sama je nazywała, na które zwykle zapraszała jakieś siedemdziesiąt osób. Zapowiedziała bliższym przyjaciołom, że po kolacji bułgarski pianista, Fred Sander, będzie grał Schumanna.

Przy wyjściu z teatru Smolsky wpadł na Ninę. Podczas przedstawienia siedziała dwa fotele przed nim i co chwilę odwracała się, posyłając mu zimny uśmiech.

— Ty oczywiście też jesteś zaproszony — powiedziała, okrywając się szczelniej ekstrawaganckim futrem z rudych lisów. Podniosła wielki kołnierz, z którego wychylała się kędzierzawa głowa, ozdobiona brylantowym diademem.

— Chcesz, żebyśmy poszli razem? — Smolsky uśmiechnął się i otworzył parasol. Zaczynał właśnie padać gęsty deszcz ze śniegiem, przeganiając wychodzącą z teatru publiczność do samochodów.

Nina spojrzała na niego zdziwiona.

— Jesteś sam? Żadnego miłego towarzystwa? — Wsunęła mu rękę pod ramię.

— Jestem sam.

— Myślałam, że masz jakąś kobietę. Jakąś szaloną miłość. Nie jest tak? — Spojrzał z ironicznym uśmiechem w jego oczy, ale ujrzała w nich taki smutek, że zamilkła.

— Gdzie masz samochód? — zapytał Smolsky.

— Tu, z tyłu — Nina podała mu kluczyki. — Masz, prowadź. Smolsky usiadł za kierownicą limuzyny i zamknął drzwiczki.

— Jeszcze chwilkę — mruknęła siedząca obok Nina. — Zapalmy najpierw papierosa.

Mokry śnieg zamienił się w drobne gęste płatki, które sfruwały z czarnego nieba i tańczyły w świetle latarń. Tłum powoli topniał. Słysząc było wesołe okrzyki, śmiechy. Samochody trąbiły jak szalone, ruszając powoli. Nina odsunęła szybę, by wypuścić dym. Wcale nie chciało jej się palić; miała ochotę rzucić się w ramiona Smolsky'ego. Do diabła z przyjęciem Sophii. Wołałaby raczej uciec ze Smolskym do mieszkanek na Praterze. I kochać się z nim do świtu. Westchnęła i wyrzuciła niedopałek.

— Co u ciebie? — rzuciła lodowato, opierając głowę o zagłówek. Zamknęła oczy. Pocałuj mnie, pocałuj, błagam, zapomniałeś już, jak cię pragnę?

— A u ciebie? — zapytał Smolsky. Nie pocałował jej. — Jak ty się miewasz?

— Bosko — odparła. Do licha, żebym się tylko nie rozplakała. Nigdy sobie tego nie wybaczę — powiedziała w duchu. Ale łzy już paliły ją pod powiekami. Zamrugła rzęsami sztywnymi od tuszu. — Przykro mi — mruknęła.

— Mnie też, Nino — odparł Smolsky ledwo dosłyszalnie.

— Nie wiem, za co tobie... — ciągnęła — ale ja mówię o naszej ostatniej kłótni, kiedy mi powiedziałeś, że nie jedziesz ze mną do Kitzbuhel. Daj mi jeszcze papierosa.



Kiedy Smolsky przypalał jej papierosa, Nina chwyciła na chwilę jego dłoń. Poszukała jego twarzy nad krótkim płomykiem zapalniczki. Spojrzała mu w oczy.

—Zachowałam się jak... jak... te wszystkie krzyki... to była absurdałna reakcja. To za to cię przepraszam i za... — westchnęła. — Jesteś jeszcze na mnie zły?

Nikt nigdy nie obraził go tak, jak Nina tamtego dnia. kiedy powiedział jej, że nie może z nią jechać do Kitzbuhel. Wyjaśnił jej, że ma za dużo pracy, że nie ma wolnej minuty, i była to prawda. Kristenfeld prowadził z nim, jak to sam określił z krzywym uśmiechem, „specjalny przyspieszony kurs” — dwadzieścia ciężkich dni, podczas których uczył Smolsky'ego jak ma poruszać się po terenie wroga, by uzyskać jak najlepsze rezultaty i uniknąć zdemaskowania. Ale Nina jakimś cudem wyczuła, że nie chodzi o sprawy zawodowe. Nie będąc w stanie wymyślić niczego innego, wmówiła sobie, że w grę wchodzi inna kobieta. Tym razem jej zazdrość wybuchła z całą gwałtownością.

—Mnie też przykro z powodu tamtego spotkania — westchnął Smolsky. — Ale zapewniam cię, Nino, że nie żywię urazy. Nie jestem na ciebie zły. Oczywiście wtedy tak... ale potem mi przeszło.

—A idźże do diabła! — odparła Nina. — Cóż za wielkoduszność!

Smolsky milczał.

—Zachowałam się jak stara Żydówka, zaborcza i rozhisteryzowana. — Nina wydmuchnęła dym. — Jak idiotka. Prawda?

—Nie wiem. Nie mam prawa cię osądzać.

—Ale wtedy mnie nienawidziłeś!

—Byłem na ciebie wściekły. Ale żeby nienawidzić... — Smolsky włączył wycieraczki, by zmieść śnieg pokrywający szybę.

—Nawet nie wiesz, ile razy przeklinałam samą siebie, że poszłam do ciebie tamtego popołudnia, by ci powiedzieć, że z nami koniec i że nie chcę cię więcej widzieć. — Zamrugnęła gwałtownie i zdołała powstrzymać łzy.

Najgorszy z tej całej sceny, westchnęła w duchu, był policzek, który mu wymierzyła. W odpowiedzi na jej gniewne oskarżenia Smolsky przypomniał jej lodowatym tonem, że nigdy nie przyrzekał jej wierności. Nina zaślepiona wściekłością, uderzyła go z całej siły w policzek. aż głowa odskoczyła mu na bok. Smolsky nie zareagował, ale spojrzenie, jakie jej rzucił, przeraziło ją. Potrząsnęła głową, po raz setny nazywając się w duchu idiotką. Wspomnienie tego spojrzenia sprawiało, że wstydziła się samej siebie. Jak mogła aż tak stracić nad sobą panowanie?

— Powiedziałam ci wtedy, że nie chcę cię więcej widzieć — powiedziała cicho—ale ty, Jaro, wziąłeś' to na serio. Nie odwiedziłeś mnie więcej. Od tamtego dnia już nigdy nie spotkali się sam na sam. Widywali się i pozdrau iali jak dwójka zwykłych znajomych w restauracjach, na przyjęciach, koncertach i dziś wieczorem w Komódie. Ale nigdy nie byli tylko we dwoje. Nie było więcej randek ani wizyt w mieszkaniu na Praterze. pocałunków; nigdy się już nie kochali, nigdy nie poczuła jego dłoni na piersiach, na całym ciele. Nina wyrzuciła niedopałek przez okienko. — Nigdy nie próbowałeś się ze mną zobaczyć. Dlaczego?

Smolsky nie odpowiedział.

—Nie chciałeś mnie więcej widzieć przez tę obrzydliwą scenę, którą ci urządziłam? Dlatego?

Smolsky milczał. W końcu odpowiedział:

—Nie, Nino, nie dlatego.

—Aha — powiedziała półgłosem, zraniona boleśniej, niż gdyby rzucił się na nią z pięściami. — Jeśli to nie przez to... — westchnęła — ...to rzeczywiście poważna sprawa. To już naprawdę koniec? — zapytała zdławionym głosem.

—Chciałem ci powiedzieć, że byłem z tobą bardzo szczęśliwy i...

—Jaro. proszę cię! Nie zgrywaj idioty — wypaliła. — Kiedy się komuś mówi „byłem z tobą bardzo szczęśliwy”, to tylko z braku odwagi. Tak naprawdę chcesz powiedzieć, że nie pójdziemy więcej do łóżka. Naprawdę ja ci to muszę tłumaczyć, panie psychoanalityku? — Powstrzymała szloch. — Ten śnieg... jest taki smutny, do licha!

Oparła głowę na ramieniu Smolsky'ego.

—Jestem teraz z Bułgarem. Kocham się z nim codziennie. A i tak myślę o tobie. Nikt nie potrafi mnie zadowolić tak jak ty. To dlatego, że cię kocham, seks z tobą jest magiczny. Kocham cię.

—Wiem — odparł cicho Smolsky. Położył jej dłoń na twarzy i poczuł, że drży.

—Nie pocałujesz mnie? — szepnęła Nina. ale natychmiast odsunęła się gwałtownie. — Daj spokój. Dobrze wiem, że nigdy mnie nie kochałeś. Ale czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego i seks nie wchodzi w grę? — Jej głos był suchy i ostry. — Czyżby naprawdę była jakaś inna? Naprawdę kochasz kogoś do szaleństwa?

—Nino, ja...

—Nie, powiedz to, bądź bezlitosny. Powiedz! Kto wie, może wiedząc, że kochasz inną, będę szczęśliwsza, pieprząc się z Bułgarem. —Wulgarna dosłowność tego wyznania źle maskowała jej rozpacz. — Poznałeś ją we Włoszech? To tam masz kobiety?

—Czy to ma znaczenie?

—Rzeczywiście, nie ma — odparła Nina zgaszonym głosem. Smolsky jej nie kochał. Nie było wątpliwości, że ma inną. Ogarnęła ją rezygnacja.

—Nie, daj spokój. Nic mi nie mów. Wystarczy mi fakt, że jestem tu z tobą, sam na sam, siedzimy w ciemności, za oknem pada śnieg, a ty mnie nie pocałowałeś. Kiedyś zrobiłbyś to. A teraz... — Nie dodała nic więcej.

Tym razem na przyjęcie baronowa Sophia wynajęła włoskiego szefa kuchni. Długie stoły, przykryte białymi obrusami, zostały ustawione w sali Cranacha, nazywanej tak z powodu jedy- nego obrazu, wiszącego na ścianie obitej brokatem. Był to mały obrazek wspaniałego malarza, i to nie z okresu austriackiego, a z saksońskiego: akt, przedstawiający nimfę, przepelniony wyrafi- nowanym, ale i ironicznym erotyzmem. W każdym razie tak utrzymywał Gumpłowicz, stercząc przed obrazkiem ze swoim starym przyjacielem, Goldsternem.

—Ironiczny erotyzm, właśnie tak. Widzisz ten uśmieszek? A sposób, w jaki ta figlarka wy- pina cycuszki? — Potrząsając głową starego puszczyka, przysunął twarz do płótna, studiując dokładnie każdy milimetr tego białego grzesznego ciała. — Nie sądzisz, że to kopia? — powiedział w końcu. — Myślę, że Sophia nas wszystkich wykiwała i oryginał schowała Bóg wie gdzie.

—Żartujesz? To autentyk. — Goldstern niemal dziobnął nosem w płótno. Nikt z gości zgromadzonych przy bufecie nie zwracał na nich uwagi, ale Gumpłowicz pociągnął nagle przyja- ciela za rękaw.

—Jak ktoś na nas spojrzy, weźmie nas za dwóch starych świntuchów, którzy nie widzieli gołej kobiety od stu lat. Chodź, rzucimy coś na ząb.

—Spaghetti? Ja się brzydzę tych czerwonych robaków — burknął Goldstern, torując sobie drogę do kelnera.

Otoczona najbliższymi przyjaciółmi pani domu opowiadała z ożywieniem o swojej ostatniej podróży do Paryża. Sukienka, którą miała na sobie — niebieska, ozdobiona strusimi piórami — niezbyt dodawała jej urody, sprawiając, że jej chude ciało wydawało się wręcz wysuszone.

Baronowa, nie przejmując się zupełnie, na prawo i lewo prezentowała swój wielki nos: dobrze wiedziała, że przyćmiewają go brylantowe kolczyki. połyskujące w jej uszach.

— Nie. ja tam nie wrócę. Nie wrócę, choć to przecież Paryż — mówiła, pochłaniając w pośpiechu sporą porcyjkę grzybów z talerzyka, który trzymała w ręce. — Nie mogę tam wrócić po tym wszystkim, co wyprawiają.

—A cóż takiego wyprawiają? — burknął Gumpłowicz, przyłączając się do grupki,

Dziewczyna w czerwonym aksamicie odwróciła się w jego stronę.

—Naziści otworzyli uroczyste w Paryżu nową siedzibę Instytutu Goethego i Sophia jest oburzona, że Francuzi im na to pozwolili.

—I bardzo słusznie—zamuczał jak rozjuszony byk mały człowieczek z faworytami w stylu Franciszka Józefa. — Ci naziści wciskają się wszędzie i kalają dobre imię niemieckiej kultury.

—Ale uwaga — wtrącił się jakiś czerstwy blondyn, poprawiając na nosie druciane okulary — i będę się przy tym upierał, moi drodzy, nazizm nie jest problemem wyłącznie niemieckim. I nie mówię tego po to, by bronić Niemców.

—Ale jednak Hitler siedzi w Niemczech — odparła Sophia. — W ojczyźnie Goethego, Heinego, Kanta. Nie rozumiem, jak Niemcy mogą...

—Przecież tu, w Wiedniu, nie brakuje nazistów!

—Tak, ale my... — zaprotestował ktoś; Gumpłowicz przerwał mu natychmiast:

—Tu nie będzie nigdy tak, jak w Niemczech! — oświadczył. — A według mnie to wszystko przez Marcina Lutra. — Wszyscy zamilkli, Gumpłowicz ciągnął więc z werwą: — Właśnie przez niego. Po pierwsze, był zaprzysięgłym antysemitą! Powiedziałbym wręcz, że wyjątkowo namiętnie nienawidził Żydów.

—A po drugie? — ponaglił go Goldstern, któremu ta dyskusja o rasizmie piekielnie działała na nerwy. — Po drugie?

—Według Lutra — ciągnął Gumpłowicz — należało ślepo poddać się władzy. Był zagorzałym zwolennikiem absolutnego posłuszeństwa, moi drodzy. I władzy absolutnej. Ale chcę wam jeszcze przypomnieć, a propos jego antysemityzmu, że doprowadził do wygnania Żydów z Niemiec. Chciał też palić ich domy, synagogi i szkoły, a także obedrzeć ich z wszelkich dóbr do ostatniego grosza.

—A a propos posłuszeństwa wobec władzy? — zapytał niecierpliwie Goldstern.

—Kiedy niemieccy chłopci, biedni i wyzyskiwani, zbuntowali się Luter nazwał ich wściekłymi psami i napuścił na tych nieszczęśników wielmożów. A ci tylko na to czekali. Zaczęły się niebywale okrutne, bestialskie represje. Krwawa łaźnia. Aż włos się jeży na głowie.

—Nie można zwać całej winy na Lutra — powiedział jasnowłosy mężczyzna.

—Bądź co bądź to protestanci... — wtrącił ktoś ponuro.

—Ciekawa jestem, co byś zrobił — powiedziała Sophia, patrząc ironicznie na Gumpłowitza — gdybyś to ty był wielmożą, a ci chłopci napadliby na ciebie i splądrowali ci zamek. Jak byś się zachował, gdyby dziś robotnicy rolni w twoich dobrach zrobili coś takiego?

—Sophio, ty nigdy nie pojmiesz nic z polityki — burknął Gumpłowitz, nadziewając pierożek na srebrny widelec. — Ja moich chłopów traktuję przyzwoicie, co ty sobie wyobrażasz? Nie mają żadnego powodu do narzekań. Nie brakuje im niczego.

—A jednak — wtrącił się Goldstern — tu, w Austrii, tylko my, monarchiści, jesteśmy prawdziwymi antynazystami! Tylko my! Jego deklaracja zyskała chóralne poparcie.

—To prawda, tylko my, na pewno nie ci austro-faszyści, z ich obrzydliwą nacjonalistyczną ideologią!

—Oni chcieliby zjednoczyć wszystkie narody mówiące po niemiecku! To oni otwierają bramy Hitlerowi.

—A ci austro-marksiści? Uważają, że niektóre elementy teorii Hitlera są do przyjęcia!

—No właśnie. Szczerze mówiąc, między Hitlerem i Stalinem...

—Stalinem? Mowa była o marksistach — sprostował mężczyzna w okularach, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

—My, monarchiści, nie możemy zaakceptować Hitlera. My, którzy oplakujemy panowanie Habsburgów, tylko my naprawdę brzydymy się nazizmem!

—My nie zapomnieliśmy porażki pod Kóniggratz w 1866, kiedy Prusacy prawie najechali Austrię. Nauczyliśmy się, że Niemcom nie należy ufać...

—My — oświadczył solennie Gumpłowitz — jesteśmy także Żydami. A tym samym podwójnie antynazystami.

Mężczyzna w drucianych okularach znów się wtrącił:

—A ja i tak będę się upierał. Zwróćcie uwagę, że nazizm to nie jest problem dotyczący wyłącznie narodu niemieckiego. Ja jestem przekonany, że także my, Żydzi...

Ale inni odwrócili się od niego i ruszyli do stołu, na którym kelnerzy postawili srebrny półmisek z pieczonym koźlęciem; maitre kroił je właśnie na kawałki czymś, co przypominało ostrąk brzytwa siekierę.

Była prawie dziesiąta, kiedy w salonie muzycznym na pierwszym piętrze goście rozsiedli się na kanapach i fotelach, wokół fortepianu.

Baronowa przedstawiła Freda Sander:

— To jeden z najwspanialszych interpretatorów Schumanna, drodzy przyjaciele. Osądźcie sami.

Trochę zbyt sztywno wyprostowany, w ciemnym ubraniu, Sander wpatrywał się w Ninę, siedzącą na wprost niego z poważną miną. Przez cały wieczór nie odkleiła się ani na chwilę od Smolsky'ego, z którym przyszła na przyjęcie. Sanderowi nie udało się zamienić z nią nawet słowa.

—Zacniemy, panie Sander? — uśmiechnęła się do niego baronowa Sophia i usiadła.

Sander skłonił się krótko, po czym oparł się o fortepian i przyjrzał osobom siedzącym półkolem wokół niego. W głębi zauważył Smolsky'ego. Przez sekundę dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy, w końcu Sander odwrócił wzrok.

Na sali panowała głęboka cisza; Sander poczuł, że policzki pieką go z tremy. Na pewno sporo osób zadawało sobie pytanie, na co czeka pianista, dlaczego nie siada do fortepianu.

—Zanim zagram — rozległ się nagle stanowczy, lekko ochrypły głos Bułgara—zanim zagram, chciałbym powiedzieć dwa słowa, bo... — głos stał się wyższy — bo uważam, że artyście nie wolno zapominać o świecie, na którym żyje. A na tym świecie jest moja ojczyzna, Bułgaria.

Wśród gości rozszedł się szmer.

—A w niej morduje się naród. Nadszedł czas, by wznieść nasze głosy— ciągnął Sander, wbijając zamglony wzrok w przestrzeń. Tylko Smolsky zorientował się, że cytuje Wiktora Hugo. — ...morduje się naród, ale rządy bełkoczą coś w odpowiedzi i mówią, „Cóż za przesada!”. O tak. To przesada mówić, że w kilka godzin zostało zniszczone całe miasto Batak. W rzeczywistości potrzeba było kilku dni. Przesadza się, mówiąc, że zniszczono dwieście wiosek. Tak naprawdę było ich tylko dziewięćdziesiąt dziewięć. To nie prawda, że zgwałcono wszystkie kobiety. Wygląda na to, że kilka zdołało uciec...

—Co to ma znaczyć?

—Dość!

—Co ten człowiek wygaduje?

Oburzone głosy usiłowały mu przerwać. Ten i ów wstał nawet z miejsca.

—...nie wszystkich zamordowano; nie wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Niektórzy zabili się sami, by nie dać się złapać.

—To niedopuszczalne!

—Każmy mu zamilknąć!

—...ale rządy odpowiadają, że trzymają rękę na pulsie. Morderstwo człowieka to zbrodnia, morderstwo narodu to problem. Ale tam gdzie jest problem polityczny, trzeba umieć dostrzec ludzką tragedię. Cała przyszłość od tego zależy.

—Bolszewik!

—Lenin!

—Nie — odparł Sander, kłaniając się lekko — Wiktor Hugo. To. Co wielki pisarz napisał o Bułgarii w zeszłym stuleciu, można odnieść do tego, co dzieje się dzisiaj w moim kraju okupowanym przez faszystów.

—Dosyć już! — rozległy się coraz liczniejsze protesty. — To salon muzyczny, nie polityczny!

— Sztuka to jedno, polityka zupełnie coś innego.

Wysokim twardym głosem, który uciszył wszystkich, Sander mówił dalej:

—Żaden naród, tak jak naród bułgarski, nie musiał patrzeć, jak faszyci mordują wszystkich jego poetów. Dedykuję moją muzykę pamięci bliskiego przyjaciela, Geo Milewa, wielkiego poety i rewolucjonisty, torturowanego i zabitego jak wielu innych przez władzę faszystowską.

Baronowa Sophia wstała powoli i wycodziła lodowatym tonem:

—Pan zwariował.

—Być może — odparł niewzruszony Sander i uśmiechnął się lekko. —Tak czy inaczej, my wszyscy, którzy patrzymy na to, co dzieje się dzisiaj w Europie, nie będziemy mogli jutro powiedzieć „ja nie wiedziałem”.

Sander usiadł. Uniósł do sufitu nieruchomą twarz, i obracając się lekko, by było go słychać, powiedział:

—Zagram teraz Schumanna. Temat z wariacjami pod tytułem Abeggio opus pierwsze. — Zbliżył piękne delikatne dłonie do klawiszy. Zawahał się przez moment. I zaczął.

Ton ostrych, oburzonych skandalem głosów zaczął łagodnieć. Choć powoli i opornie, goście milkli jednak, oczarowani grą Sandera. Pianista i instrument zdawali się być częścią osobnego, niezwykłego świata. Wszyscy obecni — sami miłośnicy i znawcy muzyki — choć wbrew sobie, musieli oddać pianistcie sprawiedliwość. Nikt z nich nie słyszał nigdy tak świetnej interpretacji Schumanna — doskonała struktura techniczna podtrzymywała z porywającą lekkością temat mu-



zyczny, świetlisty, pełen pasji, wibrujący emocjami, które Sander potrafił przekazać słuchaczom, nie tracąc jednocześnie niezwyklej elegancji ekspresji. Wszyscy zdążyli się już zorientować, że biorą udział w wyjątkowym wydarzeniu. Słuchali oszołomieni pięknem muzyki i geniuszem wykonawcy. Na końcu każdego fragmentu, w zdumiewającej ciszy, rozlegał się ponury głos Sandera zapowiadający kolejny utwór.

U końcu, niemal po godzinie, kiedy rozplynęła się już w powietrzu ostatnia nuta Nocnej piosenki Fred Sander uniósł ręce nad klawiaturę, jakby niechętnie odrywał się od najdroższej istoty. Wstał.

Nikt nie klaskał. Wszyscy spoglądali w milczeniu na tego człowieka, wyglądającego zwyczajnie, wręcz skromnie, w białego w źle skrojone, ciemne ubranie. Najbardziej poruszeni byli ci, którzy przedtem poczuli się osobiście urażeni słowami Sandera, dla których jego przemówienie było tylko stekiem nieprzyzwoitych, filozoficznych bzdur, i którzy nie mogli pojąć, jakim cudem właśnie on zdołał stworzyć w tej sali kapiącej od barokowych zdobień dzieło tak wyjątkowe.

Przez długą chwilę Sander i te siedemdziesiąt osób — a nie znał tu nikogo z wyjątkiem Niny i Smolsky'ego — wpatrywali się w siebie w milczeniu. Bułgar wydawał się dziwnie smutny, a jego osłupiałe audytorium wyraźnie zażenowane.

— Doprawdy... — odezwał się w końcu Gumpłowicz — doprawdy nie słyszałem nigdy lepszego pianisty.

Sander skinął mu głową i uklonił się baronowej Sophii, która siedziała jak wmurowana. Ruszył do drzwi. Parkiet skrzypiał pod jego butami.

Ledwie Sander wyszedł, wszyscy wstali i zaczęli rozmawiać z ożywieniem. Torując sobie drogę między rozgadanyimi gośćmi, którzy odsuwając krzesła i fotele, rozchodzili się po sali, Smolsky podszedł do baronowej. Po kilku okolicznościowych frazesach — Sophia nie wspomniała nawet słowem o tym, co zaszło przed koncertem — Smolsky pożegnał się. Nina natychmiast znalazła się przy nim. — Ja też już idę.

W milczeniu zeszli po schodach. Wyszli na zewnątrz. Padał teraz gęsty śnieg; dziedziniec i ulicę zdążył już pokryć biały całun. Pod łukiem drzwi wejściowych znaleźli Sandera. Stał z rękami skrzyżowanymi za plecami — czarna samotna postać na tle wirujących tumanów śniegu. Słyszając kroki, odwrócił się. W świetle latarni przy bramie dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie bez słowa, poważni, jak wodzowie wojsk w jakiejś beznadziejnej wojnie, próbujący wyczytać z oczu przeciwnika jego plany.

Między nimi stanęła Nina.

W końcu Sander otrząsnął się.

— Ja idę — mruknął. — Dobranoc. — I wyszedł na ulicę, w zamieć.

Nina patrzyła, jak odchodzi, oparta o ramię Smolsky'ego. Nagle zwróciła w jego stronę swoją białą twarz: —Jaro — powiedziała cicho, uniosła długą spódnicę, by się nie potknąć i wybiegła na zewnątrz. Dogoniła Sanderę, wzięła go za rękę. Ciągnąc go za sobą, ruszyła do swojego samochodu.

W pokoju mieszkania na Praterze Nina i Sander słuchali padającego śniegu — miękkiej ciszy, która spowijała miasto.

—Wiesz — powiedziała w końcu Nina, opierając policzek na jego ramieniu — późną wiosną w parku na dole kwitną lipy. Na początku czerwca. Ich zapach wypełnia wtedy pokój. Taki miodowy, lekko gorzkawy. Wiesz jaki, prawda?

—Tak.

—Zapach lip wzrusza mnie za każdym razem — powiedziała cicho Nina.

—Smutno ci?

—Tak.

Fred przytulił ją mocniej.

—Myślę — mówiła dalej Nina — myślę, że w tym roku poczujemy go razem. Będziemy tutaj. Noce są już ciepłe, kiedy zbliża się lato.

—Tak — odparł cicho Sander.

—A jednak — westchnęła Nina — kiedy tak myślę, zastanawiam się... kto wie... kto wie, czy będzie dla nas jeszcze jakiś czerwiec. — Odwróciła głowę i ukryła twarz na ramieniu mężczyzny.

—Nino...

—Poczekaj, chcę ci powiedzieć jeszcze coś — Nina położyła mu dłoń na piersi. — Chcę powiedzieć, że... kocham cię, wiesz?—jej głos zamienił się w szept.

Do ciemnego pokoju powróciła cisza.

—Kiedy pan wyjeżdża?

—Za kilka dni. Będę w Mediolanie dwudziestego.

—A z powrotem? — zapytał Kristenfeld.

—Na Boże Narodzenie. Spędzam je z matką. Wyjadę znów dopiero w styczniu.

Rozmawiali w gabinecie Smolsky'ego, odruchowo ścisząc głosy.

Kristenfeld leżał wyciągnięty na kanapie; Smolsky siedział za nim w swoim starym fotelu. Wyglądało to jak zwykła sesja terapeutyczna.

—Jest pan pewien, że nie ma pan nic nowego do powiedzenia o swoim ostatnim pobycie we Włoszech? Żadnych nowości? — Kristenfeld założył ręce za głowę.

—Nie.Nic—odparł Smolsky.—Nic podejrzanego.Nic niepokojącego. Ogólnie rzecz biorąc, nic nowego w porównaniu z poprzednimi podróżami.—Z wyjątkiem faktu, że Eleonora go kochała. I że została jego kochanką. Ale tego nie chciał powiedzieć Kristenfeldowi. Nie chciał z nim rozmawiać o żonie Nicoli Martiniego.

—A u pana? Jakież nowiny z Londynu? Co mówią o moich informacjach?

—Wszystko doskonale. Ale chcą dłuższych transmisji—westchnął Kristenfeld.

—Wie pan dobrze, panie Kristenfeld, że to zbyt duże ryzyko.

—To im właśnie powiedziałem.

— I nie ma wyjścia? — zapytał Smolsky.

—Nie — odparł Kristenfeld. Pomyślał o Wilsonie. Pomyślał o tym, że Ovrą już się zorientowała wprzecieku informacji o produkcji broni i jej przeznaczeniu — i to natychmiast po tym, jak Smolsky zaczął działać. Pomyślał o tym, że obiecał Wilsonowi nic nie mówić Smolsky'emu. Pomyślał też, z tłumionym westchnieniem, że nie leżało w jego zwyczaju łamać słowa danego Wilsonowi. Po prostu nie mógł powiedzieć Smolsky 'emu, że ryzyko rośnie w zastraszającym tempie.

Westchnął jeszcze raz. Wstał. Wziął palto i kapelusz.

—Zobaczymy się po świętach — mruknął, idąc do drzwi.

Uścisnęli sobie dłonie. Przed wyjściem Kristenfeld burknął jeszcze:

—I niech pan na siebie uważa, bardzo proszę. — I szybko wyszedł.

Smolsky otworzył okno. Oparły o parapet, zapalił papierosa. Powietrze było czyste i zimne, ogród, który ostatnie śnieżyce przykryły białą koldrą, trwał cichy i nieruchomy pod szarym popołudniowym niebem.

Kilka wróbli skakało po krzakach róż, które wyglądały jak ciemne kolczaste postacie w białych kapturach.

Smolsky pomyślał o Eleonorze. Jego spojrzenie złagodniało, w oczach zagościł uśmiech. Za dwa dni znów ją zobaczy. Nareszcie.

## Rozdział 7

---

Pierś Eleonory pod jego dłonią. Łuk talii. Wypukłość biodra. Dłoń przemknęła po udzie. Wróciła wyżej. Niespiesznie, pieszczotliwie. Powoli przesunęła się z powrotem na pierś.

— Jesteś taka piękna — głos mężczyzny był zdławiony ze wzruszenia.

— Naprawdę? — szepnęła Eleonora. Z zamkniętymi oczami rozkoszowała się tą dłonią na swoim ciele, nagim i bezbronnym. Czowała jej ciepło i nacisk. Pieszczota była upajająca, ale delikatna — nie miała nic wspólnego z dziką żądzą jeszcze sprzed tak niedawna, kiedy jego ręce zdarły z niej ubranie i dostarczyły wrażeń, jakich do tej pory nie zaznała.

Teraz było inaczej. Ta pieszczota była jak spokojne głębokie kołysanie fal po burzy. Dłoń powędrowała jeszcze wyżej, musnęła szyję, twarz. Zanurzyła się we włosach.

— Jestem szczęśliwa... — westchnęła, nie otwierając oczu. — Jestem tutaj. Z tobą. Może to zabrzmieć banalnie, ale wydaje mi się, że to sen.

Leżąc na boku, z ramieniem pod głową. Smolsky patrzył na nią. Nie przerywając pieszczot. Resztki popołudniowego światła przesączały się przez zasunięte firanki. Na białej pościeli ciało Eleonory miało kolor bursztynu; leżała na plecach, z lekko rozrzuconymi rękami. Smolsky widział jej profil. Musnął jasne rzęsy przymkniętych powiek.

— Są jak szczoteczki, prawda? — Eleonora uśmiechnęła się. Nie nałożyła przed spotkaniem ani odrobiny makijażu. Dwie godziny wcześniej, w umówionym miejscu przy narożniku Muzeum Nauk Przyrodniczych, Smolsky ujrzał tę jej czystą twarz, rzęsy bez tuszu i blade wargi.

— Szczoteczki? Rzeczywiście bardzo gęste.

— Tak, dziwnie wyglądają takie jasne, prawda? Lepiej mi w makijażu, wiem... ale ręce tak mi się trzęsły, że nie byłam w stanie się umalować.

Smolsky pogłaskał jej policzki, podbródek — raczej uparty niż stanowczy, jak zauważył tym razem. Znow— położył otwartą dłoń na piersi, objął ją rozsuniętymi palcami.

—Posłuchaj, ja... — zaczęła Eleonora, odwracając nagle głowę. Spojrzała na niego. Oczy błyszczały jej z niecierpliwości.

—Tak — mruknął — ja też... — Rozpalał się w nich na nowo ogień pożądania i namiętności. Zamienił się w pożar, kiedy Jaro przyciągnął Eleonorę do siebie. Uwięził ją w swoich ramionach. Zatopił usta w jej ustach. Poczł jej dłonie na plecach, paznokcie na skórze. Pokój wokół nich zniknął, a oni popłynęli ku dalekim konstelacjom, ku galaktykom

innego wszechświata. Po długich minutach miłości, Eleonora zapaliła światło. Oparta na łokciu, odwróciła się do Smolsky'go. Patrzyła na niego błyszczącymi oczami, rozświetlonymi radością, wręcz rozbawionymi. Odgarnęła włosy z zarumienionej twarzy.

—Ty też jesteś piękny, wiesz?

—Tak?

—Oczywiście — Eleonora westchnęła ze szczęścia, śmiejąc się do niego. — Naprawdę. Można powiedzieć mężczyźnie, że jest piękny?

—Myślę, że tak.

—Można się do niego zalecać?

—To wręcz obowiązkowe — roześmiał się. Odwrócił się na plecy i przeciągnął. Eleonora obserwowała go uważnie, z ciekawością, jakby patrzyła na egzemplarz jakiegoś nieznanego gatunku, wyjątkowo interesujący, nie budzący przestachu, ale z całą pewnością niepokojący.

—Miałam na myśli również zaloty... no, fizyczne.

—Przede wszystkim. — Chwycił ją za biodra i przyciągnął do siebie.

— Kocham cię.

Eleonora obsypała jego ramiona i pierś miękkimi pocałunkami. Uniosła głowę.

—Powiedz, myślisz po niemiecku czy po włosku? —zapytała.—O Boże — Smolsky uśmiechnął się. — Kiedy?

—Teraz. Kiedy jesteś ze mną. W jakim języku myślisz?

—Nie myślę.

—Och, to niemożliwe — znów pocałowała jego pierś. — To naprawdę niemożliwe, nie myśleć o niczym. Podobno tak się nie da.

—Jeśli myślę, to chyba po niemiecku.

—Jakie to dziwne — powiedziała. Uniosła głowę i spojrzała na niego prawie surowo. — Taka bliskość... ja i ty. Wiesz, mnie się to nigdy... — Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. — ...nie, nigdy. I spotyka mnie to właśnie z kimś takim jak ty. Z kimś, kto myśli w obcym języku. Którego nie znam.

—Fakt, że myślę po niemiecku nie...

—Ależ nie, to cię ode mnie nie oddała, nie jesteś mi przez to bardziej obcy. — Eleonora oparła czoło o jego twarz. — Tylko że wydaje mi się to takie, nie wiem... Nie wyobrażałam sobie, że będę kiedyś z wiedeńczykiem.

—A ty? O czym myślisz?

—Kiedy my...

—Tak — uśmiechnął się. — Właśnie wtedy.

—Och, myślę o tym, co czuję. Trudno powiedzieć, ale myślę... Nie wiem. myślę o lecie, o pachnącym sosnowym lesie i o graniu świerszczy O morzu przed wieczorem. Głowa wypełnia mi się obrazami, wspomnieniami, kiedy... — pocałowała go w szyję — kiedy się z tobą Kocham.

— Po raz pierwszy w życiu wypowiedziała na głos podobne słowa.

—I o czym jeszcze?

—Nie wiem, ale przede wszystkim o tym... myślisz, że to głupie?

—Głupie?

—No tak, myślę... nie wiem, o kolorach krajobrazu, na przykład. Czuję, jakbym pograżała się w świecie... sosen, morza... myślę o tym cieniu, który jest pod drzewami, albo o jesieni czy o zimowych mgłach. To dziwne, prawda? Kiedy trzymasz mnie w ramionach, zjawiają mi się przed oczami obrazy tak, jakbym była tam z tobą, jakby w gruncie rzeczy miłość była tymi wszystkimi rzeczami. Rozumiesz?

—Tak.

—Kiedyś pojechałam w Dolomity. Było tam jezioro, gęste lasy, pachniało żywicą. Ja bardzo lubię spacerować, nawet długie godziny... Chodziłam sama. Te wszystkie ścieżki, zapach słońca na łące, żółte mleczki. I ten wiatr, który kołysze trawą. Och, Jaro — westchnęła — nawet nie wiesz, jak chciałabym być w takim miejscu, teraz, z tobą.

Smolsky w milczeniu głąskał jej ramię.

—Tamtego lata miałam może szesnaście lat — ciągnęła — pewnego dnia zobaczyłam kozła sarny. Szukał czegoś w mchu. Kiedy się zbliżyłam, uniósł głowę i spojrzeliśmy na siebie. Patrzyliśmy bardzo długo. Zupełnie jakby mówił: „A ta skąd się tu wzięła?” Potem lekko skoczył w bok i zniknął.

—Jaka byłaś, kiedy miałaś szesnaście lat?

—Ja? Matka mówiła zawsze, że za tłusta, za duża. Wszystkiego za dużo. Chodzi o to, że za dużo jadłam. Uwielbiam słodczyce. Więc opychałam się nimi.

—A szkoła?

—U zakonnicy. Cały czas. Podstawowa, średnia, liceum klasyczne. Nie uczyłam się zbyt dobrze. Moja matka się tym nie przejmowała, mówiła, że to nie ma znaczenia, czy kobieta jest wykształcona. Ma być przede wszystkim wyrafinowana. Aleja... — Zamilkła. Palce Jaro odgarniały jej włosy z twarzy. Jaro Smolsky, pomyślała Eleonora, mój kochanek. I to po niecałych trzech miesiącach małżeństwa. — U zakonnicy... —

powtórzyła półgłosem. — Śmieszne, prawda?

Milczeli przez jakiś czas. Samochód przejechał z rykiem ulicą, oddalił się. Przez chwilę słyhać było śpiew jakiegoś przechodnia. Niewielki pokój, oświetlony lampką na nocnej szafce, wydawał się jeszcze ciaśniejszy przez drewniane kasetony na suficie. Dwa okna zasłonięte były długimi białymi firankami. Kilka starych mebli — wielkie łóżko i fo—

telik, na którym leżały rzucone bezładnie ich ubrania. Na wytartym dywanie, pod ścianą ozdobioną reprodukcjami, leżała halka Eleonory. Bóg jeden wie, jak tam trafiła.

—A ty? — zapytała w końcu Eleonora.

—Co ja?

—Gdzie chodziłeś do szkoły?

—Cóż w Wiedniu. To była byle jaka szkoła, publiczna. Potem uniwersytet, medycyna. Kilka podróży za granicę, do Londynu i Paryża. Potem praca zawodowa.

—To dziwne jestem tu z tobą — jej głos był poważny — czuję, że jestem z tobą tak blisko. jak jeszcze nigdy z nikim, a wiem o tobie tak mało, prawie nic. Prawie cię nie znam.

—To nieprawda.

—Ależ tak — zaprotestowała Eleonora.

—Wręcz przeciwnie, wiesz o mnie wszystko. Nasze ciała, miłość...



—No tak. w tym sensie... — przerwała mu. Przebiegła dłonią po jego ciele. — W tym sensie rzeczywiście masz rację, znam cię tak, jak nie znam nikogo innego. A przecież byliśmy ze sobą tylko dwa razy. To jest dopiero drugi raz i z nikim, nigdy nie czułam takiej bliskości, takiej... — Nie było słowa, które mogłoby określić jej uczucia. Westchnęła i umilkła. Nie była w stanie, choć próbowała z całych sił, odepchnąć myśli o Nicoli. Z Nicolą nie było mowy o jakiegokolwiek bliskości.

—To tak. jakby moje ciało nabrało nagle sensu, odnalazło swoje prawdziwe przeznaczenie. Tylko z tobą—powiedziała cicho. Znów pomyślała o mężu. Nie mogła o nim nie pomyśleć. Z Nicolą to była zupełnie inna historia. Zupełnie inna Eleonora. Żona Nicoli Martiniego. Ktoś zupełnie inny.

—Dlaczego wzdychasz? — Smolsky trzymał ją w ramionach.

—Nie domyślasz się? Muszę o tym mówić?

—A chcesz?

—Nie — szepnęła. Przypomniała sobie wszystko, co powiedziała jej Adelaide Serpieri. Była to prawda. Będąc z Jaro, cierpiała, że wyrządza krzywdę mężowi, zakochanemu w niej, tak oddanemu. Mężowi, który pracował w tej chwili w swoim biurze. Z fotografią niewinnie uśmiechniętej żony na biurku. Nicoli przekonanemu, że Eleonora biega po mieście za sprawunkami, że poszła do fryzjera. Nędzne upokarzające kłamstwa. A przecież będąc z Nicolą przez cały czas żałowała, że nie jest z Jaro. Myślała o Jaro. I pożałowała go.

Kiedy wróciła z Bolgheri, jeszcze tego samego wieczoru musiała kochać się z Nicolą. Zadrzała. Zresztą, czy to można nazwać kochaniem się? Leżała sztywna, skrywając obrzydzenie i czekając, aż mąż skończy swoje krótkie zabiegi z jej nieruchomym ciałem. Nie, to na pewno nie było kochanie się. Ale musiała poznać Jaro, by dowiedzieć się, że ona, Eleonora, wcale nie jest oziębła, jak podejrzewała.

—Co się stało? — Smolsky spróbował odwrócić jej głowę, by spojrzeć jej w twarz.

Eleonora oparła mu się; nie odpowiedziała. Miłość to właśnie to —pomyślała przygnębiona. — Żywa wyobraźnia, namiętność, pożądanie okazywane swobodnie w ramionach Jaro. Przypomniała sobie słowa Nicoli z pierwszej nocy: nie ruszaj się, nic podoba mi się, kiedy przejmujesz inicjatywę, czy coś w tym rodzaju. Przerazające. Dlaczego musiały jej przyjść do głowy właśnie teraz?

—Dokąd idziesz?

Eleonora wstała. Stała obok łóżka, piękna i naga, zaciskając dłonie. Spojrzała z udręką na Smolsky'ego.

— Pewnie już późno.

— Ależ nie, zaczekaj...—rzucił okiem na zegar. — Powiedziałaś, że zostaniesz do siódmej. Jest jeszcze czas — wyciągnął ramiona. Eleonora położyła się z powrotem u jego boku, z głową na piersi.

— Kocham cię — szepnęła.

— Tak, czuję, że mnie kochasz — odparł. — O czym myślałaś przed chwilą?

— Bez ciebie było tak ciężko — powiedziała. — Jest ciężko.

— Kiedy wróciłaś z Bolgheri?

— Tydzień po tym, jak odjechałaś. Pamiętasz naszą plażę? Poszłam tam jeszcze raz, dzień przed wyjazdem. Morze było spokojne. Szare. Było potwornie zimno. I tak strasznie smutno bez ciebie. Wiesz, babcia wszystko rozumiała. Powiedziałam jej wszystko.

— O nas?

— Ona nienawidzi Nicoli — powiedziała cicho Eleonora.

— Dlaczego?

—Nie wiem, nie domyślam się nawet. — Kłamała. Nie wiedziała, ale domyślała się doskonale. W głębi duszy była pewna, że Adelaide wiedziała, co się stało tamtego dnia za trzcinami, kiedy Eleonora miała jedenaście lat, a Nicola zdjął jej koszulkę i zaczął całować po plecach. Była pewna, że Adelaide zawsze o tym wiedziała. I że wiedziała o Nicoli coś, o co Eleonora zawsze bała się wypytywać.

Otworzyła oczy. Napotkała spojrzenie Smolsky'ego, poważne i przenikliwe. Odepchnęła go gwałtownie.

—Nie patrz tak na mnie. — Odwróciła twarz, ogarnięta dziwnym wstydem. Serce biło jej mocno.

—Jak na ciebie patrzyłem?

—Och, przestań! — powiedziała, siadając na łóżku. Odwróciła się do niego plecami.

—Co się dzieje? — zapytał Smolsky cicho,

—Nie wiem. Nie chcę o tym mówić. Daj mi spokój. — Odwróciła głowę i zerknęła na niego przez ramię,— Nie dręcz mnie pytaniami.

Smolsky nic nie odpowiedział. Patrzył na jej ciało, na smukłe plecy, wąską talię. Poniżej rozkwitały biodra, krągłe i jędrne. Być z nią w tym pokoju, do którego docierał przytłumiony dźwięk ruchu ulicznego, być w niej z dala od wszystkiego, to raj—pomyślał. Jediną realną rzeczą było piękne nagie ciało Eleonory. I miłość, którą Smolsky czuł dla tej cudownej istoty. Naprawdę

czuł się jak władca jakiejś rajskiej krainy. Nigdy nie pożądał żadnej kobiety jak. jak pożądał jej. Nigdy żadna nie dała mu takiej rozkoszy jaką umiała dać ona. Wydawało mu się, że traci zmysły, kiedy tonął w niej, tak gwałtowna była jego żądza i tak nieznośna rozkosz.

—Jestem pewien, że istnieją...nie wiem, jak to powiedzieć, istnieją osoby, które mogą nam dać coś czego nie może dać nikt inny.—Mówił półgłosem, wciąż patrząc na plecy ukochanej. Wciąż milczała. Siedziała tyłem, z pochyloną głową. Nie wiedziała, że kosmyk włosów sterczy jej na czubku głowy: wyglądało to trochę zabawnie, trochę wzruszająco.

Jak długo to może potrwać? — pomyślał Smolsky. Ile razy spotkają się jeszcze w tym wynajętym mieszkaniu przy przecznicy via Moscova? Ile czasu im jeszcze zostało? Jedno, dwa spotkania? Czy to był ostatni raz, kiedy się kochali? Może jednak nie? Może będzie jeszcze wiele spotkań w tym pokoju. Bo dlaczego by nie? Pomyślał też o tym, że biuro komisarza Corbiniego z Ovry znajduje się niedaleko, w prostej linii niecały kilometr stąd.

— Jaro...

—Tak?

— Patrzysz na mnie?

— Tak. patrzę na ciebie.

— A na co konkretnie?

—Na twoje biodra.

— Jestem trochę za gruba, prawda?

—Ty?

—Za duży biust, za szerokie biodra, za dużo...

— Za dużo czego? — Smolsky wziął ją za ramiona i zmusił, by się położyła. Pochylił się nad nią i przebiegł ustami po jej ciele. W końcu oparł głowę na jej piersiach i leżał tak, nic nie mówiąc. Eleonora głaskała go po włosach.

— Wybacz mi. To przed chwilą, to była tylko zła chwila — powiedziała po ktlku minutach.

Smolsky milczał; słuchał z zamkniętymi oczami bicia jej serca.

— Opowiedz mi o Wiedniu, o tym, co robiłeś.

— Pracowałem. Byłem zajęty z pacjentami... ogólnie swoją pracą. Napisałem kilka sprawozdań. Wysłuchałem wykładu. Nudnego jak Haki z olejem. Odbyłem kilka narad z kolegami. I myślałem o tobie.

— Dużo?

— Przez cały czas.

— Naprawdę?

— Tak. Naprawdę.

— A padał u was śnieg? Jak wygląda Wiedeń zasypany śniegiem?

— Jest wspaniały. Sypało jak trzeba.

— A twoje rośliny? — Usłyszał jej śmiech. — Ciągłe ucinacie sobie pogawędki?

— Tak, mają się świetnie. Ozdabiają jadalnię. I owszem, ciągle rozmawiamy.

— Żadna nie umarła?

— Ależ skąd!

— Suche liście?

— Ani jednego — położył dłoń na jej brzuchu. — Żartujesz sobie ze mnie, co?

— Mhm, zabierz rękę — westchnęła i roześmiała się — chcę jeszcze trochę porozmawiać. Jak nie zabierzesz...

— Tak? — przesunął dłoń na biodro.

— Tak. Dobrze. Trochę wyżej. O właśnie.

Milczeli przez chwilę; Eleonora wciąż głaskała go po włosach.

— Jaro...

— Słucham.

— Nie ma żadnej innej kobiety? — zapytała. — Jestem tak głupio zazdrosna o ciebie — dodała ciszej.

Smolsky uniósł głowę.

— Nie ma żadnej — odparł, patrząc jej w oczy. — Nie ma żadnej, odkąd cię Kocham.

— Był u nas kiedyś Giorgio Marani — Eleonora zaczęła znów głaskać Jaro po włosach. — Giorgio mówi, że jesteś okropnym kobieciarzem.

— Myślę, że to prawda. Nawet jeśli samo słowo jest trochę... cóż, głupie.

—Ale teraz?

— Jesteś tylko ty. — Smolsky objął ją ramieniem. — Tylko ty.

Eleonora milczała długo.

— Masz dużo znajomych w Wiedniu? — zapytała w końcu.

— Mnóstwo. Spotykam bardzo wiele osób.

— Marani mówi, że tam jest straszny antysemityzm. To znaczy, że Żydzi...

—Tak, to prawda. Rasizm jest wszędzie.

—Ale w Niemczech na przykład... mówi, że Żydzi są... och... opowiadał straszne rzeczy.

Smolsky znów uniósł głowę i spojrzał Eleonorze w oczy.

— W Austrii tak nie jest.

—Ale może być?

Smolsky spojrzał na jej usta.

—Nie wiem, myślę, że tak.—I zaczął ją całować. Eleonora chwyciła go kurczowo za ramiona, mocno przytuliła.

—To było dwadzieścia potwornie długich dni. Kiedy wczoraj wieczorem zobaczyłam, jak wchodzisz do jadalni, myślałam, że umrę. Nicola powiedział mi dwa dni temu, że masz przyjść z Giorgiem na kolację, i z Mignon i jej mężem, i... w ogóle nie mogłam spać przez te dwie noce.

— Wyglądałaś prześlicznie w tej białej sukni. Miałem ochotę pocałować cię natychmiast, przy wszystkich.

— Bałam się. Nie mogłam się powstrzymać, żeby na ciebie nie patrzeć i bałam się, że wszyscy się zorientują...

—Nie, wręcz przeciwnie. Byłaś niewzruszona. Chwilami nawet antypatyczna.

—Nicola też mnie o to zapytał po kolacji. Zapytał, czy cię nie lubię. Wiesz, byłam tak zdumiona, że właśnie on przysłał cię do mnie, do Bolgheri, tamtego dnia. A przecież powiedział mi, że wzbudzasz w nim zazdrość. Ciekawe, czemu w takim razie przysłał cię do mnie z wizytą. Kiedy go o to zapytałam, zaczął się śmiać. Mówi, że lubi być zazdrosny o swoją żonę, że go to bawi.

Smolsky słuchał w milczeniu; jej głos i te palce, buszujące mu we włosach na czole i na karku, przyprawiały go o rozkoszne dreszcze. Ale głos Eleonory brzmiał teraz smutno.

— Wczoraj wieczorem, kiedy sobie poszliście, Nicola powiedział: „Ten Smolsky po prostu działa ci na nerwy!” A ja... ja mu powiedziałam, że to prawda, że cię nie znoszę. — Westchnęła, rozpamiętując na nowo wczorajszy wieczór. Po kolacji, kiedy wszyscy szli do salonu, znalazła się w pobliżu Smolsky’ego. Częstując ją papierosem, wyszeptał bardzo cicho, ale wyraźnie: — Jutro po południu, o czwartej. Przy Muzeum Nauk Przyrodniczych. — Uśmiechając się w jej zmartwiałą twarz, ciągnął zdawkowym tonem: — Pani nie pali? W takim razie pozwoli pani, że będę służył ramieniem. — Jak gdyby nigdy nic.

—Nienawidzę tej całej komedii — westchnęła Eleonora. Wsunęła się z objęć Smolsky’ego, który przekręcił się na plecy i skrzyżował ręce pod głową.

—Tak, wiem. Ale kochasz mnie, prawda?

—Tak.

—Bardzo cię potrzebuję, Eleonoro. — Zamknął oczy. — Teraz nawet bardziej, niż kiedykolwiek. — Poczul jej dłonie na skórze. — Potrzebuję cię. rozumiesz?

Eleonora pocałowała go. Stała pochylona nad nim, a jej piersi opierały się o niego, dziwnie chłodne.

—Tak, Jaro... tak. Zobaczymy się jeszcze. Ile razy zechcesz. Kiedy zechcesz. — Wciąż go całowała. — Ja też nie potrafię się cię wyrzec. Kocham cię. — W jej głosie brzmiała namiętność. — Nigdy nie byłam zakochana, nigdy. Kocham cię. Przytul mnie. Niedługo muszę iść. Obejmij mnie jeszcze, pocałuj.

Ktoś w sąsiednim mieszkaniu zaczął grać na pianinie. Wprawki Czernego. Gamy. W tę i z powrotem, potykając się, myląc, zaczynając od nowa. Monotonne przytłumione nuty. Z początku pełne wahania, potem coraz pewniejsze. Coraz szybsze.

— Eleonoro.

— Kochany, kochany mój.

—Pan ma już jakiegoś podejrzanego?

—Niestety, nikogo konkretnego.

—Ale utrzymuje pan, że przeciek informacji dotyczących zaopatrzenia w broń pochodzi z mojej fabryki?

—Powiedziałbym, że...

— Tak czy nie?—przerwał Nicola Martini. Jego głos był chłodny, ale nie wyniosły.

— Powiedzmy, że pańska fabryka nie jest jedynym miejscem, z którego mogłaby pochodzić cała seria informacji. — Komisarz Corbini założył nogę na nogę, wyglądając krótkim strzepnięciem palców fałdę na spodniach.

—Jakiego rodzaju są to informacje?

—Ściśle tajne. To nie może być przeciek z fabryki. Trzeba pójść wyżej.

—Czyli?

—To informacje z najwyższego szczebla.

—Pan mówi o mojej kadrze kierowniczej?

—Być może.

Rozległo się dyskretne pukanie. Drzwi uchyliły się i do pokoju wsunął się majordomus z tacą. Przeszedł na ukos przez gabinet, zatrzymał się obok biurka.

—Kawa, proszę pana.

Nicola Martini ruchem głowy kazał mu zniknąć.

— Informacje z najwyższego szczebla, tak? — mruknął. — Cukru?

— Dwie łyżeczki.

Nicola podał Corbinemu filiżankę.

—Wydaje się panu, że to prawdopodobne?

—Wszystko jest możliwe — odparł Corbini. — W moim zawodzie nie można wykluczać niczego, nawet tego, że ktoś z zarządu takiej fabryki jak pańska, doktorze Martini, zdecyduje się z jakiegoś powodu przekazywać informacje Anglikom i Brygadam Międzynarodowym. Nigdy nic nie wiadomo.

—Jeśli rzeczywiście tak jest—głos Martiniego brzmiał oschle — z pewnością właśnie pan to wykryje.

Corbini nic odpowiedział. Zamieszał kawę. Był bardzo elegancki w jasnym garniturze z ciemną kamizelką — Martini rozpoznał natychmiast rękę świetnego krawca. Komisarz siedział niedbale w skórzanym fotelu, stojącym obok biurka. Pijąc kawę małymi łyżkami, prześlizgiwał się spojrzeniem po ciemnych ciężkich meblach, po akcie pędzla Menzia na ścianie na wprost, nad oszkloną szafką, gdzie umieszczono rzędami najpiękniejsze okazy z kolekcji zabytkowej broni



Nicoli Martiniego. Nie umknął mu żaden szczegół; nawet to, że kiedy rozglądał się wokół siebie, Martini nie spuszczał go z oka. Corbini odstawił filiżankę na biurko i zapalił papierosa.

—To oczywiste, że każda z osób, która ma regularny dostęp do pomieszczeń pańskiej fabryki, jest pod, nazwijmy to, dyskretną kontrolą.

—Tak, to oczywiste — odparł Martini. — Doskonale wiem, że produkuję broń, a nie karmelki.

—Nie pomyłę się, jeśli powiem, że Włochy są jednym z najważniejszych producentów broni na poziomie światowym?

—Zgadza się. I bez wątplenia niedługo wybiją się na pierwsze miejsce — stwierdził Martini. — Ale jeśli chce pan dokładniejszych danych, drogi Corbini, może się pan zwrócić bezpośrednio do mojego sekretarza. — Znaczenie tych słów było jasne, ale ton Martiniego nie zdradzał ani odrobiny zniecierpliwienia. Jakby gawędził niezobowiązująco z jednym ze swoich służących.

Corbini przymknął oczy.

—Dziękuję panu. Jeśli będę czegoś potrzebował... — Strzepnął popiół z papierosa do popielniczki z lapis lazuli. — Informacje pochodzą, jak już powiedzieliśmy, z wysokiego szczebla. Są to informacje dotyczące dostaw. Ile i dokąd. Czy mówię jasno? Ile i jakiej broni wysyłano w takie a takie miejsce. A to oznacza, że ten, kto otrzymuje te informacje, może z łatwością zrekonstruować strukturę militarną włoskich sił w Hiszpanii. Tajne dane, dotyczące lokalizacji naszych sztabów. Rozmieszczenia naszych wojsk... Nie wiem, czy wyrażam się dość jasno. Mowa o bardzo poważnych informacjach. To nie są rzeczy, które może wiedzieć prosty robotnik. To są informacje, które...

— Zdaję sobie z tego doskonale sprawę — powiedział Martini, bębniąc palcami o blat biurka.

— My, Włosi, faszyci, nie możemy ryzykować przegrania wojny w Hiszpanii, biorąc pod uwagę jej strategiczne znaczenie...

— Proszę, panie komisarzu. — Martini uniósł rękę. — Sam zarządzam swoją fabryką i jestem doskonale poinformowany, jak ważny był i jest przemysł wojenny dla polityki prowadzonej przez państwo. Proszę mi wierzyć.

— Oczywiście. — Corbini zgniótł papierosa w popielniczce. — Racja. Przemysł wojenny jest ściśle związany z polityką. Jak marynarka z podszewką co?

— Właśnie tak — odparł zniecierpliwiony Martini. Oparł łokcie na biurku, a podbródek na zaciśniętych pięściach. — Ale pan zapewne ma bogate dossier na temat każdego, kto jest

związany z moją branżą? Wie pan wszystko o wszystkich, prawda? Takie jest zadanie Ovry. Proszę mi to powtórzyć jeszcze raz, komisarzu, chcę być całkowicie pewien.

— Rzeczywiście tak jest. Nadzór jest doskonały, i dlatego nie mogę zrozumieć, jakim cudem pewne informacje trafiają za granicę. Ale od jakiegoś czasu, czy ja wiem, może od miesiąca... więc od jakiegoś czasu w szpiegowskiej siatce zajmującej się przemysłem wojennym jest jakiś nowy element. — Corbini zrobił pauzę. — Ktoś nowy.

Martini słuchał w milczeniu.

—Ośmieliłem się zawracać panu głowę w domu, doktorze Martini, bo chciałem zapytać, czy ostatnio nie pojawił się ktoś nowy w kręgu osób, które...

— I sądzi pan, że wasi szpiedzy pilnujący mojej fabryki nie daliby wam natychmiast znać?

— Nasi szpiedzy...

— Informatorzy, jeśli woli ich pan tak nazywać. — Martini oparł się w fotelu. Rzucił spojrzenie na zegar, nie ostentacyjne, ale na tyle długie, by dać Corbinemu do zrozumienia, że ceni sobie swój czas. Odchrząknął. —A skoro już mowa o kręgu znajomych, którzy przychodzą do mojego domu. pocieszająca jest dla mnie pewność, że pan ma na oku wszystkich i wszystko przy pomocy... no, nie wiem, na przykład jakiegoś dobrze opłacanego służącego. Może nawet mojego własnego majordomusa. Albo kierowcy.

—To kwestia bezpieczeństwa.

—Och, oczywiście — odparł Martini. — Bardzo sobie cenię tę dyskretną ochronę.

—A ten profesor Smolsky?

Nastąpiła chwila ciszy.

— Smolsky? — zapytał Martini. — A co ma do tego Smolsky?

— Bywa często w pańskim domu.

—I przychodzi pan mnie o niego pytać? Ależ, drogi komisarzu, to wasz problem znaleźć informacje na temat Smolsky'ego czy też otworzyć mu dossier. To wam się za to płaci, prawda? I to dość słono, o ile się orientuję. Za to, żeby jak najlepiej nadzorować moją fabrykę i tajemnice państwowe. Tak czy inaczej, wie pan na pewno lepiej ode mnie, że profesor jest psychoanalitykiem i że nie ma nic wspólnego z tym, czym ja się zajmuję.

— Jest cudzoziemcem, i jako taki...

— To wasza sprawa — powtórzył Martini, wstając. — Jeśli chodzi o mnie, Smolsky to przyjaciel domu i zalicza się do ścisłego kręgu moich najbliższych znajomych. A resztą zajmijcie

się sami. To Ovra została powołana, by wiedzieć o wszystkich ciemnych sprawkach, nie ja. Prawda?

— Oczywiście, doktorze. — Corbini uśmiechnął się, nie ruszając się z fotela. — To my jesteśmy policją polityczną. Magicznym okiem, które kontroluje wszystkich Włochów. To my jesteśmy od tego, żeby w każdej chwili dać Mussoliniemu kompletny i aktualny obraz tego, co się mówi w kraju. — Wstai i podszedł do Martiniego; jego wysoka postać górowała nad Nicolą. — My jesteśmy ludźmi, jak to mówi sam Mussolini, którzy nie wiedzą, co to wahanie. Jesteśmy sprytni jak lisy i szybcy jak węże...

—...i nauczyliście się trudnej sztuki prowokacji. Mieszacie się z tłumem — ciągnął Martini, krzyżując ramiona. — Należycie do każdego środowiska. Potraficie się wkręcić do każdej grupy społecznej. — Uśmiechnął się. — Jak pan widzi, Corbini, ja też znam słowa, które Duce wypowiedział na temat swojej tajnej policji.

—Tak — przyznał Corbini — ale wypowiedziane przez pana mają dziwny posmak, doktorze Martini.

—Tak pan sądzi? — Martini podszedł do drzwi i otworzył je. — Bo ja nie. Proszę nie zapominać, że jesteśmy po tej samej stronie, prawda? Mnie z całą pewnością nie wolno o tym zapomnieć.

Corbiniego odprowadził majordomus, czekający na końcu korytarza. Kiedy otwierał drzwi, na podjeździe pod latarniami zatrzymała się taksówka. Wsiadła z niej w pośpiechu Eleonora; otulając się szczelniej futrem, ruszyła prawie biegiem do wejścia. Corbini odsunął się, by ją przepuścić. Zdjął kapelusz.

—Droga pani...

Eleonora zatrzymała się i spojrzała na niego. Corbinemu jej piękna twarz wydała się blada i zmęczona. Oczy podkrążone i rozbiegane. Usta niespokojne. Ale Eleonora minęła go szybko, bez słowa, i weszła do domu.

Corbini założył kapelusz i wolnym krokiem przeciął podjazd. Zapalił papierosa i spokojnie ruszył w stronę czarnego samochodu, przy którym czekał wyprężony kierowca.

—Panie komisarzu. — Kierowca dotknął daszka i otworzył tylne drzwiczki. Corbini wsiadł do samochodu. Spojrzał przez okienko na fasadę willi, oświetloną latarniami, zarośniętą bluszczem, z dwoma ogromnymi cedrami po bokach.

—Prawdziwy luksus, co?

—Tak jest, proszę pana — odpowiedział szofer, zapalając silnik. — Dokąd jedziemy, proszę pana?

—Zanim odwiesz mnie do restauracji, zajedź na chwilę do biura.

Chcę sprawdzić jeszcze parę drobiazgów.

Eleonora leżała wyciągnięta w wannie, z głową opartą o brzeg.

—Gdzie byłaś do tej pory?

Otworzyła oczy. Nie poruszyła się, nie wynurzyła z piany.

—Gdzie byłaś? — Słowa Nicoli brzmiały groźnie, ale nie było tego widać po jego twarzy. Uśmiechał się zza uchylonych drzwi.

—Och, tu i tam... — Eleonora zmusiła się, by odwzajemnić uśmiech.—Spotkałam koleżankę ze szkoły. Nie mogłyśmy się nagadać. Byłyśmy u Biffiego.

—Do wpół do dziewiątej?

—A co to? Przesłuchanie? — zaryzykowała żart. ale mówiąc to, przeciągnęła gąbką po twarzy, by ukryć niepokój. Serce tłukło jej się w piersi. Zaczyna się farsa pod tytułem zdrada, pomyślała, nienawidząc samej siebie. Zaczynają się kłamstwa.

—Ależ nie, dlaczego zaraz przesłuchanie?—Nicola podszedł i usiadł na wiklinowym stoiku obok wanny. — Chciałem tylko wiedzieć, czy miałaś miłe popołudnie.

—Przepraszam, że wróciłam tak późno, ale wiedziałam, że dziś nie mamy gości i pozwoliłam sobie na trochę swobody. Jemy dziś kolację sami, prawda?

—Tak. — Nicola zmienił nagle ton głosu, — Wyjdź, ja cię wytrę.

Eleonora zaniknęła oczy.

—Jeszcze chwileczkę. — Miała nadzieję, że Nicola sobie pójdzie, nie chciała, żeby widział ją nago. Żeby jej dotykał. Jeszcze raz przejechała gąbką po twarzy. Zostawiła Jaro niecałe pół godziny temu, kiedy zorientowała się — wciąż jeszcze w jego ramionach — że jest już ósma, Ubierała się w pośpiechu, a Jaro usiłował uciszyć jej niepokój. Była przerażona, że musi wrócić do domu o tej godzinie bez wiarygodnej wymówki.

—Zaraz kolacja. — Nicola stał przy wannie z rozpostartym ręcznikiem w rękach. — No już, wylaż.

Eleonora otworzyła oczy.

—Nie—odparła stanowczo. — Daj mi jeszcze chwilę. Zmarzłam. Dzisiaj było strasznie zimno. Muszę posiedzieć jeszcze trochę w gorącej wodzie.

—A kolacja? — sprzeciwił się Nicola, ale składał już ręcznik. Położył go na stołku. — Pośpiesz się, żebyśmy nie umarli z kapitanem z głodu. Potargał jej pieszczotliwie włosy. Ale kiedy był już przy drzwiach, zatrzymała go:

—Czekaj. Co on tutaj robił?

—Kto?

—Komisarz Corbini.

—Znasz go? Jakim cudem?

—Przez Marię, moją pokojówkę z Bolgheri. Przyszedł ją aresztować, właśnie on, w dniu moich... no, kiedy zaręczałam się z Paolem. W sierpniu. A potem... — urwała.

—Corbini? Osobiście? — Nicola przystanął w progu. Z rękami w kieszeniach, oparty o futrynę, spoglądał na Eleonorę z powagą. — W takim razie to musiało być coś poważnego.

—No wiesz, ona była żoną... cóż, twierdzili, że to wywrotowiec.

— Toteż właśnie! — Nicola wzruszył ramionami. — Corbini zawsze doprowadza sprawy do końca, choćby miał dopaść najdalszego krewnego kogoś...

—Ale co robił u nas?

—Skarbie, zapominasz, za kogo wyszłaś. Mamy fabrykę broni. Policja polityczna ma obowiązek jej pilnować. Tu chodzi o tajemnice państwowe, rozumiesz?

Eleonora w milczeniu wycisnęła gąbkę. Jak błyskawica stanęło jej przed oczami wspomnienie Smolsky'ego przebranego za księdza, siedzącego w kącie przedziału. I Corbini, który wszedł się przywitać, zdejmując kapelusz.

—Co ci jest, Eleonoro?

—Mnie? — Eleonora uniosła twarz i spojrzała na męża.

—Wydajesz się bardzo przejęta. Co się dzieje?

—Ależ nic — odparła pośpiesznie — tylko że... — Usiadła; jej piersi wynurzyły się z wody. Natychmiast położyła się z powrotem, chowając je w pianie. — Nic — westchnęła. — Po prostu nie lubię tego człowieka. Kiedy zastałam go w pokoju Marii, wtedy, w Bolgheri, wystraszył mnie. Nie uważasz, że ma nieprzyjemną twarz?

—Być może — odparł Nicola. Spojrzał na zegarek. — Pośpiesz się. Już prawie dziewięta. Wolałbym zjeść tę kolację jeszcze dzisiaj. —I zostawił ją samą

Kiedy kilka minut później Nicola wszedł do pokoju kapitana, zastał go na wózku inwalidzkim, przed lustrem. Staruszek wiązał krawat. Służący porządkował ubrania w kącie pokoju.

—Wyjdź — rozkazał Nicola, przechodząc obok niego. Służący natychmiast spełnił polecenie.

—Do licha z tym krawatem — burknął kapitan.—Ty mi zawiąż. Co się stało? Dlaczego wyrzuciłeś Daria?

—Chciałem z tobą chwilę porozmawiać — powiedział Nicola, biorąc się za krawat. — Siedź spokojnie, bo nie dam rady. Trudno mi wiązać krawat komuś innemu.

—Uff— sapnął kapitan. — Zostaw, sam zawiążę. Wyjdzie jak wyjdzie. Dziś wieczorem nie planujemy wielkiej gali. No więc, o czym chciałeś rozmawiać? Coś poważnego?

—Był tu komisarz Corbini.

Ręka kapitana zawisła w powietrzu.

—Kto? Corbini?

—No tak, z Ovry. Jest jednym z najwyższych funkcjonariuszy, nie pamiętasz?

—Pamiętam doskonale —mruknął kapitan i znów zaczął szarpać się z krawatem. — Poznałem go, kiedy przyszedł do biura z tym swoim fagasem... jak mu tam było? Damiani, zdaje się. — Pstryknął palcami w krzywy węzeł krawata: — Tak chyba dobrze, jak myślisz?

— Doskonale — uśmiechnął się Nicola. częstując go papierosem z paczki.

Kapitan pokręcił niecierpliwie głową.

— Powiedz, czego chciał Corbini. — Kiedy Nicola streszczał mu rozmowę, kapitan bujał się na wózku, poruszając w przód i w tył kołami, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w przestrzeń za oknem, przez które między zasłonami i otwartymi okiennicami zaglądało czarne gruniove niebo.

—Słuchasz mnie? — zapytał Nicola. Zdawało mu się, że staruszek błądzi myślami Bóg wie gdzie.

—Uważaj, chłopcze. Uważaj. Przeciek informacji. To chyba niemożliwe. Musiał się pomylić.

—Nie, dziadku, nie pomylił się. Corbini to kawał sukinsyna, ale zna się na swojej robocie i dobrze ją wykonuje. Jest bardzo inteligentny. Ma nadzwyczajną pamięć. Stworzył doskonałą sieć informatorów. Widocznie udało mu się wetknąć kogoś w kręgi Intelligence Service albo między komunistów współdziałających z Brygadami Międzynarodowymi. Jeśli Corbini mówi, że jest przeciek, to znaczy, że jest.

—Dlaczego mówisz, że to sukinsyn? Oczywiście poza jego zajęciem.

—Nie zaczynaj znowu, dziadku. Nie chcę się wdawać w kolejną dyskusję polityczną. Corbini wykonuje swoją pracę, tak jak ja wykonuję swoją. Wiesz doskonale, że potrzebujemy również takich ludzi jak on i to skutecznych. Co nie zmienia faktu, że przy okazji straszne z niego ścierwo. Nienasycone, bez skrupułów i z piekielnym zamiłowaniem do luksusu. — Nicola przerwał. Ze zmarszczonymi brwiami zgasił papierosa.

—No dobrze, żadnych dyskusji. Ale powiedz no mi jeszcze coś o tym Corbinim.

—Corbini jest przerażająco okrutny. Jak by ci to wyjaśnić... jedna z jego kobiet, a kobiet ma wiele, bo szaleje za nimi, no więc, miała młodego adoratora, chłopaka, który się do niej zalecał. Corbini bez zmrużenia oka usunął go sobie z drogi. Spreparował całą serię dowodów, oczywiście fałszywych, przeciwko temu biedakowi i posłał go przed Trybunał Nadzwyczajny pod zarzutem działalności wyrotowej. Dali mu Bóg wie ile lat więzienia czy zsyłki. Rozumiesz?

—Przemięły chłopiec ten Corbini.

—Nawet mnie czasem przyprawia o dreszcze, kiedy na niego patrzę.

Dziś też mówił tym swoim pogardliwym tonem o misji Ovry i o umiejętnościach swoich ludzi. Zamyka wywody zawsze w ten sam sposób. Czasami wydaje mi się, że używa słownictwa niczym z książki dla młodzieży faszystowskiej, pompatycznej i denerwującej. Te jego zdania: „ludzie, którzy nie wiedzą, co to wahanie”, „sprytni jak lisy i szybcy jak węże...”

—Ja też to słyszałem, kiedy u mnie był. Widocznie to jego ulubiony fragment. Sprytni jak lisy i szybcy jak węże. Myślałby kto! Ten jego podnózek, ten Damiani, to raczej nosorożec. Nie chcę go więcej widzieć.

—Ależ oczywiście, uspokój się.

—Powiedział ci coś jeszcze, ten Corbini?

—Pytał mnie o Smolsky'ego — powiedział Nicola, idąc do drzwi, by je otworzyć. "Nie mógł widzieć twarzy kapitana, na której odmalował się lęk. Kiedy Nicola wrócił po niego, starszek zdołał już się opanować.

—A co ma z tym wspólnego Smolsky, do cholery? — warknął, zirytowany jeszcze bardziej niż przed chwilą.



—Nie wiem.

Nicola stanął za jego plecami i zaczął pchać wózek.

—Smolsky jest w Mediolanie od niedawna. Od niedawna zalicza się do naszego kręgu znajomych. Jest cudzoziemcem. Wszystko to powody, by mieć na niego oko.

Wyszli na korytarz. Podeszedł do nich pełen uszanowania służący.

—Może ja popchnę?

—Nie, proszę iść — odparł Nicola. Ale służący nie ruszał się z miejsca, niepewny, co ma zrobić. Dopiero kiedy kapitan burknął: — No już. Dario, zejdź nam z oczu! — służący oddalił się na koniec korytarza. —Nie zrozumieć nigdy, dlaczego mówisz do służących per „pan” — dodał. Zaklął przez zęby. — Co jeszcze ten typek powiedział ci o Smolskym?

—Przejmujesz się tym?

—Lubię Smolsky’ego. Dobrze gra w szachy. Dotrzymuje mi towarzystwa. Nie chcę, żeby go zgarnęli.

—Nie martw się. Takie pytania były oczywiste. Corbini najwyraźniej obserwuje także nasz dom, naszych gości i przyjaciół. — Weszli do sali jadalnej.

Eleonora stała przy rozpalonym kominku. Trzymała w ręce kieliszek aperitif. Miała na sobie sukienkę z miękkiej wełny w kolorze antracytu, o skomplikowanym kroju, zmarszczoną na ramionach i z głębokim spiczastym dekoltem. Tuż powyżej lewej piersi przypięła broszkę, którą podarowała jej babka. Wspaniały klejnot połyskiwał pięknie na ciemnym materiale. Ale zanim Eleonora odwróciła się i ruszyła im z uśmiechem na spotkanie, Nicola zdążył ogarnąć wzrokiem całą jej postać. W pięknym skupionym profilu twarzy, zwróconej do ognia, wyczytał głęboki smutek, który go zaniepokoił. Uniosła głowę gwałtownym przestraszonym ruchem; w jej uśmiechu Nicola dostrzegł wysiłek, jakby z trudem zmuszała się do okazania fałszywej radości. A przynajmniej tak mu się wydawało. Miał ją na oku podczas kolacji: jedli w milczeniu, bezszelestnie obsługiwani przez służących. Eleonora — z manierami grzecznej dziewczynki, która siedzi prosto i trzyma łokcie przy sobie — nakładała sobie obfite porcje, jak to często robiła, kiedy była niespokojna. Nicola obserwował ją cały czas, kiedy tak jadła, nie odrywając oczu od talerza, myślami błądząc gdzieś daleko.

Kapitan też był nie w humorze, milczący. Przyglądał się jedzeniu, jakby podejrzewał, że jest zatrute, jeszcze przed końcem kolacji zawołał swojego służącego. Przeprosiwszy Eleonorę, kazał się zawieźć do swojego pokoju, nie jedząc deseru.

—Co się dzieje? — zapytał Nicola, kiedy po kolacji, w salonie, został wreszcie sam na sam z żoną. — Co ci jest? Jesteś jakaś nerwowa.

—Ja?

—Nerwowa i blada. To widać, chociaż nałożyłaś tyle różu.

—Nie zachowuj się jak moja matka, błagam cię... — mruknęła Eleonora, wsypując łyżeczkę cukru do filiżanki. — Ona też krytykowała mój makijaż. Teraz pewnie mi jeszcze powiesz, że jadłam dziś za dużo, że opychałam się jak zwykle, kiedy jestem spięta.

—Zauważyłem.

—Byłam głodna.

—Ale byłaś spięta. Dlaczego?

Spojrzała na niego, nie odpowiadając. Jej ciemne oczy przypominały Nicoli oczy niektórych dzieci, kiedy patrzą w ten swój poważny, obcesowy sposób, który wprawia dorosłych w zakłopotanie. Teraz wydały mu się nieodgadnione.

—Co ci jest?—zapytał po chwili, marszcząc brwi. — Jesteś jakaś dziwna.

Eleonora opuściła powieki.

—Naprawdę?

—Jesteś na mnie zła?

—Nie.

—Zrobiłem coś nie tak? — Nicola uśmiechnął się, ale ona nie odwzajemniła mu się tym samym. Bawiła się łyżeczką, nie pijąc kawy. — Stało się coś, co cię zmartwiło? Eleonora rzuciła mu spojrzenie, trwające ledwie ułamek sekundy, i znów zapatrzyła się w ogień. Nicola kazał rozpalić w kominku również w salonie. Podobały mu się refleksy płomieni na luksusowych sprzętach i na pięknej twarzy żony, na jej włosach koloru bladego złota.

—Jesteś dziś bardzo piękna. Piękniejsza niż zwykle. Jesteś w melancholijnym nastroju i to ci jeszcze dodaje urody.

—Kochasz mnie? — zapytała Eleonora po kilku minutach ciszy. — Naprawdę mnie kochasz? — Wpatrywała się w płomienie.

—Ależ oczywiście...

—I... — zawahała się, ale w końcu zapytała cicho: — Jesteś naprawdę bardzo o mnie zazdrosny?

To pytanie zadźwięczało w uszach Nicoli jak dzwon alarmowy. Co się dzieje? — zadał sobie w duchu pytanie. O czym ona mówi, do diabła? Zapalił papierosa i wydmuchnął dym, nie odrywając oczu od poważnej twarzy Eleonory.

—Tak, jestem zazdrosny. Dlaczego pytasz?

Potrząsnęła głową nie odpowiadając.

—A nie powinienem? — zapytał Nicola. — To oczywiste, że jestem zazdrosny. Jesteś moją żoną. Jesteś olśniewająca. Nie piękna, olśniewająca. Jesteś moja. Kto nie byłby zazdrosny o taki skarb?

Eleonora patrzyła na niego w milczeniu. Nicola wstał z kanapy, zirytowany. Podeszedł do kominka i przez chwilę wpatrywał się w płomienie.

Czyżby czuła się zaniedbywana? Czy to był powód jej smutku? Widziała się z koleżanką ze szkoły, kto wie, o czym rozmawiały — kobiece zwierzenia, intymne łózkowe sprawy — Eleonora miała pewnie okazję do porównań. Czy to ją martwiło? Świadomość, że jej mąż nie jest w sprawach seksu niczym nadzwyczajnym? Nicola zacisnął zęby i schylił się, by

podsyć ogień. W końcu odwrócił się do żony i zapytał gniewnie:

—Do licha, mogę wiedzieć, co cię napadło? O co ty mnie oskarżasz?

—Ja? Ależ o nic... — odparła półgłosem. Była szczerze zdumiona. — O nic cię nie oskarżam, na litość boską!

—A więc?

Nie odpowiedziała, siedziała tylko na fotelu, z rękami na podolku i pochyloną głową. Nicola podeszedł do niej i gwałtownym ruchem wziął w dłonie jej twarz.

—Płaczesz?

Eleonora miała zamknięte oczy. Wargi jej drżały.

—Ale dlaczego?

Chwyliła jego nadgarstki obiema dłońmi, kręcąc głową i nie przestając płakać. Nicola podniósł ją niemal siłą wciąż wpatrując się w nią badawczo, bardziej zirytowany niż wzruszony.

—Ależ co się dzieje?

—Nic —oparta głowę na jego ramieniu. — Nic — powtórzyła, szlochając spazmatycznie. Objęła go za szyję.

Kobiety! — pomyślał z nagłą niechęcią. Odsunął ją od siebie delikatnie, posadził i osuszył łyzy własną chusteczką. — Jak dziecko. Zupełnie cię nie rozumiem.

Eleonora wzięła chusteczkę i schowała ją w niej twarz.

—Przepraszam.

—Za co?

—Tak jakoś... ja...

—Co, ty?—Zapytał Nich. Nie odpowiedziała. — Hej! — powiedział w końcu niemal żartobliwie, — Przecież cię kocham. Może nie jesteś o tym przekonana? Kocham cię, zależy mi na tobie. A przede wszystkim nie mógłbym żyć bez ciebie — dodał, poważniejąc nagle. — Zapewniam cię. Tak właśnie jest.

—Naprawdę?

—Nie mógłbym.

—Tak bardzo ci na mnie zależy?

O tak, pomyślał Nicola, czując nagłe ukłucie w sercu. Zależało mu, ito jak. Nie zniósłby, gdyby zabrakło jej u jego boku. Pogłaskał ją po włosach, niezdolny wyrazić, co czuje.

—Więc? — mruknęła Eleonora. — Nic nie powiesz?

—Jesteś ze mną szczęśliwa?

Eleonora oparła czoło o jego twarz i westchnęła.

—O tak, kocham cię—szepnęła mu do ucha.—Bardzo. Naprawdę. Nie chciałabym nigdy sprawić ci bólu. Spojrzeli sobie w milczeniu w oczy. Nagle Nicola wstał. To jej przenikliwe spojrzenie dziś wieczorem było dla niego jeszcze bardziej nieznośne niż zwykle.

Podszedł do barku na kółkach, nalał drinka Eleonorze i sobie i usiadł na kanapie.

—Chodź tu — rozkazał. — Usiądź przy mnie.

Usiadła obok niego. Nicola podał jej kieliszek i uniósł swój Jak do toastu.

—Za kilka dni Boże Narodzenie. Pierwsze nasze, wspólne. Obsypię cię podarunkami, skarbie. Nawet nie masz pojęcia, jakimi.

Eleonora uśmiechnęła się słabo.

—Zorganizowałem już całe święta — ciągnął Nicola. — Nic ci jeszcze nie mówiłem, ale myślę, że będziesz szczęśliwa. Zaprosimy tutaj twoją matkę i Jacopa.

—Moją matkę?

—Gisla dzwoniła do mnie po południu. Przyjeżdża jutro. Nie cieszysz się?

Eleonora skinęła głową, ale nic nie powiedziała.

—Potem, dwudziestego szóstego, wyjeżdżamy we dwoje.

—Wyjeżdżamy?

—Jedziemy do Cortiny. Zrobiłem już rezerwację w hotelu Cristallo. Zostaniemy tam do Nowego Roku. Umiesz chyba jeździć na nartach?

—Tak.

—Nie lubisz jeździć w góry?

—Ależ tak — odpowiedziała uprzejmie, bez entuzjazmu.

Nicola zacisnął usta, znów zirytowany. Nie spodziewał się po niej wybuchów radości — dobrze znał swoją żonę i wiedział już, że była dość chłodna. Delikatnie mówiąc. Ale teraz przesadzała z tą swoją obojętnością.

—Jak na dwadzieścia lat albo niewiele więcej — stwierdził złośliwie — naprawdę brakuje ci trochę witalności, moja droga.

Eleonora milczała, patrząc w szklanke.

—Przykro mi — mruknęła w końcu.

Nicola rzucił okiem na zegarek. Wstał.

—Idziesz spać?

Przytaknęła bez słowa.

—Już prawie jedenasta. Chodź. Odprowadzę cię do pokoju. — Otworzył drzwi. — No już, ruszaj się.

Eleonora podeszła do niego.

—Jesteś na mnie zły? — zapytała półgłosem.

—Nie — skłamał.

—Wydawało mi się — powiedziała cicho.

Nicola ruszył za nią korytarzem, wszedł po schodach. Spoglądając na jej smukłą talię i krągłe biodra, pomyślał, że miała rację; był na nią zły i to jak! Był na nią wściekły. Czy to możliwe, że już cały czas będzie taka zgaszona, apatyczna? Że nie będzie umiała wykrzesać z niego choćby odrobiny żądz? Może to i wulgarne, ale chciał, by go podniecała, by rozpałała w nim pożądanie, nieprzyzwoitą namiętność. Wszedł z nią do sypialni, wziął za rękę i odwrócił przodem do siebie. Wsunął dłoń w dekolt i ścisnął pierś. Eleonora zamknęła oczy. Nie poruszyła się.

Po chwili Nicola zabrał rękę.

—Dobranoc — rzucił i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Wszedł do swojego pokoju i długo stał przy oknie, wpatrując się w ciemność. W końcu wrócił do Eleonory. Zastał ją w łazience, zajętą zmywaniem makijażu. Miała na sobie szlafrok.

— Eleonoro...

—Tak? — Wydala mu się przestraszona.

—Wybacz mi. Ja też jestem trochę rozstrojony. Przepraszam.

—Za co? — szepnęła.

—Po pierwsze, nie wiem... odniosłem wrażenie, że między nami jest jakieś nieprzyjemne napięcie. A poza tym, hm, nie byłem zbyt...

—Nie, nie przejmuj się.

— W takim razie dobranoc. — Podeszedł do niej, pocałował w czoło. Zanim wyszedł, uśmiechnął się: — Nie chce mi się jeszcze spać. Pójdę na brydża, żeby uspokoić nerwy. W porządku?

Eleonora skinęła głową. Odwzajemniła uśmiech.

Prowadząc swoją lambdę, Nicola ruszył do centrum. Przebrał się; teraz miał na sobie bardzo eleganckie ciemne ubranie. Mediolan był opustoszały. Nieliczni przechodnie, przygarbieni z zimna, przemykali pod ścianami domów. Pustawe tramwaje toczyły się ze zgrzytem ulicami. Skręciwszy w via Dante, Nicola zjechał na prawą stronę i zaparkował samochód. Przeszedł pieszo jakieś sto metrów. W końcu wygrzebał z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi kamienicy na rogu. Wjechał windą na czwarte piętro. Zapukał dwa razy w jedyne drzwi na korytarzu, z ciemnego orzechowego drewna. Jedno puknięcie mocniejsze, drugie lżejsze. Drzwi uchyliły się i Nicola wśliznął się do środka. W różowawym świetle małej lampki napotkał natychmiast nieprzy-

jemne spojrzenie dwojga oczu, ocienionych długimi ciemnymi rzęsami.—No, nareszcie... — słowa zabrzmiały rozwlekłe, ton był obrażony.

—Nie narzekaj, dobrze? — odparł niecierpliwie Nicola. Położył kapelusz na fotelu obok drzwi wejściowych, zdjął rękawiczki i palto.

—Elegancki jesteś.

—Tak sądzisz? — Nicola obrócił się do chłopaka, który wciąż przyglądał mu się uważnie tymi swoimi wilgotnymi czarnymi oczami.

—Wspaniałe ubranie.

Chłopiec odgarnął włosy z rzeźbionego czoła — był tak piękny z prostymi brwiami, z ciemnymi oczami, z zuchwałymi wargami, czerwonymi i błyszczącymi, że Nicola poczuł skurcz w żołądku. Chłopak miał na sobie coś w rodzaju tuniki, sięgającej prawie do kostek i odsłaniającej jego gładką pierś. Był bosy.

—Piękne, tak... — pochwalił jeszcze raz, zerkając z zazdrością na ubranie Nicoli. — Ja też bym takie chciał, tylko jaśniejsze.

Odwrócił się i, kołysząc smukłym ciałem, ruszył przed Nicolą do salonu.

—Usiądziesz? — wskazał puf z białej skóry na środku pokoju, którego podłoga przykryta była dywanami i zasłana poduszkami. W powietrzu unosił się słodkawy zapach. — Może zdejmij najpierw marynarkę... — Sam pomógł Nicoli się rozebrać.

W końcu zdjął tunikę i stanął nagi przed Nicolą, siedzącym na pufie.

Na lewej kostce chłopaka Nicola zauważył złoty łańcuszek, który podarował mu jakiś miesiąc temu.

—Chcesz się czegoś napić? — zapytał młodzieniec, idąc w stronę niskiego stoliczka, na którym stało w równym rzędzie kilka butelek. — Mam zdjęcia... zobaczysz — odwrócił głowę i uśmiechnął się.

Nalał alkohol do kryształowego kieliszka.

—Tak długo się nie pokazywałeś. Prawie dziesięć dni.

—Długo? — Nicola wziął kieliszek.

—Nudzę się, często się nudzę — powiedział chłopak, przeciągając jeszcze bardziej słowa, przybierając zmysłowy ton.

Chwilę potem, siedząc na dywanie u stóp Nicoli, otworzył album z fotografiami w safiano-  
wych okładkach.



—No i? — zapytał. — Co powiesz? Zrobiła je Nadia. Inteligentna dziewczyna, nie uważasz? — I śmiał się, wskazując szczegóły. — Podoba ci się ten chłopak, który jest ze mną? Ma jasne włosy. Ładny, prawda?

Nicola skinął głową.

Młodzieniec położył mu rękę na kolanie.

—Jeśli chcesz blondyna, to jest wolny, ale... — spojrzał na Nicolę, śmiejąc się złośliwie. Uniósł wolną rękę i potarł palec wskazujący o kciuk. — ..kosztuje. — Schylił się nad albumem i zaczął powoli odwracać strony. — A to?

—Jak poznałeś tego drugiego? — zapytał Nicola, głaszcząc kędzierzawą głowę ulubieńca, który przymknął oczy jak kot.

—Poznałem go przypadkiem. Zazdrosny?

—Ależ skąd — uśmiechnął się Nicola.

Chłopak wybuchnął śmiechem.

—No tak, ależ jestem głupi. Ty jesteś zazdrosny tylko o tych w twoim wieku. Już ja cię znam.

Nicola nie odpowiedział.

— Nie przejmuj się — powiedział młodzieniec, zamykając album. —Nie przejmuj się, jestem ci wierny.

—Naprawdę? — mruknął Nicola, przesuając dłoń po jego chudych, niemal wątłych plecach. — Naprawdę jesteś mi wierny?

Smolsky wyglądał przez zamknięte okno, wychodzące na corso di Porta Ticinese. Chodniki były zatłoczone; zieleń tramwajów była jedynym kolorowym akcentem. Ludzie byli szarzy pod szarym niskim niebem tego zimnego popołudnia dwudziestego pierwszego grudnia J 937 roku.

Z kościoła Sanffustorgio, którego fasada widniała kawałek dalej, dobiegły trzy szybkie uderzenia dzwonu.

Smolsky odwrócił się od okna. wyjął z ust papierosa.

—Wystarczy już. — Machnął ręką w powietrzu.

—Już? — Mężczyzna siedzący przy nadajniku radiowym odsunął słuchawki na tył głowy.  
— Nadajemy niecałe pięć minut, myślałem, że...

—Nie, dość — powiedział Smolsky.

—Widziałeś kogoś?

—Nie, ale musimy być ostrożni. Jeśli nas wyłowią...

Mężczyzna odłożył słuchawki na stół i wstał. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, był niski i miał węzłaste ręce. Na jego twarzy, porytej przedwczesnymi zmarszczkami, z czołem przeciętym grubą poprzeczną krechą, malował się gniewny wyraz. Jego żywe oczy były zmrużone ze zdenerwowania. Podeszedł do kredensu, stojącego pod ścianą kuchni, obok okna. i nalał sobie z wielkiej butelki szklankę czerwonego wina. Kiwnął szklanką w stronę Smolsky'ego.

—Chcesz?

Smolsky pokręcił głową. Schylił się nad papierami porozkładanymi obok nadajnika.

—Zostało jeszcze mnóstwo...

—No właśnie — odparł sucho mężczyzna. Stał na środku pokoju z ręką na biodrze i powoli opróżniał szklankę.

Kuchnia była mała, ściany tu i ówdzie popękane. Podłoga z wydeptanych czerwonych płytek lśniła czystością. Pod białym stołem z marmurowym blatem stały dwie drewniane skrzynie wypełnione książkami. Można było przeczytać tytuł dwóch pierwszych z brzegu: *Germinal* Emila Zoli i *Les Refraclaires Jules'a Valles'a*. Na wyplatanej krześle w kącie spał kot z podrapanym pyszczkiem. Oprócz kredensu, kuchenki i zlewu w kącie w pomieszczeniu był już tylko mały stolik, na którym stał nadajnik. I kilka krzeseł.

—Ja bym nadawał dalej — powiedział mężczyzna, odstawiając szklankę. — Jeśli mi pomożesz, skończymy raz—dwa.

—Rozmawiałem wczoraj wieczorem z Ugo — odparł Smolsky, gasząc papierosa. — Potwierdził, że po mieście jeździ więcej samochodów z pelengatorami. Policja polityczna wzmogła nadzór. Z Corbinim na czele, zdaje się.

—Ja tam ich nie widziałem w tej okolicy. — Mężczyzna podeszedł do okna. Wyrzwał na ulicę, zerknął w niebo. — Mówisz, że będzie śnieg?

—Jest za zimno — burknął Smolsky, siadając przy radiu. — Będę nadawał przez dwie minuty, a ty miej oko na ulicę i powiedz mi, kiedy czas się skończy.

—No dobra, zaczynaj — odparł mężczyzna. Skrzyżował ramiona na granatowym golfie, opinającym jego muskularną pierś, i oparł się o ścianę obok okna. Od czasu do czasu rzucał

okiem na zegarek, potem na ulicę, i w końcu obracał się, by spojrzeć na Smolsky'ego, który siedział przy nadajniku i błyskawicznie biegał palcami po klawiaturze. Doskonały „pianista” — uśmiechnął się do siebie mężczyzna w golfie. — Dzielny chłop, choć udaje wielkiego pana. Dziś też miał na sobie ubranie jak jakiś księżę, eleganckie, z kamizelką, krawatem i całą resztą. Trzeba mu powiedzieć, żeby nie stroił się tak przed przyjściem tutaj. Takie ubranie prędzej czy później wpadnie komuś w oko, a faszystowskich szpiegów nie brakuje i w tej dzielnicy.

—Hej, dwie minuty — mężczyzna machnął ręką. Smolsky wyprostował się i zdjął słuchawki.

—*Verflucht!* — warknął. — Nie doszedłem nawet do połowy!

—Co ty powiesz?

—No.

—Masz pietra? Bo ja nie.

—Tu nie chodzi o strach — odparł Smolsky, wstając z krzesła. — Chodzi o to, że jak nas złapią, nikt inny nie będzie w stanie przekazywać tych informacji. Ugo wyraźnie mówił: żadnego niepotrzebnego ryzyka.

—A ty zawsze słuchasz Ugo?

—Jest moim przełożonym tu, w Mediolanie — odparł Smolsky sucho.

— A ja uważam, że takiej roboty jak nasza nie można wykonywać według własnego widzimisię. To zbyt niebezpieczne.

Mężczyzna wydłubał papierosa ze zmiętej paczki, leżącej na stole.

—Kiedy wyjeżdżasz?

—Dziś wieczorem. Mam pociąg dziesięć po dziesiątej.

—A wracasz?

—Powiedzmy, że około dwunastego stycznia.

—Zobaczysz się z Ugo przed wyjazdem?

Smolsky zerknął na zegarek.

—Tak, za pół godziny. Właściwie powinienem się już zwijać.

—A to? — Mężczyzna wskazał kartki z informacjami. — Kto to prześle?

—Zabiorę to. — Smolsky zgarnął papiery, złożył i wsunął do kieszeni.—Przekażę je osobiście.—Następnego dnia w Wiedniu miał się widzieć z Kristenfeldem. Niech on się martwi, jak przesłać resztę do Londynu.

—I będziesz tak chodził z tym wszystkim przy sobie? Nawet nie zrobisz mikrofilmu?

—Przyniosłem to aż tutaj, nie? — odparł Smolsky. Podeszedł do okna i wyjrzał na ulicę.—  
Idę.

—Jeśli cię zrewidują, wiesz, co cię czeka? — Mężczyzna przesunął palcem po gardle. —  
Poślą cię prosto przed Trybunał Nadzwyczajny. —Coś ty, naprawdę? — zapytał Smolsky z  
ironią.—W życiu bym na to nie wpadł, drogi Sandro. — Mężczyzna uśmiechnął się. Brakowało  
mu dwóch górnych zębów.

—No to kiedy się zobaczymy?

—Przez jakiś czas siedź cicho—powiedział Smolsky. —Czekaj spokojnie do mojego przy-  
jazdu. Możesz się mnie spodziewać, powiedzmy... trzynastego stycznia o szóstej?

—Przyjdź dwunastego. Jestem przesądny. Może to i bzdury, ale trzynasty nijak mi się nie  
widzi.

—Co takiego?

—To mediolański żargon. To znaczy, że mi się nie podoba. Słuchaj, jedna drobna uwaga, je-  
śli mogę...

—Jasne.

—Nie ubieraj się tak elegancko, kiedy do mnie przychodzisz. — Sandro puknął go w klapę  
marynarki. — Rzucasz się w oczy. Ostatnim razem było lepiej, byłeś na sportowo. Ale i tak za  
elegancko. Jeśli chcesz — uśmiechnął się — załatwię ci ubrania odpowiednie dla takich jak ja.  
— Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Nam łachmanów nie brak.

—No dobrze, pogadamy o tym jeszcze. — Smolsky poklepał go po ramieniu i spojrzał mu w  
oczy. — Uważaj na siebie, dobra?

—A co mi może teraz grozić? Żadnych transmisji przez dwadzieścia dni. a ja tu siedzę jak u  
babci pod pierzyną, przyjacielu. Odprowadził Smolsky'ego do drzwi na końcu wąskiego ciemne-  
go korytarzyka.

—Pozdrów ode mnie Ugo. Ja go nie odwiedzam ze względów bezpieczeństwa. Pozdrów go  
ty. I jego żonę też. Kawał blondyny, widziałeś ją?

—Nie. — Smolsky zdjął palto i kapelusz z wieszaka w kształcie serca. —Nigdy jej nie  
widziałem.

— Kobietka, że palce lizać, ale kapryśna. No, trzymaj się. Sandro uchylił drzwi. Na pożegnanie spojrzeli sobie jeszcze w oczy.

Smolsky zbiegł szybko po schodach. Przy drzwiach wyjściowych zatrzymał się, założył kapelusz i wyszedł, omiatając wzrokiem ulicę. Pod kościołem kilku chłopców kopało piłkę, przed ich zaczerwienionymi twarzami tańczyły w zimnym powietrzu chmurki oddechów. Nie było nikogo innego.

Smolsky ruszył ulicą, zatrzymując się co chwila przed wystawami i oglądając się od niechcienia za siebie, aż upewnił się ostatecznie, że nie jest śledzony. Ludzie mijali go w pośpiechu, od czasu do czasu jakaś dziewczyna rzucała mu wymowne spojrzenie, jezdnia zatłoczona była ciężarówkami, tramwajami. Przed tawerną, z której dobiegały krzyki ludzi kłócących się przy kartach, stały dwa samochody policyjne.

Smolsky minął skrzyżowanie i dotarł pod kolumny San Lorenzo. Wszedł do baru naprzeciwko i pijąc kawę, obserwował przez oszklone drzwi fasadę kościoła i przechodzących ludzi. Wyszedłszy z baru, skręcił na via Giangiacomo Mora i chwilę później wszedł w bramę warsztatu, nad którą szyld z niebieskich ozdobnych liter głosił pompatycznie: „Naprawa samochodów” Ugo w ciasnym, brudnym kombinezonie stał pochylony z głową w silniku balilli. W warsztacie płatali się jeszcze dwaj mechanicy — wyrostek i starszy mężczyzna — kłócąc się głośno w mediolańskiej gwarze, kompletnie niezrozumiałej dla Smolsky'ego.

—Skończyłeś?

—Jatka — odparł Ugo, nie podnosząc głowy. — Istna jatka.

—To ty mi wypożyczyłeś ten samochód, mój drogi. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

—Ten wirnik jest uszkodzony, bo ja wiem... — Ugo uniósł w końcu głowę. Długie włosy zasłaniały jego szare oczy. — Wszystko w porządku? — mruknął. W jego oczach widać było niepokój.

—Transmisje za krótkie, nie mogę z niczym zdążyć — odparł Smolsky, opierając się o maskę. — Papierosa?

—Nie, chcę rzucić — odparł Ugo. — Kiedy wstaję rano, brakuje mi oddechu. — Znów zaczął grzebać w silniku. — Złapali dwóch, wczoraj wieczorem. Zgarnęli ich, kiedy wracali do domu.

— Z naszej siatki?

—Nie, ale towarzysze.

—A — powiedział Smolsky — towarzysze. To już drugi raz w ciągu ostatnich dni, kiedy łapią komunistów.

—Widocznie gdzieś musi być szpieg — Ugo zaklął przez zęby, unosząc twarz. — Zastrany szpieg. Nie ma innego wyjaśnienia. Policja zjawia się tylko jak dostanie donos. Inaczej by się nie zorientowali.

—Ba, kto wie — mruknął Smolsky. — Zdaje się, że są dość sprytni.

—Ci od Corbiniego tak! Ale reszta? Niestety, wszędzie mają pełno informatorów, bądź cały czas bardzo ostrożny.

—Wczoraj mnie śledzili — powiedział Smolsky. — Dowiedzieli się widocznie, że bywam w domu Martiniego i założyli mi dossier

—Śledzili cię?

—Tak — Smolsky zgasił papierosa o ścianę i rzucił niedopałek na ziemię. — Kiedy wyszedłem z restauracji. — Był wtedy z Giorgiem Maranirn. Pracowali razem w gabinecie Giorgia nad dziesięcioma przypadkami klinicznymi. Polem poszli na obiad do restauracji niedaleko Porta Venezia. Kiedy wyszli, Smolsky natychmiast zauważył dwóch mężczyzn w czarnym samochodzie, i jeszcze jednego człowieka z rozłożoną gazetą, stojącego na rogu ulicy. Na takim zimnie, myślałbv kto?

— I co?

—Nic. Szli za mną.

—A ty?Zgubiłeś ich, mam nadzieję.

—No coś ty—Smolsky rzucił mu zimne spojrzenie. —Żartujesz? Miałem ich zgubić? Nic podobnego. Pozwoliłem, żeby mnie śledzili, jak gdyby nigdy nic. Szedłem sobie, a oni za mną.

—Ale nie szedłeś do Sandra?

—Nie, wczoraj nie. Dzisiaj mnie nie śledzili. Ale wczoraj owszem. Miałem spotkanie z kobietą.

—A! — Hugo wybuchnął śmiechem. — Spryciarz z ciebie. Spotkanie z kobietą. A oni?

—Cały czas byli za mną aż do bramy mojego domu. I zastałem ich tam jeszcze, kiedy wyszliśmy około ósmej.

—Czyli bawisz się w donzuana. Kto to taki?

—Żona Martiniego.

Ugo poderwał głowę tak gwałtownie, że uderzył się o maskę.

—Jezu! — wykrzyknął, kładąc rękę na potylicy. — Żona Mar...

—Tak. właśnie ona.

—Do diabła. — Ugo potrząsnął głową. — Nie rozumiem.

—Powiedziałem ci o tym tylko z jednego powodu, Ugo. — Smolsky opadł się obiema rękami o maskę. Spojrzał mechanikowi w oczy. Ugo wytrzymał jego wzrok. Oczy miał przejryste, jasne, odrobinę melancholijne. I mądre.

—Tylko z jednego powodu ci to mówię. Gdyby nie to, nie byłoby takiej potrzeby. — Smolsky mu ufał. Na ile można ufać człowiekowi który walczy u naszego boku. Ale jemu ufał bardziej niż innym.

—Jeden powód. A jaki?

— Gdyby mi się coś stało, znajdź sposób, żeby się z nią skontaktować. Dać jej znać, no, że...

—Mów dalej.

—No wiesz... — Smolsky z zażenowaniem pogładził dłonią podbródek.

—Że naprawdę ją kochałeś albo coś w tym rodzaju? — dokończył

Ugo z powagą. Zrozumiał. Dla niego ważna była nie tylko polityka.

—Tak, właśnie to. Tylko dlatego ci o niej powiedziałem. Inaczej nie byłoby takiej potrzeby; powtarzam.

—Ale ty ją kochasz naprawdę czy używasz jej tylko jako, no wiesz, to niezła przykrywka! Ovrę depcze ci po piętach, podejrzewa coś i odkrywa, że zadajesz się z żoną Martiniego. Wyłącznie sprawy łóżkowe, nic groźnego.

—Właśnie tak.

—Ale kochasz ją?

—To już są moje sprawy, nie uważasz?

—No tak. Wiesz, jak to jest, człowiek jest ciekawy. Ale masz rację. To twoje sprawy.

Milczeli przez kilka chwil. Smolsky obserwował w skupieniu pracę Ugo, który grzebał w silniku balilli.

—Myślisz, że powiedzą Martinimu o jego żonie? — zapytał w końcu Ugo, podnosząc głowę.

—Ci z Ovrę?

—Wiedzą, że jesteście kochankami.

—Nie, nic mu nie powiedzą.

—Skąd jesteś tego taki pewny?

—Kristenfeld dużo mi opowiadał o stylu pracy Corbiniego. Sprawy prywatne są traktowane absolutnie oddzielnie. Corbinemu nic nie przyjdzie z tego, że Martini dowie się o romansie swojej żony ze mną. I dlatego nic mu nie powie.

—Gdyby Martini się dowiedział, wyrzuciłby cię z domu i straciłbyś kontakt z kapitanem.

—Nie, Martini nie wyrzuciłby mnie z domu. Nie sądzę, żeby to zrobił.

—O, pięknie! A to skąd wiesz?

—Wiem i tyle — odparł wykrętnie Smolsky.

—Nie chcesz o tym rozmawiać...

—Nie. Nie lubię plotkować.

—Ależ z ciebie numer— uśmiechnął się Ugo. — Nie lubisz plotkować. Ale Martini musiałby być nienormalny, żeby nie wykopać z domu kogoś, kto mu posuwa żonę, nie?

Smolsky nie odpowiedział.

Ugo zamknął z głośnym trzaśnięciem maskę samochodu.

—No dobra, nie obchodzi mnie to. A jest przynajmniej ładna?

—Wspaniała — przyznał Smolsky z uśmiechem rozbawienia. — Jesteś ciekawski jak kumoszka na targu.

—Tylko prywatnych spraw. W polityce jestem wyjątkowo dyskretny, jak wiesz. Im mniej wiem, tym lepiej. Przynajmniej kiedy mnie złapią nie będę miał nic do powiedzenia. — Pomyślał chwilę i poprawił się: — Nic to może nie... ale zawsze byłem przekonany, że lepiej wiedzieć jak najmniej.

Stanął przed Smolskym z rękami na biodrach.

—Porządm z ciebie chłop — oznajmił. — Jak to możliwe, że nie zostałeś komunistą?

—Och — uśmiechnął się Smolsky — tylko komuniści są porządni? A poza tym już o tym rozmawialiśmy.

—Widzisz — Ugo położył mu rękę na ramieniu — ty w ogóle nie masz pojęcia o Stalinie. I nie zamkniesz mi ust, jak ostatnim razem tymi swoimi...

—Założysz się, że prędzej czy później Stalin zawrze układ z Hitlerem?



—Nie opowiadaj! — Ugo puścił ramię Smolsky'ego i obszedł samochód.

—Stalin nie jest w stanie oprzeć się nazistom. Zniszczył Armię Czerwoną, prawda? Wyciął w pień. Z czym się teraz przeciwstawi Hitlerowi? Mamy jeszcze raz porozmawiać o tym, co się od roku dzieje w Moskwie? Procesy, egzekucje, czystki... — Smolsky mówił pośpiesznie, cichym głosem, zakładając wycieraczkę; Ugo robił to samo, stojąc z drugiej strony samochodu. — ...a to, co bolszewicy wyprawiają w Hiszpanii z anarchistami?

— Jesteś ignorantem — szepnął Ugo. — Nie możesz wywlekać pewnych spraw, nie znając historycznych racji albo...

—Nie denerwuj się — odparł Smolsky. — Przecież i tak wiesz, że to wszystko prawda.

—Jeśli chodzi o politykę, jesteś głupi jak but.

—Ale przekazuję ci informację dla Brygad Międzynarodowych? — Smolsky wycierał szmatą przednią szybę.

—Owszem, robisz to i nie rozumiem cię, skoro towarzysze tak działają ci na nerwy. Dlaczego to robisz?

—Towarzysze? Ależ nie, Ugo, nie zrozumiałeś zupełnie, o co mi chodzi. Komunizm to jedna rzecz, a stalinizm zupełnie inna!

—A idźże do jasnej cholery — parsknął Ugo i podszedł do poobijane go stolika, który służył mu jako kasa, i wypisał szybko rachunek. Kiedy Smolsky wyjął pieniądze, mechanik rzucił jeszcze: —Jesteś uparty jak...

—Każdy ma swoje poglądy — powiedział Smolsky i podał mu kopertę. — Mam tu coś dla ciebie. I dla twoich przyjaciół w Hiszpanii.

—Dzięki. — Ugo schował kopertę do kieszeni. — Trudno cię zrozumieć.

—Chodzi o to, że rzeczywistość nie jest biało—czarna, przyjacielu — uśmiechnął się Smolsky, siadając za kierownicą balilli. — Jest pełna sprzeczności i odcieni. — Zapalił silnik. Wyjeżdżając powoli z warsztatu, wystawił rękę przez okienko i machnął na pożegnanie. — Zobaczymy się za trzy tygodnie.

Ugo podszedł do samochodu i schylił się do okienka.

—Co tam? — zapytał Smolsky.

—Daj mi fajkę. — Wziął papierosa i wetknął go sobie za ucho. — Nie kupuję, ale za to wyciągam od znajomych — wyjaśnił. — Tego wypalę sobie po kawie. Do zobaczenia. I uważaj na siebie!

Eleonora czekała przy schodkach Muzeum Nauk Przyrodniczych. Rozglądała się w szarym świetle popołudnia, otulając się futrem. Kiedy zobaczyła Smolsky'ego, wybiegła mu naprzeciw, na ile pozwalały jej biec wysokie obcasy i wąska spódnica z niebieskiej wełny, długa do pół łydki.

—Spóźniłeś się! —Na jej twarzy, pod rondem filcowego kapelusza malował się głęboki niepokój.

—Wybacz.

—Bałam się, że już nie przyjdiesz. — Eleonora rozejrzała się. Biorąc go za rękę. — Chodźmy stąd, boję się, że kogoś spotkam. Drzewa były nagie, czarne od wilgoci. Ziąb był tak przenikliwy, że Eleonorze łzawiły oczy. Podeszli do sadzawki, przytuleni do siebie, milczący. Tamtego popołudnia, pod koniec października, kiedy Smolsky czekał pod zakładem Mignon Venditti, szli tąsamąalejką, zatrzymali się w tym samym miejscu. Wydawało się, że od tamtego dnia minęło sto lat, tak głębokie uczucie, taka intymność łączyła ich dzisiaj.

—A przecież widzieliśmy się tylko trzy razy. Właściwie cztery, licząc to spotkanie — powiedziała cicho Eleonora. Umówili się na dziś poprzedniego wieczoru, w bramie kamienicy Smolsky'ego na via Lovanio, zanim Eleonora wsiadła do taksówki i odjechała do domu. Eleonora westchnęła. Smolsky ścisnął jej dłoń, wsuniętą pod jego ramię.

—Co się stało? — zapytał. — Tylko pół godziny?

— Tak, nie mam więcej czasu. Moja matka do nas przyjechała. Bardzo trudno było mi wyjść. W kółko mnie wypytywała, dokąd i po co idę. Zostawiłam ją bez słowa. Po prostu uciekłam. Szli wolnym krokiem. Jeziorko wydawało się czarne; tu i ówdzie nieregularne plamy śniegu przykrywały nagie klomby. W ogrodach nie było nikogo, tylko mgła snuła się między drzewami.

—Mój Boże... — westchnęła Eleonora. — Nie wiem, czy potrafię dłużej znieść tę sytuację.

—Chcesz, żebyśmy przestali się widywać? To chcesz mi powiedzieć?— Zapytał Smolsky półgłosem. Jego głos był pełen napięcia, profil, od którego nie była w stanie oderwać oczu, był gniewny, a usta surowo zaciśnięte.

—Nie mów tak — westchnęła jeszcze raz. — Jak mogłabym się z tobą nie widywać?

—Ale ja — Smolsky zatrzymał się i spojrzał jej w oczy — nie mogę poprosić cię, żebyś jechała ze mną i zostawiła męża. To niemożliwe. — Przeciągnął dłonią po podbródku, nie

przystając wpatrywać się w jej twarz. — Nie mogę. I jeśli chcemy zobaczyć się jeszcze, musimy to ciągnąć w tajemnicy. Nie ma innego wyjścia.

Smolsky obejrzał się przez ramię, ogarnięty nagłym przeczuciem niebezpieczeństwa. Jak wilk, który z daleka wyczuwa obecność psa. Na końcu alejki, między drzewami, zobaczył jakiegoś mężczyznę. Świetnie pomyślał — przyszli za Eleonorą aż tutaj. Jego na pewno nikt nie śleził, odkąd niedawno wyjechał z warsztatu Ugo. Wniosek z tego, że śledzono ją, żonę Nicoli Martiniego.

—Co się stało? — Eleonora chwyciła go kurczowo za rękaw. — Na co patrzysz?

—Na nic—odparł spokojnie, obejmując jej ramiona.— Chodźmy, zimo tak stać bez ruchu. — Ale po kilku krokach zatrzymał się znowu, żeby ją pocałować. Całując ją, pomyślał, że ten człowiek na pewno widzi ich doskonale i przekona się, że on i Eleonora są po prostu kochankami. Po chwili jednak rozpląnął się w ciepłe tego pocałunku i myślał już tylko o tym, by tulić ją jak najmocniej, zatopić się całą swoją istotą w tych ustach; Eleonora głaskała go po twarzy, wolną ręką przytrzymując sobie kapelusz.

—Ale ty... — szepnęła, kiedy Smolsky puścił ją wreszcie.

—Kocham cię, nawet nie wiesz... — odparł z westchnieniem.

—Przed chwilą mówiłeś tak szorstko. Zdawało mi się, że jesteś na mnie zły.

—Na ciebie? Chyba na siebie.

—Dlatego że nie możemy nic zmienić?

—Tak.

—Nawet gdybyś mnie poprosił, nie mogłabym z tobą wyjechać. Po prostu nie mogę. Przez Nicolę, rozumiesz? — Odwróciła oczy. — Nicola... — zamilkła, nie dokończywszy.

—Wyjeżdżasz dzisiaj? — zapytała w końcu, myśląc, że jeszcze wczoraj, o tej samej godzinie była w jego ramionach i kochała się z nim. Do tej pory nie wyobrażała sobie nawet, że można się tak kochać.

—Wieczorem — odparł. Pożądał jej. Spojrzał na zegarek. Może było jeszcze dość czasu, żeby pobiec z nią do domu. W nagłym przeblysku stanął mu przed oczami obraz jej ciała.

—Nie możemy, jest za późno — powiedziała Eleonora, wyczuwając, oczymyśli. — Jest późno. Ja muszę wracać do domu, a ty... Smolsky znów ją pocałował. Na końcu uliczki człowiek w czarnym ubraniu spacerował w tę i z powrotem.

Zapadający zmrok rozmywał powoli kontury drzew. Ziąb stał się jeszcze bardziej nieznośny. We mgle zapłonęły latarnie.

—Idę teraz do ciebie — powiedział Smolsky. — Obiecałem kiedyś twojemu mężowi, że z nim wyjadę, przyniosę mu książki o psychoanalizie. I wpadnę do kapitana, żeby się z nim pożegnać.

—Ja wracam taksówką.

—Możemy jechać razem aż do...

—Nie, wezmę od razu taksówkę.

—Jak chcesz.

—Kiedy będziesz znowu w Mediolanie?

—Mówiłem ci, około dwunastego stycznia. Zostanę na parę dni, muszę skończyć pracę z Giorgiem Maranim. Potem wracam do Wiednia i przyjeżdżam znów w lutym.

—A święta? — Eleonora starała się, by jej głos nie zdradził cierpienia. Nie kochać do szaleństwa własnego męża to jedna sprawa. Ale mieć kochanka i odkryć w sobie tyle żaru i namiętności, to zupełnie coś innego. Kochała z całej duszy tego mężczyznę, który szedł u jej boku, i z którym musiała spotykać się ukradkiem, bojąc się, że zostanie przyłapana i modląc się w duchu, by nie zobaczył ich nikt znajomy. Ale nie potrafiła się go wyrzec; tylko w jego ramionach, tylko u jego boku czuła, że żyje. A jednocześnie nieznośna była dla niej ta sytuacja bez wyjścia. Jej słoneczna natura nie potrafiła pogodzić się ze świadomością, że od tej pory będzie musiała żyć w kłamstwie i znosić wstrętne kontakty fizyczne ze swoim mężem. Ogarnął ją nagle strach; nie słuchając, co mówi Smolsky o świętach i swojej matce, przerwała mu nagle:

—Powiedz, co czujesz na myśl, że nie będę mogła odepchnąć Nicoli, kiedy zechce się ze mną kochać? Co czujesz? — W jej głosie było tyle gorzkości, że Smolsky'emu zaparło dech w piersi. Patrzył na nią w półmroku, niezdolny odpowiedzieć.

— To dość dwuznaczna sytuacja, nie sądzisz? — ciągnęła głosem ostry m jak brzytwa. — Ty możesz choćby zaraz przysiąc, że będziesz mi wierny, wystarczy, że tego zechcesz, ale ja... — pokręciła zdesperowana głową. — Nic nie mówisz, co? Starasz się o tym nie myśleć, to jasne. Wyobrażam sobie... Kiedy przypomni ci się, że Nicola ma święte prawo wejść do mojego łóżka, myślisz o czym innym, żeby nie cierpieć. Tak? Smolsky patrzył na nią w milczeniu.

—Idziemy, już prawie całkiem ciemno. Nie miałeś być u nas o szóstej? — Eleonora odwróciła się od niego gwałtownie i ruszyła szybko przed siebie. Głowę trzymała wysoko, do piersi przyciskała torebkę.

—Nie, nie tak. — Smolsky zatrzymał ją. — Nie pozwolę ci tak odejść. Sytuacja jest... jaka jest. A le ja...

—Ty... — Eleonora zacisnęła usta. Patrzyli na siebie przez kilka chwil. W końcu oparła się o niego. Opuścił ją cały gniew, ogarnął za to taki smutek, że nie była w stanie już nic powiedzieć.

Rozstali się przy postoju taksówek. Nie zamienili ani słowa.

W garderobie Gisla i ochmistrzyni stały przed pootwieranymi szafami i przeglądały bieliznę.

Eleonora zatrzymała się w progu.

—Ależ... co wy robicie?

—A, jesteś — matka odwróciła się do niej. — Nareszcie. Zdejmij to futro i...

—Nie, wybacz — Eleonora podeszła szybko, zdejmując kapelusz. — Nie rozumiem, co robicie z moimi rzeczami.

Służąca cofnęła się kilka kroków. Trzymała w ręce cielistą halkę z surowego jedwabiu. Eleonora rozpoznała ją natychmiast — miała ją na sobie wczoraj, kiedy była u Smolsky'ego. Jaro zdjął ją z niej i rzucił na dywan. Kilka godzin później Eleonora ubrała się w nią w pośpiechu i wróciła do domu.

Podeszła do Virginii i wyrwała jej halkę.

—Co wy robicie! — powtórzyła gniewnie.

—Ależ proszę pani... — wyjąkała osłupiała ochmistrzyni — uprałam ją osobiście, wyprasowałam, i teraz odkładam do szafy. — Wyjęła halkę z dłoni Eleonory grzecznie, ale stanowczo. — Proszę uważać, bo ją pani pogniecicie. — Podeszła do stołu, rozłożyła halkę i zaczęła składać ją starannie.

—Kontrolowałam z Virginią twoje szafy — oznajmiła matka władcym tonem. — Chciałam sprawdzić, czy wszystko jest poukładane jak należy. Wygląda na to, że twoja ochmistrzyni jest naprawdę nadzwyczajna.

—Dziękuję, pani hrabino — pisnęła Virginia z uśmiechem obrażonej niewinności, a przynajmniej tak się wydało Eleonorze. Miała już tylko ochotę wyrzucić stąd te dwie kobiety, które grzebały w jej rzeczach.

Opanowała się z bolesnym wysiłkiem.

—Ach tak mruknęła.—No dobrze.—Poszła do pokoju, zdejmując futro. Rzuciła je na taboret.

—Gdzie byłaś do tej pory? — Gisla przyszła za nią, stanęła przy komodzie i zaczęła grzebać w jej torebce. — Masz papierosy? Zapomniałam swoich. No więc? Gdzie byłaś? — powtórzyła pytanie, kiedy Eleonora zapaliła jej już papierosa.

—Na zakupach, w centrum.

—Znalazłaś coś?

—Nic. Chciałam kupić coś dla Nicoli, ale nie mam jeszcze pomysłu.

—Wyglądasz na zmęczoną— stwierdziła Gisla, podchodząc do lustra. Pochyliła się do własnego odbicia; wyglądała wspaniale, jak zwykle, a szara sukienka, model od sióstr Fontana, sprawiała, że wyglądała bardzo młodo. Jak zawsze była szczupła, niemal zwiewna; jej piękne nogi obute były w pantofelki z antylopy, na wysokim obcasie. Nosiła się jak królowa. Czarne błyszczące włosy zebrane były w płaski kok nisko na karku, a w uszach połyskiwały dwie perły, dodając blasku jej doskonałej twarzy.

Poczuła, że jest obserwowana. Odwróciła się.

—O co chodzi?

—Jesteś bardzo piękna.

—Za to ty utyłaś, czy mi się wydaje? Ta sukienka opina ci piersi i biodra... no tak, to twoje słabe punkty. Powinnaś mniej jeść — ciągnęła Gisla, zbierając z sukienki nieistniejące pyłki i strzepując w powietrzu palce o szkarłatnych paznokciach.—Tak, musisz trochę schudnąć.

Schudnąć? Eleonora wsunęła w usta papierosa. Schudnąć? A niby dlaczego? Smolsky'emu podobała się taka, z piersiami, które mógł całować i pieścić, na których mógł opierać głowę. Smolsky'emu podobały się jej jędrne biodra, pełne uda i krągłe łydki. Z trudem powstrzymała się, by nie wykrzyzczyć tego wszystkiego Gisli, by wiedziała, że jej ciało, takie, jakie jest, było kochane i pożądane, że dawało rozkosz mężczyźnie, którego kochała ponad wszystko. Przygryzła wargi, wpatrując się w matkę.

—Co ci jest, że mi się tak przyglądasz?—zapytała Gisla, unosząc brwi—Wyglądasz jakbyś...

— Nic.—Eleonora poszła zgasić papierosa.—Nic mi nie jest. —Usłyszała, że na podjeździe zatrzymał się samochód. Podbiegła do okna i odsunęła zasłonę; była pewna, że to samochód Smolsky'ego. Przyjechał dopiero teraz, po niej. Ale Virginia zamknęła już okiennice i Eleonora nie mogła ich otworzyć, by popatrzeć na niego, jak idzie przez podjazd i wchodzi do domu.

—Co się stało? Przyjechał ktoś?

—Może, nie wiem — odparła Eleonora, opuszczając zasłonę.

—Widziałaś, co ci przyniosłam? — Gisła usiadła na skraju fotela i wskazywała na łóżko. Na brokatowej kapie leżał golf. — Czysty kaszmir, moja droga, jest wspaniały.

—Och, dziękuję — Eleonora podniosła miękki sweter. — Różowy...różowy golf... piękny! — Naprawdę jej się podobał, do twarzy jej było w tym kolorze. Golfu z różowej angory, który miała na sobie tamtego dnia w Bolgheri, nie chciała więcej zakładać. Przechowywała go w szufladzie, jak relikwię, jak pamiątkę po tej pustej plaży i wzburzonym morzu, zimnym wietrze i dziewiętnastowiecznym hotelu w Livorno, gdzie kochała się ze Smolskim po raz pierwszy.

—O czym myślisz?

—Ja? — Eleonora zanurzyła twarz w swetrze. — To wspaniała wełna. Będę go chętnie nosić.

—Tylko że... widzisz, tutaj?—Gisła podeszła do niej i wyjęła jej golf z ręki. Wywinęła rękaw na lewą stronę i pokazała miejsce przypalone papierosem. — Przedziurawił się.

—Ale jak...

—O Boże, nie rób takiej miny. Przecież to drobiazg, prawda? Siostra od zajęć domowych nie nauczyła cię cerować? Usiądź sobie spokojnie i zaceruj. Popatrz, jedna tutaj i... — Gisła wywróciła golf i pokazała jej kolejną przypaloną dziurę tuż poniżej pachy — i jeszcze tutaj. Eleonora nic powiedziała nic; końcem palca poskrobała tylko zwęglone kółeczko.

—Nie wiem, jak to się stało — ciągnęła Gisła — ale zaraz po tym, jak ci go kupiłam, położyłam go na stoliku, koło popielniczki. Wiesz przecież, że palę. Widocznie niedopałek spadł i golf się przypalił, ale to zupełny drobiazg, nic nie widać, prawda? Zacerujesz sobie ładnie i nic nie będzie widać.

— Nie będzie widać? — Eleonora spojrzała na Gislę. — Ja myślę, że nie...

—Co takiego? Wiesz, ile to kosztowało? Miałam go podarować pokojówce? Moja droga, kupiłam ci go na święta i będziesz go miała. Ja nie wyrzucam pieniędzy przez okno, skarbie!— Poszła zapalić kolejnego papierosa. Odwróciła się w porę, by zobaczyć, jak Eleonora rzuca zwinięty golf w kąt kanapy, stojącej obok łóżka.

—Wiesz, dziwna jesteś — stwierdziła Gisła. Eleonora milczała. — Ale jesteś szczęśliwa z Nicolą... wiem. Wszyscy mi to mówią. Widzisz, że dobrze ci doradziłam? Powiedziałam ci, że będziesz miała szczęśliwe małżeństwo i wyjątkowego męża. Wczoraj rozmawiałam z Mignon i z innymi znajomymi. Wygląda na to, że cały Mediolan was podziwia i wam zazdrości. Kiedy pierwsze dziecko? Chłopiec, oczywiście. Tylko rodząc chłopca, kobieta daje mężczyźnie coś cennego.

Dziewczynki mogą być później, ewentualnie, ale pierwszy musi być chłopiec. Popatrz na mnie, urodziłam Jacopa! Kiedy twój brat przyszedł na świat...



—Przyjdzie dziś na kolację? — przerwała jej Eleonora. — Ostatnio tak rzadko się pokazuje...

—Próbujesz zmienić temat? — Gisla spojrzała na nią ze złością.

Eleonora usiadła na łóżku, z rękami zaciśniętymi na podolku. Smolsky był na parterze, w którymś z pokoi. Prawdopodobnie rozmawia z Nicolą o psychoanalizie. Może nawet zje z nimi kolację, a potem odjedzie. A ona, Eleonora, siedziała tu i pozwalała się torturować swojej matce, zamiast pójść do niego, dać się objąć, pocałować, przytulić i usłyszeć, jak mówi tym swoim głębokim głosem, z tym swoim niemieckim akcentem: kocham cię, Eleonoro.

— No więc? Nie jesteś jeszcze w ciąży? — zapytała Gisla, wstając.

Wygładziła sukienkę na eleganckich wąskich biodrach.

— Nie, nie jestem. — Eleonora uniosła gwałtownie głowę, rozgniewana. Jej głos zabrzmiał cierpko: — I nie chcę być. Nie mam najmniejszej ochoty rodzić dzieci, rozumiesz? Najmniejszej!

Gisla podeszła do drzwi i rzuciła obojętnie:

—Tak czy inaczej lepiej się przebierz i zjedź na dół. Niedługo podadzą aperitify, już prawie pora kolacji. — Wyszła z pokoju, nie mówiąc nic więcej, ignorując reakcję córki.

Eleonora siedziała długą chwilę, obracając obrączkę na serdecznym palcu. Pomyślała, że Smolsky wyjedzie za parę godzin, a ona będzie musiała czekać całe wieki — dwadzieścia długich dni — zanim znów go zobaczy. Wydało jej się, że stoi na brzegu nieskończonej przestrzeni, suchej, wypalonej słońcem, i że nie znajdzie sił, by przejść na drugą stronę, gdzie czeka na nią chłodna rzeka i cień drzew.

Smolsky wyjeżdżał. Ona zostawała tu sama. Tęsknota za nim zaczęła pożerać ją już teraz, w tej chwili. Nie zdołała powstrzymać łez.

—Och nareszcie!—kapitan uderzył pięścią w poręcz fotela.—Myślałem, że się już nigdy nie pokażesz!

—To moja wina —przeprosił Nicola, w chodząc ze Smolskym do gabinetu dziadka.

—A ja tu siedzę i czekam — oburzył się staruszek.

—Musieliśmy porozmawiać...

—O psychoanalizie!—wykrzyknął kapitan z miną, która mówiła wyraźnie, co myśli o tych bzdurach. W końcu wskazał Smolsky'emu fotel: — No, chłopcze, siadaj.

—Przyniósł mi książki o Jungu. Dyskutowaliśmy o nich i Smolsky wyjaśnił mi kilka spraw.



—Jung, też mi coś. — Kapitan machnął ręką, wskazując leżącą na biurku fajkę. Kiedy Smolsky podał mu ją w raz z pudełkiem tytoniu, dorzucił: — Ja też wiem parę rzeczy o Jungu.

—Ach tak? — Nicola zrobił ubawioną minę — Jak to, ty, który nazywasz psychoanalizę największym przesądem naszego stulecia?

—Ten twój Jung... — Staruszek zaczął upychać tytoń w fajce. — Ten twój Jung, po tych wszystkich kłopotach, których narobił Freudowi, pracuje dla nazistów; nie wiesz tego?

—Nazistów? Ależ dziadku, przecież...

—Tak jest! Dla nazistów. A kto jest od paru lat przewodniczącym niemieckiego Towarzystwa Psychoanalitycznego, czy jak się to tam nazywa? Jung, mój drogi. Kuzyn tego drania, Goringa, zaproponował mu stanowisko, a Jung je przyjął. Zgodził się, rozumiesz? Zamiast odpowiedzieć, że nie chce mieć do czynienia z nazistami. O nie, zgodził się!

—Ale...

—Nieprawda? — kapitan zwrócił się do SmoIsky'ego.

—No cóż, tak.

—A wiesz, co napisał ten twój Jung? Wiesz? Napisał, że jest wielka różnica między psychologią niemiecką a żydowską. Jakby chciał powiedzieć, że Freud i wszyscy jego koledzy to banda Żydów.—Wycelował palcem w Smolsky'ego. — Że to wszystko gromada żydowskich śmierdzieli, a on, czystej rasy Aryjczyk, tylko on jest prawdziwym psychoanalitykiem!

—No cóż, nie jest...

—Cicho bądź! — kapitan przerwał Smolsky'emu.—Ja dużo wiem, moi drodzy. Siedząc na tym przeklętym wózku, mogę tylko czytać i wiem wszystko o wszystkich. A teraz idź już zaczytywać się tym swoim Jungiem, co? — Spojrzał zirytowany na Nicolę. — Zobaczymy się na kolacji. Kiedy tylko zostali sami, kapitan kiwnął na Smolsky'ego, żeby ten się zbliżył

— Drogi chłopcze, kłopoty na horyzoncie — mruknął. — Postaw kilka figur na szachownicy. Gdyby ktoś wszedł, będziemy udawać, że rozgrywamy partyjkę.

—Kłopoty? — zapytał Smolsky chwilę polem, bawiąc się figurką gońca. — Jakie kłopoty?

—Corbini... znasz go, prawda? Corbini wie o wycieku informacji z jakiejś fabryki broni. Podejrzuje naszą. Jeszcze się nie zorientował, jak to możliwe. Podwoił nadzór. Nicola mówi, że Corbini musi mieć donosiciela w szeregach Intelligence Service —powiedział staruszek półgłosem. — Rozumiesz?

—Tak, rozumiem — odparł Smolsky. — A od kiedy Corbini wie, że ktoś przekazuje informacje za granicę z waszej fabryki?

—Od kiedy? Wygląda na to, że zorientował się prawie od razu, kiedy tylko ty i ja zaczęliśmy. Jakiś miesiąc temu.

—Rozumiem — powtórzył Smolsky. Odstawił gońca i pomyślał, że z Kristenfelda jest kawał sukinsyna. Z całą pewnością wiedział o podejrzeniach Ovry, ale dobrze się pilnował, by się nie wygadać. Widocznie bał się, że kapitan i on wystraszą się i rzuca cały interes. Smolsky uśmiechnął się do siebie. To dlatego Kristenfeld rzucił mu w drzwiach: „Uważaj na siebie”, czy coś w tym rodzaju, kiedy wychodził z jego gabinetu ostatnim razem. Teraz Smolsky wiedział już, skąd się wzięło to ostrzeżenie zaniepokojonego tatusia, ale wtedy nie rozumiał jego prawdziwego sensu.

—Dlaczego się uśmiechasz?

—Ja?

—Tak. Ja ci mówię o Corbinim i o jego bandzie, a ty się uśmiechasz, cały zadowolony.

—Nie, nie jestem zadowolony. — Smolsky potrząsnął głową, myśląc, że na miejscu Kristenfelda zrobiłby to samo. W końcu okoliczności wymagały od niego sporej dawki cynizmu.

—Boisz się? — Kapitan wypuścił kilka chmurek dymu.

—Czy się boję? Trzeba po prostu bardziej uważać.

—A jak cię zdemaskują?

—Nie wiem, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

—Jeśli mnie zdemaskują, zastrzelę się — oznajmił kapitan takim tonem, jakby to była najoczywistsza sprawa na świecie. —Zastrzelę się. Żywy nie pozwolę się wziąć tej brudnej zgrai.

Smolsky milczał. Myślał o słodkiej twarzy Eleonory, smutnej i pełnej lęku, kiedy spotkali się dziś po południu w ogrodach.

—Jeśli cię złapią, zabij się i ty. Oni stosują tortury, wiesz? Wsadzają ci rurkę do gardła, poją litrami wody z solą, a potem podłączają prąd. Wnętrznosci się skręcają i...zresztą starczy już. bo niedobrze mi się robi. W każdym razie musisz wiedzieć, że robią właśnie takie rzeczy. I jeszcze gorsze.

—Wiem.

—Żeby zmusić cię do mówienia. Do zdradzenia przyjaciół,

—Wiem.

—To metody od zawsze używane na całym świecie. I będą używane zawsze, nie luję się, że będzie inaczej. — Kapitan odchrząknął. — Faszizm niełatwo będzie wytepić, drogi chłopcze. Czasami nawet myślę,

że Mussolini nie myli się aż tak bardzo, kiedy mówi, że za pięćdziesiąt lat świat będzie się dzielił na faszystów i sympatyków faszystów. Jestem święcie przekonany, że faszyzm ma wiele twarzy; my dziś widzimy tylko jedną z nich, ale jutro...Milczeli przez kilka minut. W końcu starszek podjął z naciskiem:

—Ale to nie zmienia faktu, że jestem przekonany o słuszności swojego postępowania i że każdy człowiek musi, rozumiesz, musi się przeciwstawić, musi walczyć, tak jak potrafi przeciwko...przeciwko...—grymas wykrzywił mu usta. Starszek nie znalazł słowa, by wyrazić swoje obrzydzenie. Drzwi uchyliły się nagle.

—A kto tam znowu? — warknął kapitan.

—Kolacja gotowa. — Była to Eleonora. Spojrzała na Smolsky'ego. — Pan zostaje?

—Ależ tak, jeszcze chwilę! — Kapitan machnął gniewnie ręką. — Idź, moja droga, zaraz do was dołączymy!

Drzwi zamknęły się. Kapitan przez chwilę siedział cicho, pykając fajkę. W końcu zaczął ją wytrząsać nad popielniczką.

—My dwaj działamy jak przedtem, prawda?

—Jasne.

—Będziemy bardziej uważać.

—Tak—odparł Smolsky. Oczywiście, że będę uważał pomyślał. Chcę się kochać z Eleonorą jeszcze wiele razy.

—Wiesz, dlaczego we Włoszech policja polityczna nazywa się Oвра?

—Nie—przyznał Smolsky, mając nadzieję, że kapitan nie zapyta się w jeden ze swoich drobiazgowych wywodów. Chciał iść do jadalni i patrzeć na Eleonorę, uśmiechnąć się do niej, może nawet ucisnąć jej potajemnie rękę — miała takie delikatne dłonie — by dodać jej otuchy.

—Oвра to trochę podobne do piorra\*, nie uważasz? Wymyślił to słowo nasz geniusz Mussolini. i nikt nie wie dokładnie, co ono znaczy. Mussolini jest przekonany, że im mniej ludzie wiedzą, tym skuteczniej władza może trzymać ich w garści, rozumiesz? To nie jest takie głupie, on dobrze wie, co robi. Wszelkie dyktatury wyrastają na polu ignorancji... — Widząc, że Smolsky zamierza wstać z fotela, kapitan rzucił rozkazująco: — Siedź, jeszcze nie skończyłem.

\* Piorra — (wł.) — pijawka, krwio pijca (preyp. tłum.).

—O Ovrze?

—I o Corbinim. Ale wiesz, co jeszcze mówi o Ovrze Mussolini? Ja wiem, bo mam znajomego admirała w Trybunale Nadzwyczajnym. To kawał gburą i idiota. Uważa mnie za gorliwego faszystę i wszystko mi opowiada. Więc wychodzi na to, że Mussolini celowo nazwał swoją policję polityczną słowem, które nie ma sensu. Pozwólmy, by Włosi interpretowali te cztery litery, jak im się podoba, mówi Duce, Nie zaspokoimy ich ciekawości i dzięki temu wzbudzimy w każdym blady strach. A im bardziej się będą bać, tym mniej się będą buntować. Rozumiesz?

—O tak — odparł Smolsky.

—A co do Corbiniego — kapitan zmarszczył brwi — strzeż się go. To kanalia. Ma do dyspozycji mnóstwo środków i sprawnych ludzi. I całą sieć informatorów, którym słono płaci. Wiesz, co mówi zawsze o sobie i swoich pomagierach? Że są sprytni jak lisy i szybcy jak węże...

—Co takiego?

—Sprytni jak lisy i szybcy jak węże. Sympatyczni chłopcy, nie uważasz? — Kapitan odłożył fajkę na stolik. — A teraz idziemy na kolację.

Smolsky zerwał się z miejsca.

—Hej— co za pośpiech, głodny jesteś?

—Mam mało czasu — skłamał Smolsky. W rzeczywistości nie mógł już usiedzieć na miejscu, tak bardzo pragnął zobaczyć Eleonorę. — Wieczorem mam pociąg.

—Racja, wyjeżdżasz do Wiednia. O której?

—Dziesięć po dziesiątej.

—Czyli jutro zobaczysz się z naszym drogim Kristenfeldem?

—Zgadza się. — Smolsky popchnął wózek w stronę drzwi.

—Pozdrów go ode mnie i powiedz, że wszystko w porządku. Prawda?

—Ależ oczywiście. Wszystko w porządku — uśmiechnął się Smolsky, otwierając drzwi.

—W takim razie idziemy jeść—wykrzyknął kapitan i poprawił węzeł krawata.—A za trzy tygodnie, kiedy wrócisz, znów weźmiemy się do roboty.

Tego samego wieczoru cztery czarne samochody zatrzymały się na piazza Santedustorgio, w dzielnicy Ticinese. Wsiadło z nich dziesięciu mężczyzn w cywilnych ubraniach i w kapeluszach. Kiedy Sandro usłyszał stukanie do drzwi, zrozumiał natychmiast, że to policja polityczna. Mężczyźni weszli do mieszkania i zaczęli szperać we wszystkich kątach. Sandro, pilnowany przez dwóch uzbrojonych typków, czekał w kuchni, skąd jeszcze kilka godzin wcześniej razem ze Smolskim przesyłał do Londynu informacje o wysyłce broni do Hiszpanii. W spluczce ubikacji i w szparach za żaluzjami ludzie z Ovry znaleźli różne elementy nadajnika radiowego, który Sandro rozmontował i ukrył. Znaleźli też książki Marksa i Lenina.

Kiedy go wyprowadzali, trzymając między sobą, Sandro zastanawiał się, kto mógł na niego donieść. Kazali mu wsiąść do pierwszego z samochodów, czekających w ciemności, na placu zasnutym mgłą.

Dwadzieścia minut później „pianista” Smolski'ego stał już przed Corbinim, w eleganckim biurze na drugim piętrze. Corbini siedział przy biurku, wtykając papierosa w srebrną firkę.

—Ty jesteś Sandro... Sandro i jak dalej?

Sandro nie odpowiedział.

Corbini rzucił okiem na leżącą przed nim kartkę.

—Sandro Montero. Z zawodu tramwajarz. Ale i „pianista”. Nie tak na to mówicie?

Sandro milczał.

—A teraz — Corbini wetknął firkę do ust — a teraz sobie pogadamy.

—Jestem walczącym komunistą — oświadczył stanowczo Sandro, wbijając wzrok w ścianę przed sobą — i nie mam nic do powiedzenia.

—Nic? — Corbini uśmiechnął się. — Zaraz się przekonamy.

## Rozdział 8

---

Z cichym bulgotem pompka wiecznego pióra zassała atrament. Pojedyncza kropla kapnęła na jasne drewno biurka. Smolski wytarł ją pośpiesznie kawałkiem bibuły. Zakręcił watermana, otworzył gruby notes z zawodowymi notatkami i u góry kartki, z lewej strony, napisał: „12 stycznia 1938”. Prawie nigdy nie podkreślał żadnych swoich notatek, ale tym razem postawił pod

tym nagłówkiem dwie zadziorne linie, przyciskając pióro tak mocno, że aż skrzyknęło. Tego dnia powinien być już w Mediolanie! A nie tu, w Wiedniu, w swoim gabinecie, porządkując dane na temat pacjentów. W Mediolanie — rzucił okiem na zegarek — o tej godzinie mógłby już być w wynajętym mieszkaniu na via Lovanio. Z Eleonorą. Odłożył pióro. Zapalił papierosa i zaczął ścigać wzrokiem niebieskawe pasma dymu, wijące się w powietrzu. Pomyślał o Eleonorze. Wyobraził sobie, że jej dotyka, że czuje pieszczotę jej dłoni, pełnych fantazji i podniecających, jak u żadnej innej kobiety.

Zaklął i z trudem zmusił się, by przekształcić tęsknotę i pożądanie w wściekłość na Kristenfeida. Duńczyk zadzwonił do niego poprzedniego dnia i błagał Smolsky'ego, by przesunął wyjazd. Absolutnie nie mógł odłożyć do przyszłego tygodnia swojej sesji analitycznej. W języku ich sekretnej współpracy był to rozkaz. Do diabła, co aż tak ważnego miał mu do powiedzenia Kristenfeld? Miała wybuchnąć wojna czy jak? Wiszący na ścianie zegar z wahadłem, podarunek od matki na Boże Narodzenie, wydzwonił trzy brzękliwe nuty, które rozplynęły się powoli w ciszy. Na dworze padał śnieg — rzadkie płatki, którymi kręcił w powietrzu lekki wiatr.

Smolsky wstał i podszedł do okna. W śniegu koło fontanny podskakiwały dwa kosy. Ich czarne pióra i kora nagich drzew odcinały się wyraźnie od tła — ziemi przykrytej białym płaszczem i nieba we wszelkich odcieniach szarości. Tylko koło ławeczki czerwieniła się garść koralików, które uchowały się od jesieni na jarzębinie. W głuchej ciszy z kościoła Św. Karola dobiegły trzy uderzenia — zegar na wieży jak zwykle się spóźniał.

Smolsky otworzył okno. Pokój omiótł zimny podmuch, wywiewając zapach dymu. W spokojnym powietrzu słychać było padający śnieg — ledwie dosłyszalny szelest kryształowych igiełek, które dziurawiły ciszę. Nagle w alejce na dole rozległy się kroki. Smolsky wychylił się z okna. Przez ogród szła ostrożnie Ewa, zostawiając za sobą na śniegu drobne ślady. Tuliła do pierśi skrzypce; na szarą sukienkę w białe prążki założyła tylko golf. Smolsky usłyszał, że stuka w kuchenne okno. Po chwili dal się słyszeć głos Heleny.

— Ma pan czas, prawda?

Stojąc na samym środku pokoju z wykuszami, pod żyrandolem, Ewa spoglądała na Smolsky'ego z poważną miną. Płatki śniegu topniały na jej jasnych włosach, zaplecionych w warkocz.

— Moglibyśmy pograć przez jakąś godzinę, jeśli ma pan czas, Myślałam o Vivaldim... — Dziewczynka zamilkła.

— Dlaczego przysłaś przez ogród? — zapytał Smolsky, podchodząc do niej. Podał jej chusteczkę. — Włosy ci zmokły.

— Awidział mnie pan? — mruknęła Ewa.

— Tak. Nie mogłaś przyjść schodami, jak zwykle?

Przetarła włosy chusteczką, nic nie mówiąc. W końcu wyjsiła:

— Tak jest szybciej. Wychodzę przez pokój koło spiżarni i wchodzę przez waszą kuchnię. Nie chciałam, żeby... — znów się zacięła.

—Naprawdę?—zapytał Smolsky. wyjmując flet z futerału.

Ewa bez słowa rozpięła zameczki futerału na skrzypce. Wyjęła instrument. Kątem oka Smolsky zauważył, że w futerale dziewczynka miała również książkę, która omal nie wypadła na podłogę. Stłumił ciekawość i schylił się nad partyturami, przerzucając kartki.

—Vivaldi powiadasz?

— Tak myślałam... — Ewa położyła na pulpicie kilka kartek i wskazała je smyczkiem — Fantastini...proszę spojrzeć, transkrypcja na skrzypce tej części którą gra orkiestra.— Opuściła rękę i w biła wzrok w dywan. —Przysłałam przez ogród, bo mój ojciec nie chce, żebym przychodziła z panem grać. — Głos zniżył się niemal do szeptu.

Ano tak. pomyślał Smolsky. mogłem się tego spodziewać.

—Wie pan — ciągnęła dziewczynka, czerwieniąc się — chodzi o to, że ojciec powiedział mi... rozumie pan? — Nie była w stanie dokończyć.

Smolsky rozumiał. Nietrudno było sobie wyobrazić, co powiedział córce mecenas Joseph Renz, zwolennik pangermanizmu, zaprzysięgły rasista. wielbiciel Hitlera, związany blisko z Seyss—Inquartem, przywódcą austriackich nazistów, który szybko piął się na coraz wyższe szczeble w rządzie. Seyss—Inquart i Renz byli wiernymi katolikami, intelektualistami, obydwaj należeli podczas wojny do cesarskiej armii, do oddziałów Kaiserjager. I obydwaj byli miłośnikami muzyki. Smolsky westchnął, przecierając klawisze fletu. Renz ożenił się dość późno z dorodną dziewczyną z bogatej mieszczańskiej rodziny z Innsbrucka. Mieli jedyną córkę, Ewę. która cudownie grała na skrzypcach i która miała w zwyczaju zaglądać do swojego sąsiada, profesora Jaroslava Smolsky'ego, by grać z nim duety na skrzypce i flet. Ale teraz wyglądało na to, że będzie musiała porzucić ten zwyczaj.

Smolsky uniósł oczy znad instrumentu.

— Pamiętasz, Ewo, jak mnie zapytałaś, czy naprawdę mam na imię

Dziewczynka skinęła głową.

— Powiedziałem ci, że tak, że rzeczywiście mam na imię Jaroslav Dawid, ale nie chciałaś mi wtedy wyjaśnić, dlaczego tak się tym przejęłaś. Ewa w końcu spojrzała na niego. Jej niebieskie oczy, odrobinę wydłużone, jak u Słowianki, patrzyły na niego boleśnie, szczerze.

—Dlatego, że pan jest Żydem — powiedziała z wysiłkiem.



—Dawid to nie jest wyłącznie żydowskie imię.

—Mój ojciec mi powiedział, że ktoś, kto ma tak na imię, jest Żydem. I mówi, że pan jest Żydem i że wszyscy to wiedzą. I że zadaje się pan z bandą Żydów i... ja nie mogłam w to wszystko uwierzyć.

—Że jestem Żydem?

—Tak.

—A dlaczego? — Smolsky'emu zrobiło się żal tej dziecinnej zasmuconej twarzyczki,

—Pan jest... — Ewa spojrzała na niego z bezgranicznym podziwem. Gdyby kazano jej opisać Boga, prawdopodobnie przypisałyby mu wygląd Smolsky'ego, jego sposób mówienia, jego kunszt flecisty. A także jego sposób poruszania się, gestykulacji, kiedy był szczególnie podniecony, to, jak ciął dłońmi powietrze i przyglądał włosy, i jak się śmiał. Ewa miała swojego boga, i był nim on, Smolsky! Była w nim zakochana, ale to było więcej niż miłość! O wiele więcej — to było uwielbienie,

—Twój ojciec nie chce, żebyś przychodziła do mnie grać, tak?

—Tak. — Dziewczynka nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

—Więc przyszłaś przez ogród?

—W ten sposób gospodyni niczego nie zauważy. Żeby wyjść od frontu, musiałabym przejść koło garderoby. Gospodyni by mnie zobaczyła. Powiedziałyby ojcu, kiedy wróci wieczorem. Więc przyszłam przez ogród. — Ewa nerwowo skubała palcami warkocz. — I tak będę tu przychodziła — oznajmiła zdecydowanie.

—Ale przecież cię usłyszą, Ewo. Myślisz, że nie będzie słyhać, że oprócz fletu grają skrzypce?

—Najważniejsze, żeby gospodyni nie widziała, jak wychodzę z domu i idę tutaj — upierała się dziewczynka. — Nie sądzę, żeby usłyszała. Nie ma pojęcia o muzyce. Nie odróżniłaby skrzypiec od oboju — stwierdziła z pogardą.

—A twoja matka?

—Ona nic nie mówi ojcu —szepnęła mała, i Smolsky zastanawiał się przez chwilę, jakie też mogą panować stosunki między tą młodą blondynką a surowym mecenasem Renzem. ze spiczastą bródką i pincenez na nosie, nieodmiennie ubranym na czarno — i który od jakiegoś czasu, spotykając Smolsky'ego na schodach, odwraca głowę. Prawdopodobnie nieznośny był dla niego sam fakt, że w tym samym domu mieszka Żyd. Dobrze sytuowany. A na dodatek miłośnik muzyki. Smolsky uśmiechnął się pod nosem.



— Proszę popatrzeć. — Ewa zdecydowała się wreszcie wyjąć książkę schowaną w pokrowcu skrzypiec. — Widzi pan? Ojciec przywiózł mi to z Niemiec, Proszę spojrzeć na tych Żydów, jacy są... — Wskazywała obrazki z książeczki dla dzieci, na których przedstawiono aryjskich Niemców; jasnowłosych i prześlicznych, i Żydów: garbatych, koślawych, ciemnych i kudłatych, z wielkimi, odrażającymi nosami. — To czytają dzieci w szkołę — wyjaśniała. — Ale pan taki nie jest. Pan nie jest podobny do tych rysunków. Nie ma pan takiej brzydkiej przerażającej twarzy.

I odwracając strony, pokazywała mu kolejne prymitywne rasistowskie rysunki. — Niech pan patrzy, jacy brzydcy!

Smolsky bez słowa zamknął książkę i włożył ją do futerału skrzypiec. Kiedy odwrócił się do Ewy, udało mu się nawet uśmiechnąć.

—No cóż, skoro już tu jesteś, zagramy Vivaldiego?

Twarz dziewczynki rozpromieniła się.

—Spróbujemy *Fantasmí*. Nie graliśmy tego nigdy.

—Jasne. Spróbujemy.

—Ja... — Dziewczynka radośnie złapała smyczek i skrzypce, które przedtem odłożyła na stół. — Ja nie mogłam się już doczekać, żeby do pana przyjść i pograć. Byłam chora przez świąteczne ferie i na Nowy Rok. Miałam świnkę. Pan miał świnkę?

—Tak, dawno temu.

—A poza tym mój ojciec był przez cały czas w domu. Ale za to teraz, ile razy go nie będzie, przyjdę do pana. — Ewa najwidoczniej bardzo się cieszyła z tego spisku, z tej tajemnicy, która wiązała ją ze Smolskym o wiele silniej niż tylko wspólna muzyczna pasja. — Pan chce, prawda? Chce pan. żebym...

—Ależ oczywiście, Ewo. Oczywiście, że chcę.

Dziewczynka westchnęła głośno, jakby z serca spadł jej wielki ciężar. Rzuciła Smolsky'emu długie roześmiane spojrzenie. W końcu spojrzała w nuty, podała takt nogą i zaczęła grać.

Była punkt czwarta, kiedy Kristenfeld wszedł do gabinetu Smolsky'ego. Odłożył palto na krzesło, na wierzchu kładąc kapelusz. Był jedynym pacjentem, który nie chciał zostawiać swoich rzeczy w rękach Heleny.

—Słyszałem, jak pan gra z córką sąsiada. Jesteście coraz lepsi.

—Owszem — Smolsky stał obok swojego fotela. Kristenfeld spojrział na niego badawczo.

—Zdenerwowany? — mruknął. Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął się na leżance z wyrazem twarzy kogoś, kto po męczącym spacerze nareszcie ma okazję odpocząć, a może nawet uciąć sobie drzemkę.

—Miałem być dziś w Mediolanie. — Głos Smolsky'go brzmiał odrobinę sztywno. — Miałem zobaczyć się po obiedzie z kapitanem. A potem z moim „pianistą”. Byłem umówiony z Sandrem na dzisiejsze popołudnie.

—A potem?

—Co potem?

—To już wszyscy? Nie miał się pan zobaczyć z nikim innym?

Smolsky nie odpowiedział. Usiadł w fotelu, myśląc, że jeśli Kristenfeld jakimś sposobem dowiedział się o jego romansie z Eleonorą, powinien z nim o tym porozmawiać jasno i bez ogródek. Przez chwilę czekał w milczeniu, ale Kristenfeld, jak się wydawało, zapomniał o swoim pytaniu. Przyglądał się wiszącym na wprost pejzażom, z rękami splecionymi na brzuchu, kręcąc młynka kciukami.

—Pan wie — powiedział w końcu rozmarzonym tonem — że ma pan reputację, powiedzmy, Rudolfa Valentino?

—Tu, w Wiedniu czy w Mediolanie też? — zapytał Smolsky lodowato.

—Och, wszędzie, mój drogi, wszędzie. Taka reputacja zawsze się przydaje, nie?

—Myślę, że raczej tak.

—A jak się układają pańskie stosunki z Ugo?

—Wspaniale — odparł Smolsky ostrożnie, zadając sobie w duchu pytanie, do czego zmierza Kristenfeld.

—Ugo to dzielny człowiek. Jest niezły jako mechanik i jako członek mojej sieci we Włoszech.

Smolsky usłyszał, że Duńczyk śmieje się pod nosem. Milczał. Nastawiał tylko uszu, czekając na ciąg dalszy.

—Wygląda na to, że Brygady Międzynarodowe w Hiszpanii dostały informacje podobne do...

—Tak, dałem te informacje Ugo — powiedział z naciskiem Smolsky.

—Przypominam panu, że jestem...— przez chwilę szukał właściwego słowa —...jestem wolnym strzelcem. Nie walczę dla ideologii. Nie mam żadnych górnolotnych przekonań, nie wierzę, że jedni są dobrzy, a inni źli, i tak dalej. Uznaję tylko za swój obowiązek przeciwstawiać się temu, co nie jest...— znów przerwał, poszukał słów i mówił dalej—...co nie jest ludzkie, nazwijmy to w ten sposób, by nie przeciągać. A przede wszystkim pracuję dla Intelligence Service tylko dlatego, że nie mam zbyt wielkiego wyboru, a rzeczywistość jest jaka jest. Ale guzik mnie obchodzi Wielka Brytania, mówiłem panu, że Anglicy działają mi na nerwy i choć zmuszam się, jak mogę, nie potrafię zapomnieć, dlaczego tak traktują Burów w Afryce albo tych nieszczęśników w Indiach, albo...

—Skończył pan? — przerwał mu łagodnie Kristenfeld.

—Tak—odparł Smolsky ostro.—Tak czy inaczej to ja przekazuję te informacje. Kiedy mi się podoba i kiedy tylko mogę. Jeśli chodzi o wojnę w Hiszpanii, nie przepadam za faszystami generała Franco. Logiczne więc, że staram się wspierać Brygady Międzynarodowe. — Umilkł na chwilę. — I to niezależnie od mieszanych uczuć, jakie mam na temat bolszewików. Ale i w tym przypadku rzeczywistość jest taka, a nie inna. Chce pan coś dodać?

Kristenfeld, wciąż leżąc, pogrzebał w kieszeni kamizelki i wyciągnął rękę nad głowę, w kierunku Smolskyego, który stał za nim.

—Proszę. To dla Ugo.

Smolsky ujrzał w jego dłoni małą złotą zapalniczkę.

—Dla Ugo?

—Ładne, prawda? To prezent gwiazdkowy. Trochę spóźniony.

—Mikrofilm? — uśmiechnął się Smolsky, wkładając zapalniczkę do kieszeni. — Czyżby i pan miał słabość do Brygad Międzynarodowych?

—Co mi pan powie o Corbinim? — odpowiedział pytaniem Kristenfeld. To było dla niego typowe, zmieniać temat w ten sposób.

—Kapitan i ja będziemy pracowali bez zmian, choć wszystko wskazuje na to, że Corbini nabrał silnych podejrzeń. Wie o przecieku informacji.

—Niemożliwe — rzucił Kristenfeld z przesadnym, udawanym zdumieniem.

—Niech pan da spokój, Kristenfeld — odparł Smolsky cierpko. — A poza tym to jasne, że Oвра zapuszcza swoje macki również za granicę. Nie myślę się?

—Ależ oczywiście, że zapuszcza. Jak pan myśli, dlaczego umarli bracia Roselli we Francji? Na pokrzywkę? To oni kazali ich zabić, między innymi dlatego, że próbowali pokazać światu, czym tak naprawdę jest wojna w Hiszpanii: wielkim próbnym poligonem dla międzynarodowego faszyzmu. Rozkaz, żeby ich zlikwidować, pochodził z całą pewnością z wysokiego szczebla. Tak czy inaczej Oвра wszędzie ma swoją siatkę. Siatkę morderców i donosicieli. W Paryżu na przykład siedzi między innymi pewien włoski pisarz, który uważa się za humorystę.

—A w Austrii?

Kristenfeld przekręcił głowę, by na niego spojrzeć.

—Zaczyna pan czuć na karku oddech bestii, Smolsky?

—A pan nie?

—Cóż, czasami — odparł Kristenfeld, masując szyję.

—Chcę tylko mieć pewność, że tu, w Wiedniu nie muszę...

—Nigdy nie można być pewnym, Herr Professor.

—Bardzo chciałbym — powiedział Smolsky z naciskiem — oddzielić tego Smolsky'ego, który we Włoszech zdobywa informacje dla Intelligence Service, od tego, który mieszka w Wiedniu i zajmuje się psychoanalizą. Gdyby okazało się, że jestem spalony we Włoszech i byłbym zmuszony odciąć się od tego mojego wcielenia, nie chcę stracić tego, co mam tutaj, w Wiedniu: mojej pracy i moich pacjentów. A to będzie możliwe tylko jeśli Oвра nie...

—Też bym sobie tego życzył — odparł Kristenfeld, siadając. — Niech pan bardzo uważa. Niech pan zaciera za sobą ślady, co zresztą robi pan doskonale. Corbini będzie miał twardy orzech do zgryzienia. Jeśli nie odkryje, że ma do czynienia z profesorem Smolskim z Wiednia, tym lepiej dla pana, Herr Professor. W przeciwnym wypadku także tu, w Austrii, gdyby pan myślał o powrocie do domu, prędzej czy później ktoś pana złapie za gardło i adieu! —przyznał Kristenfeld.

Wstał z kanapy i zaczął spacerować po pokoju.

—Dopiero teraz dowiedzieliśmy się — powiedział, zmieniając ton — że piątego listopada zeszłego roku Hitler zwołał tajną naradę w Kancelarii. Oprócz ministra obrony był obecny minister spraw zagranicznych i dowódca armii lądowej, marynarki i lotnictwa.

—Co było tematem konferencji?

—Mówiąc w skrócie, Hitler przedstawił swoje plany dotyczące polityki zagranicznej na nadchodzące lata. Od a do z.

Smolsky gwizdnął cicho przez zęby.

—Są jakieś konkrety?

—Tylko niejasne przebąkiwania na temat planów Fuhrera. W szczególności dotyczące nie-dalekiej inwazji na Austrię, która nastąpiłaby po aneksji Czechosłowacji. Ale na naradzie obecny był też niejaki pułkownik Hossbach. Najprawdopodobniej stworzył on coś w rodzaju memorandum, w którym zapisał słowo po słowie deklarację Hitlera.

—I gdzie to memorandum? — zapytał Smolsky. Wyjął papierosa z paczki, nie odrywając oczu od Kristenfeida

—Jest pewien człowiek ze Służb Specjalnych, niemiecki urzędnik, bezpośrednio podległy Canarisowi. Wygląda na to, że udało mu się zdobyć kopię. I że chce zwinąć interes i uciec do Anglii! —No proszę...

—Teraz ukrywa się gdzieś we Włoszech. Naziści go szukają. I oczywiście faszystowski wywiad też. Ale kryjówka jest dobra. I to pan, Herr Professor, odeskortuje tego człowieka przez szwajcarską granicę. W bezpieczne miejsce. Jego i memorandum Hossbacha. Jest dla pana jasne, jak ważny to dokument, prawda?

Smolsky milczał. Obracał w palcach papierosa, którego zapomniał zapalić.

—Odbierać informacje od kapitana i zanosić „pianiście” albo Ugo, to jedna sprawa — mruknął w końcu. — Ale zupełnie co innego wyciągnąć z Włoch jakiegoś człowieka, jakiegoś skruszonego nazistę.

—Pan jeden zdoła sobie z tym poradzić. Tylko pan zna doskonale i włoski, i niemiecki. Nie może pan odmówić, panie Smolsky.

—Ale mnie guzik obchodzi jakiś nazista, który zmienia barwy — oświadczył Smolsky ponuro. — I nie wierzę też, żeby to memorandum Hossbacha..., że jakiegokolwiek zawarte w nim rewelacje na temat zagranicznej polityki Hitlera zdołają zmienić postawę Anglii i Francji wobec Niemiec. Hitler zacznie działać, a inni mu na to pozwolą.

—To jest pańska osobista opinia, panie Smolsky. I, nawiasem mówiąc, pokrywa się z moją. Ale my dwaj nie mamy prawa do osobistych opinii. Jesteśmy zaangażowani w pewną misję, jeśli tak to można nazwać. I musimy słuchać poleceń.

—Ten człowiek, którym mam się zająć, jest jak zając uciekający przed psami. Jakie jest prawdopodobieństwo, że dowiozę go całego i zdrowego do Szwajcarii? I że sam wyjdę z tego cało?

—Małe. Albo duże. To zależy od pańskiej zręczności.

—Bardzo pocieszające. Zależy mi na własnej skórze — odparł Smolsky. I na Eleonorze, dodał w myślach. — A kiedy by to miało być?

—Pan się zgadza?

—Być może.

—Proszę się zgodzić. Proszę się tym zająć. I niech się pan nie ludzi, że to, co robi pan teraz, jest mniej niebezpieczne niż przewiezienie tego człowieka i jego memorandum za granicę.

—To też pocieszające. — Smolsky zapalił lampkę na biurku; do pokoju wkradała się ciemność i Kristenfeld był już tylko szarą sylwetką na tle okna. Dwaj mężczyźni popatrzyli sobie w oczy.

—Zgadza się pan?

— No cóż, tak. Kiedy?

—Nie tak zaraz. Powiedzmy około lutego. Zostanie pan zawiadomiony o czasie i miejscu.

—I kazał mi pan odłożyć podróż do Mediolanu, żeby mi to powiedzieć?

—Nie — odparł Kristenfeld, podnosząc kapelusz. — Żeby dać panu złotą zapalniczkę dla Ugo. To pilna sprawa, niech pan uważa. Kristenfeld wziął palto.

—Kiedy się znów zobaczymy?

—Wracam do Wiednia za kilka dni.

—Ja będę teraz siedział trochę tutaj, a trochę w mojej filii w Berlinie. Sytuacja w Niemczech jest coraz poważniejsza, Herr Professor. Zdaje się, że minister ekonomii, Schach, podał się do dymisji.

—Nic nie wiedziałem. Gazety o tym nie piszą...

—Rzeczywiście, dymisje są trzymane przez Hitlera w tajemnicy. Minister nie pochwała szaleńczego tempa zbrojeń, które prowadzi

Ftührer. Przemysł zbrojeniowy zaczął osiągać kolosalne zyski.

—We Włoszech też, skoro już o tym mowa. Mussolini zaopatrzył w najlepszą broń swoich ludzi w Hiszpanii i wydał rozkaz wszczęcia barbarzyńskich bombardowań miast i wiosek. Ludność cywilna jest wycinana w pień. Ale Mussolini zatkał usta włoskiej prasie, by opinia publiczna nie wiedziała, do jakiego stopnia zaangażował się w wojnę w Hiszpanii.

Przeszli do korytarza. Smolsky odprowadził Kristenfeida aż do drzwi.

—Zobaczymy się za jakieś dziesięć dni?

—Jasne.

Uścisknęli sobie dłonie. W tej chwili obaj zadawali sobie w duchu pytanie, czy naprawdę jeszcze się zobaczą, czy też jeden z nich — albo obydwaj? — zostaną wytropieni i bezlitośnie wyeliminowani.

— No to do zobaczenia — powiedział jeszcze raz Smolsky.

—Ależ oczywiście! — Kristenfeld założył kapelusz i wyszedł.

Smolsky przeszedł do jadalni, nalał sobie kieliszek sznapsa i włączył radio. Pompatyczny głos opowiadał właśnie, że tego dnia, dwunastego stycznia 1938 roku w Berlinie, sam Hitler był świadkiem na ślubie ministra obrony Blomberga, z panną Erną Gruhn.. Smolsky wyłączył radio i zadzwonił do Niny. Dziś były jej urodziny, rano posłał jej bukiet róż.Nina zaprosiła go na wieczór. Wydawała kolację w restauracji Am Franziskanerplatz. Wokół wielkiego stołu zastawionego kwiatami, kryształami i drogą porcelaną siedziało wielu starych znajomych. Banda Żydów — Smolsky przypomniał sobie słowa małej Ewy. Była nawet Carlotta, którą Nina złośliwie posadziła obok Smolsky'ego i która przez cały wieczór pod tykała mu pod nos swoje wielkie piersi, opowiadając, że otworzyła niezwykle elegancki antykwariat w Graben. Nina siedziała obok Sanderera,ale przez cały czas Smolsky napotykał jej oczy, pełne żaru i smutku.

Szampana pito przy akompaniamencie starych rozdierających pieśni węgierskich. Wszyscy dużo się śmiali, wesoło gawędzili. Przed wyjściem, już w futrze, Nina podeszła do Smolsky'ego i wyjęła mu kieliszek z ręki:

— Nie tęsknisz za mną ani trochę? — zapytała swoim tonem znudzonej królowej.—Ja czasem czuję się tak jakbym miała umrzeć. — Przycisnęła jego dłonie do swoich policzków, — Daj mi przynajmniej urodzinowego calusa — zażądała, patrząc mu w oczy. Smolsky schylił się i ją pocałował.

Nina odwróciła się i poszła z Sanderem.

Tej nocy Smolsky długo nie mógł zasnąć; myślał o Eleonorze. I nawet kiedy następnego dnia o świcie wsiadał do pociągu do Włoch, nie był w stanie odpędzić od siebie smutku, który ścisnął mu serce.

— Jeszcze, kochany mój, jeszcze — jej głos był ochryply z namiętności, oddech przyśpieszony — ...kochany.

Kiedy tulił jej uległe ciało, czuł się tak jakby rzucił się w nieskończone morze poza przestrzenią i czasem, w otchłań miękkiej czułości, gdzie słyhać było tylko bicie serca, coraz głośniejsze i coraz szybsze.



Półmrok pokoju przebijało cienkie ostrze światła, przenikające przez szparę zasłon, które Smolsky zaciągnął jednym szarpnięciem, na oślep, tuląc Eleonorę i nie przestając jej całować. Rozebrali się po omacku; w końcu wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. A teraz ich nagie splecione ciała, niepomne niczego, pochłonięte sobą, pływały się w rozkoszy.

Kilka minut po drugiej — tym razem to ona się spóźniła — Eleonora wysiadła z taksówki obok muzeum w takim pośpiechu, że zapomniała zapłacić. Smolsky nie ruszył się z miejsca, kiedy przywołana przez protestującego kierowcę zawróciła i wcisnęła mu do ręki pieniądze, nie czekając na resztę, odwróciła się i zaczęła biec, z rozwianym paltem, przytrzymując jedną ręką kapelusz. Smolsky patrzył jak się zbliża, porażony siłą swojej miłości. Teraz, kiedy znów ją zobaczył po trzech tygodniach, wdała mu się jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej upragniona — niezbędna do życia jak powietrze.

Eleonora zbliżała się do niego, jak zwykle przynosząc ze sobą coś niepowtarzalnego — szczęście i ukojenie dla zmysłów i duszy, uczucie głębokie i wzruszające, tak intensywne, że zapierało mu dech w piersi. Zatrzymała się przed nim, zdyszana i blada. Zdjęła kapelusz. Smolsky pochylił się natychmiast do ukochanych rozchylnych warg. Kiedy się całowali, całe jej ciało wołało do niego głośno, składając deklaracje, od których kręciło mu się w głowie. Objął ją, odnalazł pod paltem, coraz bardziej oszołomiony jej dzikim wygłodniałym uściskiem.

Przerwali pocałunek i oderwali się od siebie z trudem, gnani potrzebą miłości. Smolsky chwycił ją za rękę i pociągnął do samochodu, z wariacką prędkością objechał ogrody i skręcił w via Moscova. Co chwilę rzucał okiem na kolana Eleonory, nagie pod jego dłońią i na jej twarz, spiętą i namiętą.

Wbiegli szybko w milczeniu po schodach, prowadzących do mieszkania na via Lovanio. Zanim Smolsky otworzył drzwi, znów się pocałowali, czepiając się siebie nawzajem niczym dwoje rozbitków, których próbuje rozdzielić burza.

A teraz kochali się czule i z pasją porozumiewając się językiem zmysłów i rozkoszując bliskością. W pocałunkach, w pieszczotach, w nieskończonych korytarzach przyjemności i pożądania gubili powoli samotność, na którą byli skazani przez długie dni rozstania.

—Jeszcze...—dyszała Eleonora—...jeszcze. — Usłyszał jej jęk. Cichy, gardłowy okrzyk, który nauczył się już rozpoznawać. Długo leżeli objęci. Oddech odnajdował swój spokojny rytm, łagodna słodycz zastępowała pożar zmysłów. Leżąc na boku, wpatrywali się w siebie, odnajdując w półmroku kontury twarzy, blask oczu. Patrzyli, nie mówiąc nic. Dłoń Jaro błędziła po jej ciele. Ona dotykała jego twarzy, włosów, piersi, przyciskała wewnątrz dłoni do jego serca, by poczuć jak bije, znów spokojnie i regularnie.

Długo tak leżeli w milczeniu. Kiedy poprzedniego dnia Smolsky przyjechał do Mediolanu, ledwie miał czas się przebrać, by zdążyć na kolację, którą Nicolą Martini wydawał dla najbliższych znajomych. Był Marani, Mignon i Lorenzo Venditti, kilku przemysłowców z



żonami, sławny jubiler, kierowca wyścigowy z latynoską kochanką okazałą brunetką, która przez cały czas nachalnie zalecała się do Smolsky'ego. Eleonora była jeszcze piękniejsza niż zwykle, opięta ciasno srebrzystą sukienką, z promienną twarzą, szczęśliwa i rozbawiona zwierzęcą drapieżnością, z jaką latynoska wieszała się na Smolskim. Była pewna jego miłości. Z uśmiechem wzięła go pod ramię, mówiąc: Pozwoli pan? — i zaciągnęła do saloniku, pod pretekstem, że ma jej pomóc wybrać kilka płyt. Pocałowała go za skrzydłem drzwi, kładąc z pośpiechem jego dłoń na swojej piersi.

—Jutro?—szepnęła. Obiecała, że o drugiej przyjdzie pod muzeum, w zwykle miejsce ich spotkań. I dziś, po obiedzie, wyszła z domu. Nicola siedział w biurze, nie musiała się więc przed nikim tłumaczyć. Wezwała taksówkę i wyszła, nie zwracając uwagi na spojrzenia ochmistrzyń, która obserwowała ją, stojąc w drzwiach wejściowych.

—Myślałam tylko o tobie, wiesz? — szepnęła w końcu Eleonora.

—Ja też. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedzieli od chwili spotkania.

—Strasznie było bez ciebie. — Eleonora westchnęła. — A święta...

—Opowiedz.

—Och, było mnóstwo krewnych, moja matka, mój brat Jacopo w fatalnym humorze. Po prostu nieznośny. A poza tym krewni Nicoli, przyjaciele, choinka ze srebrnymi świecami w jadalni, cieplarniane kwiaty i cała góra prezentów. A ja musiałam się uśmiechać. Bez przerwy. Potem pojechaliśmy z Nicolą do Cortiny. Byłeś tam?

—Nigdy. — Nie przerywał pieszczot.

—Och, tam jest przepięknie, ale bez ciebie... Wielka kotlina, śnieg i to niebo. Kilka razy wchodziliśmy na Falorię. Była tam też para książęca, no wiesz, syn króla z żoną, w tym samym hotelu. Umiesz jeździć na nartach?

—Tak.

Eleonora westchnęła i położyła dłoń na jego biodrze, zastanawiając się czy kiedykolwiek gdzieś razem pojedą. —Tak bardzo chciałabym spędzić z tobą kilka dni, przespać z tobą noc. W domu sypiam sama.

—Sama?

—Mam własną sypialnię—mruknęła, pozwalając mu się domyślić, że mąż też ma swój pokój. W hotelowym apartamencie spali razem. W Nowy Rok Nicola upił się i po jednej z tych swoich napaści, które wyglądały jak karykatura miłości, obrażał ją długo zdarł z niej nocną koszulę, zarzucił obojętność i oziębłość. Zimna ryba— tak właśnie ją nazwał.—Co się stało? — Smolsky poczuł jej dreszcz.

—Nic — szepnęła.

Następnego ranka Nicola przeproszał bez końca i błagał ją wręcz rozkazywał, by zapomniała o tej koszarnej nocy. Eleonora wzięła Smolsky'ego za rękę, ścisnęła jego dłoń.

—Nic — powtórzyła i ukryła twarz na jego ramieniu. — Czasami jest okropnie. — Smolsky objął ją mocno, a po chwili powoli odsunął ją od siebie, przeturlał na plecy i zaczął całować, długo, wciąż od nowa, wymazując z pamięci wszystko co złe.

Dwie godziny później, przed wielkim lustrem, zamontowanym na drzwiach szafy, ubrał ją sam, powoli zakładając po kolei błyszczącą bieliznę z cienkiego jedwabiu, pończochy, sukienkę. Kiedy zasunął już zamek błyskawiczny i zapiął haftkę na szyi, odsunął jej włosy z karku i pocałował.

— I jak ja mam teraz iść... — zapytała Eleonora, bo ten mały rytuał ubierania okazał się kolejnym zmysłowym doznaniem, zupełnie innym, ale równie podniecającym jak dzika gwałtowność, z jaką rozebrał ją ledwie weszli do pokoju. — Umrę z pożądania.

—Ja też — odparł Smolsky, obejmując ją.

—Jutro?

—Oczywiście, jutro. O piątej. Dasz radę?

—Och, tak, w każdej chwili. Może wcześniej?

—Muszę popracować z Maranim.

—Pracowałeś dzisiaj cały ranek.

—I pracuję jutro, aż do popołudnia. Ale o piątej...

—Spotkamy się od razu tutaj. Daj mi klucz do mieszkania.

—Jasne.

—A jeśli teraz —Eleonora odsunęła się od niego jeśli teraz nie przestaniesz mnie całować i dotykać, nie będę w stanie stąd wyjść.

Smolsky odwiózł ją samochodem na postój taksówek, i dopiero kiedy samochód, do którego wsiadła, zniknął za rogiem, zapalił silnik. Objechał park. Zapadał wieczór, kończył się szary, styczniowy dzień. Smolsky skierował się w stronę dzielnicy Ticinese.

Zostawił samochód za kościołem San Lorenzo i dalej ruszył pieszo. W oknach paliły się światła, ale na ulicy było niewiele przechodniów. Znużenie, które ogarnęło jego ciało po

wyczerpującej miłości, rozproszyło się powoli w zimnym powietrzu. A może to napięcie, spowodowane koniecznością zachowania czujności, tak szarpało mu nerwy?

Wszedł do baru i wypił kieliszek białego wina, potem drugi. Zapalił papierosa. Wyszedł. Wolnym krokiem skierował się na plac Sanffustorgio.

Kiedy ostatnim razem pracował z Sandrem, jeszcze przed Bożym Narodzeniem, umówili się, że przyjedzie dwunastego stycznia. Był już czternasty, dwa dni po terminie. Tylko godzina się zgadzała, szósta wieczorem. Smolsky miał w kieszeni informacje, które poprzedniego wieczoru, po kolacji, przekazał mu ukradkiem kapitan. Dwie drobno zapisane zeszytowe kartki. Smolsky spędził większą część nocy, szyfrując cały ten materiał.

Dotarł na róg placu. Z latami sączyło się smutne światło. Podnosiła się lekka mgła, spowijając drzewa na skwerze, W ciemności ludzie przemykali niczym zjawy. Pod domami zaparkowanych było kilka samochodów. Przejechał z łoskotem tramwaj, po chodniku przemknęły plamy światła. Smolsky ruszył w poprzek placu, kierując się do bramy domu swojego „pianisty”. Okno kuchni Sandra było ciemne. Smolsky zatrzymał się. Poszukał papierosów, wetknął jednego w usta. Spod runda kapelusza jego spojrzenie błędziło niespokojnie po placu. Coś tu nie gra — pomyślał. Miał niejasne przeczucie niebezpieczeństwa. Obracał w dłoni zapalki, nie zapalając papierosa. Przejechała furgonetka. Na mgnienie oka oświetliła dwa samochody, zaparkowane niedaleko Smolsky'ego, przed bramą Sandra. W ostrym św ietle reflektorów— Smolsky dostrzegł czekających po ciemku mężczyzn.

Czterech w każdym samochodzie. W sumie ośmiu.

Smolsky powoli zaczął iść przed siebie. Skręcił w prawo. Zatrzymał się. Zapalił papierosa. Znów ruszył, spokojnie, tak jak przyszedł, tłumiąc odruch, by puścić się biegiem, tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, byle dalej od tych ośmiu makabrycznych czarnych sylwetek.

Kiedy kwadrans później wszedł do warsztatu, Ugo uniósł głowę znad silnika, nad którym pracował. Wytarł szmatą dłonie pobrudzone smarem.—A niech cię diabli! —wykrzyknął.

—Nareszcie! Smolsky stał przed nim, szary na twarzy. —Dorwali Sandra?—szepnął, ledwie poruszając wargami. Kawalek dalej, w świetle lamp zamontowanych na ścianie pracował drugi mechanik.

—Tak. Dorwali go. Ale ty...

—Przed jego domem. Dwa samochody. Ośmiu mężczyzn w środku.

—A ty...

—Zawróciłem. Ale..*Verflucht!* — Smolsky zdjął kapłusz i rzucił na stolik obok.—O mało nie wpadłem.

—I oczywiście, jak idiota przyjeżdżasz sobie dwa dni później i idziesz prosto do Sandra, nie zaglądnij najpierw do mnie? Żeby się dowiedzieć, czy jest coś nowego? — Ugo był wściekły.

—Miałem wielkie szczęście, że nie...

—Oni czekali na ciebie.

—Sandro zaczął sypać?

—Żartujesz? Nawet nie pisnął. Ani słóweczka. —Ugo wziął papierosa.—Tak czy inaczej, nie żyje.

—Aha—powiedział Smolsky. Przełknął ślinę.

—Chcesz wiedzieć jak?

Smolsky pokręcił głową.

—Cóż, pewnie sobie wyobrażasz. Ale nie wsypał nikogo.

—W takim razie dlaczego czekali na mnie'?

—Nie na ciebie, jako... jako Smolsky'ego, rozumiesz? Nic o tobie nie wiedzą. Czekali na gościa, który przynosił Sandrowi informacje.

„Pianista” ma zawsze kogoś, kto go zaopatruje w materiały, tak? Mieli nadzieję, że ten, kto pracował z Sandrem, zjawi się prędzej czy później.

I dokładnie to chciałeś zrobić.

Smolsky przeciągnął rękami po włosach. Pod czaszką wybuchł mu wściekły ból głowy.

— Mój drogi — ciągnął Ugo — miałeś piekielne... — wymamrotał coś, czego Smolsky nie zdołał zrozumieć. — Mieliśmy z tym trochę roboty, ale udało nam się dowiedzieć, że ten, który zdradził Sandra, nie ma nic wspólnego z naszym kręgiem. Ty, ja i inni z naszej siatki jesteśmy bezpieczni, przynajmniej na jakiś czas. Tylko od Sandra Corbini mógł się czegoś o nas dowiedzieć. Ale Sandro... — Ugo nie dokończył. Smolsky zapalił papierosa i usiadł na stołku, z łokciami na kolanach, błędząc spojrzeniem po brudnej podłodze. Sandro. Jego głos z mediolańskim akcentem, tak wyraźnym, że Smolsky'emu często trudno było go zrozumieć. Pozioma zmarszczka przecinająca czoło. Jasne oczy. Jego twarz — twarz człowieka śmiertelnie zmęczonego życiem w wieku niespełna czterdziestu lat. Pewnego wieczoru, przy kawie — bo Sandro potrafił ją skądś wytrzasnąć, choć od jakiegoś czasu kawa we Włoszech była niemal nie do zdobycia—opowiedział mu, że często wsiada w niedzielę do pociągu i jedzie do Piemontu, do pewnej wioski o nieprawdopodobnej nazwie Calamandrana. Pamiętał też jego długie wyjaśnienia, jak się przycina winorośl,

—Miał jakąś rodzinę? — Smolsky uniósł oczy.

—Tak, rodziców. To chłopci z Calamandrany, wioski, w której...

—Tak, opowiadał mi o tym. Pochodziło stamtąd jego wino.

—Miał tam też kobietę. Jakąś wdowę.

—Nie. — Smolsky potrząsnął głową. — O niej mi nie mówi!. — Zamrugał kilka razy powiekami, rzucił papierosa i spojrzał w górę. — Ale...mruknął i znów pokręcił głową.

Poklepał się po kieszeni.

—Mam tu towar. Powinienem...

—Skombinowałem ci innego „pianistę”. Mieszka niedaleko, jakieś dziesięć minut stąd, przy kanałach. Idź pieszo i uważaj na siebie.

Smolsky spojrzał bez słowa na Ugo.

—Powiedz — Ugo stanął przed nim — masz pietra, co?

—Ba—powiedział Smolsky i skinął głową —a kto by nie miał?

—Ja nie spałem dwa dni i dwie noce po tym, jak wzięli Sandra. Oka nie zmrużyłem. Do diabła, po prostu nie mogłem spać. W nocy słyszałem, jakidą po schodach i za każdym razem, kiedy ktoś wchodził do warsztatu, sercami zamierało. Mało zawału niedostałem, mój drogi.

— Ugo strzelił szmatą o maskę samochodu.

—Kto to jest, ten nowy ? — zapytał Smolsky po chw iii.

—Ten „pianista”? Porządny facet.

—Młody

—Koło pięćdziesiątki. Też twardziel. Pracuje w szkole podstawowej. Nauczyciel. Jeśli pójdziesz zaraz, jeszcze go zastaniesz.

—Cóż, tak będzie najlepiej... — Smolsky wstał. Bolały go wszystkie kości, jakby ktoś go pobił. Zapragnął nagle z całej duszy znaleźć się w ramionach Eleonory, w zaciszu jej miękkich ramion, z głową opartą na jej piersi. Pragnienie było tak intensywne, że niemal bolesne.

Ruszył do wyjścia.

—Hej —zatrzymał go Ugo. — A Kristenfeld nic ci dla mnie nie dał?

Smolsky pogrzebał w kieszeni.

—Co za idiota ze mnie. Zapomniałbym. — Podał mechanikowi złotą zapalniczkę. — Prezent gwiazdkowy.

— O, dzięki — odparł Ugo z uśmiechem. — No, zbieraj się. Trzeba się brać do roboty. Do zobaczenia.

—Jaka piękna! To dla mnie? Jest moja?

—Dla ciebie, Denis. Oczywiście... — Nicola zdjął marynarkę.

W mieszkaniu było gorąco jak w cieplarni. Usiadł na białym pufie na środku pokoju, rozpiął mankiety koszuli. Nie odrywał oczu od rozpromienionej twarzy chłopaka, który przed chwilą wyszedł spod prysznic; z czarnych loków kapąły mu jeszcze na czoło pojedyncze krople.

Oczami błyszczącymi z radości Denis oglądał tunikę, którą odwinął z bibułki — drogocenny, krótki fatalaszek z najcieńszego jedwabiu, z rękawami jak u kimona. Złote i srebrne nici spletały się w drobniutki orientalny wzorek.

—Jest wspaniała. Gdzie ją znalazłeś?

—Założ ją — polecił Nicola.

Denis podał mu tunikę.

—Sam mi ją załóż... — szepnął. Uśmiechnięte wargi były wilgotne od śliny. — Nie chcesz? —I zrzucił ręcznik, który miał zawiązany wokół bioder.

Nicola wstał. Założył tunikę na wyciągnięte ramiona chłopaka, po czym obrócił go gładząc jego ciało, ubrane w śliski materiał

—Jesteś... — Nie zdołał powiedzieć nic więcej.

—Jestem piękny, prawda? — roześmiał się Denis, podchodząc do lustra. Zaczął podziwiać własne odbicie, obracając się w prawo i w lewo, rozchylając i zaciągając tunikę, wiążąc pasek, unosząc i opuszczając materiał; wspaniałe wcielenie Narcyza, pochylonego nad odbiciem własnej wyjątkowej piękności — pomyślał Nicola. Zaczął się rozbierać.

—Chodź tu... — powiedział półgłosem.

Później, stojąc już w przedpokoju i zbierając się do wyjścia, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki wypchaną kopertę. Młodzieniec, który stał nago obok niego, wyrwał mu ją z ręki.

—Jak dużo — powiedział ze śmiechem i pocałował jego dłoń z łaskawą miną, jak księżę, który żartuje sobie ze swojego pazia. Nicola nie przeszkadzał mu w tej zabawie; naprawdę czuł się niewolnikiem tej nastoletniej piękności, ale i zimnego, wyrachowanego umysłu, który za każdym razem — i za każdym razem za wyższą cenę — potrafił wymyślić dla niego coraz doskonalsze sposoby dostarczania rozkoszy. Nikt tak jak on nie umiał doprowadzić go do istnego delirium, ale i — jak przyznawał z zakłopotaniem Nicola — do granic upodlenia. Chłopak patrzył na kopertę, oblizując wargi. Z prędkością krogulca spadającego na mysz przeliczył pieniądze.

—Może być.

—Och, naprawdę? — zapytał ironicznie Nicola, biorąc palto. — Jaśnie panicz z ciebie. Nie zaczynasz przypadkiem przesadzać?

—Każę sobie płacić również za twoje zdrady — Denis oparł się o ścianę z rozstawionymi nogami, wachlując się kopertą.

—Za moje zdrady? — zapytał Nicola, marszcząc brwi.

—Nie mówię o twojej żonie. — Usta chłopaka skrzywiły się pogardliwie. — Kobiety... — wzruszył ramionami. — Mówię o tym, co było dziesięć dni temu, dokładnie trzynastego stycznia. Powiedziałeś mi, że nie masz czasu, a tak naprawdę, poszedłeś odwiedzić blondyna i jego przyjaciół. Prędzej czy później wszystko się wydaje.

—To są moje sprawy — Nicola odzyskał panowanie nad sobą.

—Jak mnie będziesz oszukiwał, to cię zostawię.

—Ty... co takiego? — Nicola odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na chłopaka.

—Tak — odparł Denis. — A co myślisz, że jesteś jedyny? Blondyn zaprosił mnie, żebym jechał z nim w marcu na Capri. I pojedę. Ty i tak znajdziesz kogoś na pociechę, a ja znajdę kogoś, kto zapłaci mi lepiej!

Cios trafił go w policzek. Po nim kolejny. I jeszcze jeden. Kiedy Nicola wreszcie się opanował, z kącika ust Denisa sączyła się krew. Ledwie kilka kropel, które chłopak otarł gniewinym ruchem. Spojrzał na ślady krwi na ręce i uśmiechnął się złośliwie.

—Więc jednak ci na mnie zależy, tak?

—Spróbuj jeszcze raz opowiadać takie głupstwa — odparł Nicola lodowato — a połamię ci kości. Zostaniesz tu i nigdzie się nie ruszysz, jasne? Jesteś mój — podkreślił z naciskiem, zdumiony, że potrafił pobić tego młodego Apollina i że był zdolny do takiej zaborczości. — Zadzwoń do ciebie — mruknął i szybko wyszedł.

W salonie, obok płonącego kominka, Eleonora nalewała zebranych aperitifów. Kiedy Nicola stanął w drzwiach, uniosła głowę, spojrzała na niego, a uśmiech zamarł jej na ustach. Nicola pozdrowił wszystkich obecnych.

—Zaraz do was dołączę, zebranie się przedłużyło. No cóż, praca! — Giorgio Marani, Mignon i Lorenzo unieśli kieliszki.

—Pośpiesz się — ponagliła go Mignon. — Przekąsimy coś i idziemy do teatru. — Tylko Jacopo nie przyłączył się do tej wymiany grzeczności, chłodny jak zwykle; pił obojętnie różowawy napój.

—Wybaczcie — powiedziała Eleonora. W pośpiechu wyszła z salonu i dogoniła męża na końcu korytarza. Usłyszawszy jej kroki, Nicola odwrócił się i zaczekał.

—Co się stało? — Eleonora stanęła przed nim.

—Dlaczego? Nic...

—Kiedy wszedłeś, miałeś taką minę... nawet teraz, wiesz? Źle się czujesz? Wystraszyłam się, naprawdę. Nigdy nie widziałam, żebyś był taki... taki wzburzony, a przynajmniej tak mi się wydawało...

—Tylko zmęczony — odparł Nicola oschle, ale zaraz się uśmiechnął. —Jesteś bardzo elegancka. Dobrze ci w czarnym. — Poprawił sznur pereł na jej piersiach. — Jesteś dziś naprawdę piękna.

—Masz ochotę iść do teatru? — zapytała Eleonora. — Miałam nadzieję, że pójdziemy na coś z Paolą Borboni, wiesz...

Nicola szedł po schodach, trzymając ją za ramię. Eleonora wolną ręką muskała poręcz z szarego marmuru.

—Paola Borboni gra dziś w...

—A poza tym? — przerwał jej Nicola.

Eleonora zwróciła uwagę na ton jego głosu, ale zmusiła się, by mówić dalej:

—...oprócz tego w Odeonie jest dramat kryminalny. Odpowiada ci?

Z Ruggerim i tą Carli.



Weszli do pokoju Eleonory. Virginia kładła właśnie na łóżku koszulę nocną. Mruknęła pod nosem „przepraszam” i zniknęła.

—Ależ tak, odpowiada mi. — Nicola zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. — Zaprosiłaś swojego brata, czy przyszedł nas odwiedzić z własnej inicjatywy?

—Ja go zaprosiłam.

—Mów sobie co chcesz, ale ten chłopak mnie nie cierpi. Ciekawe, dlaczego?

—Ależ nie, zawsze miał trudny charakter...

—Eleonoro — Nicola stanął przy drzwiach do swojego pokoju, Zwrócony w jej stronę przyglądał się jej niespokojnie.

—Co się stało? — Eleonora zrobiła kilka kroków w jego stronę.

—Podejdz bliżej — powiedział półgłosem.

—Tak... — Twarz męża wydała się jej teraz bardziej przestraszona niż wzburzona. Stała przed nim. Nicota wciąż się w nią wpatrywał. W jego oczach wyczytała rozpacz. Serce zabiło jej mocniej, zacisnęła dłonie, przytłoczona poczuciem winy, które dręczyło ją coraz boleśniej. Tym bardziej teraz, kiedy zdradzała go regularnie, za każdym razem, kiedy Smolsky przyjeżdżał na kilka dni do Mediolanu.

—Co się stało? — powtórzyła cicho. Nicola wpatrywał się w jej twarz, jego spojrzenie ześlizgiwało się w dół, biegalo po całym ciele i znów wracało do oczu. A Eleonora wspominała wszystkie kłamstwa ostatniego miesiąca, wszystkie wymówki, których używała, by wyrwać się na via Lovanio, wszystkie zimne popołudnia, kiedy otwierała drzwi mieszkania Smolsky'ego kluczem, który od niego dostała. Jeśli nie czekał na nią, zapalała wszystkie światła z wyjątkiem sypialni, w której zaciągała zasłony, jak to zwykle robił on. I rozbierała się, drżąc z podniecenia i emocji. Poruszona myślą że niedługo znajdzie się w ramionach ukochanego mężczyzny, wsuwała się w chłodną pościel. Te chwile oczekiwania, kiedy leżała nago w jego łóżku, były tak samo podniecające, jak sama gra miłosna, którą sobie wyobrażała. Potem słyszała otwierające się drzwi wejściowe, kroki Smolsky'ego w korytarzu. Eleonora westchnęła i zapytała cicho:

—Co ci jest, Nicola? Czemu patrzysz tak na mnie i nic nie mówisz?— Pomyślała, że za kilka dni, dokładnie piętnastego lutego. Smolsky znów przyjedzie, a ona jak zwykle do niego pójdzie. By znów poczuć, że żyje.

—Chodź tu.

—Tu? — Stała już bardzo blisko niego. Oby tylko nie do jego pokoju, pomyślała z obrzydzeniem, ale i z poczuciem winy. Oby tylko nie chciał się teraz ze mną kochać.

Nicola objął ją i oparł czoło o jej głowę.

— Przytul mnie.

Z wahaniem otoczyła go ramionami, zdając sobie sprawę, że wyraża tym gestem ledwie odrobinę czułości, bladą sympatię, jaką go darzyła, wynikającą głównie z wyrzutów sumienia i swego rodzaju litości — uczucie, jakie żywimy zwykle do tych, których nie udało nam się pokochać.

—Chciałbym, żebyśmy byli szczęśliwi... — mruzczał Nicola.

—Tak — odparła.

—Zakochani...

Eleonora nie zdołała odpowiedzieć. Wbrew sobie myślała o Smolskym. Za dwa dni znów go zobaczy. Nicola usłyszał jej westchnienie.

—Staram się dać ci wszystko, co mogę — powiedział cicho, głosem pełnym rozpacz.

Eleonora odsunęła się, spojrzała na niego, wzięła jego twarz w dłonie.

—Ależ, Nicola... — Nie chciała, żeby cierpiał, nie chciała wyrządzać mu krzywdy. Nie powinna była skazywać go na torturę nieodwzajemnionej miłości. To nie jego wina, pomyślała, że jestem zakochana w Smolskym.

—Kocham cię — powiedziała.

—Tak?

— Tak, naprawdę. — Objęła go z trochę większym zapalem, oparła się o niego, zastanawiając się przez chwilę, czy Nicola nie odkrył czegoś na temat jej i Smolsky'ego i czy nie dlatego jest taki nieszczęśliwy. Ale natychmiast odpowiedziała sobie, że to niemożliwe. Nie mógł niczego odkryć. A poza tym знаła go już na tyle, by wiedzieć, że gdyby dowiedział się o jej zdradzie, zareagowałby zupełnie inaczej. Potrafił być bardzo gwałtowny. Zadrżała, odsuwając się od niego.

Zmusiła się do uśmiechu.

—Już wszystko dobrze?

—Ależ tak. — Nicola uniósł głowę charakterystycznym dumnym ruchem. — Oczywiście, że dobrze. Wybacz mi, to tylko zmęczenie. Zejdź i powiedz naszym gościom, że niedługo do nich dołączę i pójdziemy do teatru. — Zanim wyszedł, dodał jeszcze: — Czasami boję się, że nie jesteś szczęśliwa. Ale przecież jesteś, prawda? — Eleonora patrzyła na niego w milczeniu. Zapytał jeszcze raz: — Jesteś?

—Tak — odparła cicho Eleonora. — Oczywiście.

Uporczywa mżawka spływała po szybie balilli, rozmywając kontury przedmiotów. Skulona na siedzeniu samochodu Eleonora patrzyła przed siebie, ale z trudem rozróżniała wielkie drzewa na placu przed politechniką. Pięć minut — powiedział Smolsky, parkując samochód, a minęło już prawie pół godziny. Mówił, że ma tylko doręczyć Maranemu jakieś papiery i że zaraz wraca. Eleonora miała nadzieję, że bez Giorgia. Trochę się niepokoiła, choć, prawdę mówiąc, nie obchodziło jej zbytnio, czy Marani odkryje ich romans. Wiedziała, że Marani gardzi kobietami i uważa, że nadają się tylko do jednego. Wiedząc, że została kochanką Smolsky'ego, zaliczyłby ją po prostu do grona niewiernych żon z mediolańskiego towarzystwa. Było jej to właściwie obojętne. Bała się zupełnie czego innego. Westchnęła ciężko.

Przetarła zaparowaną szybę. Na końcu ulicy zobaczyła Smolsky'ego. Właśnie w tej chwili wychodził z bramy, otwierając parasol. Podniósł kołnierz przeciwdeszczowego płaszcza i ruszył do samochodu prawie biegiem, omijając kałuże.

—Wybacz — powiedział, otwierając drzwiczki. Wrzucił do środka parasol i usiadł obok Eleonory. — Wybacz — uśmiechnął się — ale Giorgizaczął mi zawracać głowę na temat zjazdu psychoanalityków, który chciałby zorganizować we Włoszech. Wiesz, tu jest tylko kilku psychoanalityków na krzyż...— Zdjął kapelusz i odłożył go na tylne siedzenie. Kosmyk ciemnych włosów opadł mu na czoło. — Co za pogoda! Jestem przemoczony. — Położył kołnierz płaszcza.

—Smutno dzisiaj, prawda? Siedziałam tu i czekałam na ciebie, i było mi tak smutno!

—Nie chcę, żebyś była smutna — powiedział, ale na twarz Eleonory znów wypłynął niepokój, który od jakiegoś czasu tak często na niej gościł.

—Ty też jesteś smutny. Nawet bardziej ode mnie.

—Smutny...jak to?

—Nie wiem. — Wzięła go za rękę i uniosła ją do ust. — Jakby coś cię dręczyło.

Smolsky pogłaskał jej policzek i nagle pocałował ją.

Przez chwilę milczeli. Nieprzerwany szelest deszczu był monotony i posepny, szyby zaparowały od ich oddechów. Cały świat przypominał szarą wyblakłą scenografię do smutnej sztuki.

Eleonora opuściła szybę na kilka centymetrów.

—Posłuchaj, Jaro...

—Co się stało? Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Proste krótkie włosy okalały jej twarz, wysuwając się spod szkockiego beretu, założonego na bakier.

W ciemnych oczach widać było napięcie.

—Zaczynam się bać.

—Czego? —Pauza.—Nicoli? —zapytał Smolsky ledwie dosłyszalnie. Eleonora pokręciła głową.

—Nie, nie jego. On nic nie wie, niczego nie podejrzewa. — Spuściła wzrok. Wyglądała na udręczoną. — Tylko że nie chciałabym... on w sumie... — Uniosła powieki i znów pokręciła głową. — Ale nie o tym chciałam mówić. Boję się tego, co będzie wkrótce.

—To znaczy?

—Sytuacja polityczna, Austria. W domu dużo się mówi o polityce. A ja słucham. Poza tym są jeszcze gazety, choć Nicola mówi, że nie opisują nawet połowy tego, co się naprawdę dzieje. — Umilkła na chwilę, patrząc przed siebie. — Boję się o ciebie. Jeśli w Austrii coś się stanie... no, więc chodzi o to — westchnęła.

—No cóż. sytuacja rzeczywiście nie należy do najweselszych — mruknął Smolsky.

—Tam jest mnóstwo nazistów, prawda? Wiesz, co mi opowiadała jedna znajoma u Mignon? Któregoś dnia byłam w jej salonie. Tamta pani mierzyła suknię, no i rozmawiałyśmy. Była niedawno w Wiedniu i mówiła, że na głównej ulicy, na... jak się nazywa?

—Kartnerstrasse?

—Tak. właśnie tam... mówi, że tam, dokładnie naprzeciwko teatru, w witrynie biura podróży wisi ogromna fotografia Hitlera. Gigantyczna! A wiele osób przechodząc tamtędy, salutuje. To prawda?

—No tak — odparł Smolsky. Zapalił papierosa, odsunął okienko i wydmuchnął dym na zewnątrz. — Tak, to prawda.

—I wiesz, co jeszcze opowiadała? Jej mąż pracuje w ambasadzie i ona mówi, że nie tak dawno temu, pod koniec stycznia, policja austriacka wykryła w Wiedniu nazistowski spisek. Naziści austriaccy chcieli przeprowadzić zamach stanu. Czy to prawda?

Smolsky skinął głową. Oczywiście, że prawda. Spisek zawiązano w siedzibie nazistów przy Teinfelstrasse. Projekt zamachu stanu zaakceptował Rudolf Hess, zastępca Hitlera. Mieli zorganizować rozruchy, zabić kogoś i w ten sposób dać Niemcom dobry pretekst, by ruszyli na Wiedeń „na pomoc naszym braciom, prześladowanym w Austrii”.

—Ale jeśli przyjdą naziści... — Eleonora nie dokończyła zdania, tylko spojrzała na niego przestraszona.

—No cóż, nie wiem. — Smolsky odgarnął jej włosy z policzka. — Nie wiem, co się stanie.

—Szkoda, że nie słyszałeś tamtej kobiety — ciągnęła Eleonora wzburzona. — Mówiła, że austriacki kontrwywiad wykrył ten spisek przez czysty przypadek.

—Ach tak? — Smolsky'emu wymknął się uśmiezek.

—Dlaczego się śmiejesz? Dziwi cię, że kobiety rozmawiają o takich rzeczach? O polityce?

—Ależ skąd.

—Nie wszystkie, oczywiście, ale niektóre rozmawiają o tym, co się dzieje. No więc, ta kobieta opowiadała, że znaleziono całą masę zaszyfrowanych dokumentów i że przypadkiem udało się coś z nich zrozumieć.

Przypadkiem? Kristenfeld, stary lis. Geniusz, jeśli chodzi o odczytywanie wszelkich szyfrogramów. A z tych dokumentów łatwo już było odtworzyć plan akcji, uknuty przez wiedeńskich nazistów, ludzi takich jak Tavs i Leopold, dobrych znajomych mecenasa Renza, ojca Ewy. Smolsky potrząsnął głową i wyrzucił papierosa przez okienko.

—I co jeszcze?—Rozparł się w fotelu i spojrzał na profil Eleonory. Oczy miała spuszczone, skubała frędzle szalika. — Co jeszcze mówiła ta pani?

—Że nawet jeśli tym razem rozbito ten spisek, to w Wiedniu i tak jest mnóstwo nazistów. I że Hitler pożre Austrię na jeden kęs. Ale wiedeńczycy zachowują się tak, jakby nic się nie działo, jakby w to nie wierzyli. Mówiła, że Wiedeń to zdumiewające miasto, że w najdroższych sklepach i restauracjach zawsze jest pełno ludzi, ale na ulicach jest tylu żebraków...

Strumyki deszczu spływały po szybie. Było bardzo zimno.

—Jaro?

—Tak.

—Słyszałam też, że wasz Kanclerz, ten, jak on się nazywa? Schuschnigg... został zaproszony przez Hitlera do Bawarii i że odbył z nim naradę. Dwunastego lutego, dokładnie trzy dni temu.

Smolsky westchnął. Przypomniała mu się Greta. Wyłoniła się z przeszłości i stanęła jak żywa przed jego oczami. Od jak dawna o niej nie myślał? O jej wrażliwej zdecydowanej twarzy? I o tym, jak wyglądała później, kiedy znaleziono ją w Monako na brzegu rzeki, gdzie wyrzuciło ją SS. Ale dwunastego lutego cztery lata temu Greta była jeszcze żywa, cała i zdrowa, pełna sił i nadziei. Tamtego dnia, kiedy armia austriacka zaczęła ostrzeliwać dzielnice robotnicze i zabiła

tysiące ludzi. A pod wieczór Greta przyprowadziła do jego domu Karla, rannego i zakrwawionego. Żeby go ratował. Smolsky pomyślał, że to naprawdę dziwny zbieg okoliczności: dokładnie w rocznicę tamtego strasznego dnia w 1934, cztery lata później, dwunastego lutego 1938 roku Kanclerz austriacki jedzie do Hitlera, by czołgać się u jego stóp.

— Nicola mówi, że z Austrią już koniec, że żądania Hitlera... że Kanclerz nie ośmielił się niczego odmówić ze strachu, że Hitler napadnie na Austrię natychmiast, z całą armią. Naprawdę jest aż tak źle?

— Bardzo — odparł Smolsky, biorąc w ręce jej zmarzniętą dłoń. — Bardzo źle. Hitler dał naszemu Kanclerzowi coś w rodzaju ultimatum i wysunął całą serię żądań. Chce, żeby partia nazistowska dostała pozwolenie na wyjście z podziemia, żeby wszyscy naziści siedzący w więzieniach zostali ułaskawieni. Zażądał też, żeby pewien nazista, niejaki Seyss—Inquart został mianowany ministrem spraw wewnętrznych, a to oznacza, że będzie miał pod sobą policję i służby bezpieczeństwa. — Smolsky umilkł i pomyślał, że to oznacza także jakieś ważne stanowisko w ministerstwie dla ojca Ewy, mecenasa Renza, jego niepokojącego sąsiada.

—I co dalej?

—Dalej? Hitler chce, żeby dwóch filonazistów objęło ministerstwo obrony i finansów.

—I wasz Kanclerz zgodził się na to wszystko? — Eleonora otworzyła szeroko oczy. — Przyjął wszystkie żądania Hitlera?

—Przez kilka dni próbował się opierać. Ale dzisiaj on i prezydent Miklas...

—Nicola mówi, że Miklas jest dość obrotny. To prawda?

—Ba... Wiedeńczycy mówią, że jedyna rzecz, jaką udało się prezydentowi zrobić w życiu, to gromadka dzieci.

—I podpisali dzisiaj porozumienie?

Smolsky skinął głową.

—Finis Austriae — mruknął. — Podpisali wyrok śmierci na Austrię. Przynajmniej takie mam wrażenie.

—Och, ale w takim razie... — Eleonora odwróciła się gwałtownie w jego stronę. Przestraszona przykryła usta dłonią. — Ale w takim razie to oczywiste, że niedługo... ale ty, jak sobie poradzisz? W Niemczech Żydzi są... — umilkła.

—Nie jestem jedyny — odparł Smolsky.

—Ale... musicie wyjechać... uciekać... nie możecie tam zostać, skoro...

—Nie tak łatwo wyjechać, Eleonoro. — Gdybyż to było jedyne niebezpieczeństwo. Pomyślał o Corbinim, który deptał mu po piętach.

—Jeśli tobie się coś stanie... — Eleonora oparła głowę na jego ramieniu. — Za każdym razem, kiedy wyjeżdżasz, ogarnia mnie strach. I boję się o ciebie przez cały czas, dopóki cię znów nie zobaczę. — Nie miała pojęcia, że tak naprawdę nadstawiał karku właśnie tu, we Włoszech. Przynajmniej w tej chwili.

—Ale ja się z Wiednia nie wyprowadzę — powiedział Smolsky. — Mam tam swoją pracę, kolegów. Freuda. Doktor Freud też siedzi w Wiedniu i nie ma zamiaru wyjechać, tak jak wielu innych.

—Ale to znaczy, że lada moment...

—Eleonoro, Niemcy nie napadli jeszcze na Austrię — odparł Smolsky stanowczo. Ucałował jej rękę, najpierw grzbiety, potem wnętrza dłoni.—Zamarzniesz. Chodźmy gdzieś. ;

Wysiedli z samochodu, zupełnie zapominając o Maranim, którego w każdej chwili mogli spotkać. Groziło im coś o wiele bardziej przerażającego niż skandal, coś, czemu nie zdołaliby się przeciwstawić — tragiczna, obojętna rzeczywistość, która mogła ich rozdzielić, zniszczyć ich bliskość. Zniszczyć całe ich życie.

Przytuleni pod parasolem, w zimnym deszczu, Smolsky i Eleonora przecięli plac, zadając sobie w duchu pytanie, jak długo jeszcze będzie wolno im się kochać. Ile mamy czasu — myślał Smolsky — zanim w nasze życie wmiesza się historia? Ale przecież oni nie nazywali jeszcze historią decyzji czterech głów państw, które rosły w siłę dzięki milczącej zgodzie reszty świata. Nie wiedzieli, że decyzje te doprowadzą do katastrofalnej wojny, która zmiecie z powierzchni ziemi miliony ludzi.

—Nie. — Eleonora zatrzymała się nagle, chwytając kurczowo ramię

Smolsky'ego. — Ja nie zniosę rozstania z tobą... jeśli coś ci się stanie...nie mogę.

Przy stoliku, w kącie ciemnego baru, nad filiżankami gorącej herbaty, trzymali się w milczeniu za ręce.

Kiedy później podjechali na Dworzec Centralny, skąd Eleonora miała wziąć taksówkę do domu, nie była w stanie rozstać się ze Smolskym.

—Zupełnie jakbym cię miała więcej nie zobaczyć...

—Co ty mówisz? Na razie jeszcze nic się nie stanie.



—Nie wiem — westchnęła, opierając się na jego ramieniu. — Tym razem po prostu nie mogę opanować niepokoju. Jakoś wyjątkowo trudno mi cię zostawić. Stali niedaleko rzędu taksówek. Było już ciemno i wciąż padało.

—Kiedy wracasz do Mediolanu?

—Za jakieś dwa tygodnie, pod koniec lutego.

—Będę na ciebie czekała — szepnęła Eleonora.

Właśnie o tych słowach, „będę na ciebie czekała”, wypowiedzianych przez Eleonorę tak smutnym tonem, rozmyślał Smolsky piętnaście dni później. Wracał do niej. Już jutro miał się z nią zobaczyć. Pragnął tego z całego serca. Pociąg, który wiozł go do Mediolanu, ruszył właśnie ze stacji w Wiedniu. Rytmiczne postukiwanie kół nabierało tempa. Smolsky stał na korytarzu i palił papierosa, obserwując przez okienko umykające światła.

Dużo pracował przez te dni i niewiele sypiał, dręczony narastającym niepokojem, który jakimś cudem zaszczerpiła mu Eleonora podczas ich ostatniego spotkania. Ten niepokój nie chciał go opuścić, zacząłony w jego wnętrzu, szarpał mu nerwy, podsycany coraz bardziej przez wydarzenia polityczne. Wszystko, co przeżył przez te dwa tygodnie w Wiedniu, stawało mu teraz przed oczami. Dwudziestego lutego radio austriackie nadało przemówienie Hitlera. Smolsky słuchał go w domu Gumpłowiczów, razem z innym i—także z Niną i Sanderem. Wszyscy siedzieli w milczeniu wokół radia, rzucając tylko wymowne spojrzenia, kiedy Hitler swoim ochryplym głosem krzychał: „Rzesza Niemiecka czuje się w obowiązku bronić siedmiu milionów Niemców mieszkających w Austrii”, na co Gumpłowicz wypalił: Ale my nie jesteśmy Niemcami, my jesteśmy siedmioma milionami Austriaków, a nie Niemców. Co ten wariat wygaduje?

Kilka wieczorów później Smolsky znów znalazł się w domu Gumpłowicza — tym razem słuchali przemówienia Kanclerza, ostrej odpowiedzi na słowa Fuhrera: „Austria nigdy nie zrezygnuje ze swojej niepodległości”. W salonie natychmiast zaczęły krążyć kieliszki, wszyscy poczuli się pewniej, przekonani, że rząd austriacki z Kanclerzem na czele, niezależnie od obecności nazistowskich ministrów narzuconych przez Hitlera, bez problemu obroni Austrię przed każdą inwazją. Zapanowała ogólna wesołość, w atmosferze powszechnej ulgi rozmowa nabrała lekkiego tonu — zaczęto mówić o balach, które mają się odbyć w Wiedniu w karnawale i o przedstawieniach kabaretowych, na które chodziły tłumy. Szczególnie do kabaretu Der lieber Augustin, gdzie tryskający humorem żydowscy aktorzy przedstawiali prześmieszoną satyrę na rasizm począwszy od Adama i Ewy, a na Hitlerze skończywszy.

Ale dwa wieczory później, w tym samym domu rozmawiało się o manifestacjach filonazistów, które wybuchały gwałtownie w całej Austrii. W Grazu dwadzieścia tysięcy nazistów



zdarło austriacką flagę na głównym placu miasta i zastąpiło ją niemiecką flagą ze swastyką. A Carolocie, zdumionej, że policja nie stłumiła zamieszek, Gumplowitz wykrzyczał w twarz: Od kogo policja ma dostać rozkaz interwencji, jeśli minister spraw wewnętrznych też jest nazistą? — W istnym ataku furii, który na próżno usiłowała zażegnać Nina, staruszek kłął na giełdę, która od kilku dni miała spore kłopoty, kłął na banki, z których klienci austriaccy i zagraniczni w pośpiechu wycofywali depozyty, na firmy zagraniczne, które odwoływały zamówienia u austriackich kontrahentów, na turystów, którzy anulowali rezerwacje w austriackich hotelach, a nawet na Toscaniniego, który zatelegrafował z Nowego Jorku i odwołał swój udział w letnim festiwalu w Salzburgu. Kipiący oburzeniem Gumplowitz zakończył swoją tyradę, wykrzykując. To istny chaos! Austria idzie na dno!

— W końcu padł na fotel w pełnej konsternacji ciszy, która zapanowała w jadalni. Czerwony na twarzy, strzelając wokół oczami, oświadczył: Wielu Żydów już pakuje walizki. Ja też się wyniosę, prędzej czy później.

—Co pan powie na kolacyjkę w wagonie restauracyjnym?

Smolsky obrócił się do Kristenfelda, który spoglądał na niego, trzymając się ścian, by utrzymać równowagę w kołyszącym mocno pociągu.

—Nie jest pan głodny? — Uśmiechnął się. — Woli pan oddawać się ponurym rozmyśleniom? To widać, że nie myśli pan o niczym wesołym, drogi profesorze Smolsky.

—Rzeczywiście — odparł Smolsky. Ruszyli razem. Kristenfeld przodem, Smolsky za nim.

Spotkali się już w pociągu, zanim skład ruszył ze stacji. Kristenfeld miał wysiąść w Salzburgu, ale wszedł do przedziału Smolsky'ego i rzucając na kuszetkę torbę wypchaną książkami, oświadczył radośnie:

—Cóż za przyjemność podróżować w wesołej kompanii!

—Nigdy nie widziałem u pana takiej srogiej miny — powiedział Kristenfeld, kiedy już siedzieli przy stoliku w wagonie restauracyjnym. Nalał do kieliszków białego tyrolskiego wina. — Skąd ten nastrój? Kuchnia na pewno jest tu doskonała, zapewniam pana.

Smolsky nie odpowiedział.

—Proszę zgasić tego papierosa i rozluźnić się. No, już — Kristenfeld uniósł kieliszek. — Wszystko będzie dobrze.

— Pan w to wierzy?

—Niezupełnie, ale udaję.

Przez całą kolację — krewetki w różowym sosie, które smakowały jak mydło i przystawka z rozgotowanych warzyw — Smolsky nie odezwał się ani słowem. Za to Kristenfeld gadał bez przerwy o Waifensteinie, swoim ukochanym bohaterze.

—Waifenstein był dokładnie taki sam jak pan dzisiaj, drogi Herr Professor. Bez przerwy w złym humorze. Do wszystkich spraw, którym służył, podchodził z głębokim pesymizmem. Był Czechem, tak jak pan. Ale potrafił też być czarującym człowiekiem — zażartował. Smolsky nawet się nie uśmiechnął.

— Co się z panem dzieje? — zapytał Kristenfeld jakiś czas później, kiedy byli już w przedziale Smolsky'ego. Zamknął drzwi i usiadł na kuszetce, wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki płaską srebrną buteleczkę. — Whisky?

Smolsky skinął głową i upił spory łyk.

— Pan się boi jutrzejszego dnia? — zapytał Kristenfeld, biorąc piersiówkę.

—Tak. Ale nie tylko. Mam wrażenie, że dosłownie wszystko wywraca się do góry nogami. Pod każdym względem.

— Pomówmy o jutrzejszym dniu — uciął twardo Kristenfeld. — Dajmy sobie spokój z napadami depresji. No więc, przyszła pora zająć się tym Niemcem, którego ma pan odeskortować do Szwajcarii. Jak już panu wyjaśniałem, jutro będzie się pan musiał z nim spotkać. Ukrywa się w Mediolanie. Zrozumiał pan dobrze, co ma zrobić?

Smolsky oparł się plecami o zamknięte okno, z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w Kristenfeida.

—Tak, zrozumiałem. Ale wyznam panu, że wcale nie mam ochoty zadawać się z jakimś typem, który jeszcze do wczoraj należał do grupki najwierniejszych współpracowników Hitlera. Nie ufam takim chorągiewkom.

—Och, do diabła z panem! Ludzie mogą zmieniać zdanie, a wiemy, że ten pan chce dojechać do Anglii i osobiście wręczyć sekretarzowi ministra spraw wewnętrznych dokumenty, które ma ze sobą.

—Memorandum Hossbacha?

—Właśnie tak. Niech pan powtórzy swoje jutrzejsze działania. Nasz człowiek znajduje się od ponad miesiąca w mieszkaniu na peryferiach. A pan ma...

—...mam wziąć samochód od Ugo. Pojechać nad kanał i koło jedenastej trzydzieści zostawić samochód w pobliżu przystanku tramwajowego. Iść do mieszkania naszego człowieka. Wręczyć mu kluczyki do samochodu. Potem, pojutrze, mam spotkać się z nim w Como, przed stacją

kolejową i stamtąd odprowadzić go do Szwajcarii, zaopatrzwszy w fałszywe dokumenty. Zgadza się?

—Doskonały plan, prawda? Jutro ten człowiek dostanie kluczyki do samochodu. Wsiądzie do niego i sam dojedzie do Como. Dla pana to mniej ryzykowne.

—Ba... — rzucił Smolsky.

—A jutro po południu pan będzie miał mnóstwo czasu, by pójść do kapitana i zająć się tym, co zwykle.

I zobaczyć się z Eleonorą — pomyślał Smolsky.

— Ale skąd ta ponura mina?

— Pan się nigdy nic denerwuje, Kristenfeld?

— Często.

— No więc i mnie się to zdarza.

Kiedy pociąg zatrzyma! się w Salzburgu, Kristenfeld i Smolsky uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Potem, w kołyszającym pociągu, który pomknął dalej w noc, Smolsky na próżno usiłował zasnąć. Przejechał nielegalnie granicę z byłym urzędnikiem nazistowskim, który chce się ukryć w Anglii i wręczyć Anglikom ściśle tajne dokumenty, dotyczące polityki zagranicznej Hitlera! Smolsky'emu w ogóle nie uśmiechała się taka impreza. Gdyby mógł, chętnie zwałiby ją na kogoś innego. Ale nie było nikogo, kto mógłby to załatwić za niego.

Punktualnie o jedenastej następnego ranka Kristenfeld wszedł do ciastkarni za salzburską katedrą. Wilson siedział już przy stoliku, ze stojącej przed nim patery wybierał ciastko z powagą gracza szachowego, który zastanawia się nad decydującym ruchem.

—Jak leci? — zapytał Kristenfeld, siadając. Coś w zachowaniu Wilsona działało mu na nerwy, ale nigdy nie doszedł, co to dokładnie jest.

—Kawy?

—Tak.

—I tortu? Ja też chętnie zjem ten sam tort, co zwykle, oprócz tych wszystkich ciastek.

—Dla mnie może być.

Wilson zamówił dodatkowo podwójną porcję bitej śmietany, pod którą zakopał metodycznie swój kawałek ciasta. Zaczął się opychać, śledzony chłodnym wzrokiem Kristenfelda.

—Co mi pan przywiózł? — wybełkotał, kiedy tylko kelner się oddalił.

—Mikrofilmy — mruknął ledwie dosłyszalnie Kristenfeld. — Dostałem od Smolsky'ego. — Wyciągnął z torby książkę o wojnie trzydziestoletniej i położył ją na stole.

—Świetnie. — Wilson schował książkę do walizeczki i wrócił do swojego tortu. Po chwili, z wąsami upstrzonymi śmietaną, zapytał:—Apropos Smolsky'ego, gdzie on teraz jest?

—W Mediolanie, naturalnie. Wie pan doskonale, panie Wilson, że Smolsky zajmuje się tam-tym zadaniem. — Kristenfeld spojrział na zegarek. — Za niecałe pół godziny ruszy do mieszkania naszego człowieka.

—W takim razie — westchnął Wilson — już po Smolskym.

Widelec Kristenfelda zawisł w połowie drogi.

—Co takiego?

—Jest spalony. Nie możemy go już ostrzec, żeby się wycofał.

Kristenfeld upuścił widelec, przetarł oczy i znów spojrział na Wilsona.

—Zechce mi pan to wyjaśnić — wycedził.

—To wszystko była mistyfikacja, Kristenfeld, przykro mi. Dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj od naszego kontrwywiadu. Nic nie mogłem zrobić.

—Mistyfikacja? — Kristenfeld był szary na twarzy. Zrozumiał natychmiast. — Chce pan powiedzieć, że ten były urzędnik nazistowski nie...

—...nie jest wcale tym człowiekiem, który chce przejść na stronę Anglików i nie ma przy sobie żadnego memorandum Hossbacha. To tylko wabik. Jasne?

W Kristenfelda jakby piorun strzelił. Opadł na oparcie krzesła.

Wilson wytarł wąsy haftowaną serwetką.

—Sprytnie to załatwili, i Niemcy, i Włosi. Podetknęli nam pod nos fikcyjnego urzędnika nazistowskiego, skruszonego i ze smakowitymi informacjami, któremu udało się skontaktować z naszą siatką we Włoszech i teraz, w Mediolanie...

—...zdemaskuje Smolsky 'ego! — Kristenfeld wpatrywał się przerażony w Wilsona.

Wilson skinął głową.

—Zdaje się, że ten komisarz Corbini odegrał niemałą rolę w zmontowaniu tej zasadzki. I oczywiście w ten sposób zdoła zatamować przeciek informacji dotyczących wojny w Hiszpanii. — Wilson westchnął. — Szkoda! Te wszystkie informacje na temat zaopatrzenia w broń, które dostarczał Smolsky, były bardzo przydatne.

Kristenfeld złapał Wilsona za nadgarstek.

—Pan naprawdę chce powiedzieć, że ten typ, którego Smolsky ma zawieźć do Szwajcarii, że ten typ pracuje dla faszystów i... — głos znów uwiązł mu w gardle.

—Niech pan puści moją rękę, Kristenfeld. Zmiażdży mi pan nadgarstek — rzucił Wilson lodowato. — Niech pan się weźmie w garść, i to zaraz! Co do Smolsky'ego, niestety nic się już nie da zrobić. Wpadł w paszczę rekina. Przykro mi, że nie mogłem go ostrzec, powtarzam panu, ale po prostu nie było sposobu.

Po chwili Wilson wsypał cukier do kawy. wypił ją i wziął się znowu za pałaszowanie tortu.

—Wszyscy agenci, którzy pracują w terenie, tak jak Smolsky. Prędzej czy później zostają złapani — stwierdził w końcu.

—Ale Smolsky... — Kristenfeld nie był w stanie mówić. Wilson rzucił mu ostre spojrzenie.

—Niech mi pan nie mówi. Ze nie zdążył się pan przyzwyczać do porażek. W tej grze czasami zdobywamy punkt my, a czasami przeciwnik. Tym razem przewagę mają faszystowskie służby specjalne. Trzeba umieć przegrywać od czasu do czasu.

Kristenfeld złapał widelec i zgniótł swoją porcję tortu na papkę.

—Ależ co pan robi? — zapytał Wilson z niesmakiem.

—Nie jestem głodny — warknął Kristenfeld.

Spojrzał na zegarek. Dokładnie w tym momencie, w Mediolanie, profesor Jarosław Smolsky szedł na spotkanie śmierci.

—Ale mgła, co? — Mężczyzna za cynkowaną ladą kręcił głową. —W Mediolanie, jeśli w lutym zaczyna się taka pogoda, to ciągnie się aż do wiosny.

—No cóż... — mruknął Smolsky i odwrócił się, z kieliszkiem białego wina w ręce, by popatrzeć na mgłę, która kłębiła się za oszklonymi drzwiami baru i zasnuwała ulicę. Nie było widać nawet kolumn San Lorenzo po drugiej stronie. Przechodnie byli tylko szarawymi sylwetkami. Tramwaje i samochody były ledwie widoczne, a dziwne żółte światła zdawały się błąkać w powietrzu, jak jakieś zjawy.

—Niech pan uważa, jeśli chce pan dzisiaj jeździć, widzi pan? Już prawie południe, a mgła się nie podnosi. Kto wie, co będzie wieczorem!

— Mężczyzna przetarł ścierką kontuar, aż blat zaczął błyszczeć.

Smolsky skończył pić wino i rzucił okiem na zegarek.

—Do widzenia — mruknął, wychodząc.

Ruszył do stalowoszarej balilli, którą zaparkował w pobliżu. Rano Ugo wręczył mu kluczyki, mówiąc: Pilnuj się, dobra? Nie dodał nic więcej. Ponura mina Smolsky'ego zniechęciła go do dalszych komentarzy.

Smolsky zapalił silnik i ruszył powoli. Jechał z nosem przy szybie, usiłując zorientować się, gdzie jest. Nie było widać nawet na metr, jak ostrzegął barman. A Smolsky nie był przyzwyczajony do mgły. Nie znał też zbyt dobrze miasta. Kiedy skręcił już w boczną uliczkę przy kanale Pavese, gdzie mgła wydawała się jeszcze gęstsza, dwa razy musiał zatrzymać samochód i wysiąść, by sprawdzić numer domu. Denerwowało go błąkanie się w tej niesamowitej bieli, która pochłaniała wszystko dokoła. Był już niemal u granic wytrzymałości, kiedy nagle zauważył przystanek tramwajowy.

Zaparkował samochód, wysiadł. Kiedy zobaczył nad bramą naprzeciwko cyfrę osiem, odetchnął z ulgą. Schował do kieszeni kluczyki od balilli i szybko oddalił się od auta. Z rękami w kieszeniach i podniesionym kołnierzem spacerował długo w gęstej mgle. Intensywny ziąb przejmował go do kosek ale Smolsky uparcie mijał jedną ulicę za drugą, aż nabrał absolutnej pewności, że nie jest śledzony.

Nie było jeszcze dwunastej, kiedy wszedł w niewielkie drzwi na rogu ulicy, w łaściwie zaułka prostopadłego do kanału. Pierwsze piętro, pierwsze drzwi na prawo — powiedział mu Ugo. Wewnątrz panowała cisza. Na podeście było słycać tylko kobiece głosy, dobiegające z parteru.

W końcu Smolsky zadzwonił do drzwi. Po kilku minutach dały się słyszeć kroki i dźwięk otwieranych zamków.

Drzw i uchyliły się. W szparze Smolsky dostrzegł twarz mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny.

Nic nie mówiąc, wyjął z kieszeni kluczyki od balilli i zabujał nimi w powietrzu. Był to umówiony sygnał rozpoznawczy.

Mężczyzna otworzył drzwi. Smolsky wszedł.

— Ależ pan miał przyjść jutro, nie dzisiaj! — Stali w bardzo nowocześnie urządzonej salonie. Wyraźnie zbity z tropu, mężczyzna mierzył Smolsky'ego niespokojnym wzrokiem. — Jutro... co pan tu robi dzisiaj?

— Mężczyzna mówił po niemiecku. Głos miał ostry, akcent wykształconego berlińczyka, jak zauważył Smolsky. — Spodziewałem się jutro...

—Jutro? Nie, pan się myli. Z całą pewnością byliśmy umówieni na dzisiaj — odparł Smolsky. — Dostałem precyzyjne instrukcje i jestem pewien, że się nie pomyliłem.

—Czyżby?—parsknął mężczyzna niemal obraźliwie. Był trochę niższy od Smolsky'ego, szczupły, ubrany na szaro, bardzo elegancko. Jasne włosy miał gładko zaczesane do tyłu; niebieskie oczy, małe i przenikliwe, patrzyły lodowato spod jasnych brwi. Antypatyczny — pomyślał Smolsky — bardzo antypatyczny. Zachowuje się, jakbym był jego służącym, który pomylił polecenia. Nic nie odpowiedział, opuścił tylko kołnierz płaszcza.

—W takim razie mam wyjechać jutro? Nie mam wejścia? — wykrzyknął w końcu blondyn.

—Zgadza się—odparł Smolsky. —Zgodnie z umową spotkamy się w Como, przed dworcem kolejowym. Ja przyjdę z dokumentami dla pana i razem pojedziemy do Szwajcarii.

—No dobrze — przytaknął zirytowany mężczyzna. — Ja jestem doktor Werner Leroi. To francuskie nazwisko. Zrozumiał pan dobrze? Leroi. Proszę umieścić to nazwisko w moich dokumentach.

— Leroi, oczywiście — powiedział Smolsky. — Ale potrzebuję jeszcze pozostałych danych, daty urodzenia i tak dalej.

W krótkiej chwili ciszy Smolsky zauważył, że spojrzenie mężczyzny na mgnienie skierowało się na stół pod ścianą. To błyskawiczne spojrzenie go zaalarmowało. Natychmiast wyczuł w atmosferze coś niepokojącego. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował mężczyznę, nie spuszczając z niego oka. Znowu zauważył, że mężczyzna zerka na stół, którego blat zarzucony był książkami. Stały tam też dwie kasetki, z których jedna była lekko niedomknięta.

—Pali pan?

—Nie teraz.

—Czy pan ma przygotowane dane osobowe, które są mi potrzebne? Nie musi pan ich zapisywać. Zapamiętam je i przekażę komu trzeba. —Smolsky wetknął papierosa do ust.

—W szystko jest tu, w środku — powiedział mężczyzna, biorąc kopertę opartą o kasetkę, obok fotografii młodej uśmiechniętej kobiety. — Proszę.—Podał mu kopertę. Smolsky schował ją do kieszeni.

Kiedy Smolsky, cały czas patrząc na mężczyznę, zapalał papierosa, ten znowu zerknął na stół.

—Ma pan coś do picia? — zapytał Smolsky, wydmuchując dym.



—Do picia?

—Coś mocniejszego, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu. Moglibyśmy pogawędzić. — Uśmiechną! się i przysiadł na poręczu kanapy, nie zdejmując palta. — W końcu jutro będziemy razem podróżować, prawda?

Ueroi nie odpowiedział. Napełnił kieliszek likierem i podał go Smolsky'emu.

—Pan nie pije, doktorze Leroi?

Niemiec pokręcił głową. Smolsky obrócił kieliszeczek w palcach. Upił łyk. Leroi, ze skrzyżowanymi ramionami, stojąc obok kasetki, obserwował go jak arcyksiążę z dawnych czasów swojego woźnicę, którego poczęstował w progu trunkiem zarezerwowanym dla arystokracji.

—Wie pan co? — Smolsky wbił wzrok w oczy Niemca. — Pan nie może się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdę, prawda?

—Słucham? — wybełkotał Leroi. Pytanie wywarło piorunujący efekt. Gdyby przed nosem wybuchła mu znienacka petarda, nie zrobiłaby na nim większego wrażenia. — Słucham?— powtórzył.

—Ależ tak. — Głos Smolsky'ego był zdecydowany — Najlepiej by było, gdybym zniknął panu z oczu. Tego pan chce, prawda? A przynajmniej takie mam wrażenie, że okropnie panu przeszkadzam.—Ależ co pan opowiada! powiedział Leroi, biorąc się w garść. Wyraźnie próbował się rozluźnić i przybrać swobodny ton.—Może pan tu zostać, jak długo pan zechce— powiedział niemal przyjaźnie, z zalotnym uśmiechem. Ale było już za późno. Smolsky zadał swoje niespodziewane pytanie, które odkryło dwulicowość tego człowieka. Poczul się jak ktoś, kto wbijając widelec w kawałek tortu, odkrywa, że pod czekoladową polewą i bitą śmietaną roją się robaki.

—Nie chce pan zdjąć palta? — zapytał Leroi, nalewając likieru do drugiego kieliszka. — Proszę się rozgościć i wybaczyć mi. Musi pan zrozumieć, panie... panie...

—Nic się nie stało. — Smolsky pokręcił z uśmiechem głową.

— Tak, ma pan rację. Nazwisko jest nieistotne. — Leroi upił kilka łyków. Smolsky nie spuszczał go z oka nawet na mgnienie.

—Musi pan zrozumieć—ciągnął Leroi z wymuszoną serdecznością kogoś, kto za wszelką cenę chce się wydać miły.—Ukrywam się tutaj już ponad miesiąc i pomimo opieki pańskich przyjaciół, czuję się dość spięty. A poza tym ta niezrozumiała pomyłka. Pan miał przyjść jutro, a jest pan dzisiaj. Rozumie pan? Mogłem pomyśleć, że to jakaś pułapka, prawda? Rzeczywiście, pomyślał Smolsky, mogło tak być. Dlatego Niemiec był zdenerwowany. Ale to przypuszczenie nie uspokoiło go ani trochę. Zastanawiał się, dlaczego Leroi tak bardzo stara się być miły.



Smolsky zdawał sobie sprawę, że Niemiec widocznie wyczuł jego nieufność i teraz chce rozproszyc jego obawy. A mimo to Smolsky wyczuwał w powietrzu coś nieokreślonego, co podobało mu się coraz mniej. O co tu chodzi?—myślał.—Co jest nie tak z tym Niemcem? Oprócz tego, że był Niemcem i rasowym Aryjczykiem. Byłem nazistą. Byłem urzędnikiem Hitlera. Który przechodzi na stronę Anglików. Ale stawianie tego człowieka w takim świetle trąci rasizmem—skarcił się w duchu Smolsky.

—Jeszcze kieliszek?

—Dziękuję. — Smolsky zgasił papierosa w popielniczce i rozejrzał się po pokoju. Dziewczyna na fotografii miała jasne warkocze owinięte wokół głowy i uśmiechała się uroczo. Coś w jej wyglądzie przypomniało mu nagle Gretę. Poczł ukłucie w sercu.

—Patrzy pan na moją żonę? — Leroi uśmiechnął się i sam spojrzł na zdjęcie. — Piękna, prawda? Została w Berlinie. Ale mam nadzieję niedługo ją zobaczyć. — Dopiero teraz na serdecznym palcu Niemca Smolsky zauważył grubą obrączkę.

Na niskim stoliku na wprost kanapy leżało kilka książek. Ballady Goethego w luksusowym wydaniu i Boska komedia. Obok gumka i ołówek.

—Uczę się włoskiego, a ponieważ bardzo lubię poezję... pan też?

—Tak, naturalnie.

—Widzi pan? — Leroi wskazał biblioteczkę. — Zaopatrzyłem się w książki, które niestety będę musiał tu zostawić. Wielcy włoscy poeci. Leopardi, Pascoli, D'Annunzio, ale on wydaje mi się trochę przesłodzony, nie sądzi pan?

—Tak, też tak uważam. Może nie aż przesłodzony, ale coś w tym rodzaju.

—Z wyjątkiem tych kilku cudownych wersów — uśmiechnął się Leroi i unosząc palec, zadeklamował z emfazą chropawą włoszczyzną:

*Zamilcz. By królestwo*

*lesiste wyśpiewać*

*za mało słów zwykłych*

*człowieczych: potrzebne*

*są słowa piękniejsze*

*szept kropel i liści dalekich.*

## *Posłuchaj...*

—Czyż to nie jest absolutnie wysublimowana poezja?

—Pan mnie zaskakuje — uśmiechnął się Smolsky. — A pańska wymowa jest naprawdę dobra. Brawo! — Zachciało mu się śmiać, bo słysząc te pochwały, Leroi miał wyraz twarzy prymusa, któremu znów udało się zdobyć najlepszą notę.

—Lubi pan muzykę?—zapytał Smolsky, zapalając kolejnego papierosa.

—To oczywiste.—Leroi uśmiechnął się, jakby Smolsky zapytał go czy ma dziesięć palców u rąk.—Pan myśli, że Niemiec mógłby nie kochać muzyki? A pan?

—Cóż, naturalnie... — odparł Smolsky i pomyślał o Renzu, ojcu Ewy, który nie opuszczał żadnego koncertu. Z okna jego salonu często dobiegała muzyka, której ten nazista słuchał z radia albo z gramofonu. Szczególnie upodobał sobie Mozarta.

—Gra pan na jakimś instrumencie? Bo ja na flecie.

—No proszę —powiedział Smolsky, podnosząc wzrok. — Ja też.Na flecie poprzecznym.

—Ależ to fantastyczne —roześmiał się Leroi i zagłębił się w bardzo uczony wykład na temat zalet instrumentów dętych i ich znaczenia w muzyce osiemnastwiecznej. Mówił z taką znajomością rzeczy i z takim entuzjazmem, że Smolsky, nie wiedząc kiedy, zaczął z przyjemnością rozmawiać z nim o muzyce, jak nie robił tego od ;at.

W końcu zaczął zbierać się do wyjścia. Niepokój, który ogarnął go w pierwszych chwilach, zniknął zupełnie. Czuł się jak uwolniony od wielkiego ciężaru; Niemiec wydawał mu się teraz pocziwcem, który ze strachu przed aresztowaniem w pierwszej chwili pokazał kły i pazury.

—Więc zobaczymy się jutro. — Smolsky ruszył do drzwi.

—Czy mogę pana prosić o przysługę?

—A mianowicie?—Smolsky zatrzymał się. Niemiec podszedł do niego z uśmiechem.

—Jest okropna mgła i nie czuję się na siłach dojechać do Como. Nigdy tam nie byłem, a jeśli mgła utrzyma się do jutra, na co zresztą się zanosi, ja... Proszę po mnie przyjść. Spotkamy się w południe, koło samochodu. Czy tak nie byłoby lepiej?

Oczywiście, że byłoby lepiej, pomyślał Smolsky. Dobrze wiedział, jak trudno prowadzić w takiej mgle. Ale od Kristenfelda dostał inne instrukcje.

—Obawiam się, że to niemożliwe. Dostałem polecenie...

—Och, do diabła z poleceniami, ten jeden raz! Wiem, na czym to wszystko polega, ale ten, kto wydaje polecenia, nie musi potem stawiać czoła okolicznościom, a ta mgła po prostu mnie przeraża. Pana nie?

—No, dobrze — odparł Smolsky. — Zgoda. Przyjdę po pana w południe. Będę miał przy sobie pańskie dokumenty. I pojedziemy razem.

—Dzielni z was ludzie w tej włoskiej siatce — uśmiechnął się Leroi. —Wyjątkowo. — Wziął Smolsky'ego pod ramię i ruszył do drzwi. — Naprawdę znacie się na rzeczy. Z panem będę się czuł jutro spokojniejszy. Pan i pańscy przyjaciele jesteście sprytni jak lisy i szybcy jak węże!

Zapadła cisza. Smolsky znieruchomiał, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

—Co ja powiedziałem... — mruknął Niemiec, odsuwając się od niego.

Smolsky nie odpowiedział. „Sprytni jak lisy i szybcy jak węże”, powtórzył w myślach. Zaparło mu dech w piersi. W przeblysku wspomnienia zobaczył siebie, siedzącego z komendantem, który opowiadał mu o Corbinim. I powtarzał mu ulubione zdanie Corbiniego na temat ludzi z Ovry. Sprytnych jak lisy. I szybkich jak węże.

Obrócił się do Niemca i zapytał ochryple:

—Przepraszam, co pan powiedział? Sprytni jak lisy i...

—Nie rozumiem! — Leroi mierzył go niespokojnym wzrokiem. — Słowa jakich wiele, nie?

—Ale skąd panu przyszło do głowy akurat takie zdanie?

— Ach, *mein Gott!* — Leroi rozglądał się gorączkowo. Smolsky zauważył, że zacisnął wargi w wąską kreskę. — Słowa jak inne, opisujące cechy dzielnych ludzi. Przyszły mi do głowy tak sobie. — W końcu rzucił zirytowany. — A co w tym takiego dziwnego, do diabła?

Smolsky wpatrywał się w niego w milczeniu. Nagle odwrócił się i zdecydowanym krokiem podszedł do stołu. Otworzył obie kasetki, jedną po drugiej. W jednej z nich znalazł plik kartek, pokrytych drobnym odłącznym pismem. Odwrócił się z papierami w dłoni. Lufa pistoletu była na wysokości jego piersi. Lśniaca i czarna. Smolsky patrzył w nią jak zahipnotyzowany. Czuł się jak mysz pod okiem węża, który za chwilę ją pożre.

Leroi trzymał go na muszce. Teraz jego głos brzmiał bardzo spokojnie.

—Wpadł pan w zasadzkę, drogi panie — powiedział takim tonem, jakby gratulował mu zdobycia nagrody na loterii fantowej. — Wolalbym, żeby aresztowali pana jutro ludzie komisarza Corbiniego. Niestety, okoliczności zmuszają mnie, żebym zrobił to osobiście. A teraz proszę dać mi te papiery.

Smolsky wyciągnął mechanicznie rękę. Niemiec wyrwał mu kartki i schował do kieszeni.

—Teraz proszę się cofnąć i oprzeć o ścianę. I podnieść rękę, oczywiście. — Leroi podszedł bliżej. Lufa pistoletu była mniej niż metr od piersi Smolsky'ego.

Smolsky zaczął się cofać z uniesionymi rękami. Końcem palca prawej dłoni musnął butelkę z likierem stojącą na komodzie.

—No już, dalej, niech się pan cofnie — rozkazał Leroi. Smolsky złapał butelkę. Cisnął nią z całej siły, schylając się jednocześnie. Butelka uderzyła Niemca w pierś. Dało się słyszeć niegłośne „puf”, tłumik wyciszył strzał. Kula utkwiała w ścianie. Smolsky rzucił się naprzód i złapał napastnika za rękę, wykręcając mu ją, aż pistolet upadł na podłogę. Nagle poczuł, jakby milion szpilek wbijało mu się w mózg, kiedy Leroi chwycił go za włosy i zaczął szarpać. Smolsky jęknął z bólu. Walczyli zaciekle. W pokoju słychać było tylko ochryple sapanie i odgłosy szamotaniny.

Cios w czoło na sekundę odrzucił Smolsky 'ego do tyłu. Podniósł się natychmiast. Usłyszał szybki tupot w korytarzu, skrzypnięcie otwieranych drzwi wejściowych. Leroi uciekał.

Smolsky wybiegł chwiejnie na korytarz, a potem na zewnątrz. Zdążył jeszcze zobaczyć Leroi pędzącego po schodach i skręcającego na podeście. Rzucił się za nim.

Kiedy wyskoczył z bramy, musiał się zatrzymać na ulicy spowitej mgłą. Obejrząwszy się w obie strony, zauważył ciemną sylwetkę, znikającą na końcu zaułka. Ruszył biegiem. Głowa pulsowała mu boleśnie.

Biegł z otwartymi ustami, z grymasem desperackiego wysiłku na twarzy, z oczami utkwionymi w niewyraźną postać przed nim. W biegu zorientował się, że jest już nad kanałem. Po prawej zobaczył kamienne obmurowanie nabrzeża.

Leroi biegł szybciej od niego. Mgła chwilami przesłaniała go całkowicie. Smolsky zrozumiał, że Niemiec zaraz mu ucieknie. Przypomniał sobie o papierach, które Leroi schował do kieszeni, mierząc do niego z pistoletu.

Spróbował przyśpieszyć, ale Niemiec oddalał się coraz bardziej. Za chwilę zniknie zupełnie, połknięty przez biały tuman mgły.

Smolsky wsunął rękę do kieszeni i wyjął pistolet. Zatrzymał się i strzelił.

Strzelał tylko raz w życiu, na polowaniu, kilka lat temu. Do zająca.

Podniósł strzelbę do ramienia i paf! Zając fiknął śmiesznego koziołka i padł martwy. Po tym dniu Smolsky nie wybrał się więcej na polowanie.

Ale teraz strzelił do człowieka. Niemiec wyskoczył w górę, rozkładając ręce jak ktoś, kto skacze z radości. I padł na wznak. Nieruchoma, ciemna masa we mgle.

Smolsky poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Zachwiał się i osunął na murek; oparł się o kamienie, by nie upaść. Ogłuszał go szum krwi w uszach, jakby miała lada moment rozsadzić mu bębenki.

W końcu zorientował się, że wokół panuje cisza. Mgła spowijała wszystko białą watą. U stóp Smolsky'ego pluskała cicho woda kanału. Zorientował się, że nie usłyszał huku wystrzału, jakby to, co robił — mierzył do Niemca przez ułamek sekundy — zupełnie go ogłuszyło. Zorientował się, że wciąż trzyma w ręce berettę. Wyrzucił ją do wody. Usłyszał cichy plusk, jakby do wody wpadł kamień.

Czuł się jak ktoś, kto budzi się z koszmaru po długiej i ciężkiej walce z przerażającymi zjawami. Odwrócił głowę i znów zobaczył ciemny kształt najeźdźcy. Ogarnęło go przerażenie. Zabił człowieka. Powoli podszedł do niego.

Leroi miał otwarte oczy. Wyglądał, jakby wpatrywał się w Smolsky'ego. Leżał na wznak, dziwnie przekrzywiony na jedną stronę.

Smolsky przeszukał mu wszystkie kieszenie, zmuszając się, by robić to metodycznie i powoli. Wyjął papiery, dokumenty, papierosy i zapalki, kilka luźnych kartek, notes, portfel — wszystko. Był pewien, że zabił tego człowieka, ale mimo to pochylił się, by obejrzeć jego źrenice, dotknąć serca, zbadać puls. Karykatura lekarza. Te grabarskie zabiegi doprowadziły go do pierwszego ataku mdłości. Poczul, że pot cieknie mu po twarzy i szyi. Wstał, złapał Leroi pod pachy i ze stękniedem postawił go na nogi. Oparł go o parapet i jednym pchnięciem przrzucił na drugą stronę, do kanału. Chłupot wody wydał mu się ogłuszający. Woda zamknęła się nad ciałem i popłynęła ze szmerem dalej, pod całunem mgły.

Ulica wciąż była pusta. Ani jednego przechodnia. Smolsky przeszedł kilka kroków. Kiedy zobaczył latarnię, oparł się o nią i zaczął wymiotować.

W końcu zebrał się jakoś i ruszył dalej, trzymając rękę na zranionym czole. Szedł powoli, krok za krokiem, z ogromnym wysiłkiem. Świadomość, że zabił człowieka, zdruzgotała go doszczętnie. Powtarzał sobie, że to szpieg, ktoś, kto posłałby go do więzienia, na tortury, na śmierć. Jego i wielu innych. Życie odebrane, by ocalić inne. Zatrzymał się i oparł łokciami o mur nad kanałem. Ukrył twarz w dłoniach. Szpieg, jasne, ale to wszystko były usprawiedliwienia, które podsuwał rozum. Coś zupełnie innego krzyczało w jego wnętrzu i sprawiało, że serce biło coraz mocniej. Buntował się sam rdzeń jego człowieczeństwa. On, Jaroslav Smolsky, wziął na siebie odpowiedzialność za czyjąś śmierć. Sam zdecydował o tym, czy ten człowiek ma żyć, i dokonał przerażającego wyboru. Kiedy go gonił, zadziałał w nim jakiś nieznanymi mechanizmami. Bez namysłu, jak pijany, po prostu wyjął pistolet i strzelił. Wycelował idealnie. Nie mógł pozwolić, by Leroi uciekł. Zmiotł go więc z powierzchni ziemi. Owszem, to był szpieg, ale to nie

wystarczyło, by złagodzić grozę sytuacji. Przypomniawszy sobie wszystko, co słyszał o poczynaniach Włochów w Afryce, o synu Duce, który osobiście zrzucał bomby z samolotu, a potem wypisywał w pamiętnikach, jak zabawnie było obserwować te wszystkie czarne mrówki wybiegające z chat, mężczyzn, kobiety i dzieci, by zginąć w mgnieniu oka od eksplozji bomb zapalających. „Jeden porządny zamach i Abisyńczycy leżą pokotem”.

Smolski otworzył oczy. Wokół niego przelewała się gęsta białoszara mgła. Cisza. Szmer kanału, i nic poza tym. Poczł się nagle przerażająco samotny. Od zarania dziejów żaden człowiek nie czuł się tak samotny, jak on w tej chwili. Łzy płynęły mu po twarzy, ale nie ocierał ich. Patrzył tylko w mgłę, oparty o murek. Ogarnęło go głębokie gorzkie przeświadczenie, że od tej chwili aż do śmierci będzie płacił za dokonany wybór, za to, że zabił człowieka. Od tej chwili jego życie będzie zupełnie inne.

Inny będzie kolor morza we wrześniowe popołudnia, jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczy morze. Inne będą godziny namiętności spędzane z Eleonorą, jeśli jeszcze kiedykolwiek złoży głowę na jej piersi. Inna będzie jego praca, sen, picie i jedzenie, i gra na flecie. Od tej chwili, od tego mglistego dnia martwe oczy Leroi zostały na zawsze wypalone w jego duszy i już nigdy nie zdoła ich zapomnieć. Zmusił się, by wrócić do mieszkania Niemca. Drzwi były uchylone tak, jak je zostawił. Przeszukał całe mieszkanie, pokój po pokoju, od podłogi do sufitu. W salonie, gdzie jeszcze tak niedawno gawędzili przyjaźnie o Mozarcie i Rossinim, Smolski obejrzał w pośpiechu wszystkie znaleziska. Nie potrzebował wiele, by zrozumieć że ten człowiek — którego wszyscy uważali za byłego nazistowskiego urzędnika, zdecydowanego uciec do Anglii, rozpracował prawie całą włoską siatkę Kristenfeida. Bóg wie, dzięki jakim fatalnym nieostrożnym posunięciom ludzi, którzy się z nim kontaktowali, a może dzięki własnym nadzwyczajnym umiejętnościom. W jego notatkach do pełnego obrazu brakowało tylko trzech nazwisk: Smolsky'ego, kapitana i Ugo. Wkładając wszystko do pustej torby, znalezionej w kącie. Smolski zastanawiał się, czy Corbini został już zawiadomiony o odkryciach Leroi, czy też Niemiec miał wręczyć komisarzowi rezultaty swojej genialnej pracy dopiero jutro, zagoniwszy do sieci najgrubszą rybę — jego.

Zamknął torbę. Jasnowłosa dziewczyna ze zdjęcia uśmiechnęła się do niego. Smolski przełknął głośno ślinę. Zauważył sweter, rzucony w kąt. Tomiki wierszy.

Wyszedł pośpiesznie, z torbą pod pachą. W przedpokoju znalazł swój kapelusz i założył go, opuszczając rondo na oczy. Z dołu, od strony wyjścia dobiegi go warkot silnika. Przed domem zatrzymał się samochód.

Smolski podniósł kołnierz i przyspieszył kroku. Ledwie wyszedł na ulicę, zobaczył czterech mężczyzn, wysiadających z czarnego samochodu.

— Hej, proszę pana... — powiedział pierwszy. Zerkając spod opuszczonego ronda, Smolski rozpoznał natychmiast twarz Corbiniego.

Odwrócił się na pięcie, przycisnął mocniej torbę do piersi i puścił się biegiem. Mgła otwierała się przed nim i zamykała zaraz za jego plecami. Teraz była jego przyjaciółką, współniczką.

Usłyszał, że mężczyźni ruszyli za nim. Skręcił za róg, w stronę kanału, W nieruchomym powietrzu rozległ się strzał.

## Rozdział 9

---

Nicola był w domu od niedawna, Wtedy ktoś zapukał do drzwi jegogabinetu.

— Proszę — rzucił, nie przerywając układania w orzechowej biblioteczce książek, które przysłał mu właśnie pan Barbermi. jego zaufany księgarz. — Proszę — powtórzył głośniej. Z książką w dłoni obrócił się do ochmistrzyni, która zaglądała niepewnie przez uchylone drzwi.

— Czy mogę?

— Co tam znowu, Virginio... — westchnął zniecierpliwiony Nicola. Nie cierpiał, kiedy mu przeszkadzano, a szczególnie w takiej chwili. Porządkowanie książek w cichym gabinecie, przy płonącym kominku i z kieliszkiem szampana, którego przed chwilą przyniósł mu służący — było to zajęcie, z którego czerpał wyjątkową przyjemność. A na dodatek wydawał dziś proszoną kolację na dziesięć osób i miał tylko te pół godzinki spokoju, zanim będzie się musiał przygotować.

— Proszę wybaczyć, mogę zająć panu minutkę? — Virginia zamknęła drzwi. Nicola zauważył, że była ubrana do wyjścia, w kapeluszu i z torebką.

— Ależ, co pani robi? — zapytał zdumiony. — Nie powinna pani doglądać przygotowań? Mamy dziś gości, a pani wychodzi?

— Bo ja odchodzę, doktorze — oznajmiła Virginia, zadzierając dumnie głowę. — Kolacją zajmuje się majordomus.

— Odchodzi pani? — Nicola przyjrzał jej się przez mgnienie i ciągnął oburzony: — Teraz? Dziś wieczorem, tak ni stąd, ni zowąd? A poza tym, dlaczego pani przychodzi z tym do mnie? Czy to nie z Geraldim powinna się pani umówić? To on się zajmuje personelem i...

— Z panem Geraldym już rozmawiałam i wypłacił mi należność. Ale chciałam wyjaśnić, dlaczego się zwalniam. I to jest coś czego na pewno nie mogłam powiedzieć panu Geraldemu.

— Proszę porozmawiać z panią, ja...

— Pani jeszcze nie wróciła, doktorze — rzuciła kwaśno Virginia.



—A, rzeczywiście. — Służący też mówił, że Eleonory nie ma. Nicola spojrzął na zegarek. Co jego żona robi o tej porze poza domem? Ileż można plotkować z przyjaciółkami? Było już po siódmej.

—Czy pan zechce mnie przez chwilę posłuchać?— Virginia stała uparcie przed nim.

—Proszę, proszę mówić — westchnął Nicola zirytowany.

—Odchodzę, bo nie jestem przyzwyczajona do pewnych rzeczy, i wiem, co mówię. Mam oczy szeroko otwarte i nie chcę więcej patrzeć na...

—Oczym pani mówi?—Nicola napełnił kryształowy kieliszek. Szampan wylał się na srebrną tackę.

—Pańska żona proszę mi wybaczyć, ale pańska żona... pańska żona ma kochanka. A konkretnie jest nim profesor Smolsky. ten wiecieńczyk —oznajmiła Virgini; i z pogardą.

— Przepraszam... Co pani powiedziała? Virginię ogarnął nagle strach. Twarz doktora Martiniego wyglądała strasznie — oczy zmieniły się w dwie szparki, a usta wykrzywił grymas osłupienia. Z przechylonego kieliszka szampan lał się na dywan. Nicola zorientował się, opróżnił kieliszek jednym haustem, odstawił z brzękiem na tacę i w końcu odwrócił się przodem do służącej z taką furją, że Virginia wystraszyła się, czy nie dostanie w twarz. Cofnęła się, ale szybko wzięła się w garść.

— Obserwuję panią już od dawna. Wychodzi każdego popołudnia, zawsze i tylko wtedy, kiedy profesor Smolsky jest w Mediolanie. Mówi, że idzie do fryzjera, a kiedy wraca... Zupełnie jakbym nie miała oczu i nie umiała poznać, czy jest świeżo uczesana, czy nie. Już dawno zaczęłam coś podejrzewać, a potem, jednego dnia zobaczyłam ją, kilka tygodni temu po prozowej kolacji, została dłużej w sali bilardowej. Przechodziłam tamtędy, żeby dopilnować służących i zobaczyłam, jak całowała się z profesorem. I to z nim się spotyka, kiedy wychodzi po południu. Wie pan, ja pewnych rzeczy nie pochwalam, to mi zepsuje reputację, jeśli się rozniesie, że jako ochmistryni przykładam rękę do...

—Won! — syknął Nicola. — Proszę wyjść!

Virginia cofnęła się jeszcze trochę, ale wytrzymała do końca.

—Było moim obowiązkiem ostrzec pana, doktorze. Przykro mi —oświadczyła z godnością. Patrząc na tego człowieka, bladego z wściekłości, Virginia poczuła zadowolenie. No, to załatwiła kochaną panią Eleonorę Martini, za te jej wyniosłe maniery, za to traktowanie z góry, za wyrzucanie z pokoju, jakby ona, Virginia, była jakąś wścibską gęsią, a nie osobą, której można zaufać.

—Niech się pan sam przekona, doktorze! —oświadczyła Virginia, otwierając drzwi. — Oczywiście nie będę o tym rozpowiadała. Dobranoc.



—Nie mam pojęcia, co się z tobą dzieje — szepnęła Mignon, podchodząc do Eleonory, kiedy wszyscy wstali już od stołu. — Nie wiem, co ci jest, ale lepiej by było, gdybyś wyzbyła się tej grobowej miny, którą miałaś przez całą kolację. Uwierz, Eleonoro, pani domu się tak nie zachowuje.

Eleonora przełknęła ślinę.

—Jakiej miny... jestem tylko zmęczona.

Mignon wzięła ją pod ramię i pociągnęła za sobą.

—Ale gdzież lam zmęczona, obserwowałam cię. I nie ja jedna. Bałam się, że lada moment się rozplączesz. A twój brat Jacopo... ten to dopiero ponurak!

—Jacopo ostatnio jest bez przerwy w złym humorze. A ja...

—Och, Eleonoro, dość! Teraz się uśmiechniesz i będziesz zabawiać gości rozmową, dowcipna, błyskotliwa, pełna życia, jak to tylko ty potrafisz.

—Nie. dziś nie. Nie dam rady. — Eleonora odwróciła głowę. Zostawiła Mignon i podeszła do okna. Zaczęła udawać, że obrywa suche liście z wielkich roślin stojących w rogu. Oczy miała zamglone od łez.

—Co się z tobą dzieje? — zapytała łagodnie Mignon, stając obok. — Nie chcesz mi powiedzieć?

Jak mogłaby jej o tym powiedzieć? Eleonora ułamała suchą gałązkę, rozpamiętując to koszmarne popołudnie, które spędziła w mieszkaniu na via Lovanio, na próżno czekając na Smolsky'go. Mieli się zobaczyć o trzeciej. Umówili się, kiedy widzieli się ostatnim razem, dwa tygodnie wcześniej. Eleonora była pewna, że zastanie go w mieszkaniu, że będzie na nią czekał. Ale pokoje były ciemne i ciche. Po godzinie zaczęła powtarzać: Nie denerwuj się, zaraz przyjdzie — i inne rzeczy w tym rodzaju, by stłumić niepokój. Chodziła w tę i z powrotem, podskakując na dźwięk kroków na schodach, na każde trzaśnięcie drzwi od windy. Niezliczoną ilość razy przez okno sypialni zerkała ukradkiem na ulicę. Ale Smolsky się nie pokazał. W końcu, już po wpół do ósmej, wyszła we łzach z mieszkania, usiłując bezskutecznie wmówić sobie, że zatrzymała go jakaś banalna przeszkoda. I że na pewno nic mu się nie stało. W drodze do domu kazała kierowcy zatrzymać taksówkę i kupiła gazetę. Przejrzała ją gorączkowo strona po stronie, ale o Austrii i o Wiedniu nie było nic, nawet linijki, żadnego niepokojącego wydarzenia, które mogłoby przeszkodzić Smolsky'emu wsiąść w pociąg do Mediolanu. Wróciwszy do domu, przygotowała

się w pośpiechu do kolacji, coraz bardziej niespokojna, dziękując niebu, że Nicola nie przyszedł do jej pokoju, jak to miał w zwyczaju, kiedy przychodziła do domu później niż on. Kiedy ubierała się w srebrną satynową sukienkę, zorientowała się, że nie widziała też Virginii, która zwykle plątała jej się pod nogami. To też przyjęła z ulgą. Umalowała się starannie, założyła perły i zeszła do salonu, zerkając w lustrze na schodach na swoje odbicie. Smolsky'ego nie było na kolacji, choć był zaproszony. Udało jej się podsłuchać, jak Giorgio Marani mówi do jej męża: „Kto wie, gdzie się podziewa. Spodziewałem się go o pierwszej w swoim gabinecie, mieliśmy zjeść razem obiad, ale nie pokazał się nawet nie zadzwonił”.

—Nie chcesz mi się zwierzyć? Pokłóciłaś się z mężem? Muszę przyznać, że on też nie tryska dziś humorem — mówiła Mignon.

—Nicola?—Eleonora pokręciła głową. Nicolę zobaczyła dopiero w jadalni, między gośćmi, i ledwie się przywitali. Przy kolacji siedzieli na przeciwległych końcach stołu i nawet na siebie nie spojrzeli.

—Kapitan też był nie w humorze. Co się dzieje w tym domu?

—Nie wiem. Jeśli chodzi o mnie —Eleonora uniosła rękę do czoła —źle spałam tej nocy i...

—Zgoda, skoro nie chcesz mi nic powiedzieć, nieważne. Ale teraz— Mignon złapała Eleonorę za rękę — teraz idziemy do salonu i spróbujesz się zachowywać jak należy.

— Mówisz jak moja matka — westchnęła Eleonora, ale ruszyła za nią posłusznie.

W sali krążyły już kieliszki i ciasteczka, a podzieleni na mniejsze grupki goście rozmawiali zżywieniem. Eleonora usiadła na kanapie na wprost drzwi i za każdym razem, kiedy się otwierały, serce uderzało jej mocniej. Ale za każdym razem byli to tylko służący z tacami. Nie Smolsky.

Grupce panów stojących przed kanapą przewodził wysoki mężczyzna ze szpakowatymi skroniami, w bardzo eleganckim ciemnym garniturze. Był to jeden z najbardziej znanych przemysłowców z północnych Włoch, który prawdziwie po dżentelmeńsku pokazywał się w salonach w towarzystwie żony, wyjątkowo brzydkiej, ale za to bardzo bogatej.

—Akurat my, przemysłowcy, chyba nie mamy powodu narzekać na nazistów—perorował głośno z czarującym uśmiechem. —Na miłość boską, wiemy przecież doskonale, że w Niemczech ludzie interesu mają się doskonale. Przemysł ciężki — uniósł kieliszek w stronę Nicoli — przemysł ciężki zawsze najwięcej korzysta na zbrojeniach.

Eleonora, oderwawszy na chwilę wzrok od drzwi, zobaczyła, że do grupki podchodzi jej brat. Ściskając w garści szklaneczkę whisky, wcisnął się między dyskutantów.

—Rozmawiacie panowie o polityce? — Tylko Eleonora, która знаła go dobrze, zauważyła w jego głosie szyderczą nutę.

—O Niemczech. — Przystojny mężczyzna przyglądał siwiejące wąsy i uśmiechnął się. —I o niemieckim przemyśle.

—Interesujące — stwierdził Jacopo. Nicola wpatrywał się w niego ze zmarszczonymi brwiami, ale chłopak go ignorował.

—Tak, mówiłem właśnie — ciągnął mężczyzna, że w Niemczech ludzie interesu przeżywają dzięki Hitlerowi złoty wiek, liczby mówią same za siebie. Ich zyski w ostatnich latach wzrosły z dwóch procent do siedmiu. I na co tu narzekać?

— Wie pan co — przerwał mu młodzieniec o chudej stanowczej twarzy, trzymający między palcami onyksową firkę — najbardziej w Niemczech podoba mi się to, że dzięki reżimowi Hitlera robotnicy nareszcie znają swoje miejsce.

—No cóż, tu, u Mussoliniego, robotnicy też nie mają się z czego śmiać, zdaje mi się — powiedział z naciskiem Jacopo.

—Zgoda! —wypalił młodzieniec, potrząsając firką w powietrzu, —Ale w Niemczech panuje większy porządek, mój drogi. Nie ma żadnych absurdalnych żądań placowych.

—We Włoszech też nie ma — odparł Jacopo.

—A jednak —ciągnął ten drugi — choć koszty życia wzrosły o ponad dwadzieścia procent...

—We Włoszech też — przerwał mu Jacopo. — Tu też jest inflacja.

—...o ponad dwadzieścia procent—ciągnął młodzieniec, wpatrując się w niego zimno— pensje zostały obniżone.

—A poza tym nie ma już strajków — dodał jakiś typ z ogromnybrzuszyskiem, który ze zmiennym szczęściem prowadził fabrykę łożysk kulkowych.

—We Włoszech też zakazano strajków. — Jacopo upił spory łyk. —Może nie?

—W Niemczech zakazano wszystkiego, co zaburza dyscyplinę. A władza kontroluje nie tylko godziny pracy, ale i te wolne od pracy, rozrywki...

—Och, wiem o tym — rzucił Jacopo sarkastycznie. — Każdy ma swoje towarzystwo, w którym wolno mu się relaksować. Towarzystwo graczy w piłkę nożną, szachowe, ochrony ptaków...

—Każdy ma swoje miejsce, prawda?—wypalił młodzieniec i wetknął firkę w zęby.

—Ależ tak—odparł Jacopo.—Zorganizowane wycieczki, rajdy rowerowe, biegi przełajowe, wspianie rejsy do Aten i z powrotem, po zawrotnej cenie. Nie mówiąc już o sporcie!

—To prawdziwe błogosławieństwo dla obywateli, że rząd proponuje im tak liczne sposoby spędzania wolnego czasu i...

—... i liczne więzienia, i liczne obozy koncentracyjne dla tych, którzy nie chcą się zajmować polityką.—Jacopo uniósł kieliszek w stronę przemysłowca o szpakowatych skroniach. — Skoro pan tak lubi liczby, mogę panu powiedzieć, że w 1933. w pierwszym roku panowania nazistów, obozów koncentracyjnych było już ponad pięćdziesiąt. Dziś jest już prawie dwieście. Co więcej, tajna policja albo Gestapo spokojnie likwiduje wszystkich, którzy sprzeciwiają się reżimowi. Zapadła cisza. W końcu milczenie przerwał Nicola.

—Jesteś bardzo dobrze poinformowany —powiedział cierpko. Podchodząc do niego, wskazał szklanekę, którą Jacopo ścisnął w dłoni.—To w tym wyczytałeś swoje te liczby? Kilka osób roześmiało się. Wszyscy odwrócili się do Jacopa plecami.

Przemysłowiec o srebrnych skroniach odstawił kieliszek na stół, rozdał kilka cygar, a kiedy w powietrzu zaczęły się wic smużki dymu, skinął głową Eleonorze.

— Nie przeszkadza to pani, moja droga? — Eleonora pokręciła głową.

Nie, nie przeszkadzał jej dym z cygar, nic jej nie przeszkadzało. Zniosłaby nawet piekielne męki, byle tylko te drzwi się otworzyły i byle stanął w nich Smolsky, ze swoim dodającym otuchy uśmiechem. Przemysłowiec, widząc, że zupełnie jej nie obchodzi jego osoba, zwrócił się znów do grupki mężczyzn.

—Wiecie — podjął — że dochód z kapitału i inwestycji w Niemczech sięga już czterystu procent? Uważam, że to nadzwyczajne.

—Hitler to sprytny człowiek —roześmiał się jakiś rumiany jegomość, który trzymał kurczowo przy boku blondynkę o obfitych biodrach, owiniętą w etolę z kun. — To kawał spryciarza. Grzmi przeciwko kapitalistom i burżuazji i wrzeszczy do robotników, że jest po ich stronie. Dzięki temu ma poparcie całego narodu, aż do ostatniego tragarza. A kto się tak naprawdę dora-bia?

Jacopo znów przepchnął się do grupki.

—Dlaczego mamy zazdrościć Niemcom? Tu, we Włoszech, wasze interesy — zatoczył krąg kieliszkiem — idą pełną parą!

—A co ty o tym wiesz — wypalił Nicola. — Co ty wiesz...

—Och, daj spokój — roześmiał się pojednawczo Jacopo. — Przecież i tu Mussolini grzmi przeciw kapitalistom i zramolałym burżujom, jak ich nazywa. I stara się, jak może, podkreślić swoją solidarność z ludem!

—I rzeczywiście wszystko działa: pociągi jeżdżą punktualnie, matki i dzieci są pod szczególną opieką — wtrącała się blondynka z szerokim biodrami. — Nieprawda?

—Najprawdziwsza! — Jacopo skłonił się lekko. — Najprawdziwsza, droga pani. Wszyscy przecież wiedzą, że we Włoszech sprawy mają się cudownie. Ale nikt nie wie, że tak naprawdę cała ekonomia koncentruje się w rękach kilku potentatów przemysłowych. Nie mylę się? — Nie, nie myli się pan. Ma pan rację — wybuchną! jakiś staruszek, może osiemdziesięcioletni, opierając się o stół. — I bardzo słusznie, że tak jest. mój chłopcze. Ekonomia powinna spoczywać w rękach tych, którzy się na niej znają. Biedni są ignorantami i nie potrafią obchodzić się z pieniędzmi, dobrze mówię?

—Doskonale! — Jacopo roześmiał się. — Święta prawda. Kilku ludzi, którzy zajmują się tym na poważnie, trzyma w pazurach całą maszynę ekonomiczną. I tylko oni. A kim są ci ludzie? Kto to taki, ci nieliczni, którzy wiedzą, co robią? — Jacopo rozejrzał się po zebranych.

—No, to są zawsze ci sami, prawda? — Osiemdziesięciolatek wybuchnął zgrzytliwym śmiechem, zwracając się do kręgu wrogich twarzy. — To my, chwała Bogu! — I poklepał po ramieniu mężczyznę o posrebrzonych skroniach, który wpatrywał się w Jacopa zimnymi jasnymi oczyma.

—A poza tym będzie wojna. — Jacopo uniósł szklankę i upił łyk.

—Ale coś pan, jaka wojna — wypalił staruszek. — Nie będzie żadnej wojny.

—Właśnie, że będzie, drogi papo. — W ciszy rozległ się piskliwy głos tłustego człowieczka o zabiej twarzy. — Wiemy już od jakiegoś czasu, że Watykan od kilku miesięcy w pośpiechu przenosi do Stanów Zjednoczonych część swoich europejskich inwestycji.

—I to oznacza, że będzie wojna? — zapytał zdezorientowany staruszek, targając wąsy.

—Wojna kształci i hartuje ducha, jak mówią faszystowskie teksty propagandowe — oświadczył Jacopo groteskowym zadziornym tonem. — Prawdziwy mężczyzna powinien pójść przynajmniej na jedną!

—Wojna to jedyna higiena świata, najlepiej wymiata wszystkie brudy!

—Faktem jest, że przemoc — deklamował nosowym głosem mężczyzna w okularach — przemoc jest biologicznie wpisana w ludzką naturę, a wojna to zawór bezpieczeństwa, który pozwala jej się rozładować. Gdyby nie to, kto wie, do czego by doszło!

—Zgadzam się z panem, w człowieku istnieje impuls zabijania.

—Kiedy nie ma wojen, społeczeństwo staje się jednym wielkim tygłem brutalności.

—Rzecz w tym, że lud pragnie krwi, trzeba więc znaleźć sposób, by opanować te bestialskie zapędy, skanalizować je, podsunąć odpowiednie ujście!

—Powiada pan? — odparł osiemdziesięciolatek z niezamierzoną ironią.

—Oczywiście, że tak — wtrącił Jacopo, który tak jak starszek milczał do tej pory, słuchając innych. — A poza tym wojna pozwala narodom zapisywać wspaniale karty heroizmu. Mówi tak nawet ojciec Gemelli, człowiek wielce pobożny!

—A, ten — wykrzyknął starszek z oburzeniem.

—A tobie w to graj, prawda Nicola?—Jacopo zwrócił się do szwagra, trzepocząc rzęsami z niewinną miną. — Przy tej ilości broni, którą wysyłasz do Hiszpanii, pewnie nieźle nabijasz sobie kabzę! Nicola złapał go za łokieć

—Drogi Jacopo, chodź tu, musimy pogadać—warknął ze sztucznym przerażającym uśmiechem ipociągnął chłopaka za sobą. Wyszli z salonu.—Jesteś pijany —wycedził. Silnym pchnięciem posłał Jacopo na drzwi biblioteki. —Zwariowałeś! Wszyscy sobie pomyślą, że mój szwagier jest jakimś wywrotowcem!

—Masz rację.—Jacopo wyprostował się.—Lepiej, żeby nie wiedzieli o moich poglądach. Tak jak nie powinni wiedzieć, że jesteś pederastą albo jeszcze czymś gorszym!

Nicola zaczął się cofać. Natknął się na fotel i osunął się bezwładnie. Był szary na twarzy.— Co takiego...— wybełkotał. Zaszło mu w ustach. Jacopo stał przed nim i poprawiał krawat.

—Ty i ci twoi chłopcy...A moja głupia siostra jeszcze się nie zorientowała!

Jacopo odwrócił się i odszedł. Jego kroki na marmurowej posadzce dźwięczały echem w korytarzu. Po chwili dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi wejściowych, które zamknęły się za jegoplecami.

Była prawie druga w nocy. Goście poszli dopiero niedawno i bardzo niechętnie, ociągając się przy drzwiach. Po tym, jak Nicola wywłókł Jacopa z salonu, rozmowa szybko odzyskała lekki ton. Wokół znanego malarza, którego nigdy nie zabrakło w salonach towarzystwa mediolańskiego, nawiązała się dyskusja o sztuce. Nicola wrócił do salonu ze sztywnym uśmiechem przylepionym do ust. O rozmowie sprzed kilku chwil wszyscy zdążyli już zapomnieć.

Kiedy goście zaczęli w końcu wychodzić, Eleonora zegnała ich przy drzwiach. Gdy wszyscy wyszli, zorientowała się, że Nicoli nie ma już u jej boku.

Kompletnie wykończona wspięła się po schodach i weszła do swojego pokoju. Dziesięć minut później była już w łóżku. Zostawiła zapaloną nocną lampkę i zwinęta na boku rozmyślała o Smolskym.

Nagle z sypialni Nicoli dobiegł ją szelest i drzwi między pokojami otworzyły się na oścież.

—Śpisz? — Nicola podszedł do jej łóżka. Eleonora słyszała jego kroki, ale nie otworzyła oczu i nie poruszyła się.

—Prawie — szepnęła.

—Muszę ci powiedzieć kilka rzeczy — głos Nicoli był jak smagniecie batem. Eleonora uniosła gwałtownie głowę.

—Co się dzieje?

Nicola stał w nogach łóżka. Wpatrywał się w nią złym wzrokiem, ściskając na piersi szlafrok.

— Twój brat... nie wolno ci się z nim widywać, zrozumiałaś?

— Ależ Nicola — mruknęła Eleonora skonsternowana — Jacopo to tylko chłopiec, nie możesz...

— Czego nie mogę? Nie mogę tolerować jego arogancji i tyle! Dziś, w salonie, przy wszystkich... Ty też słyszałaś! To wywrotowiec. Nie postawi więcej nogi w tym domu i biada ci, jeśli się dowiem, że spotykasz się z nim gdzie indziej.

—Nie możesz mi zakazać czegoś takiego, Jacopo to mój jedyny brat i...

—Milcz! Bądź cicho i rób, co mówię, Eleonoro. —Był wściekły. Eleonora zamilkła przestraszona.

—To jeszcze nie wszystko. — Nicola zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Przypominał Eleonorze matkę, kiedy sadzała ją na krześle i zmuszała do wysłuchiwania niekończących się wymówek.—Jest jeszcze jedna sprawa!—wysyczał Nicola.Po długiej, długiej chwili odwrócił się na pięcie.

—Virginia się zwolniła.—Była to ostatnia rzecz, jaką Eleonora spodziewała się usłyszeć. Zdumiała ją to, ale odetchnęła z ulgą i pomyślała, że jeśli tylko to jest powodem gniewu Nicoli, to nie ma się czym przejmować.

—Zwolniła się? — zapytała, nie mogąc pojąć, dlaczego aż tak rozzłościło to jej męża.

Nicola podszedł gwałtownie do łóżka. Złapał Eleonorę za ramię i jednym szarpnięciem zmusił ją by usiadła.

—Co ty wyprawiasz? — wybełkotała.

Bolesny cios trafił ją w usta. Krzyknęła z bólu, pochylając się do przodu z dłońmi przyciśniętymi do twarzy. Nicola chwycił ją za ramiona i siłą wyprostował. Musiała na niego patrzeć.

—Wiesz, dlaczego się zwolniła?

Eleonora pokręciła przerażona głową. Zrozumiała wszystko.

— Wiesz, dlaczego? — wydyszał Nicola. Wymierzył jej policzek, potem drugi Ból i strach oszołomiły ją zupełnie.

—Jesteś kochanką Smolsky'ego.— Chwycił mocno jej podbródek i zadarł głowę do góry. Schylony, wpatrywał się w nią przerażającym wzrokiem. — Jesteś jego kochanką! Powiedz, że jesteś! — Zaciskał palce coraz mocniej, wykrzywając jej usta i policzki. — Powiedz!

—To Virginia ci... — zdołała szepnąć Eleonora. — Ona?

—I odeszła, bo nie miała ochoty być ochmistrzynią takiej... takiej...— Nicola zwał ją z łóżka i postawił przed sobą. Zaczął nią potrząsać z taką wściekłością, że głowa skakała jej na wszystkie strony jak szmacianej lalce. — Jesteś jego kochanką? Przyznaj się. Jesteś?

—Tak.

—Od kiedy?

—Od kilku miesięcy.

—Gdzie się spotykaliście?

—W jego mieszkaniu.

—Na via Lovanio?

—Tak.

—Chodzisz z nim do łóżka?

—Tak.

—Za każdym razem, kiedy przyjeżdża do Mediolanu?

—Tak.

—To znaczy, zdradzasz mnie?



—Tak.

Było coś ohydneho w tej szeptanej rozmowie. Pytanie i odpowiedź. On pytał, ona odpowiadała. Patrzyli sobie w oczy. Ofiara i kat—pomyślała Eleonora. Obrzydzenie ścisnęło ją za gardło. Pogardzała sobą. Tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu. Jakby była jego współniczką w tej podłej zabawie.

—Lubisz to?

—Nicola... tylko nie to.

—Lubisz... Odpowiadaj.

—Nie, to...

Nicola obrócił ją gwałtownie i zdarł z niej koszulę. Jedwab pękł z dźwiękiem podobnym do trzasku bicia.

—Lubisz to? Powiedz, że lubisz.

Eleonora zatkała uszy.

Nicola rzucił ją na łóżko.

—A teraz opowiesz mi wszystko.

W następnej chwili padł na nią, przygniatając swoim ciałem.

—Jeśli jeszcze raz się z nim zobaczysz, zabiję cię. — Oddychał szybko. Złapał ją za włosy i odciągnął głowę do tyłu. — Zabiję cię, zrozumiałaś?

—Tak...

—Nie zobaczysz go więcej.

—Nie.

—Nigdy więcej nie każesz mi cierpieć z zazdrości.

—Nie.

—Nie zdradzisz mnie więcej.

—Nie.

—Nie pójdziesz z nim więcej do łóżka.

Ciałem Eleonory wstrząsał szloch.

—Nie... nigdy. Nigdy więcej.

—A teraz — Nicola wcisnął jej twarz w poduszkę — ze wszystkimi szczegółami opowiesz mi, co robiłaś z nim w łóżku. Wszystko, zrozumiałaś?—Jego głos był ochryply, ton obsceniczny.  
— Wszystko...

Na tle czystego bladobłękitnego nieba poruszały się powoli ciemnozielone gałęzie sosen. Ostatnie kwiaty kalikantusa, zerwane przez wiatr, wirowały w powietrzu. Niektóre z nich padały na pled okrywający nogi kapitana. Zaraz po obiedzie staruszek kazał się wywieźć do ogrodu, aż tutaj, na koniec alejki, po czym odprawił służącego. Chciał zostać sam. Teraz, przygarbiony na swoim wózku, rozglądał się w świetle tego zimnego pogodnego popołudnia. Drzewa i krzewy, wciąż jeszcze zeszywniałe od zimowych chłódów, wyglądały jak szkielety. Wielkie nagie klomby przypominały staruszkowi cementarne ogrody. Ale w gałęziach wiecznie zielonych krzewów i żywopłotów słychać było krzątanie wróbli, a ostre powietrze przesycone było zapachem kalikantusa. Kapitan zebrał z koca małe żółte kwiatki i przyjrzał im się, dotykając płatków i czerwonego wnętrza kwiatu, przypominającego mu kolorem pewien gatunek ryb z Morza Czerwonego. Rozkruszył kwiaty, powąchał je i rzucił na ziemię. Splótł węzłaste palce i znów zablądził spojrzeniem wysoko, w korony rosnących przed nim sosen, obserwując powolne kołysanie się gałęzi na błękitnie.

Za jego plecami na żwirze zachrzęściły czyjeś kroki.

—Dario —krzyknął staruszek, nie odwracając się — nie powiedziałem ci, żebyś mi się tu nie plątał? Jesteś najbardziej nieznośnym służącym... —przerwał nagle. Odwrócił się i trwał tak, patrząc na zbliżającego się mężczyznę.

— Ach, chłopcze — wykrztusił w końcu po długiej chwili — chłopcze, bałem się, że już cię więcej nic zobaczę.

Przed nim stał Smolsky. Zdjął kapelusz, a złożone palto miał przerzucone przez ramię. Ubrany był w ciemnoszary garnitur i — jak zauważył kapitan — ekstrawagancki krawat u paski, który upodabniał go do studenta w dniu wręczenia dyplomów. Był blady i zmęczony, pod oczami miał ciemne sińce, a spojrzenie o wiele za poważne dla tak młodej i przystojnej twarzy. Na czole, z boku, widać było fioletowawy guz. Nagły podmuch wiatru sprawił, że czarne błyszczące w słońcu włosy opadły mu na oczy.

—Co ty sobie zrobiłeś? — staruszek dotknął swojej głowy — Co oni ci zrobili?

Smolsky objął się ramionami i nie odpowiedział.

—Przynajmniej żyjesz.

—To tak.

—Miałeś kłopoty?

—Co tam... — bąknął Smolsky. — U pana za to w porządku, prawda?

—Święty spokój. Nie pokazał się nikt, ani w domu, ani w biurze. A ty?

—Czekałem, żeby mi to trochę zeszło.—Smolsky wskazał guza. —Nie mogłem się tak pokazywać. Rzucił na ławeczkę palto i kapelusz, po czym usiadł na wprost staruszka.—Opowiem panu, co się stało.

—Podaj mi fajkę.—Kapitan wskazał futerał leżący obok Smolsky'ego.

—I tytoń. Ja cię nie będę zanudzał opowiadaniem, jak odchodziłem tu od zmysłów, kiedy nie przyszedłeś mnie odwiedzić tamtego popołudnia, a potem nie było cię na kolacji i przez kolejne dni, a ja nie mogłem nikogo o nic zapytać. — Kapitan potrząsnął głową, ubijając tytoń w fajce. —Doprawdy, do tej pory nie wiedziałem, co to niepokój. Ale tym razem posmakowałem go do dna, jak Sokrates cykutę. Zaczął pykać fajkę.

—Tak czy inaczej, jakoś to przeżyłem. A teraz opowiedz mi o sobie —kapitan przysunął wózek do Smolsky'ego. — No, gadaj, jak było. Smolsky zapalił papierosa.

—Nie mówiłem panu o zadaniu, jakie mi przydzielił Kristenfeld.Chodziło o pewnego niemieckiego urzędnika. — Smolsky przerwał. Po kilku sekundach zaczął opowiadać przytłumionym głosem. W środkowym oknie na parterze willi ktoś odsunął firankę w kolorze kości słoniowej.

—Proszę, proszę, widziałaś, kto przyszedł?—zapytał Nicola, zerkając na park. Jedną ręką przytrzymał zasłonę, drugą skinął na Eleonorę. Chodź...

Eleonora siedziała w fotelu, słuchała radia. Właśnie nadano wiadomość o śmierci D' Annunzia. Zmarł zeszłego wieczoru, jak mówił spiker, w wiadomościach, w swoim domu nad jeziorem Gardone, „w gnieździe, gdzie schronił się orzeł, by umrzeć”. Dziennikarze z całego świata zjeżdżali się do Gardone, „Corriere” wysłał nad jezioro Guida L'uwene i Virgilia Lili. Dziś po południu spodziewano się Mussoliniego, Z kraju i z zagranicy przychodziły telegramy z kondoknejami. Hitler osobiście wyraził swój głęboki smutek. Cały świat był w żałobie z powodu śmierci Poety.

— Wyłącz to radio. — Nicola podniósł głos, by było go słychać przez żałobną muzykę wypełniającą pokój. — Wyłącz radio i chodź tu.

Eleonora usłuchała. Spojrzenie męża śledziło ją, kiedy wstawała z fotela, przekręcała gałkę radia i w końcu ruszyła w jego stronę. Była bardzo piękna, zauważył Nicola, z bladą twarzą, podkrążonymi oczami, choć może trochę przesadziła z makijażem. W granatowej sukience z wełny wydawała się chudsza niż zwykle. A może naprawdę schudła przez te ostatnie cztery dni.

Objął ją.

—Popatrz. — Trzymał uchyloną firankę, jakby prezentował żonie jakiś wyjątkowy spektakl erotyczny. — Widzisz go?

Eleonora drgnęła. Na końcu alejki, między drzewami siedział na ławce Smolsky. W towarzystwie kapitana.

—Co czujesz?

Eleonora milczała.

—Dziwne, że Smolsky nie przyszedł się przywitać i że poszedł od razu do dziadka, nie kazać się nawet zaanonsować.

Wiatr robił się coraz zimniejszy. Buszował w żywopłotach z łagodnym szelestem i porywał w powietrze dym, który kapitan wypuszczał małymi chmurkami, pykając fajkę.

—I mówisz, że Corbini nie mógł widzieć twojej twarzy?

—Nie. — Smolsky pokręcił głową. — Miałem podniesiony kołnierz i rondo kapelusza opuszczone na oczy. Ale ja go rozpoznałem doskonale.

—I strzelali do ciebie? Całe szczęście, że tamtego dnia była mgła, że tylko nożem kroić. Pamiętam, z okna nie było widać nawet sosen.

—Strzelali do mnie...

—A ty wsiadłeś do tramwaju...

—Właśnie przejeżdżał. Wskoczyłem na schodki i wysiadłem na następnym przystanku. I byłem bezpieczny!

—Kochany chłopcze — staruszek pokręcił głową — strzeże cię dobra gwiazda.

Przez oczy Smolsky'ego przemknął błysk rozbawienia.

—Tak... gwiazda.

—I co daiej?

—Już mówiłem. Pan, kapitanie, ja i Ugo. Tylko nas trzech brakowało w notatkach Leroi. Tego samego wieczoru zbadalem z Ugo wszystkie dokumenty, a potem zaczęliśmy krążyć po mieście, by ostrzec innych. Dwóch już aresztowano. Leroi widocznie przekazał Corbinemu kilka nazwisk.

—A my, naprawdę...

— Pan, ja i Ugo jesteśmy bezpieczni. Corbini nie wie o nas nic. Ale ja i tak wolałem zniknąć na kilka dni. Z taką gębą! —Smolsky dotknął guza. —Robiłem wrażenie. Pojechałem do „pianisty” niedaleko Sieny, jego też nie było w spisie Leroi. Przesłaliśmy do Londynu najnowsze wieści, żeby nie spodziewali się żadnego memorandum Hossbacha i że ten rzekomy urzędnik o mało nie zlikwidował całej włoskiej siatki.

—„Zlikwidował”. Mówisz jak faszysta — uśmiechnął się kapitan. — Ale Corbini był sprytny, co?

—Tak.

—Kiedy wróciłeś ze Sieny?

—Dzisiaj rano. Pojechałem prosto do Giorgia Maranego i powiedziałem mu, że nie będę już prowadził konsultacji w jego sanatorium, że wyjeżdżam do Wiednia i będę tam siedział. Do Mediolanu już nie wrócę.

—Więc koniec naszej współpracy?

—Tak. Zresztą siatka i tak jest już spalona. Zbyt wielu wpadło. My się uratowaliśmy, ale...

—Corbini nas nie dostał.

—Chwilowo nie. Ale jeśli...

—Naprawdę nie możemy kontynuować?

—Ovra doszła do takiego etapu, że zidentyfikuje nas w niecały miesiąc, jeśli znów zaczniemy pracować. Wokoło jest zbyt wielu informatorów i...

—Dobrze, daj już spokój. Ale szkoda. Dobrze się bawiłem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Słysząc było tylko ćwierkanie wróbli w parku.

—Powiedz no, kiedy zastrzeżiłeś tamtego...

—Nie, proszę dać spokój, kapitanie. Wolę o tym nie mówić.

—Jak uważasz. — Staruszek westchnął i postukał fajką o koło wózka.

—Jak uważasz. Ale powiedz, ten człowiek, ten Leroi spodziewał się ciebie następnego dnia. Skąd mogło się wziąć takie nieporozumienie?

—Nie rozumiem tego, to jakaś pomyłka. Kto to wie?

—Gdybyś przyszedł wtedy, kiedy się ciebie spodziewał, pewnie zastałbyś Corbiniego i jego ludzi.

—Bardzo możliwe. Ale Corbini przyjechał i tak, i...

—I cudem uszedłeś z życiem. Kiedy usłyszałeś, że do ciebie strzelają, byłeś pewien, że...

—Tak, że mnie zabiją.

—Ale biegłeś dalej.

—I jeszcze jak... — przyznał Smolsky.

—A o czym myślałeś, kiedy tak czekałeś, że lada moment poczujesz kulkę w plecach?

—O czym myślałem?

—Tak.

Smolsky spojrzał na nagie konary płatanu, na plamistą korę.

—Mam być szczery? Mam naprawdę powiedzieć panu, o czym myślałem?

—Tak, ciekawi mnie to.

—Myślałem o Eleonorze.

—O kim?

—O żonie pańskiego wnuka, kapitanie, Eleonorze — mruknął Smolsky. Wyjął papierosa z paczki. — Myślałem o niej, kiedy czekałem, aż mnie trafią.

Kapitan przez chwilę wpatrywał się w żwir alejki.

—Aha! — westchnął, pokręcił głową i nie patrząc na Smolsky'ego, burknął: — Rozumiem. — I znów pokręcił głową.

Zapanowała cisza. Smolsky skończył w milczeniu papierosa. Rzucił niedopałek, zgniótł go butem.

—No cóż, idę.

—Nie, poczekaj jeszcze chwilę. Ty sobie idziesz, a ja tracę przyjaciela.

—Ja też —odparł Smolsky.—Odwaliliśmy razem kawał dobrej roboty.

Kapitan odchrząknął.

—Corbini nas nie dostał, ale udało mu się wszystko zniszczyć. Nie będzie już informacji o zaopatrzeniu w broń.

—Chwilowo nie.

—Przykro mi. To był jakiś sposób, by stawić czoło tej bandzie kanalii. Łajdaków. Idiotów. Oni wiedzą, że są idiotami i szczycą się tym. Nastąpiła epoka ordynarnej głupoty. Wystarczy popatrzeć na gęby tych, którzy stoją na czele. To kanalie gotowe na wszystko. Ludzie bez serca.

Smolsky milczał zamyślony i smutny.

—Słuchasz mnie?

—Tak.

—Zobaczymy się jeszcze?

—Prędzej czy później. Mam nadzieję.

—Corbini nic o tobie nie wie. Wyjedziesz bezpiecznie, prawda?

—Tak. bezpiecznie — westchnął Smolsky. Przypomniał mu się Sandro i inni.

—Możesz wrócić do domu i zająć się pracą. Nie grozi ci już żadne niebezpieczeństwo.

—Zgadza się.

—I jesteś smutny?

Smolsky odwrócił się do niego. Kapitan spojrzał mu w oczy.

—Tak. Wyglądasz, jakby ci ktoś umarł.

—Cóż.. —Smolsky spróbował się uśmiechnąć.—Pan nie lepiej, kapitanie.

—Kiedy wyjeżdżasz?

—Dziś wieczorem.

Kapitan skinął głową.

—Ech, szkoda, chłopcze, szkoda. Z kim ja będę teraz grał w szachy?—I uśmiechnął się krzywo.

Smolsky wstał.

—Proszę posłuchać, ja...

—Nie idziesz się pożegnać z Nicolą i jego żoną?

—Nie. Proszę wybaczyć, ale nie mam ochoty wiedzieć się z Nicolą.

—Aha—bąknął kapitan.—Jak uważasz.

—Mogę prosić pana o przysługę?—zapytał cicho Smolsky.

—Ależ oczywiście.

Firanka w oknie na parterze wciąż była odsunięta.

—Smolsky się żegna—powiedział Nicola. Trzymał Eleonorę przy sobie i patrzył na park. Przez cały czas nie spuszczał z oka mężczyzn, których pomniejszone przez odległość figurki rysowały się wyraźnie między drzewami. —Wziął palto i kapelusz... zaraz przyjdzie tutaj i napijemy się czegoś razem.

—Ale ja...—Eleonora zwróciła do męża bladą zmęczoną twarz.

—Przyjdzie tutaj—odparł Nicola stanowczo.—A ty się do niego uśmiechniesz, jak szanująca się pani domu. Może nawet pogawędzimy chwilę o psychoanalizie.

—On tu nie przyjdzie. Nie widzisz?—szepnęła. Uniosła dłonie do twarzy. Oczy jej się zamgliły.—Idzie sobie. Nie skręcił do willi. Idzie sobie.—Uwolniła się z uchwytu męża. odwróciła się od okna i ukryła twarz w dłoniach.

Smolsky szedł w kierunku głównej alei. Wychylając się z okna, Nicola zobaczył balillę, zaparkowaną niedaleko bramy. Smolsky wszedł, zapalił silnik, powoli przejechał aleją. Skinieniem pozdrowił stróża, który otworzył mu branie. Po chwili samochód zniknął.

—Phi... pojechał i nawet nie przyszedł się przywitać. Może to i lepiej. Muszę przyznać, że nie miałem aż tak wielkiej ochoty się z nim zobaczyć — powiedział Nicola cicho i opuścił firankę.



—A więc jesteś w domu! — Jacopo wszedł do salonu, zdejmując płaszcz przeciwdeszczowy. — Ta idiotka, pokojówka, chciała mnie odesłać. Musiałem ją dosłownie odepchnąć. — Powiesił płaszcz na oparciu krzesła, przyglądając się siostrze. — A może to ty nie chcesz mnie widzieć?

—Ależ skąd. — Eleonora siedziała skulona w fotelu, przy gramofonie.

W jednej ręce trzymała papierosa, drugą podpierała głowę, pochyloną na bok, jakby była zmęczona. Płyta trzeszczała trochę, może od kurzu, a może przez to, że była słuchana wiele razy.

—Ciągłe te tańce słowiańskie, co? — Jacopo usiadł na wprost siostry.

— Czy to znaczy, że jesteś smutna?

Eleonora nie odpowiedziała. Zgasiła papierosa w popielniczce, nie podnosząc wzroku.

—Nie chciałaś mnie widzieć?

—Powiedziałaś ci już, że...

—Telefonowałem wiele razy. Odpowiadano mi zawsze, że cię nie ma. Ukrywasz się? Jesteś na mnie zła?

—Nie ja — westchnęła Eleonora.

Jacopo opadł na oparcie.

—Nicola. tak? Czwbv zabraniał ci kontaktów z bratem?

—Proszę cię — Eleonora rzuciła mu złe spojrzenie. — Daj sobie spokój z tym napastliwym tonem. Jeszcze ciebie mi tu potrzeba.

—Zabrania ci...

—Tak — przyznała Eleonora. — Chce, żebyśmy zerwała z tobą stosunki.

Gdyby się dowiedział, że tu jesteś...

—A, na dodatek robi ci sceny — rzucił Jacopo sardonicznie. — Popatrz, popatrz!

—Ach, daj spokój, Jacopo. Tamtego wieczoru zachowałeś się niedopuszczalnie. Nigdy przedtem nie byłeś taki bezczelny. Nicola był wściekły.—Eleonora spuściła głowę. Między brwiami rysowała się krótka zmarszczka.

—Zrobił ci scenę z mojego powodu? — zapytał Jacopo.

Eleonora machnęła niezdecydowanie ręką.

—Zakazał mi się z tobą widywać. Teraz jest w biurze, ale i tak się pewnie dowie, że tu byłeś. Służba powie mu o wszystkim. Nicola mówi, że nie życzy sobie w domu kogoś takiego jak ty, z poglądami wywrotowca. Mówi, że ludzie...

—Ależ to fantastyczne! — roześmiał się złośliwie Jacopo. — Co za świnia!

Eleonora uniosła nagle głowę.

—Nie wolno ci tak mówić! — Wstała i podeszła do gramofonu. Muzyka umilkła. Przez długą chwilę w ciszy słychać było tylko szelest wiatru w bluszczu wokół okien. Słońce właśnie zachodziło; pojedyncze refleksy ożywiały oliwkową tapetę pokoju i zapalały tęczowe iskry w kryształowym wazonie z różami, stojącym na sekretarzyku.

—Ja wiem, dlaczego twój mąż nie chce, żebyśmy się widywali. — Jacopo wstał. Z rękami w kieszeniach, zaczął spacerować po pokoju, od czasu do czasu zerkając na siostrę, która śledziła go pytającym spojrzeniem, ze zmarszczonymi brwiami i surowym wyrazem twarzy.

Po chwili zatrzymał się przed nią i przyglądał się jej przez chwilę.

—Jesteś piękna, wiesz? — mruknął w końcu tak cicho, że Eleonorze umknął ton jego głosu. — Jesteś piękna — powtórzył, wpatrując się w nią głodnym wzrokiem. Przez te miesiące, od kiedy Eleonora wyszła za mąż, a on zamieszkał w Mediolanie, zmieniał kobiety jak rękawiczki. Jedna kochanka po drugiej, wszystkie piękne, eleganckie, dobrze ubrane, obwieszane klejnotami, mężatki i panny przewinęły się przez jego łóżko, zdobyte w mgnieniu oka i szybko usuwane na bok, by zrobić miejsce następnej. Żadna z nich nie zdołała sprawić, żeby zapomniał o spojrzeniu Eleonory, o jej ustach, o tajemniczej magii jej ciała. Zmieszany, odwrócił oczy. Usiłował trzymać się od niej z daleka, zmuszał się, by o niej zapomnieć, ale nic się nie zmieniło. Miał ochotę paść przed nią na kolana, ukryć twarz na jej łonie i błagać, by go przyjęła. Odwrócił się gwałtownie; chciało mu się płakać, tak silne było poczucie krzywdy, które go przytłaczało. Dla niego nie było ucieczki.

Stanął przy oknie. Słońce zaszło i długie niebieskawe cienie rozpełzały się po pustym parku.

—Nigdy się nie zorientowałaś — odezwał się nagle sucho — że twój mąż jest pederastą? — Wciąż patrzył na park, zdumiony ogromem ulgi, która go ogarnęła, kiedy zdecydował się powiedzieć siostrze prawdę.

W pokoju panowała taka cisza, że po chwili odwrócił się na pięcie.

Ale Eleonora nie wyszła z pokoju. Stała kilka kroków od niego, nieruchoma jak rażona gromem.

—Słyszałaś, co powiedziałem?

Skinęła głową.

—Ale ty... ty nie... — wybełkotała w końcu. Uniosła dłoń do ust. Zbladła tak bardzo, że przez chwilę Jacopo bał się, że zemdleje. Ale zrobiła kilka kroków i przytrzymała się oparcia fotela.

—Nigdy się nie zorientowałaś?

Eleonora pokręciła gwałtownie głową, jakby Jacopo zapytał, czy widziała kiedykolwiek diabła. W końcu chwyciła ze szlochom powietrze.

—Co ty opowiadasz! — wybuchnęła. — Co ty mówisz! Chyba zwariowałeś!

—Dowiedziałem się tego przypadkiem — odparł spokojnie Jacopo.

Znów zaczął spacerować po pokoju. Po chwili Eleonora obeszła foteli opadła nań bezsilnie. — Tak, przypadkiem odkryłem prawdziwą twarz mojego dumnego szwagra. Muszę powiedzieć, że już od dawna miałem podejrzenia, zawsze wyczuwałem, że jest w nim coś... Już kiedy byliśmy dziećmi. Ty nie? Eleonora nie odpowiedziała. Siedziała pochylona do przodu, z twarzą ukrytą w dłoniach.

—A poza tym — Jacopo stanął przed nią — Nicola nigdy nie miał kobiety, żadnego roman- su, nic. Nigdy nie było o nim nic wiadomo, a jako wymówki używał miłości do ciebie, która rze- komo nie pozwalała mu się zaangażować w żaden związek. Ba, można do szaleństwa kochać kobietę, ale nie żyje się przez to w celibacie! — Jacopo westchnął. Już on coś o tym wiedział.

—To było kilka miesięcy temu. — Znów zaczął przemierzać pokój wolnym krokiem. — Wszedłem w kręgi ludzi trochę... no wiesz, kobiety, homoseksualiści, kokaina.

Eleonora uniosła głowę i spojrzała na niego.

—Nie oburzaj się tak. To nic specjalnego, rozrywka jak inne. Dla zabicia nudy. Poznałem chłopców, którzy wyglądali jak greckie bóstwa. Żebyś wiedziała, jakie mają powodzenie! Opo- wiadali mi o jakimś Nicoli. Kiedy zorientowałem się, że chodzi o mojego szwagra...—Jacopo znów przystanął przed siostrą.— Chcesz, żebym opisał ci szczegóły? Teraz wiem o nim wszyst- ko. Płaci chłopakowi, utrzymuje go tak, jak się utrzymuje kochankę. Mieszkanie, ubrania, wszystko. Po ślubie z tobą w dalszym ciągu go odwiedzał dawał prezenty. Wygląda na to, że jest zakochany po uszy,

—Nie wierzę ci! — Eleonora zerwała się z fotela. — Wymyślasz to wszystko. Jesteś podłą żmiją. Nienawidzisz Nicoli i chcesz go zniesławić!

— Doprawdy?

— Tak. Mój mąż nie...

— Posłuchaj, Eleonoro —Jacopo przerwał jej szorstko.— Ja nie chcę, żebyś mi opowiadała szczegóły swojego życia intymnego.Ale czy naprawdę możesz mi zaręczyć, że nigdy nie podejrzewałaś męża o dziwne skłonności? — Spojrzał siostrze w oczy

Eleonora przez chwilę wytrzymała jego spojrzenie. W końcu opuściła powieki.

— Ha!—Jacopo roześmiał się cierpko.—A widzisz.

Ale jej reakcja zdezorientowała go.

—Jesteś wstrętny!—Eleonora prawie krzyczała. Po raz pierwszy w życiu Jacopo widział ją w takiej furii.—Jesteś łajdakiem. Nicola nie mógłby...

— To cię oburza?

— Nie, nie chodzi o to!

—Ja tam uważam, że każdy, kobieta czy mężczyzna, może robić, co mu się żywnie podoba. Ty tak nie myślisz?

—Ale...

—Jak ktoś chce, może chodzić sobie do łóżka z mężczyznami, kobietami, chłopcami, z kim tylko ma ochotę. To są jego sprawy, nie?

—Nicola.,.

—Oburza cię, że robi to twój mąż?

—Ale czy ty nie rozumiesz? To niedorzeczność, która...

—Niedorzeczność? Czy ty nie rozumiesz, głupia, że Nicola ożenił się z tobą tylko po to, żeby zachować pozory?

—Nicola mnie kocha!

—Nicola kocha tylko swojego chłoptasia.

Eleonora pokręciła głową i wybuchnęła płaczem.

—Co ty wyprawiasz? Jesteś w nim zakochana? Jak możesz go kochać? Czy matka nie wymogła na tobie tego małżeństwa? Czy nie wyszłaś za niego pod przymusem?

Eleonora otarła łzy.

—Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Nicola jest o mnie tak zazdrosny, tak przywiązany... nie mogę uwierzyć. Śledzony przerażonym spojrzeniem siostry, Jacopo wszedł do sypialni Nicoli i przeszukał każdy kąt.

—Proszę: bardzo, nie mówikm, że coś znajdziemy? — Trzymał w ręce gruby album z fotografiami w safianowej okładce. Otworzył go.

—Patrz. — Zobaczyła zdjęcia dwóch chłopców; blondyna i bruneta.

Eleonora odwróciła wzrok. Policzki jej płonily. Jacopo zamknął album.

— Teraz mi wierzysz?

— Odłóż to — powiedziała cicho.

Wrócili do salonu. Półmrok zmiękczał już. kontury mebli.

—Zapal lampę — mruknęła. Jacopo spełnił polecenie i usiadł przed nią,

—Jesteś wstrząśnięta?

— Tak.

—Nicola... nienawidzę go. I jeśli mówię, że jest świnią, to na pewno nie z powodu jego skłonności do chłopców. Nie, to są jego sprawy. Ale posłużył się tobą, Eleonoro. I tego mu nie wybaczę. Potrzebował żony, by udawać przed ludźmi mężczyznę. Wielu ludzi ukrywa swoją orientację, by udawać włoskiego macho! Codziennie dosiadam konia i kobiety, mawia sam Mussolini, prawda? A Nicola bardzo dba o pozory. Pewnie się wstydzi tych swoich chłopców, kto to wie? I dlatego ożenił się tobą z moją siostrą. Służysz mu za parawan. Ale cię nie kocha i nigdy nie da ci szczęścia. Jeśli rzeczywiście potrzebował się za kimś schować, powinien był wybrać inną kobietę, nie ciebie. Nie mogę — Jacopo przerwał i potrząsnął głową, nie patrząc na siostrę — nie mogę znieść myśli, że nie jesteś naprawdę kochana, że nie jesteś szczęśliwa.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

—A ja wierzę, że mimo tego wszystkiego Nicola jest do mnie naprawdę przywiązany. — Eleonora mówiła cicho,—zdławionym głosem. —Wiesz? Myślę, że to wszystko jest bardziej skomplikowane niż ci się wydaje. — Wpatrywała się w przestrzeń ze zmarszczonymi boleśnie brwiami. Jacopowi, który nie odrywał od niej oczu, wydało się, że rozpamiętuje chwila po chwili całe swoje małżeństwo, od pierwszego dnia.

—I co? — zapytał półgłosem.

—Nielatwo to powiedzieć, to tylko przeczucia. Nicola być może...

—Słucham cię.

—Nie wiem — Eleonora spojrzała na brata i westchnęła, —I pomyśleć, jak bardzo czułam się winna wobec mojego męża, że go nigdy nie kochałam. I że...

—Że co?

Eleonora pokręciła głową, spuściła wzrok.

—Nic.—Oparła głowę o oparcie i zamknęła oczy. — To wszystko jest takie absurdalne. — Zamilkła.

—Co masz zamiar teraz zrobić? Chyba nie chcesz z nim zostać. Jesteś młoda i...

—Daj spokój, Jacopo — powiedziała Eleonora, wstając.

—Ale twoja przyszłość...

— Och, proszę cię. — Uniosła ręce do czoła. — Czuję się taka... nie wiem, zdezorientowana. Nie widzisz tego?

Jacopo także wstał.

—Zgoda, przemyśl to na spokojnie. Ale nie zostawaj z nim. To nie ma sensu, rozumiesz? A zostawać tylko dla pieniędzy, to nie w twoim stylu. —Wziął ją za rękę. —Pójdę już. —Ucałował jej nadgarstek. — Wyjeżdżam.

—Wyjeżdżasz?

—Jadę do Hiszpanii. Nie, oczywiście, że nie z naszą armią. Nie z faszystami. Jadę walczyć przeciwko faszystom. W Brygadach Międzynarodowych.

Eleonora odsunęła się od niego.

—Mówisz poważnie?

Jacopo położył delikatnie ręce na ramionach siostry. Objął ją ostrożnie, jakby była ze szkła.

—Nikommu o tym nie mów.

—Chcesz naprawdę...

—Wyjechać? Tak.

—Zupełniejakby cały świat rozpadał się na kawałki — szepnęła Eleonora po długiej chwili ciszy.

Spojrzeni na siebie.

—No już. — Jacopo osuszył jej łzy. — Nie płacz. — Pochylił się nad nią i musnął jej usta szybkim pocałunkiem.

Odwrócił się, porwał z fotela płaszcz i wybiegł z pokoju.

Niecałą godzinę później ktoś zapukał dyskretnie w drzwi sypialni.

—Przysłał mnie kapitan, proszę pani.

—Tak? — Eleonora siedziała skulona w fotelu. Służący zauważył, wchodząc, że musiała przed chwilą płakać. Odchrząknął zakłopotany.

—Kapitan chciałby zamienić z panią słówko, jeśli można.

—Kapitan?

—Tak, jak najszybciej.

Pani Martini była zdumiona. Rzeczywiście, pomyślał służący, to chyba pierwszy raz kapitan posłał po żonę swojego wnuka. O ile Dario się orientował, od kiedy zamieszkała w tym domu, kapitan zamienił z nią ledwie kilka słów.

Ruszył przed nią korytarzem, otworzył drzwi gabinetu i odsunął się na bok.

—Proszę.

—Chodź, chodź. — Staruszek, siedząca na wózku pod oknem, zwrócił się w jej stronę, kiwając niecierpliwie ręką. — Szybko, pośpiesz się. Usiądź tu, przede mną — wskazał jej taboret. — No już.

Przez chwilę przyglądał jej się ze zmarszczonymi brwiami, niemal nieprzyjaźnie.

—Co się dzieje? Płakałaś?

Eleonora bez słowa przetarła dłońmi policzki. Kapitan prychnął, jakby go to zdenerwowało.

—No i dobrze — rzucił w końcu.

—Pan chciał ze mną rozmawiać? — zapytała nieśmiało.

—No, nie zjem cię przecież. Możesz mówić głośniej. Zgadza się, chciałem z tobą porozmawiać. Posłuchaj, od kilku godzin o tym rozmyślam, bo nie wiedziałem, czy dać temu spokój, czy... ale niech już będzie. Mam dla ciebie wiadomość. Od Smolsky'ego. Zdziwiona, co? Ależ tak, no wybałusz jeszcze bardziej te swoje smutne oczyska. Otwórz tak szeroko, jak się da, dziewczyno. Mam wiadomość od Smo!sky'ego.

Prawdę mówiąc, trudno mi zapomnieć, że jesteś żoną mojego wnuka, i zadaję sobie pytanie, jak, u licha, mogliście... — kapitan znów prychnął. — Ale cóż na to poradzę? A poza tym Smolsky jest dla mnie... och, do diabła!

—Jaką wiadomość? — szepnęła Eleonora tak cicho, że staruszek pochylił się do przodu i nadstawił ucha.

—He? Co powiedziałaś?

—Jaką wiadomość?

—Dziś po południu, kiedy mnie odwiedził, powiedział mi, zanim sobie poszedł.

—Co powiedział?

—Chwileczkę, zaraz do tego dojdę. Smolsky powinien był zajść do domu i przywitać się z Nicolą i z tobą. Ale nie chciał, było mu jakoś niezręcznie. Mam ci przekazać, że na ciebie czeka.

—Na mnie?

—Na ciebie, dziewczyno — kapitan patrzył na nią zirytowany. — Właśnie na ciebie. Smolsky wyjeżdża dziś do Wiednia pociągiem o dwudziestej dziesiątej. Jeśli chcesz z nim jechać — staruszek rzucił okiem na zegar — cóż, masz niecałe pół godziny, żeby się spakować. I weź paszport.

Eleonora nie poruszyła się.

—Hej, słyszałaś?

—Tak — wstała.

—Powiedz no — kapitan wciąż się jej przygadał — pojedziesz? Pojedziesz z nim? Zapewniam cię, że nie miałem ochoty przekazać ci tego, ale gdybym tego nie zrobił, byłbym niełojalny wobec Smolsky'ego.

—Dwudziesta dziesiąta, powiedział pan?

Kapitan skinął głową.

—Tak.

—Jadę.

—Naprawdę jesteś zdecydowana?

—Tak.

—W takim razie, cóż, z Bogiem. Idź, znikaj. Zejdź mi z oczu. Jeszcze tu jesteś?—Kiedy za Eleonorą zamknęły się drzwi, kapitan burknął jeszcze raz, wpatrując się w dywan: —Z Bogiem.



—Eleonoro! —Nicola otworzył na oścież drzwi łączące sypialnie. Pokój jego żony był pusty i cichy.—Eleonoro —powtórzył głośniejszym głosem. Nikt mu nie odpowiedział. Lampa w rogu, obok fotela, zalewała pokój miękkim światłem. Na łóżku leżało kilka sukienek, a na podłodze tu i tam porozrzucone buty. Widocznie Eleonora już się przebrała, pomyślał. Po raz pierwszy zostawiła po sobie taki bałagan. Teraz pewnie czeka na niego w małej jadalni, w której jadali kolacje, kiedy nie mieli gości. Nicola spojrzął na zegarek: prawie wpół do dziewiątej. Wrócił do swojego pokoju i wszedł pod prysznic. Zjem z nią kolację, kalkulował, zamienię parę słów, a potem powiem, że idę na brydża. Jeśli się pośpieszę, uda mi się wyjść jakiś kwadrans po dziewiątej, a o wpół do dziesiątej będę u tego łajdaka Denisa. Nicola wytarł się i ogolił w pośpiechu. Udało mu się nawet nie zaciąć. Wrócił do pokoju i ubrał się z drobiazgową elegancją. Do mankietów założył złote spinki, które tak się podobały Denisowi. Spoglądał na nie zawsze tak łakomie, że pewnie świsnęłyby je Nicoli w mgnieniu oka, gdyby tylko mógł. Najdalej za godzinę będę u niego, pomyślał Nicola. Zabrzmiały mu w uszach słowa chłopaka, wypowiedziane dzisiejszego popołudnia: Dość, rozmiesz? dość...—powiedział tym swoim cudownym znudzonym głosem. Nicola przerwał mu wtedy siarczystem policzkiem. Ale teraz pragnienie, by do niego wrócić, zaczynało przesłaniać mu wszystko. Do diabła z Eleonorą, zaklął w duchu. Do diabła ze wspólną kolacją. Myślał już tylko o tym, żeby wrócić do chłopaka i wyjaśnić sprawę. Niby czego miał dość? Kto by się nim zajął, kto by go utrzymywał w takim luksusie jak on, Nicola? Denis mylił się, sądząc, że ma cały świat u stóp tylko dlatego, że jest taki milutki. Milutki? — szepnął w mózgu Nicoli jadawity głos. Milutki? Daj spokój, przecież doprowadza cię do szalu!

Założył stojąc przed lustrem kamizelkę i pogładził się ręką po płaskim brzuchu. Pośpiesznie narzucił marynarkę. Dopiero, kiedy odwrócił się, by wziąć ze stołu papierośnicę, zauważył kopertę, opartą konika z porcelany.

Otworzył list i przebiegł wzrokiem kilka słów: Odchodzę z Jaro Smolskym. Dziś wieczorem wyjeżdżamy do Wiednia. Nie wrócę już. Przykro mi.

Nicola kilka razy przeczytał z niedowierzaniem krótką wiadomość, usiadł przy stole i znów przeczytał tych parę zdań, jedno po drugim, jakby bał się, że ma halucynacje. Odwrócił kartkę. Z tyłu była czysta.

Odwrócił ją z powrotem.

Przeczytał jeszcze raz. Nagle zerwał się z miejsca i rzucił się do pokoju żony. Ubrania na łóżku, buty na podłodze, cały ten nieporządek nabrał zupełnie innego znaczenia— zdradzał pośpiech kogoś, kto szykując się do wyjścia, wrzuca cokolwiek do walizki, Nicola pootwierał szafy i szuflady w sypialni i w garderobie. Ale Eleonora najwyraźniej zabrała ze sobą bardzo niewiele rzeczy tak mało, że Nicola zaczął podejrzewać ją o kiepski dowcip, złośliwy żart. Może chciała go tylko wystraszyć, może chciała zemścić się za te ciągi, które jej sprawił, i dlatego napisała ten idiotyczny liścik. Ale na kryształowej półce toaletki zobaczył biżuterię i to rozwiało wszelkie jego iluzje. Był tam pierścionek, który подарował jej w dniu ich błyskawicznych

zareczyn i brylanty — ślubny prezent od niego. I obrączka. Obok leżał naszyjnik z perok kolczyki z brylantów i rubinów, wszystko rzucone w nieładzie, jak byle błyskotki, jak kawałki szkła bez wartości. Prezenty, warte miliony lirów; którymi obsypał żonę. Wziął obrączkę i zaczął ją obracać w palcach. Eleonora rzeczywiście odeszła ze Smolskym. Taka była prawda.

—Dobrze —wybuchnął Nicola na głos. Jego osłupienie przemieniło się nagle w furję.— Dobrze. Już ja cię załatwię.—Ruszył do swojego pokoju. Już ja się zajmę tym Smolskym — pomyślał. Tym śmierzącym Żydkiem, któremu się zdawało, że może mu zniszczyć życie i zabrać Eleonorę. Pół biedy, jeśli pieprzył jego żonę. z tym swoim wyglądem ogiera, dla którego kobiety wariowały. Ta myśl mogła być nawet podniecająca, dlaczego nie, w głębi duszy Nicolę zawsze bawiła rola zazdrosnego męża. Ale Eleonora była jego, należała wyłącznie do niego, Nicoli. Miała żyć u jego boku. w tym domu, i co wieczór witać go tym swoim uśmiechem podlotka. Biada każdemu, kto spróbowałby mu ją odebrać.

—Już ja cię załatwię —syczał Nicola przez zęby, siadając na brzegu stołu i u pospiechu wykręcając numer Corbiniego. Numer bezpośredni, który znało niewiele osób. ale przede wszystkim on, Nicola Martini. Ręce trzęsły mu się tak, że musiał zaczynać od nowa dwa czy trzy razy. Odetchnął głęboko, kiedy usłyszał sygnał. Wiedział doskonale, że wystarczy jedno jego słowo, by Smolsky został aresztowany. O, fałszywe dowody da się spreparować błyskawicznie. A nic nie ucieszyłoby Corbiniego bardziej, niż możliwość pochwalenia się kolejnym trofeum, kolejnym dowodem swojego mistrzostwa w polowaniu na wywrotowców i szpiegów. To żaden problem, że Smolsky nie interesował się polityką i że guzik z niej rozumiał, sądząc z jego wypowiedzi. Nic nie szkodzi. Porządny donos, oskarżenie o wywrotowe poglądy, albo jeszcze lepiej o szpiegostwo dosięgnie go wszędzie, nawet w Wiedniu. Corbini ma długie ręce, a jego ludzie byli zdolni dopaść go wszędzie, we Włoszech i za granicą. Trzeba tylko wydać im rozkaz.

W słuchawce wciąż popiskiwał sygnał. Czemu ten Corbini nie odbiera? Przecież to telefon na jego biurku.

Nagle odezwał się głos ze środków z włoskim akcentem. Pewnie Damiani.

—Słucham?

—Mów i Nicola Martini. Chciałbym rozmawiać z komisarzem.

Niestety, Corbiniego nie było w biurze. Miał wrócić w ciągu godziny, najpóźniej o dziesiątej. Czy doktor Martini ma coś pilnego do zakomunikowania?

—Tak, bardzo pilnego. Przyjdę osobiście do gabinetu komisarza. Będę punktualnie o dziesiątej. —Nicola huknął ze złością słuchawką o widełki telefonu. O dziesiątej pójdzie do Corbiniego. Powie mu o Smolskym, a Corbini natychmiast rozwiąże ten problem. Nicola może nawet sięgnąć do portfela, by lepiej nasmarować tryby śmiertelnej maszyny, która jeszcze tego wieczoru zostanie puszczona w ruch, by wyeliminować Smolsky'ego. W zaciszu gabinetu położy na biurku Corbiniego sumę wystarczającą, by zniszczyć całą armię, a co dopiero takiego poje-

dynczego gnojka jak Smolsky. Corbini schowa pieniądze do kieszeni i powie „załatwione, doktorze”, słowa, które każdemu zmroziłyby krew w żyłach, ale w uszach Nicoli zabrzmiały jak cudowna muzyka. A za dwa najwyżej trzy dni, sam Corbini odeskortuje Eleonorę do domu. Smolsky będzie wyeliminowany, a Nicolą znów będzie miał żonę u boku, skruszoną i potulną, na zawsze jego. Ta bolesna lekcja nauczy ją raz na zawsze, że on, Nicola Martini, jest człowiekiem, którego potęga dociera wszędzie.

Spojrzał na zegarek. Dziewiąta. Dobrze, pomyślał, pójdę najpierw do Denisa. List od Eleonory podarł na drobne kawałki. Ta sprawa była już załatwiona. Nie musi o tym myśleć i przed wizytą u Corbiniego może spokojnie zajrzeć do chłopaka.

Zbiegł szybko po schodach. Postanowił, że i jemu odpłaci pięknym za nadobne. Tym razem nie skończy się na policzku czy dwóch! Miał ochotę obić go batem. Już on im wszystkim pokaże, gdzie ich miejsce.

Niech sobie nie wyobrażają, że mogą romansować na prawo i lewo, i zostawiać go na lodzie.

U jego boku zjawił się nagle majordomus.

—Nie je pan kolacji, doktorze?

—Nie, wychodzę. Wrócę około wpół do jedenastej, może trochę później.

—Pani...

—Wyszła, wiem. Gdyby ktoś telefonował, proszę coś wymyślić. Proszę mówić, że poszliśmy do teatru albo co pan chce. — Założył palto z futrzanym kołnierzem, które podał mu majordomus.

Kiedy niecały kwadrans później Nicola zastukał w drzwi, Denis otworzył mu bez uśmiechu.

—A, wróciłeś. — Chłopak miał na sobie ciemne obcisłe spodnie i miękką koszulę z cieniutkiego jedwabiu, rozpiętą na piersi.

—Co ty robisz? — zapytał Nicola. Zamknął za sobą drzwi, — Co robisz? Przecież wiedziałeś, że wrócę, prawda? Chcesz wyjść?

—Jestem umówiony — odparł Denis, idąc do salonu. — Na kolację z przyjaciółmi.

—Jeszcze czego! Kolacja! — Nicola roześmiał się ponuro. Pośpiesznie zdjął palto i rzucił je na stół. Poszedł za chłopakiem do salonu. Denis usiadł niedbale w fotelu. Od niechcenia głaszcząc się po piersi pod koszulą, wpatrywał się w Nicolę z błyskiem ironii w swoich pięknych oczach.

—Owszem, kolacja.

—Z kim?

—Z ludźmi, którzy mnie zaprosili na Capri.

—I ty myślisz, że ci na to pozwolę?

—Jechać na Capri? — zażartował chłopak.

—Iść na kolację, idioto!

—Hej, nie tym tonem. Właśnie że pójde na tę kolację. I pojedę na Capri. — Denis wstał. Nicola patrzył na niego surowo, ale chłopaka to nie przerażało. Przechodząc przez pokój, rozpiął koszulę i rzucił ją na podłogę. Przy drzwiach odwrócił lekko głowę w stronę Nicoli i przeczesał palcami czarne loki opadające na czoło.

—Idziesz? — szepnął ze śmiechem. — Kolacja jest o dziesiątej, mam trochę czasu. — W następnej chwili był już nagi.

Nicola nie poruszył się.

—Nie rób takiej wścieklej miny. Właśnie że pójde na tę kolację. I pojedę na Capri. A z tobą teraz też mogę...

—Nie próbuj chwytać dwóch srok za ogon.

Młodzieniec roześmiał się i wrócił do salonu. Przeszedł przed Nicolą leniwym krokiem, podszedł do kominka i wziął papierosa z onyksowej kasetki, stojącej na marmurowej półce.

—Nie jestem twoją własnością — powiedział, wydmuchując dym. — Rozmawialiśmy już o tym po południu.

—Właśnie że jesteś. Zawsze byłeś. I będziesz w dalszym ciągu.

—Jeszcze czego!

Nicola zrobił krok naprzód.

—Może nie wyraziłem się dość jasno...

—Widocznie ja też—odparł spokojnie Denis. — Widocznie ja też, mój drogi. Chcę mieć swobodę i chodzić, gdzie mi się podoba. Kolacje, przyjęcia i tak dalej. Nie chcę dłużej siedzieć w tym więzieniu i czekać na ciebie. Umarłbym chyba z nudów. — Wypuścił kolejną chmurę dymu. — Zrozumiałeś?

Nicola zrobił jeszcze krok.

—Nie będziesz...

—Przestań zgrywać Otella. Jesteś śmieszny. Przyjmij do wiadomości, że pojedę na Capri z kim będę chciał. Ale to — odwrócił się i zgasił papierosa — to oczywiście nie oznacza, że cię zostawię. Będziemy się dalej widywać, ale ja...

—Co, ty? — Denis odwrócił się. Nicola stał o krok od niego. Był szary na twarzy, usta miał wykrzywione z wściekłości. — Ty będziesz robił tylko to, co ja ci każę — warknął.

Denis wybuchnął śmiechem, zupełnie niespieszony.

—Daj spokój, dlaczego nie chcesz zrozumieć? — Pogłaskał się beczelnie po smukłych biodrach. — Tak trudno to pojąć? Po prostu nie wyobrażasz sobie, jaka to będzie przyjemność, kiedy opowiem ci ze szczegółami, co robiłem z innym. — Ale nagle poczuł, jakby jego twarz eksplodowała, tak wściekły był cios, który trafił go w policzek.

Nicola bił dalej, na oślep.

—Masz mnie słuchać — ryczał. — Masz słuchać tylko mnie, mnie, rozumiesz? —I dalej tłukł go jak oszalały.

Ochłonął dopiero, kiedy Denis leżał już na podłodze obok kominka. Jego piękna głowa spoczywała kilka centymetrów od marmurowego stopnia. Ramiona rozrzucone, smukłe opalone ciało rozciągnięte na czerwonym dywanie. Z głowy sączyła się strużka krwi. Wokół martwa cisza.

—Denis... —Nicola padł na kolana. — Chłopcze, na miłość boską. —Wziął jego głowę w dłonie. — Denis. —Siniec na skroni, nieruchome oko pod niedomkniętą powieką, wpółotwarte usta, odrobina krwi.

—Nie rób tak! Chcesz mnie wystraszyć? Musisz zrozumieć, że przestałem nad sobą panować. — Spróbował go podnieść, ale przeraził go nagle ciężar tego ciała! Wyśliznęło mu się z rąk i upadło na dywan z przerażającym odgłosem, jak przewrócone krzesło. Bez życia.

—Denis — rozgorączkowany Nicola przyłożył ucho do piersi chłopaka. Nie usłyszał bicia serca. — Denis — zaszlochał — nie, to nieprawda, powiedz mi, że to nieprawda! — Ale była to prawda. Chłopak uderzył głową o marmurowy kant. Nie żył.

W pokoju przez długi czas słychać było tylko szloch. Z sypialni dobiegło w końcu dwanaście srebrzystych uderzeń: północ. Ale Nicoli. płaczącemu nad nagim ciałem, te godziny wydały się krótką chwilą.

Wyciągnął się obok Denisa, położył z jękiem dłoń na jego alabastrowej twarzy greckiego boga. Obojętnie pomyślał, że dwie godziny temu miał być u Corbiniego, by zadenuncjować Smolsky'go. Pomyślał o Smolskim, o Eleonorze. Nic go już nie obchodzi, nic. Zalkał. To były już tylko wyblakłe cienie. Duchy z przeszłości, które wymazała na zawsze ta nieruchoma twarz.

Nic, nic więcej nie miało znaczenia, skoro na tym świecie nie było już Denisa. I to on, Nicola, sprawił, że ten skarb zniknął na zawsze z powierzchni ziemi.

Z rozpacz powoli tracił zmysły, jego świadomość wyciekała setkami krwawych strumyków w nieskończoną pustkę, którą zostawił po sobie Denis. Głaskał delikatnie głowę chłopca, nie przestając płakać. Zapomniał o całym świecie, a przerażające powolne godziny płynęły jedna za drugą, i miały tak płynąć już zawsze, aż do końca.

## Rozdział 10

---

### *...schwer zu sein ein Nigger...*

Wybałuszając wielkie oczy, które błyskały białą w pomalowanej na czarno twarzy, wydymając wargi, by wyglądać na Murzyna, aktor śpiewał potężnym głosem refren. Głaskał się po peruce z kędzierzawych włosów i odwracał na prawo i lewo do publiczności groteskowymi ruchami mima. Wybuchy śmiechu i brawa zagłuszyły jego słowa, ale aktor z tym większą werwą intonował: *...schwer zu sein ein Nigger...*

Oświetlały go punktowe reflektory, które przebijały ostrzami światła—ciepłe i zadymione powietrze zatłoczonego kabaretu. Do Der lieber Augustin wiedeńscy biegali już od wielu tygodni, by oklaskiwać bez opamiętania najzabawniejsze przedstawienie kabaretowe, jakie w życiu widzieli. Także i tego wieczoru lokal pękał w szwach. Kiedy aktor powtórzył refren po raz trzeci, wiele osób zaczęło śpiewać razem z nim te radosne strofki, które krążyły już po całym Wiedniu.

Eleonora śmiała się razem z innymi. Aktor był przekomiczny.

—Ale nie rozumiem ani słowa... — protestowała, pochylona do ucha Smolsky'ego. — Co on mówi? — Kiedy kilkadziesiąt minut wcześniej szli przez centrum Wiednia do kawiarni Pruckel, Smolsky opowiadał jej o spektaklu *Oh, Du Hebe Weltgeschichte*, w tłumaczeniu mniej więcej: *co O, ty, kochana historio świata, i wyjaśnił, że chodzi o satyrę na rasizm od czasów Adama i Ewy.*

Kiedy weszli, kawiarnia była już pełna. Udało im się znaleźć miejsce na schodach, którymi wchodziło się do kabaretowej piwnicy. Ich stolik stał obok maleńkiej sceny, na której teraz aktor wyśpiewywał z zapalem refren piosenki.

—Aktorzy grający w tym przedstawieniu to sami Żydzi. — Smolsky wziął w obie ręce dłoń Eleonory. — Wszyscy są Żydami i publiczność o tym wie.

— I co?

—Refren mówi „trudno być Murzynem”. Żyd przebiera się za Murzyna, by ośmieszyć rasizm i właśnie przez to wszyscy pękają ze śmiechu!

Niedaleko nich siedział Gumpłowicz ze swoim przyjacielem, Goldsternem. Wybuchy jego ochryplego śmiechu przebijały się przez wszystkie inne śmiechy i brawa. W przerwie przedstawienia zaczął wymachiwać na powitanie do Smolsky'ego i kłaniać się Eleonorze z szelmowskim uśmiechem.

—Kto to taki?

—Bardzo bogaty człowiek. Finansista. I mój stary przyjaciel.

—Też Żyd? — Eleonora potrząsnęła głową. Ta powszechna wesołość była dla niej w gruncie rzeczy kompletnie niezrozumiała. Kiedy Gumpłowicz wstał i ruszył do ich stolika, zapytała szeptem:

—Co ja mu mam powiedzieć?

—O czym?

—Nie wiem... ta satyra na rasizm... dla mnie rasizm jest czymś strasznym, a tutaj... — Ale Gumpłowicz już się przed nią kłaniał.

—Słyszałem mówienie o pani, madame. Byłem pani bardzo ciekawski i muszę powiedzieć, że jest pani o wiele bardziej śliczniejsza, niż sobie wymyśliłem — powiedział mozolną, dziwną włoszczyzną. Usiadł przy ich stoliku i zaczął kiwać energicznie na Goldsterna. — Chodź tu do nas —zawołał. Zamówił napoje dla wszystkich.

— Nina mi o pani mówiła — ciągnął, wlepiając oczy w twarz Eleonory, jakby chciał sprawdzić autentyczność jakiegoś drogiego obrazu. —Nina, pamięta pani?

Eleonora pamiętała. Tego samego wieczoru, kiedy przyjechali do Wiednia, poszli na kolację do restauracji. Od stolika na końcu sali wstała piękna brunetka i podeszła do nich. Pocałowała Smolsky'ego w policzek, ściskając go za ramię. Zmierzyła Eleonorę od stóp do głów wrogim spojrzeniem czarnych oczu.

—Chciałem bardzo, żeby moja wnuczka wyszła za Jaro, prawda, Jaro? —Z ciężkim westchnieniem Gumpłowicz zwrócił się znów do Eleonory.

—Ale wyszło całkiem inaczej. Pani wiedziała, że Nina i Jaro byli praktycznie...



Eleonora pokręciła głową. Nie, nie wiedziała. Ale domyśliła się.

—Ach, Jaro jest dżentelmen, nie robi plotek — zarechotał Gumpłowicz. — Ale niech pani nie będzie zazdrosna. Widzi się z kilometra, że pan psychoanalityk żyje już tylko dla pani, madame!

Eleonora spojrzała w oczy Smolsky'ego, żarliwe i pełne uczucia.

Ogarnęło ją takie ciepło, takie poczucie bliskości i taka radość — pewność, że jest kochana — że serce zabiło jej mocniej. I po raz kolejny, od kiedy uciekła z domu Nicoli Martiniego, po raz kolejny stwierdziła z przekonaniem, że zostawiając na zawsze to wszystko, zrobiła najmądrzejszą rzecz w życiu.

Gumpłowicz zamówił szampana i teraz napełniał kieliszki z tak radosnym zapałem, że przelewała się z nich piana. Podniósł swój kieliszek i kiwnął nim Eleonorze, Smolsky emu i Golsdsternowi.

—Za naszą przyszłość — powiedział, poważniejąc nagle. — Za Austrię!

—To ona? Ta blondynka w szarej sukience? — Kristenfeld odwrócił się w stronę Eleonory. —Ta piękna dziewczyna?

—Tak.

—No proszę, nigdy bym nie pomyślał, że pan, profesorze Smolsky, wróci z Włoch z takim klejnotem. Kiedy mi pan o tym mówił parę dni temu, nie chciałem uwierzyć, ale teraz, kiedy widzę na własne oczy...

Żona Nicoli Martiniego.

Kristenfeld i Smolsky stali w kącie kawiarni, gdzie spotkali się krótko po spektaklu. Siedząca w oddalonej części sali Eleonora przyglądała się, jak Smolsky rozmawia z tym jegomościem w średnim wieku z podkrążonymi oczami, z którym przywitał się serdecznie na szczycie schodów kabaretu. Cały wieczór patrzyła, jak rozmawia ze starymi przyjaciółmi, od czasu do czasu odwracając się do niej z uśmiechem.

Grupki ludzi wokoło rozmawiały z ożywieniem po niemiecku, w języku, z którego Eleonora nie rozumiała ani słowa. Smolsky opowiadał jej, że w tej kawiarni — podobnie zresztą, jak we wszystkich innych kawiarniach Wiednia — spotykali się intelektualiści, artyści i politycy.

Tu toczyło się życie kulturalne i polityczne dawnej stolicy imperium.

Z niezrozumiałych dźwięków, które docierały do jej uszu, na próżno starała się wyłowić cokolwiek, co odpowiadałoby jej wyobrażeniom na temat wiedeńskich kawiarni. Słyszała jednak



bez przerwy te same nazwiska, te same dźwięki, twarde i szeleszczące, jak „*Schuschnigg*”, „*Hitler*”, „*nazi*”. Z podnieconych rozmów nie była w stanie zrozumieć nic innego.

Kristenfeld wydmuchał hałaśliwie nos i złożył starannie granatową chusteczkę z maleńkimi złotymi inicjałami w rogu.

—Muszę przyznać — powiedział, nie spuszczać oka z Eleonory muszę przyznać... wspomniała przykrywka.

—Przykrywka? — Smolsky potrząsnął głową. — Nie rozumiem.

—Proszę pomyśleć; znika pan z Mediolanu z dnia na dzień, rezygnuje z wszelkich obowiązków zawodowych we Włoszech. A każdemu, kto dziwiłby się pańskiemu nagłemu zniknięciu, od razu przyjdzie do głowy romantyczna ucieczka z żoną wielkiego przemysłowca. Najlepsze usprawiedliwienie, by ukryć zupełnie inne powody natury, powiedzmy, politycznej?— skończył Kristenfeld szeptem. — Tak czy inaczej, dziewczyna jest czarująca. To chyba nie jest zbyt bolesne wyrzeczenie, mieć ją u boku.

—Ani trochę, panie Kristenfeld — roześmiał się Smolsky.

—Dzisiaj wyjeżdżam. Wracam do Berlina i zostanę tam przez jakiś czas. Potem jadę do Londynu. Gdyby pan chciał...

—Nie, ja zostaję — odparł Smolsky.

—Na co wy, Austriacy, macie jeszcze nadzieję? Sam wasz minister spraw zagranicznych, Seyss—Inquart, jeździ po prowincjach, w Grazu i Linzu witają go tysiące ludzi. Pięćdziesięciotysięczny tłum oklaskiwał jego ostatnie przemówienie, krzyżąc Heil Hitler. Wie pan? Z faszystowskim salutem.

Smolsky skinął w milczeniu głową.

—Seyss popycha Austrię w ramiona Niemiec na oczach waszego Kanclerza Schuschnigga. Widział pan na ulicach ludzi z nazistowskimi odznakami w klapie? Formalnie są zakazane, a jednak... Niech mi pan wierzy, to są wyraźne symptomy, że sytuacja jest już...

—Nigdzie nie jadę, Kristenfeld. Nie uważam, żeby to miało sens.

—Uratował się pan przed Corbinim i chce się pan dać zabić nazistom? — Panujący na sali gwar zagłuszał ich cichą rozmowę. — Chce pan ryzykować, że...

—Po prostu nie mam ochoty wyjeżdżać, przynajmniej na razie — odparł spokojnie Smolsky.

—No dobrze, jak pan uważa. Ale w razie czego... — Kristenfeld wyjął z kieszeni paczkę papierosów.— W razie czego wie pan, jak mnie znaleźć. Nie mówię, że w Berlinie, bo

oczywiście nie doradzam panu wyjazdu do Niemiec, ale w Londynie. Wynoszę się tam pod koniec miesiąca. Byłoby mi bardzo miło pana zobaczyć i znów móc z panem pracować. — Wyciągnął paczkę w jego stronę. — Są trochę za lekkie, ale powinny panu smakować.

—Ach tak? — uśmiechnął się Smolsky, chowając paczkę do kieszeni.

—I co dalej?

—Na wewnętrznej stronie pudełka znajdzie pan adres. Proszę go sobie dobrze zapisać w tej pańskiej twardej głowie. Proszę się go nauczyć na pamięć. Gdyby przypadkiem znalazł się pan w kłopotach, będzie pan wiedział, do kogo zwrócić się o pomoc. Szkoda by było, gdybyście pan i pańska blondyneczka mieli zostać rozdzieleni na zawsze przez czterech kryminalistów w brunatnych koszulach. — Kristenfeld odwrócił się i odszedł, unosząc rękę na pożegnanie. Ale spojrzenie, które rzucił Smolsky'emu od drzwi kawiarni, było poważne i niespokojne.

Smolsky i Eleonora wrócili do domu pieszo. Szli szybko, trzymając się pod ręce. Po ulicach zasypanych ulotkami spacerowało sporo ludzi. Miasto było dziwnie ożywione, jak na tę późną godzinę. Ludzie stali grupkami, dyskutując, od czasu do czasu pod rozgwieżdżone niebo wznosiły się okrzyki i głośnie śmiechy.

—Wyjaśnij mi wreszcie? — zapytała cicho Eleonora, gdy leżała skulona, z głową na ramieniu Smolsky'ego. — Wyjaśnij mi nareszcie, co się dzieje?

W nocy zerwał się wiatr i teraz tłuki w okno sypialni.

—Słyszysz? — mruknął Smolsky, głaszcząc rękę, którą go obejmowała. —Słyszysz? To wiatr z zachodu, od Alp. Ciepły wiatr. Przynosi wiosnę.—Szum sosen w ogrodzie wzmógł się jeszcze bardziej.

—Chcę, żebyś mi powiedział, co mówili ludzie w kawiarni, po przedstawieniu, twój przyjaciele i ludzie na ulicy.

—Mówią o plebiscycie. Kanclerz Schuschnigg zapowiedział na niedzielę plebiscyt.

—Na niedzielę?

—Za trzy dni. To coś w rodzaju wyzwania dla Hitlera. W niedzielę wszyscy Austriacy pobiegą do urn i cały świat dowie się, czy są za wolną i niepodległą Austrią, czy nie. Innymi słowy, czy są za, czy przeciw...

—...inwazji Niemców na Austrię?

—Tak.

—I Kanclerz jest pewien zwycięstwa?

—Tak. I że w ten sposób zdoła utrzymać Hitlera z daleka od naszych granic. Zresztą większość społeczeństwa stoi po stronie kanclerza. A Hitler, stając w obliczu woli całego narodu, będzie miał związane ręce. Wtedy nie będzie mógł rozkazać oddziałom, by wkroczyły do Austrii.

—Ale Hitler... — Eleonora oparła się na łokciu, by spojrzeć Smolsky'emu w twarz. — Ty naprawdę wierzysz, że Hitler będzie spokojnie patrzył w niedzielę, jak Austriacy głosują, i nie...

Smolsky westchnął.

—Mówi się, że Hitler dostał prawdziwego, nieopanowanego ataku furii, kiedy się dowiedział, że nasz Kanclerz zapowiedział plebiscyt.

—I co?

—Cóż, mówi się też, że wydał rozkaz zgrupowania swojej armii wzdłuż austriackiej granicy.

Eleonora nie odpowiedziała. Oparła się z powrotem o jego ramię.

Długo w milczeniu słuchali wiatru, który szeptał i szumiał w ciemnościach. Zegar w jadalni wybił drugą.

—Nie możesz spać?

—Nie — szepnęła Eleonora, — Coś się stanie.

Smolsky nie odpowiedział.

—Nie wierzę, żeby...

—Nic ci nie da, jeśli będziesz się dręczyła — odparł, obejmując ją mocniej. Leżeli nadzy w wąskim kawalerskim łóżku.

— Ale dokąd pójdziemy, jeśli... — nie dokończyła.

Kiedy Smolsky zgasił lampę i ciemność spowiła pokój, szepnęła jeszcze:

—Myślisz, że wszystko będzie dobrze? Czy stanie się coś strasznego?

—Wszystko będzie dobrze — odparł Smolsky. — A przynajmniej mam taką nadzieję. — Zasnęli, objęci.

Nie spali jednak długo. Świt jedenastego marca 1938 roku rozjaśnił bezchmurne wiedeńskie niebo, wymiecione do czysta wiosennym wiatrem. Białe światło powoli wkradło się do pokoju, ale słońce nie wzeszło jeszcze, kiedy Smolsky otworzył oczy. Ujrzał Eleonorę stojącą przy uchylonym oknie. Okryta zasłoną wyglądała na dwór. Przyglądał jej się długo, jak ktoś, kto rozkoszuje się widokiem własnego raj.

—Eleonoro... — Jej obecność w tym pokoju wydawała mu się niepowtarzalnym darem losu.

—Tak? — Nie odwróciła się. Otworzyła szerzej okno i pokój owionęło świeże powietrze. W ogrodzie słychać było nieprzerwany chórally szczebiot ptaków wyśpiewujących na całe gardło.

—Słyszysz je? — zapytała Eleonora. — Siedzą wokół fontanny. Na tych drzewkach, za ławką.

—Na lagerstroemiach?

—Tak, wypuściły już pączki przez tych kilka dni. Kiedy przyjechałam do Wiednia, jeszcze nie było tych zielonych listeczków, a teraz... — Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, odgarniając z twarzy kosmyki włosów.

—Chodź tu. — Smolsky wyciągnął ramiona. — Chodź tu.

Eleonora opuściła zasłonę. Była naga, jej pełne ciało różowiło się w blasku poranka. Podeszła do niego powoli, kołysząc lekko biodrami i niedbale osłaniając piersi dłonią.

—Jesteś taka piękna — zamruczał Smolsky. Eleonora stanęła obok niego. Pochyliła się, odkrywając piersi i wpatrując się w jego twarz. Zamknęła oczy dopiero, kiedy poczuła dotyk jego dłoni. Osunęła się powoli na łóżko, w ramiona Smolsky'ego, poddając się jego płomiennym pocałunkom i pieścizotom, gwałtownej, a jednocześnie tak czulej miłości.

Promień słońca przeciął pokój i namalował na piersi Eleonory złotą plamę, kiedy leżała na plecach, wsłuchana w coraz spokojniejsze pulsowanie swojej krwi.

—Poczekaj tutaj — powiedział Smolsky, wstając. Usłyszała, że wyszedł. Jego kroki ucichły na końcu korytarza. Wrócił po chwili. Eleonora uchyliła powieki i zobaczyła go u stóp łóżka.

—Zagram ci kawałek Debussy'ego. *Syrinx*, dobrze? — Uniósł flet do warg.

Pierwszy raz Eleonora słyszała, jak gra. Słuchała muzyki rozplywającej się w powietrzu. Mężczyzna, wpatrując się w nią czarnymi oczami, grał na flecie z tą samą pełną pasji delikatnością, z jaką jeszcze niedawno kochał ją, doprowadzając do rozkoszy.

— Kocham cię najbardziej na świecie — szepnęła, kiedy zgasła ostatnia nuta. — Nawet nie wiesz, jak bardzo. W salonie z wykuszami Helena podała śniadanie na stoliku przy

oknie. Popijając mleko, Eleonora oglądała jeden po drugim kwiaty Smolsky'ego, o których tyle razy jej opowiadał.

—Podobają ci się? — zapytał. — Są wspaniałe, tak jak ci opowiadałem, prawda?

—Obawiam się, że twój *Ficus benjamina* jest w nie najlepszej kondycji — odparła. — Nie widzisz? Coś mu się stało?

—Ależ nic! — zaprotestował Smolsky. — To tylko parę listeczków, które... Moje rośliny nie usychają, to niemożliwe! — Zmartwiony i przejęty spojrział na doniczki. Światło słonecznego poranka zalewało pokój, a kiedy drzwi się otworzyły, firanki wyduły się w przeciagu niczym wielkie żagle.

Helena weszła szybkim krokiem i postawiła na stole kawę, uśmiechając się do Eleonory i rzucając jej rozbawione, lekko zbulwersowane spojrzenie, które rezerwowała wyłącznie dla niej. Było to spojrzenie, na jakie surowa gosposia może sobie pozwolić wobec kochanki, nigdy wobec żony. Dziwna mieszanka współnictwa i łaskawej tolerancji.

—Profesorze. — Helena spoważniała i stanęła obok stołu. Po chwili Smolsky uniósł wzrok znad fikusa.

—O co chodzi, Heleno?

—Widziałam dziś rano w katedrze naszego Kanclerza Schuschnigga. Na mszy o szóstej. Widziałam, jak modlił się długo przed obrazem Naszej Pani od Nieustającej Pomocy.

—O szóstej?

—Potem widzieliśmy, jak wyszedł w pośpiechu i ruszył w kierunku swojego biura na Ballhaus. A wie pan, co słyszałam, kiedy zatrzymałam się u gazeciarza, tego przy wejściu do metra na placu Karola?

—Co takiego?

—Wygląda na to, że Niemcy zamknęli granicę na Salzach i od dzisiejszego ranka wszelkie połączenia między Austrią i Niemcami są przerwane.

—Co takiego? — mruknął Smolsky. — Przerwane?

Nagle ciszę zakłócił warkot dwóch samolotów. Helena podeszła do okna i otworzyła je szeroko.

—Zrzucają ulotki... — powiedziała, patrząc w niebo. — Pewnie o tym niedzielnym plebiscycie. Oczywiście zagłosujemy wszyscy za niepodległą Austrią, ale i tak robią propagandę. Wszystkie ulice są pełne ulotek propagandowych, sana murach, na chodnikach. Ale piękne słońce, prawda? Wiosna przyszła.

—Co ona powiedziała? — Zapytała Eleonora półgłosem, gdy Helena wyszła z jadalni. Smolsky przetłumaczył jej ze zmarszczonymi brwiami słowa gosposi.

—Muszę się pośpieszyć — dodał, patrząc na zegar. — Za dziesięć minut przychodzi pierwsza pacjentka.

—Poczekaj — powiedziała, patrząc na niego z niepokojem.

Smolsky wypił kawę i odstawił filiżankę.

—Mam dzisiaj tylko dwoje pacjentów, a resztę dnia będziemy mogli spędzić razem.

Nina zadzwoniła około jedenastej, ledwie pani Brigitte Nepper wyszła z gabinetu.

—Słyszałeś? — zapytała przejęta.

—O granicach?

—A, ty ciągle przeżywasz tę informację? Więc nie wiesz o całej reszcie.

—A co się jeszcze stało?

—Seyss—Inquart pojechał dziś rano na lotnisko powitać tego drugiego nazistowskiego ministra, tego Glaise—Hartenaua, który przyjechał z Berlina ze świeżutkimi rozkazami od Hitlera.

—To znaczy?

—Tych dwóch łajdaków poszło do Schuschnigga i kazali mu natychmiast odwołać plebiscyt. Odwołać, wyobrażasz sobie?! Hitler chce, żeby anulować plebiscyt. Jest po prostu wściekły na kanclerza.

—A Schuschnigg?

—Konsultuje się z innymi. Zdaje się, że w kancelarii panuje kompletny chaos. A poza tym dzwoniła do mnie dzisiaj przyjaciółka z Berlina. Niemieckie gazety są pełne nieprawdopodobnych informacji na temat Austrii, jakichś bezczelnych nieprzyzwoitych kłamstw!

—Jakich? — Smolsky zmusił się do uśmiechu, kiedy w drzwiach stanęła Eleonora.

—Prawie wszystkie niemieckie gazety — ciągnęła dalej oburzona Nina — twierdzą, że cały Wiedeń jest obwieszony flagami z sierpem i młotem. Wyobraź sobie! Według prasy nazistowskiej wszyscy wiedeńczycy wykrzykują „niech żyje Marks" i „wivat Moskwa". Ogólnie rzecz biorąc, zamienili się w bolszewików, a wspaniali dziennikarze niemieccy między wierszami dają do zrozumienia, że potrzebna będzie interwencja Hitlera, by zdusić w Austrii komunizm. Rozumiesz? Teraz mają już nawet dobrą wymówkę, żeby nas wszvstkich wybrć. Dziadek jest wściekły.

—Wyobrażam sobie. — Smolsky chwycił dłoń Eleonory i przytulił do policzka.

—Może przyjdiesz do nas na obiad? Przyprowadź też tę swoją blondynkę. —Głos Niny brzmiał cierpko. — Piękna. I pewnie zakochana w tobie na zabój, prawda?

—Owszem — odparł Smolsky.

—To jak, przyjdiesz na obiad?

—Tak.

—Powiedz, bardzo ją kochasz?

—Tak — odparł Smolsky.

—Idź do diabła. — wykrzyknęła Nina. — No to czekam na was. O pierwszej, u dziadka.

Dzień był naprawdę wspaniały. Wiedeń ogrzewało ciepłe wiosenne słońce, a w jasnym świetle, pod bezchmurnym błękitnym niebem miasto wydawało się jeszcze piękniejsze niż zwykle, z kościołami i pałacami, z fontannami, z których tryskały wysokie tęczowe strumienie, z parkami i ogrodami, które przedwczesna wiosna okryła już zielonymi pączkami. Ciepły wiatr, który roztopiał śniegi w górach, unosił w powietrze i bawił się ulotkami propagandowymi o plebiscycie, które pokrywały ulice. Na niebie kłębiły się kolejne ulotki, które rozsypywały nad miastem samoloty armii austriackiej.

Eleonora i Smolsky szli zatłoczoną Kartnerstrasse. Ulicami maszerowały grupki i całe kolumny rozśpiewanych ludzi, niosących czerwono—biało—czerwone transparenty i wykrzykujących niepodległościowe hasła. Z kawiarni i restauracji, z podkreślonych na cały regulator aparatów radiowych dolatywały na chodniki fale muzyki — walców i patriotycznych marszów. Wiedeń ogarnięty świątecznym nastrojem, podniecony, radosny, wręcz euforyczny, wyglądał jakby przygotowywał się do wielkiego festynu, jakby niedzielny plebiscyt miał być radosnym wydarzeniem. „Zjednoczeni wokół Kanclerza zagłosujemy wszyscy «tak», nacjonałiści, lewica i monarchiści, chłopci i wielkie miasta. Austria będzie wolna, jak była zawsze!” — wrzeszczał jakiś człowieczek, stojąc w odkrytym samochodzie i powiewając austriacką flagą. Pod arkadami opery zamiast dorożek stały jeden koło drugiego samochody policyjne, i naprzeciwko, w oknie niemieckiego biura podróży, Eleonora zobaczyła ogromny portret Hitlera, który ludzie mijali obojętnie, wchodząc do i tak już zatłoczonych lokali.

Eleonora i Smolsky krążyli od jednej kawiarni do drugiej. Ona trzymała go kurczowo pod ramię, a on tłumaczył jej w pośpiechu wiadomości, zdania, informacje zasłyszane od przechodniów, przyjaciół, kolegów i znajomych, którzy witali się z nim i komentowali sytuację.

—Ależ oczywiście, plebiscyt się odbędzie i pójdzie bardzo dobrze.

My, Austriacy, nie chcemy Niemców w naszym domu i Hitler będzie musiał spuścić z tonu!

—Myślisz, że będą zamieszki? — pytała piękna, ekstrawagancko ubrana dziewczyna. Smolsky szepnął Eleonorze, że to malarka i to dość sławna.

—Zamieszki? Ależ skąd! Wszystko się rozegra w spokoju!



—Na ulicach nie widać już nazistów, z wyjątkiem tych paru niedobitków, którzy wytlukli okna organizacji monarchistycznej! — oświadczył jakiś człowiek z rudymi wąsami i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Kawiarnia Landtmana pękała w szwach.

—A jednak policja rozpędziła pochód robotników i to dość brutalnie— wtrąciła malarka. — Zwariować można. Atakować robotników! i pomyśleć, że zdecydowali się poprzeć Schuschnigga! Przecież to on cztery lata temu jako minister sprawiedliwości podpisał wyroki śmierci na przywódców ruchu robotniczego, których osądzono jako rebeliantów.

—Zgadza się — potwierdził wysoki młodzieniec, palący grube cygaro. — Ale cztery lata temu to cztery lata temu, a dziś to dziś! Robotnicy wolą Schuschnigga od Hitlera i dlatego...

—Tak czy inaczej plebiscyt się odbędzie. Nie chcemy Hitlera!

Malarka uniosła kieliszek.

—Austria będzie wolna!

Ale w domu Gumpłowitza, przy zastawionym bufecie, rozmawiało się tylko o rozkazie wydanym kanclerzowi przez Hitlera.

—...odwołać natychmiast plebiscyt — wrzeszczał Gumpłowitz — a co my jesteśmy, jego niewolnicy?

Telefon dzwonił bez przerwy i co chwila przychodził ktoś z najnowszymi wieściami o tym, co się dzieje w kancelarii, w której Schuschnigg siedział od wielu godzin na naradzie z Seyss—Inquartem, nazistowskim ministrem spraw wewnętrznych. Wyglądało na to, że jednak nie zechce usłuchać Hitlera, że plebiscyt się odbędzie!

— Ale dzisiaj nie jest tak, jak w 1866 — Gumpłowitz wychodził z siebie, jego głos zagłuszał wszystkich innych. — Wtedy Austriacy ruszyli przeciwko Niemcom, przeciwko armii pruskiej, która pobiła nas pod Sadową. Wtedy wszyscy się bili, a dzisiaj nie! Gdyby Hitler rozkazał swojej armii wkroczyć do Austrii, nie wierzę, by naród się zbuntował. Tu są sami naziści! Nina próbowała go uspokoić i wyjąć mu z dłoni kieliszek. Kiedy kamerdynerzy zaczęli podawać alkohole, przysłała wiadomość, że naziści nie pokazują się już w mieście, bo zebrali się w lasach wokół Wiednia, uzbrojeni po zęby i z zapasami żywności na trzy dni. Ktoś włączył gorączkowo radio, ale z głośnika buchały tylko walce Straussa.

—To istny dcmce nwcabre — powtarzał w kółko Gumpłowitz. Kiedy przysła Carlotta z narzeczonym i oświadczyła, że policja rozproszyła grupkę nazistów na placu Karola i że wszędzie panuje spokój, Nina wyrwała kolejny pełny kieliszek z rąk staruszka, krzyząc mu w twarz:

—Widziałeś, ty puszczyku, właśnie że wszystko będzie dobrze i będziemy dalej żyć w Wiedniu, szczęśliwi i zadowoleni. A teraz przestań już pić.



Potem, kiedy Eleonora ze Smolskim mieli już wyjść, Nina zatrzymała ich w progu jadalni.

—Zazdroszczę ci, wiesz? — powiedziała do Eleonory po francusku. Lustrując ją z rezygnacją od stóp do głów, wykrzywiła wargi, jakby chciała powiedzieć: „ciekawe, co takiego masz, czego ja nie mam”. Ale tylko uśmiechnęła się z wysiłkiem, spojrzała na Smolsky'ego i znów na Eleonorę. Przywołała do siebie Sanderę i uwiesiła się na jego ramieniu.

—Nie bój się, ja też się doskonale urządziłam — powiedziała ostro do Eleonory, niemal ze złością. Ale uśmiech, który posłała Sanderowi, był ciepły i czuły.

Korytarzem przybiegł jakiś człowiek. Wpadł do sali, odpychając Ninę i Eleonorę. Rozejrzał się. Nagle zapadła cisza.

—Przyjacielu — wybełkotał, wpatrując się w Gumpłowitza, który stał oparty o stół — przyjacielu, dowiedziałem się przed chwilą... nasz kanclerz ustąpił. Ustąpił Hitlerowi. Uśluchał rozkazów Hitlera... plebiscyt, który miał zapewnić Austrii wolność i niepodległość, nie odbędzie się. Kanclerz go odwołał.

Smolsky w pośpiechu odprowadził Eleonorę do domu, po czym pobiegł na uniwersytet. Odbywała się tam konferencja w Instytucie Medycyny. Nikt tam jeszcze nie wiedział o odwołanym plebiscytcie. Smolsky przekazał nowinę, ale go uciszono. Kto, do diabła, rozsiewa fałszywe informacje, obliczone tylko na to, żeby wystraszyć ludzi?

Około szóstej Smolsky wsiadł do metra, by wrócić do domu. Kiedy wysiadł na stacji na placu Karola, otoczył go rozwrzeszczany tłum. Tysiące nazistów wyległo na ulicę. Biegając i krzycząc, porwali go ze sobą tak samo, jak wielu innych przechodniów i powlekli wzdłuż Ringu, aż do opery, pod witrynę niemieckiego biura podróży, gdzie ogromną fotografię Hitlera udekorowano kwiatami. Krzyki były ogłuszające. Smolsky'ego otoczyły twarze z otwartymi do krzyku ustami i ramiona wyciągnięte w nazistowskim salucie. „Sieg Heill Sieg Heill Schuschnigg na szubienicę. Heil Wokr! Sieg Heill.

A policjanci patrzyli i uśmiechali się. Ściśnięty między ludźmi Smolsky nie był w stanie się uwolnić. Ktoś obok niego krzyknął wysokim histerycznym głosem: — Plebiscytu nie będzie'.

— Nie będzie plebiscytu... — Jakiś starzec w tyrolskim stroju uwiesił się na ramieniu Smolsky'ego i patrzył na niego czerwonymi oczami. —Nie będzie plebiscytu, bo jak nie, to niemiecka armia wkroczy do Austrii! Nasz Kanclerz musiał się wreszcie ugiąć.

Smolsky zaczął się rozpychać, by uwolnić się wreszcie z tej wrzeszczącej tłuszczy. Ledwie dotarł do domu, zdenerwowana Eleonora wybiegła mu na spotkanie.

—To okropne tak nic nie rozumieć. Co się dzieje?

Natychmiast wrócili do Gumpłowitza. Zastali wszystkich w jadalni wokół radia. Właśnie nadana została informacja o odwołaniu plebiscytu, a chwilę później ktoś przyniósł wiadomość, że

Hitler rozkazał kanclerzowi złożyć natychmiastową dymisję i oddać stanowisko Seyss—Inquartovvi.

—To jeszcze nie wszystko. — Gumpłowicz był bliski łez. — Hitler życzy sobie dostać od rządu austriackiego telegram, w którym będzie napisane, że Austrię ogarnęła fala zamieszek i żeby Fuhrer z łaski swojej przysłał swoje oddziały, by je uciszyć. Rozumiecie, czego ta świnia chce? Z takim telegramem w ręce będzie mógł usprawiedliwić swoją napaść na Austrię przed Niemcami i przed resztą narodów świata.

Radio znów nadawało walce. Kiedy zadzwonił telefon, odebrała Nina. Wszyscy zobaczyli, że blednie. Po chwili odłożyła powoli słuchawkę.

—Naziści wrywają bruk w Graben i rozbijają witryny antykwariatów. Tych, które są własnością Żydów. Sklep Carlotty został zdemolowany, tłum wokół wrzeszczy i klaszcze z radości. Carlocie udało się uciec tylnym wejściem. Teraz jest u siebie w domu, kompletnie wytrącona z równowagi.

Nagle walc w radiu ucichł.

— Uwaga, uwaga... — odezwał się głos. Eleonora siedziała na kanapie pod ścianą, sama zaciskając ręce na podolku. Smolsky podszedł do niej i otoczył ramieniem. Kiedy przejęty głos kanclerza Austrii rozległ się w sali. Smolsky zaczął półgłosem tłumaczyć Eleonorze jego przemówienie, zdanie po zdaniu:

— ...oświadczam przed całym światem, że rozpowszechniane przez źródła niemieckie informacje o rzekomych zamieszkach spowodowanych przez robotników, o rzekomych rzekach krwi, to zwykłe kłamstwa... Ulegliśmy w obliczu siły... Wydaliśmy naszym oddziałom rozkaz, by nie stawiać oporu. Żegnaj więc naród austriacki. Niech Bóg chroni Austrię! — Głos zamilkł. Rozległ się hymn austriacki. Ktoś zaczął płakać.

Smolsky pożyczył od Niny samochód i pojechał z Eleonorą na Grinzing odwiedzić matkę. Miał wrócić do domu Gumpłowiczów po kolacji, by wysłuchać najnowszych wiadomości.

— Kanclerz Schuschnigg podał się do dymisji. Jeszcze tego wieczoru został nominowany nowy nazistowski rząd, według precyzyjnych wskazówek Hitlera. Czekali jeszcze tylko na podpis prezydenta Miklasa. — Gumpłowicz westchnął i mówił dalej: — Dowiedziałem się też, że na ulice Wiednia wylewają się tłumy. Wszyscy śpiewają hymny nazistowskie, na rękawach policjantów są już przyszyte swastyki. Naziści zajęli plac przed Kancelarią. Jakiś dzieciak wspiął się na fasadę z pomocą chłopców w brunatnych koszulach. Chwilę potem na balkonie kancelarii

powiewała już flaga austriacka z ogromną swastyką pośrodku. Podobno aplauz na placu był ogłuszający.

Gumplowitz zamilkł. Po chwili odchrząknął i drżącym głosem, jakby miał za chwilę wybuchnąć płaczem, powiedział:

—O wpół do dziewiątej wieczorem Hitler rozkazał swoim oddziałom, zgromadzonym na granicy, by wkroczyły do Austrii! — Głos mu się załamał. Spojrzał na Ninę, kręcąc głową. — Naziści, moja mała, zdajesz sobie sprawę? — Po chwili dodał: — A niedawno dostałem telefon, że o północy dziedziniec kancelarii był już obstawiony przez SS. I że prezydent Miklas zdecydował się złożyć podpis i przyjąć rząd nazistowski, zaproponowany przez nowego kanclerza, Seyss—Inquarta.

Gumplowitz wstał i włączył radio. Właśnie podawano skład nowego rządu.

—Finisch Austriae! — wykrzyknął staruszek. I wyłączył odbiornik.

Przez długą chwilę słychać było tylko wiatr za oknem.

—Wielu przyjaciół Schuschnigga zdążyło uciec. Z.ernatto. szef frontu Ludowego, już po południu spakował manatki i właśnie jedzie do Szwajcarii. — Gumplowitz mówił cicho, nalewając wino do kieliszków na tacy.

W salonie, oprócz Smolsky'ego i Eleonory było w sumie jakieś dziesięć osób. — Przygotowują się do wyjazdu — westchnął Gumplowitz. — Czeskiej węgierskiej przejścia graniczne są już kompletnie zapchane. Kiedy tylko ludzie dowiedzieli się, że niemieckie oddziały wkraczą do Austrii, hajda! Monarchiści, Żydzi, katolicy, członkowie frontu patriotycznego, lewicowcy, wszyscy zwiewają. I dobrze robią. Ja jadę jutro rano!

Nikt się nie odezwał.

— Jesteście idiotami, jeśli chcecie zostać — mruknął Gumplowitz.

— Nastąpiła długa chwila ciszy. Zegar z pozytywką na marmurowym kominku wydzwonił nagle wesołą melodyjkę i wybił drugą. Na dworze, w nocnych ciemnościach, wiatr szarpał coraz mocniej sosnami przed domem.

—Dlaczego zostajecie? Chcecie zrobić jak nasz były kanclerz? Przyjaciele namawiali go do ucieczki, ale Schuschnigg odmawia, twierdzi, że nie zrobił nic złego, że nie jest kryminalistą, żeby musieć uciekać.

—Jutro go aresztują, zobaczycie!

—To jest mój dom i ja zostaję — powiedziała Nina. — I nawet jeśli do kraju wkraczą Niemcy, ciągle jesteśmy w Austrii, a nie w Niemczech.

Sander patrzył na nią, kręcąc głową, ale nic nie powiedział.

—A ja pojedę z tobą — oznajmił Goldstern, wyciągając do Gumpłowitza pusty kieliszek, by ten mu go napełnił.

—Z tobą porozmawiam później — zapowiedział Gumpłowitz Ninie. Zwrócił się do Smolsky'ego: — Jeśli chodzi o ciebie, to rób, co ci siępodoba, ale niedawno dzwoniła do mnie twoja matka.

—Wiem — przytaknął Smolsky. — Ja też z nią rozmawiałem. Jutro rano pojedzie z wami do Londynu.

—W takim razie spotkamy się o szóstej na lotnisku Aspern — mruknąłGumpłowitz, wstając z fotela. — A teraz wszyscy sio. I nawet się z waminie żegnam. Jesteście idiotami, że zostajecie. Nie chcę o was więcej słyszeć! — Głos odmówił mu posłuszeństwa. Staruszek wyszedł pośpiesznie z pokoju.

Było już po trzeciej, kiedy Smolsky i Eleonora dotarli do domu. Usiedli blisko siebie na kanapie w salonie. Eleonora objęła Smolsky'ego opierając głowę o jego ramię.

—Odwieziesz rano swoją matkę na lotnisko?

—To już za kilka godzin.

—Chcesz, żebym z tobą pojechała?

— Nie. Matka jest wytrącona z równowagi. Nie chcę, żebyś... Będzie płakała, zrobi rozzwierającą scenę. Wolałbym, żebyś zaczekaław domu.

— Jaro...

—Tak?

— Kocham cię. Cokolwiek postanowisz.

Nie pytała go, dlaczego chce zostać w Wiedniu. Zrozumiała już, że jest podobny do tylu innych wiedeńczyków. Po prostu nie potrafił opuścić miasta, w którym się urodził i mieszkał.

Nie kładli się tej nocy. Siedzieli objęci na kanapie, milcząc w słabym świetle lampy. Na fotelu na wprost nich leżała zwinięta w kłębek kotka. Chwilami uchylała powieki i zielonymi drapieżnymi szparkami oczu wpatrywała się w Eleonorę, jakby fantazjowała, że za chwilę rzuci się na nią i schrupie w mgnieniu oka.

Drzewa w ogrodzie szumiały na wietrze, od czasu do czasu odzywał się jęklwym głosem jakiś nocny ptak.

—Jeszcze dziś rano Wiedeń wyglądał jak świętujące miasto — powiedziała Eleonora cicho —a teraz czekamy na nazistów.

Położyła się na boku i skuliła przytulona do Smolsky'ego.

—Hitler przyjedzie do Wiednia?

—Pewnie tak.

—Nie boisz się?

Nie odpowiedział. Głaskał jej włosy powolnym delikatnym ruchem.

—Mam tu swoją pracę — mruknął w końcu. — Tak samo, jak wielu przyjaciół, kolegów po fachu. Doktor Freud jest w Wiedniu. Nie wyjechał i nie ma zamiaru.

—Freud jest Żydem, prawda?

— Ależ oczywiście.Eleonora zamknęła oczy.

—Wiesz, gdzie chciałabym teraz być?

—W Bolgheri?

—Jak się domyśliłeś? Tak, w Bolgheri, z babcią. Ty, ja i ona. Zobaczyłbyś, jaka piękna jest wiosna w Toskanii!

—W Wiedniu też — odparł cicho Smolsky.

—Tak, to prawda, w Wiedniu też — westchnęła Eleonora. Rzeczywiście, to był piękny, słoneczny dzień. Tyle tylko, że nadchodzili naziści.

—Jaro...

— Tak?

—Kocham cię. — Poczowała ucisk w gardle, ale stłumiła łzy. Wiedziała, że od jutra w tym wspaniałym mieście rozpęta się piekło. Ale on nie chciał wyjeżdżać, a ona zostawała z nim. Na zawsze — pomyślała. Do końca.

Smolsky nie przestawał głaskać jej włosów, w końcu więc zasnęła. Około czwartej ocknął się z zadumy. Ostrożnie, by jej nie obudzić, wysunął się z jej objęć. Poszedł po koc i wrócił, by ją przykryć. W salonie zrobiło się zimno. Potem wziął szybki prysznic i przebrał się.

O piątej był już na Grinzingu, u matki. Czekająca na niego gotowa, z walizką. Założyła czarny słomiany kapelusik z woalką. Patrzyła na niego surowo, nic nie mówiąc, wyraźnie zła. Wychodząc do ogródka, powiedziała:

— Tu posiałam sałatę, a tam, na końcu... — przerwała nagle i wzruszyła ramionami. — No tak, nic nie szkodzi, jeśli nie będziesz doglądał mojego ogródka. Ja i tak nie zobaczę kwiatów, które zasiałam.

Lotnisko w Aspern było już zajęte przez Gestapo. Wyglądało na to, że żaden samolot nie dostanie zezwolenia na start. Na pasach w głębi lotniska stały w podwójnych rzędach niemieckie samoloty bojowe, które przyleciały kilka godzin wcześniej. W poczekalni, między niedoszłymi podróżnymi krążyły tu i ówdzie osoby o przestraszonych twarzach, proponując zawrotne sumy każdemu, kto zechciałby im odstąpić wcześniej zarezerwowane miejsce. Ale nikt się nie godził. W kącie płakały jakieś kobiety.

—Przecież to bogaci ludzie — syknęła przez zęby matka Smolsky'ego.— Nie mogli pomyśleć wcześniej?

A kiedy niedługo potem zezwolono wreszcie na lot do Londynu, staruszka zaczęła ze złością potrząsać Smolsky'ego za ramiona i szwargocząc szybko w jidysz, zasypała go gradem wymówek, jakby jej syn był znów chłopcem, którego mogła zmusić do posłuszeństwa. Stojący obok Goldstern rzucał przestraszone spojrzenia.

—Do diabła z wami, mówcie przynajmniej po niemiecku!

—Nie, nie będę płakać — mówiła matka Smolsky'ego, zła jak osa. — Nie uronię nawet łzy z powodu takiego upartego syna!

—Ja nie...

—Cicho! Żadnych wymówek. Chcę cię widzieć w Londynie, byle szybko. Ciebie i tę błądą dziewczuszyne, którą mi przyprowadziłeś.

—Eleonorę — uśmiechnął się Smolsky.

—Ożeń się z nią przynajmniej! — burknęła staruszka, obejmując go. — Czekam na ciebie w Londynie.

Z Kristenfeldem to już dwie osoby, które na mnie czekają w Londynie — pomyślał Smolsky. Z zupełnie różnych powodów.

—Bałeś się, że urządzę rozzdzierającą scenę, co?

—Tak —przyznał Smolsky.

—Jestem na ciebie tylko wściekła, wściekła. Jak można urodzić takiego głupiego syna? Nie będę płakać przez kogoś takiego —wyszlochała staruszka i z twarzą ukrytą w chusteczce, mała i chuda między Goldstemem i Gumpłowitzem, oddaliła się w stronę wyjścia na lotnisko.

Wracając do domu, Smolsky przejechał przez miasto. Na każdym budynku powiewała austriacka flaga, a pośrodku każdej flagi naszyto swastykę. Eleonora była w ogrodzie. Spacerowała koło fontanny, między drzewami i krzewami obsypanymi młodymi listkami. Przebrała się; miała na sobie spódnicę i różowy golf z angory, w który ubrana była tamtego odległego listopadowego poranka w Bolgheri. Kiedy zobaczyła Smolsky'ego, jej ściągnięta ze zmęczenia twarz rozjaśniła się.

—Nareszcie — pocałowała go, wzdychając z ulgą. — Wyjechała?

—Tak — odparł Smolsky. — I prawie nie płakała, biedaczka.

Eleonora wzięła go pod ramię i ruszyła z nim w stronę fontanny. Wiatr ucichł niemal zupełnie i tylko pojedyncze podmuchy chwiały delikatnie gałęziami drzew. Powietrze było czyste i spokojne. Od czasu do czasu przecinał je jakiś brzęczący owad. Na lustrze wody otwierały się liście nenufarów.

—Zakwitną?

—Tak, zobaczysz — powiedział. — Są przepiękne. Za kilka miesięcy...

Kilka miesięcy, pomyślała Eleonora. I zakazała sobie pytać, czy naprawdę będą mogli razem, szczęśliwi, podziwiać te wielkie, białe kwiaty.

—To są lagerstroemie? — wskazała rządkiem drzew za ławeczką.

—Tak, to te. Wiesz, dlaczego się tak nazywają? Linneusz nazwał je tak na cześć swojego przyjaciela, Magnusa von Lagerstroema, dyrektora Kompanii Indyjskiej. — Smolsky poczuł na plecach czyjś wzrok. Odwrócił się. Na wprost, w oknie pierwszego piętra, zobaczył twarz Josepha Renza, przyjaciela Seyss—Inquarta, który został kanclerzem w miejsce Schuschnigga. Mężczyzna obserwował go. W końcu opuścił zasłonę.

—Co się stało?

—Nic — odparł Smolsky.

—Kim był ten człowiek w oknie?

—To nasz sąsiad, ojciec dziewczynki, z którą grywam często na flecie, Ewy. Mówiłem ci o niej.

— Kiedy go zobaczyłeś, zrobiłeś taką minę...

— Opowiadałem ci o tym drzewku — ciągnął Smolsky jak ktoś, kto chce zmienić temat. — Drewno lagerstroemii jest powszechnie używane w Indiach, ponieważ tylko ono jest odporne na termity i... — przerwał nagle. — Wejźmy do środka — mruknął, jakby obecność Renza zatrąla powietrze.

Smolsky'ego opadło nagle niejasne nieprzyjemne przecucie.

Było około jedenastej, kiedy Ewa weszła do salonu. Smolsky uniósł zdumiony głowę znad gazety.

— Co to, nie ma dzisiaj szkoły?

— Nie. — Ewa pokręciła wesoło głową. — Nie ma szkoły. Idą Niemcy i mamy wakacje. — Zerknęła ciekawie na Eleonorę. Podała jej rękę i dygnęła grzecznie. Wyglądała uroczo w sukience z lekkiej białej bawełny, z warkoczem opadającym na ramię, związanym wielką różową kokardą.

— A to? — zapytał Smolsky, wskazując broszkę, którą dziewczynka przypięła do kołnierzyka. — Skąd się to wzięło? — Pośrodku broszki znajdowało się złote kółeczko z małą swastyką.

— Ojciec mi ją podarował — odparła dziewczynka ze śmiechem. — Teraz poszedł do kancelarii, wie pan, dostał ważne stanowisko w rządzie...

— Tak, domyślam się — mruknął. Nazistowskie sympatie mecenasa Renza wreszcie mu się opłaciły.

— Nie przyniosłaś skrzypiec?

— Nie, ja... — Dziewczynka odwzajemniła uśmiech Eleonory — Chciałam poznać panią. Pani nie mówi po niemiecku?

— Nie.

— Szkoda — westchnęła Ewa. — Uważam, że pańska narzeczona jest naprawdę śliczna.

— Dziękuję — odparł Smolsky. — Dzisiaj też przeszłaś przez ogród?

— Tak. Mój ojciec dopiero wyszedł, ale niedługo wróci. Przyjdę po południu ze skrzypcami. Około czwartej, dobrze?

W tej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Z przedpokoju dał się słyszeć głos Heleny i podniesiony głos jakiegoś mężczyzny.

Ewa uniosła ręce do ust i przerażona zapatrzyła się na drzwi. Kiedy mecenas Renz wpadł z impetem do salonu, wybiegła mu naprzeciw, krzycząc:

— Ja tu przyszłam tylko...



—Milcz! — Renz złapał ją za ramię i syknął jej do ucha: — Milcz albo dam ci w twarz przy wszystkich. — Dziewczynka ucichła.

—Ewa może tu przychodzić, kiedy tylko zechce — Smolsky podszedł do Renza. — Ja nie...

—Moja córka nie postawi więcej nogi w tym domu!— głos Renza był twardy jak stal.—  
Jasne?

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, ciągnąc za sobą dziewczynkę, która w drzwiach odwróciła się jeszcze i rzuciła Smolsky'emu rozpaczliwe spojrzenie.

Zeszła po schodach w milczeniu, z trudem powstrzymując łzy. Ojciec ścisnął ją za ramię tak mocno, że sprawiał jej ból. Kiedy szli przez marmurowy hol do mieszkania, Ewa usłyszała, jak ojciec burczy pod nosem:

—Już ja urządzę tego Żyda...

—Co powiedziałaś? — zapytała stanowczym tonem.

—Powiedziałem, że za dwa, trzy dni załatwię tego twojego profesora Smolsky'ego raz na zawsze. Zrozumiano? Raz na zawsze! W domu, w którym mieszkam, nie będzie żadnych Żydów!

—Wiesz, z jakim nagłówkiem wyszły dzisiaj berlińskie gazety?

—No?—zapytała Nina. Leżała na kanapie, przytrzymując policzkiem słuchawkę telefonu i przypalając papierosa. — Z jakim?

—Otóż, moja droga, dziś, w sobotę dwunastego marca 1938 gazety w Berlinie wyszły z ogromnymi nagłówkami AUSTRIA URATOWANA OD CHAOSU!

—Co takiego? — pisnęła Nina, zrywając się gwałtownie. — I mów głośniej — krzyknęła do przyjaciółki, która dzwoniła do niej z niemieckiej stolicy.

—Właśnie tak, Nino — odkrzyknęła kobieta. — Niemieckie gazety utrzymują, że nazistowskie oddziały uratowały Austrię przed chaosem. Piszą, że w Wiedniu ludzie się mordowali, że krew lała się strumieniami, zaczęły się grabieże, a wszystko to dzieło czerwonych!

—Ale to jakieś bzdury! — krzyczała Nina — wierutne bzdury... tu prawie nie ma czerwonych, a poza tym nic się nie stało!

—Nie denerwuj się tak, Nino — poradziła przyjaciółka. — To logiczne, że niemiecka prasa rozpowszechnia takie informacje. W Niemczech Hitler jest dla wszystkich człowiekiem, który

uratował Austrię przed bolszewikami. Piszą też, że niemieckie oddziały zostały powitane w Austrii swastykami i entuzjazmem.

—Tak. I nikt nie reaguje. Żaden kraj europejski nic dla nas nie zrobi.

— Nina była oburzona.

—Nino, przestań udawać taką naiwną! Anglia usiłuje zawrzeć z Niemcami układ i traktuje inwazję na Austrię jak nieprzyjemny incydent, o którym należy jak najszybciej zapomnieć. Francja ma całą masę wewnętrznych kłopotów. A we Włoszech jest faszyzm. Co do Hiszpanii.. .  
— Ale Nina przerwała połączenie, rzucając słuchawkę na widełki.

— Dość! — powiedziała przez zaciśnięte zęby, blada z wściekłości. — I do diabła ze wszystkimi.

Rzuciła się na kanapę. Paliła w milczeniu, patrząc w sufit. Po chwili odwróciła twarz do Sandera, siedzącego przy fortepianie. Mężczyzna obserwował ją w milczeniu. W końcu potrząsnął głową.

—Nino, nie upieraj się, żeby tu zostać. Wyjedźmy z Austrii. Błagam cię.

—Nigdy! — brzmiała odpowiedź.

Po długiej chwili Nina wstała. Podeszła do Sandera i oparła dłonie na jego ramionach.

—Zagraj mi coś Schumanna — mruknęła. I schyliła się, by go pocałować.

Hitler przekroczył granicę austriacką po południu tego samego dnia, dwunastego marca 1938 roku, i o ósmej wieczorem wjechał do Linzu, przyjęty z historycznym entuzjazmem przez mieszkańców i nowego kanclerza, Seyss—Inquarta.

Smolsky i Eleonora wysłuchali tej wiadomości w radiu. Kiedy Smolsky przetłumaczył już zdanie po zdaniu wszystko, co zostało powiedziane, wyłączył radio, które nadawało teraz hymn nazistowski.

—Chcesz się przejść?

Eleonora pokręciła głową.

—No to chodź tu. — Smolsky wziął ją za rękę. W sypialni rozebrał ją, jak się rozbiera dziecko. Potem wsunął się pod kołdrę u jej boku. Przygarnął ją do siebie. Czuł jej przygnębienie i strach, ale nie mógł nic dla niej zrobić.

—Chciałbym cię widzieć uśmiechniętą, jak tamtego dnia na plaży, pamiętasz? Pamiętasz ten wiatr? Kocham cię, Eleonoro. Wiesz o tym, prawda? —Chcę zostać z tobą. Być przy tobie. I jestem tu, w twoim domu, trzymasz mnie w ramionach. Nie żałuję niczego, jeśli o to ci chodzi. — Zaczęła całować jego twarz i ramiona.

— Zamknij oczy — szepnęła — nie myśl już o tym. Jesteśmy razem, kochamy się. — Głaskała go po włosach i nie przestawała całować, jakby chciała wymazać to wszystko, co działo się wokół nich, a przede wszystkim ten dziwny smutek, który zaczynał wkradać się już nawet w ich intymność. Kochali się długo, dłużej niż kiedykolwiek przedtem, z pasją jakby chcieli wyrycić w pamięci każdy gest, każde spojrzenie, każdy pocałunek, by niczego nie utracić. Czas stał się nagle na wagę złota, a ich bliskość była czarem, który mógł w każdej chwili prysnąć. — Kochamy się, jakby lada chwila coś nas miało rozdzielić — powiedziała Eleonora cicho. — Ty też to czujesz? A może chodzi o to, że dzieją się straszne rzeczy i wydaje się, nie wiem, że w tej rzeczywistości nie ma miejsca na taką miłość.

Smolsky położył głowę na jej piersi i nie odpowiedział. Z zamkniętymi oczami powtarzał w duchu pewien werset, który cytował często jego dziadek, wznosząc palec: „Lis ma swoją norę, ptak swoje gniazdo, tylko syn człowieczy nie ma gdzie złożyć głowy”. Ale przecież leżał w ramionach ukochanej kobiety, składał głowę na jej piersi, czuł bicie jej serca i ciepło jej najdroższego ciała.

— A zresztą, jak możemy być szczęśliwi przy tym, co się dzieje? — szeptała Eleonora, przeczesując łagodnie palcami jego włosy. — Jak możemy? Nie wierzę nawet, że mamy do tego prawo.

A Smolsky rozmyślał o tym, co opowiedział mu tego popołudnia jeden z kolegów: wobec byłego kanclerza Schuschnigga zastosowano areszt domowy, a wiele osób trafiło już w ręce gestapo. Przyjaciele i współpracownicy Schuschnigga, monarchiści, przedstawiciele lewicy i wielu Żydów. Kilofami rozbito pomnik Dollfusa, kanclerza zamordowanego przez nazistów cztery lata temu. Członkowie samorządów lokalnych zostali wtrąceni do aresztu, a osobistości o poglądach antynazistowskich zostały zatrzymane w domach przez SS, między innymi kilku profesorów uniwersyteckich. Aresztowania trwały.

—O czym myślisz?

—O niczym. — Smolsky przytulił Eleonorę i przypomniał sobie Ewę, z którą nie zagra już nigdy na flecie. I twarz matki, kiedy przed opuszczeniem domu na Grinzingu patrzyła w wątlým świetle świtu na swój ogródek, w którym posiała kwiaty.

—Dlaczego dzieje się to wszystko? — westchnęła Eleonora. — Ale to chyba głupie pytanie. Dobrze wiem, że jest tysiące wyjaśnień, a jednocześnie nie ma żadnego. „Przestrzeń życiowa”, tak? Żeby usprawiedliwić inwazję, Hitler mówi o Lebensraum, którego potrzebują Niemcy. Jedno państwo napada na drugie, naród zostaje zniszczony. Pod tymi dwoma słowami „przestrzeń

życiowa" kryją się rzezie i zagłada. I to się będzie powtarzać w historii Bóg wie ile razy. I nie dowiemy się tego, bo umrzemy.

Smolsky uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

—Dlaczego tak mi się przyglądasz?

— Twój głos brzmiał tak... myślałem, że płaczesz... — mruknął.

Eleonora pokręciła głową. Jej ciemne oczy były pełne bólu, surowe.

—Nie, nie płaczę. W Mediolanie, w domu u znajomych, widziałam kiedyś zdjęcie abisyńskiego dziecka, które z uniesionymi rękami uciekało przed włoskimi wozami pancernymi. Nigdy nie zapomnę tej fotografii. Zadaję sobie pytanie, ile razy to się jeszcze powtórzy. Kiedy mówiłam, myślałam o tym dziecku.

Smolsky położył na powrót głowę na jej piersi.

—Czuję się... — westchnął. — Cóż, nic się nie da zrobić.

—Coś można było jednak zrobić.

—Co?

—Zamiast wiwatować Hitlerowi, można było wziąć broń do ręki. Dlaczego nikt z was tego nie zrobił? W Hiszpanii walczą z faszystami. Mój brat tam teraz jest. Można było walczyć i w Austrii. Dlaczego nikt tego nie zrobił?

Smolsky pokręcił głową.

—Nie wiem, co ci powiedzieć. Wstyd mi, że nie potrafię dać ci odpowiedzi.

Następnego dnia, w niedzielę, kanclerz Seyss—Inquart ogłosił triumfalnie przez radio, że Austria nie jest już państwem, ale prowincją Rzeszy Niemieckiej. Przed wieczorem rozeszła się wieść, że armia austriacka ma wejść w skład niemieckiego Wehrmachtu i że generał Zehner, ostatni austriacki minister obrony, został zamordowany.

W poniedziałek, czternastego marca 1938 roku, o piątej po południu, Hitler wjechał do Wiednia. Miał na sobie brunatny płaszcz oddziałów szturmowych i stał wyprostowany w odkrytym samochodzie, z prawą ręką uniesioną w nazistowskim salucie, a lewą zaciśniętą na brzegu szyby. Samochód przejechał powoli Ring. Smolsky i Eleonora stali ściśnięci w tłumie. Kiedy samochód Hitlera przejechał obok nich, Eleonora oznajmiła, że chce natychmiast wracać do domu.

Gdy tylko weszła do salonu, wybuchnęła płaczem. Płakała, uczepona kurczowo Smolsky'ego.

—Ale dlaczego? — zapytał. — Tak zniecka... dlaczego płaczesz?

—Te kobiety... Widziałeś je? — zawodziła. — Widziałeś te wszystkie kobiety? Uklęły na chodniku, kiedy przejeżdżał samochód Hitlera. Uklęły! Jak przed Matką Boską! — Rozszlochana rzuciła się na fotel, a ponieważ Smolski patrzył na nią zdeorientowany, mówiła dalej: — Właśnie tak, Matka Boska. U nas, we Włoszech... Nie widziałeś nigdy procesji? Nosi się posąg świętego albo Matki Boskiej i wszyscy ludzie klękają, i dzisiaj, kiedy przejeżdżał Hitler, kobiety zrobiły to samo. Jakby był Bogiem. Czy oni wszyscy powariowali? — Eleonora ukryła twarz w ramionach i nic przestawała płakać, wstrząsana szlochem. — Szaleńcy! Wszyscy poszaleli, zupełnie potracili głowy! — powtarzała. W końcu, unosząc mokrą od łez twarz, zapytała: — Czego trzeba, żeby doprowadzić ludzi do czegoś takiego? Co im zabrania zrozumieć, jak to wszystko wygląda naprawdę? Jak to się dzieje, że ludzie tracą... — szukała słowa, ocierając łzy — tracą godność? To wszystko z braku godności. Komu jej jeszcze trochę zostało, ten rozumie, rozumie, co się dzieje! I nie klęka! Nie wiwatuje! Nie przygląda się!

Smolski stał przed nią w milczeniu. Objął ją i przytulił mocno, a ona płakała, trzymając się go kurczowo, z twarzą ukrytą na jego piersi.

—Wiecie, co się dzieje, czy nie? — Fred Sander siedział w salonie wykuszowym, patrząc na Smolsky'ego i Eleonorę zatroskanym wzrokiem. — Wiecie? Czy tak jak wszyscy inni żyjecie w jakiejś pustej otchłani, głusi i ślepi, niczego nie widząc i nie słysząc? — Przyszedł niedawno, dzwoniąc z furią do drzwi. Kiedy wszedł, rzucił się na fotel i zaczął rozglądać się wokoło, jakby lada chwila ściany miały popękać, a cały dom zacząć się walić. — I tu nie chodzi o strach — ciągnął gorączkowo.

Mówił po francusku, żeby i Eleonora mogła go zrozumieć. — Tu chodzi o to, czy się ma olej w głowie! Nina została w domu, możecie sobie wyobrazić, dlaczego. Przyszedłem sam, a dzięki temu byłem bezpieczny. — Wskazał mały metalowy znaczek w dziurce od guzika, w kolorach bułgarskiej flagi.

—Ja też mam coś takiego, znaczek z barwami Włoch, żeby go nosić na widoku. Jaro mi przyniósł przedwczoraj — powiedziała Eleonora bezbarwnym głosem. — Kazał mi go przypiąć do klapy żakietu.

Wszyscy obcokrajowcy w pośpiechu kupowali takie znaczki i przypinali do ubrań, ilekroć wychodzili do miasta. Po ulicach krążyły patrole SS w hełmach i z bagnetami na lufach. Obcokrajowców przepuszczano w spokoju. Wszyscy pozostali byli przeszukiwani, wydzierano im z rąk dokumenty. By zidentyfikować wszystkich austriackich Żydów.

— Widzieliście? Widzieliście łapanki? — ciągnął Sander. — Tysiące Żydów lądują w więzieniach. Już się zaczęła wywózka. Urządzono obóz koncentracyjny na północnym brzegu Dunaju, niedaleko Mauthausen. A co się dzieje na ulicach? Widzieliście wiedeńskie ulice?

Tak, widzieli je. Żydzi na kolanach zmywali napisy propagandowe, pozostałe po niedoszłym plebiscycie Schuschnigga. Trzymani pod lufami przez żołnierzy. Wyśmiewani przez tłum.

— Mężczyźni i kobiety pochodzenia żydowskiego są zatrzymywani i zmuszani do sprząwania latryn w koszarach SS, albo do czyszczenia rynsztoków. W całym Wiedniu mnożą się akty sadyzmu. Na pewno już o tym słyszeliście. Wiecie też, ilu ludzi popełniło już samobójstwo, prawda?

Tak, wiedzieli. Jeden z kolegów Smolsky'ego otruł się poprzedniego dnia, razem z żoną.

— Nina nie chce już wychodzić z domu. Boi się, że przewrócą ją na ziemię i każą językiem czyścić chodnik. Dlatego przyszedłem sam. — Sander westchnął.

Ja też się boję — pomyślała Eleonora. Popatrzyła na Jaro, który nie siedział w domu. Który zeszłego wieczoru wrócił brudny i obszarpany, z długą szramą na ręce i ze strasznym spojrzeniem. Zamknął się w łazience i godzinami siedział pod prysznicem, a kiedy wyszedł, nie chciał powiedzieć ani słowa. Nie opowiedział jej, co mu się przydarzyło, ale i tak się domyśliła. Nie-trudno było się domyślić. Wystarczyło wyjrzeć przez okno, by widzieć, co się dzieje w Wiedniu.

—Co wy sobie wyobrażacie? — mówił dalej Sander wpatrując się w Smolsky'ego. — Myślicie, że uda wam się tego uniknąć? A ilu z was pozabierano już z domów? Bóg wie, gdzie trafią.

—Doktor Freud jest...

—Ależ oczywiście — rzucił sarkastycznie Sander. — Jest ciągle w swoim domu i nikt go nie zabrał. Jest zbyt sławny, Niemcy boją się międzynarodowej reakcji. Zakładając, że w ogóle jakaś będzie! Ale zrobili mu rewizję w domu i spalili książki.

—No dobrze — przerwał mu Smolsky, gasząc papierosa. — Po co pan tu przyszedł? Opisać nam sytuację, której grozę doskonale znamy sami?

Sander wstał. Zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

—Nina bardzo pana szanuje i może pana posłucha, Smolsky. Ja nie jestem w stanie jej przekonać, ale może jeśli pan jej powie...

—Żeby wyjechała z Austrii?

—Nie chcę, żeby jej się coś stało. Ja... — Sander odchrząknął. — Pan dobrze zna moje uczucia dla Niny.

—Owszem.

—Chciałbym wyjechać z niajeszcie dziś wieczorem. Może to załatwić jak inni, zapłaci zawrotną sumę i dostanie pozwolenie na wyjazd. Ale najpierw musi...

—Dobrze. Chodźmy. Chodźmy od razu.

—Nie, nie teraz, po południu. Nina jest dumna i uparta. Jeśli będzie wiedziała, że przyszedłem prosić pana.

— W takim razie przyjdziemy po południu. — Smolsky wyciągnął w stronę Bułgara paczkę papierosów. — Koło czwartej, może być?

— Może być. A teraz nie odmówiłbym kieliszeczka sznapsa. Potrzebuję czegoś mocniejszego. — Sander zapalił papierosa. — Nerwy mam w strzępach, ale sama myśl, że zdoła pan przekonać Ninę i że wieczorem będziemy mogli jechać, ogromnie podnosi mnie na duchu.

—Więc Nina nie wie, że pan tutaj jest? — zapytała Eleonora.

—Nie. — Sander wziął kieliszek, który podał mu Smolsky. — Powiedziałem jej, że wychodzę kupić nuty.

W tej samej chwili na Plosselgasse, przed domem Gumpłowitza zatrzymały się dwa samochody SS. Mniej więcej sto metrów dalej inni esesmani wynosili srebra i obrazy, zrabowane z domu Rotschilda. Nina była na pierwszym piętrze, w gabinecie dziadka. Kiedy usłyszała parkujące przed wejściem samochody, podbiegła do okna. Zobaczyła, że esesmani weszli do parku i maltretują ogrodnika. Z domu, z podniesionymi rękami wybiegła pokojówka, stara Vreni. Usłyszawszy jej krzyk, Nina cofnęła się od okna. Rozejrzała się. Ten gabinet o białych ścianach, urządzonej renesansowymi włoskimi meblami, był jej ostatnim schronieniem na tej ziemi.

Usłyszała na parterze głosy żołnierzy, tupot ich wysokich butów na schodach. W korytarzu. Kolejny krzyk Vreni. Głosy zbliżały się.

Podbiegła do biurka. W pierwszej szufladzie znalazła pistolet. Zaciążył jej w dłoń. Usiadła w szesnastowiecznym fotelu i wyjrzała przez otwarte okno: daleko, między drzewami parku, dostrzegła sylwetkę pałacu Hofburg, dawnej siedziby Habsburgów, z balkonu której Hitler proklamował przyłączenie Austrii do Rzeszy. Spojrzała wyżej, na piękne czyste niebo. Zamknęła oczy.

Strzał rozległ się echem w całym domu. W następnej chwili drzwi gabinetu otworzyły się na oścież.

—Co się stało? — kilku żołnierzy nadbiegło korytarzem.

Oficer podszedł do fotela.

—Co się stało? Nic. Zabiła się.

—A więc, do zobaczenia po południu — Smolsky uściskał Bułgarowi rękę.

—O czwartej. Nie spóźnijcie się. Chciałbym wyjechać jeszcze dziś wieczorem. — Fred Sander uśmiechnął się. —I dziękuję.

— Ależ za co? Będziemy na pewno, o czwartej. — Smolsky zamknął drzwi. Napotkał spojrzenie Eleonory.

—Sądysz, że Nina da się przekonać?

—Może tak.

—Nie wiem. Zapyta cię, dlaczego doradzasz jej wyjazd, jeśli sam zostajesz — mruknęła Eleonora.

—Prosisz mnie, żebym wyjechał z Austrii?

Pokręciła głową.

—Ależ skąd. — Wróciła do salonu.

Wychodząc na ulicę, Sander zauważył dziewczynkę z jasnym warkoczem, która trzymała przy piersi skrzypce w futerale.

Uśmiechnął się do niej.

—Grasz?

—Tak. — Ewa skinęła głową.

—Dobrze?

—Och, myślę, że tak.

—Ja gram na fortepianie — powiedział Sander.

—Dobrze?

—Wydaje mi się, że tak. — Sander szczychnął ją w policzek i ruszył ocienioną drzewami ulicą.

W tej chwili z za rogu wyjechały dwa samochody SS i zatrzymały się przed bramą. Wskoczyli z nich żołnierze.

Ewa przycisnęła mocniej skrzypce do piersi i stanęła w bramie.



—Czego chcecie? — zapytała stanowczym tonem oficera, który szedł w jej stronę. — Jestem córką mecenasa Renza.

—Och, oczywiście — uśmiechnął się oficer, zatrzymując się przed nią. — Dobrze znam mecenasa Renza.

—Ja tu mieszkam — oświadczyła dziewczynka.

—Ale my szukamy pewnego Żyda nazwiskiem Smolsky, Dawid Jaroslav Smolsky.

—Smolsky? — zapytała Ewa. Błyskawicznie wskazała palcem człowieka na końcu ulicy. — To tamten. Tam idzie, nie widzicie? Pośpieszcie się, bo wam ucieknie. — Wciąż wskazywała oddalającego się mężczyznę. — To on, tam... — Jej dziecinny głos brzmiał zimno i surowo.

Esesmani wskoczyli pośpiesznie do samochodów, ruszyli z piskiem i zatrzymali się koło Freda Sandera.

—Stój! — krzyczeli, zeskakując z ciężarówek. Bułgar puścił się biegiem. Esesmani nawet nie próbowali go gonić. Wyjęli pistolety.

Strzały rozległy się echem na ulicy w momencie, w którym Ewa wpadła biegiem do salonu z wykuszami.

—Przyjechali po pana — krzyknęła. — Przyjechali pana zabrać. Czekałam na guwernantkę, żeby mnie zaprowadziła na lekcję muzyki. Odesłałam ich, ale zaraz, wróć, niech pan patrzy. — Pociągnęła Smolsky'ego do okna i wychyliła się razem z nim. Na końcu ulicy esesmani pochyłali się nad ciałem Sandera, leżącym nieruchomo na bruku.

Ewa cofnęła się przerażona. Potrząsnęła Smolsky'ego za ramię krzyknęła z płaczem:

— Niech pan ucieka, szybko! Oni zaraz wróć! Słyszysz mnie pan?

—Ile jeszcze do szwajcarskiej granicy? — zapytała Eleonora Smolsky'ego.

—Niedaleko, może z pół godziny. Za pół godziny dojedziemy — odparł półgłosem. Stali w zatłoczonym korytarzu. Pociąg do Szwajcarii pękał w szwach. Podróż z Wiednia wydawała się Eleonorze nieskończenie długa. Nie cieszyły jej zupełnie przemykające za oknem lasy, łąki, jeziora, roześmiane miasteczka i ukwiecone balkony, które o świcie ukazały się jej oczom.

Smolsky wpatrywał się w jej twarz, zmęczoną, bladą i zgaszoną. Stała pod ścianą, a on chronił ją przed ścisaniem. Twarze ludzi były ponure i wystraszone. Płakało jakieś dziecko.

—Długo jeszcze?

—Jesteś zmęczona, prawda?

Spojrzała mu w oczy.

—Nie — szepnęła. — Nie jestem zmęczona. Boję się. Okropnie się boję, że cię stracę, Jaro.

Smolsky wyrzwał przez okno.

—Zaraz się zacznie kontrola celna — powiedział. Mówił cicho, ledwie dosłyszalnie. Eleonora przypomniała sobie dzień, kiedy przyszedł po nią pod pracownię Mignon Venditti na via Montenapoleone. Poszli do ogrodów miejskich. Wtedy też, tak jak teraz, czuła tę niesamowitą bliskość, miała wrażenie, że jest z nim zamknięta we wnętrzu muszli. Reszta świata została na zewnątrz, gdzieś daleko.

—Kontrola celna? — zapytała po długiej chwili.

Smolsky skinął głową. Eleonora oparła głowę o jego ramię i zamknęła oczy. Ona miała paszport. I włoskie obywatelstwo. Żadnych komplikacji. Ale on?

—Jak to zrobisz?

—Potem ci powiem — mruknął. Powtórzył w myśli imię, nazwisko i adres, które znalazł w paczce papierosów. W tej, którą dał mu Kristenfeld w kawiarni Plucker. Paczka wiele dni leżała w szufladzie biurka. Uciekając, Smolsky schował ją do kieszeni. Eleonora wzięła ze sobą tylko torebkę i żakiet. Uciekli przez ogród, przez tylną bramę, którą zaniknęła za nimi Ewa. Przed oczami Smolsky'ego stanęła dziewczynka, esesmani i martwy Bułgar, zastrzelony na końcu ulicy.

—Co ci jest?

—Myślę o Sanderze.

—Jak to się stało, że go zastrzelili? — zapytała cicho.

Smolsky też się nad tym zastanawiał. I w końcu zrozumiał. To Ewa posłała esesmanów za Bułgarem, by móc pobiec do Smolsky'ego i go ostrzec. Dać mu sposobność do ucieczki. Ewa, z poważną twarzą grzecznego dziewczynki. To było jedyne wytłumaczenie.

Zdołali z Eleonorą uciec i dostać się do metra, którym dojechali na dworzec. Smolsky odczytał z paczki papierosów nazwisko i adres człowieka na granicy austriacko—szwajcarskiej.

Przesunęli się, by przepuścić kilku mężczyzn, kierujących się do drzwi wagonu.

—Teraz słuchaj uważnie — powiedział Smolsky, przytulając ją. — Zaraz wysiądę. — Poczuł, że drgnęła ze strachu. Przytulił ją mocniej. — Bądź greczna, posłuchaj. Skontrolują twój paszport. Wszystko będzie dobrze. Pociąg ruszy i przejedzie przez granicę. Wsiądziesz na

pierwszej stacji w Szwajcarii. Jest tam mała wioska z placikiem przy stacji. Na wprost jest hotel. Idź tam i wynajmij pokój.

—A ty? — Eleonora płakała.

—Jest tu taki jeden, przy granicy — szeptał Smolsky — coś w rodzaju przemytnika. Zna przejście. Przeprowadzi mnie na drugą stronę, Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

—Idę z tobą.

—To niemożliwe. Wiem, jaka to droga... godziny marszu... na granicy są patrole.

—Idę z tobą. — Eleonora trzymała się kurczowo jego szyi.

—To niemożliwe. — Smolsky pogłaskał ją po włosach. — Musimy się rozdzielić. Nie dałabyś rady.

—Nie zostawiaj mnie — szlochała.

—Eleonoro, uspokój się. Patrz na nas.

—Jeśli cię złapią...

—Nie złapią.

—Umrę z niepokoju.

—Dasz sobie radę.

Pociąg zaczął zwalniać. Wśród ludzi zapanowało poruszenie. Na końcu wagonu rozległy się męskie głosy, szorstkie i rozkazujące.

—Jaro...

—Musisz, wziąć się w garść.

—Ja... — Ale Smolsky stanowczym gestem zdjął jej rękę ze swojej szyi. — A jeśli nie przyjdiesz, Jaro?

—Przyjdę. Przed wieczorem znowu będziemy razem.

Trzymał ją za nadgarstki i odpychał od siebie. Eleonora szlochała rozdierająco, prz gryzając wargi, błada i potargana. Smolsky z trudem nad sobą panował.

—Do zobaczenia — mruknął i zaczął się przeciskać dowyjścia. Pociąg stawał.

Otworzył drzwi, wysiadł jednym skokiem. Biegiem przeciął perony. Wyglądając przez wolny skrawek szyby, Eleonora patrzyła przez łyżę, jak zniknął za stojącą na torach platformą, wyładowaną skrzynkami piwa.

Słońce schowało się za górą. Cienie stały się granatowe, a w perłowym blasku czystego nieba przy gasły barwy łąk i lasów, które rozciągały się za wsią.

Zrobiło się chłodno. Eleonora podniosła kołnierz żakietu i objęła się ramionami. Wokół panował niezakłócony spokój. W ciszy podzwaniały dzwonki krów, rozległo się kilka uderzeń dzwonu na wieży, kilka okrzyków. Trawa po bokach ścieżki usiana była kwiatami, a na gałązkach bzu, wystających zza murku, na którym siedziała Eleonora, zieleniły się młode listki.

Z kominów domów w dolinie unosiły się niebieskawe wstążki dymu. W powietrzu czuć było lekki zapach ziemi i palonego drewna. Od lasu powiało wilgocią.

W gasnącym świetle Eleonora rozróżniała jeszcze plac naprzeciwko stacji i dach hotelu. Kiedy weszła do niego dziś rano, właścicielka powitała ją z uśmiechem. Pokój był czyściutki, w oknach kraciaste białe czerwone zasłonki. Tu, w Szwajcarii, wszystko było pogodne, spokojne i schludne. Aż do przesady. Tu nie stało się nic. Tu nigdy nic się nie działo.

Eleonora zerknęła w stronę lasu. Ścieżka, którą się tu wspięła, ginęła wyżej wśród sosen. Las był już tylko ciemną plamą.

Siedziała na tym murku od wielu godzin. W kieszeni żakietu znalazła papierosy. Wypaliła jednego i starannie zgasiła niedopałek. Złożyła ręce na podolku. Każdy gest wymagał niezmiernego wysiłku. Nie myślała o niczym. Nie wspominała niczego. Od czasu do czasu odwracała głowę, by spojrzeć na ścieżkę, która przecinała łąki i ginęła w lesie, biegnąc w stronę granicy austriackiej.

Wokół niej rozciągał się bajkowy krajobraz, nad którym szybko zapadał wieczór. Zachodzące słońce zabarwiło niebo na różowo.

Smolsky zobaczył ją natychmiast, kiedy tylko wyszedł spomiędzy drzew. Siedziała na murku, plecami do niego, nieruchoma, jakby bała się odwrócić jeszcze raz, na próżno.

Było już prawie ciemno. Smolsky zaczął biec.

Eleonora odwróciła głowę i patrzyła na niego. Dopiero kiedy zatrzymał się przed nią, wstała z trudem, jakby nie była w stanie zrzucić z ramion ciężaru, który omal jej nie zmiażdżył.

—Jesteś tu? — Ledwie poruszyła ustami. — Naprawdę tu jesteś?

—Tak... — odparł Smolsky. — Tak.

VANNA deANGELIS FEY

Włoska autorka emocjonujących bestsellerów, nazywanych mistrzowskim połączeniem powieści Danielle Steel i Kena Folletta.

Vanna deAngelis Fey to włoska pisarka i Polka z pochodzenia. Jej powieść Rzykantka, jeden z największych włoskich bestsellerów ostatnich lat, odniosła wielki sukces nie tylko na Półwyspie Apenińskim. Porównywana przez krytykę do Klejnotów Danielle Steel i do Człowieka z Petersburga Kena Folletta, została uznana we Włoszech za książkę roku. Zakazane marzenia, najnowsza powieść Vanny de Angelis Fey, tak jak Rzykantka splata wątki romansu, sensacji, powieści szpiegowskiej i historycznej w pasjonującą całość.

RS